

Wny Dr. Karol Estreicher,  
c. k. dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej  
w KRAKOWIE, ul. św. Anny.

4

1896. XII. 25

WYDAWNICTWO  
NA CELE DOBROCZYNNE SAMBORSKIE.



# XIX. ROCZNIK.

NOVA SERJA ILLUSTROWANA,  
wydawana  
nakładem i staraniem  
G. KOHNA.

---

(Z zastrzeżeniem praw wydawcy i współpracowników.)

Ceny zwyczajne, nie kładąc tamy dobroczynności.

SAMBOR.  
1895—1896.







Severina Daria

Wydawnictwo  
na cele dobroczynne samborskie.

---

# XIX. ROCZNIK.

NOWA SERJA ILLUSTROWANA,  
wydawana  
nakładem i staraniem  
G. KOHNA.

---

(Z zastrzeżeniem praw wydawcy i współpracowników.)

Ceny zwyyczajne, nie kładąc tamy dobroczynności.

SAMBOR.  
1895—1896.



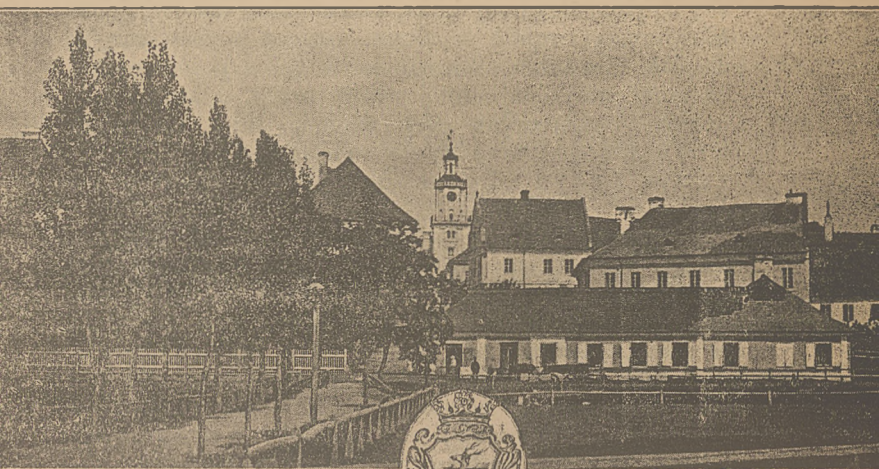
W SAMBORZE.  
Czcionkami Schwarza i Trojana.

May. 100322 II  
19(1895/1896)

Biblioteka Jagiellońska



1002905224



## Słowo wstępne.

**R**adosną wiadomością wypada mi się podzielić z moimi czytelnikami: sędziwa poetka jubilatka, którą niedawno temu z takim zapalem patryjotycznym gościły w murach swoich stolice kraju Lwów i Kraków, Seweryna Duchńska przeznaczyła dla wydawnictwa naszego jedną z najpiękniejszych swych prac, pt. „Wspomnienia z życia jenerałowej Benigny Małachowskiej,” którą na czele naszego wydawnictwa umieszczamy, zaopatrzywszy ją w krótką biografię Duchńskiej streszczoną przez znane w świecie literackim pióro redaktorki „Przedświtu.“

Ale na tem nie ogranicza się współdziałanie literackie Seweryny Duchinińskiej. Kobieta ta o wielkiem sercu i duchu, o patriotyzmie, nie zadowolającym się wypowiedzeniem kilku szumnych frazesów, chciała myśłą swoją i w innym jeszcze a zbawiennym działać kierunku. Zarządziła więc w porozumieniu ze mną odbitkę z cennej swojej pracy, z której cały dochód niepodzielnie przeznaczyła dla najpiękniejszej i najzbawienniejszej instytucji kraju, dla naszej stacji ratunkowej we Lwowie.

Wybór nie mógłby być trafniejszym. Kto zna dzieje tego Towarzystwa, którego członkiem być za zaszczyt najwyższy sobie liczę, ten wie, ile dobrego w krótkim czasie ono zdziało w kraju; zdziało bez stuku i puku, cicho a ofiarnie. A jednak liczba członków zwykłych ledwie 400 wynosi, choć roczny udział uczestnika nie większy od reńszczaka, w Wiedniu liczba członków wielutysięczna a dobrodzieje tamtejsi pamiętają dobrze o duchowych i materialnych potrzebach tych, co niejedną noc bezseną przepędzać muszą w służbie ludzkości. U nas inaczej. Z redakcyj polskich (zwłaszcza lwowskich) tylko pewna część pamiętała o potrzebach duchowych stacji ratunkowej, przesyłając jej regularnie a bezpłatnie swoje pisma; z księgarzy i prywatnych wydawców nikt prawie nie pamięta o tym obowiązku obywatelskim.

Czułbym się ponad wszelki wyraz szczęśliwym, gdyby głos mój nie pozostał głosem wołającego na puszczy, ale stacji ratunkowej lwowskiej z każdym dniem więcej zjednał nie tylko bezpłatnych pacjentów, ale także szczerych i hojnych zwolenników i sprzymierzeńców, których jej więcej trzeba, aniżeli każdej innej instytucji.

Sambor, 6. Listopada 1895.

**G. Kohn,**

redaktor i wydawca „Roczników Samborskich.“






# Seweryna Duchńska,

## UWAGI BIOGRAFICZNE,

zestawiła

Janina Sedlaczkówna.

(Z portretem Duchńskiej.)

nana powszechnie a żyjąca obecnie w Pa-ryżu autorka polska, na żądanie wydawców kalendarza paryskiego (r. 1891) skreśliła dokładnie wspomnienia ze swego życia i one też będą nam głównym materiałem do niniejszego szkicu. Chcemy pomówić o działalności literackiej i społecznej Seweryny z Żochowskich — Pruszkowej - Duchńskiej. Światło dzienne ujrzała Seweryna Mardoszu we wsi Koszajcu (w ziemi gostyńskiej) w drugiej ćwierci bieżącego stulecia. (Daty nawet w przybliżeniu nie podaje autorka.) Już w ósmym roku straciła ojca, lecz matka zajęła się troskliwie kształceniem jej i wychowaniem. Od 6-go roku życia miała Seweryna nauczycielkę i sama powiada, że była pilną uczennicą, bo nauka z łatwością jej przychodziła. Jednostajne życie wiejskie przerywane było tylko uroczemi naszymi dożynkami w lecie, wieczorami prządek w zimie; w zapusty wiejskimi weselami, w święta Bożego Narodzenia „gwiazdką“ z kolenkami, w Wielkanoc „dyngusem“ i „kurkiem“ — legendową zabawą młodzieży. Cała rodzina Żochowskich była niezmiernie patriotyczna i szlachetna. Z uwielbieniem wspomina Seweryna swego dziadka

żołnierza polskiego, konfederata Barskiego i Sybiraka. Błogosławi wuja Franciszka i jego żonę, którzy oboje wpajali swym wpływem w młodociane serce Seweryny miłość ojczystej ziemi. A już z najgorętszą wdzięcznością mówi o stryju Feliksie Zochowskim, żołnierzu Kościuszki, który oddał się po skończonej wojnie gospodarce i był najlepszym ojcem ludu, tak iż go nawet upominano, że dobrocią lud psuje w okolicy. On to całą duszą zaopiekował się Seweryną. Tam, gdy w jego wsi spędzała święta, zaglądała do biblioteki i z największą skwapliwością brała się do czytania bez wyboru. Dla nabycia gruntownej nauki wysłała matkę Sewerynę do Warszawy, gdzie uczęszczała na pensję p. Wilczyńskiej. Tu kształciła się pod okiem znakomitych profesorów. Drugiego roku nie spędziła już w takiej ciszy jak pierwszy, albowiem był to rok 1830.

Sama autorka opowiada:

„W Listopadzie wybuchło powstanie. Nigdy nie zapomnę tej nocy. O siódmej godzinie wieczorem, gdyśmy jak zwykle siedziały nad kajetami, gotując się na lekcje jutrzejsze, posunięto nieznacznie skazówki zegara.

— Panny do pacierza! — rozległ się po salach głos dozoreczyni; — czas spać, wnet uderzy dzwoniąta.

Sypiałam w pokoju pani Wilczyńskiej. Nie skora do snu w dzieciennych nawet latach, nie mogłam wcale zasnąć. Nagle przez szyby przyległej sali, ku której zwróconą miałam głowę, uderza mnie w oczy jaskrawy płomień. Dziwny huk dolatuje raz po raz. „Co to być może?“ — myślę w duchu. Nakoniec dziecinna loika wytłumacza mi wszystko. Dom jakiś pali się w bliskości, kamienie i cegły spadają z góry na ziemię, ztąd łoskot podobny do grzmotu. Tymczasem p. Wilczyńska obchodziła wszystkie sale ze świecą, aż na straszliwy huk wszystko co żyło, zrywa się. Na pytanie, co to — objaśniają, że to armatnie strzały z placu Krasieńskich.

— Na kolana! — zawołała p. Wilczyńska, a za jej przykładem uczyniły to panienki i służba.“

W czasie powstania Seweryna uczęszczała wprawdzie do pensjonatu tego samego, lecz już jako eksternistka, bo matka jej do Warszawy się przeniosła.

O dalszych losach przemilcza autorka, opowiada zaś o roku 1847, w którym to zaczęła brać lekcje literatury u znakomitego W. Kazimierza Wójcickiego. Znała go jeszcze w dziecinnych latach, lecz później powiada, że go z oczu straciła, słysząc tylko o nim, iż służył w gwardji honorowej przy boku Chłopcickiego, że za powrotem z Galicji został przez Moskali uwięziony w Zamościu. W późniejszych latach kształciła się Seweryna na jego „Gawędach, Zarysach domowych, Klechdach i Obrazach.“ Gdy zaś przeniósł się Wojciech do Warszawy, Seweryna uprosiła go o lekcje. Był jej znakomitym przewodnikiem i do pisania zachęcał.

„Każda lekcja jego — pisze we „Wspomnieniach“ autorka — była dla mnie ucztą duchową, po każdej czułam w sobie nową siłę, nowej nabierałam odwagi, po każdej powstał w duszy mojej ten niewysłowiony urok, tak cudnie określony przez Pola:

„To co zostaje nam po wieszczem słowie,  
Po łzach, po rosie, po pieśni w dąbrowie.“

Przez piętnaście lat brała lekcji u Wójcickiego. Jemu winną swe wykształcenie literackie a jego żonie zapoznanie się z takimi ówczesnymi znakomitościami, jakimi byli: Józef Korzeniowski, J. I. Kraszewski, Jan Kanty Gregorowicz, August i Paulina Wilkońscy i wielu innych. Tam poznała poetów: Lenartowicza, Wolskiego Włodzimierza, Szymanowskiego Waclawa i t. d.

Wtedy to wzięła się Seweryna do pióra, a zatem zawód literacki rozpoczęła w roku 1848. Była zaślubioną Tomaszowi Prusakowi, obywatelowi ziemskiemu, owdowiawszy zaś później, wyszła za mąż powtórnie 1864 za Franciszka Duchńskiego. Napisała „Prawdy gospodarcze dla kobiet i dziewcząt wiejskich.“ Później gdy odwiedziła wuja swego, poznała się tam z Bohdanem Zaleskim.

Działalność publiczna narodowa Seweryny przypada na pamiętny rok 1863. Wzięła w wypadkach

powstania udział czynny. W Październiku opuścić musiała Warszawę i wyemigrować do Paryża. Zdała poprzednio rachunki z swych czynności i zwróciła pieczęć Rządu Narodowego. Teraz inna otwarła się dla niej droga. Trzeba było pracować dla odbudowania Ojczyzny, chociaż ruch zbrojny upadł bez walnego zwycięstwa, jakkolwiek pełen cudów waleczności. Słusznie też epizody roku 1863—4 nazwano drugą Iliadą, jakiej od greckich czasów nie było na ziemi.

Rozpoczęła Seweryna pracę użyteczną a pomocnikiem był jej Kijowianin Franciszek Duchiniński, z którym weszła w małżeńskie związki po raz drugi, bo poprzednio — jak już nadmieniono — była żoną Prusaka.

Prześliczny wierszyk zamieszcza Duchinińska we „Wspomnieniach“; jest to ułamek z poezyj na dwudziestopięciolecie godów jej z Duchinińskim nakreślonych:

„Polska nas woła, a więc idźmy razem!  
I razem odtąd przeszliśmy oboje.  
Błogosławiona ta ścieżka tułacza!  
Łatwe nam trudy i słodkie nam znoje,  
Snadniej modlitwa odbiega od ziemi,  
Gdy w niebo skrzydły kołacze spólnemi —  
I krzyż nie ciąży tyle, gdy niesiony  
Do jednej mety wspólnemi ramiony,  
I dnie nam życia toczą się jak wianek,  
Okiem i duszą gonim kraj daleki,  
I błogosławim ten jasny poranek,  
Co nas rozbitków połączył na wieki!“ —

---

Obecnie autorka nasza przebywa w Paryżu. Ceniąc jej wysokie zasługi jako obywatelki, poetki, tłumaczki — Czytelnia dla kobiet we Lwowie zamianowała ją swym członkiem honorowym. Wysłano jej bieżącego roku w Maju piękny dyplom honorowy i list z podpisem członków Wydziału Czytelni. Gdy na walnem zgromadzeniu przyjmowano ją za członka, zabrała głos jedna z pań Czytelni, wyliczając jej zasługi i prace.

Władając językami: francuzkim, hiszpańskim, niemieckim, węgierskim — przyswajała naszej literaturze dzieła obce, czem niemałą przysługę społeczeństwu a bardziej jeszcze nauce oddała.

Oto poczet jej prac oryginalnych:

Powieści poetyczne tomów 4; Obrazki dramatyczne wierszem: Olsztyn w dwóch aktach, Panslawiści, Próby dramatyczne, Jałmużna, Twardowski na Krzemionkach, Wyjazd na wakacje, Pożegnanie, Kropla z kroplą będzie morze.

Oprócz tego wiele pism prozą, jak: Rozrywki dla młodzieży, powieści naszych czasów, Życiorysy Kaźmierza Brodzińskiego, Małachowskiej i t. d.

Tłumaczenia: Pieśń o Rolandzie, Cyd, epopeja z hiszpańskiego, Czarna doba, Urfen, Car Krum, z bułgarskiego.


Przekłady z prowansalskich poetów: Janina, Frydryka Mistrala i innych. Janosz Witeż i t. d. Grazałema w 5 aktach, Wercingetorix w 5 aktach, Jean Dacier, Robotnicy, Nieobecny, Jakobici, Skarb, Janek Marynarz, Czyń coś powinien, Klejnoty, Potter, Grewa Kowali, Rozamunda, dramat w 5 aktach z niemieckiego.

Prozą: Obraz literatury średniowiecznych ludów, mianowicie Słowian i Niemców, przekład z francuzkiego, Dzieje Węgier, Badania historyczne o Słowianach i ich sąsiadach Finach i Turkach, Poprzędniczy Dantego, z Ozanama, Eleonora.

---

Szereg tak wielu prac chlubnie stawia żyjącą poetkę między bardzo zdolnymi i bardzo pracowitymi autorami. A ponad wszystko jej zasługi jako Polki-patrjotki. Niech krótki ten szkic będzie uznaniem, należnem zacnej poetce naszej.

Lwów, 1891.



# Wspomnienia z życia JENERAŁOWEJ BENIGNY MAŁACHOWSKIEJ,

opracowane przez

**Sewerynę Duchnińską**

*i zaopatrzone przedmową przez tęże.*

## WSTĘP.



Chwile klęsk i burzliwych przewrotów w narodzie, jeżeli z jednej strony pociągają za sobą ogólny upadek ducha, z drugiej strony za to, w wybranych jednostkach budzą niezwykle żar, wyrabiają żelazną siłę woli, gotowość do ofiary, słowem wielki charakter. Do rzędu takich niepospolitych osób należała między Polkami, zmarła przed laty dwudziestu ra obcej ziemi jenerałowa Benigna Małachowska. Długie jej życie było pasmem szlachetnych czynów, bezustannych poświęceń. Jako małżonka jednego z najwaleczniejszych wodzów w walkach o niepodległość narodową, przez lat trzydzieści z górą, oddana duszą całą mężowi, była osłoda jego trosk, powiernicą tajemnych myśli, opiekuńczym aniołem w cierpieniach; — przez drugie lat trzydzieści stała niby żywa kolumba przy jego grobie, żyjąc wyłącznie myślą zmarłego, miłując kraj, jak on go umiłował, piastując godnie w obec ziomków i obcych słynne imię, jakie jej pozostawił.

Rozpatrzmy bliżej życie tej znakomitej Polki, tak ciche a przecież tak pożyteczne, tak godne poszanowania. Załatwia nam to jej własnoręczny dziennik, objęty w czterech tomikach, drogocenny pomnik,

złożony dziś w Muzeum Rapperswyllskim. Zapisywała w nim Małachowska wszystko, co się przesuwało przed jej okiem, co zajmowało jej serce i umysł od pierwszych dni listopadowego powstania do końca wojny 1831 roku. Dalsze zapiski obejmują czterdzieści lat życia na tułactwie. Wprawdzie w ostatnich czasach, złamana wiekiem i tęsknotą, zaniedbała cokolwiek swój dziennik, ale wtedy właśnie miałam szczęście, poznać osobiście tę czcigodną matronę i z ust jej posłyszeć niejedno żywe słowo, które mi dopomogło do uzupełnienia tych wspomnień. Co do młodych lat Małachowskiej, nie objętych w dzienniku, powzięłam o nich wiadomość, w części z jej opowiadania, w części z listów jej szanownej, już nieżyjącej siostry.

I.

### Młode lata.

Rok urodzenia Benigny, krwią i łzami wypisany w dziejach naszych. To ów nieszczęśliwy rok, w którym po upadku kościuszkowskiego powstania, Polska rozszarpana po raz trzeci i wymazana z rzędu państw, zatraciła byt niepodległy. Benigna przyszła na świat 18. Sierpnia 1795 roku, kiedy Prusacy zajęli Warszawę i rozgospodarowali się po nad Wisłą. W obrębie ich zaboru leżała Wierzbica, dziedziczna wieś ojca jej Wojciecha Woyszyka. Urodzenie dziewczeczki napełniło radością serca rodziców: było to jedenaste ich dziecko, ale pierwsza, gorąco upragniona córka, dotąd bowiem rodzina składała się wyłącznie z samych chłopców.

W trudnem położeniu znaleźli się państwo Woyszykowie. Stał w domu ich na kwaterze pułkownik pruski, który chciał koniecznie trzymać do chrztu nowonarodzoną infantkę. Rodzice bynajmniej nie pragnęli tego zaszczytu; aby go uniknąć, odłożyli chrzest z ceremonją do dalszych czasów, oczekując nibyto na przybycie krewnych, zamieszkałych w dalekiej części kraju. Nim to nastąpiło, pułkownik wymaszerował z wojskiem.

Wojciech Woyszyk odznaczał się wysokiem wykształceniem umysłowem: śmierć ojca osierociła go w dziecięcych jeszcze latach. Matka jego, Dąbrowska z domu, weszła w powtórne związki z Barankiewiczem. Ten ojczym, widząc w pasierbie niepospolite zdolności, nie szczędził kosztów na jego wychowanie: Młodzian ukończył nauki w Akademii krakowskiej i zaszczytne otrzymał patenty, ale chciwy wiedzy, zamierzając przytem poświęcić się stanowi duchownemu, pragnął szukać jeszcze światła za granicą, w tym celu wyjechał do Wiednia, gdzie przebywał lat parę.

Za powrotem do kraju, nie czując się powołanym do wielkich obowiązków kapłana, Woyszyk pojął w małżeństwo pannę Ernest i zamieszkał stale w Wierzbicy. Ojciec młodej pani Woyszykowej rodowitym był Anglikiem. Jakim sposobem dostał się do Polski, tego dokładnie nie wiemy. Sądząc z wyrobienia umysłowego wnosić można, że był nauczycielem w jakimś mieszczańskim domu. Pozyskał on serce panny Bromirskiej, a gdy rodzice jej nie pozwalali na związek, wykradł ją i tajemnie poślubił.

Córka uczonego ojca, pani Woyszykowa odebrała też staranne wychowanie, a co więcej wzorową była żoną i matką. Sama wykarmiła czternaścioro dzieci, z których sześcioro zmarło w niemowlęcych latach: ósmioro zaś wyrosło pod macierzyńskiem jej okiem.

Mała Benigna, wychowana wśród licznych braci, zawdzięczała temu szczegółowi zapewne ów mężski hart, który okazał się tak dobroczynnym. W ciężkich próbach tułaczego jej życia pod wpływem światłych rodziców rozwijał się wcześniej jej umysł: serce dziewczeczki biło silnie miłością ojczyzny, tem silniej, że wieści o chlubnych czynach legjonistów rozbudzały powszechny zapał i budziły nadzieję rychłego wyzwolenia. Dwaj starsi bracia, Tomasz i Łukasz, tylko co ukończyli szkoły u Oo. Benedyktynów w Pułtusk: ojciec, aby uchronić ich od służby w wojsku pruskiem, wyprawił obu do Austrii, zkąd zaciągnęli się później do legjonów.

Dziesięcioletnią dziewczynkę oddali rodzice na pensję pani Lacasse. Pensja ta znana w swoich



czasach w Warszawie; współzawodniczyła ze słynną pensją pani Wilczyńskiej. Benigna, poważna z natury, odziedziczyła po ojcu upodobanie w naukach, należała więc do celujących uczennic. Wcześniej ukończyła szkolne kursy i w chlubne opatrzona świadectwa, wróciła pod dach rodzicielski.

Podczas gdy dziewczeczka przebywała na szkolnej ławie, zmieniły się losy ziemi ojczystej. Prusacy ustąpili z kraju. Pod zwyciężkim orężem Napoleona powstało Księstwo Warszawskie. Naród odetchnął, uwolniony z dwunastoletniego jarzma. W lat kilka potem, nowe tryumfy cesarza nad Austrią rozszerzyły granice Księstwa i nową otuchę zbudziły w polskich sercach.

Pod wpływem uczuć rozbudzonych w narodzie, wcześniej dojrzał umysł młodziuchnej Benigny. Wszystko ją w domu zajmowało i nie tylko że wyręczała matkę, zalewającą się łzami na myśl o nieobecnych synach, od których nie często dobiegały wieści — co więcej brała żywy udział w gospodarskich kłopotach ojca. Wspominamy o tem, gdyż właśnie ta energia młodej panienki wpłynęła na całą jej przyszłość.

Było to w roku 1810: o granicę od Wierzbicy stał pułk Kazimierza Małachowskiego. Dnia jednego konie pułkowe wpadły na łąkę Wierzbicką, ciągnącą się nad Narwią i stały się powodem nie małej szkody. Wiadomość o tem zasępiła czoło panny Benigny. Żal jej było siana przeznaczonego dla krów, wiedziała przy tem, jak to obejdzie ukochanego jej ojca. Tak też energicznie wystąpiła w obec żołnierzy, iż wieść o jej gniewie doszła do pułkownika.

W następną niedzielę państwo Woyszykowie pojechali z dziećmi do parafialnego kościoła w Dzieżnianinie. Był tam na nabożeństwie pułkownik Małachowski. Wiedział on od wiarusów sprawione szkody i jak żywo panienka z Wierzbicy powstawała na ich nieuwagę. Pułkownik nasz, mąż żelaznej woli, cenił w kobiecie energję, z wielkiem też zajęciem przyglądał się pannie Benignie podczas długiego nabożeństwa. Dorodna panienka wpadła mu w oczy; — od razu uczuł ku niej niewysłowny

pociąg. Ona ze swej strony udawała, że go nie spostrzeża, a przecież uważała doskonale zwróconą na siebie uwagę pułkownika.

Po summie Małachowski zbliżył się do państwa Woyszyków, zapytał, czy wolno mu odwiedzić ich w domu i przeprosił za urządzoną szkodę. Słyszała to panna Benigna; lica jej rozplonęły — serce uderzyło.

Zaproszony uprzejmie pułkownik przybywa niezwłocznie; i odtąd coraz częściej powtarza odwiedziny, aż na koniec staje się codziennym gościem. Panna Benigna od razu przebaczyła spaszone siano a co więcej błogosławiła w duchu okoliczności, która zbliżyła do domu rodziców walecznego bojownika. Różnica wieku wcale jej nie odstrasza; przeciwnie, człowiek dojrzały, starszy od niej blisko o lat trzydzieści, który mógł być jej ojcem, budzi w niej głębokie poszanowanie, związane z najtkliwszem uczuciem. Szrama na czole, z rany odebranej pod Trebią, czyni go w jej oczach piękniejszym od najdorodniejszych młodzieńców, jakich spotkała dotąd. Z żywym zajęciem przysłuchuje się Benigna, gdy pułkownik opowiada trzydziestoletnie przygody żołnierskiego zawodu, gdy opisuje ów słynny dzień bitwy Raclawickiej przy Kościuszcze — on to wówczas na rozkaz wodza działa zdobyte przez kosynjerów wprowadził śpiesznie do obozu. Żywo zajmują panią owe bajeczne zapasy, to w Kalabryjskich wężozach, to daleko za morzami na wyspie San Domingo, więcej jeszcze tryumfalny pochód do kraju, przy huku dział, w takt pieśni: „Jeszcze Polska nie zginęła!“, a na ostatek świeże bitwy pod Raszynom i pod murami Sandomierza!

Słowa legionisty wnikają w głąb duszy piętnastoletniej dziewczeczki, porywają silnie jej wyobraźnię; nowy odkrywają przed nią widnokrąg, pełen bohaterskich ofiar, któremi szlachetni synowie wrócili cześć i byt rozszarpanej Ojczyźnie. — Serce jej gwałtownie uderza, łzy wytryskają z pod jej powiek! Odgadł Małachowski skarby, ukryte w tej pięknej duszy; oświadczył się rodzicom o córkę, a gdy ci

odwołali się do niej, ona podała mu rękę bez wahania i wymownem spojrzeniem wieczną poprzysięgła mu wiarę.

Ślub nastąpił w dniu 10. Października 1810-go roku, w szczupłym gronie rodzinnem, w obec kilku legionistów, towarzyszków broni pułkownika. Był między nimi komendant inwalidów Bogusławski.

W parę dni po ślubie, małżonkowie wyjechali do Kalisza, gdzie odtąd konsystował pułk Małachowskiego. Rok upłynął im najszczęśliwiej, aż tu nagle zachmurzył się widnokrąg. Głuche wieści nadbiegały o wojnie: wkrótce pogłoski zamieniły się w rzeczywistość. Bohater wieku, chcąc wielkim tryumfem utrwalić olbrzymie dzieło i zatknąć słupy na ostatnich krańcach Europy, postanowił uderzyć na Moskwę, wydrzeć jej z paszczy łupy zdobyte w pasmie dwóch wieków i zamknąć ją w właściwych jej granicach. W tym celu powołał wszystkie ludy: siłą genjuszu pociągnął je do współdziałania.

W Polsce organizowano siłę zbrojną. Małachowski widząc ubóstwo skarbu, umundurował pułk swój z urządzonych funduszów: młoda żona drży z trwogi na myśl o rozłączeniu, o nowych niebezpieczeństwach, ale trwoga jej milknie w obec rozbudzonych nadziei. Myślą ogarnia Polskę całą niepodległą, szeroką od morza do morza, jaką była za Jagiellonów!

Nadszedł rok 1812. Małachowski wyruszył z korpusem generała Dąbrowskiego, a ona pozostała w Warszawie. Zrazu dochodzą ją pomyślne wieści: po chlubnej bitwie pod Smoleńskiem, mąż posunięty na stopień generała brygady, wkrótce potem oblega Bobrujsk. — W tych czasach gorączkowych niepokoju doznała młoda generałowa prawdziwej uciechy z powrotu starszych braci, których oddawna oplakiwano w rodzinie. Młodsza o lat kilka jej siostra w zajmujący sposób opisała tę chwilę. Powtórzmy tu jej słowa:

„Byłam w tym roku na pensyi, mówi pani Marczevska. W niedzielę zwykle przyprowadzano mnie do siostry, zwłaszcza kiedy matka nasza ze wsi przyjeżdżała, co w tych czasach powtarzało się często. Ja nie znałam prawie tych braci, zaginionych

w Hiszpanii, na których wspomnienie matka rzewnymi zalewała się łzami. Tyle tylko wiedzieliśmy o nich, że służyli w pułku Kozietulskiego, że brali udział przy wzięciu Sarragossy. Później żadnej nie było o nich wieści: generał Krosiński przyrzekł matce, że się o nich dopyta. — Szukał ich w piechocie i nie znalazł. Owóż w tę pamiętną niedzielę, kiedy przyszedłem do ukochanej siostry i matki, widzę w pierwszym pokoju dwóch dorodnych ułanów: jeden z nich wpatruje się we mnie z natężoną uwagą. Sama nie wiem, jak to się stało, ale poznałam go, wiedziona przecuciem i wykrzyknęłam: „Tomasz!“ W istocie byli to bracia moi!“

Niestety! krótko trwała radość w rodzinie. Zatrważające wieści nadbiegają od armii, twarda zima przejmuje strachem. Niebawem zaczynają nadciągać niedobitki. — Z uczuciem słusznej dumy słyszy generałowa, jak mąż jej po bohatersku bronił szanów przy Berezynie, jak z garstką dzielnych przeszedł ostatni przez most i główną siłę armii od niechybnej uratował zguby.

Wkrótce potem Małachowski doprowadza do Warszawy szczytki wojska polskiego: składa w ręce księcia Józefa sztandary, pod którymi dzielnie walczone. Smutne było powitanie małżonków. Nadzieje spełzły na niczem, wojna zawieszona tylko, wnet nowe nastąpi rozłączenie.

Generał zajął się organizacją artylerji. Skutkiem trudów i przeziębienia, dotknięty ciężką chorobą, błaga lekarzy, aby bez względu na następstwa użyli najenergiczniejszych środków, nie może bowiem porzucić dowództwa nad szczytkami armii. Chory jeszcze zwłóczy się z łoża, z rozdartem sercem opuszcza chorą żonę: uprowadza z Warszawy działa, nie traci chwili czasu, Moskwa bowiem straszną ciągnie nawalą. Pozostał mu odtąd kaszel — i nieopuszczał go do śmierci.

Biedna żona drży bezustannie o męża, dręczące przecucia spędzają sen z jej powiek. Przecucia się sprawdziły. Po dwóch dniach zaciętej walki pod Lipskiem, Małachowski z resztą komendy zasłania odwrót wojsk; przybiega nad Elsterę. Zastaje most

zerwany. Nagle wpadają Moskale, chwytają go, wytrącają mu z rąk oręż, oddartego ze szlif i pieniędzy pędzą do obozu z tłumem jeńców.

Chory, stargany boleścią, powracał generał do Warszawy. Wzajemna miłość małżonków jedyną była im osłoda wśród chorób i utraconych nadziei. Z ogłoszeniem królestwa kongresowego nastąpiła reorganizacja wojska. Wielki książę Konstanty mieści Małachowskiego w czynnej służbie, rozkazuje mu objąć dowództwo Modlina. Generał odmawia zrazu, ulega wreszcie radom generała Dąbrowskiego, ożywiony myślą, że może w danej chwili posłużyć sprawie narodowej, mając tak ważną komendę. Po dwóch latach jednak, gdy przyszłość żadnych nie przedstawiała widoków, uwolnił się od służby.

Ciężkie próby dotykały raz po raz generałową. Z pięciu braci dwóch tylko pozostało. Tomasz i Łukasz, owi dzielni szermierze z pod Sarragossy i Somosierra poumierali z ran wkrótce po powrocie do kraju. Trzeci, który przyjął stan duchowny i był w Stoczku plebanem w czasie nieszczęśliwego odwrotu wojsk polskich, w roku 1812, napadnięty przez moskiewskie żołdactwo, zbity kijami, dokonał życia wkrótce. W kilka lat potem 1815 roku umarła biedna matka, niepokieszona po stracie synów.

Opuściwszy służbę, generał Małachowski postanowił zająć się gospodarstwem. Wziął w dzierżawę ekonomję Prawdę, ale żołnierz nie obznajomiony z rolą, ponosił ciężkie straty. W roku 1820 ojciec żony oddał mu w zarząd dziedziczną wieś Wierzbicę i tam zamieszkał przy ukochanej córce.

Od tej chwili zaczęło się dla generałowej pasmo dni pogodniejszych. Rodzinna wieś, położona w pięknej okolicy nad Narwią, miała dla niej niewystawiony urok. Otaczając troskliwym staraniem starego ojca i męża, złamanego tyłu przebytymi trudami, krzątała się bez chwili wypoczynku. Ciotka Truszkowska przebywała stale w jej domu; młodsza o lat kilka siostra, wydana za inżyniera Marczewskiego, mieszkała w Modlinie, o cztery mil odległym.

Dom Wierzbicki ożywił się pomalą pod okiem skrzętej gospodyni: był to dom prawdziwie staro-

polski, zamożny bez wykwintności. Oboje Małachowscy nadzwyczaj gościnni, otwierali progi tak krewnym, jak i sąsiadom. „Gość w dom, Bóg w dom,“ powtarzali zwykle, przyjmując miłe odwiedziny. Sąsiedzi też i dawni koledzy wojskowi, garnęli się chętnie do ich ciepłego ogniska, a miła gospodyni, wrodzoną wesołością umiała zawsze ożywić towarzystwo.

Razu jednego w zapusty, oficerowie z ósmego pułku piechoty, stojący kwaterą w okolicach Modlina, umyśliłi urządzić kulig i najechać znienacka dom Małachowskich. Ponieważ kulig miał być bardzo liczny, wypadło koniecznie, aby tajemnica doszła do ucha jenerałowej; nocny nawal gości mógłby ją bowiem nabawić kłopotu. Przeworniejsi biorą się więc na sposoby. Szwagier jenerałowej Czermiński, mąż najmłodszej siostry, znany był z tego, że tajemnicy dochować nie umiał. Jemu więc z wielkiem zastrzeżeniem powierzają obmyślany projekt. Nie tracąc chwili czasu, Czermiński pośpiesza do Wierzbicy, co usłyszał opowiada jenerałowej, błagając aby go nie wydała. Małachowska słucha naprzód obojętnie, nibyto niedowierza, wszystko jednak przysposabia w domu na przyjęcie oczekiwanych gości. Gdy Czermiński odjechał, odbywa narady z ciotką i mężem, postanawiają oddać figiel za figiel.

Ciotka miała po matce staroświeckie robrony, trzewiki na wysokich korkach i wszelkie przyrządy do fryzury. Wydobyto wszystko z ukrycia i trzymano w pogotowiu. Nagle goście zaczynają się zjeżdżać, uprzedzając kulig i udając jakoby o niczem uie wiedzieli. Pani domu przyjmuje wszystkich najspokojniej; jenerał tymczasem widocznie zafrasowany wywołuje co chwila żonę, nalega, że czas się przebrać, przypomina o muszkach na twarzy. Wreszcie gospodyni wysuwa się z tłumu, stroi na prędcę, a gdy kulig zajechał, poprzedzony muzyką, występuje przed nim w szerokim robronie, z upudrowaną głową i niezbędną muszką na policzku.

Organista prowadzący kulig, chce rozpocząć oracją, ale uderzony niespodziewanym widokiem damy dworskiej z czasów Stanisława Augusta, zapo-

mina perory, słowa mu się nie kleją; liczne pary zarówno pomięszane, nie pamiętają ról swoich. Zameł powszechny rozbudził ochotę do piasów.

Nie zawsze przecież tak było wesoło w Wierzbicy. Stary ojciec zachorował; troskliwe starania córki nie mogły zatrzymać ulatującego życia. Wkrótce po ojcu umarła najmłodsza siostra Czermińska. Na łożu śmierci oddała starszej siostrze pod opiekę dwoje maleńkich dzieci: młodszy chłopczyk zmarł w niemowlęctwie, starszy Władysław stał się odtąd celem najtroskliwszej opieki jenerałowej. Pozbawiona własnych dzieci, ukochała go macierzyńską miłością, wychowywała starannie, uczyła sama, a widząc w chłopcu niezwykle zdolności, najpiękniejsze zakładała na nim nadzieje.

## II.

### Powstanie listopadowe.

Przeminęło spokojnie lat kilka. W Wierzbicy wszystko zwykłym postępowało trybem. Nadszedł pamiętny w dziejach naszych rok 1830. Listopad zbliżał się do końca. W dniu 27-go z rana jenerał wyjechał do Warszawy. Żona korzystając z tej nieobecności, zabrała się do uporządkowania domu. W pokoju męża na stole pozostał rozpoczęty rysunek. Przedstawiał Ojczyznę, zwołującą dzieci do obrony. Jenerałowa z uczuciem spoglądała na tę pracę; składała ją troskliwie do teki.

— I czemuż ją schowałam? wszak on powróci jutro! — zapytuje sama siebie.

Powóz zaturkotał przed domem: przyjechały sąsiadki. Zaledwie że się rozgościły, wbiega zadyszana pokojówka.

— Pani! co się dzieje! — woła — Leon z końmi powrócił. Pan zaraz tu przybędzie! W Warszawie rewolucja!

— Rewolucja! — wykrzyknie jenerałowa, porzuca gości, wybiega z pokoju, widzi w sieni stan-greta.

— Prawdaż to, Leonie? mów, coś słyszał.

- Adyc prawda pani — odpowie stary sługa.
- A pan gdzie?
- Został w Serocku w koszarach.
- Pocziwy Leonie, dziękuję ci za taką wiadomość.

Ścisła starego sługę, wpada do pokoju, pochwyca w objęcia sąsiadki. Gdyby nie goście, pobiegłaby sama do koszar.

Mąż wraca. Pytania i odpowiedzi sypią się jak grad. Szczegóły bliższe niewiadome. Jenerał opuścił Warszawę przed wybuchem powstania, wieść o nim doszła go w Serocku.

Sąsiadki odjechały. Jak tu wysiadać w domu! Jenerałstwo wieczorem spieszą do Serocka, stoją w koszarach u znajomych, zastają tam pułkownika S., który tylko co przybył z Warszawy.

— Jakżeś Pan szczęśliwy — zawołała Jenerałowa, byłeś świadkiem tak wielkich czynów!

— Wyznam pani, odrzeczę zimno pułkownik, że umiem tylko słuchać i rozkazywać, ale nienawidzę motłochu. Przykry to widok ten lud pijany, te straszne, powykrzywiane twarze! nie, jam niestworzony do tego!

Jenerałowa osłupiała, usta jej zamarły — mąż milczy głęboko. Smutni powrócili do domu, noc zbiegła im wśród myśli o Warszawie. O! gdybyż prędko dzień zaświtał!

Ranek ożywił wszystko — w domu ruch, zgiełk, wrzawa. Jenerał wyjeżdża do Warszawy, na jak długo? któż to odgadnie? On nic nie mówi; ona nie śmie go pytać.

— I czemuż on nie młodszy, chociażby o lat dziesięć — myśli żona z sercem ściśniętym. Czemuż Bóg nie dał nam syna, żeby mu towarzyszył.

Dzielna kobieta dźwiga się jednak całą mocą duszy. Własną ręką przypasuje mężowi szpadę, białą kokardę przypina mu do czapki.

Odjechał, żona zostaje sama z małym Władziem. Wieść położona przy gościńcu, nadbiegają raz po raz nowe wieści. Jakże sprzeczne! Ale nie czas na próżną trwogę! trzeba działać, trzeba zastąpić nieobe-



cnego pana... pod okiem jej kowale kują kosy, krawcy szyją mundury dla rekrutów.

Czwartego Grudnia generał powraca z Warszawy, postać jego spokojna, uroczysta.

— Słuchaj, kochana żono — rzecze, gdy zostali sami — ja dom i ciebie porzucić muszę: tak nakazuje powinność dla Ojczyzny! Nie jestem młody, nie na wiele się przydam, ale resztę dni poświęcę najchętniej. Powstanie to uważam za narodowe; nie mogło lepiej zastać nas jak w tej chwili. Mamy skarb, żywność i zapał narodu. Na tem wszystkiem oprócz ostatniego zbywało nam za czasów Kościuszki. To powstanie udało; mam w to wiarę zupełną. Prosiłem Dyktatora, by mnie umieścił w wojsku; przyrzekł, zalecił pośpiech. Pojutrze muszę być z powrotem. Ty żono urządz dom sama, ja już o tem myśleć nie mam czasu.

W godzinę potem generałowa wyjechała w sąsiedztwo. Znalazła osobę godną zaufania, której powierzyła gospodarstwo całe: sama bowiem ma zamiar przenieść się do Warszawy. Wieczorem nowy niespokój.

— Jutro — rzecze mąż, spróbuję konia. Od kilkunastu lat zaniedbałem jazdy konnej, a odtąd nie mało wody upłynęło.

Późno w noc nie zamrużyła powiek.

— Jeżeli mu siły nie staną, jakaż to boleść dla niego i dla mnie — myśli żona z uczuciem trwogi.

Nazajutrz zrana okulbaczony koń rży przed domem: dosiada go generał, oddała się wcewał. Żona biegnie do sypialni, upada na kolana.

— Boże! ukrzepiaj jego siły! — woła w najwyższem uniesieniu.

Serce jej drży, nogi chwieją się pod nią, to staje w oknie, to znów wybiega na dziedziniec. Upłynęła godzina. Mąż wraca zdrow i rzeźki, niestrudzony jak niegdyś za kościuszkowskich czasów.

— Dzięki Ci Boże! — woła żona z najwyższą radością.

Przed wieczorem, gdy wszystko przygotowanem było do wyjazdu, lud wiejski stanął w dziedzińcu

przed dworem. Jenerał zwołał gromadę całą, chciał ją pożegnać i uzbroić; przyniesiono kosy.

— Ja was porzucam dzieci moje — rzekł do nich, idę walczyć za byt i niepodległość Ojczyzny. Widzicie, żem nie młody, rad jednak poświęcę resztę dni moich; to święta powinność dla każdego, kto się urodził na tej ujarzmionej oddawna ziemi. Oto kosy! przyjmijcie je z rąk moich; kiedy synowie wasi walczyć będą na polu chwały, wy brońcie się w domu od najezdника.

— Niech Bóg wiedzie szczęśliwie Pana! — zawołali kmiecie, a Pani czy pozostanie z nami?

— Powrócę jeszcze do was — rzekła jenerałowa — na jak długo, nie wiem... Wszystko dziś w mocy Bożej!

Nazajutrz oboje małżonkowie wyjechali do stolicy. Jakiż tu zapal, jaki gwar! jak rozbudzone życie!

Jenerałowa nacieszyć się nie może, błogo jej odetchnąć wolną piersią. Wieczorem w towarzystwie znajomych pośpiesza do teatru. Co grano w tym dniu, nie zapisała nawet, więcej nierównie obchodzi ją publiczność zebrana w sali. Powtarzamy jej słowa, skreślone pod gorącym wrażeniem:

„Jak swobodna ta młodzież, jaki tu szczepek pałaszy, serce się raduje na ten widok... a te śpiewki, a te deklamacje, czyż wypowiem, co się zemną działo? Jadąc na teatr, włożyłam kolory narodowe, sądziłam, że to rzecz prosta. Gdym weszła, wszystko powstało. „Niech żyje Polka!“ wołały setki głośno.

Udałam, że nie biorę do siebie tych wykrzyków, wsunęłam się w głąb łoży.

— Niech żyje Polka! krzyknęli wszyscy po raz drugi, obracając oczy w moją stronę.

Powstałam, wdzięczność okazałam pokłonem.

Gwar niesłychany w sali, nikt nie patrzy na scenę. „Ma z u r a D ą b r o w s k i e g o ! P o l o n e z a K o ś c i u s z k i !“ woła młodzież na całe gardło. Niedokończono sztuki.

„Jeszcze Polska nie zginęła!“ wołają wszyscy chórem.

— Hej! do mazura! — krzyknie kilku. Roman Sołtyk występuje w pierwszą parę.

Jabym może i rada wmięszać się w to koło a przynajmniej przypatrzeć się tej ochocie, ale towarzyski moje przełękły się hałasu; trzeba było opuścić z nimi teatr.“

Nazajutrz nowe trudy, ale jakie przyjemne! Zamieć grudniowa... śnieg dmie, że Bożego świata nie widać. Gorąca Polka nie zważa na to, brnie po kolana w błocie, biega po sklepach, zwołuje szewców, krawców, rymarzy, munduruje męża, wiernego sługę Stanisława, przysposabia co potrzeba do drogi. We dwa dni wszystko gotowe. Jenerał przywdział mundur, koń rży w stajni, masztalerz oczekuje na rozkaz.

„Wszystko gotowe!“ czemuż to czekać każą? Stary legionista radby w jednej chwili pośpieszyć do obozu. Przedstawia się codzień wyższej władzy — codzień jedno i jedno!

„Jeszcze nie czas!“ taka zawsze odpowiedź.

Czoło jenerała wzbiera chmurą, surowy służbista nie sarka, milczy, ale niepokój jego widoczny, zwłaszcza dla tej, która umie odgadnąć każdą myśl jego, każdą troskę!

Nadchodzi wreszcie rozkaz. Jenerał z brygadą wyrusza do Stanisławowa. W chwili rozłączenia sprzeczne uczucia wstrząsają sercem żony. Dumna i szczęśliwa jako Polka, drży przecieź potajemnie. Niktby tego nie odgadł, oko jej suche, na ustach zwykły uśmiech. Straszna była walka woli z uczuciem. Zrazu wola wyszła zwycięzko. Gdy jednak mąż odjechał, gdy biedna ujrzała się samą w pustych kątach, uczucie stłumione usilnie wybuchnęło z całą gwałtownością. Zalała się łzami.

Łzy te, które mężna Polka rada była ukryć nawet sama przed sobą, znalazły przecieź świadka. Jenerał Wojczyński wszedł cicho do pokoju.

— Cóż ja tu widzę? — zawołał — pani płaczesz?

— Jenerale! to łzy radości! mąż mój w obozie, ja pod opieką twoją!

— Licz pani na mnie — odrzekł z uczuciem stary wiarus.

Małachowska powraca na wieś; zabiera ciotkę, Władzia z nauczycielem, dwie sługi i stale osiada w Warszawie. Tu łatwiejsze wieści od męża, tu może być prawdziwie pożyteczną.

W kilka dni potem nauczyciel wciąga się do wojska, przychodzi w mundurze pułku Dzieci Warszawa y. Chłopczyk poruszony tym widokiem, biegnie do ciotki, upada na kolana: „Ciociu! zawoła, spraw mnie taki mundur i taką szablę.“

— Za mały jesteś, mój Władziu! Gdybyś miał lat szesnaście, pewnoby cię przy sobie nie trzymała!

— To mi kup ciociu lat siedm, tyle mi tylko brakuje do szesnastu!

I całował jej nogi i oblewał je łzami.

Ciotka uściśnęła go. Z trudnością przekonała chłopca, że jeśli łatwo sprawić szabelkę i mundurek, ależ lat niepodobna kupić lub skradać za pieniądze!

Otóż znowu troska. W tydzień po odjeździe męża, przyjaciel domu wpada do jenerałowej: trzyma w ręku rozkaz dzienny, tylko co wyszły z pod prasy.

— Patrz pani! — zawoła z oburzeniem, jenerał przeniesiony na komendanta Modlina!

— To być nie może! — odpowie żona. Biedny mąż, jakież to oios dla niego!

— Przeczytaj pani, wiedziałem, że to ją zmarłtwi, równie jak jenerała. Może czas jeszcze zaradzić złemu.

— A komuż to przystało, jeśli nie mnie, jego żonie? — zawoła mężna kobieta, i w okamgnieniu wybiega z domu, przez tłum akademickiej młodzi przedziera się do proggu Dyktatora.

Chłopicki z cygarem w ustach, przechadzał się po wielkiej sali. Jakby z letargu obudzony, rozwarł szeroko oczy.

— Czego pani żądasz — zapytał.

— Przyniesiono mi rozkaz dzienny, widzę, że jenerał przeznaczasz męża mego na komendanta Modlina. Ja go znam, wiem, jak pragnie służyć sprawie

ojczystej. Otóż przychodzę oznajmić, że generał wielką wyrządza mu krzywdę.

— Ależ ja potrzebuję tam osoby, której mógłbym zaufać.

— Nie braknie takich. Zostaw jenerale starego żołnierza na linii bojowej, tak jak sam tego pragnął. On cię nie zawiedzie, spełni rozkazy twoje — wszak go znasz.

— Znam i cenię jego patriotyzm — przerwie Chłopiccki żywo, ale potrzeba, aby objął komendę, urządził wszystko, potem wezwę go do obozu. Bądź pani spokojną, napisz mężowi, że na krótko tam jedzie, ale przed nikim ani słowa!

Jenerałowa powróciła do siebie. Ochłonawszy nieco, przeraziła się nazbyt śmiałego kroku.

— Co mąż pomyśli o mnie? — pytała sama siebie, może weźmie mi za złe, może obwini o obojętność? Ależ on zna serce moje, przebaczy, pewna jestem.

Jenerał rad był z postępuku żony, późno w noc przybył na chwilę w przejeździe do Modlina. Uściśnął ją z uczuciem.

— Widziałem — rzecze, Chłopicckiego, mówił mi, żeś po spartańsku dopominała się, aby mąż twój został w obozie. Jedna myśl nasza, droga żono. Zmartwiłem się, ale żołnierz nie rezonuje: trzeba uczynić, co każą starsi.

I odjechał bez chwili wypoczynku.

Zapał gorącej patriotki oddziaływał na drugich, opieszalym dodawał bodźca. Dnia jednego wchodzi do niej zamożny obywatel z za Wisły, smutny, pomięszany, w ubiorze zaniedbanym.

— Cóż tak smutno prezesie? — zagadnie jenerałowa, witając gościa. Alboż to nie wypada nam się weselić?

— Gdzież generał? — zapyta przybyły.

— Mąż mój w służbie; dopytuje mnie w liście, co pan prezes porabia.

— Przyjechałem, czekam aż mnie wezwą.

— A kogoż to z Polaków zapraszać trzeba do takiej sprawy? Widzisz oto prezesie: mąż mój

w wieku, słabego zdrowia, a przecież nie wahał się poświęcić resztę dni swoich!

— Mąż pani ojcem nie jest, nie ma na głowie tyle jak ja obowiązków.

— To prawda, nie jest ojcem — rzecze generałowa. Wielka to boleść dla niego, że nic więcej, prócz własnego ramienia, poświęcić nie może Ojczyźnie. Ależ pan znajdziesz tylu ojców rodzin, którym to nie przeszkadza być czynnymi.

— Moje położenie smutne, pani łatwo to zgadniesz; naucz mnie, co mam zrobić?

— Skoro pan zasięgasz przyjacielskiej mojej rady, odpowiem mu z całym zaufaniem. Otóż dziwi mnie wahanie pańskie. Jesteś bogaty, w sile wieku, mieszkasz nad granicą; pierwszy napad nieprzyjaciela zniweczy twoje mienie. Czyż nie lepiej złożyć coś na ołtarz Ojczyzny. Odwieź pan do stolicy żonę z dziećmi, sam zaciągnij się do wojska — lubo cię do niego nie wzywają.

Poruszony obywatel przyrzekł, że tak uczyni i oddalił się z lepszą myślą.

W tydzień potem napisał do generałowej, donosił, że według jej rady wyprawił żonę z domu, a sam stanął na czele partyzantów.

Kiedy indziej znowu odwiedza ją dawny kolega męża z czasów napoleońskich, posesjonat, rycerz salonowy, skorszy do słowa niż do czynu.

— Witaj pułkowniku, a cóż tu jeszcze porabiasz?

— Dotąd nic — odpowie zmieszany.

— To nie pięknie — spiesz się; bom gotowa, postać ci kądziel a w razie oporu i coś więcej!

Po długich sprzeczkach i żartach, pułkownik przyrzeka wsiąść na koń.

Za kilka dni przychodzi znowu, na teraz w mundurze, ze szpadą. Wyjeżdża do obozu, prosi o przyjęcie w depozyt pieniędzy i papierów.

Nadchodzi nowy rok, ten rok pod tak błogą rozpoczynający się wróżbą! Jakże go nie rozpocząć razem z mężem? Dobra żona umyśla sprawić mu niespodziankę. Zdarza się sposobność, dwie znajome

panie powracają właśnie do Modlina, a więc pojedą razem.

Ostatniego Grudnia puszczają się w drogę, rozmawiają wesoło, nagle powóz przechyla się na bok... oś pękła... co tu czynić? Ziemia w koło zasłana śniegiem, ani wsi, ani chaty nie dopatrzeć na drodze. Potrzeba iść piechoto — stangret zostać musi przy koniach i radzić sam w kłopotcie.

Podróźne idą śmiało — uszły dalej niż milę: śnieg skrzypi pod nogami, wichur tnie w same oczy. Otóż i mrok zapada. Przed niemi las, nie tracą jednak ducha, idą przeciw do mężów! Chwila spotkania wszystko im wynagrodzi. Wtem zaskrzypiało coś poza niemi; patrzą... chłopiec powraca z targu. Za wozem uprzężonym w parę wołów toczy się drugi nowy, przyczepiony dyszlem do pierwszego.

— A kędyż to Pan Bóg prowadzi? — zagadnie kmieć, widocznie podchmielony.

— Idziemy do Modlina.

— Niechże jejmościulki siadają, miejsca nie brak, woliska jakie takie, dowłoką się pomału.

Dalejże siadać na wóz. Właścicielka powozu zżyma się na niedbalstwo stangreta, druga towarzysza drży od zimna, narzeka, że twardo na wozie, że koła skrzypią. Jenerałowa przyjmuje rzecz wesoło, tuie gawędę z wieśniakiem. O dziesiątej wjeżdżają nareszcie do fortecy. Jenerał rad z niespodzianki, dziękuje śmiałej żonie; chłopiec sownie wynagrodzony, błogosławi dobre państwa.

Nowy rok rozpoczął się wesoło, gwar, wrzawa, szczęk pałaszów. Oficerowie zchodzą się tłumnie, winszą komendantowi, przed południem nowy zamęt. Dyktator przybywa ze sztabem, zwiedza fortecę. Obiad zastawiono u komendanta. Jenerałowa co tchu spieszy do kuchni, nuż urządzać ucztę obozową. Pod czujnem jej okiem wszystko idzie dobrze i spieszno.

Zasiadają do stołu: wojsko otacza dom, lud ciągnie całym tłumem. Muzyka wygrywa mazura Chłopickiego, tysiące głosów śpiewa, krzyczy: „Niech żyje Dyktator!“ szyby drżą, zda się, że dom runie od wrzasku.

Gospodyni siedzi na pierwszym miejscu obok Naczelnego Wódza. Patrzy mu pilnie w oczy, radaby odgadnąć myśl na tem ponurem czole. On zimny, milczący jak skała. Ten chłód niecierpliwi ją w końcu.

— Jenerale — zagadnie, czy słyszysz, jak cię lud wita, jak się cieszy z obecności pańskiej?

— Nie ma się z czego cieszyć — rzecze zimno Dyktator.

Umilkła, co było mówić dłużej?

— A pani długo tu myśli bawić? — zagadnie wódz po chwili.

— Jutro powracam do Warszawy.

— Słusznie, bo i mąż wraca do obozu — dodał Chłopicki ze znaczącym uśmiechem. Pani zapewne nie połajesz mnie za to.

— Bynajmniej, dzięki ci jenerale, żeś mi dotrzymał słowa!

Po obiedzie zwołano oficerów. Dyktator przemawiał długo — Małachowska nie zapisała tych słów w dzienniczku swoim, czemu? bo ich nie zrozumiała, dodaje tylko: „Gdy odjechał, pytano męża, co Dyktator chciał powiedzieć, ale i on nie był dość mądrym, aby zrozumieć jego słowa.“

Jenerał pośpiesza z brygadą do obozu, żona powraca do Warszawy. Duszno jej, ciężko jakoś, radaby coś czynić... Zamknięte przed nią pole. Przebyła noc bezsenną. Smutne myśli tłoczą się do jej głowy. „Biedne my kobiety! myśli w duchu, nam nie dano, służyć Ojczyźnie.“ Brzask dzienny wcisnął się przez okno: wzrok jej pada na srebrne naczynie, rozstawione na gotowalni. Nie jednoż to, zapyta siebie, umyć się na farfuruwej czy na srebrnej miednicy?“ Myśl jej rozjaśnia się nagle i otucha wstępuje do serca. Zrywa się czempredziej, otwiera szafy i komody, wydobywa co może, dokłada coraz więcej i więcej. Inni dają krew, ona miałaby żałować tych bezużytecznych świecideł? Wpada jej w rękę — pudełeczko z brylantami, dar ślubny ukochanego męża, droga pamiątka, lecz Ojczyzna droższa nad wszystko, mąż nadstawia pierś dla niej. Zabiera kosztowności, wiąże tłumoczek. W domu nikt



się jeszcze nie obudził. Wybiega, staje przed bankiem narodowym, w biurach pusto. Siada na ławie... czeka... Urzędnicy wchodzą wreszcie do banku, pośpiesza za nimi, przystępuje do jednego ze starszych.

— Przynoszę ofiarę — rzecze, proszę ją złożyć na ołtarzu Ojczyzny.

— Bank polski — odpowie zimno urzędnik, nie daje żadnych zobowiązań, lepiej pani uczynisz, jeśli zechcesz zatrzymać się z tym darem.

— Ależ panie, ja żadnych niewymagam zobowiązań, przychodzę po prostu jako Polka, niosę dątek na wsparcie mej Ojczyzny, na to nigdy zawczasie być nie może!

— Udać się pani tam do bióra na lewo.

Zrażona takim chłodem, idzie nieśmiała ku miejscu wskazanemu: tu inne czeka ją przyjęcie. Dyrektor wydziału odbiera dar jej z głębokiem poszanowaniem; łza potoczyła się po jego licu, otarł ją nieznacznie; rozkazał natychmiast otaksować srebro i klejnoty.

Generałowa wraca do domu, z rozpromienionem czołem. Już południe... wyszła bez posiłku, przez nikogo nie dostrzeżona. W domu niepokój.

— Masz jakąś wielką pociechę — spyta troskliwie siostra, patrząc jej w oczy.

— O tak! wielką — odrzeczę, lecz dziś nie pytajcie mnie o to.

Nazajutrz zrana przyniesiono dziennik, był w nim artykuł o wczorajszym czynie. Uciecha powszechna, uściski, łzy radości...

Ileż to serc pobudził taki przykład do czynu i ofiary. Polki znosiły tysiące darów, uboższe oddawały ślubne obrączki. Małachowska pokazała im pierwszą drogę.

Czynność jej niesłychana. To pośpiesza do Serocka, bawi trzy dni przy ukochanym mężu, patrzy z daleka na kominy swej wioski, na dworek, w którym się urodziła, dziś samotny i opuszczony. Nie zajrzy tam nawet, choć tak blisko: woli być z mężem, wkrótce na długo się rozłączą! To powraca znów do Warszawy, ukrzepia, ożywia zwątpiałych, dodaje im otuchy. Żadna publiczna uroczystość nie

obejdzie się bez niej. W kościele Kapucynów, po mszy św. w kaplicy Sobieskiego, przypina szlify młodemu oficerowi w obec liczного zgromadzenia. Dnie całe spędza na obradach sejmowych, przykłada gorętszym mowcom, w chłodnych radaby tchnąć zapal, jaki porywa jej duszę. Próżno trwożą się domownicy, próżno stara ciotka łąje, że nie jadła śniadania ani obiadu. Przyrzeka poprawę: jutro będzie inaczej, ale jutro znowu toż samo.

Ledwie że wróci z izby, siada u stolika, spisuje na gwałt każde usłyszane słowo, każdy ruch, dodaje własne wnioski i domysły. Długie relacje wyprawia codzien do Serocka. Mąż czyta je z upodobaniem.

„Nie potrzebuję gazet, pisze do niej; listy twoje lepiej mnie o wszystkim objaśniają.“

W dniu 25. Stycznia, później niż zwykle powróciła do domu.

— Nie łąjcie mnie dziś — woła, otwierając drzwi — dobre przynoszę wieści: „Nie masz Mikołaja!“ tak tam dziś wyrzeczono!

Radość powszechna, radość nie do opisu! Pierwsza to walka z Moskwą, pierwszy tryumf: walka duchowa, tryumf duchowy! Najwsteczniejsi muszą uwiązać się solidarnie z narodem! Tak rokowali dobrzy patrjoci, a przecież tak nie było. Przewódcy nie czuli dość silnie tego tryumfu duchowego, bo i walki duchowej nie odbyli. Uczynili ustępstwa pod naciskiem opinii publicznej... ustępstwa tylko!

Ale dlaczegoż opinia publiczna nie dała dość siły wątpiącym? wszak i ci wątpiący byli też Polakami i trudno i ich pomawiać o zdradę. Błądzili tylko, obalamuceni fałszywemi formułkami, w których byli wychowani skutkiem nieszczęść krajowych. Na to pytanie generałowa nie odpowiada w dzienniku. „Zostawmy to, mówi, dla historii.“ I my powtórzmy jej słowa.

Radość trwała nie długo. Moskale w kraju! wieść ta rozlega się piorunem, paraliżuje gorące nawaet serca.

Jenerałowa pośpiesza do męża; pożegna go na długo, może na zawsze! chwila czynu się zbliża...

serce drży mimowoli... odgania przecież bojaźń. „Czego się trwożyć? Bóg z nim i zemną! bez jego woli włos nam z głowy nie spadnie.“

Pod jej okiem generał wyprowadza brygadę z Serocka. W obozie zgiełk i zamęt. Żony z płaczem żegnają mężów: Małachowska, stojąc nad brzegiem Narwi, patrzy, jak wojsko maszeruje po zmarzłej rzece; słyszy, jak lody trzeszczą pod ciężarem armat i furgonów. Ściga odchodzących okiem i gorącą modlitwą. Znikli z jej oczu... powraca do Warszawy.

W stolicy wielki postrach. Mieszkańcy ze zwykłą sobie wrażliwością, od najwyższego zapału przechodzą nagle do zwątpienia i trwogi. Przerazające wieści obiegają dokoła. „Nasi pobici! cofają się!“ woła tysiące głosów. Mnóstwo rodzin wyjeżdża. Przed każdym niemal domem widać obładowany powóz. Rząd Narodowy, jak mówią, gotów opuścić także miasto. Archiwa spakowane. Zły jakiś duch rozszerza fałszywe pogłoski. Jenerałowa odtrąca nalegania przyjaciół; jej miejsce tu; bądź co bądź ona tu zostanie.

„Idę na nieprzyjaciela!“ pisze mąż, jakież to dramat w sercu żony! łatwo to zgadnąć z kilku słów oderwanych: „Radabym zamknąć się, nikogo nie widzieć i nie słyszeć! trudno! tak na złe jak na dobre wieści, potrzeba być gotową.“

Kościół jedynem dla niej ukojeniem. Co dnia o ósmej z rana pośpiesza do Kapucynów, gdzie ojcowie odprawiają błagalne nabożeństwo. Połącza głos swój z głosem ludu, śpiewa suplikację i pieśń: „Boże! zachowaj Ojczyznę naszą!“

Nie czas płakać, tu czynu potrzeba. „Służmy Ojczyźnie, jak kto może!“ powtarza dzielna Polka i energicznie zabiera się do pracy. Pod opieką Rządu Narodowego powstaje Towarzystwo kobiet w celu wspierania wdów i sierót po poległych i ujętych w niewolę. Klementyna Hofmanowa, jenerałowa Małachowska i Sowińska stoją na czele. Z całą energią zbierają składki i fanty. Sesje tygodniowe odbywają się u Hofmanowej. Wówczas to zawiązała się przyjaźń trzech zacnych patrijotek, uświęcona wspólną

myślą, wspólnem uczuciem. Przyjaźń ta miała przetrwać do śmierci.

### III.

#### Wojna. Pierwsze tryumfy.

Nieprzyjaciel postępuje całą masą: wojska spotkają się wreszcie. Huk dział potrąca o mury Warszawy. Jenerałowa biegnie co tchu na taras, widzi tumany dymu. „Białoleka! brygada Małachowskiego!“ powtarzają setki głosów. Porwana tłumem z tarasu spieszy na most, przedziera się na Pragę. Pyta... bada... napróżno! Nikt nic nie wie! Pół żywa powraca do domu, wieczorem odbiera list od męża, dorywczony nakreślony po bitwie. Żyje! zdrow! otucha wstępuje do jej serca.

Czas wydobyć z siebie nowe siły. Rozpoczyna nową służbę, stokroć cięższą niżli zbieranie fantów. Z trzema towarzyszkami podaje petycję do Rządu Narodowego. Mężne kobiety chcą objąć dozór nad lazaretami wojskowemi. Rząd skłania się do ich prośby. Oddaje pod opiekę Małachowskiej lazaret w szkole aplikacyjnej. Ona wymawia się od tego. Ów lazaret przeznaczony wyłącznie dla oficerów, tam niezabraknie starań i opieki. Woli służyć prostym żołnierzom — powierzono jej sale reductowe.

Spieszy na stanowisko. Warszawianki skore do ofiar, przybiegają z zapalem, gotowe podzielać z nią trudy. Jenerałowa dyryguje służbą. Jedne z pomiędzy towarzyszek przeznaczają do kuchni, drugim oddają pod dozór chorych, inne stawiają u drzwi, aby powstrzymywać tłumy cisnące się do sali. Sama czuwa pilnie nad wszystkim. Widać ją w każdym miejscu. Służba ta z jednej strony pocieszająca: miło patrzeć na tę niesłychaną hojność zacnych rodzin warszawskich. Do kuchni znoszą bez ustanku wielkie kotły rosółu, ogromne pieczenie i wyborne potrawy, słoje kompotów i konfitur; z drugiej strony serce się wzdryga od jęku chorych, których wnoszą na tragach. Ileż tu rzewnych scen, zapisanych w dzien-

niku, radziłyśmy wszystkie powtórzyć; wszystkie bowiem czynią zaszczyt przezacnym Warszawianom!

Dnia jednego w południe, kiedy nasza opiekunka rozlewała rosół z kotła w miseczki, podając je w ręce hożych posługaczek, zbliża się do niej poważny człowiek i wpuszcza jej rulon w kieszeń.

— Przyjmij to pani; rzucę na cytryny dla chorych.

— Powiedz pan, kto jesteś — pyta jenerałowa, niech wiem, komu mam podziękować.

— Jestem Polak, trudno mi okiem obojętnem patrzeć na taki widok. Otarł łzę i oddalił się szybkim krokiem.

Rulonik zawierał dwanaście dukatów. Nieznajomy był właścicielem winnego handlu, nazwisko jego Szreder; ród jak widać niemiecki, ale dusza prawdziwie polska.

Nadszedł dzień pamiętnej bitwy w olszynie Grochowskiej. W lazarecie zamęt niesłychany. Powtarzamy tu słowa jenerałowej, nakreślone pod gorącym wrażeniem:

— „Straszny, okropny dzień! tyle ofiar... znoszą rannych i ciągle znoszą! co krok to lont lub dział głośniejszy jęk nieszczęśliwych. Kilkunastu mamy chirurgów, dwóch doktorów z miasta a wydolać nie mogę. Pomagamy im! rzną ciała ludzkie, po krwi broczyć potrzeba. Przyjaciele, znajomi — siostra, błagają, abym oderwała oczy od tego bolesnego widoku. Dziś wszystko już na dobre ucieka z Warszawy. Co chwila ktoś wpada ze smutną wieścią: kilka razy głoszone, że Moskale na moście. Czy dusza odrętwiała od żalu, czy tak Bóg chce, że ja się tem nazbyt nie trwożę.

— Bądź zdrowa siostro — spokojnie wyrzekłam, polecam ci dom, dziecko i starą ciotkę naszą, ja tu zostanę i tu zginę, jeżeli taka wola Boska.

O piątej przyniesiono jenerała Żymirskiego. Sztumer, naczelny lekarz, przybył z nim, zażądał szarpia i bandaży do wielkiej operacji“ — co się też sprawdziło.

„Wieczorem ogień ustał, trwoga znikła na wieść o zwycięstwie. Pootwierano domy i sklepy. Wszyscy

witają się, jakby z tamtego świata powracali. O dziesiątej wracam do domu, zastaję rozpromienione twarze. Zrzucam odzież i obuwie przesiąknięte krwią ludzką, zasiadam w kółku drogiej rodziny“.

Nazajutrz skoro świt, opiekunka biegnie na służbę. Chorzy ją witają uśmiechem. Nadzieja błyska w każdym oku. Ledwie że rannych opatrzone, wpada pokojówka zadyszana.

— Jenerał na Pradze! — woła, chce koniecznie widzieć się z panią.

Jenerałowa urządza zastępstwo, wpada do domu, zabiera kosz z obiadem. Szwagier jej towarzyszy. Biegną co sił, już są na moście... grzmia działa, most zakolysał się pod stopami.

— A co? — pyta szwagier, czy pójdziem dalej?

— Żona żołnierza, maź się ulęknąć strzałów? odpowie śmiała kobieta, i coraz bardziej przynagla kroku.

Podchodzą pod wał, z kąd padają ogniste pociski. Jenerał wybiega na spotkanie. Któż wypowie ich radość?

— Meźu, przynoszę ci posiłek — rzecze żona, zjemy obiad przy huku dział, ale pozwól mi wprzód, przypatrzeć się nieprzyjacielowi.

I nie czekając na odpowiedź, jednym skokiem wbiega na wały. Praga w ogniu, opodał przesuwają się forpoczty kozaków. Straszny widok! Meźna kobieta pragnie napić wzrok obrazem, jaki maź zawsze ma przed oczyma. Trzebaż gwałtem ściągnąć ją z okopów. W bliskości była kwatery jenerała. Idą... zostawiając obiad, siadają pod oknem do stołu. Maź opowiada przygody wczorajszej bitwy. Nagle wstrząsł się, okna, szyby wypadają z łoskotem, szkło zasypuje stół i talerze. „Byłaż to wojskowa biesiada!“ zapisała jenerałowa z dumą.

Po obiedzie wchodzi Skrzynecki, za nim kilku sztabowych oficerów: na głowie ma prostą furazerkę, mundur zwyczajny, bez szlif. Wzywa jenerała do przyległej izby, drzwi zamykają za sobą. Co to znaczy? pytają jedni drugich.

Po kwadransie rozmowy powracają.

— Oto nasz wódz naczelny! — rzecze generał, wskazując Skrzyneckiego. Żono! wracaj do domu, ja natychmiast opuszczam Pragę.

— Generał obejmuje dywizję trzecią — rzecze uprzejmie wódz naczelny.

Jednym rzutem oka zrozumieli się małżonkowie. Awans ten nie cieszy ich bynajmniej. Małachowski byłby stokroć wolał dowodzić brygadą, działać w otwartem polu, niż otrzymać dywizję rezerwową. Żona podziela te uczucia.

Wkrótce potem z rozkazu naczelnego wodza, generał powraca do Warszawy. Żona cierpi, widzi bowiem troskę na jego czole. Nie śmie pytać o powod. I po cóż zresztą pytać? Wie ona, jak mu cięży — ta przymusowa bezczynność!

Codzień lustracje wojska, rady wojenne, to nie dosyć, nie tego pragnie mążny legjonista. Co dnia wraca do domu smutny, ponury, zamyślony; niekiedy z ust jego wybiegnie gorące słowo.

— Cóżście tam na radzie wojennej dobrego postanowili? — pyta żona dnia jednego, widząc męża więcej usposobionym do rozmowy.

— Nie wieleśmy uradzili — odrzecz, nie pytano o nic... ale prawda, zapomniałem... pytał mnie wódz, czy ci nie żal, iż dawno nie tańczysz mazura? ważne pytanie!

— Powiedz mu — żywo odpowie generałowa, że jak wygra batalję, to ja wtedy mazura zatańczę. Godziż się wodzowi, mówić takie rzeczy generałom posiwiałym w obozach! czemuż nie zapyta lepiej, jak tam było w obozie Kościuszki? —

Naczelny wódz czyni tajemne przygotowania do wymarszu. Małachowski milczy, ale nie zwiedzie baczno oka żony. Zbiera się wojsko w kościele Reformatów. Generałowa patrzy ze łzami na tych dzielnych, korzących się przed Bogiem. Mąż jej najstarszy ze wszystkich generałów; a przecież w ryśach jego oblicza więcej życia i zapału, niż w innych, młodszych wiekiem.

W kilka dni potem wojsko wychodzi tajemnie o północy. Koń czeka w bramie, dosiada go generał,

puszcza się, wczwał, pewien że go niczyje oko nie dostrzegło. Żona ściga przecież jego ślady; gdy znikł jej z przed oczu, upada na kolana, poleca go Bogu i spokojna czeka na pierwszy wystrzał.

Przed świtem jękły działa, ruch niesłychany w mieście. Wszystko co żyje, biegnie nad most: dorożki i powozy podążają na Pragę, przywożą mnóstwo rannych, oblanych krwią, osmalonych prochem. Jenerałowa biega od jednego powozu do drugiego, pyta o dywizję męża. „Nie była jeszcze w ogniu, odpowiadają wszyscy, rezerwa zostawiona na koniec.“

Nazajutrz Wielki Piątek; dzień żałoby staje się dniem szczęścia i tryumfu! Moskale bici pod Dębem. Prowadzą jeńców, zdobyte działa składają w dziedzińcu pałacu prymasowskiego. Z ganku ratusza powiewa siedm sztandarów nieprzyjacielskich. Lud wszystek wyległ na ulicę, zapal ożywia wszystkie serca!

Jenerałowa dzieli radość powszechną, dzieli ją tem serdeczniej, że mąż jej wziął czynny udział w boju. Z jego to rady wysłano most słomą, aby nieprzyjaciel nie dosłyszał dział prowadzonych. Dywizja jego zagnana w błoto i bagna, mężnie wytrzymała atak pod Dębem. „Małachowski, woła głos powszechny, przyczynił się dzielnie do zwycięstwa.“

Warszawa wyprawia wojska święcone. Znoszą kosztami dary do sali teatralnej; tam pakują w furgony, na całą noc wysyłają do obozu. Jenerałowa krząta się ochoczo, piecze baby i placki, przysposabia mięsiwa, wysyła je mężowi. Odbiera list: on zdrów i pełen swobody. Jaka to szczęśliwa Wielkanoc! jak radosne Alleluja!

---

Minęły święta, widnokrąg na chwilę rozjaśniony, na nowo się zasepił. Warszawa z gorączkową niespokojnością czeka wieści o nowych bitwach i tryumfach. Wieści nie brak, wszystkie jednakże mylne.

Smutne przecucia dręcą serce jenerałowej. Listy męża wzmagają jeszcze ten niepokój. Stary



legjonista skarży się na bezczynność i daremne wyczekiwanie.

„Kiedy raz wojna zaczęta, pisze z goryczą, zatrzymać się już nie godzi. Pędzić naprzód, walczyć, to nam dziś tylko pozostaje.“

Listy przychodzą prawie codziennie, ale jeden smutniejszy od drugiego. Żona wnika w myśl męża, podziela jego niecierpliwość. „Jakże im trudno wyżyć w takiej bezczynności, zapisuje w dzienniczku, skoro my kobiety, tak ciężko ją czujemy. Szczęśliwy kto jak Dwernicki ani pyta nikogo, bije co napotka. Żeby na partyzantkę całą armią zamieniono, byłoby może lepiej.“

Rozbiega się na koniec wiadomość o bitwie pod Iganiami. Na teraz rzecz nie ulega wątpliwości; zwożą rannych od Pragi. Jenerałowa w gorączkowym niepokoju obiega lazarety, szuka rannych z dywizji rezerwowej: nie znajduje żadnego.

— Jenerał Małachowski nie był w boju — odpowiadają zagadnieni.

— A to czemu? — pyta ze zgrozą.

Nikt nie umie na to odpowiedzieć.

Biegnie do lazaretu w szkole aplikacyjnej; tu wreszcie dowiaduje się prawdy.

Naczelný wódz rozdzielił dywizję, część jej oddał innym dowódcom: jenerała Małachowskiego z weteranami pozostawił na miejscu. Krew zakipiała w piersi dzielnej Polki.

— To niesprawiedliwość! to obelga! — woła z najwyższym oburzeniem. Biedny mąż! cóż on cierpieć musi!

Zalana łzami powraca do domu, aby ukryć żal przed okiem obojętnych i wypłakać się swobodnie przy sercu dobrej siostry. Na zakręcie ulicy spotyka jenerałową Skrzynecką.

— Co to jest? zkąd te łzy? — pyta pani Skrzynecka, chwytając ją za rękę.

— Mąż pani popełnił niesprawiedliwość! oplakuję czyn jego.

— Jak? w czymże on tak zawinił?

— Oddał innym część dywizji męża mego, nie powołał go do bitwy, jak gdyby nie ufał doświadczonemu legioniście.

— O! tak nie jest bynajmniej! mąż mój bardzo szanuje generała. Jeśli go nie powołał, to dla tego jedynie, że nie chciał go narażać. Gdzie się biją, tam zginąć można.

Rumieniec wystąpił na lica Małachowskiej.

— Jeśli naczelny wódz tak ocenia męża mego — zawoła z boleścią, krzywdzi go w najwyższy sposób. Stary żołnierz oswojony z niebezpieczeństwem od kilkudziesięciu lat, śmiało wystawia pierś na kule a śmierć wcale go nie straszy!

Wymówki te snać ubodły małżonkę wodza. Nazajutrz, aby załagodzić rzecz, zaprasza grzecznym liścikiem generałową na herbatę.

Pani Małachowska ze zwykłym sobie taktem przyjmuje zaproszenie. Pośpiesza na godzinę umówioną, widzi przed domem szereg herbowych karet. Gotowa już cofnąć się na ten widok; liczne zebrania tak wstrętne dla niej, tak sprzeczne ze stanem jej skołatanej duszy! Zdobywa się przecieź na odwagę, wchodzi w progi. Pierwsze panie z wytwornego świata warszawskiego, zebrane tu, w rześisto oświeconym salonie.

Uprzejma gospodyni powstaje z miejsca, zbliża się do przybyłej, prowadzi ją pomiędzy świetne grono.

— Księżno! — rzecze po francuzku do jednej z młodych kobiet, przedstawiam ci heroinę, która wczoraj rzewnie płakała, że mąż jej nie bił się do tej pory.

— A to szczególna rzecz! — odpowie młoda księżna, przez lornetkę przygląda się zaprezentowanej, jakby jakiemuś dziwowisku.

Co uczuła wtedy zacna Polka, wypowiedzieć nam trudno. Ona sama zapisała fakt, przemilczała wrażenie. To milczenie jej wymowniejsze nad wszelkie skargi.

Nazajutrz nie myślała już o tem, bo i czemuż osobista przykrość w obec nawału klęsk powszechnych! Wojna idzie tak opieszale, warszawski lud zrywa

się niecierpliwi. Listy generała przepelnione goryczą, a tu nadomiar nieszczęść, okropna plaga, nieznaną dotąd w kraju, cholera pojawia się w Warszawie. W obozie jak mówią stokroć jeszcze groźniejsza.

Na wieść o strasznej zarazie dziesiątkującej wojsko, generałowa pośpiesza do męża. Jeśli umrzeć, to razem! powtarza w duszy. Odebrała list, datowany z Mińska. „O czemż to z tego Mińska Mazowieckiego, zapisuje smutno, gdyby byli już w tamtym, nad Świsłoczą!“

Wyjeżdża z siostrą, mija most, okropny widok uderza jej oczy... gdzie spojrzeć, pustka i zniszczenie! tu i owdzie sterczą kominy zgorzałych domostw, całe wioski w zwaliskach; jarzynne pola nie zasiane, rola nietknięta pługiem. W olszynie Grochowskiej obie podróżne wysiadają z powozu, stąpają w milczeniu po ziemi krwią przesiąkniętej. Klękają pobożnie na grobach. Jadą dalej, obraz coraz to smutniejszy, wozy tylko wojskowe tu i tam snują się po drodze. O dziewiątej rano dojeżdżają wreszcie do Mińska. Obóz szeroko rozłożony pod miastem: zapytują o mężów.

Żołnierze wskazują ręką cmentarz. Tłumno tam i gwarno jak w mrowisku. Dywizja chowa oficera, zmarłego na cholere.

Skończył się smutny obrzęd; nastąpiło smutne powitanie. Generał poprowadził żonę i siostrę do jakiejś pustej izby, gdzie zajmował kwaterę. „Brudno tam, błotno, śmierć powiewa dokoła, pisze generałowa w dzienniczku. Posłanie w bezładzie rozrzucone po ziemi; przerażający obraz! Byliśmy przecież razem, szczęśliwi z siebie, wnet też o wszystkim się zapomniało. Zastawiono obozowy obiad; wesoło i gwarno jeść zaczynamy, nagle huk dział przerywa nam ucztę!“

— Do broni! na koń! — rozległ się okrzyk, w mgnieniu oka izba opustoszona, nietknięte mięso pozostało na stole.

Generał dosiadł konia. „Bądź zdrowa żono!“ zawołał, pomknął wwał i niebawem znikł w tłumie. Smutne kobiety wsiadają do powozu, przy huku dział pędzą ku stolicy.

Tu nowy niepokój — nowe wyczekiwanie. Jenerałowa nie zakłada rąk, chodzi od domu do domu, zbiera fanty i pieniądze na zasiłek dla wdów i sierót. Nieraz smutny spotka ją zawód, częstokroć musi kołatać do serc twardych jak głazy; ogół przecież skory do ofiar, sypie datki szcudrobliwą ręką. To jedyna dla niej pociecha.

Warszawa kipi jak na wulkanie. Bezsilność armii zabije otuchę w najdzielniejszych sercach. Rozchodzą się głuche wieści o klęsce Dwernickiego, o przejściu korpusu do Galicji. Gorętsi nie wierzą zrazu tym pogłoskom, kładą je na karb złych duchów, roznoszących popłoch. Ależ powątpiewać trudno wobec rzeczywistości. Ułani Dwernickiego przedzierają się przez granicę, wielu z nich przybywa do stolicy. Niestety! wszystko prawda!

#### IV.

### Klęski.

Biedna Warszawa, nie ochłonęła jeszcze z bolesnych wrażeń aż tu nadchodzi wieść o bitwie pod Ostrołęką, o poniesionych stratach. Jenerałowa dręczona smutnem przecuciem, nie śmie wyjść za próg domu: wypada na schody, załana łzami.

— Żyje, zdrów — woła z daleka żona wodza, walczył mężnie, mógł zginąć, ale Bóg go zachował.

— A zwycięstwo... przy kim? — zapyta Małachowska.

— Nie przy nas! . . . . ponieśliśmy ogromne straty!

Było to wieczorem. Nazajutrz z rana jenerałowa obiega znów lazarety. Mąż żyje! wszyscy to powtarzają, konia tylko pod nim postrzelono.

Wojsko rejteruje, zbliża się już ku Pradze. Jenerałowa wyjeżdża za most: okropny obraz uderza ją w oczy. Biedne wojsko zmęczone, osmalone prochem, na pół bose, w poszarpanych płaszczach, wlecząc zaledwie kroki. Owiż to żołnierze, co niedawno przy dźwięku trąb i huku bębnow tak śmiało wybiegali do boju?

Nadchodzi dywizja rezerwowa. Jenerał spostrzega żonę, zsiada z konia, po pierwszym powitaniu wprowadza ją na bok.

— Żle żono — szepnie ciężkim głosem, ucierpieliśmy wiele i to bez najmniejszej korzyści. Wódz nasz stracił głowę, pod Ostrołęką żadnej zdolności wojskowej nie okazał. Gdyby Moskale rzucili się za nami w pogoń, żywa noga nie uszłaby pewno. Zachowaj to przy sobie, mówię to, bo wiem, jak cię sprawa polska obchodzi.

Mąż został w obozie pod Pragę, żona z sercem ściśniętem powraca do domu. Nazajutrz z rana biegnie do fary, klęka przed ołtarzem pana Jezusa, czyni pobożne wotum. Dopóki Bóg życia jej udzieli, poprzysięga obchodzić dobrym uczynkiem rocznicę 26. Maja. Mąż cały dzień był w boju, koń upadł pod nim, jego przecież kula nie dotknęła!

Odtąd małżonkowie codziennie się widują. Wiśła ich tylko dzieli. Jedyłą pociechą biednej żony, że mąż czyni ją powiernicą wszystkich udręczeń swoich. Serce jego dziwnie rozboleła. Widzi przepaść rozwartą pod stopami, chciałby zasłonić kraj piersią własną, wytoczyć dla niego krwi ostatek!... szamocze się bezsilnie, ... droga działania zamknięta przed nim. Z boleścią patrzy na te uczty, które Warszawa wyprawia dla wojska, to w krosińskim, to w saskim ogrodzie.

— Zawczęśnie! zawczęśnie! — powtarza z goryczą, wypędźmy wprzód Moskali, a potem będziemy biesiadować. Ja nie pójdę na ucztę, bom na nią jeszcze nie zarobił!

Bardziej gniewają go wytworne obiady w głównej kwaterze wodza. Zmuszony od czasu do czasu uczestniczyć w nich, wylewa przed żoną całą gorycz.

— Nie tak to — mówi, bywało u Kościuszki! nie szukał on pałaców na kwatery dla siebie. W obozie wykopano dół, postawiono na ogniu wielki kocioł, narzucono mięsa, ugotowano krupnik, położono deski na beczkach!... jadł kto chciał, a kiedy wyrzucił kto wodzowi, że źle żyje, odpowiadał wręcz: Żyję za grosz skarbowy, winienem go oszczędzać!

Z każdej narady wojennej powracał generał jakby z tortur. On sam wypowiadał śmiało zdanie swoje, rzucał każdemu prawdę w oczy. Dnia jednego, widząc grożące niebezpieczeństwo, zawołał w obec rady: „Wódz powinien mieć kogoś, ktoby w czynności jego wglądał. Generałowie francuzcy surowo karani byli za każde uchybienie. Głowa nie jednego spadła pod gilotyną. Nasz książe Józef miał przy boku generała Paszkowskiego, który ściśle kontrolował jego czyny!“

Był to głos wołającego na puszczy. Członkowie rady zatykali uszy na te słowa. Wojsko znużone wyczekiwaniem, traciło wiarę i energję. W Warszawie reakcja podniosła głowę, lud kipiał ukrytym gniewem, w sercach wzbierała nienawiść. Coś dusiło w powietrzu, jak to bywa przed burzą. W miarę upałów letnich, cholera wzmagała się z dniem każdym: pogrzeby ciągnęły bezustannie: w szpitalach brakło miejsca dla chorych; ciała zaledwie ostygłe wywożono na cmentarz dniem i nocą, głuche wieści o żywcem pogrzebanych przebiegały z ust do ust między ludem: wszystko to wątpiło ducha, a tem samem zwiększało zarazę.

W obozie stokroć było gorzej. Młodzi panicze rozprzężeni, nie znający skarbów subordynacji wojskowej, pod lada pozorem przybywają do stolicy. Bezmyślne matki ściągają same synów do boku swego. Generałowa surowa dla siebie i dla drugih, nie przebacza podobnej niesforności.

Dnia jednego odwiedza ją znajoma; uszczęśliwiona z powrotu syna, pragnie podzielić z nią uciechę.

— Jakto? — zawoła dzielna Polka, pani cieszysz się, że syn porzucił baterję?

— I cóż miał czynić? — rzecze zmięszana matka.

— Co czynić? zginąć przy baterji lub powrócić z nią razem.

— Pani nie masz synów — zawoła matka z gniewem; tobie o tem nie sądzić! Mój Kostuś nie stworzony na artylerzystę, wolę że się oddalił, skoro nie znosi huku dział.

— Ależ honor wojskowy?

— Co mi tam honor — mnie milsze moje dziecko!

— Co kto lubi — odrzeczcie generałowa. Prawda, nie jestem matką. Wielkie to dla mnie upośledzenie, ale gdyby mi Bóg pozwolił nią być, zaręczam pani, nigdybym nie przycisnęła do serca syna, któryby tak postąpił jak jej Kostuś. —

Niestety! wielu Kostuniów takich brzękało wtedy pałaszami i po bruku warszawskim. Serce zacnej Polki pękało na ten widok. Jeśli z politowaniem patrzyła na tę bezmyślną młodzież, stokroć surowiej potępiała tych, którzy nie umieli utrzymać jej w korbach, ani spożytkować pierwszego jej zapału. Dzienniczek generałowej pełen gorzkich uwag i utyskiwań: — „Chcą energii od żołnierza, mówi z boleścią, i czemuż nie prowadzą go naprzód?“

Nieszczęśliwa wyprawa Jankowskiego na Riedygera doprowadza ludność warszawską do rozpacz. Wyraz: zdrada przebiega z ust do ust. Aby uspokoić wzburzone umysły, Rząd Narodowy wyznacza komisję. Generał Małachowski mianowany jej prezesem.

Jakże mu wstrętne te śledztwa, te zagmatwane wywody! Dzielny legjonista radby spotkać się z wrogiem w otwartym polu; — krew kipi w starych żyłach, a tu rozkazują mu wyszukiwać win w drugich. Sprawa dziwnie się komplikuje, nie ma tu wprawdzie zdrady, ale godna potępienia opieszałość, niesubordynacja, lekceważenie żołnierskiej powinności. Te winy niestety! ciężą na wielu, nie na samym tylko Jankowskim.

Komisja ukończyła śledztwo: prezes odniósł papiery Rządowi Narodowemu. Sąd wojenny wyda wyrok na obwinionych. Małachowski nie przyjmuje udziału w owym sądzie: wychodzi z wojskiem do obozu. Warszawa wre! „Śmierć zdrajcom!“ woła lud zrozpaczony. Coraz smutniejsze wieści krążą po mieście. Trwoga pada na serca. Rozległ się wreszcie okrzyk: „Moskale przeszli Wisłę!“

Kto żyje, pośpiesza na okopy. Kobiety, dzieci, starce chwytają za łopaty i rydle, zwożą ziemię taczkami. Wielkie panie pracują obok prostych wy-

robnic. Jenerałowa póspiesza jedna z pierwszych. Powracając wieczorem od pracy z gronem towarzyszek, czyni z niemi pobożne wotum: pójdą wszystkie piechotą do Częstochowy, skoro Bóg ocali Ojczyznę!

Wśród tylu klęsk publicznych, wśród bezustannej trwogi o męża, nowy cios spada na jenerałowę. W pierwszych dniach Sierpnia stara ciotka, nieodłączna jej towarzyszka, zapada na cholere i umiera w przeciągu kilku godzin.

Ale czasze tu myślić o własnych nieszczęściach, gdy kraj cały cierpi i płacze?... Lud warszawski wybucha długo tłumionym gniewem strasznej nocy 15. Sierpnia, uderza na zamek, morduje winnych i niewinnych! Krew płynie rynsztokami: trupy zawałyły plac zamkowy; inne kołyszają się ohydnie na latarniach. Zgroza, pomyśleć o tem.

Naczelne dowództwo odebrano Skrzyneckiemu: Dębiński chwilowo obejmuje władzę. Posłowie spieszą do Ołtarzewa, wręczają nominację na wodza jenerałowi Małachowskiemu.

Stary legjonista odmawia wręcz: wielka to odpowiedzialność, nie śmie brać jej na własną głowę.

— Biada ci, nieszczęśliwa Ojczyzno! skoroście na mnie zwrok obrócili — zawoła z boleścią; zwróćcie tę nominację Rządowi Narodowemu; niechże nikt nie wie o tem!

Posłańce nalegają: Małachowski stanowczo trwa przy swoim. Zbiera dywizję, prowadzi ją pod okopy warszawskie, staje kwaterą w Woli w ogrodzie Ulrycha.

Warszawa tymczasem spokojniejszą przybiera postać. Spokojność to pozorna. Wojsko obozuje po ulicach; działa rozstawione na każdym placu. Wstrzymuje to rozpaczliwe wybuchy, lecz zwiększa jeszcze powszechną trwoję. Oczy wszystkich zwrócone na zamek, tam sejm toczy narady: po długich i burzliwych sprawach oddaje dyktaturę jenerałowi Kruko-wieckiemu.

Rząd Narodowy nakazuje miastu, zaopatrzyć się w żywność. Moskale ciągną ze wszystkich stron, oblężenie nastąpi niebawem. Jenerałowa ze zwykłą



sobie przezornością nagromadza zapasy. W przekonaniu jej Warszawa stanie się drugą Sarragossą, równie bohaterską, lecz szczęśliwszą od tamtej. Opatruje spiżarnię w wielką ilość solonego mięsa i wędlin, w mąkę, warzywa i suchary; sposobi nadto korce kaszy jaglanej, przeznaczone, jak mówi na głowy nieprzyjaciół. Te domowe zajęcia budzą w niej nową energję.

W dniu Św. Benigny 19-go Sierpnia, wezwana przez męża pośpiesza do Woli na obozowy obiad. Zasiadają do stołu. Ledwie że zjedli krupnik, wpada nagle oficer od służby; trzyma w ręku papier, opatrzony wielką pieczęcią.

— Depesza od Rządu Narodowego! — rzecze, składając list w ręce generała.

Trwoga ogarnia biedną żonę: drżąc jak listek patrzy na męża, widzi niesłychaną zmianę w jego rysach: pobladł, oczy buchnęły żarem.

— Co to jest? — zapyta z cicha żona.

— Oto nominacja na naczelnego wodza a raczej na zastępcę — zawoła generał zrywając się od stołu; uniesiony gniewem, rzuca na ziemię pismo. Woła na gwałt:

— Przyprowadźcie mi konia. — Bądź zdrowa, smutno rzecze, zwracając się do żony. Spieszę do Rządu Narodowego, złożę nominację. Wszak odmówiłem w Ołtarzewie. Dziś nie czuję się zdolniejszym do przyjęcia tak strasznej odpowiedzialności.

Dosiadł konia, pomknął wwał ku Warszawie: żona została sama. Siadła w oknie, oczekuje powrotu. Próżne oczekiwanie! godzina upływa za godziną a męża jak nie ma, tak nie ma!

Przed wieczorem nareszcie przybywa pułkownik Kozłowski: oznajmia, że generał przyjął zastępstwo naczelnego wodza, że jest w głównej kwaterze.

Pociemniało jej w oczach. Nie tracąc chwili czasu, pośpiesza do tej nieszczęśliwej kwatery: przedziera się przez pułk krakusów, otaczający w koło pałac, przebiega jedną i drugą salę. Tłum wojskowych różnego stopnia ciśnie się po rozkazy: niepodobna słów kilka zamienić z mężem. Wraca do domu,

niesłychana trwoga ogarnia jej umysł, boleść przepełnia serce.

O północy wpadł na chwilę generał.

— Stało się -- rzecze, żądano po mnie ofiary, spełniłem ją!... Rząd narodowy zapewnia mnie, że za nie odpowiadać nie będę. Jam tylko zastępcą wodza, kto inny rządzi krajem i wojskiem. Formalność wymaga, ażeby miał zastępcę; nikt na to poświęcić się nie chciał! Wiesz żono, ja służę nie dla własnych widoków, ale dla dobra kraju. Kazano mi oddać się na ofiarę; mieć będą, czego chcieli!

Placz żony całą był odpowiedzią; zrozumiała wielkość ofiary. Pełna uwielbienia, pada na ziemię, całuje z uczuciem nogi męża, gorącemi oblewa je łzami.

Nazajutrz rano odbiera list z głównej kwatery z zaproszeniem na obiad. Pośpiesza smutno. Wieczorem wróciwszy do domu, kreśli w dzienniku słowa, malujące wybornie stan jej duszy.

„Dwadzieścia osób zasiadło do stołu: był to sztab cały. Nie dostrzegłam tu ani jednego księcia ani hrabi. Wszystko to rozpierchło się w okamgnieniu, bo naprzód mąż sobie nie życzył, a i oni zapewne nie chcieli figurować obok starego żołnierza. Siedziałam przy mężu, lecz ani słówka wymówić do niego nie mogłam. Generałowie i pułkownicy ciąglą go zatrudniali rozmową. Wszystko, com tam słyszała i widziała, nic dobrego nie wróży na przyszłość, duma, chęć znaczenia, dalej wiedzie tych panów, nad prawdziwe dobro Ojczyzny. Biedny mąż, wplątał się w bezdenny odmet. Smutniejsza niż kiedykolwiek powróciłam do siebie. Inna w mojem miejscu byłaby zapewne szczęśliwą; pochlebiałoby jej to znaczenie. Ja cierpię i płaczę: o! bo w jakiejże to chwili dało mu ten cny tytuł, bez władzy rzeczywiście!“

Porwana wirem wypadków w nowe koło, generałowa czuje tylko gorycz położenia swego; wcale nieupojona próżnym blaskiem... Drży bez ustanku... patrzy z trwogą na tyle trudów i kłopotów, którym mąż zmuszony stawić czoło. — „Siedm godzin nie zsiadał dzisiaj z konia! zapisuje z obawą, Boże! dodaj mu siły!“ Większa jeszcze trwoga dręczy jej

myśl, ażali mąż w obec tylu zawiści, tylu otaczających go zasadzek, zdoła ocalić pocziwe imię w tym odmęcie, w jaki go popchnięto. Ona nie wątpi o nim, wie, że nie zboczy z drogi prawej, lecz wie i to, że w razie klęski zrozpaczony naród może obrzucić błotem siwy włos naczelnego wodza!

„Smutne położenie moje! pisze w dzienniczku. Lękać się o los Ojczyzny! o zdrowie a co więcej o sławę męża! okropnież to, a jednak wszystko potrzeba przetrwać!“

Nowe stanowisko nowe naprowadza trudności i kłopoty. Cichy zwykle dom jenerałowej, teraz pełen ruchu i gwaru. Setki listów i prośb, częstokroć niedorzecznych, to o krzyż honorowy lub o awans, co dnia przebiegają przez jej ręce. Wizyty ciągle tej ciekawej a próżniaczej gawiedzi, gotowej zawsze jak ćma lecieć ku wszystkiemu, co błyszczy, nużą skołatany jej umysł. Tę jedną ma tylko pociechę, że składki pieniężne i fanty na rodziny poległych, za którymi dawniej trzeba było biegać po mieście całym, teraz sypią się same do jej domu. Wszyscy dziś dla niej tacy grzeczni, uprzedzają chęć jej najdrobniejszą.

W trybie zwykłego życia nic się jednakże w domu tym nie zmieniło. Stół jak dawniej prosty i niewytworny. Jedni patrzą na to z poszanowaniem, inni gorszą się, widząc w tem przesadę i dziwactwo. Dnia jednego, w obiadowej godzinie jenerałowa z siostrą i dziećmi miała właśnie siadać do stołu, kiedy przychodzi z wizytą młody salonowy trefniś; długo i szeroko rozpowiada anegdoty z życia obozowego. Uprzejma gospodyni, widząc że rozmowa ożywia się coraz to bardziej, prosi gościa, aby przyjął skromny obiadek. Oficer przyjmuje zaprosiny. Podają naprzód lekki rosół, po nim sztukę mięsa wcale nie wyborową. Stoi na stole karafka z piwem, druga z wodą, wina ani kropelki. Na zakończenie wnoszą półmisek zrazów i jaglaną kaszę ze skwarkami. Wszyscy jedzą smacznie; gość tylko rozmazuje kaszę po talerzu, znać że go w zęby kole.

— Przepraszam za tak prosty obiad — rzecze z uśmiechem gospodyni, widząc że panu nie smakował.

— Prawda — odrzeczę gość, wyznaję, że spodziwiałem się innych przysmaków u żony naczelnego wodza.

Uklonił się i wybiegł.

Parę tygodni przeżytych na świeczniku, nie przeszło ku korzyści dla rozumnej i myślącej kobiety. Zajrzała do głębi serc ludzkich, dostrzegła liczne ich słabostki, dotąd ukryte przed jej okiem, zrozumiała całą mądrość słów: *vanitas vanitatis!*

## V.

### Upadek. Kapitulacja.

Nadszedł Wrzesień, ów nieszczęśliwy Wrzesień, który miał rozpocząć nową erę w dziejach martyrologji polskiej. Moskale szybkim pochodem ciągną od obu stron Wisły, okrążają Warszawę żelazną obręczą najeżoną lasem karabinów. Paszcze dział obrócone ku miastu. W obec tych okropnych wypadków pióro wypada z ręki mojej. I ja dziecinną stopką przebrnęłam przez to piekło, i ja słyszałam ów ryk dział wstrząsających murami Warszawy, i ja widziałam setki trupów i rannych, przenoszonych ulicą na krwią zalanych tragach! I ja płakałam z drugimi, przerażona strasznym obrazem, nie pojmując jeszcze całej doniosłości klęski i sromu, jakie w tych dniach wiecznie pamiętnych spadły na nieszczęśliwy naród. Lepiej odemnie pojmowała to zboliała małżonka wodza, na którego barki zwalono zbyt późno losy kraju. Wolę zatem powtórzyć własne jej słowa, kreślone dorywczo pod wrażeniem tej ciężkiej chwili:

„6-go Września. Równy z dniem zbudził mnie pierwszy wystrzał. Wybiegam z łóżka, otwieram okno... To sen, — mówię do siebie. O! nie był to sen! Strzały powtarzają się coraz to częściej. Padam na kolana: Boże! pobłogosław orężowi naszemu! Ogień wzmaga się... ruch coraz większy na ulicy. Nie jedna ręka uchyla okno, nie jedna dusza polska wstrząsa się na ten odgłos. Ja czuję potrójną trwogę, drzę o los kraju, o życie, o sławę męża. Ubieram

się co żywo, biegnę do kościoła Bernardynów, pytam o ks. gwardjana. Przyszedł niebawem do zakrystyi.

— Ojcie! jam żoną tego, co dowodzi wojskiem, wołam gwałtownie poruszona. Każ odprawić Mszę świętą, w kaplicy Naszej Panny Loretiańskiej.

Natychmiast, odrzeczę gwardjan, i w tejże chwili wyszedł sam ze mszą, konwent wystąpił za nim. Odślonięto cudowny obraz. Zakonnicy pokłękli szeregami. Zrazu kościół był pusty, ale w mgnieniu oka napęłnił się na odgłos dzwonów. Wszyscy upadli na kolana: setki głosów śpiewały suplikacje.

Po mszy wybiegłam na wierzchołek wieży kościelnej. Dym snuje się kłęбами; nic za nim nie dopatrzeć.

Spieszę do domu, godzina ósma tylko co uderzyła. Wyprawiam do głównej kwatery moją wierną Marysię. Może tam coś wiedzą o mężu. Powraca zadyszana, oddaje mi kartkę:

— Jenerał w obozie, pisze major: pierwszy strzał już go tam zastał, gdy objeżdżał linję bojową! —

Okropny stan rzeczy... jakież to przerażający obraz... wciąż wiozą i niosą rannych koło moich okien!... Radabym wybiedz z domu... nie śmiem... czekam — któż wie, czy mi męża nie przyniosą!

Straszne wieści! Wola wzięta! Sowiński zginął! prawdziż to wszystko? o mój Boże!

W południe ogień ustał... Zawieszenie broni na dwadzieścia cztery godzin. Mąż wrócił, kwatera przeniesiona do zamku.

Byłam u niego! Co się tam dzieje! serce mi pęka od boleści. Sprzeczono się o Romarinę. Mąż utrzymuje, że powinien tu wrócić, że wojsko można przewieźć na wozach. Wysztydzono ten projekt...

„7. Września. Ogień rozpoczął się w południe, straszliwszy niż wczoraj. O trzeciej prowadzono koło okien moich jakiegoś jenerała moskiewskiego z zawiązanymi oczyma. Zadrżałam na ten widok. O czwartej rozpoczął się ruch wojska, piechota idzie ku Pradze. Co to znaczy? Napróżno pytam! Nikt mi tego wytłómaczyć nie może! Zrozpaczona, nie wiem co czynić! O! gdyby choć słówko od męża! Znalazł

się odważny człowiek, gotów biedz na kule i strzały. Daję mu papier i ołówek, błagam ze łzami, niechaj dotrze do sztabu... zobaczy choćby którego z oficerów, przyniesie mi jakąkolwiek wiadomość. Gorliwy posłaniec przecisnął się aż do samego męża, do dwudziestej trzeciej reduty, tam, gdzie największy był ogień.

Podczas gdy czekam gorączkowo, znajomi przybiegają, chcą gwałtem zaprowadzić mnie do konsula austriackiego... tam przeszło dwieście kobiet znalazło schronienie. Opieram się temu z całą mocą. Wtem wraca mój posłaniec, oddaje mi kartkę, pismo męża! Czytam: ... „Żono! nie troszcz się, mam nadzieję, że się utrzymamy. Bronim się w barykadach... powtarzam ci: mam nadzieję, bądź spokojna!“

Odżyłam... ja nie opuszczę domu... mamże uciekać w chwili, gdy odbieram takie zapewnienie? A więc tylko po trupach Moskale wnijsć mogą do miasta! Gdyby tak było, cóż mi wtedy po życiu?

Porwano mi z rąk kartkę, zaniesiono ją do owego konsula, aby zaspokoić serca trwożliwych kobiet.

Wieczór zapada, ogień trwa bez ustanku... wzmaga się coraz bardziej. Pękają granaty, świszczą race, przedmieście w płomieniach! Boże! jakiż to straszny widok!

Około dziewiątej mąż wpadł do mnie na krótką chwilę, osmolony prochem, znędniony... Usta spiekłe, oczy krwią zaszyły, nigdy nie widziałam człowieka w takiej postawie. W przedpokoju rzucił się na krzesło.

— Żono, rzecze ochrypłym głosem, daj mi trochę wina i chleba. Wezwano mnie do pałacu rządowego... tu dopiero w mieście słyszę, że się toczą jakieś układy, że część wojska wyprawiona na Pragę. Ja mam w barykadach moje wojsko, o żadnych układach wiedzieć nie chcę!

Wyszedł, opuścił dom, do którego nie miał już wrócić!...

Przed pałacem rządowym okropne zaszyły rzeczy: wiem to od wiarogodnych świadków. Tłum ludu wypełnił ulicę. Dyktator groźnie przystąpił do męża:

— Szalony! — rzecze, chcesz bronić Warszawy, gdy ja zdałem ją na łaskę cesarzowi!

— Ja nic o tem nie wiem — odparł mąż, spełniam tylko powinność wodza, któremu wojsko oddano pod komendę.

— Rozkazuję ci, musisz słuchać; inaczej będziesz rozstrzelony.

— Nie będę słuchał! — zawołał mąż z najwyższym uniesieniem.

Bóg jeden wie, do czego by przyszło, gdyby Marszałek Sejmu nie wniósł się w tę sprawę. Co nastąpiło później, to już należy do historii. Ja wiem tylko, że zwierzchnie władze uczyniły smutną ofiarę z męża mego! Zmuszono go do podpisania w ich obecności układów, dokonanych pod ich okiem. W ich też obecności i z ich woli podpisał mąż kapitulację. Sam zresztą pojmował, że w stanie, do jakiego rzeczy doprowadzono, wszelki opór byłby już nadaremny, że miasto poszłoby w gruzy bez korzyści dla kraju.

Okropnyż to był dzień, okropna noc! nie określili tego żadne pióro!

8. W r z e ś n i a. „Moskale w Warszawie, uwiecznieni w zielone gałązki. O! silnaż to dusza w człowieku, by nie skonać na taki widok! Nim weszli, pojechałam i ja na tę nieszczęsną Pragę. Smutne było pożegnanie z biedną siostrą!

Wprowadzono mnie do pustego domu bez okien, barłogu po kolana! Zostałam tam zgromadzony Sejm, Rząd Narodowy i wszystkich dygnitarzy. Spory, wrzawa, zgiełk! ani opisać tego! do męża niepodobna mi nawet przystąpić... Stałam na boku, nie było usiąść na czem. Z boleścią patrzę na ten obraz, wtem przystępuje do mnie jakiś pan w podeszłym wieku, zupełnie mi nieznany.

— Co pani zamierzasz, jeśli zapytać wolno? — zagadnie mnie uprzejmie.

— Towarzyszyó mężowi — odrzekłam bez wahania.

— Pani, zlituj się nad nim. Przypatrz się, jak cierpi; czy myślisz, że obecność twoja nie powiększy jego udręczeń? Wróć pani do domu, posłuchaj rady przyjaciela, który wielbi cnoty męża twego!

— Ja dla siebie nic już nie pragnę; gotowa jestem wrócić, jeżeli on zgodzi się na to.

Nieznajomy poszedł do męża i wrócił w tejże chwili.

— Spiesz pani natychmiast, abys przejechać jeszcze mogła.

Podał mi rękę, zaprowadził mnie do powozu. Za mostem ujrzałam już Moskali. Armaty stały ustawione w rząd przez całą Bednarską ulicę; przejechać ani podobna. Zasłoniłam oczy chustką, aby na to nie patrzeć. Usunięto działo, przejechałam nareszcie. Zastałam w domu płaczącą po mnie siostrę. Zdziwił ją nadzwyczaj mój powrót.

Na placu przed ratuszem Moskale rozłożyli obóz. Zakryłyśmy okna jak można najszczelniej. Siedzę jak w grobie, nie ma już dla mnie życia. Odezwana od męża, w ręku tryumfujących wrogów: Boże! jak mi smutno! jak ciężko!

Pierwsze dni kilka generałowa przeżyła w zupełnem odrętwieniu. Wkrótce jednak nowe pociski przekonały ją, że serce jej nie skamieniało, że czara goryczy nie wychylona jeszcze. Potrzeba było spełnić ją aż do ostatniej kropli, patrzeć na upadek serc, na upodlenie ducha, zwykłe następstwa wielkich nieszczęść.

Jenerałowie polscy przybywają z obozu: „Kurjer Warszawski“ codzien nowe ogłasza nazwiska. Jedni zamykają się rozpaczliwie w domu, nie radzi by spojrzeć ludziom w oczy. Inni aby usprawiedliwić własny powrót, rozsiewają niestworzone potwarze, plują na polski obóz. Niektórzy z nich czują się w obowiązku, odwiedzić żonę wodza. Zapewniają, że mąż powróci.

— On miałby wrócić? — woła ze zgrozą jenerałowa, on miałby siwą głowę zgiąć niktzemnie przed wrogiem, wystawić ją na wzgardę i pośmiewisko? Nigdy! to być nie może!

Wiść o powrocie starego wodza krąży jednak po mieście, krok w krok ściga nieszczęśliwą żonę, niby piekielne widmo. Dnia jednego wyszła z domu, przysłonięta woalem; ktoś nieznajomy przystępuje do niej na ulicy.



— Mąż pani przyjechał — szepnie z cicha, poszedł do placu, zameldować się władzom. Za chwilę zobaczysz go pani.

Biedna ucieka przed natrętem. Co tchu wraca do domu. Każde skrzypnięcie drzwi śmiertelną przynika ją trwożą. Cierpi jak na torturach.

Nazajutrz wchodzi jeden z przybyłych generałów.

— Wszak mąż pani powrócił? — zagadnie w progę.

Przerażona stoi jak słup, zbiera na koniec wszystkie siły.

— Pan nie wiesz, do kogo przemawiasz! choroba poplątała ci zmysły.

— Nie myślę się bynajmniej. Generał Małachowski powróci niezawodnie, sądziłem, że już przybył.

— A ja panu mówię, że nie wrócił i nie powróci.

Zatrząśł się, rumieniec wystąpił mu na czoło; odszedł upokorzony.

Tem podobne walki powtarzają się bez ustanku. „Zaczynam być straszną dla ludzi, pisze generałowa; uciekają odemnie, boją się, zowią mnie egzaltowaną!”

Spotyka wreszcie generała B..., który tylko co przyjechał z obozu.

— Namawiałem męża pani, by wrócił — smutno rzecze przybyły. Daremne słowa, nie chce i słyszeć o tem. Woli na stare lata zostać między tą hordą!

Serce dzielnej kobiety uderzyło radośnie.

— Skoroś — rzecze, powrócił sam generale, winszując mu szczęścia, ale nie krzywdź tych, którzy inaczej zrozumieli powinność!

List długo upragniony nadchodzi wreszcie. Niewiadoma ręka położyła go na stoliku, z „Zakroczymską Gazetą“. Podobne przesyłki nieraz się powtarzają. Przybywa na koniec wierny sługa Stanisław. Generał odesłał go z granicy. Wojsko w Prusiech, a więc wszystko skończone.

Wszystko skończone! ostatnia deska zbawienia usunęła się z pod niej, a jednak trzeba działać! Tyle ran jeszcze niezabliźnionych, tyle wdów i sierót wyciąga rękę, błagając miłosierdzia. Polki nie upa-

dły na duchu. Towarzystwo kobiet zbiera się w końcu Października, zwołuje posiedzenie. Prezyduje na niem generałowa Sowińska, grubą okryta żałobą. Opis tych zabiegów naszych przezacnych patrijotek w chwili tak ciężkiej, pod obuchem tryumfującego wroga znajduję skreślony z całą prostotą w dzienniczku czcigodnej Małachowskiej. Przytaczamy dosłownie ten ustęp:

„Dowiadujemy się na sesji, że wielu braci naszych zamkniętych jest na Pradze w pustym domu: za całą żywność dostają chleb i wodę. Postanowiono ciągnąć losy, na którą z nas wypadnie, jechać do nich. Oświadczyłam stanowczo, że pojedę. Towarzyszki uściśniły mnie serdecznie, wręczyły z kasy kilkadziesiąt dukatów. Deszcz lał, przyjazna pora do kontrabandy. Zabieram moją wierną Joasię; pośpieszamy co tchu ku Pradze. Przebyliśmy most, mijamy odwach, nikt nas o nic nie pyta. Ale gdzież tu szukać niewiadomego domu? nie widać żywej duszy!

Przebiegamy Pragę wzdłuż i w poprzek, spostrzegamy wreszcie pusty dom, sztyldwach stoi przed nim na warcie. Zbliżamy się pomału.

— Nie wolno! — krzyknie Moskal.

Wsunęłam mu w rękę rubla, usunął kolbę, my dalejże do sieni.

Cóż to za widok! na barłogu leży kilku rannych; wszystkich więźniów było do pięćdziesięciu. Oczy ich ożywiły się nagle: otoczyli mnie, opowiadają swoje biedy.

— Czekamy co chwila — rzecze jeden, że nas dalej poprowadzą. Mamy pomiędzy sobą siedmiu rannych: tym trudno będzie ruszyć. Rany te zadane już po ujęciu w niewolę! Żołnierze kłuli nas bagnietami, kozacy okładali harapem. —

Ranny jeden podniósł głowę z barłogu, odwrócił ją, ukazał mi kark tak mocno krwią zlany, że nie znać było żółtego kołnierza. Okropny był ich stan. Wyszukałam kobietę, kazałam zgotować rosół i pożegnałam ich, zapisawszy co komu najpilniej potrzeba. Obiecałam powrócić do nich jutro. Sztyld-

wach przepuścił mnie uprzejmie, przebyłam Pragę, o nic nie zapytana.

Tegoż dnia zdałam raport towarzystwu. Rozbiegaliśmy się na kwestę za odzieżą i płaszczami. Każdy dawał chętnie, co miał ciepłego. Za pośrednictwem pani Rautenstrauch wyrobiłyśmy tyle, że pozwolono złożyć naszych rannych w lazarecie ujazdowskim. Była to dla mnie radość niepojęta.

Nazajutrz rano pani Wolfers dała mi swój powóz; napakowałyśmy w niego, co można było. Ja sama jedna, w imię Boże wyruszyłam na Pragę. Przejechałam most, mijam odwach, o nic mnie nie pytają: przed domem więźniów podwójny szyldwach, nie chce przepuścić. Ja znów do wczorajszego sposobu: dwa ruble ułatwiły mi wniście, równie jak i moim ładunkom. Już się dystrybucja odbyła, gdy wpada nagle zadyszany oficer z placu.

— Kto pani jesteś? — pyta, za czyjem przychodzisz pozwoleniem?

— Jestem siostrą tych panów, pozwolenia od nikogo nie brałam.

— A który tu brat pani?

— Wszyscy!

— Rozkazano mi zostać tu, dopóki pani nie odjedziesz.

— Masz pan zupełne prawo.

Widząc zakłopotanie tego człowieka, pożegnałam czem prędzej braci: smutne to było pożegnanie!

Nazajutrz przewieziono do lazaretu siedmiu rannych. Jeden z nich major Lipski, pchnięty bagnietem przez żołdaka, umarł niebawem w Ujazdowie. Resztę jeńców wyprowadzono z Pragi.

Listy generała przychodzą drogą tajemną, to z Brodnicy, to nakoniec z Elbląga, gdzie przepędzi może czas dłuższy. Stęskniona żona nie traci chwili czasu, podaje się o paszport. Po usilnych zabiegach otrzymuje go wreszcie. Wyjeżdża z generałową Suchorzewską, której mąż przebywa także w Elblągu. Radosne i smutne zarazem było powitanie małżonków. Dwa miesiące ubiegło od chwili ostatniego spotkania ich na Pradze w okropnym dniu kapitulacji. Ileż to bolesnych pocisków ugodziło odtąd w ich

serca. Dwanaście dni zbiegło im w okamgnieniu. Postanowili oboje dzielić razem trudy życia tułaczego. Urządzenie interesów wymagało koniecznie powrotu generałowej do kraju. Puszczą się też w drogę z towarzyszką: myśl, że wkrótce połączy się z mężem, budzi w niej nowe siły.

Ustęp w dzienniczku, żywem skreślony piórem, maluje nam tę krótką, lecz pełną przygód podróż.

„Lubo też samą przebywamy drogę, którą niedawnośmy przebyły, uczucia przecież nie te same. Ileż tu niepokoju, ile strachu! Widzimy mnóstwo listów i papierów, wszystko to najsurowiej zakazane, ale jakże odmówić bratniej posługi? Jedziemy dniem i nocą... droga zła, zimno przejmuje do kości. Mijamy granicę, zwiększa się nasza trwoga. Czy nas tylko po raz drugi wypuszczają!

Mijamy spiesznie Brześć Kujawski, Krośniewice, Łowicz i Sochaczew. Zatrzymujemy się w Serokach. Zziębnięte rozgrzewamy się kawą. Siedząc przy kominku radzimy, co to będzie przy wjeździe do Warszawy. Wtem pocztyljon przynosi cedułę do podpisu, kładzie ją na stole i wychodzi. Nagła myśl przebiega mi przez głowę. Potrywam cedułę, rzucam w ogień: kto nam teraz dowiedzie, że jedziemy z Elblągu?

Wszedł niebawem sekretarz; przewraca w papierach, szuka czegoś długo, wybiega z izby, wraca z pocztyljonem. Wszczyna się sprzeczka. Pocztyljon dowodzi, że położył cedułę, sekretarz gniewa się, szarpie, klnie na czem świat stoi, grozi sześciu złotemi kary.

Wdajemy się wreszcie w tę sprawę.

— I o cóż panu tak idzie — rzeknę do sekretarza — napisz inną cedułę. Jedziemy z Kożuszek na dwa dni do Warszawy i koniec, a jeśli ten biedny człowiek ma zapłacić sztrof, oto sześć złotych; nie łaj go pan, on nas tak dobrze wiozł: musiała mu w drodze wypaść kartka, znajdzie ją zapewne i odda panu.

Uwierzył mi i złagodniał trochę: mruczając sobie pod nosem, podjął ze stołu papier.

— Jak się pani nazywasz?

— Jestem Tomicka, a to moja panna służąca.

Napisał nową cedułę; jedziemy dalej, mijamy Błonie, Oltarzewo, zbliżamy się do Woli. Noc już zapadła. Boże! ileż tu smutnych wspomnień! Ognie tleją w rozłożonych obozach, rzucają odblaskiem na mogiły, tak świeże, jak świeżą pamięć nasza! Z sercem ściśniętem stajemy w rogatkach. Pani S. zaczyna jęczyć i prosić, aby nas jak najprędzej wyekspedjowano.

— Wiozę do doktora chorą osobę — mówię do urzędnika.

— Chorą! może na spazmy — wybełkocze pijany rewizor, wsuwając latarkę do powozu.

Włożyłam mu rubla do ręki i wszystko poszło najpomyślniej.

— Ruszaj! — krzyknął na pocztyljona i powóz szybko potoczył się po bruku.

Nazajutrz czytałam w „Kurjerku“, że pani Tomicka z Kożuszek przybyła do Warszawy. Listy i papiery, przyciśnięte ogromną skrzynią, dochodzą pomału swego przeznaczenia.“

Jenerałowa przybyła do Warszawy w ostatnich dniach Listopada. Umyśliła być już w Elblągu przed Bożem Narodzeniem. Czytając dorywcze jej zapiski, zdumiewamy się nad działalnością i energią tej prawdziwie wyższej kobiety. Biega do adwokatów, zasięga rady, jak urządzić interesa majątkowe. Sprzedaj wsi niepodobna: według ukazu cara wszelkie układy od dnia rewolucji nie mają żadnej wagi przed prawem. Sprowadza braci, starszemu wypuszcza w dzierżawę Wierzbicę. Sprzedaje inwentarz, gromadzi szczupłe zasoby: siedm tysięcy zł. pol. w listach zastawnych i 1500 dukatów, oto wszystko, co mogła zebrać.

Podaje się o uzyskanie paszportu — porusza wszystkie sprężyny, aby go otrzymać najspieszniej. Wpóśród tych trudów i zajęć osobistych, nie opuszcza żadnej sesji w towarzystwie. Odwiedza lazarety, wdziera się do więzienia Karmelitów, karmi głodnych, odziewa zziębłych, koi smutnych, umacnia w duchu, podziela się chlebem i łzami.

Cały dzień poza domem, długie tylko grudniowe wieczory spędza z drogą sercu rodziną: z tą siostrą, z którą przebyła ostatni rok, tak pełen cię-

żkich przygód. Wspólna boleść tem silniej połączyła ich serca. Jak tu porzucić tę ukochaną siostrę, tego małego Władzia, to dziecko, co wzrosło pod macierzyńskim jej okiem? Całą jej osłoda myśl, że to rozłączenie długo potrwać nie może. Im większe nieszczęścia i krzywdy Polski, tem rychlej miecz sprawiedliwości zacięży nad karkiem jej prześladowców! Tak rozumowała czcigodna Polka, pewnośc ta budziła w niej otuchę. Pocięszała ją niemniej myśl, że zamieszka z mężem w Krakowie. Tam pod wpływem polskiej atmosfery, nie uczuje boleści wygnania, tam siostra odwiedzi ją niekiedy, tam sprowadzi i wychowa powierzone jej dziecicę. Takie to ułudy kołysały jej duszę w chwilach bolesnego rozłączenia!

Doświadczony generał nie podzielał w zupełności tych ułud. Styrawszy młodość w długich poniewierkach po świecie, znał on, jak gorzkim jest kęs suchego chleba, jak ciężką tęsknota do ziemi ojczystej. O ile pragnął mieć przy boku wierną i rozumną towarzyszkę, o tyle znów lękał się dla niej trosk i trudów, nieodstępnych od życia tułaczego. Starszy od żony o lat blisko trzydzieści, czuł się zarówno jej ojcem, jak i mężem. W kilku listach pisanych po powrocie jej z Elbląga, przedstawił jej własne obawy, zalecał, aby rozważyła rzecz dokładnie, obliczyła się z własną siłą, zasięgnęła rady najbliższych krewnych i przyjaciół.

Obawy te nie zachwiały bynajmniej jej postanowienia. „Miałabym się wahać? mówi z całą prostotą. Obowiązek żony wielkim jest już sam przez się, mój zaś po dwakroć wielki i święty. Biedny mąż, tyle lat walczył dla sprawy narodowej, dziś traci wszystko, nawet drogą Ojczyznę! Bodajbym mogła choć w części osłodzić jego boleść! To jedyne pragnienie moje!“

Piękne te słowa czytamy nakreślone w dzienniku na tydzień przed wyjazdem.

Mamy w ręku inną jeszcze pamiątkę: list generałowej do męża, w którym oznajmia mu niezłomny zamiar. Powtarzamy jej wyrazy, pełne postanowienia i spokoju, malujące prostą a wielką duszę.

„Kochany Mężu! Trzy listy Twoje odebrałam, ostatni list z daty 3-go t. m. We wszystkich radzisz mi, abym szła za zdaniem rodziny i życzliwych przyjaciół. Żyjemy w takim czasie, że rada bardzo jest trudną. Jużto kochany Mężu, ja idę za uczuciem serca. Postanowiłam dzielić z Tobą los, jaki nam przyszłość zgotuje. Nie może on być złym, skoro będę obok Ciebie i z Tobą!

Interesa moje już urządziłam jak można było. Sprowadziłam tu moich braci; Augustowi puściłam w dzierżawę Wierzbicę na lat cztery. Co się stanie potem, niewiadomo, bądź co bądź, tem się troszczyć nie wypada. Będziemy jeszcze bardzo bogaci; bo się do wszystkiego potrafimy zastosować.

Około 18-go t. m. a najdalej 20-go wyjeżdżam do Ciebie. Za mojem przybyciem naradzimy się, co nam dalej wypadnie przedsięwziąć. Przybycie moje w niczem nie zmieni terażniejszego Twego utrzymania. Powiększy się tylko moja osoba, a żadnym innym wydatkiem.

Bywaj zdrów najmilszy Mężu, pielęgnuj zdrowie Twoje, to jedno, czego pragnę, co ma dla mnie prawdziwą wartość. Zdrowa jestem zupełnie. Całuję Cię najserdeczniej Twoja na zawsze przywiązana żona.“

Już tylko dni kilka do wyjazdu. Następują smutne przygotowania. Towarzystwo sióstr polskich zwołuje pożegnalną sesję. Sowińska prezyduje.

— Liczcie mnie zawsze do związku swego — rzecz Małachowska, gdziekolwiek będę, należyć do was nie przestanę!

Pożegnanie z siostrą, z domownikami, rzewnie opisane w dzienniczku. Powtarzamy te słowa, skreślone drżącą ręką, wyrwane z głębi zbolełego serca.

„17. Grudnia 1831. Moja ukochana siostra dodaje mi odwagi! cieszy się z mego odjazdu! udaje rzecz widocznie. Dostrzegłam dziś kilka razy oczy jej zapłakane. Szczęściem, nie mamy czasu mówić o tem. Tyle osób przychodzi do nas! Tak już zmęczona jestem moralnie i fizycznie, że gdyby nie radość, iż jadę do najlepszego męża, iż los jego dzielić mi wreszcie pozwolono, upadłabym pod ogromem trudów! bo cóż to za boleść, patrzeć na te łzy, pa-

trzeć na to wszystko, co drogiem i świętem było sercu, rozdzielać się z tem wszystkiem, Bóg sam wie, na jak długo!

18-go o dwunastej w południe przyszły konie pocztowe, zostały przed domem, kosz już wypakowany. Służący, który miał mi towarzyszyć, wyszedł naprzód za roгатkę, bo dla niego paszportu nie uzyskałam. W imię Boga puszczam się na przygody! Lękliwa z natury, dziś na wszystko znalazłam siłę i odwagę. Smutne były ostatnie chwile w domu! Pocztyljon zaciął z bicia, zatrąbił na znak, że wszystko już gotowe. Potrzeba było siadać. Uściskałam moje dziecko, które stawiało budki z kart najspokojniej, a potem małą dziatwę siostry. Pożegnałam i drogą siostrę, nie mogąc słowa przemówić z żalu. Pozostała jeszcze wychowanka moja i służące: wszystkie uścisnęłam po kolei. Tak wielki był płacz i lament, że ludzie zbiegli się pod dom. Kiedym miała wychodzić z domu, wychowanka i służące rzuciły się na ziemię, jakby chciały wzbronić mi przejścia. Nie było rady! Musiałam przedrzeć się po nich i czem prędzej wsiąść do powozu. Nagle znikło wszystko z pod oczu moich. W roгатkach zastałam jeszcze szwagra, zameldował mnie i ostatni przyjął pożegnanie.<sup>4</sup>

Po dwóch dniach najokropniejszej drogi, w chłodną zamieć grudniową, z sercem utęsknionem i zbrękłemi powiekami, smutna wygnanka po raz ostatni dotknęła stopą drogiej ziemi ojczyściej i rozpoczęła ów długi szereg dni tułactwa, które miały wlec się przez lat czterdzieście!

## VI.

### Życie tułacze.

Podróż jenerałowej, przedsięwzięta w najsmutniejszej porze roku, w ponury i słotny dzień grudniowy, zdawała się być jakoby zapowiedzią przyszłych jej trosk i trudów tułaczego żywota. Pragnie w jednej chwili złączyć się z mężem, a tu w Brześciu Kujawskim nie ma na poczcie koni, trzeba czekać godzin



czternaście! Wyjeżdża na koniec ze stacji; o pół mili wywraca się powóz, zdruzgotane pudło rani jej do krwi głowę. Musi iść piechoto do pierwszej wioski, czekać aż kowal naprawi powóz jako tako. Przez Żuławy droga okropna, osie grzęzną w marznącym błocie, miejscami trzeba zakładać po dwa naście koni pocztowych. Ściągnęła wreszcie w późną noc do Elbląga, piątego dnia po wyjeździe z Warszawy.

Nazajutrz Wigilja Bożego Narodzenia, dzień niegdyś tak uroczysto obchodzony w kole rodzinem! Małżonkowie przełamali opłatek, zdławili łyżę cisnące się gwałtem do oczu. Nadchodzą rodacy, w izbie gwar i wrzawa. „Czegóż mamy życzyć sobie? rzecze gospodyni, podając im opłatek warszawski; udziel nam Boże w nędzy naszej stałości, zgody i wytrwania!“

Zaczyna się nowy rok, a z nim szereg nowych utrapień. W Elblągu przebywać dłużej nie podobna. Rząd rozkazuje opuścić wszystkim miasto. Nadzieja zamieszkania w Krakowie, która tak ożywiła serce naszej wygnanki w chwili rozłączenia z rodziną, spełzła także na niczem. Nie przebić muru głową! potrzeba szukać przytułku w świecie obcym, nieznanym!

Generalstwo wyjeżdżają do Drezna. Zastają tu liczne grono rodaków. Ciepła atmosfera, powiewająca z ognisk polskich, łagodzi chwilowo ich tęsknotę.

Klementyna Hofmanowa przebywała już w Dreźnie. Spotkanie z tą znakomitą kobietą, prawdziwą było pociechą dla naszej generałowej, wspólna praca w stowarzyszeniu sióstr Warszawskich połączyła je nierozzerwalnym węzłem.

Znajdujemy w dzienniku liczne wspomnienia wycieczek po Dreźnie, odbytych w towarzystwie Hofmanowej: nie będziemy ich tu powtarzać. Obraz ich, skreślony przed półwiekiem świetnym piórem naszej autorki, znany u nas powszechnie; powiemy tylko, w jaki sposób zewnętrzne wrażenia odbijały się w sercu generałowej. Nieobojętnym okiem patrzy ona, czy to w galerji, czy w muzeach, na wiekopomne dzieła sztuki, ale przedewszystkiem obchodzi ją to, co ma

jakikolwiek związek z narodową przeszłością naszą. Tu zatrzymuje się na placu przed spiżowym posągiem Augusta II.

— I czemuż to — mówi ze łzą w oku, Bóg nie pozwolił mi żyć za czasów tego króla! Czemuż od kolebki tylko patrzę na łzy i nieszczęścia biednej Ojczyzny mojej!

To znów przebiegając zamek królewski, ogląda z zajęciem pokoje, utrzymane starannie jako pamiątka historyczna, lecz opuszczone od jego śmierci, odkrywa na gobelinach orły i pogonie, połączone z herbami Francji. Był to upominek Ludwika XIV. W sali tronowej dreszcz zimny przebiega ją po żyłach.

—Tu przed tym tronem—rzecze, kiedy Polska wielka była i cała, Polacy świetnie i zbrojno przynosili hołdy panu swemu! Jak odmienny los nasz dzisiejszy! Polacy bez Ojczyzny stoją przed pustym tronem!

W Grünegewölbe zwraca zbolące oczy na ogromny szereg puharów. „Temi to puharami ojcowie nasi słodkie spełniali wino, a dla nas gorzkie pozostawili męty.“ Tę smutną uwagę czytamy zapisaną w dzienniku.

Zajęta zwiedzaniem zbiorów i okolic drezdeńskich, generałowa chwytą pilnie wieści, nadchodzące raz po raz z kraju! Smutne to wieści! Zaczne jej serce pęka z bólu, ilekroć posłyszysz o spełnionych tam gwałtach.

„Cóż to się dzieje w kraju! pisze w pierwszych dniach Lipca. Musieliśmy ciężko przewinić, kiedy Bóg tak ciężkie klęski na biedną Polskę zsyła. Tyle ofiar nie zdołało dotąd nasycić pomstę okrutnego wroga. Porywa dzieci, zabiera majątki, więzi głowy rodzin, niszczy narodowość naszą, i nikt się za tę nieszczęśliwą Polskę nie upomni! O! biedny ty mój narodzie, i my biedne twe dzieci! Ale poco narzekać? Skargi nasze ucieszyłyby jeszcze Mikołaja. Wszystkie jego piekielne wynalazki nie pogrzebią uczuć, nie zwichną wstecz dążności naszych!“

W pierwszych dniach Sierpnia, Małachowscy mieli opuścić Drezno, pośpieszyć do Francji. „W innym

położeniu, pisze generałowa, rada była bym zobaczyć kraj tyle nam ulubiony, tak przez nas naśladowany. Ale czyż można z upodobaniem rozpoczynać podróż, kiedy ta oddala nas od Ojczyzny, krewnych i przyjaciół? Wystarcza mi jednak pociecha, że towarzyszę drogiemu mężowi, zacnemu Polakowi, który po raz drugi rzuca ziemię ojczystą, by wywalczyć dla niej wolność i prawa. A więc dalejże w drogę!“

W parę dni potem, 9. Sierpnia Małachowscy opuścili Drezno z głębokim żalem. Tu jeszcze wśród rodaków, wśród pamiątek ojczystych, można było zapomnieć choć na chwilę smutnej doli tułaczey! W Strasburgu generałowa zapisała wrażenia z odbytej podróży i z gościnnego przyjęcia pocziwych Alzatów. Oto własne jej słowa:

„W ciągu sześciu dni, jadąc ekstrapocztą przebyliśmy cztery granice: bawarską, wirtemberską, badeńską i na koniec francuzką; 16-go o dziesiątej zrana wjechaliśmy do Strasburga. Otóż, pomyślałam przejeżdżając most na Renie, jesteśmy w kraju, gdzie nam przytułek dają! Dalekoż to od naszego! Co będzie dalej, nie śmiem pytać.

Jakże tu wszyscy gościnni i dobrzy! P. Poiret, właściciel wielkiej kawiarni Miroire, porwał nas prawie gwałtem z hotelu, gdzieśmy zajechali. Znaleźliśmy w domu jego mieszkanie i wszystkiego aż do zbytku. Wożą nas, oprowadzają wszędzie, bawią, czem tylko mogą. Dziś wieczorem odprawiono serenadę mężowi. Podczas gdy cała muzyka gwardji narodowej przygrywała Warszawiankę, powitał go komitet, złożony ze znakomitych obywateli miasta. Zebrało się mnóstwo ludu. Mąż zszedł na dół i podziękował temi słowy:

— Czuję to panowie, że nie dla mnie, ale dla sprawy naszej, ten honor mnie spotyka, gdyż nie jestem niczem więcej jak jednym z tych, którzy walczyli w dobrej sprawie. —

Było w tem coś tak uroczystego, tak przejmującego, że nikt wstrzymać łez nie mógł, a cóż to dopiero za widok dla żony i dla Polki!“

Nazajutrz potem dodaje generałowa: „Z rana położono na stoliku „Gazetę Strasburską;“ czytamy w niej artykuł: „Małachowski, jeden z najsłynniejszych wodzów naczelnych armii polskiej, przybył do Strasburga. Przewano tego dzielnego weteranem generałów polskich. Rodacy tak wielką mają cześć dla niego, że go cytują jako wzór patriotyzmu, odwagi i skromności.“

Było to 19-go Sierpnia w dniu św. Benigny. Mimo odebranych przez męża hołdów, rzewnie zapłakała solenizantka, przypominając sobie serdeczne uściski i życzenia, w tym dniu odbierane wpośród swoich. Z ciężkiem sercem weszła na szczyt wieży strasburskiej: „Wieża to, mówi, najwyższa w Europie a przecież i ztamtąd dostrzedz Polski nie mogłam!“

Po tygodniowym pobycie Małachowscy opuścili Strasburg, unosząc w sercu szczerą wdzięczność dla Alzatzyków. Z wielką trudnością przyszło im, wymówić się od darów, hojnie im ofiarowanych. Puścili się do miasta Besançon, jednego z głównych zakładów emigracji polskiej: było tam do tysiąca Polaków i kilkanaście Polek. Miejsce to Małachowscy wybrali na stałe mieszkanie.

Pobyt w Besançon rozpoczął się pod smutną wróżbą. Dwudniowa podróż niewygodnym dyliżansem strudziła generała. Zachorował ciężko w parę dni po przyjeździe. Żona sama nie wie, jak radzić w obcym miejscu, wpośród nieznanym całkiem ludzi. Biegnie do gospodyni hotelu.

— Czy mieszkają w tym domu Polacy? — pyta żywo.

— Jest ich kilku — odpowie zagadniona.

— Gdzież oni są? jakie ich numera?

— A o któregoż pani pyta?

— Wszystko mi jedno, byle Polak.

Gospodyni wskazuje numer. Generałowa kołacze do drzwi. Zbudzony ze snu Polak pobiegł żywo po doktora Kuczyńskiego. W parę dni potem przeszła choroba przy stosownie użytych środkach.

Małachowscy najęli mieszkanie, osiedli się na czas jakiś w smutnem mieście u podnóża Alp. Je-

nerałowa pełna życia, zawiązała stosunki z przybywającymi tu Polakami.

„Dobrze by nam tu było, pisze w pamiętniku. Mamy co niedziela Mszę Świętą w kościele Św. Jakuba: śpiewamy po niej wszyscy pieśń: Boże! zachowaj Ojczyznę naszą. Gdybyż tylko jedność i zgoda panować mogła między nami! gdyby można żyć po bratersku!”

Niestety! jedność ta niepodobną była przy zgorączkowanym usposobieniu umysłów, wytrąconych ze zwykłej kolei! Wkrótce w przykry sposób doświadczyła tego patrijotka. Zgromadzeni w zakładzie Polacy zaprosili generała na radę. Tam powitali go ze czcią, należną zasługom jego i podeszłemu wiekowi. Znalazł się jednak w gronie człowiek niepokojnego umysłu, niejaki Rakietti. Gdy wszyscy składają hołd przed zacnym weteranem, Rakietti przystępuje ku niemu z butną postawą:

— Dlaczego Praga oddaną była? — zapytuje zuchwale.

Szmer niezadowolenia rozszedł się po sali. Cały zakład uczuł się obrażonym.

Nazajutrz liczne grono ziomków, z prezesem Oborskim na czele, przybyło do domu Małachowskich. W nieobecności męża generałowa przyjęła gości, których skromny ich domek zaledwie mógł pomieścić.

— Przychodzimy tu — rzekł prezes, podziękować generałowi za zaszczyt, jaki nam uczynił, przybywając na zgromadzenie nasze, a zarazem przeprosić go za nierozsądek pana Rakiettego, który śmiał zadać niewczesne zapytanie.

— Człowiek z czystym sumieniem — odpowie spokojnie generałowa, nie lęka się opinii, gotów zawsze odpowiedzieć na poważne pytania.

— Racz pani być tłumaczem uczuć naszych — dodał Oborski, i uprosić czcigodnego męża, aby przebaczył jednemu z nas, który dziś wstydzi się niebacznosci swojej.

— Dopełnię woli panów — odpowie z powagą generałowa, zaręczyc mogę, że mąż nie jest bynajmniej obrażony. Sąd o nim należy do historii; jeśli

pan Rakietti pisać ją zamierza, niechże wiadomości o poddaniu Pragi poszuka w archiwach narodowych.

Wkrótce potem nastąpiła druga rocznica listopadowego powstania. Małachowscy wzięli udział w uroczystym obchodzie. Któżby z obecnych w Besançon mógł przewidzieć, że przez półwieku z górą obchód ten powtarzać się będzie na ziemi wygnania z niezgasłą wiarą w przyszłe losy Ojczyzny!

Zobaczmy, jak się rzeczy odbyły przed laty sześćdziesięciu.

„Policja zabroniła ogólnego zebrania, pisze wygnanka nasza. Po nabożeństwie i odśpiewaniu Tedeum, udaliśmy się wszyscy za miasto a obrawszy miejsce dogodne, odbyliśmy uroczysty obchód. Były tam deklamacje, mowy, śpiewy, muzyka. Lud przybył tłumnie, otoczył nas dokoła. Nie jedno oko lżą zaszło, bo i któżby nie zapłakał w obec takiej niedoli? Wszyscy prawie ubrani byli w mundury pułków swoich, kobiety w narodowe kolory. Byliśmy na obiedzie w Radzie Zakładowej. Aby tem lepiej uczcić ten dzień a zarazem wywiązać się Francuzom, którzy mimo zakazu policji przybyli na nasz obchód, nazajutrz wyprawiono wieczór tańczący. Wymawiałam się od tych zaprosin, lecz napróżno. Trzeba było ustąpić. Czarny kolor sukni mojej oznaczał żalobę, a w sercu czarniej było jeszcze i smutniej. Rozpoczęły się tańce, ale krótko trwała uciecha. O godzinie jedenastej zraniono mnie w nogę ostrogą. Krew zaczęła wytryskać jak z fontany, żyła przeciętą została. Widok ten przeraził wszystkich; kobiety mdleć poczęły, mężczyźni potracili głowy. Doktor zmieszał się, nie mogąc krwi zatamować. Biedny mąż w okropnym był stanie. Ja najspokojniejsza ze wszystkich, pocieszałam drogiego męża, a zgromadzonym współziomkom pokazałam strugę krwi, toczącą się po ziemi.

— Nam nie zabaw, ale ofiar jeszcze potrzeba — rzekłam do nich; ta krew, przypadkiem wytoczona, wskazuje wam obowiązek, że nie macie oszczędzać waszej dla wywalczenia wolności! —

Na tem skończyła się zabawa. Odwieziono mnie do domu. Dzięki Bogu, wypadek nie miał złych następstw. W dzień potem zupełnie wyzdrowiałam.“

Tę moc duszy patrijotka nasza umiała okazać w każdej okoliczności; zjednała też sobie cześć powszechną i zaufanie. Młodzi, podejmując jakiś ważniejszy krok, szli do niej z ufnością, jako do matki. W początkach roku 1833 przygotowywała się właśnie pamiętna wyprawa Zaliwskiego do Polski. Szał opanował umysły, serca kipiały. Kilku z tych młodych bohaterów, wskazanych losem na ofiarę, przybiegło do generałowej z prośbą o błogosławieństwo.

„Dnia jednego, pisze w dzienniczku, siedziałam sama, wtem zapukano do drzwi moich. Młodzieniec błądy wbiegł do pokoju, ukląkł przedemną.

— Błogosław mi matko — rzekł, idę do Polski.

— Niech Bóg pomaga tobie i wszystkim — odpowiedziałam, poruszona do głębi; ale czy pewni jesteście swego? jakaż rękojmia dla was?

— Nic pewniejszego — rzekł, wszystko w dniu jednym powstanie: tym dniem 12-sty marca. —

Zadrżałam, pociemniało mi w oczach. Stały mi w myśli biedne rodziny nasze. Ale gdzie idzie o los kraju, osobistość nic tam nie znaczy!“

Tenże sam młodzian udał się do Paryża: wrócił złamany w duchu. Przybiega znowu do generałowej.

— Pani! — zawoła z boleścią, zasłona spadła z oczu moich! Nie mam już tej pewności, jaką miałem dwa tygodnie temu. Radź mi pani, co czynić?

— Co czynić? — odrzekła poważnie, przysięgłeś, wybrany jesteś losem — cofnąć się niepodobna!

Wkrótce potem staje przed nią inny przysięgły.

— Błogosław mi pani! — zawoła, rzucam się w podróż niebezpieczną.

— Wiem o wszystkim — odpowie patrijotka, błogosławię wam z duszy całej; ale czy masz fundusz na drogę?

— Nie mam ani funduszu, ani paszportu, ani języka nie rozumiem.

— Przyjmijże choć mały zasilek.

Młodzian zatrzymał ją...

— Dziękuję pani, nam o jutrze nie godzi się myśleć, na dzień jeden wystarczy to, co mam.

Rozstali się ze łzami.

Z początkiem Kwietnia Małachowscy opuścili Besançon, udali się do Luxeuil, zastali tam parę rodzin polskich. Nadeszła Wielkanoc. Jenerałowa przygotowała babkę, szynkę i kilka jajek. Garstka ziomeków zebrała się w ich domu na święcone. „Cieszyliśmy razem biedę naszą, mówi smutna wygnanka, aż tu wieczór wszystko przemienił. Cały zakład z Besançonu wyruszył przez Szwajcarię do Frankfurtu, gdzie zapowiedziano powstanie. Siedmiu naszych z Luxeuil pobiegło na całą noc wśród burzy i deszczu, jak Khostal, bez ciepłej odzieży. Serce wydzierało nam się za nimi; lecz oni błagali męża, aby jeszcze pozostał, zaczem go uwiadomią.“

„Krótko trwał urok, dodaje w kilka dni potem, nadzieje zawiedzione! Powstanie w Frankfurcie skończyło się na niczem.“

Z Luxeuil jenerałstwo udali się na kąpiele do Plombières. Z zajęciem wygnanka nasza wyszukiwała tam pamiątek po Stanisławie Leszczyńskim. Miło jej zbiegło kilka tygodni w miejscu, gdzie król-tułacz przebywał niegdyś z upodobaniem, gdzie pozostawił żywą pamięć w sercu wdzięcznych Lotaryńczyków. Smutny był za to powrót do Luxeuil. Listy nadeszłe z kraju donosiły jenerałowej o konfiskacie majątku, o sprzedaży Wierzbicy przez licytację. Małachowska spokojnie przyjęła tę wiadomość: „Kto stracił kraj, zapisała w dzienniku, tego osobiste straty mało obchodzą. Byleby mi zdrowie służyć chciało, oddam się pracy i na los mój skarżyć się nie będę!“

Jenerał postanowił przenieść się do Tuluzy, gdzie, jak mówiono, życie tańsze było i spokojniejsze. Dobra żona nie sprzeciwiła się temu; z żalem jednak poczęła się wybierać. Myśl sama, że parę set mil oddali ją jeszcze od kraju, przejmowała ją smutkiem. W Październiku puścili się w daleką drogę. Podróż ta, na którą dziś potrzeba trzydziestu godzin, zabrała dni dwadzieścia, odbywana to na kołach, to statkiem parowym po Rodanie. W każdym z wielkich miast, tułaczka nasza zwidzała ciekawie miej-



scowe pamiątki. Wszystko ją zajmowało, ale nie mogło rozprószyć jej tęsknoty.

„Śliczne krajobrazy przesuwają się przed nami, zapisała w dzienniku, wszystko piękne dla oka, ale smutne dla duszy, bo obce.“

W Dijon wypadł pierwszy spoczynek. „Widzieliśmy wielu zamieszkałych tu braci — pisze generałowa. Nie mijamy żadnego miasta, żebyśmy wszystkich nie poznali. Wszakże my dziećmi jednej matki Ojczyzny! jeden cel pielgrzymki naszej, jedno uczucie łączyć nas też powinno. Jest ich tu przeszło dwudziestu, wszyscy grzeczni, przywoici, aż serce raduje się na ich widok.“

W Lyonie nowe spotkania, nowe odwiedziny. Był tam w przejeździe Mickiewicz. „Spoczynek w Lyonie wypadł 10-go Października, dzień to uroczysty, dzień naszych zaślubin, mówi wygnanka. Z nim, obok niego, dla niego, w każdym miejscu dzień ten jest dla mnie dniem wesela.“

Płynąc Rodanem do Awinionu, podróżni nasi stali się mimowoli przedmiotem powszechnej ciekawości. „Lord jakiś Anglik, pisze generałowa, siadł przy mnie na pokładzie: złą bardzo francuzczyzną zapytał, czy mnie bawi ta podróż.

— Dosyć bawi — odrzekłam spokojnie.

— Daruje pani mej śmiałości, dodał po chwili, ale myślę, że jesteś Polką. Ja tyle mam sympatji dla tego nieszczęśliwego narodu!

— Polką jestem, dziękuję panu za życzliwość — odrzekłam. —

Mówił mi, że był w Warszawie, że zna dokładnie sprawę naszą. Starał się przekonać mnie, że mieć będziemy Polskę całą i niepodległą, że Anglicy pragną tego usilnie. W miarę, jak się rozmowa ożywiała, podróżni przystępowali coraz bliżej: tłum w koło nas otoczył. Te ciągle politowania obcych, jeśli czasem chwytają za serce, dotkliwie jednak upokarzają miłość własną.“

W Awinionie pięćdziesięciu rodaków, przebywających w zakładzie, ze czcią powitało podróżnych. Spoczynek w Marsylii miłszym był jeszcze naszej wygnance, gdyż tam spotkała drogą jej sercu Klau-

dję Potocką. „Błogo mi, zapisała w książeczce, przyjrzeć się tej prawdziwie pięknej duszy. Błogo po myśli, że i my kobiety, ile możliwości naszej znamy obowiązek nieść pomoc braciom, czuwać nad ich stanem moralnym. Błogosławiona chwila spotkania naszego!“

Przybyli na końcu do Tuluzy. Wielkie to miasto nie przypadło do smaku wygnance. Mało tu było Polaków, Polki ani jednej. Śmiało przecież zabrała się do pracy, szukając w niej ulgi w tęsknocie. Oto ustęp z dzienniczka, wiernie malujący tę duszę nieugiętą.

„Jesteśmy już w mieszkaniu naszym, w spokojnym domu, u dobrych ludzi. Muszę zająć się pracą, bo i czas nie będzie tak długi. Z rękoma założonemi byłoby stokroć gorzej. Oj! nie ma jak praca koło domu: już widzę, jak bardzo postąpiłam na tej drodze. Sama chodzę na targ: koszyk mój często dobrze obładowany nie ciąży mi wcale. Wybieram co chcę, nikt mnie nie oszuka, sporządzam smaczne i zdrowe potrawy, czemuż ja tego dawniej nie czyniłam? Chwała Bogu! pozbyłam się naszych szlacheckich przesądów. Czyż praca zawstydzić może kogo? Boże! dodaj siłę, a z rozkoszą poddam się wszelkim trudom.“

Jakoż w sumiennem pełnieniu obowiązków gorąca patriotka czerpała siłę do zniesienia licznych krzyżów, jakie w tym roku spadły na jej barki. Naprzód doszła ją wieść o śmierci brata, jeszcze łez nie otarła po ciężkiej stracie, kiedy w początku 1834-go roku dobiegły ją z Polski najsmutniejsze wiadomości.

„Okropne rzeczy dzieją się tam, pisze w dzienniczku. Pomordowano biednych emisariuszów. Tyśiące rodzin skompromitowanych zaludniło Syberję, a żadnej ztąd niema dla kraju korzyści! O! jak tu nie boleć, jak być spokojną! Trudnoż nam potępić dobre chęci, ależ zbyt uczynna gorliwość często do szkodliwych prowadzi środków. Chciano dobrze — stało się inaczej!“

Udręczenia te źle oddziały na krzepkie zdrowie jenerałowej. Straciła sen i chęć do wszelkiego

posiłku, gorączka wyczerpywała jej siły. Żadnej Polki nie było w mieście, do Francuzek nie jej nie ciągnęło. Ultrademokratyczne wybryki ziomków, przebywających w Tuluzie, raziły jej szczerzy staropolski patryjotyzm. Pojęcia jej w tym względzie najlepiej określa własne jej słowa :

„Niech mnie nikt nie posądza o złą wolę dla demokracji: wychowano mnie w tych zasadach, nazwa wtedy nie była używaną, ale miałam przed oczyma wzór ludzkości i miłości Ojczyzny w całym znaczeniu tego słowa. Cenię więc demokratów rozsądnych i dobrze zapatrujących się na rzeczy! Ależ prawić Francuzom potwarze, czernić własny swój naród, twierdzić, że złem było wszystko, co czynili ojcowie nasi, słowem burzyć i niweczyć wszystko, to rzecz okropna, takich zasad podzielać nie mogę.“

Tu następuje żywo skreślony obraz ówczesnego demokraty :

„Dziś mieliśmy szczególne odwiedziny. Weszło dwóch ziomków; przyjęliśmy ich serdecznie. Dziwny ubiór jednego wymownie zapowiadał przy ponurej postaci, że ma na myśli coś sprzecznego z porządkiem społecznym. Nie dla szykany, ale chcąc dać wyobrażenie, jak dziwaczną postawę chcą sobie nadać niektórzy demokraci, dosłownie powtórzę rozmowę i opiszę ubiór. Niewyspana, blada, żółta, nabrzmiała i nieumyta twarz odznaczała wielkie niedbalstwo. Włosy rozczochrane wyglądały z pod obwiązanej szmaty. Ręce tak miał przerosłe brudem, że ciała dostrzedz nie można było; paznogie jak wiadać nigdy nie obcinane, odzież w okropnym stanie, na szyi okręcona, niegdyś biała, dziś wysmolona chustka, nie pokrywała piersi, od słońca ogorzałych. Z jednej kieszeni wyglądała fajka, z drugiej pakiet jakiś; z jednego buta wybiegał przez dziurę wiecheć słomy, z drugiego wielki palec z paznogciem niesłychanej długości. W rękę trzymał ogromną pałkę. Kapelusz przedziurawiony strzałem, kończył ubiór pierwszego gościa. Drugi zaś, młody, przystojny człowiek, bardzo starannie ubrany w polską czamarkę, stanowił z pierwszym dziwną sprzeczność.

— Jak się masz obywatelu — rzekł pierwszy do męża.

— Dobrze, ale ty obywatelu widać, że jesteś chory!

— To kontuzja z pod Grochowa — odrzekł z widoczną dumą.

— Siadajcie panowie, bardzo proszę.

— Przychodzimy tu obywatelu — rzekł demokrata, siadając — abyś nam pokazał listę, komu to i jakim prawem dałeś pieniądze, przysłane ci przez Czartoryskiego do rozdania.

— Jakie prawo masz obywatelu, pytać mnie o to? — zagadnął mąż spokojnie.

— Wszak to pieniądze emigracji a my emigrację stanowimy.

— Ależ ja nie mogę odpowiadać na pytanie, w ten sposób uczynione — rzekł mąż z powagą.

Drugi milczał, pierwszy ciągnął rzecz dalej:

— Bo to trzeba wiedzieć, jakiej my chcemy Polski — i ogromnym kijem kreślił granice po ziemi... takiej lub żadnej!.. Szlachta ze swoim przywilejem pod miecz! O! musim uczynić porządek!

— Potrzeba wprzód krew przelać dla Ojczyzny — odpowiedział mąż żywo, a prawo stanowić będzie dwudziestumiljonowy naród. —

Nie poszło to w smak demokracji; powstał z gniewem i bez pożegnania wyszedł z pokoju.

Obecny pan Kozłowski, oburzony taką sceną, udał się natychmiast na plac Kapitolu, gdzie zwykle zbierali się Polacy, opowiedział im całe zajście. Obeszło to wszystkich. Jeden z nich Brzozowski rzekł po krótkim namyśle:

— Jenerał Małachowski nie ma syna a sam obciążony wiekiem, ja więc staję w jego obronie a panów proszę na sekundantów. Kto ubliża wiekowi i zasłudze, ubliża nam wszystkim, którzy umiemy ją oceniać.

Obeszło się jednak bez krwi rozlewu. Demokrata pojedynku nie przyjął, skończyło się na tem, że plac ostrzelano a męża przeproszono za uchybienie.

Pieniądze, o których mowa, przysłane były w rzeczy samej na ręce męża przez Towarzystwo

naukowej pomocy — dla rozdania tym, którzy się wyłącznie naukom poświęcają.“

Szczęściem oprócz tych zagorzalców była w Tuluzie młodzież pracowita i zacna. Ta odwiedzała chętnie dom Małachowskich. Z pomiędzy nich najczęstszym i najmilszym gościem bywał Ludwik Nabelak, Belwederczyk a potem gorliwy i pracowity uczeń.

Praca koło domu nie mogła zapełnić wyższego umysłu generałowej: wkrótce też otworzyło się nowe pole jej działalności. Otrzymała list z Paryża od Klementyny z Tańskich Hofmanowej, powołujący ją na korespondentkę do nowo zawiązanego towarzystwa w celu wspierania chorych braci i sierót. Zadaniem stowarzyszonych było zbierać składki i fanty, jak niemniej wywiadywać się o biednych, potrzebujących wsparcia. Wezwana przyjęła obowiązek, lecz napotkane trudności boleśnie ją dotknęły. Na listy rozpisane przez nią, jedni wcale nie dali odpowiedzi, inni z gorzkim odpowiadali wyrzutem. Ubogich wprawdzie nie brakło, ale jakże tu żądać wsparcia, nie przyrzuciwszy nic do wspólnej skarboxy. Chwyta więc skwapliwie za igłę: przygotowała przez zimę mnóstwo drobnych fancików; ta praca ożywiła ją nieco, siły jej przecież nie wracały. Spostrzegł to generał, postanowił bądźco bądź opuścić z wiosną Tuluzę. W Maju małżonkowie wyjechali do Paryża, z zamiarem osiedlenia się bliżej stolicy.

W każdym z wielkich miast po drodze zatrzymywali się podróżni nasi, wyszukując wszędzie Polaków. Spotkali w Bordeaux kilku dawnych przyjaciół, w Poitiers za to przykrego doznali zawodu. Serce zacnej wygnanki pojąć nie mogło, aby każdy współrodak nie miał być jej bratem, choćby go nawet różniły opinie polityczne. W Poitiers, spotkawszy jakiegoś Francuza, dalejże wypytywać, czy są w mieście Polacy?

— Jest ich kilku — odrzeczcie Francuz, idzie właśnie z nich jeden, dodał, wskazując przystojnego młodziana.

— Monsieur Jean! — zawołał na głos, oto ziomkowie twoi.

Zagadniony obrócił głowę, spojrział podejrzliwie w oczy przybyłym.

— Któż jesteście obywatele? — zapytał zimno.

— Małachowscy — rzecze generałowa.

— Ha żegnam — odpowie półgłosem i odbiega jak oparzony.

W Tours było znów inaczej. Tu liczne koło ziomek z posłem Zwierkowskim na czele, przyjęło podróżnych czcig, odpowiedną ich zasługom.

Przybyli wreszcie do Paryża: tu odrazu znaleźli się w kole dobrych przyjaciół. Domy państwa Zarskich i Ordęgów, tchnące staropolską gościnnością, ukolysały stęsknioną duszę generałowej. „Prawdziwie zapomnieć by tu można, żeśmy na obcej ziemi, pisze w dzienniczku, sądziłam, że jestem w Krakowie.“

Liczne grono ziomek oprowadziło ją wieczorem po wspaniałych galerjach Palais Royal, ale te tłumy ludzi, ten blask świateł i djamentów wystawionych po oknach, nie zachwyił jej wcale, jak to wyznaje z całą prostotą.

— Spytano mnie, mówi, jakie wrażenie wyniosłam z Palais Royal.

— Darujcie parafiance — odrzekłam, że się zachwycać nie umie; nic tu nie ma takiego, czego bym sobie wprzód nie wyobraziła.

Jedni gniewali się na mnie, iż obojętnie patrzę na rzeczy, jakie w Paryżu tylko widzieć można, drudzy przyznawali mi słuszność. Kiedy toczył się spór o Palais Royal, ja myślą przeniosłam się do Warszawy i przypominałam sobie sklep Dyzmańskiego, gdzie wszystko porządnie ułożone, gdzie wtedy pokazują, gdy ktoś czego zarządza, nie kusząc przechodnia mnóstwem ponęt. I znów śmieli się ze mnie Polacy-Paryżanie, iż Miodową ulicę śmiem porównywać do tych cudów! Poszliśmy też na Bulwary. Piękne, to prawda, ciekawe, bawią oko, ale dla Polaka wygnańca trzech tu rzeczy brakuje: pieniędzy, spokojnej myśli, a szczególnie chęci do zabaw!“

Przyszła kolej na zwiedzanie pomników i zbiorów paryskich. Wśród tych patriotka nasza przedewszystkiem ojczystych szukała pamiątek. W Tuilleries

uderzyło ją popiersie Sułkowskiego, niegdyś drogiego Napoleonowi, który zginął w Egipcie, a narodowi swemu wiele przyczynił chwały. Zajął ją niemniej kościół St. Germain des Prés, a w nim grób Jana Kazimierza: ten smętne obudził w niej przeczucie. „Król nasz, mówi, zrzekł się dobrowolnie świetnej i kwitnącej Ojczyzny a my biedni tułacze, zwiedzamy grób jego, nie wiedząc, gdzie kości nasze spoczną!“ Smutniejsze jeszcze obudził w niej dom Inwalidów. Poświęca mu dłuższe wspomnienie.

„Widzę tu, mówi, żywe jeszcze pomniki chwały Napoleona! tu są towarzysze niejednej bitwy, w której mąż mój brał udział; tu w kościele złożone chorągwie, zdobyte w tych czasach wojennych tryumfów. Smutno mi na to patrzeć. I czemuż tu nie ma bohatera owych czasów, któryby nas znów do Polski zaprowadził! Oglądając ogródki uprawiane przez weteranów, w jednym z nich, po czapce polskiej poznaliśmy rodaka. Stary on już i dziecinniały, lecz serce widać młode i gorące. W ziemi obcej utworzył sobie polskie gniazdko: zatknął tu orła i pogoń, na nich zawiesił starą szablę. Strumyk toczący się ze skały, przypomina mu wzgórze krakowskie, słowem ma Polskę we Francji, rad że tu spoczną kości jego, że przelaną krwią zasłużył się Ojczyźnie!“

Na cmentarzach Montmartre i Père Lachaise, wygnanka nasza przedewszystkiem szukała grobów polskich. Mało ich było, ledwie kilka, i te jeszcze nie zarosły murawą. Przyglądając się wspaiałym pomnikom, spostrzegła jeden cały błyszczący od złota.

— Tu leży rodak państwa, p. K., — rzekł przewodnik, żona zbudowała mu ten pyszny grobowiec, ale żaden Polak nie uczcił go, bo duszą i sercem był zawsze z Moskalami! —

Niepodobna było Małachowskim wyszukiwać w Paryżu ziomek, jak to czynili w innych miastach; liczba ich była nazbyt wielka a umysły nazbyt zgorączkowane. Uważali jednak za miły obowiązek, odwiedzić ludzi wyższych zasługą i talentem. Widok pracowni Antoniego Oleszczyńskiego napełnił radością ich serce. Znakomity rytownik posiadał liczne

zbiory pamiątek narodowych i mnóstwo prac wykonanych biegłym swym rylcem. Dom jego był dla wygnańców jakoby oazą na pustyni, gdzie mogli napić się żywą krynica ojczystych wspomnień.

Pospieszili zarówno do Montmorency, gdzie mieszkał Niemcewicz z Kniaziewiczem. Obaj starcy serdecznie przyjęli miłych gości, złączeni z nimi węzłem gorącego patryjotyzmu.

Z żywym zarówno uczuciem powitała generałowa Klementynę Hofmanową. Obie razem udały się na sesję Towarzystwa Dobroczynności Dam polskich. „Czułam się w obowiązku, mówi wygnanka nasza, zdać sprawę z działań moich w Tuluzie. Zbiór książąt i hrabiów zaambarasował mnie trochę, rozpoczęto sesję w tonie żartobliwym. Nie wiele to wróżyło mi dobrego, bawią się — oto rzecz cała. I cóż mnie w to koło zamieszają? Oto chęć służenia biednym braciom. Zobaczymy, co będzie dalej...”

W kilka dni potem serce jej najżywszej doznało pociechy: Klaudja Potocka przybyła z Genewy do Paryża. „Dziwne szczęście i radość — pisze Małachowska, Klaudja jest tu, cały dzień z nią przebyłam. Ona tak zgodna z myślą moją, zajęta wyłącznie nędzą braci. Radziłyśmy, jak przyjść im w pomoc w sposób delikatny, tajemny. Bilety bankowe rozslane dziś w różne miejsca, ileż ulgi i osłody te dary przyniosą biedakom! Jakże ona pociąga serce moje! Sama jedna, bez ostentacji, w cichości ducha, wspiera nie tych, co śmiało proszą lub szukają poparcia, tych raczej, którzy szlachetne ubóstwo ukrywają przed światem. Chory, kaleka, sierota, starzec znajduje w niej pomoc, nie potrzebując formalności, nie narażając się na upokorzenie, by imię jego po registerach czytano.”

Jenerałowa odżyła pod słodkim wpływem Klaudji; inna jeszcze pociecha czekała ją w Paryżu. Jenerał po długim oporze, uległ namowom przyjaciół, pozwolił wymalować swój portret. „Jakże on podobny, pisze z radością żona. O! gdyby malarz mógł przełożyć na płótno obraz jego szlachetnej duszy, ale to być nie może! Nie ma na nim ani szlif, ani orderów,



ani haftów! — tem lepiej, prosta dusza wyda się pięknie bez tych ozdób.“

Dwumiesięczny pobyt w Paryżu był dla wygnanki naszej miłą oazą wśród skwaru życia tułaczego. W kole przyjaznych rodzin odetchnęła polską niejako atmosferą. Listy nawet z kraju lubo jak zawsze pełne smutnych szczegółów, pokazywały jednak wielką siłę żywotną, żelazną wytrwałość, odwagę i gotowość do wszelkich ofiar. Z pomiędzy innych listy generałowej Sowińskiej najsilniejszą budziły otuchę w sercu wygnanki. „Ciężca nie zgnębi nas, powtarzała z wiarą: Polska nie zginęła i nie zginie!“

Przyjaciele namawiali Małachowskich, aby stale zamieszkali w Paryżu, ale gwar i zgiełk wielkiego miasta nie przypadł do myśli generałowi. Raziły go bezustanne spory i dyskusje polityczne. Stary żołnierz, przywykły do subordynacji wojskowej, ubolewał nad rozdwojeniem zdań, nad nienawiścią jednych przeciwko drugim. Pragnął przedewszystkiem ciszy i spokojności. Dobra żona zgadzała się na wszystko, co mężowi miłym być mogło. Po długich naradach stanęło na tem, że osiedzą w Fontainebleau. Z początkiem też Sierpnia puścili się w drogę, na miejsce nowego pobytu. Liczne grono rodaków i rodaczek odprowadziło ich na statek parowy, niektórzy do Charenton, gdzie nastąpiło serdeczne pożegnanie.

Żegluga trwała siedm godzin. Nasi tułacze siedząc na pokładzie, przyglądali się smętnie pięknym brzegom Sekwany. Słońce złoćło malownicze wzgórza, zarosłe dojrzewającym winogradem. Milczeli oboje; myśl ich ubiegała w dalekie — mniej ponętne dla oka, ale droższe dla serca strony. Przed wieczorem przybyli do Fontainebleau. Nikt ich nie czekał w przystani: oko generałowej zaszło lżą na myśl tak zupełnego osamotnienia.

— Jak nam tu będzie? — pytała siebie w duszy: smutno, tęskno, możeż być inaczej wygnańcom?

Ale dzielna kobieta nie upadała nigdy na duchu: otrząsnęła też myśl ze smutnych wrażeń, podniosła ją ku Bogu. Wsparta o ramię męża, postawiła stopę na lądzie. Zawieziono ich do gospody.

— Od czegoż tu zacząć? — pytają siebie z rana. Widzieć swoich! prosta odpowiedź, i dalejże na zwiady! Zagadniona gospodyni, czy nie zna Polaków, mówi, że przy ulicy St. Médard mieszka jakiś pan Antoni. Ruszają więc żywo, kołaczą w progi owego pana Antoniego. Był to poseł Chluśniewicz, prawdziwie zacny człowiek. Ten poprowadził natychmiast przybyłych do Karola Różyckiego. W godzinę potem, gdy wrócili do hotelu, kilkunastu Polaków, zostających w zakładzie, przyszło razem złożyć hołd zasłużonemu generałowi. Wszystko to ludzie dobrze wychowani, łatwi w pożyciu. Jaka ich wiara polityczna, nie zapytują nawet Małachowsy. Dla nich każdy dobry, kto gorąco kocha Ojczyznę.

Przy pomocy usługnych ziomków, w tym dniu jeszcze wygnańcy nasi rozgościli się w nowych kątach. Generałowa urządziła jak mogła skromne gniazdeczko, aby w niem dobrze było mężowi i miło gościom, co je zechcą odwiedzić. Wszystko szło tu jakoś po jej myśli, cierpiała tylko na tem, że w Fontainebleau nie było żadnej Polki.

Życzliwem piórem generałowa kreśli obraz braci, osiadłych w Fontainebleau. Oprócz Karola Różyckiego i Chluśniewicza, który z żalem wszystkich opuścił wkrótce zakład, był tu Sawicz, miły i dobry człowiek, Topczewski, poczciwy z duszą, zajęty wyłącznie losem kraju: był i chłopak polski, Krakowiak, prosty ale rozsądny, pracujący w piekarni. Jeden tylko niejaki Laszyński, stanowił fałszywy ton w ogólnej harmonii. Zawzięty demokrat, nienawidził generała dla tego, że się zwał Małachowski i że podpisał kapitulację. On jeden nie odwiedzał ich domu.

Inni schodzili się w długie wieczory zimowe na chwilę pogadanki: nie była to niestety owa swobodna rozmowa przy kominkowym ogniu, co uspokaja skolatanego ducha. Umysły zanadto zgorączkowane, nie przyszły jeszcze do równowagi, serca nie zabliźnione ze świeżych ran, pociekały krwią przy najłżejszem zadrażnieniu: każda najobojętniej zaczęta rozmowa wbiegała natychmiast na tor polityczny: niektórzy w gwałtowne wpadali uniesienia. Napróżno

jenerał rozważnem i spokojnem słowem usiłował miarkować te wybuchy: uwagi jego nie wszystkim przypadały do smaku. Któż nie wie, jak takie spory przykre dla kobiet, zamilowanych w ciszy domowej? Nasza wygnanka umiała je przecież wyrozumieć. „Bo i dla kogoż, pyta ona, te sprawy obojętne być mogą? Kto zimno potrafi mówić o nich?“ I nie zamykała progów swoich rozdrażnionym braciom, ale słodkim wpływem łagodziła zwolna umysły.

Listy z kraju najważniejszy stanowiły wypadek w życiu tak jednostajnem. Wiadomo, jak za czasów Mikołaja surowo ścigano wszelkie stosunki z emigracją; najobojętniejszy list do ojca lub do brata poprowadził niejednego na Sybir. Wiadome niebezpieczeństwo nie zrażało jednak serc szlacheckich, przeciwnie, dodawało im bodźca. Jenerałowa Sowińska, znana z patriotycznych uczuć, a przez to samo pilnie śledzona przez Mikołajowską policję, nie przerwała nigdy piśmiennych związków z drogą jej sercu Małachowską, równie jak i z innymi rodakami. Jakaż to była boleść wygnanki naszej, gdy ubiegło kilka miesięcy a żaden list z Warszawy nie pocieszył stęsknionego jej serca. Tysiące domysłów trapi ją, odpędza sen z jej powiek. Przeczucia sprawdziły się niebawem; nadchodzi wieść, że Sowińska zamknięta w klasztorze za stosunki z emigracją!

Obok głębokiej boleści, jenerałowa Małachowska czuje się przecież dumną z przyjaciółki. Uwięziona cierpi... to prawda, ale imię jej zasłynie wpośród ziomeków, stanie się celem czci powszechnej. Słowa zapisane przez nią, godne zaprawdę przytoczenia:

„Jakaż to strata! ona jedna śmiało swe myśli i uczucia przelewała na papier, ona pragnęła wszystko wiedzieć o nas! Padła ofiarą własnej gorliwości! To strata wielka dla społeczeństwa, ale chluba dla dobrej Polki! Tem lepiej, że Mikołaj lękać się poczyna i nas kobiet! Bodajby więcej Polek naszych naśladowało Sowińską uczuciem i gotowością do ofiary! ale smutno tu wyznać, że takich liczba mała. Smutniej jeszcze, iż tak szlachetne uczucie niektórych zowią egzaltacją!“

Przechowanie zwyczajów narodowych było dla obojga jenerałstwa niezbędnym obowiązkiem. Zasoby ich niewyczerpane jeszcze, zresztą subsydja płacone przez rząd francuzki, pozwalały zadostyc uczynić potrzebie serca i prawom staropolskiej gościnności. Każda więc uroczystość, czy to religijna, czy narodowa, ściągała do ich domku grono rodaków, przebywających w zakładzie. W Wigilją Bożego Narodzenia spożywano migdałową polewkę, łamano popołu opłatek; siana nie brakło nigdy pod obrusem. W dniu 29-go Listopada obchodzono rocznicę powstania, smutną zapewne, bo zamiast spełnienia nadziei, kraj jęczał w ucisku; najgorętsi synowie Polski, wyrwani z gniazd ojczystych, tułali się po świecie! Lecz w owych czasach nikt nie przypuszczał, aby te głowy młode jeszcze, miały posiwić na wygnaniu, aby te krzepkie kości miały spróchnieć, przywalone obcą ziemią, a co gorsza, aby te serca kipiące aż do szału, miały strupieć za życia dla służby narodowej. Samo przypuszczenie takich następstw byłoby wtedy zniewagą majestatu narodowego!

Wielkanoc nasuwała tysiączne trudności naszej gospodyni, która lubo znała się doskonale na zarządzie domowym, w kraju przecieź otoczona czeladką, nie potrzebowała własnej ręki przykładać do roboty. Nie zraża jej to wcale; sama z pomocą męża przygotowawia szynki, nadziewa kiełbasy, gotuje jajka, piecze baby, placki, zastawia stół, a nawet sama bierze kropidło i święci dary Boże. Zwyczaj ten nieznanymy we Francji, a polskiego księdza nie było w Fontainebleau. Goście schodzą się, jedzą i zachwalają: serce wygnanki naszej rośnie na myśl, że w dniu tak uroczystym osłodziła niejednemu wielką gorycz tułactwa!

Trzeci Maj dawał pobudkę do nowego obchodu. Gorące serca chwytaly skwapliwie każdą sposobność do zebrania się w imię idei narodowej. Na wniosek jenerała, starego towarzysza Kościuszkowskiego, całe grono rodaków postanowiło odbyć pielgrzymkę do Montigny, gdzie Kościuszko przemieszkiwał czas jakiś. Jenerałowa opisuje dokładnie tę majówkę: po-

wtarzamy własne jej wyrazy, nakreślone pod świeżem wrażeniem, nazajutrz po wyprawie.

„Montigny odległe o trzy lieux od Fontainebleau. Najęto dwa osiołki: jednego ja dosiadłam, drugiego obładowano kosztami z żywnością, i napojem: wszyscy szli piechotą i nawet poczciwy Krakowiak Janek oderwał się w tym dniu od pracy u piekarza. Dzień był śliczny, droga lasem nadzwyczaj miła. Mąż był w dobrym humorze: młode chłopaki skakały i śpiewały, przypominając sobie dawne figle a ja wśród nich rosłam z radości, że w tułaczem życiu można znaleźć jeszcze choć chwilową pociechę!

Zbliżyliśmy się do miejsca. Serce raduje się, gdy widzimy, jak Kościuszkowski umiał zjednać sobie miłość powszechną. Kobiety, starce, młodzi i dzieci wymawiają imię jego tak wyraźnie i czysto, jakby ich narodowe. Każda kobieta, podeszła w wieku, powtarza o nim tysiące miłych wspomnień. Minawszy wielką wieś Montigny, gdzie matki uczą dziatwę, powtarzać imię swego dobroczyńcy, przebyliśmy małą rzeczkę: w bliskości ztąd widać tak zwany pałac Berwilli, był on dawniej własnością Zeltnerów, dziś przeszedł w inne ręce. Aleje topolowe, sadzone jak mówią ręką Kościuszki, prowadzą wprost do bramy.

Zsiadłam z osiołka: szliśmy razem z widocznym poruszeniem. Mógłże kiedy myśleć Kościuszkowski, że towarzysz, który odbierał i wykonywał jego rozkazy pod Racławicami, w wiele lat później, obciążony wiekiem, wygnaniec jak i on, zwiedzać będzie dom, kędy on przebywał i przyprowadzi z sobą dzielną młodzież, aby hołd jego cnotcie oddała. Patrząc na ten poważny orszak, pomyślałam sobie: gdyby Mikołaj widział to, nabyłby zapewne przekonanie, iż Polska istnieć musi, skoro tak szanuje wspomnienia narodowe!

Nad spławnym kanałem stoi domek rybaka. Zapukaliśmy we drzwi; wyszła do nas niemłoda już kobieta.

— Czy pozwolisz nam matko odpocząć w domu twoim? — zapytaliśmy.

— Jak najchętniej — odrzekła, wprowadzając nas w prog. Sama dziś jestem; córka moja z wnu-

czkami pojechała na jarmark. Państwo przybywają zapewne z Fontainebleau?

— Tak jest, pragniemy widzieć dom, w którym mieszkał nasz rodak.

— A! ... jesteście Polacy? Jakże ja szczęśliwa! tu na tem krześle odpoczywał nieraz Kościuszko; nie ma w wiosce najmniejszej chaty, którejby nie odwiedził, kędyby nie przyniósł pociechy tym, co jej potrzebowali. —

Tak rozmawiając kobieta pokryła stół czystą bielizną, rozłożyła na nim proste farfurowe talerze. Przed każdym postawiła srebrny kubek, wymieniając który komu, przez kogo był dany, przy zaślubinach, przy chrzcie dzieci i wnuków. Przyniosła wreszcie chleb i mleko, poczem oddaliła się, aby nam nie przeszkadzać.

Znikły w jednej chwili pasztety, pieczenie, szynki i ciasto, które przynieśliśmy w koszykach. Wydobyto parę butelek dobrego wina, ponalewano w kubki. Pułkownik Różycki przemówił uroczyście do zebranych:

— Uczciliśmy pamięć bohatera Polski, znakomitego republikanina, człowieka wzorowych cnót i bezinteresowności. Pozostaje nam bracia, oddać hołd jednemu pomiędzy nami, jego towarzyszowi, który jest rzetelnym tamtego obrazem. Niech nam żyje długo dla przykładu!

I ukląkł przed mężem moim, całował jego rękę, wychylił do dna kubek, a odwracając się do syna, dodał z uczuciem:

— Radhym, abys go naśladował.

Widok ten tak mnie głęboko wzruszył, że wybiegłam do ogrodu, zanosząc się płaczem. Pocziwa gospodyni spostrzegła to, wyszła za mną i poczęła troskliwie wypytywać o przyczynę łez moich.

— To łzy radości dobra matko, dostrzegłam je w każdym oku, nie mogłam pozostać dłużej z nimi!

— Czy znałaś pani generała Kościuszkę? — zapytała stara.

— Nie, ja go nie znałam, ale mąż mój znał go bardzo dobrze.

— Oj! bo też to był godny człowiek — ciągnęła kobieta. Gdy weszli sprzymierzeńcy, on mieszkał tu podówczas. Wpadło kilkunastu ułanów i nuż zabierać gwałtem zboże; narobili strasznego hałasu. Skoro to posłyszał generał Kościuszko, wpadł natychmiast między nich i upominał, że źle postępują.

— Kto pan jesteś? — pytają żołnierze, z kąśmiesz dawać takie przestrogi?

— Jestem Kościuszko!

Na te słowa wszyscy zsiadli z koni, upadli przed nim na kolana, a potem odjechali, żadnej nie wyrządziwszy szkody:

— Bo też to byli Polacy — rzekłam, wiedząc oddawna o tem zdarzeniu. Chciałam wytłumaczyć rzecz poczciwej kobiecie, ale w tejże chwili dał się słyszeć z chaty głośny okrzyk.

— Zdrowie Polki, co podziela tułactwo nasze! — wołali wszyscy razem.

Ostatni to był toast już i wina zabrakło.

Udaliśmy się z prośbą, aby nam pozwolono zwiedzić pałacyk. Kończymy do bramy. Pies na łańcuchu zaczął wyć przeraźliwie. Otworzono bramę; rodzina siedziała przed domem. Kobieta w średnim wieku, w żałobie, zbliża się do nas; pyta, czego żądamy?

— Jesteśmy Polacy, pozwól nam pani zwiedzić dom, w którym mieszkał Kościuszko.

— Jak najchętniej! — to rzekłszy, zdjęła z kołka klucz i poprowadziła nas na drugie piętro; otworzyła pokój z jednym oknem.

— Tu — rzekła, zazwyczaj pracował, z tego okna przyglądał się pięknej okolicy. —

Nadszedł i sam gospodarz z młodą żoną. Są to dzierżawcy; od lat dwóch zajmują dom; z tradycji tylko opowiadali nam o Kościuszcze. Ja oglądałam się, czy nie znajdę jakiegobądź przedmiotu, coby mi obecność jego przypominał. Nic!... ani na szybie, ani na ścianach nie dopatrzyć najmniejszego znaku. Z okna widok na ogród. Pokazywano nam drzewa, sadzone jego ręką. Tu, na tej ławie siadywał nieraz i czytał, w tym kanale hodował karpie: po obie-

dzie wychodził do nich z chlebem; gdy zadzwonił, zbiegały się do niego.

Pytałam, czy nie żyje który z tych karpi? Śmieli się wszyscy ze mnie. Poszliśmy do drugiego pokoju.

— Tu sypiał — rzekła gospodyni.

— Nie zostało po nim żaden sprzęt? — zagadnęłam.

— Nic a nic, wszystkośmy odświeżyli.

Powiodłam smutnem okiem po ścianach, tu owdzie spleśniałych od wilgoci: w rogu pokoju była jakaś framuga.

— Tu musiał stać piec? — rzekłam.

— Tak jest, ogrzewał oba te pokoje, ale że był zbyt wielki i nieużyteczny, kazaliśmy go zburzyć.

— Szkoda — odparłam, gdyby on tu został i ogrzewał czasami w zimie, nie byłoby na ścianach tych plam i tej wilgoci.

Zeszliśmy do wielkiej sali na pierwszym piętrze.

— Tu jadał zwykle obiad i śniadanie — rzekła przewodniczka, a w tym oto salonie zabawiał się czasami.

Spostrzegliśmy fortepian. Na prośby nasze młoda pani zagrała. Następnie Seweryn Pilchowski jął śpiewać mazury i dumki ukraińskie. Wszyscy przywtarzali z ogniem. Myśl nasza, to się przeniosła w głąb przeszłości, to wybiegała w lepszą przyszłość. Pożegnaliśmy wreszcie uprzejmych gospodarzy, odwiedziliśmy jeszcze chatę rybacką i późno w noc o chłodzie wróciliśmy do domu. Przeciągłe tony dumek ukraińskich przepływały z rosą po wielkim lesie.“

Wkrótce po tej wycieczce generałstwo odebrali zaprosiny od rodziny Zeltnerów, dla obejrzenia pomnika na cześć Kościuszki. Pomnik miał stanąć w Montigny na kopcu umyślnie usypanym. Nie był jeszcze zupełnie wykończony. Odkrycie miało się odbyć z wielką uroczystością. Zeltner porozsyłał już odezwy do rodzin polskich, przebywających w Paryżu i po bliskich miastach. Jenerałowa Małachowska miała być gospodynią uczyty. Jenerał jako towarzysz Kościuszki miał zagaić mową uroczysty obchód. Nie podobna było odmówić Zeltnerowi, ów-



czesne jednak położenie przedstawiało wielkie trudności, zwłaszcza dla generała. Jak tu mówić w obec kilkuset osób, przy tak niesłychanem rozdrażnieniu umysłów i przy tylu stronnicych uprzedzeniach? Wywołać nowy skandal! rzecz okropna! Małoż ich było i bez tego?

Jenerałowa drżała na myśl samą, co ztąd wyniknąć może: drżała o męża, którego spokojność droższą jej była nad wszystko, drżała o ziomków, aby jakimś gwałtownem wystąpieniem nie splamili polskiego imienia.

Skończyło się na niczem. Nie przyszło do uczty. Ludwik Filip zakazał jej na żądanie posła moskiewskiego. Żandarmi, rozstawieni po wszystkich drogach w lesie, zatamowali przystęp. Gwałt taki oburzył Francuzów. Podprefekt, któremu nakazano spełnić wyrok, podał się natychmiast do dymisji.

Tę niechęć rządu nagradzały sownie wygnańcom oznaki szczerzej miłości, napotykanę co krok i to nietylko u ludzi wyższych wykształceniem, ale i w najniższych warstwach społecznych. Razu jednego, w przejeździe do Paryża, podczas gdy pocztyljon przepręgał w Melun koni u dyliżansu, jenerałowa wyszła z mężem naprzód piechotą: zasiedli na polu przy drodze. Wydobyli z koszyczka podróżne zapasy. Chłopiek tymczasem orał zagon, kiedy z pługiem zbliżył się do podróżnych, zaproszony przez nich uprzejmie, posilił się wraz z nimi. Chwilę trwała przyjacielska rozmowa: nadjechał dyliżans.

— Chwałaż Bogu! — zawołał oracz, mnie serce bolało na myśl, że państwo idą piechotą. Niech was Bóg szczęśliwie prowadzi i niechaj rychło zawiedzie was do Polski.

Kiedy indziej znowu wyszli na przechadzkę do pięknego parku w Fontainebleau, gdzie dwa razy w tydzień przygrywała muzyka wojskowa. Zasiedli na ławce wśród liczego grona słuchaczy, po uwersturze nastąpił chwilowy przestanek. Jeden z oficerów sztabowych zbliża się do pułkownika, szepce mu coś na ucho i wraca niebawem do muzyków. Ci dobywają nowe kajety, uderzą w nowe akordy. „Jeszcze Polska nie zginęła!“ rozlega się po parku, następnie

mazur Chłopickiego i rzewna Warszawianka. Wszystkich oczy zwróciły się na dostojną parę, iza w niejednym zabłysła oku.

W rok po zamieszkaniu w Fontainebleau, Małachowscy wyjechali na kąpiele do Vichy; w podróży tej przekonali się znów o szczerzej życzliwości serc francuzkich. Zawieziono ich do pięknego hotelu. Jenerałowa pyta o cenę.

— Siedm franków na dzień od osoby — odpowie gospodyni.

— To wcale nie drogo — rzecze wygnanka nasza, ale my wydawać tyle nie możemy. Racz nam pani wskazać dom prywatny, gdzieby można żyć tanio, jak przystało w położeniu naszym.

Gospodyni ujęta za serce taką szczerością, wskazała skromny i tani domek; odtąd jednak nie spuszczała z oka polskiej rodziny. Córka jej, panna Józefa, przybiegała codzień, znosząc różne przysmaki i ciasta. W dzień odjazdu, właścicielka hotelu sama przyszła na pożegnanie z koszem naładowanym zapasami. Trudno nie przyjąć daru. Jakież było zdziwienie jenerałowej, kiedy po dwóch czy trzech dniach podróży, zajrzawszy na dno kosza, zobaczyła w nim parę luidorów. Rozrzewniona taką delikatnością, napisała do właścicielki hotelu z podziękowaniem, oznajmiając, że datek jej rozdzieli między ubogich ziomeków. „Gdybym, mówi, nie znała biedniejszych od siebie — przyjąłabym bez upokorzenia ofiarę, tak chętnie uczynioną.“

Inne jeszcze dowody współczucia, odebrane w Vichy, przekonały jenerałową o gotowości do ofiar na rzecz tułaczy polskich. Raz, gdy piła wody, poważny Francuz przybliżył się do niej, z całym poszanowaniem podaje kubek, rozpoczyna rozmowę, pyta o Polskę, o nadzieje i widoki na przyszłość, dochodzi wreszcie do prześladowań, do konfiskat majątków.

— Czy państwo pobierają dochody jakie z kraju? — zapyta na koniec nieśmiało.

— Żadnych — odpowie zagadniona, majątek nasz zabrany.

— Jakżeż tak państwo utrzymać się możecie?

— Fundusze, jakie nam rząd francuzki wyznacza, zupełnie dla nas dostateczne.

— Przebacz pani mojemu natręctwu — doda tamten po chwili z godnością, ale jestem republikaninem, wasza sprawa leży mi na sercu. Posiadam znaczny majątek, nie mam dzieci, ani rodziny; byłbym szczęśliwy, gdybyście odemnie chcieli przyjąć...

— Z szczerą wdzięcznością przyjmuję życzliwe oświadczenie pana — odrzeczł generałowa, ale nie zbywa nam na niczem, ofiary przyjąć nie możemy!

Ten przyjaciel Polski był członkiem Izby prawodawczej.

O ile takie oznaki współczucia radowały wygnankę naszą, o tyle znów czuła się upokorzona widząc, jak oszuści różnych narodowości wyzyskują tę sympatję. Na jednym afiszu czyta imię jakiejś szybkobiegaczki z Krakowa, na drugim ogłoszone sztuki kuglarskie jakiegoś Lowińskiego, na trzecim wiadomość, że pani Zaremba grać ma na fletrowersie. Tu znów opowiadają dziwy o jakiejś kobiecie, która zeszłego roku sprzedawała na wagę złota robotki, rozchwytywane jako prace emigrantki polskiej. Szczerze cierpiała nad tem Małachowska, wszelka ujma godności narodowej dotykała ją do żywego.

Ukrzepieni na zdrowiu jenerałstwo powrócili do swoich kątów. Wpływ obojga niesłychanie oddziaływał na rodaków, przybywających w Fontainebleau. Młodzież przysłuchiwała się ze czcią opowiadaniom starego towarzysza Kościuszki; spokojna atmosfera staropolskiego domu złagodziła umysły. Zaczyna matrona polska z pociechą patrzeć na tę harmonję, do jakiej dostrajały się serca, niedawno tak burzliwe, myśli tak roztracone. Gdyby na tułactwie było więcej im podobnych domów, przekonani jesteśmy, że wpływ ich dobroczynny byłby odwiódł biedną młodzież od niejednego szaleństwa, od niejednego rozpaczliwego kroku.

Z chlubą nasza wygnanka zapisuje w dzienniczku: „Czas zbliżył nas wszystkich nawzajem: już tu zaczyna się pożycie takie, jakie powinno być między tułaczami. Jednoczy nas myśl wspólna, nie

stronimy od siebie. Każde święto obchodzimy razem, przechadzki razem odbywamy: zebrawszy się w domu wieczorem, opowiadamy sobie, co kto słyszał, co odebrał w liście i t. p.“

Myśl o ubogich rodzinach polskich zajmowała bez ustanku Małachowskę. Mamy przed oczyma kilkadziesiąt listów Klementyny Hofmanowej: w każdym z nich to podziękowanie za nadesłane robótki, to wiadomość o rodzinach, zaleconych Towarzystwu Polek przez gorliwą korespondentkę.

Przyjacielskie stosunki z Klaudją Potocką dopomagały jej do czynienia zadosyć potrzebie zagnanego serca. Z jakąż to radością, stosownie do polecenia dobroczynnej Klaudji, widzimy, jak wyszukuje prawdziwie biednych, tych zwłaszcza, którzy woleli mrzeć z głodu, niżli wyciągać rękę po jałmużnę. W roku 1836, jak świadczy dzienniczek, parę tysięcy franków przeszło przez jej ręce, to dla obarczonych rodziną, to dla chorych z ran, na drogę do wód pyrenejskich.

Ale niestety! krótki czas upłynął, a oto czytamy w dzienniczku imię Klaudji, drżącą nakreślone ręką. „Boże! jakaż to strata! nikt jej nie zastąpi! nikt nie zrówna jej w miłości bratniej! Klaudja Potocka była wzorem cnót patryjotycznych i poświęcenia dla Ojczyzny! Ta dobra, ukochana Klaudja znikła z pomiędzy nas! Ale nie dość płakać nad grobem, trzeba ją naśladować!“

I jakże tu iść śladem Klaudji, miljonowej pani, która tak hojnie mogła szafować złotem! Jak tu nakarmić tylu łaknących, których liczba coraz bardziej się mnoży? Wygnanka nasza przemyśla dniem i nocą, przywołuje na myśl pamięć Klaudji, przypomina każde jej słowo, i oto światełko zabłysło w najgłębszych tajnikach jej ducha. Nie samym chlebem żyje człowiek, rzecze do siebie, na całej przestrzeni Polski dusze łakną, serca mrą od posuchy. W imię Klaudji pošlijmy im ożywcze słowo, a to słowo nakarmi łaknące, jak manna karmiła na puszczy lud wybrany!

Myśl nowego stowarzyszenia zrodziła się w duszy Małachowskiej. Celem jej było podnieść i ugo-

dnić kobietę, wyzwolić ją z jarzma wymagań światowych, uleczyć z próżności; słowem piękne bawidelko salonowe uczynić obywatelką kraju, piastunką przyszłych pokoleń, odrodzicielką Polski. Myśl ta, lubo zwichnięta w samym zarodzie winą osób przypuszczonych do dzieła, przedarła się jednak przez kordony i słupy graniczne. Padła na bujny zagon, powlekła setki ofiar na Sybir lub za kratę więzienną, ale poruszyła serca z martwoty, rozpałała w nich iskrę żywotną i wydała owoce, które przyszłość dopiero zrozumieć i obliczyć potrafi.

Ktokolwiek z nas sięgnie jeszcze pamięcią, w pierwsze lata po listopadowym powstaniu, wie, że ówczesny stan umysłów smutniejszym był jeszcze, niż sam ucisk tłoczącego nas jarzma. Serca upadły jak zwykle bywa po każdym gwałtownym wysileniu. Kozak nie zdierał bagnetem sukni żałobnej, bo nikt jej nie nosił. Trwoga padła na ojców rodzin, w obawie aby ich nie posądzono o dążności rewolucyjne, wlekli córki na bale Paszkiewicza. Polki tańczyły ze strachu; zrazu ze wstrętem dotykały krwią cuchnącej ręki bohaterów Oszmiany i Warszawy: wkrótce oswoiły się z nimi. Smutna piosenka: „Tańczycie Polki! teraz czas tańcować!“ powstała jako piętno sromoty, wyciśnięte na czole ówczesnego społeczeństwa.

Powie może niejeden: wszak tylko panie z wyższej arystokracji tańczyły w salonach Paszkiewicza? Prawda, i to nie wszystkie tańczyły, słuszność dodać tu każe, ale i te, które unikały stosunków z Moskalami, dopełniałyż wielkich obowiązków, jakich czas tak silnie wymagał? Unikanie złego nie jest jeszcze dopełnieniem powinności. Praca tylko wytrwała, mozolna, kierowana silną wolą, prowadzona systematycznie, staje się zasługą prawdziwą. Ktokolwiek tłumaczy się, że wróg zamyka mu pole działania, kłamie w obec siebie i drugich. Wróg nie bronił wówczas nauczać działość wiejską, nie bronił utrzymywać przyjaznych stosunków z włościanami, oświecać ich umysł, jednać sobie ich miłość i zaufanie, a czyż myślały o tem owe panie wiejskie, które

tak gorzko wyrzucały arystokracji tańce po salonach moskiewskich? Każdy czas przedstawia właściwe sobie zapory, ale serce przepelnione miłością, umysł świadomy obowiązku, znajdują właściwe drogi, a wola dzielna złamie wszelkie trudności.

Upadek ducha w kraju, lubo wielki w tych czasach, nie doszedł jednak do tego stanu, z którego człowiek i naród podźwignąć się już nie może!

Wygnanka nasza, acz stąpała po ziemi obcej, duszą całą żyła w ojczystem gnieździe.

— Dokąd piszesz list? — zapytuje mąż nieraz.

— Do domu — odpowiada bez wahania.

Polska była dla niej jedynym domem, wszelkie inne miejsca, chwilową tylko gospodą. Domem jej nie ta Polska, obcięta przez wrogów, obwarowana jakimiś traktatami, ale ta, jaką Bóg stworzył i wypiastował, Polska od Karpat do morza, od Warty po za Bug, Dniepr i Niemen, uświęcona tradycją wiekową, związana łańcuchem wspólnych uczuć, wołająca do Boga jękiem wspólnej boleści!

— Co tam słychać w tym domu? — pytała bezustannie i ludzi przybywających z Polski i świstka papieru, przyjazną nakreślonego ręką. Od ludzi najczęściej smutnego doznawała zawodu! Piękne pawie, przyjeżdżające wtenczas do Paryża, odgrodzzonego od nas chińskim murem, zajęte strojami i zabawą, słabe jej dawały pojęcie o duchowym stanie współziomków. Po każdym takim spotkaniu czuła się złamana i zbolala. Listy, jakkolwiek krótkie, tajemnicze, więcej nierównie przekonywały ją, że iskierka tleje pod popiołem. Z każdego słowa Sowińskiej, dopóki mogła pisać, tryskała głęboka, niezłomna wiara w przyszłość.

„Złe tu, doniosła czcigodna przyjaciółka, ale miejmy odwagę i wytrwałość. Cięższa nie pognebi nas, Polska żyje, żyć będzie, żyć musi!”

— Polska żyć musi! — powtarzała zacna wygnanka — rozszarpana przemocą, pozbawiona bytu politycznego, przyciśnięta stopą ciężczy, Polska żyje w sercu synów i córek swoich. Roznieśmy iskierkę, niech wybuchnie płomieniem!

Elekroć w sercu ludzkim zbudzi się myśl żywotna, okoliczności przychodzą same w pomoc. Znajoma z Paryża uwiadamia generałową, że państwo N. N. przybyli właśnie z kraju, że pani, sama wielka patrijotka, opowiada wiele ciekawych i prawdziwie pocieszających rzeczy. „Przybывaj, pisze korespondentka. W Paryżu mówią, żeście z Klaudją utworzyły związek kobiet, do ciebie należy prowadzić dalej wielkie dzieło!”

Ani Klaudja Potocka, ani generałowa nie mówiły nigdy o wzajemnem zobowiązaniu. Ludzie patrząc z daleka na przyjaźń dwóch zacnych kobiet, dopatrywali w niej jakiś tajemny spisek.

— Patrijotka z kraju! — dwa te wyrazy w liście uderzyły silnie generałową. „Kto wie, mówiła w duszy, może to jaka posłannica Boża! godzina pomyślna może nam wnet uderzyć!”

„Naznaczcie dzień, przybędę na pierwsze wezwanie,” odpisuje znajomej. Nazajutrz odbiera list nowy.

„Przyjeżdżaj 10-go Sierpnia, czekać cię będziemy; przygotuj projekt na piśmie, każda z nas uczyni to samo.“

— A więc to nie sen — zawoła Małachowska, serce jej bije gwałtownie, upada na kolana, modli się gorąco. Boże! oświeć mnie! — błaga z uniesieniem, wskaż mi, czego kraj potrzebuje!

I ukrzepiona modlitwą, chwyciła pióro, kreśli kipiące słowa. Powtarzamy całą tę odezwę jako nadzwyczaj charakterystyczną. W niej jakby w zwierciadle odbija się wielka dusza Małachowskiej.

„Choćby nadzieje nasze omylone zostały, nie siedm, ale siedmdziesiąt siedm razy, nie traćmy nadziei. Panie! tyś nie odstąpił Twego ludu w niewoli, nie oddałeś go na zawsze w ręce ciemięzców, (L a m e n n a i s.)

„Nieszczęścia Polski głośne są, jej stan obecny zasmuca serce, ale rozpacz nie ma wstępu do serc jej synów. Polska żyje! żaden naród nie traci istnienia, dopóki nie zrzecze się występnie własnej godności, dopóki pełni powinność, żywi społeczne cnoty.

„Po dwakroć kamień, na którym zbrodnicza ręka śmierć Polski zapisała, kruszył się na jej politycznym grobie. Każdy dobry Polak wierzyć powinien, że własne siły narodu wystarczą do podźwignienia całej Polski. Ale wielkie dzieło potrzebuje wielkich ofiar; słabe tylko dusze przerażają się trudnościami, i nie zdolne wznieść się do myśli odzyskania praw człowieka. Inna cecha ludzi szlachejnych. Wiedzą oni, co winni narodowi, wiedzą, że w szczęściu innych leży ich własne szczęście, chętnie też poświęcają się dla ogółu.

„Waleczni nasi ojcowie, bracia, mężowie, w kraju i na wygnaniu, w chwilach powszechnego ucisku, nie przestają pracować dla Polski. Do nas kobiet należy wzmacniać ich siły moralne, przykładając się wraz z nimi do tak wielkiego dzieła. Dla tego zobowiązujemy się niniejszym aktem, pomiędzy wszystkimi mieszkańcami Polski w kraju i w emigracji, bez różnicy rodu, stanu i wyznania, zaszczeplić, podnosić, utrzymywać uczucia braterstwa, wolności, równości i poświęcenia, gdyż to są warunki społecznego bytu. Początkiem ich i końcem sam Bóg! Naruszenie ich spowodowało źródło nieszczęść, któremi dziś nasza ziemia zalana.

„Wyrzekamy się więc dawnych przesądów i zastarzałych wad narodowych. Urodzenie, bogactwo, znaczenie i urzędy nie mają dla nas żadnego powabu: cenimy ludzi z ich poświęceń, zasad moralnych, z uczuć prawych i szlachejnych, czystym zapalem miłości Ojczyzny ożywionych, słowem z ich rzeczywistych zalet. Nie zapytajmy starającego się o rękę kobiety, z jakiego pochodzi rodu, jakie ma znaczenie i majątek, lecz przedewszystkiem, czy się zasłużył, albo czy gotów służyć swej Ojczyźnie, czy gotów poświęcić się dla dobra ogólnego.

„Rodaczki moje! nie jest to trudnem do wykonania, byle tylko towarzyszyła chęć szczerą. Czyste są chęci nasze, nie oparte na osobistym celu. Bóg błogosławić im będzie, zli ludzi nie odważą się szkodzić naszym zamiarom. Takie są zasady stowarzyszonych, które czerpane w Boskiej nauce Chrystusa, przekazujemy młodszym pokoleniom.



„Podpisane na niniejszym akcie, postanawiamy w tym duchu pracować, oraz łączyć dotychczasowe pojedyncze usiłowania, aby tem silniej wpłynąć na pomysłność sprawy Polski i ludzkości.

„Możnaby nadać temu związkowi nazwę „Towarzystwa Ziemiaków.“

Każde słowo tego aktu maluje nam piękną duszę Małachowskiej. Nie są to puste formuły doktryn, któremi tak później szafowano. Pamiętajmy, że ten akt pisany sześćdziesiąt lat temu. Zaczyna Polka nie powtarza w nim słów tu i ówdzie zasłyszanych, ale czerpie rzecz z własnego serca. „Polska żyje! woła ona z zapalem, jeśli wspomina grób, to jedynie polityczny i państwowy. Samo przypomnienie śmierci narodu byłoby w jej oczach zniewagą i bezrozumem. Jeśli wyraz ludzkość wybiega z pod pióra, to nie w znaczeniu, jakie mu dziś nadano. Nie jest to w jej myśli negacja, ale raczej dopełnienie patriotyzmu. Obok wyrazu: ludzkość, widzimy zawsze wyrazy: narodowość, Ojczyzna!

Po naradzie z mężem generałowa pośpiesza do Paryża: „Dyliżans toczy się tak wolno! godziny tak się wleka!“ Przybywa na koniec, staje w domu znajomej.

— Kiedyż schadzka? — pyta niecierpliwie — ileż się pań zebrało.

— Nie ma żadnej, państwo N. N. nie przybyli z Wersalu.

— Cóż mamy czynić?

— Pojechać do nich natychmiast.

— Czy masz przygotowany projekt? Ja mój przywiozłam z sobą.

— Moja głowa wcale nie do tego, naradzimy się ustnie.

Jenerałowa zdziwiona taką odpowiedzią, nie zraża się jednak, pośpiesza z towarzyszką do Wersalu.

— A gdzie mieszkają państwo N.?

— Nie wiem, trzeba dopytać się o nich.

I obie towarzyszki biegają po mieście, kołacząc od progu do progu, wypytuja oddzwiernych, znajdując na koniec mieszkanie patriotki.

Na wschodach korespondentka paryska straciła nagle śmiałość.

— Zaczynj generałowo — rzeczę, bo ja nie powiem ani słowa.

— A więc powróćmy lepiej do Paryża, wszak ja nie znam tej pani.

— Nie pora nam się cofać — rzeczę tamta, pociągając za dzwonek.

Nastąpiło poznanie, pani N. wyszła ku przybyłym.

— Witajcie obywatelki — rzeczę, jakżem szczęśliwa z tych odwiedzin! I cóż was tu przywiodło?

Jenerałowa widząc, że towarzyszka milczy, podjęła rzecz z całą prostotą.

— Przybywasz pani z kraju, wiesz najlepiej, jak tam jest i w czym możemy być użyteczne. Pragniemy założyć towarzystwo, jedynie w celu szerzenia moralnych i narodowych zasad. Przyjmij więc nasze zaprosiny i objaśnij, jak rzecz prowadzić stosownie do potrzeb miejscowych. Oto mój projekt, nakreślony na pręde.

Pani N. odczytała pismo, skinęła głową z zadowoleniem.

— Pozwól obywatelko — rzeczę, abyśmy czekały na męża. On z tem lepiej odemnie obznajomiony a ja nie mam przed nim tajemnicy.

Nadszedł niebawem pan N., zasiedli wszyscy około stołu. Spisano akt, nacechowany formułami karbonaryzmu. Nie zupełnie to przypadło do smaku jenerałowej, ponieważ jednak w akcie nie było nic przeciwnego położonym przez nią zasadom, godziła się więc na to, że gdy przyjdzie do wykonania, można będzie uprościć rzecz i sprowadzić ją do jej pierwotnej myśli.

Samo wyrażenie: „obywatelko“ w ustach przybyłej z kraju patrijotki, dziwnem wyda się zapewne czytelnikom naszym, mianowicie młodszego pokolenia. Aby je dobrze zrozumieć, potrzeba przenieść się myślą do stanu rzeczy przed laty sześćdziesięciu, tak w kraju, jak i na emigracji. Było to następstwo Towarzystwa Demokratyczno-socjalno-

filozoficznego, związanego w Paryżu w roku 1832. Powstanie i działalność tego Towarzystwa zapełnia wielką część życia dziejowego Polski i nawet całej Europy. Czas nie przyszedł jeszcze do sądzenia sprawy tak ważnej. Dość tu powiedzieć dla oceny pomysłu jenerałowej, że wówczas emigracja była kipiącym wulkanem, groźnym dla Europy, gdyż przedstawiała pragnienia nowe, tem straszniejsze, że nieokreślone jeszcze, a liczyła w gronie swoim tysiące ludzi, gotowych poświęcić życie, walczących o to, kto pierwszy odda głowę. Sam rząd francuzki zadrzał w obec tej nowej potęgi, rozwiązał większe zakłady emigracyjne, rozrzucił tułaczy po całej Francji, a tem samem powiększył ich siłę duchową, wzbudzając dla nich tem większą sympatję we wszystkich częściach kraju.

Umysły poważne, które nie brały udziału w walkach stronnictw emigracyjnych, zatrwożyły się na widok nowego kierunku, tak niebezpiecznego dla polskiej społeczności i szukały sposobów przeciwdziałania. Politycy przedsiębrali drogi dyplomatyczne: ztąd powstało Towarzystwo Trzeciego Maja. Inni wybrali drogi czysto duchowo-religijne; to też utworzyło się pod natchnieniem Jańskiego towarzystwo ludzi, szukających w piśmie świętem środków zbawienia kraju; wielkie cierpienia kraju wydały z innej strony Towianizm. Różni różne obmyślali środki, szukano ich i w domu Małachowskich. Taki rodowód owego Towarzystwa Polek, stworzonego przez zacną jenerałową.

Potrzeba było działać w kraju; gorączka bowiem, która trawiła emigrację i pobudzała jej część najgorętszą do zamiarów gwałtownych, przeszła już do ziemi ojczystej. Państwo N. N. świeżo przybyli z Polski, są właśnie dowodem tego wpływu nowych idei. W wyrazach: „obywatelu,“ „obywatelko,“ któremi tak szafowali nowi goście, nie byłoby w gruncie rzeczy nic tak zdrożnego, gdyby nie idea łącząca się z niemi. Już pan N. jest karbonarem, żona powtarza jego piosenkę! Znała chorobliwy stan rzeczy jenerałowa, postanowiła zatem skierować dobrą wolę i pragnienia patrijotek polskich do działa-

nia w duchu czysto-narodowych tradycji. Z tego to stanowiska powtarzamy, ocenić należy jej pomysł. Któż tu nie widzi prawdziwej wzniosłości tej duszy chrześcijańskiej i szczeropolskiej.

Centralizacja Towarzystwa kobiet, zgodnie z wolą obecnych na pierwszym zebraniu, ustanowioną była w Fontainebleau. Kontrola oddana Małachowskiej, Karol Różycki mianowany był kuratorem.

Stowarzyszone panie zwać się mają siostrami, żyć mają w zgodzie i jedności, utrzymywać wiernie przyjętą zasadę. Trzy siostry zebrane razem, mogą obradować i przyjmować inne do Towarzystwa. Każda siostra ma co miesiąc zdawać sprawę przed centralizacją z dokonanych czynności, ma utrzymywać książkę i nosić krzyżyk z Olszynki Grochowskiej, jako godło stowarzyszenia. Za niedotrzymanie warunków, centralizacja naznaczy karę. Rota przysięgi brzmiała w sposób następujący:

„W obliczu Wszechmocnego Boga i przed wami siostry, ja N. N. przysięgam, że objawione mi zasady staną się odtąd mojemu, że do ostatniego tchu życia, będę je rozszerzać, upowszechniać, popierać własnym przykładem, spełniać powinność, do jakiej mnie Opatrzność powołała na ziemi. Przysięgam jeszcze zachować najgłębszą tajemnicę przed osobami, do związku nienależącymi, lub należycie nie mogącymi. Tak mi Boże dopomóż! Przysięgę tę we wszystkich modlitwach przywołać będę na pamięć, uroczyście to przyrzekam, a jeśli kiedy zapomnieć o niej miałam, Boże! odwróć odemnie Twe oblicze, a wy rodaczki, wskażcie mnie na hańbę opinii publicznej.“

Rozpisano listy na różne strony, do miast francuzkich a nawet do kraju. Kurator ułatwił ich wysłanie. Odezwy rozbiegły się po Litwie, Wołyniu, Galicji, po Księstwie Poznańskim i Kongresówce.

Gorące słowo, przysłane z ziemi wygnania do ziemi ucisku, padło na serca, niby ożywczy balsam. Nowy widnokrąg otworzył się przed oczyma polskich ziemianek. Wyrazy czoigodnej wygnanki wyrwały je ze stanu odrętwienia, wskazały im pole

działalności. „Waszem zadaniem, pisze Małachowska w odezwie, wywierać wpływ moralny, nie tylko na mężów i braci, krewnych i przyjaciół, ale na resztę społeczeństwa. Jestże dla Polki wyższa chwała, żywsza rozkosz nad przekonanie, że się wpływa na szczęście milionów? Zadrzy wróg, skoro pozna, że w słabej kobiecie ma mścicielkę hańby i krzywd, krajowi wyrządzonych. Nie namawiamy was do żadnych politycznych intryg, dość nam będzie wiedzieć, że karmicie uczucie narodowe, że Ojczyzna wszystkim jest dla was, że w jej szczęściu widzicie szczęście wasze, że w tych uczuciach wychowujecie drobne dziatki, że okrywacie hańbą wszystko, co sprzyja wrogom Ojczyzny waszej, słowem, żeście wyższe od Spartanek, bo też i sprawa nasza więcej po nas wymaga!“

Słowa te wydobyły z serc nowe siły, stały się hasłem czynu. Jakaż była radość wygnanki, gdy wieść dobiegła jej ucha, że „Polki w kraju, ożywione szczerym zapałem, zbliżają się do ludu, nauczają dziateczki wiejskie, rozszerzają w koło narodowe uczucia!“

Kontrola powierzona Małachowskiej, była raczej fikcyjną niż rzeczywistą. Możnaż było kontrolować siostry, oddzielone pasem granicznym, zjeżonym w tysiące bagnetów? Możnaż było zapobiedz, aby i do najczystsze go ziarna nie domięszał się kąkol socjalistycznych mrzonek, grasujących w te czasy? Czcigodna promotorka towarzystwa nie może odpowiadać za błędy adeptek, obalamuconych mnóstwem innych wpływów. Dość dla niej chwały, że pierwsza dopukała się do serc Polek, odrętwiałych w samolubstwie lub też poprzestających na patryjotyzmie, oderwanym od życia.

O ile myśl przerzucona do kraju żywotnie kielkowała, o tyle w emigracji na martwą upadała skałę. Oprócz kilku sióstr, zapisanych w pierwszej chwili, żadna prawie nie przybyła do Towarzystwa. Sprawozdania żadne nie dochodziły z powodu wyjazdu kuratora. Potrzeba było rozwiązać centralizację.

Bolało to szczerze generałową. Lękała się, aby przy złej woli rozmaitych stronnictw, nie obrócono w śmieszność jej znacznych usiłowań. Napisała wtedy do Lelewela, przebywającego w Brukselli, posłała mu akta Towarzystwa, prosząc, aby je przejrzał, rozważył i wypowiedział jej szczerze zdanie swoje.

Leleweł pojął znaczne pobudki, kierujące myślą założycielki; zrozumiał całą ważność jej działania. Oto jego odpowiedź:

„To, co mi raczysz, pani moja, w zaufaniu komunikować, jest mi już przypadkiem wiadome, a wiadomość o waszych trudach, gdy mnie doszła, napełniła mnie rzewnem uczuciem. Dawniej staraliśmy się, obudzić w naszych rodaczkach tę myśl, którąście wy powzięły. Wzywaliśmy, błagaliśmy, obligowaliśmy na miejscu, i bądź żeśmy źle trafili, bądź nietrafne czynili kroki, wszystko to było bezskutecznem. Wszakże pomimo naszych wzywań, zawiązywało się nieco siostr w stowarzyszenia, które ile wiemy, niedaleko zaszły tak co do celu, jak co do trwałości i skutku.

Zdaje się jednak, że podobno w celach skrzywionych, mniej trafnych, są między rodaczkami naszymi damy wcale czynne. Ta ich czynność sprawiała nam nieraz frasunek; kiedy niespodziewanie doszła nas z kraju wiadomość, że wasza szanowne Polki myśl krzewi się tam i wznosi.

Troszczycie się tam o skutek, nie wiedząc, czy wasze dzieło, wasz głos, do miejsca przeznaczenia doszły. Pisaliśmy do naszych przyjaciół (do Konarskiego), aby wspierali i czuwali, iżby opacznie waszemu życzeniu dzieło to zwrócone nie było. Mam nadzieję, że prędzej czy później z troskliwości swej pociechę mieć będziecie.

Odezwy, któreś mi komunikować raczyła, są prostym i trafnym wyrazem wzniosłych pojęć, które od każdej siostry, Ojczyźnie swej i narodowi życzliwej, zrozumiane będą. Zapewne zechcesz, pani moja, ponawiać podobne zgłoszenia się, a tem potrzebniejsze się staną, im więcej liczba połączonych w braterstwo siostr, wzrastać będzie.

Joachim Leleweł.“

List ten uradował szczerze generałową. Podniósł ją w duchu własnym, nie oddziałał jednak na Polki z emigracji, nie rozbudził w nich działalności. Parę sióstr nowo zapisanych nie mogło nic uczynić w obec obojętności powszechnej. Towarzystwo nie rozwiązało się wprawdzie, ale nie dawało znaku życia. Z tyłu poniesionych trudów i mozołów pozostał naszej wygnance krzyżyk z Olszynki Grochowskiej, oprawny w złoto z obrączki czcigodnego jej męża, który nosiła do śmierci, pozostał co więcej płomień roztlony w ojczystem gnieździe! Płomień ten mógł niezawsze tleć po myśli, przecież z tyłu serc wydobyl najszczytniejsze poświęcenia, a tem samem stanowi narodową chwałę naszą i bogaty zadatek dla przyszłości.

Podczas kiedy zacna matrona, w myśli o dobru ogólnem, przepominała całkiem siebie, przyszła nowa próba, jakby dla wydobycia nowego hartu z owej niezłomnej duszy. Zmniejszono generałowi o piątą część subsydja, jakie pobierał. Liczył on wtedy siedmdziesiąty drugi rok życia, zdrowie jego było dotychczas nie złe, z każdą jednak chwilą mogły przyjść dolegliwości, nieodłączne od tak późnego wieku. Więcej niż ktokolwiekbydź inny, miał prawo Małachowski, przypomnieć Francji położone dla niej zasługi, nawet krew wytoczoną w jej sprawie. Nie uczynił tego Polak, dbały o zachowanie godności osobistej i narodowej. Przyjął wieść z umysłem spokojnym, skarga nie wybiegła z ust żony, przemilczała żal nietylko w obec ludzi, ale nawet sama przed sobą, nawet przed dzienniczkiem, tym milczącym powiernikiem wszystkich trosk i boleści.

„Mąż dopominać się o nic nie będzie, pisze z całą swobodą ducha. Potrzeba, sposób życia i tak już skromny, zastosować do nowych okoliczności, odmówić sobie wielu rzeczy, ale nie dosyć na tem, potrzeba zarabiać. Wzięłam z magazynu paryskiego robotę na kanwie, przysłano mi 24 franków. Mam haftować fantastyczne wzory mego własnego pomysłu. Jak szczęśliwą jestem, że zdrowie tak stale mi służy, jeśli Bóg użyczy go nadal, nie przestraszy mnie żadna bieda. Mąż wesół — rad ze wszystkiego,

zgadza się najzupełniej z losem. Jakaż to pociecha! jakie szczęście! O! gdybyż nie obawa, że mogą przyjść cierpienia wskutek wieku i trudów przebytych! należy przecież ufać Opatrzności i nie troszczyć się naprzód!

Jakiż to spokój, jaka mądrość w tych słowach! Małachowska umiała być wielką po prostu, w tem najwyższa jej zaleta.

Zabrała się szczerze do pracy. Jenerał, biegły rysownik, pomagał jej w układzie wzorów. Ukończyła wkrótce robotę, wzięła drugą. Po odliczeniu pieniędzy wydanych na włóczkę, zarabiała dziennie pół franka.

Dwie rzeczy cokolwiek jej przykre w tem nowem położeniu. Przywykła pić kawę po obiedzie, teraz musi obejść się bez niej. Mniejsza o to, łatwo się odzwyczaić. Druga okoliczność nierównie jej przykrzejsza. „Nie mogę, mówi, uczęstować gości w domu, przynajmniej tak jak dotąd bywało, ale i tu poradzę sobie, nagrodzę to sercem, gościnnością staropolską.“

Przyszła wiosna, dni coraz dłuższe, wygnanka nasza wstaje przed świtem, do zmroku siedzi u krosień, pracuje z wysileniem. W końcu miesiąca zarobek przyniósł 25 franków. W takich warunkach pracować dłużej niepodobna. Dzielna kobieta postanawia spożytkować czas w lepszy sposób. Oddała przychodzącą do domu służbę. Myje, pierze, prasuje sama. Budżet miesięczny okazał się pomyślniejszy, niż gdy całe dni spędzała za krosnami. Z serca jej wybiega nie skarga, ale wykrzyk radosny: „O! jakże to miło pracować! błogosławiona praca! ona zapewnia byt, daje nam niepodległość! Gdyby nie tyle innych trosk, położenie moje byłoby do zazdrości!“

Różycki opuścił Fontainebleau; odjazd jego dał się żywo uczuć jenerałowi. I on też postanowił zmienić miejsce pobytu. Jenerałowa byłaby chętnie pozostała dłużej w cieniu tych lasów, do których nawykła w ciągu trzyletniego pobytu. „Wiemy, jak tu jest, kto nam zaręczy, że w nowem miejscu będzie lepiej“, myślała sobie w duchu. Widząc



jednak niezmiennie postanowienie męża, powolna jak zwykle nie stawiała najmniejszego oporu jego woli!

Kilka tygodni ubiegło na naradach. Oboje Małachowscy przeglądali mapy wszystkich departamentów, rozczytywali się w opisach różnych miejscowości Francji.

Miasto Chantilly, nie zbyt odległe od Paryża, zwróciło ich uwagę. Zakład emigracyjny w tem mieście używał dobrego imienia. Przybywali tu starzy wojskowi, ludzie jak mówiono poważni, spokojni, unikający wszelkich sporów politycznych. Umyslili zatem małżonkowie przenieść się do Chantilly.

## VII.

### Ostatnie gniazdo na tułactwie.

Przygotowania do podróży krótko trwały. Wygnańcy polscy w tych czasach, ożywieni nadzieją rychłego powrotu do Ojczyzny, nie zakładali nigdzie domu ani gospodarstwa. Najmowali zwykle mieszkanie ze sprzętami. Parę kufereków z bielizną i ubraniem, tłupek z pościelą, oto i cały zasób. W końcu września 1837 r. tułacze nasi opuścili Fontainebleau, uczczeni przez rodaków pożegnaniem obiadem.

Z sercem ciężkiem od żalu, wsiedli oboje na statek. Kilkundniowy pobyt w Paryżu wcale ich nie rozweselił. W chaosie paryskim miło szczęśliwemu, ale smutny nie znajdzie tu pociechy.

Jadą nareszcie dylizansem: droga, którą dziś parowóz przeleci przez godzinę, wlecze się od rana do ciemnej nocy.

„Jak tam będzie? co będzie? mówi wygnanka, mnie to już nie obchodzi; wszędzie dobrze być musi i powinno.“

Przybywają wieczorem... nikt ich nie czeka, nie znają tu nikogo! Nazajutrz zrana, gdy wyrzeli przez okno hoteliku, wpadł im w oczy skromny domek po przeciwnej stronie ulicy.

— Gdyby też tu znalazł się jaki kącik? — rzecze generał,

— Zaczekaj tu, biegnę natychmiast — odpowie generałowa.

Było w rzeczy samej parę pokoików do najęcia. W parę godzin potem, wygnańcy nasi stawili stopę na progu, który miał być dla nich ostatnim. Mąż miał tu przeżyć lat kilka, żona z górą ćwierć wieku.

Miejscowość śliczna, pomimo późnej pory przypada dziwnie do myśli generałowej. Pałacyk Konduszów — otoczony parkiem, obłany wodami, przypomina jej Łazienki królewskie w Warszawie.

Ludność miejscowa szczególniej przychylna Polakom, pamięta bowiem jeszcze gwardję napoleońską, złożoną z kwiatu polskiej młodzieży, która tu miała swój garnizon. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie krańcowe opinie owej garstki wygnańców, której spokojne umysły tak bardzo przechwalono. Wszyscy zagniewani na Różyckiego za jakąś polityczną broszurę. Napróżno poważny generał przemawia do zaciętych wiarusów: próżno usiłuje złagodzić rozdrażnionych. Obrażeni stronią od jego progów: przyjaciel Różyckiego skazany na ich klątwę. Jeden tylko z pomiędzy pięciu zajrzy niekiedy do gościnnego domu jeneralstwa; gdyby nie to, nie widzieliby żywej duszy. „Po co się troszczyć, mówi zacna matrona, czyż nie wystarczym sami sobie?“

I wystarczali sobie w rzeczy samej. Generał aby uprzyjemnić żonie chwile samotności, wyrysował alegoryczny obraz, podniosłą ożywioną myślą. Na ruinach i grobach zebrany tłum szlachty i rolników: szlachta w malowniczych kontuszach, kmiecie z różnych stron kraju, ubrani w strój świąteczny: wesóły Proszowiak w białej kierezji w pasie z kołeczkami, stoi obok poważnego Wielkopolanina; Mazur z pawiem piórkim na czapce, obok Rusina w szarej świcie. Szlachta ustrojona w karabele, włościanie w racławickie kosy. Urzędowo przed notariuszem panowie nadają wolność swym poddanym z warunkiem walki o niepodległość narodową. Wszyscy przysięgają, ukazując graniczne słupy, które zniszczyć potrzeba. Młodzież pełna życia i nadziei, z zapaloną pochodnią w rękę, spieszy zbrojna ku owej stronie. Opodal młoda dziewczeczka ukazuje narzeczonemu pole walki,

jakby mówiła: „Idź, spełnij powinność swoją, potem staniemy przed ołtarzem.“ Po za nimi zgrzybiały starzec, rolnik wyciąga w niebo obie ręce: dziękuje Bogu, że mu pozwolił doczekać takiej chwili.

Jenerałowa, w drogą dla niej rocznicę ślubu, zaczęła przenosić na kanwę piękny obraz, wykonany męzowską ręką. — „Była to dla mnie, pisze w dzienniczku, nadzwyczaj miła i zajmująca robota; każdego dnia jutrzienka zastawała mnie już przy krosnach.“

Nic jej też od nich nie odrywało: haftowała tem chętniej, że mąż ciekawem okiem śledził postęp tej pięknej pracy. W ciągu zimy wykończyła małeńkie arcydzieło. Z wiosną rozpoczęła drugie, starszniej jeszcze wyrobione, także według rysunku jenerała. W Warszawie, na placu zamkowym przed posągiem Zygmunta, żołnierze moskiewscy wyrwują dzieci z objęć matek, pakują gwałtem na uprzęzoną kibitkę. Matka uniesiona rozpaczą, zabija własne dziecko, potem sama wpycha nóż w głąb swej piersi. Oprawcy przerażeni cofają się w obec bohaterskiego czynu.

Mamy przed oczyma tę pracę czcigodnej Polki. Ona sama ofiarowała ją do Rapperswylskiego Muzeum. Niejedna jej łza stoczyła się na tę drogocenną kanwę; nieraz igła wypadała z jej ręki.

„Skorom ja to wyszyć mogła, zapisuje w dzienniczku, mam niechybną nadzieję, że późniejsza potomność pomści krzywdy nieszczęśliwego ludu i ten żywy ich obraz przechowa w sercach własnych.“

Na takich to pracach, ożywionych zawsze wzniosłą myślą, upływały dni wygnanki naszej, w ciszy i samotności. Wiosną, wsparta o ramię męża, wychodziła do lasu, przysłuchać się słowikom, ale słowiki, jak mówi, „nie tak tu śpiewają, jak w nadwiślańskich ostrowach!“ — Zgiełkliwe zjazdy modnego świata nie pociągały jej bynajmniej; odwracała oczy od wyścigów konnych, na które Paryż przybiegał do Chantilly. „Gdybyż to biegały konie z naszych stepów ukraińskich, pisze w dzienniku, z radością bym na nie patrzyła, te zaś wcale mnie nie obchodzą!“

Dom jeneralstwa zaczął się jednak pomalenku ożywiać. Rodacy ochłonawszy z gorączki, jęli odwieść go, zrazu nieśmiało, a potem coraz częściej. Ktokolwiek odetchnął raz atmosferą tego staropolskiego domu, uczuł na zawsze wpływ jego dobroczynny. Długie zimowe wieczory nie zbiegały już tak samotnie. Towarzysz Kościuszki opowiadał znów przy ognisku młodszym od siebie wiarusom szczegóły bitwy racławickiej, lub przygody we Włoszech i na San Domingo. Niekiedy odczytywano razem „Pana Podstolego“, wieczór kończono partją wista. — I znowu w dzień Wielkanocy rodacy schodzili się na skromny kasek szynki i na jajko święcone: i znów wspólną ucztą obchodzili dzień Św. Kazimierza, lub jaką narodową uroczystość. Zgoda wracała, jedność coraz była ściślejszą. Bo i jakże nie było uchylić głowy przed tą niesłychaną prostotą zasłużonego wodza, który życie całe poświęciwszy dla kraju, mało ważył własne zasługi. Przytoczymy choć jeden przykład.

Raz podczas uczty, kiedy obecni popisywali się wymową, Małachowski gdy przysła nań kolej, rzekł najskromniej: „Panowie! kiedy szewc nauczy się szyć buty, to je przez całe życie szyje. Jam sobie obrał stan wojskowy, — służyłem prawda długo, alem nic szczególnego nie zrobił!“

Taka prostota, nie udana, ale pochodząca z duszy, musiała w końcu rozbroić najzaciętszych.

W dniu, kiedy jeneral rozpoczął ośmdziesiąty rok życia, przybyła deputacja od ziomków, zamieszkałych w Paryżu, z prośbą, aby przyjął bankiet w dniu imienin, przypadający w tydzień po urodzinach. Delegowanymi byli jeneral Sznejde i były minister Biernacki. Solenizant przyjął z wdzięcznością dowód pamięci bratniej, ale na bankiet przystać nie chciał. Nie mógł wreszcie oprzeć się wymaganiom.

— Przyjmuję — rzekł — ofiarę waszą, ale pod warunkiem, że pieniądze przeznaczone na obiad, złożycie do komisji funduszów emigracyjnych. Jest między nami tylu biedaków bez obiadu! a ja za szczyt, jaki mi czynicie, więcej ważę niż piętnaście

bankietów. Ponieście więc odemnie tkliwe podziękowanie braciom, którzy mi ten honor uczynili. —

Pierwsza to była manifestacja ziomków na rzecz nieskazitelnego wodza, prawdziwy tryumf prawdy, głos sumienia narodowego!

Widnokrąg rozjaśnił się z jednej strony, ale w głębokich tajnikach serca biednej wygnanki coraz to było ciemniej. Dręczące przecucia zamąciły jej spokój. Życie jej skupiło się w mężu, on jedynym jej wsparciem na tej ziemi tułactwa, jedynym światłem dla jej oczu. Gdyby to światło miało zagasnąć, gdyby to ramię usunęło się od niej! Śnać przeczuwa biedna żona, że to musi nastąpić; próżnoby rada ukryć przed sobą, że ćwierć wieku różni krzepkie jeszcze jej lata od lat starca, chylącego się już do ziemi. Dzienniczкови nawet, temu wiernemu powiernikowi, nie śmie odkryć tajemnicy myśli swoich: z dorywczych jednak słów odgadujemy jej trwogę.

„Już mąż mój zaczyna rok ośmdziesiąty, zapisuje drżącą ręką. Boże! zachowaj mi go jeszcze! Pozwól na własnej ziemi, odpocząć naszym kościom! — Mąż mój cierpi na nogi! — żali się znowu — wszelkie cierpienie jego, to największa dla mnie boleść! —

Kiedy pielęgnuje konającego przyjaciela wraz z jego żoną: „Boże mój, Boże!“ — zapisuje —, co to za widok dla mnie, uchowaj mnie od tej ciężkiej zgryzoty!“

Trwoga jej wzrasta z każdym dniem; spokojna, póki patrzy w oblicze starca, gdy on oddali się na chwilę, drży targana dręczącym niepokojem. Słowa jej malują wiernie ten okropny stan duszy. „Ciężko mi, przykro samej! O Boże! jak smutnem byłoby życie moje, gdybyś mnie samą na świecie pozostawił! Przy tym drogim, jedynym przyjacielem, czas mi ani długi, ani przykry. Przy nim jam do wszystkiego ochocza i zdolna, a te kilka godzin bez niego, tak mi ciężkie! Sama nie wiem, jak je zapełnić. Tysiące smutnych myśli ciśnie się do mej głowy. Chcę czytać, nie rozumiem. Chcę pisać, ani pochwycić wątku! Jedne po drugich rozpoczynam roboty, żadnej nie kończę! Byle tylko wrócił zdrów, o mój Boże!“

Przecucia spełniły się niebawem. Jenerał ciężko zaniemógł. Jakaż to boleść żony! Jak znowu słodka jej pociecha, kiedy po długich cierpieniach, z wiosną oko męża zabłysło jeszcze nowem życiem, kiedy po raz pierwszy wyprowadziła go na majówkę do lasu! Krótko trwały chwile pociechy. Zdrowie starca podkopane do gruntu, nie miało już powrócić. Siły gasły widocznie. Tu przerywa się dziennik, ale w innej osobnej książeczce, przeznaczonej widocznie dla najbliższych sercu jej osób, zboliała żona opisuje najdrobniejsze szczegóły tego powolnego konania, co na długo poprzedziło chwilę śmierci. Ktokolwiek widział Małachowskiego w tych czasach, nie wątpił, że dnie jego policzone, żona tylko oddalała od siebie myśl niebezpieczeństwa, może aby nie tracić energii, a może też, mając oczy wlepione bez ustanku w oblicze chorego, nie mogła dostrzedz owej pieczęci, jaką śmierć wyciskała na nim powoli, nieprzeblaganą siłą.

„Od połowy Grudnia, pisze ona, choroba zaczęła się zwiększać; wszyscy, jak teraz słyszę, widzieli zbliżający się koniec, ja jedna nie chciałam badać przyszłości, i Bóg sam dał mi tę łaskę, że do ostatniej chwili myślałam jedynie o tem, jakby mu ulżyć cierpienia. Dziękuję też Bogu, że wydobył ze mnie te siły, i pozwolił samej jednej spełnić świętą powinność. Żadna obca ręka nie służyła mu oprócz mojej.

Tak zakończyliśmy rok 1844 i rozpoczęli nowy, nie przypuszczając, że chwila rozdziału wiecznego tak już bliska.

Czwartego wstał jak zwykle, wieczorem cierpiał wiele, -- skłoniłam go, że się wcześniej położył. Wtem dano mi znać, że przyjechał z Paryża ksiądz Terlecki. — Poszłam do męża, siadłam przy łóżku. Oczy jego pełne życia i ognia, zwracały się wciąż na mnie.

— Jutro coś ci powiem — szepnął półgłosem.

— Po co czekać? — powiedz mi dziś, mężu drogi!

— Ciekawa jesteś jak widzę, bądź cierpliwą do jutra.

Umilkł na chwilę a potem rzekł najspokojniej:

— Kto wie, czyśmy się nie spóźnili?

— A to czemu? — zapytałam.

— Oto potrzeba napisać do polskich księży, iż pragnę dopełnić obowiązków religijnych.

— Bóg wszystko dobrze zrządził — odrzekłam. Ksiądz Terlecki jest właśnie w Chantilly.

— Jest tu! — powtórzył — niechże przyjdzie, odkładać niebezpieczno.

Powołano księdza, wysłuchał spowiedzi, udzielił ostatnich sakramentów. Wszystko mąż odbył z takim spokojem duszy, jakby jutro miał iść do ślubu.

Nazajutrz, w dniu 5-go Stycznia, skonał Kazimierz Małachowski. Niezlomna małżonka, mimo najsroźszej boleści dotrwała do ostatka przy łożu konającego; gorącą modlitwą powtarzając z nim razem, krzepiła jego ducha. Sama zamknęła mu powieki, własną ręką porzuciła garść ziemi na trumnę. Wtajemniczona w myśl zmarłego, pragnęła według własnej możności położyć na grobie prosty, ubogi kamień. Nie pozwolili na to współtułacze rodacy. Małachowski należał do narodu; naród winien był uczcić jego pamięć.

Polacy pogrzebali z wielką uroczystością wodza, który, jeśli nie zdołał wywalczyć niepodległość narodu, pozostawił jednak najczystsza pamięć po sobie. Do oręża jego żadna nie przyrosła plama, a gdy zmuszony był zamiast miecza pochwycić kij pielgrzymi, utrzymał go do końca z godnością odpowiednią wysokiemu stanowisku, jakie zajmował z silną wiarą w przyszłą niepodległość narodu!

Zrozumieli to ziomkowie, tłumnie też pośpieszyli na pogrzeb tak z Paryża, jak i z innych miast Francji. Duchowieństwo polskie przodowało orszakowi, złożonemu z ludzi wszelkich barw i odcieni politycznych. Ludność z Chantilly, która przez lat ośm patrzyła ze czcią na poważnego starca, zapełniła kościół i cmentarz. W kościele przemówił ksiądz Terlecki, nad grobem generała Dwernicki przypomniął rodakom wojskowy zawód zmarłego. Poseł Jan Ledóchowski, z niepospolitą wymową opowiedział cały bieg zasłużonego żywota w języku francuzkim, zrozumiałym dla wszystkich.

„Francuzi! — zawołał, nazwijcie go bratem, on bronił waszych swobód, waszej niepodległości! Zapytajcie również Lombardji i zjeżonych skał Apeninów! zapytajcie odwiecznych lasów germańskich i spalonych wybrzeży Haiti, wszędzie powiedzą wam, że Małachowski z myślą, zwróconą ku ziemi ojczystej, szukając środków jej oswobodzenia, walczył pod trójbarwnym sztandarem za granicą Francji! Pod jenerałem Dąbrowskim walczył nad Trebbią, pod Championnettem u stóp Wezuwiusza; z Moreau w Hohenlindau; z Rochambeau w San Domingo, wszędzie dał dowody odwagi i wyższej zdolności wojskowej.“

Mieszkańcy Chantilly słuchali tych słów z milczącym podziwem. Tenże to starzec, który przez lat ośm przebywał między nimi, tak pełen prostoty i skromności, należał do tych dzielnych zastępów, co roznosiły chwałę Francji po wszystkich krańcach świata? Nie byłóż to chlubą dla ich gniazda, przechować proch kości walecznego?

„Chantilly, ciągnął mowca dalej, stanie się celem pobożnej i patrijotycznej pielgrzymki dla każdego prawego Polaka. Jak niegdyś kohorty francuzkie śpiesząc za Ren z chorągwią trójkolorową przeciw wrogom Francji, ostrzyły oręż o grób Maurycego Saskiego w Strasburgu, tak my, gdy wybije godzina oswobodzenia Polski, przyjdziem tu z białym orłem na czele, aby zaczerpnąć tchnienia z jego grobu i doprowadzić zwłoki jego do Polski wolnej i niepodległej. Dziś powierzamy je waszej gościnności!“

Zacni mieszkańcy Chantilly łzami odpowiedzieli na te słowa. Cześć, jaką odtąd okazywali wdowie, jakże wymownie świadczy, że słowa te nie upadły na skałę!

Posłowie Chełmicki i Zwierkowski przemówili także na grobie. Ostatni z nich, kończąc mowę, rzucił na trumnę garść ziemi ojczystej, podjętej z Kościuszkowskiego kopca.

Te dowody gorącego uznania ziomków przyniosły wdowie jedyną ulgę, jakiej doznać mogła w swej żałobie i osieroceniu. Współwygnanki po-



śpieszyły, aby zapłakać z nią razem na grobie. Odalone przysyłały na piśmie słowo serdecznego współczucia. Z pomiędzy tych listów przytaczamy jeden Klementyny Hofmanowej. Ta zasłużona autorka nasza pisała go z Rzymu, złamana już sama śmiertelną chorobą, na kilka miesięcy przed zgonem. Oto jej słowa:

„Kochana, zacna generałowo! Z obawą, z nieśmiałością, z gorzkim smutkiem, biorę się dziś do pióra; ale nie mogę przenieść tego na siebie, żeby dowiedziawszy się o stracie niesłychanej, nieodżałowanej nigdy, którą poniosłaś, nie powiedzieć, ile dzieł, ile pojmuję niedolę Twoją. Słów pociechy pewno ani znajduję, ani też nawet na próżno szukać będę. Jeżeli jaka być może pociecha, w takim razie to już ją znalazła w pobożnym skonie tego, którego oplakujemy wszyscy, w chlubnym imieniu, jakie zostawił po sobie i w tem przekonaniu, żeś dopełniła względem niego przez lat tyle, świętych obowiązków żony, tak jak już żadna w świecie pewnoby lepiej dopełnić nie mogła. Temi myślami, tą pamięcią osładzaj łzy twoje i bądź przekonana, że nie ma jednego serca polskiego, któreby nie uczuło boleśnie straty tego prawdziwego obywatela, tego męża tak czystej i nieskażonej cnoty, któreby troskliwie nie pytało o Tę, która przez tyle lat Opatrznością jego była i szczęściem domowem wynagradzała mu i wypłacała za tyle doznanych zawodów. Czemuż nie jestem w Paryżu w tej chwili, żebym choć popłakać z Tobą mogła. Jeśli to nie będzie ze zbyt wielką boleścią Twoją, chciej przesłać mi choć liter parę. Tak mi boleśnie, że nie wiem, gdzie jesteś, co z sobą poczniesz? O Boże! jakże pojmuję pustki Twego serca teraz, nie wątpię jednak, że jako Polka, jako chrześcijanka, potrafisz je zappełnić jeszcze i będziesz nam ciągle wzorem, jak dotąd byłaś!“

„Gdzie jesteś? co z sobą poczniesz?“ — pyta troskliwie przyjaciółka. Wdowa była w Chantilly, u grobu, w którym pogrzebała to, co najdroższem jej było na ziemi. Z męża śmiercią życie zakończyło się dla niej, cóż więc miała poczynić? Przystałoż jej

w gwarze wielkiego miasta szukać zapomnienia boleści i sieroctwa swego? Wzorowa żona pozostała wzorową wdową. Śmierć nie rozwiązała świętego węzła, który w sumieniu jej złączył nie tylko dwie ręce na dnie pielgrzymki ziemskiej, ale zespolił w jedność dwie dusze na nieskończoną wieczność. Kiedy ogarniemy wzrokiem cały jej żywot, od młodych lat do grobu, postać jej przedstawia się nam jakby wyciosana z granitu, łącząca w sobie zapal starożytnej Spartanki z pobożnością niewiasty chrześcijańskiej. Ktokolwiek ją znał, musiał pochylić przed nią głowę. Pochylili ją też ziomkowie, pochylił ją ze czcią mieszkańcy Chantilly. Dzięki Małachowskiej poznali Francuzi, czem jest matrona polska, w wielkiem, idealnem tego słowa znaczeniu.

Wdowa nie opuściła progów domu, w którym przeżyła ostatnie lata z ukochanym mężem. Wierna wspomnieniom przeszłości, pozostawiła nietkniętym pokój, zajmowany przez niego. Tu obok łóżka, na którym skonał, były jego sprzęty, jego mundur, jego pałasz tak dobrze zasłużony. — W drugim roku po śmierci generała Małachowskiego, 29. Sierpnia 1846 roku nastąpiło uroczyste odkrycie jego pomnika, wzniesionego staraniem emigracji. Po egzekwacjach w kościele parafialnym, liczny orszak Polaków i Francuzów z duchowieństwem na czele udał się na cmentarz w Chantilly. Pomnik wykonał Władysław Oleszczyński według pomysłu Dawida z Angers. Na kamiennym sarkofagu odbijają spiżowe trofea: kask, buława, kosa, kula armatnia i t. p. Po obu stronach wypisane miejsca sześćdziesięciu stoczonych bitw w przeciągu lat czterdziestu, poza sarkofagiem wznosi się piedestał a na nim popiersie zmarłego. Poniżej Orzeł i Pogoń, napis: „Emigracja Polska Kazimierzowi Małachowskiemu — 1845“ — i wyryte słowa: „Boże! zbaw Polskę.“ Po rad tem wszystkim miecz goły podniesiony do góry, u obsady zwieńczony wawrzynem. Określił jego znaczenie Leon Zienkowiec, w mowie przy uroczystem odkryciu pomnika.

„Ów miecz nagi, panujący nad grobowcem, rzekł mowca, godłem jest życia Kazimierza Mała-

chowskiego, godłem jest także Polski, walczącej wytrwale za wolność i niepodległość! Wodzu! ty podniosłeś miecz nie po to, abyśmy upadać mieli pod ciężarem nieszczęść i boleści, po to raczej, abyś przypominał nam z głębi grobu twego świętą powinność dla Ojczyzny!“

---

Dnie wdowy upływały w skupieniu ducha w cichej i spokojnej boleści. Kościół i cmentarz, a czasem wezwłowie chorego — oto wyłączny cel jej odwiedzin. Praca ręczna zajmowała wszystkie jej chwile. Z tych drobnych robótek, wykonanych jej ręką, urządzała co rok loterje na korzyść ubogich rodzin tak polskich, jak miejscowych.

Mieszkańcy Chantilly odpłacali jej serdeczną wdzięcznością i uwielbieniem. Zнали ją wszyscy: doś było za przybyciem do miasta zapytać się o nią, wskazywali ulicę i mieszkanie. Wymowny dowód tego poszanowania dała jej właścicielka domu, przez nią zajmowanego. Wiadomo, o ile mieszkania podrożały od lat czterdziestu, zwłaszcza od czasu dróg żelaznych. Chantilly, odległe dawniej od stolicy przynajmniej o dwanaście godzin, dziś oddalone tylko o godzinę, stanowi jakby przedmieście Paryża. Szlachetna tu właścicielka pani Pavillon wiedziała, jak boleśnie byłoby jenerałowej, rozstać się z domem, do którego przyrosły najdroższe jej wspomnienia; wiedziała równie, że szczupły jej dochód wystarcza zaledwie na niezbędne życia potrzeby; otóż więc przez lat 35 pozostawiła mieszkanie w jednej cenie, lubo miała prawo, potroić ją przynajmniej. Postępek ten nie jestże wymowną odpowiedzią na zarzut chciwości i samolubstwa, czyniony zbyt często Francuzom?

Ze śmiercią męża przerywa się dzienniczek wdowy. I cóż ona zapisywać w nim miała? Żadna przygoda nie płacze pasma tych dni tak smętnych, tak jednostajnych. W pół roku po skonie małżonka chwytą jednak za pióro, kreśli w kilku rzutach wspomnienie umarłego: nie wdaje się w historyczne szczegóły, — te należą do dziejów ojczystych, ma-

luje tylko wewnętrzną stronę tego życia, które według jej wyrażenia „jak pasmo nici snuło się z narodowemi wypadkami, zawsze czyste, pełne nadziei i gotowości do ofiar, które jak strumień cichej wody przepłynęło spokojnie wszelkie koleje, tak smutne dla kraju, tak bolesne dla prawego jej syna!“ Nie ma tu rozpaczliwych skarg na losy: każde słowo tchnie głębokim spokojem, pobożną rezygnacją! Oto początek :

„Nie użyczył mi Bóg jedynej pociechy na tej ziemi tułactwa, nie zachował dni najdroższemu mężowi memu, zostawił mnie w sieroctwie i ciężkim żalu, samą jedną wśród obcych! Takie były wyroki Boskie, poddałam się z pokorą, pozwolił mi Bóg wytrwać w tej ciężkiej próbie. Niech będą dzięki Jemu!

Trzydzieści pięć lat najszcześniejszego pożycia — mówi dalej — przebiegło nam niby jedna chwila. Ani długie pasmo nieszczęść ogólnych, ani ciężkie przygody życia politycznego, ani wiek podeszły męża nie osłabiły tego rzetelnego przywiązania, które wzmagalo się z latami. Rad ze wszystkiego, zgodny, miły, pełen ufności, on mi dał prawdziwe i zupełne szczęście domowe! Bogu niech będzie chwała, że mi dozwolił przeżyć długie lata z tym, którego życie radabym mojem własnem okupić, że mi dozwolił pielęgnować dnie jego, tak pełne bolesti, ukryć przed nim niejedną dotkliwą zgryzotę, a byłoż ich nie mało!“

Skreśliwszy obraz domowych i oywatelskich cnót zmarłego, kończy zacna Polka odwołaniem się do przyszłych pokoleń :

„Wy, którzy wolni kiedyś będziecie od namiętnych wpływów, rozpatrzcie się w tem prostem, pięknem i bezinteresownem życiu! Pomyślcie: nie byłoż to z woli Bożej, aby on wam za wzór posłużył? Wyrzeczcie się jak on siebie samych dla dobra i potrzeb Ojczyzny, uczynicie tyle jak on, z taką wiarą i taką nadzieją, a Polska będzie wolna, wielka i świetna!“

Odtąd przez lat 18, wdowa nie nakreśliła w dzienniczku ani jednej litery. Czyżby jej serce przyrosło do trumny męża, zasklepione w samolubnej bolesti

i odretwieniu? miało zobojętnieć na wszystko, nawet na losy kraju? Bynajmniej. Zaczęło to serce podnosiło się i rozszerzało w rozpamiętywaniu cnót i ofiar czcigodnego małżonka. Dźwięk każdy dobiegający z kraju, poruszał je do głębi.

Przerwała wreszcie milczenie na wieść o zbrojnym powstaniu w Polsce. Podczas gdy tak serce zadrżało w obawie nowych klęsk i nowych ofiar, nasza polska matrona, zawsze pełna wiary i nadziei, zapisała w dzienniczku te słowa:

„5. Maja 1863 r.

Dzięki niech Ci będą, Przedwieczny Boże, iżś mi dozwolił, w 18 lat po stracie drogiego męża, doczekać tak wielkiego bohaterstwa w młodem pokoleniu naszym! Ziemia polska znowu przesiąkła krwią walecznych; wielu poległo w świętym boju! O czemuż w roku 1830 nie było tak ogólnego poświęcenia! jużbyśmy dziś — wielkim byli narodem!

Nauczony smutnem doświadczeniem naród nasz powstał w masach cudowną siłą! Rozpoczął od modlitwy! Przez lat dwa cierpiał spokojnie najsroźsze okrucieństwa, wytrwał okryty żałobą, aż oto w danej chwili pochwyił za oręż. Czwartym więc miesiącem walczył z nieznównaną odwagą. Zaczął bez broni, w najgorszej porze zimowej, stanął śmiało do boju przeciw straszliwemu ciemięczy! Waleczni giną w śniegach, inni ich zastępują i znów giną, naród się tem nie zraża! O! wielka to, piękna karta w dziejach naszych! Jaki temu koniec Bóg naznaczył, czas to pokaże! W Bogu tylko i w mężstwie młodych pokoleń naszych spoczywa przyszłość Polski!“

Jaki temu koniec Bóg naznaczył? pytamy dziś jeszcze, bo sprawa nieskończona! Odpowie może niejeden: Sybir, cytadela, nędza kraju, upadek tylu rodzin, rozpacz o przyszłość, zwrot umysłów ku Moskwie, materializm zabójczy dla ducha: oto owoce powstania styczniowego! Słowa to bluźniercze! Garszka braci naszych, w pamiętną noc styczniową, postawiła nowy krok na tej drodze ciernistej, wiodącej do wielkiego celu wyzwolenia Polski z jarzma — na tej drodze, po której szli naprzód pradziadowie ich, zacni rycerze Baru, dziadowie ich, towarzysze

Kościuszki, ojcowie ich, bohaterzy nocy listopadowej! — Każdy krok drogo był okupiony, po każdym nastąpił nowy zawód, nowa boleść, nowe upokorzenie. Niejeden z tych, co składali świętą przysięgę w Barze, zbrudził rękę, ratyfikując rozbiór kraju! Niejeden z zapaśników racławickich powtórzył po klęsce Maciejowickiej wymyślony przez wrogów ohydny wykrzyk: „Finis Poloniae!“ Niejeden z szermierzy listopadowych uderzył czołem przed Moskwą, jak i niejeden ze styczniowych powstańców zrzeka się dziś idei narodowej! zrywa z tradycją i w mrzonkach panslawistycznych, pod tarczą caratu widzi jedyne zbawienie Polski, lub tonie w odmęcie moskiewskiego nihilizmu. A jednak wśród tych prób i dopuszczeń wyrabiał się duch narodowy, i po każdej jawił się czystszy, pełniejszy, lepiej do życia usposobiony!

Iluż to świadków i uczestników nocy styczniowej widzi tylko mogiły rozsiane po szerokiej kraju przestrzeni, słyszy tylko jęki sybirskich ofiar i stokroć boleśniesz okrzyki znieholizmowanych przez Moskwę realistów: precz z Ojczyzną! precz z pieśnią! precz z tradycją! ale nie braknie i takich, którzy wiedzą, że posiew rzucony czystą ręką, spoczywa w użyźnionej krwi roli ojczystej, i prędzej — później musi obfite wydać plony!

Zrozumiała Małachowska ważność ruchów styczniowych. „Naród powstaje w masach“ — woła w uniesieniu radości. Na tych to masach spoczywa jej nadzieja. Wszystkie dotychczasowe powstania miały głównie charakter szlachecki i wojskowy. W insurrekcji Kościuszkowskiej wprawdzie zaczęła już kielkować myśl równości bratniej wszystkich stanów. Kiliński w Warszawie, Głowacki w Racławicach występują tu jakoby dwaj zwiastuny nowej idei, jakoby dwa mity, które przyszłość urzeczywistnić musi. W ruchu styczniowym, tłumy rzemieślników, ekonomów i lokajów, jak mówią pogardliwie przeciwnicy powstania — urzeczywistniły mit Kilińskiego. Szlachetni ci obrońcy Polski wpisali się krwią własną w złotą księgę zasługi narodowej. Mit Głowackiego czeka jeszcze urzeczywistnienia.

Nowy jeszcze krok, a lud nasz pochwyci za kosy i kłomnice, i stanie jak jeden mąż pod sztandarem ojczystym. Mogiły lokajów i ekonomów, świeże podania o ich bohaterskich wysileniach, żywiej przemówią do serca tego ludu, niż bohaterskie walki panów, oddalonych od niego tradycją i obyczajem.

Z okiem zwróconem ku Polsce śledziła Małachowska bieg wojny, liczącej niestety! więcej klęsk niż tryumfów. Po raz pierwszy od skonu męża, gotowaby nawet porzucić drogi grób, przy którym od lat ośmnastu wiernie stoi na straży. Myślą i duchem wybiega do kraju, snąć czuje, że duch męża jest tam, wśród tych, co leją krew i giną. „Szczęśliwsi od nas ci, woła z zapałem, którzy dzielą niedolę i ucisk braci naszych na ziemi ojczystej! My tu biedni w niczem służyć im nie możemy; a jakąż boleść nie być razem w złej chwili, ten tylko pojąć ją może, kto jej dzisiaj doświadcza!“

Wiść o klęskach dobiega do niej: listy z kraju w czarnych barwach malują powszechną niedolę. Tysiące młodzieży powleczone na Sybir. W liczbie skazanych są krewni najbliżsi jej sercu. Ci, których opuściła niemowlętami, dziś wyrosli na mężów czynu i ofiary. Oplakuje ich z głębi duszy, ale w tejże chwili podnosi głowę i zapisuje w dzienniku: „Nie miejsce tu na próżne skargi; naszym hasłem cierpieć i wytrwać. Bóg dzieciom swoim według woli stanowiska obiera. Trzeba więc przejść z pokorą tę zasłaną cierniami drogę. Nie traćmy nadziei! miłosierdzie Boże podźwignie nas kiedyś, byle działać w zgodzie i jedności!“

W rok potem widzi na owej listy tego, którego wychowała, którego zowie dzieckiem swoim. On okuty w kajdany, kopie rudę żelazną! Wielkaż to boleść dla kochającego jej serca, a przecież nie zatrzymuje się nad tem: pyta raczej, ażali umie on trwać i cierpieć, jak Polakowi przystało? Otrzymaany list utwierdza ją w tem przekonaniu; zapisuje z uczuciem dumy: „Boże mój! gdzie go to los srogi zaprowadził! a przecież i tam wielkość duszy, wytrwanie, miłość Ojczyzny i rodziny nie opuściły go

bynajmniej! Rozrzewniający to list, dusza przegląda przez ucisk, pod jakim pisany! Boże! dziękuję ci, żeś go tak wielkim hartem duszy obdarzył!”

Zgasły zbudzone nadzieje rychłego oswobodzenia kraju, i pióro wypada znów z ręki czcigodnej wdowy, Zapiski w dzienniczku coraz to krótsze, smutne, gdy dobieży wieść o nowych prześladowaniach, smutniejsze jeszcze, gdy widzi serca upadające pod naciskiem boleści. Ma ona jednak chwile słodkiej pociechy, gdy jej się zdarzy spotkać duszę odpowiedną duszy jej własnej. Wśród rodzin przebywających czasowo w Paryżu, znalazła jedną, którą ukochała z gorącym uniesieniem. Powtarzamy jej słowa, poświęcone tym drogim przyjaciółom:

„Aby rozjaśnić zachmurzone czoło moje, muszę tu zapisać słów kilka o znajomości, jaką mi Bóg zesłał przy schyłku życia mego. Czy zobaczymy się kiedy jeszcze, nie wiem, ale to wiem, że ta sędziwa pani, pełna cnót, przymiotów i uczuć patriotycznych, sprawiła na mnie tak silne wrażenie, że odtąd myśl o niej będzie dla mnie najmiłszą osłodą. Błogo nam wiedzieć, że w kraju naszym przechowują się jeszcze staropolskie domy, i do takich należy zacna rodzina Antoniny Ja.....“

Rodzina ta w rzeczy samej była prawdziwą opatrnością dla generałowej.

I czemuż nie wolno mi wypowiedzieć tych wszystkich dowodów miłości, jakie jedna z osób tej rodziny, przebywająca w Paryżu, dawała czcigodnej wygnance, jak troskliwą otaczała ją opieką!

W owych to smutnych czasach w parę lat po naszym powstaniu, miałam szczęście poznać generałową Małachowską. Uważając za święty obowiązek, złożyć hołd przezacnej wdowie, odwiedziłam ją w Chantilly, w towarzystwie wspólnych przyjaciół. Sam widok jej nakazywał poszanowanie. Obleczona w żałobę, którą, jak pisze, nie dla zwyczaju przywdziała przed dwudziestoma laty, nie okazywała jednak ani w odzieży, ani w układzie całym, najmniejszego zaniedbania. Barki jej nie pochylły się pod ciężarem siedmiu z górą krzyżyków i tylu trosk



przetrwanych. Patrząc na jej postać zawsze wyprostowaną; na jej czarną suknię opiętą starannie, czystą bez najmniejszego pyłku, na jej czarny czepeczek zgrabnie związany pod brodą, na włosy jej ciemne mimo lat późnych, gładko przy skroni zaplecione, łatwo było odgadnąć żonę żołnierza. Takim być musiał mąż jej, stary legjonista, gotów dosiąść konia w każdej chwili. Słowa jej nacechowane były szczera prostotą, słodki uśmiech ożywiały poorane w zmarszczki oblicze.

Oszczędna w zaspokojeniu własnych potrzeb, dla gości hojną była do zbytku, to też dom jej miał raczej pozór staropolskiego dworku niż ubogiego gniazda wygnanki. Zawołana gospodynii, obznajmiona z kuchnią i zarządem domowym, mogła jakoś wystarczyć na wszystko, mimo szczupłych dochodów. Nie miała ani centyma długu, potrafiła nawet odłożyć sumkę na kosztą pogrzebu. W późnych dopiero latach, kiedy ją siły opuszczały, ręka przyjaciółki tajemnie przychodziła jej w pomoc, używając zręcznych podstępów, aby nie obrazić jej godności.

Niezapomnę nigdy głębokiego wrażenia, jakie sprawił na mnie ten cichy domek, świadek tylu boleści, tłumionych z takim mężstwem, nie objawionych żadną skargą. Ze czcią przestąpiłam próg pokoju, w którym skonał generał. Wszystko tu pozostało, jak było w owej chwili. Pokój ten czysty, ułożony starannie, był dla mnie żywym obrazem serca wdowy. W tem wielkiem sercu i żal i pamięć zmarłego i niezgasłe uczucia, wszystko pozostało tak, jak było przed laty dwudziestu.

Odtąd kilkakrotnie byłam w Chantilly. Miałam nawet to szczęście, że i generałowa za pobytem u przyjaciółki w Paryżu, po dwakroć odwiedziła moje progi. Listy jej chowam jako najdroższą pamiątkę; w jednym z nich otrzymałam opłatek. Z niewysłowioną też pociechą znajduję w dzienniczku wzmiankę o naszym poznaniu. „Można się spodziewać, że prace jej będą dla kraju pożyteczne“, pisze ta czcigodna matrona. Te słowa odczytałam ze łzami. O! bodajby nakreślone były proroczym duchem, bodajby przynajmniej te wspomnienia, dzięki nie mi,

ale tej, która je natchnęła, mogły przemówić chociażby do kilku dusz bratnich i rozbudzić w nich otuchę, że Polska nie zginęła, kiedy w upadku swoim, tak dzielne jak Małachowska wydała jeszcze niewiasty!

Po czteroletniem milczeniu, zmienionem już do niepoznania pismem smutna wygnanka nakreśliła w dzienniczku kilka słów 28. Sierpnia 1870-go roku. Bolesna to data, czarna chmura wisiała nad Francją, za cztery dni miała nastąpić niesłychana klęska Sedanu. Powtarzamy te słowa, niemal ostatnie, za niemi już tylko pożegnanie drogich sercu osób, a dalej białe kartki!

„Lat cztery się kończy, jak nic nie zapisałam, nie dla tego, iżby nie było o czem pisać. Było, o było wiele rzeczy bolesnych! o tych zamilczeć lepiej. Dziś, kiedy się toczy ta mordercza i niesłychana wojna Francji z Prusami, i kiedy według wszelkiego prawdopodobieństwa, Chantilly będzie siedliskiem oblegających Paryż, trudno przewidzieć, co się i zemną stanie. Żyłam długo, za długo nawet, aby tak złej chwili doczekać. Ale taka była wola Boska! wiem, że mnie nic nie spotka bez woli Jego. Wiele ztąd rodzin wyjeżdża, gdyż znajduje miejsce to niebezpiecznem. Ja nie mam nikogo, niech się stanie według woli Bożej! Bóg nie opuszcza wdów i sierót...“

Skończyła się wojna. Jenerałowa mimo bolesnych wrażeń i wstrętne widoku wojsk pruskich, rozkwaterowanych w Chantilly, przetrwała te smutne czasy ze zwykłą sobie odwagą i siłą ducha. Gdy stanął pokój, droga jej sercu panna J., córka wspomnianej przyjaciółki, przybyła do Paryża w końcu r. 1871. Uczucia wygnanki naszej na nową wystawione były próbę. Rodzina J. pragnęła usilnie zabrać ją do Warszawy. Tam mogła złączyć się z ukochaną siostrą, tam odetchnąć rodzinnem powietrzem, znaleźć cichy spoczynek wśród serc prawdziwie kochających, otoczona troskliwą ich opieką. Mam przed sobą list, w którym ta czcigodna matrona odpowiada na wezwanie, tak dla niej ponętne z tyłu względów.

„Droga moja! pisze jenerałowa, wyjść z podziwienia nie mogę, że Ty taka rozumna, tak daleko widząca mogłaś pomyśleć, aby wdowa skazanego na śmierć jenerała, spędziwszy czterdzieści lat na wygnaniu, mogła sobie tak łatwo wsiąść do wagonu i pojechać do Warszawy. A przecieżyby to potrzeba wprzód upaść do nóg swemu ciemiezcy i kto wie, czyby jeszcze pozwolił?”

I wdowa pozostała w Chantilly, nie ugięła głowy przed ciemiezcą, nie opuściła grobu męża.

Wyjazd mój czasowy z Francji i niepodobienstwo powrotu z powodu wojennych wypadków, oddaliły mnie na długo od jenerałowej. Po skończonej wojnie zamieszkałam z mężem w Szwajcarji, wiosna tylko przyciągała mnie do Paryża. Było to właśnie w początkach 1873 roku. Wezwana przez jenerałowę pośpieszyłam do Chantilly. Z boleścią spostrzegłam niesłychaną zmianę w jej rysach. Tknięta paralizem na kilka miesięcy przed śmiercią, nigdy już nie odzyskała zdrowia. Cera jej pergaminową przybrała barwę, oczy zupełnie zgasły: życie jej było odtąd wolnem konaniem. Przyzwyczajona jednak do czuwania nad sobą, trzymała się prosto jak dawniej, ubrana była ze zwykłą starannością.

Czuła ona, że dni jej policzone, pragnęła zatem złożyć w bezpieczne miejsce najdroższą pamiątkę po mężu, ów pałasz, którym legionista dobił się sławy w tyłu bojach z myślą o wywalczeniu Polsce niepodległego bytu! Wiedziała Małachowska, że w Rapperswyllu powstało świeże polskie muzeum, urządzone staraniem hr. Platara. Chciała posłyszeć odemnie, czy to muzeum ma przyszłość przed sobą, czy daje rękojmię złożonym tam narodowym pamiątkom. Zapewniłam w tym względzie: z pełną ufnością złożyła wtedy w ręce moje on drogocenny oręż.

Gdy mnie pożegnała, kreśląc mi znak krzyża nad czołem, zbiegłam spiesźnie ze schodów i wsiadłam do otwartego powozu, który czekał na ulicy. Jakież było zdziwienie moje, kiedy zanim konie ruszyły, ujrzałam ją jeszcze w progu domu. Byłóż to uczucie obowiązku staropolskiej gościnności, czy

chęć uściśnienia raz jeszcze ręki prawdziwie życzliwej? i jedno zapewne i drugie, ale co najpewniej pragnęła rzucić po raz ostatni okiem na drogi pałasz, którego nie miała już zobaczyć!

Czynna do ostatniej chwili, z przytomnością umysłu i niezłomnym hartem duszy, poglądała na śmierć, zbliżając się szybkim krokiem. Pragnęła zostawić wszystko w jak największym porządku. Sama oznaczyła miejsce, gdzie mają być pogrzebane jej zwłoki, tuż przy trumnie ukochanego męża. W liście do pani Pavillon, właścicielki zajmowanego przez nią domu, składa jej serdeczne podziękowanie za wszelkie względy, jakich doznała od niej i jej męża przez lat trzydzieści sześć. Przeznacza dla niej swoje sprzęty, na pamiątkę ofiaruje kropielniczkę z nad łóżka. Prosi, aby pogrzeb odbył się skromnie, według przepisu trzeciej klasy —, aby na grobowcu męża wyryto w rogu napis: „Zwłoki wdowy Kazimierza Małachowskiego.“

Tak się zwykle podpisywała. Na fotografii, którą mi dała przy ostatniem widzeniu, toż samo nakreśliła, ledwie czytelnem pismem. Chciała jakoby zatrzeć w sobie wszelką indywidualność, a widzieć tylko wdowę w wielkiem, chrześcijańskiem znaczeniu tego słowa. Wyraz wdowa *vidua* oznacza próżnię — pustkę!

Ostatnie polecenia, dane pani Pavillon, zakończyła serdecznem słowem: „Niech ci Bóg błogosławi droga Pani; nie zapominaj szczerzej przyjaciółki, siostry w Chrystusie i módl się za jej duszę.“

Gasła zwolna, umysł tylko pozostał krzepkim aż do ostatniej chwili. Krewni, których miała w Paryżu, otoczyli chorą tkliwą opieką i staraniem. Opatrzona św. sakramentami, oddała Bogu ducha 10. Czerwca 1873-go roku.

Garstka rodaków przybyła z Paryża na pogrzeb. Mieszkańcy Chantilly zapełnili kościół i cmentarz. Niejedna łąza pociekła na jej trumnę. Pamięć pobożnej wdowy przejdzie tam od pokolenia do pokolenia a z pamięcią jej poszanowanie dla imienia polskiego.

Nie możemy godniej zakończyć zarysu tego przeznaczonego żywota, aniżeli powtarzając ostatnie

słowa, nakreślone w jej dzienniku, na lat cztery przed skonem. Pisała je przy huk dział pruskich. Niepewna jutra, poświęca te słowa oddalanej rodzinie jako ostatni upominek:

„Do zobaczenia, w przyszłym lepszym życiu! Polecam was opiece Boskiej, nasze ukochane dzieci, z tą nadzieją, że wam kiedyś będzie lepiej, bo Bóg jest sprawiedliwy. Jeżeli dopuścił na nas te ciężkie krzyże, znać, żeśmy zasłużyli na to. Wróćcie do wiary przodków waszych a będzie lepiej na tym świecie.

Benigna Małachowska.“

Oto testament matrony polskiej. Długi żywot wśród walk, poświęceń i cnót prawdziwie chrześcijańskich, dał jej prawo przemawiać w tych słowach do całego narodu!

---

## PIEŚŃ MATKI POLKI nad kołyską dziecka,

(z francuzkiego Graniera)

Przekład Seweryny Duchinińskiej.

---

Spij mi dziecino pod strażą anioła,  
Dość ty ciernistych nadepcesz się dróg,  
Piętno niewoli wrosło ci do czoła,  
Twoje pieluchy krwią naznaczył Bóg.  
Rośnijże mlekiem wykarmion zatrutem,  
Nim hasło nowy zapowie nam bój,  
Ojciec twój kona pod moskiewskim knutem,  
Będziesz sierotą — spijże synku mój!  
Z dziecka tyś pojon piołunową czarą,  
Z której pił gorycz i ojciec i dziad —  
W czas ty pożegnasz swoją matkę starą —  
Pójdiesz, gdzie oni wydeptali ślad.  
Trop w trop za nimi tobie iść potrzeba,  
W chłodzie i głodzie twardy znosić znój,  
Życ bez ogniska, bez ducha, bez chleba,  
Będziesz żołnierzem — spijże synku mój!

Gdzie lecisz kuku? zwiastunie obrzydły!  
Czemu krakaniem zagłuszasz mi śpiew?  
Prześcigasz chmury żalobnymi skrzydły,  
Czyś drapieżnika zwietrzył ciepłą krew?  
Możeś Sybiru zleciał lodowiska,  
Gdzie krocie naszych zagnał krwawy zbój,  
I ty oderwan od ojców ogniska,  
Będiesz wygnańcem; spijże synku mój!  
Kto łą gorętszą, kto krwawszemi próby  
Obmył z przeszłości — ślady grzesznych skaz?  
Stuletnią wrzawą znudzone dziś ludy  
Po cichu szepcą: „umrzeiby im czas!“  
O! darmo przemoc twarda wpija kleszcze,  
Z serc naszych tryska wrzący życia zdrój,  
Może ty będziesz męczennikiem jeszcze,  
Spijże mi dziecię — rośnij synku mój!  
Jeśli narody w martwocie zbrodniczej  
Wzrok dziś od Polski odwróciły wstecz,  
Bóg jej ofiary — jej krzywdy policzy,  
Na głowy katów On wyostrze miecz.  
Z cicha dojrzewa plon w Bożej winnicy,  
Pan wnet powoła pracowników rój.  
Zaczem na hasło zbiegną zapaśnicy,  
Spijże dziecino! rośnij synku mój!

---

## RESURRECTURIS.

---

Sonet po klęskach Francji w r. 1872.

(Przekład z francuzkiego panny Blanchet przez  
Sewerynę Duchińską.)

---

o Polsko! otwórz oczy! patrz... kraj nasz zgnębiony,  
Tym, co cię opuścili, krew z piersi pociekła,  
Orkan dmie, drżą mocarze... druzgocą się trony,  
Nad ludami się pastwi żądza pomsty wściekła,  
Już dzień sprawiedliwości wschodzi niewzruszonej.  
Ty odrodzisz się Polsko, z naszych nieszczęść  
[piekła.

Drżysz niewdzięczna Europo, coś ją w grób  
[powlekła,  
Wstanie szermierz Chrystusachwałą spromieniony.  
Wnet całun twój wspaniała stanie się purpura,  
Twój zwycięzki porporzec zaszeleści górą.  
Ujrzysz się wielką, wolną, w blasku nowej zorzy.  
Ranny świt już przed moją migoce żrenicą,  
Skruszysz kamień grobowy, święta ofiarnico!  
W twym tryumfie świat pozna tryumf prawdy  
[Bożej!

---

## MOJE PIÓRO,

przez

Sewerynę Duchińską.

---

Czas w pomysły tak bogaty,  
Jedno daje, drugie bierze.  
Z mego cechu brat przed laty  
Orał gęsią po papierze.  
Jam nie rada gęsiom wcale,  
Choć ich tryumf światu znany,  
Brennusowe dzielne Galle  
Stokroć wolę nad Rzymiany.  
Idźmy dalej! postęp górą,  
Gęś na pastwę daje gminu.  
Wolę nowe moje pióro:  
Dziób ze stali, trzon z bursztynu.  
Ten mi bursztyn przypomina,  
Kiedy serce się pożali,  
Łzę przeczystą Apollina,  
Skamieniałą w morskiej fali.  
Ach! okupi dźwięki płaczem,  
Kto kołysze serce niemi.  
I bóg pieśni był tułaczem,  
I on płakał za swojemi.  
Gdy powiodę wzrok po stali,  
Oko mętłą zajdzie chmurą,  
Tyleż ojce zmarnowali:  
Ledwie starczy jej na pióro!

Lecz kropelka do kropelki  
Będzie morzem, gdy się zciecze,  
Z drobnej iskry pożar wielki,  
Z piór tysiąca będą miecze.

Nim z nich oręż skują wnuki,  
Nie ustajmy, piór szermierze!  
My krzyżowej pomni sztuki,  
Rąbmy stałą po papierze.

---

## NASZA SPUŚCIZNA,

przez

J a r e m ę.

---

Znam ja, znam spuściznę wielką,  
Co po ojcach dzieciom spadła —  
W morzu światów jest kropelką,  
Ale niegdyś światem władła.

Ona była w koron rządzie  
Tym brylantem, co blask nieci,  
Zda się kiedyś znów nim będzie,  
Jeśli go nie stracą dzieci.

Jakże brylant chować taki,  
Jak od szkody ciężkiej bronić?  
Jak rugować wszelkie znaki,  
Jak od chciwych rąk go chronić?

W sercu, bracia, tę spuściznę  
Chować trzeba, chować szczerze,  
Silnie kochać swą Ojczyznę,  
W ojców naszych wytrwać wierze.

Trzeba dzieje Matki badać,  
Uczyć ciemnych i sieroty,  
I pospołu z niemi siadać  
Do spoczynku i roboty.

I przebaczać trzeba złości,  
Objąć czynem Matki losy,  
Trzeba wytrwać w Jej miłości,  
Trudem łamać wszelkie ciosy.

Wytrwaj dziatwo i młodzieży!  
Chroń się złego i zwątpienia —  
Wróci, co się nam należy,  
Przyjdzie, przyjdzie dzień zbawienia!



## SALON POLSKIEJ DAMY,

(z ryciną według fotografii Jakuba Weizmana, fotografa sanockiego.)

Bardzo ciekawy pendant do „Polki w kółku domowym,” umieszczonej w 16m roczniku naszego wydawnictwa, tworzy „salon polskiej damy” Jakuba Weizmana.

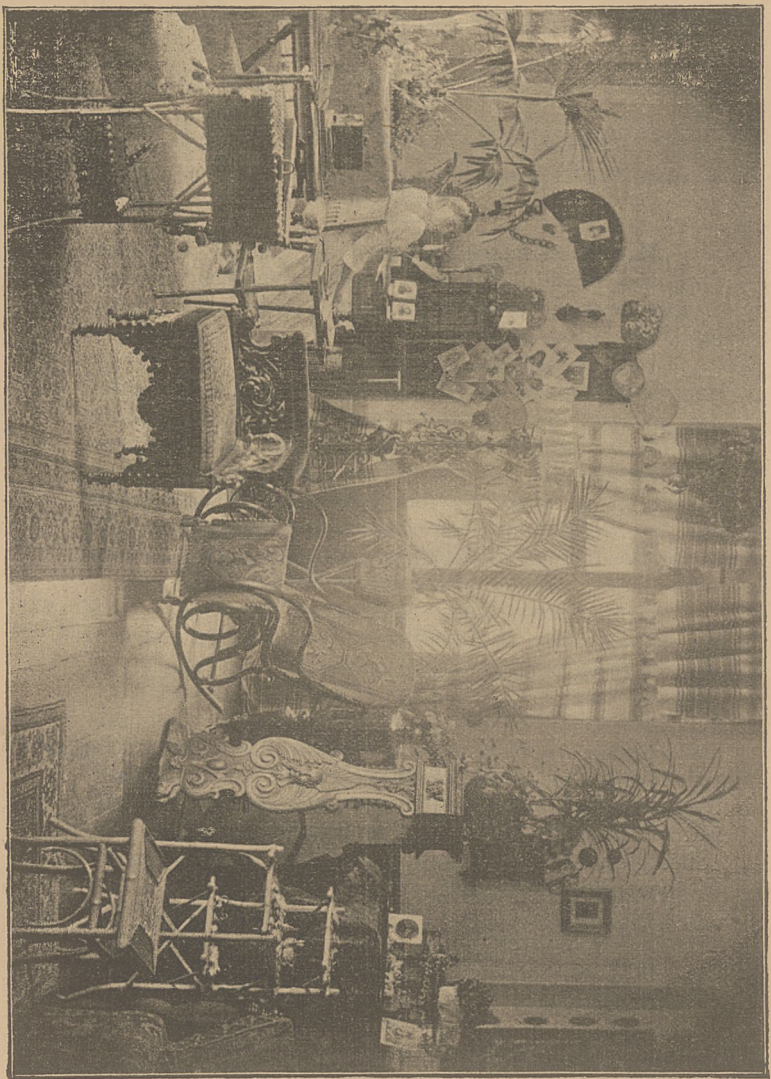
Jeśli w tamtym obrazie podziwiać musieliśmy zręczne ugrupowanie pojedynczych figur, to w „salonie polskiej damy” nierównie trudniejsze zadanie przypadło fotografowi w udziale: jest niem wierne odzwierciedlenie rozmaitych a licznych drobnych przedmiotów, które z wielkopańską niedbałością, ale też z wielkopańskim znanstwem nagromadziła w około siebie właścicielka salonu, przedstawiona w siedzącej postaci przed swoim fortepianem.

Pani domu nieco zadumana; nie zdaje nam się jednak, żeby te dumania były smutnego rodzaju. Wzrok prawie wyzywający świadczy o czemś wręcz przeciwnem.

Fotograf małomiejski, tworząc z takim mistrzostwem ten maleńki, ale bardzo udatny obrazek rodzajowy, dał nam niezbity dowód zdolności nie byle jakich. To też żałujemy mocno, że nie nadesłał żadnej z prac swoich na wystawę lwowską z r. 1894, gdzie by się rumienić nie potrzebował nawet w obec niejednego sztukmistrza.

Sambor, 3. Lutego 1896.

G. Kohn.



Salon polskiej damy (według fotografii Jakuba Weizmana ze Sanoka.)

## W STULETNIĄ ROCZNICĘ URODZIN

Stanisława Jachowicza i Jana Juliana Szczepańskiego.

Listy Jachowicza do Szczepańskiego wraz z krótkim  
życiorysem obu pedagogów i literatów.

Ogłosił

**Józef Białynia Chołodecki**, (Walenty Ówik.)

Sto lat dobiegło właśnie do kresu, gdy w Dzi-  
kowie wsi, ongi obwodu Rzeszowskiego, ujrzał światło  
dienne (w r. 1796) niezrównany, nieprześcigniony  
w pracy i poświęceniu dla pacholącego światka  
bajkopis Stanisław Jachowicz. Ukończywszy gimna-  
zjum w Stanisławowie, uniwersytet zaś, zwłaszcza  
wydział filozoficzny we Lwowie, przeniósł się (1818)  
do Warszawy i rozpoczął ów skromny, cichy, a tak  
wielce zasłużony żywot prywatnego pedagoga. Wro-  
dzone zdolności i niezmordowana praca użyteczne  
dla narodu wydały owoce, lecząc młodzież z fran-  
komanii, ucząc ją czuć i myśleć po polsku. Pra-  
wdziwy druh i przyjaciel dziatwy, rozumiał on,  
pojmował ją, odczuwał subtelne wrażenia duszyczek  
młodych, toż pisząc bajki i powiastki, redagując  
dzienniczek, umiał je nagiąć snadnie do umysłu miłu-  
sińskich, do nich ich własnym przemawiał językiem.  
Komuż z nas nie są znane z lat dziecięcych niesta-  
rzejące się nigdy płody pióra Jachowicza, ogłaszane  
drukami, zacząwszy od r. 1824, w licznych wyda-  
niach, pomnażanych ciągle nowemi dodatkami? „Bajki  
i powiastki“, „Pamiętka dla dobrych dzieci“, „Roz-  
mowy mamy z Józią“, służące za wstęp do wszel-  
kich nauk, zwłaszcza zaś gramatyki, „Pamiętka dla

Eryczka“, „Czytania Józi“, „Książeczka dla Stefcia“, „Przestroga dla mojej kochanej siostrzenicy, idącej za mąż“, „Dziennik dla dzieci“ i t. p., oto cały szereg prac, które zdobyły Jachowiczowi imię, zdobyły serca polskiej młodzi i dojrzałych członków społeczeństwa; toż gdy zamknął w r. 1857 powieki do snu wiecznego, prawdziwa cześć i poważanie, głęboki żal rodaków towarzyszyły mu do grobu. —

\*  
\*  
\*

Szczery przyjaciel Jachowicza, Jan Julian Szczepański urodził się również w r. 1796, 13. Lutego w Rozdole, ukończył tamże szkoły trywialne, gimnazjum we Lwowie, poczem przeszedł jako słuchacz filozofii na lwowską wszechnicę. Poznawszy szesnastoletnią córkę wyższego urzędnika państwowego Königa, zawarł z nią jako akademik śluby małżeńskie i rozpoczął żmudny zawód prywatnego nauczyciela. Walcząc pomimo ciężkiej pracy z niedostatkiem, zmienił swe zajęcie i objął posadę poborcy cłowego przy lwowskich rogatkach, z płacą miesięczną 13 złr. m. k. Wolne od trudnych obowiązków służby nocne godziny poświęcał dalszym studjom literatury i zwrócił na siebie uwagę profesorów wszechnicy, którzy dopomogli mu do uzyskania posady nauczyciela polskiego języka na ówczesnej technice lwowskiej. Tutaj pozostał do czasu reorganizacji techniki pod dyrektorem Reisingerem, poczem wysłużywszy lat 30 przeszedł na emeryturę. Równocześnie z pełnieniem obowiązków nauczycielskich pracował w redakcji „Lwowskiej gazety“ — raczej „Lemberger Zeitung“ jako tłumacz i kierownik wydawnictwa „Rozmaitości“, jedyne go periodycznego pisma polskiego owych czasów, gdzie wolno mu było umieszczać w tłumaczeniu zakreślone cenzurą ustępy z pism niemieckich, wyjątkowo zaś tylko oryginalne prace literackie. Ważną dla niego zdobyczą było uzyskanie przywileju wydawania czytanek dla szkół ludowych na własny rachunek. Umożliwiło mu to utrzymanie i wychowanie licznej rodziny z dziewięciorga złożonej dzieci. Oprócz z Ja-

chowiczem łączyły go ściślejsze węzły przyjaźni z Odyńcem, Bielowskim, Sartorinim, Zamojskim, Skarbkim, tudzież dyrektorami teatru Smochowskim i Nowakowskim, z którymi urządził wspólnie literacko-artystyczne wieczorki. Pomimo obarczenia pracą w szkole i redakcji, nie spoczywał i w domu wśród nocnych godzin a owocem tych znojów były obok zbioru poezyj: „Polyhymnia“ — „Gramatyka języka polskiego,“ „Grammatikderpolnischen Sprache,“ „Gramatyka francuzka,“ „Powiastki dla dzieci,“ „Świat w obrazkach,“ „Wieczory familijne,“ „Abecadło nowe polskie,“ „Co dziś gotować?,“ „Encyklopedia dla naszych dzieci,“ „Pierwsza książka do czytania,“ „Książka druga do czytania,“ „Cztery nowe środki dźwignania krajowego rolnictwa,“ „Tłumaczenia książek niemieckich do czytania,“ „Wieczory familijne w czterech językach.“

Owdowiawszy w r. 1867 zamieszkał nie bez tęsknoty za Lwowem, w Kołomyi u swej córki Matyldy, zameężnej za Marcelim Sławińskim — gdzie przebywała także druga owdowiała po malarzu Bartusie córka Henryka, matka znanej chlubnie w poezji naszej Marji Bartusówny. Ta ostatnia przebywała po ponownem wyjściu matki za mąż za zarządcę lasów Prayera w Roztokach, Kutach, Utoropach, przeważnie zaś w domu wujostwa Sławińskich, gdzie poetyczna duszyczka dziewczęcia ulegała mimowoli wpływowi sędziwego dziadka.

Na kołomyjskim cmentarzu u stóp płaczącego jasionu widnieje pomnik z datą 12. Lipca 1869 i napisem, który własnoręcznie nakreślił dla swego grobowca Jan Julian Szczepański: —

„Los mnie tu złożył, com pośród niemczyzny  
Obudzał w młodzi miłość do polszczyzny.  
O Ty! coś przybył tu mój grób odwiedzić,  
Ktoby go burzył, temu chciej powiedzieć:  
Nie ruszaj świętej ceniom spokojności,  
Które to miejsce udziela,  
Niech Jana Juliana,  
Mojego nauczyciela  
Miętko i błogo spoczywają kości“...

\* \* \*

Odsłaniając kotarę prywatnych stosunków, prywatnego życia Jachowicza, jakiż tam znajdujemy olbrzymi skarb uczuć, przedzę szczerych, najzacniejszych myśli, najlepszych chęci, zaparcie się dla dobra bliźnich i Ojczyzny. Listy kreślone w cichości do przyjaciela, charakteryzują pysznie szlachetną postać Jachowicza, pozwalają nam poznać go jako obywatela, autora, pedagoga, dają sposobność ujrzeć go w kole rodziny, wśród grona przyjaciół, w otoczeniu pacholąt, garnących się do swego mistrza, toż ogłaszając listy pragniemy w ten sposób oddać hołd pamięci dobrze zasłużonego społeczeństwu męża.

\* \* \*

Moy drogi Janku!\*) List twoy ostatni doszedł mię ostatnich dni Stycznia ale iak cię kocham nie mogłem nań odpisać. — Dzięki Bogu że się iednak trafiła wkrótce sposobność którey nie opuszczam. Janie! tyle to mego kiedy się choć twoia literka przedrze do mnie błoga mi ta chwila gdy twoie wyrazy przypomną że ieszcze mi pozostanie przyjaciel zktórem żyć mogę. Nie wystawisz sobie iak ia tu samotny. Dosyć mi się dobrze powodzi i choć iuż utraciłem wikt i stancyę którą miałem gratis iednak dosyć żyję sobie wygodnie, a nadewszystko swobodnie — jestem sobie zdrów, praca mi dosyć służy i iey to jestem winnien że ieszcze nie pogrąża mię rozpacz osierocenie a przyaciół — daie ono mi się iednak czuć dobrze. —

Ja podług twoiey hypothesis prowadzę teraz romans bardzo gorzki — ty go tylko potrafisz osłodzić. Przyezdżay ieżeli chcesz i mnie i siebie uszczęśliwić. Z dwudziestoma lub trzydziestoma

---

\*) Aby nie zatrzeć cechy oryginału, zachowujemy wszędzie pisownię oryginalną, aczkolwiek według obecnych prawideł błędną. (Przyp. red.)

Dukatami które się mieć spodziewasz z domu możesz się łatwo puścić do Warszawy, ia wtém że niebędziesz tego załował. Stancję będziesz miał u mnie bezpłatnie dopóki sobie czego pewnego nie znajdziesz a i o wikcie pomyślimy a gdy to masz to iuż o resztę mniejsza będziemy sobie radzić. Staray się żebyś sobie tylko ułatwił przeprawę, żebyś się tylko z łatwością tu dostał i nie był napastowany od tamtejszego Rządu bo tu sęk naywiększy. Lepiey żebyś się puścił sam bez książek książki mógłbyś zostawić Jabłońskiemu i ugodzić się od nich to by ie iadąc tu po nowe mógł z Sobą przynieść — a ty byś sobie przeleciał iak ptaszek iednak — pierwey mi napisz finalnie kiedy to myślisz uskutecznić żebym ia tu koło tego pochodził bo i tu diable ostrożnie trzeba wszystkiemu zapobiedz. Powtarzam moje życzenie żebyś ieszcze u naypierwszego kaligrafa mógł wziąć z kilkanaście lekcyi a to ci tu naywięcej pomoże. Ja umyślnie mogę powiedzieć dla Ciebie wziąłem mimo moich uciążliwych obowiązków parę godzin na tydzień lekcyi dochodzących w pewnym konwikcie abym tym sposobem wszedł wscislejsze stosónki z takimi mieyscami gdzieby Ciebie wśróbować można (iednak to wszystko niech będzie między nami.)—Stancyikę mam wyborną. Stoie tymczasowo z moim kolegą mamy dwa pokoiki a na lato będzie i trzecia trzeba ci wiedzieć że ia iestem pryncypał i iak by tego było potrzeba to by on się i ustąpił. — Toż to byśmy sobie dopiero żyli. Nasz sposób życia różnił by się od sposobu życia Warszawskiej młodzieży — nasze rozkosze byłyby prostsze, naturalniejsze, tańsze, ale podobno godniejsze Człowieka. Wtenczas Janie czuie słodycz życia gdy myślę że się połączymy z Sobą. Twoy projekt względem katedry Literatury pol. we Lwowie iest to zamek na lodzie iest to tylko igraszka Fantazyi którą ci się iako poecie bawieć woluo ale nie będzie nic ztego; a wrzędzie Osińskich i Felińskich Asindzieiowi stawać ieszcze za wczesnie Braciszku! ieszcze trzeba zapocić czoła. — Iaki z Ciebie Waryat przysłałeś mi do umieszczenia wiersz do Felińskiego

a iużeś go dał do pszczoły nie szalij że ty nie szalij wystrychnął byś mię był na dudka żebyś był popędliwszym. — Przyszlij mi twoię Heroidę dla zaspokoienia mey ciekawości i donieś mi iak ci się podoba przekład Heroidy la Harpa Serwilija do Brutusa iest to pierwiastkowy plód naszego młodego Prokuratorczyka który niedawno przelał Wiosnę Kleista na Wiersz Oyczysty. Tę Heroidę znajdziesz w Tygodniku o który u was nie zbyt trudno. Co tylko masz zprac twoich a wlaszcza z ulotnych wierszyków przyszlij mi przez Jabłońskiego który ma tu bydź w Maju pilnuje go iak mię kochasz i nie opuść tey tak wybornej sposobności a ia tu iuż wczesnie będę co dla ciebie wygotowywał bo i teraz nie mogę tyle pisać ilem sobie zamyślał gdyż Pan Wereszczyński miał bawić ieszcze ze trzy tygodnie a on nadspodziewanie wyieżdza. Co się tyczy naszej Młodzieży Manjia wierszowania wszystkich opanowała co tchniesz to Poeta. Między innemi sławnych Oyców Synowie Dmuhowski i Godebski dają dowody pięknego talentu. Kaliński którego wiersze marsowe czytaliśmy zsobą we Lwowie pracuje nad przekładem Tragedii: Fedra Ignacy Humnicki zrobił oryginalną Tragedią Gaworek która była wystawiona na Teatrze krakowskim pracuje nad Żółkiewskim z którego wyimki mają bydź bardzo piękne; żądał ich od Niego Stanisław Potocki podobały mu się bardzo. Dziewica Aurelińska Szylera iest już przełożona ale nie wiem przez kogo to tylko wiem że poprawiana przez Osińskiego wkrótce będzie grana. — Młodzież Akademicka bawi się dobrze. Niedawno mieli punkt centralny swey schadzki w Cukierni Faliniego tam przebywali gromadami odczytywali co który miał interesownego rozmawiali śmiało i patriotycznie -- i komunikowali sobie rozmaite wypracowania przytem iedli pili i grali w gry rozmaite. Wkrótce poróżnili się przedzielili się na partye iedna zwana Arystokratyczna pozostała u Faliniego druga przeniesła wswe posiedzenia w inne mieysce i skromnym narodowym napoim (piwkiem) kontentować się



zaczęła później ta część druga do której celniejsza młodzież należy zaczęła odbywać swe zabawy w domu jednego z Kollegów i tam dotychczas bawią się wesoło i pięknie, czytają periodyczne pisma, grają wrozmaite gry; brzdąkają na fortepianie i śpiewają narodowe pieśni — wydała dwa periodyczne pisemka w Manuskrypcie jedno pod tytułem Akademik więcej polityczne drugie Nasze rozrywki ponaywiększej części składa się z poezyi i jest ozdobione popiersiem rysowanym, iakiego z sławnych Polaków. — Piątkiewicz gra pomiędzy nimi znaczną rolę. Rzadko u siebie bywamy. Jednak dostarcza mi tych literackich łakotek o które mi teraz bardzo trudno bo z żadnym z literatów nie wchodzę wciślejsze stosunki przyznam ci się że się boję tego gatunku ludzi — a do towarzystwa Naukowego trudno by mię już i pierniczkiem przywabić. — Moje Serce choway też listy moje, gdyż niechciałbym żeby się komu obcemu w ręce dostały, a chciałbym z nich z czasem gdy się połączemy korzystać — wszak to w listach zwłaszcza listach poufałych jest historia Życia Człowieka. — Te to Akta w Archiwach przyjaciół złożone, mają przedtrybunałem własnego przekonania wywodzić sprawę działania całego Życia — tu się zostają ślady przemiennych uczuć — stoczonych walk zupartym losem — doznanych rozkoszy na które miło sobie kiedyś wspomnieć — i żę uronić. —

Zacnego Towarnickiego ucałuy serdecznie odemnie — uczulem mocno grzeczność Jego iż mię udarował miłemi swemi wyrazy — nie zawiódł on się na sercu moim równie iak ia na Jego, zawszem go szacował dla Jego pięknego sposobu myślenia — zawszem go kochał; iakże nie kochać tego ktorego moy Janek godnym swego przywiązania uzna.

Ubolewam niezmiernie nad iego słabem zdrowiem — zycze mu iak najlepszego; Przeprós go że nie piszę osobnego listu gdyż wiedząc że ledwie mi iedną składacie duszę nie chce i w listach czynic podziałek wiem że mu ten list będziesz komunikował dowie się więc wszystkiego czego by się

zosobnego dowiedział listu. Zawsze mi wliście Twoim donoś o iego stanie zdrowia a przy każdym odczytaniu listu moiego udziel mu Imieniem moim przyjacielskie uściskanie choćbym go kiedy i dołączyć przepomniał. — Słyszę masz znajomosc z Szanownym Pietrusińskim bardzo ci tego winszuję — to ma byđz bardzo zacny Młodzieniec a ile mogę miarkować z niektórych zarysów Jego Charakteru powinniście z sobą harmonijować donieś mi o tem walnym Rodaku, — iak iesteście z sobą. —

W każdym z twoich listów ma bydz o wierszach o Mauzie i o Piotrusińskim. Donieś mi iak ci się podoba Zbigniew Niemcewicza i Templaryusze Brodzińskiego i czy życzysz sobie którego z tych dzieł. —

Twój Stach Jachowicz.

Krótki rys: Zdrowie służy mi nieprzerwanie i lubo ból głowy niezupełnie mię opuścił iednak mi nie tyle dokucza co dawniej i nie robi przerwy w obowiązkach. Pracuje w temże samym biorze iednak nie tak pod obuchem — dodany iestem Sekretarzowi Tłumaczowi który iest Człowiek światły i słuszny, rodzaj pracy przyjemniejszy i nie tyle podległości. Ztąd mam miesięcznie złotych sto. Dwie godziny wolne od pracy biorowej poświęcam dawaniu lekcyi. Nieuwierzysz iak ten rodzaj pracy ma wiele dla mnie powabu. Mój zawód Nauczycielski zacząłem od Dziewczątek. Przyznał ci się że nigdy nie myślałem żebym miał tyle cierpliwości i tyle łatwości w nauczaniu. Teraz poznałem że ia tylko na Belfera stworzony. Już ia tego obrzydłego przysłowia nie zastosuję do siebie: *Dii illum odere quem Pedagogum fecere*, — raczey powtórze z Tobą: *Naypodobniejszy iest Bogu ten który drugich oświeca*. Jest to moy odpoczynek po pracy Biorowej, moia rozrywka, moia nayprzyjemniejsza zabawka. Trudno wystawić co to za przyjemność otwierać pierwsze pojęcia! roziaśniać pierwsze wyobrażenia! szczęśliwy iestem w wyborze i w zastosowaniu metody — ślicznie mi moje dziewczątka pomylią nawet oschłe gramatykalne nauki — rozplływam

się widząc owoce mey pracy — poukładałem dla nich podług mego własnego widzi mi się Elementarne dziełka Grammatyki i Geografii myślę o Katechizmie iakiego Russo pragnął i o Nauce moralney, a potem pomysle o Historji powszechny. Zastosowuie się do ich pojęcia i przez iasne wysłowienie dosyć pomysłnie osiągam zamiar. Codziennie nowe robie postrzeżenia i codziennie lepiej mi idzie. — Ah gdyby to moy Janek tu był iakżebym ia był szczęśliwy! on by umiał dzielić ze mną te rozrywki on by słuchał cierpliwie moich uwag i nowych postrzeżeń — dla niego były by one interessownemi — z nim bym składał konsylia od niego bym zdrowych rad zasięgał, znim bym dzielił te uczucia, ktoremi się napełnia me Serce, gdy usiłowania pomyslny skutek uwieńcza. Powiadam ci nigdy nie czułem tey przyjemności w układzie naypiękniejszego wierszyka iak kiedy wpadnę na myśl nową w wykładzie grammatyki, która ułatwia dzieciom pojęcie. Na próżno bym się wysiłał nigdy nie potrafię ci dokładnie odcieniować tey przyjemności ktorey doświadczam. Mogę się i z tem pochwalić, że umięią cenic me usiłowania — i że odbieram dowody wdzięczności. Wystaw sobie iak mię to cieszyć musiało że gdy Madam (utrzymująca dochodzące panienki ktorym daję lekcyę) przenosiła się na inną bardzo odległą ulicę — Rodzice moich Uczennic proponowali mi żebym chciał kontynuować też lekcyę u nich w domu a gdym się tego pojąć niechciał posyłaia swe dzieci do teyże samey Madam tak prawie daleko iak we Lwowie z Akademij do Żółkiewskich rogatek, chociaż więcey iak dzie sięć podobnych pensyi iest blizey — częstokroć nawet biedniątka na obiad do domu nie chodzą — możesz sobie łatwo wystawić iak mię to uymuie, a razem ile to mi pochlebia. —

Wychwalasz mi Kozmiana i Wężyka — któż by ich nie chwalił? ale powiedz znasz ty dobrze Książnina? może ty go także nazwiesz iak Brodzińskiego Talentem za iego drobne liryki ale ia go zawsze uważam ze Geniusz podług mnie to iest naywiększy nasz Poeta — czytałem wielu Poetów

niemieckich Francuzkich z żadnego liryki tyle mnie niezajmują nie unoszą iak Książnina z całej Antologii Mathissona nic podobnego nieznaydziesz — Mamy skarby a nie wiemy o nich, Karpiński wkażdego ustach Książin żadko wspomniany — Tak to talent się podoba wszystkim Geniusz od małej liczby ceniony.

Że Kropiński Autor Ludgardy zajął miejsce Felińskiego w Krzemieńcu może dla ciebie nie będzie nowiną iednak ci o tem donosze iako o rzeczy nowej bom dopiero o tem zasłyszał. —

Posyłam ci popiersie Kornela iakiem mógł dostać spodziewam się ze tak zniego będziesz kontent iak ja gdybym dostał J. J. Russa. Czytam teraz iego Emila nad którym się rozplýwam — tysiące nowych pomysłów otwiera i mimo swoich idealnych uroień zawsze on będzie wzorem Pedagogów. Jego dziełko o Polsce powinno mu wieczną w sercach Polaków zapewnić wdzięczność — z wstydem to wyznać muszę iż mię dopiero ten Francuz prawdziwym zrobił Polakiem, i nauczył iak oiczyzne kochać należy — posyłam ci wyimek ztego dzieła który ci się spodoba — bo wiem że to uwas rzadkie rzeczy a możesz dotąd o tem i nie słyszał gdy się z sobą połączymy często on będzie w ręku naszym i często będzie dostarczał osnowy do rozmów przyjacielskich. — O Seimie nie wiele ci mogę bo pierwsze że obowiązki nie pozwalają mi uczęszczać powtóre że niewiele interessownego zrobiono. — Jednak inaczey to idzie iak we Lwowie. — Posłowie mówią śmiało, i wolno — okazują wiele roztropności — wielką znościomość rzeczy — wiele gorliwości i zapału. Miło to iednak widzieć Reprezentantow Narodu podnoszących głos który wszyscy Rodacy zrozumiec mogą!! —

Projekt procedury karny przez Radę Stanu podany odrzucili uznawszy go za niedostateczny — Exdywizyi — (tey poczwarze barbarzyńskiej) łeb skręcili i t. p. iednak zmarnowano wiele czasu na próżno. Odezwy niektóre Senatorów mają Swoją wartość między innemi Wybickiego nader ważna — trochę za śmiała nie pozwolono iey drukować lata

jednak w rękopisie i ja iey dla nas dostanę ale po-  
zniej. Wasilewskiemu możesz tymczasem ten ka-  
waleczek o Seymie wypisać — a razem przeproś go  
i zapewniej moim Imieniem ze wkrótce do niego  
pisać będę a później tą się mu mową przysłużę.  
Wszystkich znajomych usciskay i ucałuy — lubo do  
mnie nie pisali i zdaią się zapominać ia ich jednak  
wszystkich chowam w mym Sercu.

Janku! Co też może bydź za przyczyna twego  
zapomnienia iest dla mnie zagadką. Może by się  
należało ten twoy postępek przyjąć inaczej — ale  
ia na to za słaby. Za nadto cię kocham ażeby  
mogł bydz obojętnym na Twoię raptowną zmianę. —

Niezważaiąc iak to przyimiesz — dość że moje  
serce tego potrzebuie, donoszę ci żem w tych czasach  
utracił najdroższą Matkę — matkę o ktorey z tobą  
tyle-kroc z rozrzewnieniem i uniesieniem rozmawia-  
łem Nie uwierzysz ile ten wypadek ma wpływu na  
całe moje zycie — wszystkie widoki inny zdaią się  
brać obrot — a ia już nieiestem więcey tym czym  
byłem. Nieuwierzysz ile się to przyczynia do mego  
nieszczęścia że tu nie mam takich przyjaciół iakich  
serce moje pragnie a i w tych w których cała moia  
była nadzieja dostrzegam iakaś niepomyślną zmianę.  
Moy Iasiu niechciey się do tych ostatnich liczyć,  
nie wydzieray mi tey ostatniey pociechy którą po-  
kładałam w przyiazni — inaczej zrobisz mię Egoistą  
— odludkiem nieznalazszy albowiem wzajemności  
w Tobie powiem: Niema przyażni na świecie.

S. Jach. —

30. kwietnia 822.

Szanowny Przyjaciel I. J. Szczepański

we Lwowie.

Kochany Julianie! Sześć lat milczenia?! —  
Dwa dni niegdyś ile to nam dostarczyły przedmiotu  
rozmowy a teraz lat tyle ubiegło od czegoż tu za-

cząć? na czem skończyć? Julianie ja ciebie kocham zawsze jak kochałem — droga mi pamiątka chwil z tobą spędzonych Co to się z nami przez ten czas działo? Ile to powstało uczuć w sercach naszych — zniknęły a uczucie przyjazni jak silne jak trwałe! Ledwie znalazł pewną sposobność — drzę z radości że cię może dojść moje przyjacielskie ucałowanie. W kilku słowach skreszę ci los moj. Byłem szczęśliwym z wami bom miał przyjaciół jakich się już i spodziewać nie mogę — rozłączyłem się z wami — dał mi Bóg przyjaciółkę jakiej żaden z śmiertelnych nie godzien i Bóg mnie z nią rozłączył utraciłem najmiłszą życia mego osłodę . . . masz serce i wiem jakie . . . zrozumiesz mnie ale nikt mnie może więcej nie zrozumie . . . Teraz żyję bo Bóg mi żyć każe niedzieja co i nad grobem nie opuszcza człowieka uśmiecha się do mnie a ja się do niej uśmiecham... Żyję — nie mogę powiedzieć żebym był nieszczęśliwym bo samo wspomnienie chwil tak słodkich . . . uczuć, o których nie wielu może mieć wyobrażenie, wspomnienie rajy na ziemi jakiejże nie osłodzi niedoli?

Julianie nie przestaway bydź moim przyjacielem -- kochaj mnie choć w cząsteczce tak jak ja ciebie kocham! O jakże będą mi drogie twe wyrazy jeżeli mnie niemi udarujesz?! Z prac moich literackich raczysz przyjąć jedyny prawie owoc — mam jeszcze niektóre kawaleczki w rękopiśmie ale ty znasz ich wartość — to tylko dobre chęci przy takim talencie do poezyi jak twój, nie mogą ci się dobrze wydać. Dziwno mi że dotychczas niczém oryginalnem nie wzbogacasz literatury — pomnij że Matysson nie skończył na Lirycznej Antologii a nawet ją własnymi pracami pomnożył. Kochany Julianie jeżeli mi raczysz odpisać po dawnemu to i ja się po swojemu wypiszę tymczasem kończę najserdeczniejszym ucałowaniem i zapewnieniem do-  
zgonnej przyjazui.

Stanisław Jachowicz.

Dnia 23. Marca 1828.

Kochany Julianie!

Bóg Ci zapłać za te kilka wyrazów są one dla mnie czem rosa dla wędniejącej trawki (jeżeli mam się po poetycku wyrazić).

Ubolewasz nad swoim losem. — Jakże tyś szczęśliwy w porównaniu ze mną. Jeżeli cię niedostatek uciska, małe to zło i pracą odpędzić go łatwo weź siekierę w rękę a będziesz miał kawałek chleba — dziękuj Bogu że go masz z kim podzielić — ale ja pustelnik wśród stu tysięcy ludzi, opuszczony od wszystkich — chwilę prawdziwego zaznawszy szczęścia, utraciłem go podobno na zawsze. Mam dochody wystarczające ale cóż mi po tem wszystkim nie mam dla kogo przełamać skibki chleba, nie mam do kogo słodkiego wyrzec słówka. Poezja na którą narzekasz to jeszcze moja Dobrodziejka, jej zwierzam tajniki serca — ona mnie karmi nektarem swoim — jej podobno winien jestem że żyję. —

Niesłusznie ją oskarżasz ona czasem i pożywić potrafi — patrz co dokazuje Mickiewicz patrz jak jego dzieła pożerają a czyżby Julian Mickiewiczem bydz nie mógł? Czyż nam niezapowiadał w swoich pierwiastkach Szyllera Getego? Julianie lepiej trzymaj o sobie. Twierdzisz że nie umiesz po polsku a twój list wcale inaczej powiada, jest to skromność ale niepotrzebna — jeszcze krok a Julian zmierzy się z Brodzińskim — lub starego przypomni Juliana. Co się tycze twego komisju chętnie uczynie co moje siły pozwolą tylko postaraj się o przystawienie tego dziełka na miejsce. Najlepiejby podobno było przez Brzezinę jest tu jego wspólnik P. Senewald co był w Tarnowie zna cię dobrze i mile cię wspomina, zacny to człowiek przez niego możesz różne robić interesa, ja ile możności pomogę. Chcesz kronik ale napisz czy koniecznie chcesz dawnych edycji czy i przedrukowane zdaćby ci się mogły o pierwsze bardzo trudno ale drugie da się skutecznie mianowicie przez antykwarzy.

Sartyniego ucałuj odemnie powiedz że list jego odebrałem ale nie odpisuję bo nie mam co — miał bym wprawdzie ale by tego i na wołowej skorze

nie spisał więc wolę odłożyć wszystko do widzenia, którego słodką nadzieję zrobił nam za nadejściem wiosny.

Kuźmiewicza odezwę także odebrałem on zawsze poczciwie Kuźmienie! pisać będę ale ponieważ chciałbym wiele więc mi się zabrać trudno — przysięgam nie wiem z pewnością gdzie go szukać jeżeli łaskaw niech jeszcze raz napisze i doniesie dokładnie o miejscu swego pobytu, wszak za tyle lat zaległości nie zgrzeszy gdy mnie grzecznością przewyższy. —

Całuję cię po milion razy drogi Julianie a pisuj też pisuj przecie do opuszczonego od całego Świata Sieroty.

S. J.

8. Września 1828.

D. 25. Lipca 1830.

Kochany drogi Julianie!

Na dowód żem natychmiast na twój list odpisał poselał ci ten sam list a z braku czasu tylko niektóre załączę dodatki. —

Rękopisma twoje odebrałem: Leontynę, Menander i Gliceryjon, Praskim z Kaszemiru ale Grammatyki francuzkiej i Schlegla niema w tym zbiorze. Nie umiem ci donieść co się da zrobić, bo dopiero na samem przyjeździe odebrałem od W. Kamińskiego — wątpię żeby można tyle wziąć ile chcesz bo tu u nas łatwiej wydrukować swoim kosztem i stracić jak zbydź księgarzowi, jednak co w moich siłach będzie uczynię. Pragnąłbym ja tu ciebie ściągnąć do Warszawy ale nie śmiem cię zapraszać od czegoś pewnego do niepewnego — gdybyś jednak chciał się odważyć, możesz śmiało do mnie zajechać a stół i stancyą znajdziesz jak u siebie i możesz się na to zupełnie spuścić. — Donoszę ci że ja zostałem teraz Direktorem nowo założonego instytutu moralnie zaniedbanych dzieci — nie wiem jak się powiedzie ale przynajmniej jestto powołanie świetne, do którego zawsze wzdychałem — możesz



o tem powiedzieć Mauzowi a ucieszy się pewnie bo z zapalem o tego rodzaju instytucjach mawiał. Pośleam Ci nieco z moich dziełek i jedno dla Mauza. Dla Ciebie czwarte wydanie Bajek, Nauka o zabawie i nowe rozmowy dla dzieci. Dla Mauza R o z m o w y tylko, oddaj mu sam usciskaj go odemnie serdecznie i przetłumacz mu dedykacją, przeproś że po polsku podpisuję bo w stolicy polskiej zapomniałem po niemiecku.

S. Jachowicz.

Wiele dziesiątek lat minęło od czasu owych listów Jachowicza; praca na polu oświaty, szkolnictwo na nowe, nieznane przedtem weszło tory, rozwinęło się w Galicji zwłaszcza, z nadzwyczajną szybkością i objęło wszystkie warstwy społeczeństwa. — Potężny zastęp pracowników, popierany moralnie i materialnie przez ogół stanął z dżutem i kielnią do walki z ciemnotą, i wśród tego zastępu bojowników dzielni zaprawdę dali poznać się szermierze, potężne wyłoniły talenta, imiona jednak takie jak Stanisława Jachowicza i Jana Juliana Szczepańskiego, którzy w cichości lecz z żelazną wytrwalością pokonywali piętrzące się trudności, walcząc z brakiem środków, z niedostatkiem siali złote ziarna wiedzy, przodować będą zawsze jako wzór mistrzów na polu oświaty i kształcenia młodego posiewu obywateli kraju.

Lwów, 1896.

---

## BOLEŚĆ (z Lenaua.)

---

Panienska zapłakała,  
Gdy ją bolem los darzy,  
A łza, co z ócz spływała,  
Zmyła róż na jej twarzy!  
Tak nas los oszukuje,  
Jak róż, co twarz przypruszy —  
Lecz boleść okazuje  
Rzeczywisty stan duszy.

Zenon Młot.

---

## Z TAJEMNIC PACANOWSKICH.

### HUMORESKA.

Motto: „Od ognia, wody  
i — teściowej strzeż nas Panie!”

— Panowie! Stało się wielkie nieszczęście! Jeden ze straży ogniowej spadł z dachu i zabił się na miejscu.

— O, to jeszcze straszniej było — zawołała druga przekupka, przed której straganem stało trzech panów, pytających o przyczynę nagłego zgiełku, jaki powstał na końcu ulicy. Jeszcze straszniej — powtórzyła — bo głowa „feurmana“ poleciała w inną stronę, nogi w inną a ręce w inną.

— Gdzież się pali? — przerwał jej jeden z panów.

— Przy ulicy Smolnej, w domu pana Warzechy — odparła druga przekupka.

Panowie Kalikst, Zygmunt i Feliks, wybierający się właśnie na wieczorną bibę do handelku Garlika, zawrócili z drogi i poszli w kierunku ognia.

Widocznie byli to dbali o dobro publiczne obywatele miasta Pacanowa, którzy na wieść o nieszczęściu bliźniego pośpieszyli z ratunkiem.

— Wiecie co panowie — ozwał się najmłodszy z nich, p. Zygmunt — toż to, jeśli się nie mylę, Józik mieszka w tym domu.

— Doprawdy — zawołał p. Kalikst — chodźmy tam, chodźmy!

Przyśpieszyli kroku i wkrótce weszli w gęsty tłum ludzi, którzy podobni do ruchomej fali, zajęli połowę niemal ulicy Smolnej w całej szerokości od jednego chodnika do drugiego.

Kilku policjantów z wielkim trudem zdołało utrzymać porządek.

— Ależ to ogień — zawołał p. Feliks, pogładając na buchający w górę dym i latające w koło iskry. Gdzież reszta sikawek i koni z beczkami wody — dodał zwrócony do stojącego obok pacholka magistrackiego.

— Nasze konie? — odparł zapytany — te od szóstej zrana wożą śmiecie z ulic a beczki z wodą zajęte przy polewaniu gościńca, bo nasz pan burmistrz gospodarz dobry i darmo siana koniom jeść nie da.

— Bójcie się Boga — zawołał p. Zygmunt — ależ tu konie i sikawki potrzebniejsze!

— A czy to kto wiedział, że się będzie paliło? — odparł z niewzruszoną powagą sługa magistracki.

Panowie Kalikst, Zygmunt i Feliks przepchali się przez tłum, szukając pogruchotanych kości strażaka.

— Co się stało ze strażakiem, który spadł z dachu? — spytał p. Zygmunt pierwszego z tłumu.

— At, leży tam — wskazał zapytany w stronę przeciwległego chodnika — posłano już po doktora i wóz ratunkowy.

— Cały? spytał p. Feliks, podchodząc bliżej.

— Jakto, czy cały? — odparł oburzony obywatel z tłumu — cóż to pan nie wie, że dopiero kupiony zeszłego roku do przewożenia „cholerycznych?”

— Ależ my nie o wóz pytamy — zawołał p. Feliks — lecz o strażaka. Mówiono nam, że spadł tak nieszczęśliwie, że pogruchotał wszystkie członki.

Nie otrzymał p. Feliks odpowiedzi, bo ruch żywej fali porwał z sobą trzech przyjaciół tak, że od razu stanęli przed płonącą kamienicą, gdzie była wrzawa nie do opisanania.

— Panowie i panie — przebił gwar donośny głos doktora, który schylony nad leżącym bez ruchu strażakiem, zdawał się badać puls jego, — cisza, panowie i panie! Proszę o chwilę ciszy!

„I była chwila ciszy“ — przerywana trzeszczeniem krokwi, rżeniem koni, stukiem siekier strażackich i donośnym głosem komendy.

Do odgłosów tych wniósł się nagle nie okrzyk, ale raczej ryk tłumu:

— Gwałtu! Uciek! Żyje!

Stało się bowiem coś nadzwyczajnego.

Kiedy wóz ratunkowy zajechał po strażaka, a doktor zbadawszy puls jego, pokręcił głową melancholijnie, dwóch pacholków uniosło strażaka jeden za głowę, drugi za nogi, które to członki w bardzo wielkiej zgodzie trzymały się korpusu, i wpakowali nieszczęśliwego, jakby worek sieczki, do budy ratunkowej.

Lecz wewnątrz wozu „ziajało“ takim smrodem, że zdolny był wskrzesić umarłych, bo martwy strażak, skoro doleciał go ów przyjemny zapach „desinfekcyjnych środków,“ nie zważając, iż konie szarpnęły wóz, chcąc go unieść z szybkością, do jakiej się wprawiły podczas zeszłorocznej wojny z cholera, — otóż ów martwy strażak wyskoczył z wozu i wywróciwszy tylko z ręcznego koziołka przy tym skoku z wysokiej landary cholerycznej, uciekł jak strzała przed goniącym go tłumem i znikł gdzieś w bocznej uliczce z taką werwą, jakby mu się przysniło w owej chwili martwego snu, że spostrzeżono u niego choleryczne przecinki, z którymi go wiozą do szpitalu cholerycznego.

Przekupki odmienne objawiały zdania, twierdząc, że strażaka uniosły czarownice na Łysą Górę, bo inaczej nie stałby się taki cud, żeby „człowiek, co głowa jego odleciała w inną stronę, a nogi w inną, mógł wyskoczyć z wozu i uciec.“

W miejscu, gdzie stali panowie Kalikst, Zygmunt i Feliks, stał się drugi cud. Jak ongi rozstąpiły się fale Morza Czerwonego przed laską Mojżesza, tak rozstąpiły się znowu pacanowskie bałwany na krzyk o ucieczce strażaka. A ruch ten był tak błyskawiczny, że p. Kalikst przyłgnawszy, pracującym tłumem ciągle popychany do pleców jakiegoś ichmościa, gdy one bałwany się rozstąpiły, nie czując już swojej podpory, potoczył się naprzód i legł w chodnikowym rynsztoczku.

Pan Zygmunt i Feliks podnieśli poturbowanego, oczyścili go, jak mogli i fatalnie zawiedzeni

w swoich oczekiwaniach, nie widząc nigdzie owego Józika, już chcieli odejść, gdy spotkali się z nim oko w oko, jak szedł za chłopakiem, który niósł spory jego kuferek.

— A gdzież to Józiku tak spieszno z płonącej budy uciekasz? Gdzieżeś żonę umieścił? — wpadli na niego z pytaniami wszyscy trzej razem.

— Do hotelu idę! A żony nie mam w domu, jest u matki.

— To szczęście! A rzeczy?

— A! Do reszty djabli wzięli — odparł Józef. — Skończyło się! Tem lepiej! Już mi to mieszkanie i tak obrzydło!

— Cóż, cóż się skończyło? — pytał Zygmunt. Panowie! — dodał zwrócony do towarzyszy — proponuję odesłać kuferek z rzeczami Józika do mnie, a jego samego zabrać na bibkę! Skoro słomianym wdowcem został, niech towarzyszy nam starym kawalerom. Słuchaj chłopcze — zwrócił się do uiosącego kuferek — znasz mnie?... A więc skoro znasz, to zanieś ten kuferek do mojego domu i oddaj go służącemu, by go przechował, a potem przyjdiesz po zapłatę do handelku Garlika.

Chłopiec odszedł.

— O dziękuję ci mój przyjacielu pocziwy! — zawołał Józef, ściskając dłoń Zygmunta — ależ po co robisz sobie subjeccję!

— Ba — zawołał Feliks — przyjąłby cię nawet z żoną i dzieckiem i całym twoim domowym taborem! Mieszka jak magnat, a sam, jakby kapucyn!

— Musisz nam dużo opowiedzieć — zawołał znów Kalikst — odkąd się ożeniłeś, to jakbyś nas już nie znał.

— Opowiem, opowiem — przerwał Józef — bo mi się już i tak żółć przelewa... ale chyba przykieliszku.

Gdy już siedzieli w osobnym gabinecie w handelku Garlika i wypróżnili jedną butelkę winą, cztery butelki porteru i zmiotli kilka talerzy i półmisków, zaczął Józef swoje opowiadanie.

„Jak wicie, dostałem przed kilkoma tygodniami syna. Byłem z tego rad bardzo, bo my-

ślałem sobie, że dziecina zajmie w umyśle i sercu żony tyle miejsca, że już nie zechce tęsknić i płakać za matką, która w mojem małżeństwie istną jest plagą.

Nie obliczyłem się jednak z wszelkimi możliwymi ewentualnościami, nie wiedziałem zgola, że zjedzie mi na kark teściowa.

Nie żałuję kosztów takich odwiedzin, broń Boże, choć zadłużyłem się haniebnie u żyda na te wszystkie wydatki, które gdy mi teściowa zaczynała wyliczyć, tak pytałem tylko, ile to będzie kosztowało i dawałem pieniądze, byle się jej pozbyć.

Ale nie dosyć na tem! Wzięła mnie ona w dodatku pod formalną kuratelę. „A gdzież to panu tak pilno od chorej żony uciekać?” — pytała, gdy wieczorem chciałem wyjść, aby wypić szklanekę piwa, lub na powietrzu zapalić cygaro, bo w pokoju na to nie pozwalała, mówiąc, że mirt od dymu usycha, że dobywa się przez szpary do sypialni żony, a wreszcie, że osiada na frankach i bruka je, a szkoda pieniędzy na pranie.

Nieraz miałem ochotę powiedzieć jej jakie grubiaństwo, ale wstrzymywał mnie wzgląd na chorą żonę, która kochała matkę bardziej, aniżeli mnie, a nawet kto wie, czy nie więcej niż nasze dziecko.

Jednego wieczoru, gdy znowu o pieniądze mnie nagabywała, a dałem jej przed tygodniem całą stówkę, powiadam jej:

— Moja mamó! już i tak zadłużyłem się u żyda, i nie mam przy sobie więcej, aniżeli kilka szóstek. Na pierwszego dostanę pensję, to mamie wrócę a niech będzie łaskawą i teraz wyłoży na co trzeba.

— A na co się waćpan żenił — przerywa teściowa z złością — teraz żałujesz żonie?

— Ja żałuję? — odparłem wzburzony jej posądzeniem — ja Marynię kocham! Wziąłem ją bez posagu i pogniewałem się o to z ojcem. Marynia i dziecko są mi najdroższymi w świecie. Pani wie najlepiej, dlaczego jestem w pieniężnych kłopotach, i chociaż mam majątnego ojca, nie śmiem się udać do niego o wsparcie.

Ledwie wyrzekł te słowa, patrzę, moja teściowa pobiegła do żony.

— Słyszysz Marylko — wołała, stając przed łóżkiem — on ci wymawia, żeś posagu nie miała. To on żeniąc się z tobą, myślał o pieniądzach. I ty go kochasz, Maryniu! I ty będziesz żyła z takim człowiekiem? !...

Moja żona na to w płacz spazmatyczny, teściowa w krzyk, dziecko obudzone, zaczęło także płakać; wszczął się harmider nie do opisania. Zdawało mi się, że dostałem się do domu obłąkanych.

Nagle słyszę jęk głuchy; to żona wybiegłszy z łóżka do płaczącego dziecka, widocznie osłabła nagle i upadła na ziemię, uderzywszy całym ciężarem ciała o gołe deski podłogi. Przybiegłem, podniosłem zemdloną i położyłem na łóżko, trzeźwiąc wodą kolońską, mojemi łzami i pieśczoćty dopóty, aż nie otworzyła oczu. Lecz spostrzegłszy mnie obok siebie, odwróciła twarz i znowu płakać zaczęła. Ukłękłem przed nią, błagam, proszę, zaklinam na naszą miłość, na szczęście dziecka i już moja żona podaje mi rękę i uśmiecha się do mnie, już ją całując ją, dziękuję, że ufa i przebacza wszystko, gdy słyszymy nad głowami szyderczy uśmiech teściowej, która uspokoiwszy dziecie, położyła je napowrót do kołyski, a wyjmując salopę swoją i kapelusz ze szafy, mówi do córki:

— Wierz tylko jego słowom! Potem poznasz, że nie ma na świecie, jak matka. Widzę, że ci niepotrzebną na świecie, pojedę więc napowrót do domu.

Wszczął się znowu lament i pierwotna scena odegrała się da capo. Było mi tego za wiele; jak potępieniec wybiegłem z domu.

Gdym za godzinę wrócił, nie wpuszczono mnie do pokoju żony. Przy drzwiach spotkałem się z szyldwachem, wzbraniającym wstępu. Była to teściowa.

— Cóż robi Marylka? — zapytałem jej.

— Był doktor przed chwilą — odpowiedziała.

— Cóż się jej stało? — zapytałem niespokojnie.

— I waćpan się pytasz, co się stało? — wsiadła na mnie teściowa — robisz waćpan awanturę, uciekasz z domu i przychodzisz potem spytać, czy żona jeszcze żyje? Lecz skończy się to rychło. Gdy Marylka wyzdrowieje, zabiorę ją z dzieckiem do siebie i jak pan swoich uszu nie widzisz, tak ich już więcej nie zobaczysz.

Z temi słowy poszła do sypialni żony i zamknęła przedemną drzwi na klucz.

Nie miałem już przystępu do żony, nie wiedziałem, co o niej myśleć, lecz w nadziei, że to przecież długo nie potrwa, nie protestowałem, wstydzając się wobec sługi robić awantury. Chodziłem więc do biura regularnie, wystarałem się o pieniądze nawet przed pierwszym w przypuszczeniu, że tem udobrucham teściowę, ale gdzie tam! Minał tydzień, drugi miał się już ku końcowi, gdy przychodząc w zeszłym tygodniu z biura, zastaję mieszkanie . . . pustem . . .

Znikła żona, dziecko, teściowa; meble, jak się dowiedziałem, sprzedano żydom, pościel zapakowały i wzięły z sobą, zostawiając mi kawalerskie moje graty. Tak wyglądałem w rok po ślubie!

W pierwszej chwili gniewnego uniesienia chciałem biedz ze skargą na policję, ale rozważyłem niebawem, że lepiej udać przed sąsiadami, że to wszystko stało się z moją wolą i powiedzieć, że mają mnie wkrótce przenieść do innego miasta, skutkiem czego żonę wcześniej na miejsce wysłałem. Uwierzono mi tem bardziej, iż żona moja, nie chcąc mnie widocznie ośmieszyć, powiedziała przypadkiem to samo sąsiadce, u której klucz od mieszkania zostawiła.

Jakoś obeszło się bez ludzkiego wstydu, mieszkałem na szczęście z ludźmi ograniczonymi, lecz poczciwymi i nie potrzebuję się teraz obawiać sztyderstwa znajomych, którym prawdy nie mówię. Zrobiłem dla was wyjątek, bo wiem, żeście mi szczerzy, a powtóre, że chcę, byście moim losem pouczeni, nie robili głupstw i nie żenili się.“

Opowiadający p. Józef umilkł, a jego trzech przyjaciele kiwnęli głowami, aż się na to uśmiechnął



obsługujący w handelku chłopak, który właśnie świeże przyniósł butelki i przed nimi na stół postawił.

— Brawo! — zawołał p. Feliks, gdy Józef skończył opowiadanie. — Nie ożenimy się. Proponuję zatem wypić zdrowie wszystkich tutejszych starych kawalerów. A zatem panowie! Zdrowie kawalerskie „w ogólności“, a szczególnie zdrowie seniora tutejszych kawalerów a obecnego tu kochanego i wielce szanownego p. Kaliksta! Wiwat zdrowie seniora kawalerów! . . .

Nalał szklanki i zmusił drugich do wypicia tego zdrowia. Pan Józef przybity upokarzającymi wspomnieniami, do szklanki wielkiej ochoty nie okazywał; ale że nie wypadało odmówić, aby nie obrażać seniora kawalerów, poszedł za przykładem drugich i wykrzykując: „Wiwat! niech żyje nam!“ wychylił szklanke. Nie wypił jednak do dna, co gdy spostrzegł p. Feliks, wetknął mu szklanke do ręki i zanucił mu nad samą głową:

„Pije, pije! Wypić nie może!

„Dopomóż mu, dopomóż mu mój Panie Boże!“ } bis

Józef wypił więc resztę, a wtedy powstał jeszcze większy hałas i powtórzono zwrotkę w odmiennym sensie:

„Wypił, wypił! Nic nie zostawił!

„Bodajże go! bodajże Pan Bóg błogosławił!“ } bis

— Panowie! proszę o głos! — zawołał najmłodszy z nich, p. Zygmunt, który w istocie rzetelnym był przyjacielem p. Józefa, gdy przebrzmiała nuta piosenki. Nie powinniśmy w taki to sposób okazać współczucia druhowi naszemu! Raczej odstawić kielichy i obmyśleć plan sprowadzenia żony i dziecka, naturalnie bez kochanej teściowy.

— Wiwat! Niech żyje Zygmunt! — zawołał p. Feliks — wypijmy jego zdrowie!

— Później, później panowie — bronił się Zygmunt. Dopókiśmy trzeźwi, obmyśleć trzeba plan kampanii.

— Wybornie! — przyklasnął p. Kalikst. Będzie farsa! Starzy kawalerowie w wojnie z kobietami! Brawo Zygmunt! Niech żyje nam!..

— Proszę o głos! — powtórzył Zygmunt. Gdy tylko pić chcecie, zostawię was, a niech Józef pomyśli, że w starem kawalerstwie przepiliście już serce!

— Nie! nie — protestowali panowie Kalikst i Feliks. Właśnie dowiedliśmy naszego serca, nie żeniąc się! Słuchamy więc i przyrzekamy należeć do czynnego współdziału.

— A więc — zawołał Zygmunt — proponuję, aby Józef wynajął u mnie dwa pokoje i kuchnię, które to mieszkanie właśnie u mnie opróżnione, dalej by nakupił mebli, za które my wszyscy poręczymy u żyda, a Józef ratami spłaci. Gdy już urządzi się wygodnie, wtedy pojedę do jego żony, albo sam, lub też wezmę sobie do pomocy którego z was, naturalnie Józef zostaje w domu, i przedstawiając szanownej teściowej zgubny wpływ samotności słomianego wdowca a na ucho szepnąwszy pani Józefowej: „ratuj męża, przyjeżdżaj, bo się zapije, a potem życie sobie odbierze“ — otóż tak kobietom rzecz przedstawwszy, uwiozę panią Józefową wraz z dzieckiem a ona spostrzegłszy, z jaką troskliwością ulepiłeś jej nowe gniazdko, pewnie pozna, że nie ma na świecie nic po nad dobrego i czulego męża, zapomni o matce, a wtedy żyć będziecie ku naszej radości a waszemu zadowoleniu.

Józef uściśnął milcząc dłoń przyjaciela, a panowie Feliks i Kalikst okazując dla planu Zygmunta żywe współczucie i uwielbienie, podrzucili nim w górę i tak długo pili jego zdrowie, aż podochoceni dobrze, opuścili nareszcie handelek.

Wywietrzało im nazajutrz z głowy wino, lecz nie wywietrzały z serca dobroć i współczucie. Stało się bowiem po woli Zygmunta i nie upłynął tydzień, jak państwo Józefowie sprawili u siebie bibkę dla pocziwych starych kawalerów, przyczem pani Józefowa miała się wyrazić, że będzie odtąd tak czułą i dobrą żoną, ażeby zachęcić panów Kaliksta, Feliksa i Zygmunta do stanu małżeńskiego.

*Aniela Korngutówna.*

## GENIUSZOM CZEŚĆ!

Geniuszom naszym cześć,  
Im, co ciernistą drogą  
Wciąż kroczą, których zgnieść  
Nieszczęścia dziś nie mogą,  
A których twarda myśl  
Jak dąb niezgięta stoi,  
Gdy cienia swego dziś  
Zastęp się tchórzów boi.

Geniuszom naszym cześć,  
Cześć mężom tym bez zmazy,  
Co głoszą życia wieść,  
Co są jak drogokazy  
I nam wskazują szlak  
Tej jaśniejszej góry,  
Po której buja ptak  
Wolności srebrnopióry!

Geniuszom cześć, o cześć  
Tym, co nie znają trwogi,  
A którym ciernie wpleść  
W skroń kazał los złowrogi,  
Im, którym wstrętny kłam,  
Co chwali obce zbrodnie,  
Podczas gdy geniusz sam  
Prawd świeci nam pochodnie!

Geniuszom chwała, cześć  
I wieczne uwielbienie,  
Im, których życia treść  
Katusze i więzienie,  
A których ciała marą,  
Jak światło lampy gaśnie,  
By zbawić nas swą krwią  
I by nam było jaśniej!

Geniuszom wieczna cześć,  
Dla których życie marą,

A celem bole znieść  
I słabych krzepić wiarą;  
Im, wieszczom, których bark  
Ciężar nie zdoła złamać,  
A którzy pod miecz kark  
Kłasość wolą, niżli kłamać!

Sambor, 19. Lutego 1893.

G. Kohn.

---

## NASI BOHATEROWIE<sup>†</sup>).

I.

ŁUDWIK KURTZMANN,  
(z portretem zasłużonego autora.)

Napisał Dr. Albert Zipper.

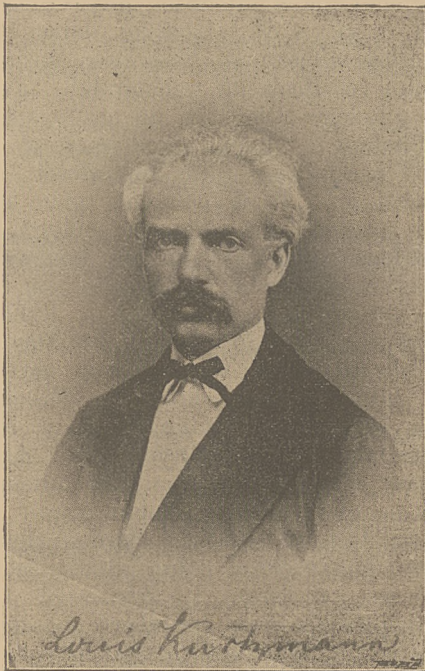
---

Ze szczupłej liczby literatów, którzy się zajmują, pośrednictwem pomiędzy literaturą niemiecką a polską, przekładając dzieła polskie na język niemiecki i zapoznawając Niemców z celniejszymi pisarzami Polski, z jej oświatą narodową, z jej dążnościami i ideałami, wyrwała śmierć przedwcześnie jednego z najbardziej zasłużonych. Temci zasługa

---

\*) Od czasu do czasu ogłosimy pod powyższym tytułem biografie mężów, którzy się poświęcili dla wyższej idei a tem samem nieobliczone moralne korzyści przysporzyli społeczeństwu, wcale nie wychodząc z błędnego stanowiska, że tylko ci byli bohaterami, za którymi cała masa rozfanatyzowanych i ciemnych tłumów stała, ponieważ doświadczenie życia nas poucza, że za prawdziwymi bohaterami zaledwie mała garstka wybranych w odwecie stoi. (Przyp. red.)

jego większa, że Niemiec z rodu, Niemcem pozostając do ostatniej chwili, szczerze i gorąco pokochał naród polski, że ta miłość jego narażała go na tysięczne nieprzyjemności, na zjadliwe napaści, bo zajmując stanowisko zależne od rządu pruskiego, stanowczo, stale opierał się ideom szowinistycznym i prądowi Bismarkowskiemu, dążącemu do zagłady wszystkiego, co polskie.



Ludwik Kurtzmann, ur. 1835, † 1895.

Ludwik Karol Kurtzmann pochodził z rodziny niemieckiej wyznania ewangelickiego, która od wieku XVII. mieszkała na Szlązku. Ojciec jego był właścicielem dóbr, lecz w skutek zamieszek 1848 r. utracił swój majątek. Odtąd trudnił się zarządzaniem wiejskich majątków. Ożenił się również z Niemką

z okolic Poznania; ale znała ona dosyć dobrze język polski a rodzina jej zaprzyjaźnioną a nawet spokrewnioną była z rodzinami polskimi, co za dawniejszych czasów, które mniej ulegały dążnościom i wpływowi szowinistycznym, nie było tak rzadkiem zjawiskiem.

Ludwik Karol, syn tycho Kurtzmannów, urodził się 1835 r. w Wielkiem Księstwie Poznańskiem w powiecie bukowskim, we wsi Głuponie. Językiem polskim władał już w młodości, gdyż rodzice usilnie się starali o to, aby wszystkie dzieci go znały. Przez szkółkę wiejską w Kośminie, progimnazjum w Olsztynku (w Prusiech wschodnich) zawiodło wychowanie młodego Ludwika do gimnazjum Fryderyka Wilhelma i Marji Magdaleny w Poznaniu, gdzie 1858 r. zdał egzamin dojrzałości. Abiturjent udał się następnie do Wrocławia, gdzie się na uniwersytecie zapisał jako słuchacz teologii. Nie trzymał się jednak tego zawodu, nie kończył studjów w rozpoczętym kierunku, lecz udał się do Regenwaldu na Pomorzu, gdzie 1861 i 1862 kierował szkołą prywatną. Zamiłowanie w książkach i w zawodzie bibliotekarskim spowodowały go do objęcia posady w bibliotece miejskiej we Wrocławiu. Biblioteka ta, jedna z najsłynniejszych w Niemczech, posiada znaczny zapas cennych dzieł, odnoszących się do rzeczy słowiańskich; między innymi inkunabuły i istne białe kruki piśmiennictwa polskiego znajdują się tam w wielkiej bardzo ilości. Tutaj mógł Kurtzmann czerpać pełną dłońią ze skarbnicy piśmiennictwa polskiego i rozszerzyć i pogłębić znacznie znajomość swą literatury naszej. Kurtzmann wielce się zasłużył około biblioteki miejskiej w Wrocławiu. Własnoręcznie spisał katalog cedułkowy z prawie stutysięcy dzieł i wydał dwa tomy katalogu drukowanego. W tym też czasie był wielce pomocnym czeskiemu historykowi Dudikowi, który w bibliotece wrocławskiej poszukiwał źródeł do dziejów czeskich.

Mimo swych znakomitych prac bibliograficznych, mimo rzetelnych usług, jakie Kurtzmann oddawał bibliotece wrocławskiej, nie otrzymał posady przy

tym zakładzie. Wskutek tego, nie mogąc znaleźć podobnego zajęcia, próbował innego kawałka chleba. Od 1867 r. do 1879 przebywał jako guwerner i nauczyciel prywatny w kilku powszechną czią otoczonych domach obywateli W. Księstwa Poznańskiego.

Ale ożeniwszy się z Marją Neyówną, Polką, córką uczonego profesora a później dyrektora gimnazjum gnieźnieńskiego, Dra Karola Neya, zmarłego 1850 r., zapragnął Kurtzmann stałej, pewnej posady. Dla tego 1879 r. przyjął obowiązki starszego nauczyciela w szkole miejskiej w Greiffenbergu na Szlązku, a 1882 r. został rektorem szkoły w Szmiglu, w W. Księstwie Poznańskim. Nie była to posada świetna, ale bądź co bądź warunki żywota były znośne a w przyszłości otwierały się widoki lepsze. Atoli sam Kurtzmann pozbawił się wszelkich nadziei, z własnej woli, wypływającej z przekonania. Germanizatorskich zapędów i tendencyj rządu pruskiego rektor szmigielski nietylko niepopierał, ale przy każdej sposobności oświadczał się przeciw nim, opierał się im; on, Niemiec, w którym rząd mniemał mieć sojusznika w zaciętej walce przeciw Polakom, śmiał stawać w obronie uciemionego narodu i wykonywać swe obowiązki nie w myśl rządu. On, który miał stać na posterunku germanizacji, łączył się z żywiołem polskim i jawnie i stale popierał sprawę polskośći.

To też stało się co od dawien dawna przewidyć można było. Przełożeni Kurtzmanna dręczyli go rozmaitemi sekaturami, nareszcie doprowadzili do tego, że utracił swą posadę. Z żoną i kilkorgiem dzieci 50-cioletni człowiek był oddany na pastwę losu. Od czasu do czasu tylko wydarzała się sposobność uporządkowania prywatnej biblioteki — zarobek rzadki i szczupły. Nareszcie przecie zdawała się jaśniejsza zapromieniść mu gwiazda. Biblioteka Raczyńskich w Poznaniu poleciła Kurtzmannowi wydawnictwo katalogów, które z właściwą sobie sumiennoscą opracowywał według wszelkich wymagań umiejętnej bibliografii. Jednak i teraz nie

uiściła się nadzieja otrzymania stałej posady przy bibliotece, co zawsze było szczytem marzeń Kurtzmanna, który w pracy bibliograficznej miał największe zamiłowanie. Niemcy go nie popierali, a Polacy — przykro wypowiedzieć, ale to czysta prawda — również nie; gdy utworzyła się posada przy bibliotece Raczyńskich, nie Kurtzmannowi ją nadano, ale innemu, daleko mniej godnemu kandydatowi.

Mógł Kurtzmann wtedy wykazać się szeregiem prac, które za nim przemawiały zwłaszcza w obec Polaków i polskiej instytucji. Fachowa wiedza jego była stwierdzona nietylko wieloletnią praktyką po bibliotekach, ale katalogami przez niego wydanymi, o których powyżej wspomnieliśmy, które wyrobiły mu opinię tęgiego a wzorowego bibliografa. Ale oprócz tej ściśle fachowej działalności rozwinął Kurtzmann jeszcze obfitą i pożyteczną działalność na polu literatury. Zawód tłumacza rozpoczął „Pieśnią o ziemi naszej“ Wincentego Pola. Całe życie był wielce rozmiłowanym w utworach Wincentego Pola, którego jako poetę stawiał bardzo wysoko. „Pieśń o ziemi naszej“ odczytywał matce swej, a gdy nie wszystko z łatwością przychodziło jej zrozumieć, wtedy tłumaczył jej odnośne ustępy wierszem. Powoli przetłumaczył cały utwór białym wierszem ośmiozłogłoskowym i wydał 1869 r. nakładem własnym, tylko w 120 egzemplarzach. Następnie wyszła edycja druga nakładem J. I. Żupańskiego w Poznaniu.

1874 r. wydał własnym nakładem, tylko w trzech egzemplarzach, przekład poematu Słowackiego „W Szwajcarii,“ dedykując swą pracę ukochanej żonie, którą około tego czasu poznał i zaślubił. Przekład ten poematu powtórzył rocznik wiedeński „Dioskuren“, umieszczając go na swych kartach 1880 r.

Dużo zajęcia i trudu przysporzyła Kurtzmannowi praca, której się podjął z inicjatywy poznańskiego nakładcy Żupańskiego. Prelekcje o literaturze polskiej, które Wojciech Cybulski, później profesor języków i literatur słowiańskich przy uniwersytecie wrocławskim, miał na wszechnicy w Berlinie, wyszły były w druku, ale w polskiem tłumaczeniu, nie w języku niemieckim, w jakim je docent berliński



wypowiedział. Te oto prelekcje wydał teraz Żupański z papierów śp. Cybulskiego po niemiecku, aby dziełem większem zaznajomić Niemców z literaturą polską. W prelekcjach swych przytaczał Cybulski niejednokrotnie utwory literatury polskiej po polsku, gdyż chociaż miał obowiązek wykładania w języku niemieckim, przecie na słuchaczy jego składali się niemal wyłącznie Polacy. Te cytaty, bądźto drobniejszych rozmiarów utwory poetyczne, bądźto wyjątki z dzieł większych, trzeba było w niemieckiej edycji oddać po niemiecku. Kurtzmann dokonał tego niemałego zadania i dokonał go jak najwłaściwiej. Jeżeli istniał w druku przekład dobry dotyczącego utworu, wtedy zużytkował go na swój cel; jeżeli zaś pole leżało ugiorem, wtedy sam Kurtzmann chwycił za pióro i tworzył zupełnie nowe tłumaczenie. Tym sposobem uzyskaliśmy nowe tłumaczenia aż kilkudziesięciu utworów poetycznych, wierne, pięknym prawdziwie niemieckim językiem oddane, co o wszystkich przekładach poetycznych Kurtzmanną powiedzieć można. O wielkiej staranności i sumiennosci Kurtzmanną świadczą także liczne bardzo dodatki i uzupełnienia, zwłaszcza bibliograficzne, któremi wartość dzieła Cybulskiego niemało podniósł.

Kurtzmann od lat młodzieńczych z namiętnością specjalisty zbierał wszystko, cokolwiek z piśmiennictwa polskiego Niemcy tłumaczyli lub o temże piśmiennictwie napisali. Owocem tych nieustannych starań jest książka, którą tylko on jeden mógł napisać: „Die polnische Literatur in Deutschland, bibliographisch zusammengestellt.“ Dziełko to, które wyszło 1881 r. nakładem Żupańskiego w Poznaniu, jest dla historyka literatury niezbędnie potrzebnym podręcznikiem, bo wykazuje, co, gdzie, kiedy i przez kogo tłumaczone było w Niemczech i napisane w zakresie literatury polskiej.

Do prac bibliograficznych należy też cenna rozprawa Kurtzmanną p. t. „Göthe w literaturze polskiej“, w której zestawił wszystkie rozrzucone po czasopiśmiech polskie przekłady utworów tego wielkiego poety i artykuły o nim napisane po polsku.

Rozprawa wyszła w jednym z czasopism poznańskich i osobno w odbitce. Od czasu do czasu ogłaszał po czasopismach niemieckich i polskich („Magazin für die Literatur des Auslandes“ „Kłosy“) artykuły informacyjne o tłumaczeniach niemieckich polskich dzieł, niekiedy pod pseudonimem L. Piccolomini.

Wszyscy, którzy zetknęli się kiedykolwiek z Kurtzmanem, wysoce cenili jego zacny, pełen cnót charakter. Skromność mimo głębokiej i wielostronnej wiedzy, dziwna pogoda umysłu nawet w ciężkich stosunkach, szczerłość, uprzejmość, uczynność, od wszelakiej zazdrości daleka, gotowa do rady i zachęty dla każdego piszącego, próbującego sił po stromej drodze, na której wyżynie on sam już stał, cechowały też jego korespondencję, która go łączyła z pokrewnymi mu dążnością literatami\*).

Smutne były ostatnie czasy jego życia. Po kilkuletnich daremnych zabiegach w celu otrzymania posady, dano mu nareszcie bardzo lichą posadę nauczyciela we wsi Szymanowie pod Rawiczem, gdzie mieszkał w nędznym, wilgotnym zabudowaniu szkolnym, w ciasnej ruderze; mąż tak wysoce uzdolniony, tak nadzwyczaj uczony, był nauczycielem szkoły

---

\*) Taki też stosunek i mnie za życia łączył z ś. p. Kurtzmanem. Dzieło pomnikowe „Polska w świetle niemieckiej poezji“ światłym jego wskazówkom bardzo wiele ma do zawdzięczenia. Czasami nie mogliśmy się zgodzić co do tego lub owego punktu i udowodniłem mu niekiedy błędy: ale znane przysłowie: „errare humanum est.“ Ciekawą była dla mnie okoliczność, że to, co w polskim języku w dziele „Polska w świetle niemieckiej poezji“ już wydałem — on gromadził w języku niemieckim i wzbogacał obfitymi dodatkami w zamiarze, to wszystko kiedyś w oryginale wydać. Ale prądy antypolskie, wiejące obecnie w Niemczech, nie były takim przedsiębiorstwom przychylnie. Przeciwnie! szowinizm niemiecki, który nakazywał z wydawnictw wznovionych Justyna Kerner, Ottylii Wildermuth a może i innych autorów niemieckich, to wszystko wyłączać, co przemawiało za Polską, nie mógł się z pewnością zachwycić ideą takiej księgi w języku niemieckim. Nie znalazł się więc żaden wydawca na to dzieło zbiorowe uczonego człowieka, a Kurtzmann sam nie miał tyle zasobów, aby o własnej sile urzeczywistnić ideę, która tylko piękną mrzonką pozostała! (Przyp. red.)

jednoklasowej, w której w jednej izbie gromadzą się dzieci od 6. do 12. roku życia!

Wilgotne mieszkanie, liczne kłopoty i troski nabawiły panią Kurtzmannową długotrwałej choroby, sam też Kurtzmann zapadał na zdrowiu. Uczucie, że życie tak zupełnie inaczej pokierowane, tak smutno się spaczyło, brak w lichej wiosce wyższych umysłów, czasopism, książek — przygnębiły duszę cichego męczennika. Prac rozpoczętych kończyć nie mógł, dla gotowych nie znalazł nakładcy. Między innymi ułożył był spis bibliograficzny prac poetycznych i belletrystycznych w języku niemieckim, które treścią dotyczą rzeczy polskich.

Na początku Maja 1895 r. czasopisma poznańskie doniosły o niespodziewanej dla dalekich przyjaciół śmierci zasłużonego Kurtzmann. I we mnie, który od lat kilkunastu byłem z nieboszczykiem w korespondencji, wiadomość uderzyła gromem. Z listu, który od wdowy w kilka dni po śmierci jego otrzymałem, umieścić tu ustęp uważam jako rzeczem właściwszą, ileżże pani Kurtzmannowa sama należy także do cechu literackiego (wydała bowiem między innymi w przekładzie polskim „Cyda“ Herdera i „Ifigenię“ Göthego.) Otóż co pisze zacna i czcigodna towarzyszka życia nieodżałowanej pamięci męża:

„Godzien był szacunku szlachetnych, wiem to najlepiej, bo znałam tę duszę prawą i idealną. I dla mnie śmierć jego była nieprzewidziana, bo choroba nie była śmiertelną. Dwa dni przed śmiercią oświadczył lekarz na moje trwożne pytanie, że jestem sama bardziej chorą od męża. Byłby też chorobę przetrwał — było bronchialne zapalenie — gdyby nie wysychanie kości pancerzowej, która to niemoc, według zdania doktora, dawno go wyniszczyła. Do samej śmierci miał przytomność, umarł spokojnie, nie męcząc się, nawet nie wiedząc, że umiera. Miałam za święty obowiązek osłodzić mu moim spokojem i poddaniem ostatnie chwile życia. Ciągłem błogosławieństwem nas i dziękami ozłocił nam ostatnie o sobie wspomnienie. Gdyby nie straszna pustka w mej duszy, byłabym zadowolona z jego śmierci.

Mój drogi męczennik, szamocący się z knutem przemocy, ten rycerz, co chciał w pojedynczym boju walczyć o prawa ludzkości przeciw olbrzymowi gwałtów i bezprawia, uległ, bo zawsze tak bywa!“

---

## TESKNOTA.

---

Śmieją się ludzie, i ja się śmieję,

Ale tak jakoś nieszczerze;

Niebo pogodne, słońce jaśnieje,

A mnie serdeczny żal bierze.

    To samo słońce i niebo jasne,

    Podobne pola i gaje,

    Ale nie polskie, ale nie własne,

    Inaczej szemrzą ruczaje.

I ptaszę śpiewa, woń z kwiatów leci,

Złocą się lany bogato,

Lecz dla mnie słodsza woń polskich kwieci

W małym ogródku przed chatą.

    Pogodny wieczór, słońce zapada,

    Z pola ligawki głos leci,

    I wietrzyk powiał i opowiada,

    Jak polskie grają tam dzieci.

A serce chwyta ciche powiewy

I oko łzami zachodzi,

Wietrzyk z daleka przynosi śpiewy

I pierwsza gwiazdka już wschodzi.

    Powiedz gwiazdeczko, powiedz ma złota,

    Tyś tak wysoko od ziemi,

    Kiedy się skończy moja tęsknota,

    Kiedy się złączę ze swemi?...

Albo na skrzydłach twoich promieni

Pozwól mi lecieć daleko,

Ciało zostanie... grób je ocieni  
I białe trumienne wieko.  
    Posnęły gaje, zcichły ligawki  
    I taka cisza dokoła,  
    Że da się słychać jak rosną trawki  
    I skrzydła stróża anioła.  
I tylko wietrzyk wieje z oddali  
I ciche niesie odgłosy,  
Niby się śmieje, niby się żali  
I płacze kroplami rosy.  
    Gdym do modlitwy zginał kolana  
    I głowę schylał w pokorze,  
    W serce wstąpiła radość nieznaną  
    A jasne na niebo zorze.  
A wśród jasności Polski Królowa  
Z błogosławieństwem przemknęła,  
Wietrzyk w oddali przyniósł mi słowa:  
„Jeszcze Polska nie zginęła!“...

*Aleksander Stroka.*

---

## ŻONA czy KONFITURY?

HUMORESKA.

---

Kobieto czarodziejko, marny puchu ludzkości!  
Jednemu jesteś czartem, kuszącym go na bezdroża,  
drugiemu anielicą, podającą mu czarę, pełną słodkiego napoju! Słodkiego?! To słowo wiele daje nam do myślenia. Bo słodkich tyle jest rzeczy na świecie: słodki różany twój uśmiech, słodki cukier, słodkie nawet konfitury. Konfitury? Ha! niech usta małuczkich rozstrzygną kwestję ważną, czy konfitury słodsze od kobiety?

Przedstawmy sobie w naszej wyobraźni małe miasteczko galicyjskie, które odwiedzinami swojemi

zaszczyca wielki mąż, bo działał wielkie cuda w gminie Izraela, jednym słowem jeden z znanych naszych cudotwórców rabinów galicyjskich.

Jeśli góra nie chce zdażyć w odwiedzinę do Mahometa, to Mahomet odwiedzić musi górę, a jeśli napływ wiernych i łatwowiernych zbyt szczupłym się okazuje, to trzeba podróż odbywać do nich, aby gdzie tylko można i jakkolwiek napychać kieszeń swoją wśród obcych.

Tak ułożył sobie też rzecz wielce pobożny i święty mąż, reb Cudyk, z małym zapasem wybierając się w drogę po złote runo.

... wiódł się interes nibyto! bo znane przecież przysłowie: „Nie siej głupich, a sami wschodzą.“

Był jednak w gminie Izraela mądry mąż: nazwijmy go Szlomkiem. Szlomko tedy myślał: „Jak ty innym, tak ja tobie! płacili ci inni za twoje cuda, płac ty mnie co się zowie za nocleg u mnie.“

Nie pomagały żadne przedstawienia, żadne próby: musiał nasz święty płacić i płacić tyle, że mu z zarobku mało pozostało w kieszeni. Ale od czegoż byłby świętym, byłby cudotwórcą? Przecież taki nie dla próżnej tylko parady ma głowę na karku!

„Zemsty! zemsty! zemsty za zniewagę!“ — taki go budził głos z dumań pobożnych, a jeśli zemsta całkiem pospolitych ludzi zmienić zdoła do niepoznania, to czemu by miała bezsilną się okazać, gdzie cierpliwość świętego wyzywano?

Dcsyć wczesnym rankiem przebudził się cudotwórca. W izbie nie było nikogo prócz pięcioletniego synka gospodarza, małego Icka, ale na szafie stał okazały zbiór najrozmaitszych konfitur w słoikach, w framudze okna zaś leżała łyżka, oczywiście zapomniana przez gospodarza.

I sięgnął święty mąż za łyżką... Za łyżką? Nie trwóż się, nadobna czytelniczko! Święty mąż nie jest złodziejem, który cudze łyżki do kieszeni chowa. Nie! zupełnie inna zaprzętała go w tej chwili myśl. łyżka odbywa podróż do słoika, zanurza się w słodkim płynie i wraca napowrót, aby lechtać podniebienie Icka. Proceder ten powtarza się raz

i drugi, poczem cudotwórca łyżkę i słoik napowrót na dawne miejsce odstawia.

— Mój synu! — rzecze teraz reb Cudyk do malca — a smakowało ci jedzenie?

— Przepysznie! nigdy nic nie jadłem tak dobrego!

— A wiesz ty, co to?

— Nie! nie wiem! —

— To żona! —

I otóż cud zdziałany; cudotwórca zakasa rękawy i opuszcza pośpiesznie gospodę, zamieszkaną przez bezbożnika, który się ośmielił, brać go na kawał.

Opuścił cudotwórca dom Szłomki; ale żywy cud pozostał się po nim jako dowód jego twórczości.

Icek rzuca się na ziemię, wrzeszczy i hałasuje: w tej chwili poczuł on całą mężkość swoją i zachciało mu się żony. Żony dla pięcioletniego niedorostka! To coś niebывałego, to skaranie Boże.

— A nie poczekaśz smarkaczu bodaj jeszcze ośm lat! — woła ojciec i wali go, co się wlezie. Icek wrzeszczy, ojciec wrzeszczy, piekło prawdziwe!

I co tu robić z tym chłopcem, którego uspokoić nie można żadną miarą i który ciągle aż do przesyty powtarza swoje pragnienia matrymonjalne? To istna kara boska.

Cóż robić? Bóg daleko, ale nie tak daleko znowu jego zastępca, mąż święty. Zdziałał on cud, oczarował chłopca, niechże teraz czar odczyni.

Udaje się tedy gromada pobożnych, na ich czele Szłomko z swoim Ikiem, do świętego, aby jego gniew przebłagać. Rzecz nie łatwa!

Bo jeśli już ludzie pospolici mściwi nieraz i nieskłonni do puszczenia płazem nawet drobnej urazy —, to cóż dopiero taki święty!

Zaczyna się jednak tranzakcja między grzesznikiem a cudotwórcą.

— Święty mężu! wiem, żem cię ciężko obraził! Daj się przebłagać.

— Bóg sam nie dałby się przebłagać takiemu jak ty grzesznikowi!

— Wiem, że moje przewinienie wielkie; ale nie żądam rozgrzeszenia bezpłatnego. Święty mężu! racz przyjąć odemnie piątkę za odpuszczenie win.

— Ty myślisz pewnie, że masz z łapserdakiem do czynienia? Ale jakim święty mąż reb Cudyk, tak twoja piątka nie znaczy tyle u mnie, co fenik u żebraka. Idź sobie!

— Zaiste! zbyt małą chciałem cię przebłagać ofiarą. Przyjmij dziesiątkę.

— Ani mi się nie śni!

— Przyjmij dwadzieścia reńskich!

— Szłoma! ty myślisz zapewne, że kto Pana Boga obraził, ten może się z nim jeszcze targować i wytargować coś u niego, jak ty nieprzymierzając u chłopów na jarmarku? Niech ci się odechce!

— Ha! — rzecze ojciec zrozpaczony — cóż robić? Na, masz pięćdziesiąt reńskich, ale wylecz mi mego chłopca.

— No, to już co innego! teraz mówisz jak rozumny człowiek — i pięćdziesiątka utonęła w kieszeniach cudotwórcy, który następną praktyczną radą usunął źródło wszystkich kłopotów:

— Daj Ickowi łyżkę konfitur i powtórz dawkę tak długo, póki syn twój, przesycony temi słodyczami, nie zapomni o słodyczach stanu małżeńskiego.

Nie wiem, czy i na jak długo prezerwatywa okazała się skuteczną, ponieważ każdego młodzieńca, nie wykluczając żydowskich młodzieńców, coś ciągnie na gwałt w objęcia apostrofowanych przezemnie na czele tego opowiadania anielic; ale to wiem na pewno, że prezerwatywa w kształcie pięćdziesiątki wybornie się nadała dla cudotwórcy, aby wyleczyć pugilares jego z suchot, któremi mu groziły wędrówki po obcych miastach z nieodłącznymi kosztami podróży i drogiemi noclegami u takich jak Szłomko niedowiarków.

Sambor, 18. Lutego 1893.

*G. Kohn.*



## Miasto w rozkwicie.

### II.

(z 2-ma rycinami, wykonanemi według fotografii  
Michała Friedmana z Nowego Sącza.)

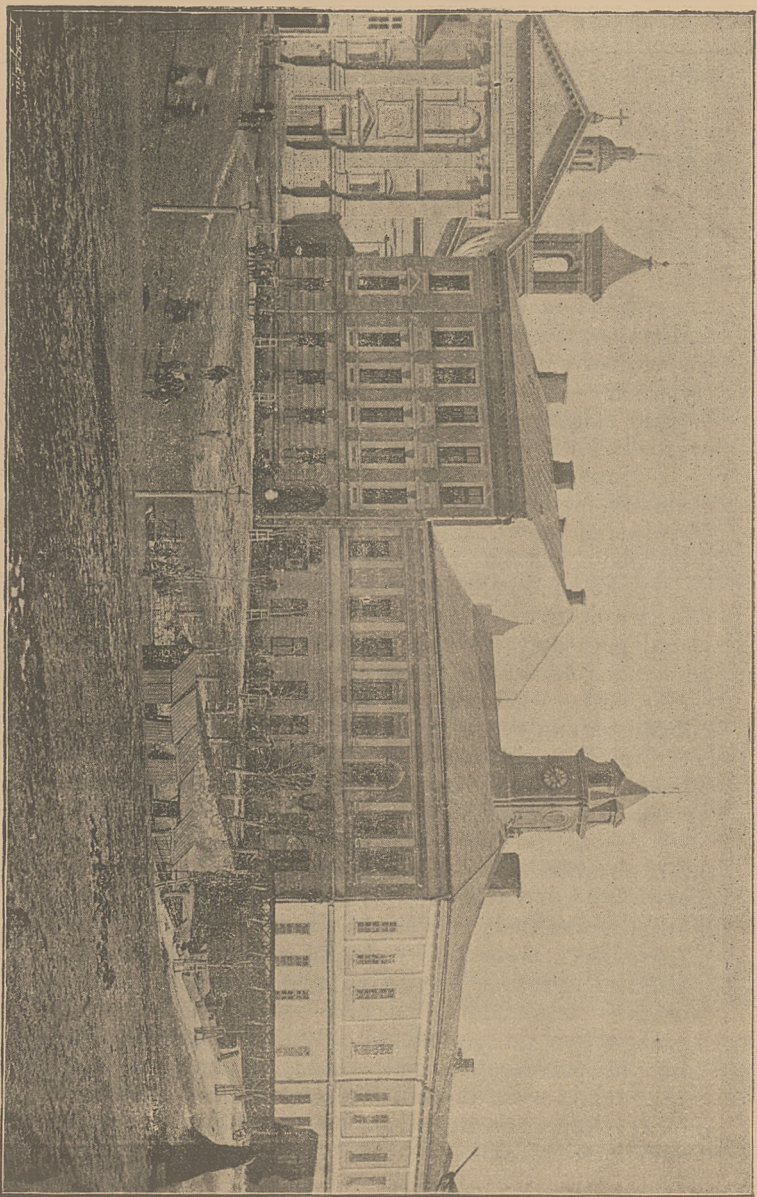
W 17-m roczniku naszego wydawnictwa umieściliśmy artykuł pod powyższym tytułem, do którego ze względu na szybki rozwój niektórych miast galicyjskich — kto wie, czy w przyszłości nie trzeba będzie załączyć cały szereg artykułów p. t. „Miasta w rozkwicie?”

Umieszczamy przy obecnym artykuliku znowu 2 ryciny, wykonane umiejętną ręką fotografa Michała Friedmana, obecnie w Nowym Sączu zamieszkałego.

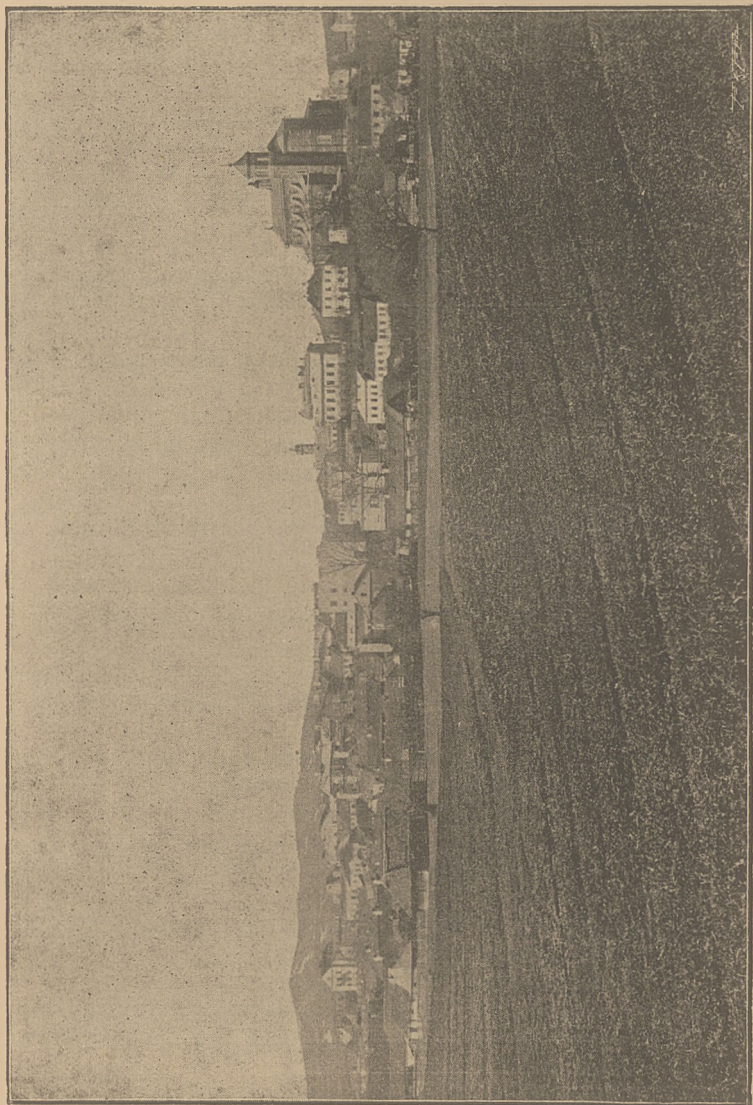
Jeden z tych widoczków przedstawia nam stronę rynku, przytykającą do probostwa łacińskiego. W dwupiętrowej narożnej kamienicy mieszczą się urząd pocztowy i szkoła żeńska, w piętrowej kamienicy na dole są kancelarje urzędu gminnego.

Bardzo malowniczo przedstawia się ta część miasta, zwana rynkiem, położona na lekkiej wyżynie, z której się amfiteatralnie schodzi do dolnej części miasta, zwanej „Zawodziem”, którą druga nasza rycina uwydatnia.

W tej dzielnicy obok niektórych bardzo bogatych obywateli — przeważnie mieści się proletarjat żydowski lub katolicki; zabudowania niekoniecznie górują okazałością lub elegancją. Ale kto z rynku na „Zawodzie” zeszedł i stał na moście, stanowiącym naturalną granicę pomiędzy górną a dolną częścią miasta — tego uderzy od razu widok tak wspaniały, że nie łatwo go zapomnieć. Rycina nasza w przybliżeniu przedstawia malowniczą tę panoramę z górującem nad wszystkiemi zabudowaniami probostwem i przytykającemi do niego piętrowemi i dwupiętrowemi kamienicami.



**RYNEK gorlicki, widziany ze strony probostwa (według fotografii Michała Friedmana z Nowego Sącza.)**



Zawodzie (według fotografii Michała Friedmana z Nowego Sącza.)

## NAJLEPSZE.

(Z pism Marji Ebner-Eschenbach.)

Do ducha ziemi, Gaeusa, przybył w gościnie mieszkaniec księżycy, Elanuh. Przelatywali razem najpiękniejsze okolice ziemi, a Elanuh, oczarowany widokiem łąk i lasów, rzek i jezior — zawołał :

— O jakżeż pięknem jest mieszkanie ludzi — jakżeż rozkosznie życie im tu płynąć musi !

— O tak — odrzekł z dumą duch ziemi — piękne tu życie, szczególnie wówczas, gdy mieszkańcy ziemi zdolni odczuć to, co posiada najlepszego, co stanowi największą przyrody siłę.

— A cóż w niej najlepszego? — pytał Elanuh.

— Miłość.

Tak rozmawiając unosili się nad dachami wielkiego miasta. Na wzgórkach, królując nad wszystkimi innymi domami wznosił się pałac książęcy. Elanuh przeleciał przez złocone szlaki, zbliżył się do okna i pełen ciekawości zaglądnął do sypialni, zbytkownie urządzonej. Tu, przed obrazem Chrystusa widać się na klęczkach kobieta, pełna piękności i powabu — w samym życia rozkwicie.

— O Panie! — wołała rozpaczliwie — Panie! nie dopuść tego — ach ocal mię, Pani mój! Nie daj mi uleść hańbie — zabierz mię, nim zmarnieję! O bo upadam — Panie — jam zgubiona! Byłam wierną żoną, dobrą matką — a dziś... jam stracona. Panie! Panie! Ty, coś cierpiał dla nas — patrz — jam niewdzięczna! Niechaj twe gromy mię zabiją — ja bluźnię nawet, modląc się! Nawet w pacierzu myśli me grzeszą! Zabij mię, zabij — tu nie ma już dla mnie ratunku!

I szarpała pyszne swe szaty i szalała w rozpacz bezsilnej.

Elanuh odwrócił się do Gaeusa :

— Ta nieszczęsna wije się, jak gdyby w szponach drapieżca — cóż powodem jej cierpień?

Gaeus, cokolwiek zmieszany, odrzekł:

— Miłość!

I poleciał dalej ze swoim gościem. Wkrótce Elanuh zatrzymał się przed okienkiem skromnego poddasza, z którego, pomimo pory spóźnionej, było jeszcze światelko. Zaglądnął do wnętrza ciasnej izdebki, siedziby nędzy i ubóstwa. Na ławeczce pod ścianą siedziało dwoje staruszków, przytuleni do siebie, a Elanuh słyszał ich jęki i narzekania:

— Opuściła nas,, rzuciła na pastwę nędzy! Cóż nam pozostaje? Śmierć — śmierć tylko, kiedy jej nie stało! Naszej podpory, naszej pociechy, naszej jedynej.

— Niech będzie przeklętym ten uwodziciel córki naszej! — wołał starzec, podnosząc drżącą pięść ku niebu.

A staruszka z wyrazem obłędu w zamglonym wzroku, powtarzała:

— Niech będzie przeklętym!

— Zbliź no się Gaeusie — rzekł Elanuh — spojrzij na tych biedaków i powiedz mi, jaka to moc szatańska nakłonić mogła córkę dobrą, by opuściła rodziców swoich, pozostawiając niedołązonych, nad grobem stojących staruszków w takiej nędzy okropnej!

Gaeus opuścił głowę i szepnął:

— Miłość!

I poleciali dalej. Nagle Elanuh spuścił się do małego, niskiego domku. Przytulił się do okna skromnej, bielonej izdebki i ujrzał milutką dziewczkę, wspartą o krawędź łoża; na pół już była rozebrana. Z wyrazem trwogi śmiertelnej spoczywał wzrok jej na młodzieńcu bladym i zmienionym.

— Idź — błagała go — ojciec się obudzi, idź, czego chcesz odemnie?

— Pytać chcę się ciebie: czy to jutro twój ślub?

Łzami się zalała.

— Nie dręcz mię, nie pytaj, kiedy już wiesz.

— Więc jutro ślub twój! — zgrzytnął.

Dziewczę łkało.

— Wszak wiesz już — ale kogo ja kocham, ty wiesz to najlepiej!

Spojrzał dziko, namiętnie:

— Jeżeli nie kłamiesz, pocałunek mi daj!  
Pierwszy i ostatni — ja tak chcę!

Pokryjomu z zanadru prawą ręką nóż wydobyl, a przyciągając lewą opierając się dziewczę, całował ją, przebijając równocześnie ostrem żelazem.

— Wszelki duch!... cóż tego człowieka do zbrodni popchnęło?

Gaeus odwrócił oblicze:

— Miłość!

— Więc to jest najlepsze, co ziemia posiada?  
— zawołał gość księżycowy. — Boże! chroń mię — nie chcę już więcej próbek tego, co u was najlepsze — bądź zdrow!

— Ależ zostań — prosił Gaeus — to tylko przypadek nieszcześliwy tak zrządził — pokażę ci inne obrazy.

— Dziękuję, żadnych takich pokazać mi nie możesz, któreby zdołały zatrzeć wspomnienie już widzianych.

I nim Gaeus zdołał go zatrzymać, już Elanuh odleciał do swej chłodnej ojezyny.

*Przekład Stefanii Kossowskiej.*

## JUŻEŚ MI ZNIKNAŁ, PROMYKU ŻŁOTY!

Jużeś mi zniknął, promyku złoty,  
Zniknął w ciemnościach bez końca —  
A moja dusza pełna tęsknoty,  
A serce rwie się do słońca.

Jużeś mi zgasło, słoneczko jasne,  
Coś mi zabłysło na chwile,

Zgasłeś nieboże tak jak ja zgasnę,  
Gdy w czarnej legnę mogile.  
Wszystkoś pochłonał, krwi, łez niesyty,  
Potworze, światem nazwany —  
Czemuż, gdyś wyssał szczęścia zachwyty,  
Okuleś w życia kajdany?  
I tętno życia i serca bicie  
Niosę w ofierze dziś tobie —  
Czemuż o świecie — gdy śmiercią życie —  
Spokoju nie dasz w tym grobie?

*Stefania Kossowska.*

---

## W STULETNIĄ ROCZNICĘ TRZECIEGO ROZBIORU POLSKI.

---

Ledwie minęła Raławic pamiątka,  
Gdzie sławny wódz nasz tak pięknie był czczony,  
Znów nam się inna przypomina chwila; —  
Lecz tej już obraz łą żalu zamglony!  
Tu nie radości, lecz smutku wspomnienia  
Poruszą serca nawet i z kamienia.  
To już ostatek naszej biednej ziemi,  
Której obrońcą Kościuszko Tadeusz!  
Lecz i on za to szarpany niewolą,  
Cierpiał, jak niegdyś grecki Prometeusz,  
Skuto mu ręce, wydarto nadzieję  
I chciano wywieźć w sybirskie zawieje.  
Bóg go ocalił; lecz Polska zgubiona!  
Dzieci jej w strasznej pozostały nędzy,  
Łańcuch żelazny wkuto jej do łona,  
By już umarła, by skołała prędeej;  
Lecz ona tylko w letargu omdlała  
I przez lat tyle konwulsyjnie drgała.  
I dotąd jeszcze drży i cierpi strasznie!  
Serce jej bije, chociaż krwią zalane,

I duch jej żywy po niebiosach buja,  
Choć skrzydła jego słabe, poszarpane.  
O Polsko biedna! o Ojczyzno droga!  
Kiedyż się skończy Twa męczarnia sroga?!  
My biedni, w żalu swym nieutuleni,  
Święcim dziś setną rocznicę niewoli  
I stoim smutni u Pańskich ołtarzy  
Ze skargą duszy i ze łzą niedoli,  
A śląc do Boga gorące błaganie,  
Wyjednać chcemy Polski zmartwychwstanie.  
Ojcze nasz, Ojcze! który jesteś w niebie!  
Usłysz modlitwy pokornego ludu!  
Zbaw nam Ojczyznę! o to prosim Ciebie,  
Daj nam oglądać siłę Twego cudu!  
Dźwięki żałoby zmień w dźwięki radości,  
Swobody, zgody i bratniej miłości!

Rymanów, 26. Października 1895.

*Olga Lissówna.*

---

## DZIEŃ ZADUSZNY.

---

Na cmentarzu dziś gościny,  
Wszystko spieszy w odwiedziny,  
Ludzie oświetlają groby,  
W kwiat je strojąc w dzień żałoby.  
Przyszła sierota, lampkę zapaliła,  
Na grobie matki wianuszek złożyła,  
Na grobie matki rzewnie zapłakała,  
I pod opiekę Boską się oddała.  
I my bracia tu sieroty!  
Polskiej wiary, polskiej cnoty,  
Jednej duszy, jednej myśli,  
Bracia wierni, bracia ściśli!



Na grobie matki goreje pochodnia,  
Świadcząc, że miłość Ojczyzny nie zbrodnia.  
Póki nie wyda Bóg nasz wyrok słuszny,  
U nas codziennie smętny dzień za-  
[duszny!

*Leopold Faust.*

---

„CZYTELNIA POLSKA“ w BIAŁEJ  
na pożegnanie swemu prezesowi, c. k. radcy na-  
miestnictwa Piwockiemu, w przeddzień wyja-  
zdu tegoż.

---

Żal nam Ci będzie, nasz rzeczniku dzielny,  
Któryś tak dzielnie przemawiał do rzeczy,  
Że Twemu dziełu już nikt nie zaprzeczy;  
Coś nam przysporzył tryumf nieśmiertelny!  
Oto na wstępie na Twoje przybycie  
Skrzydłami bije ten nasz Orzeł biały,  
U wejścia gmachu głosząc echa chwały,  
Echa Polonii, przetrwającej życie!  
To dzieło Twoje! — nie! to dzieło ducha,  
Który nie zasnął w dzielnych Polski synach,  
Wykazujących mieczem, słowem, w czynach,  
Że jeszcze żyje stara w nas otucha;  
Że jeszcze żyją hasła dni minionych:  
Że jeszcze Polska żyje wciąż i działa;  
Że pamięć Ojców u nas nie przebrzmiała,  
Lecz rodzi czyny, godne wysławionych!  
Żal nam Ci będzie! rozłączeni z Tobą,  
Pamięć po Tobie przechowamy w głębi  
Serc naszych, w których nic jej nie wyziębi,  
Pamięć do grobu zabieramy z sobą!  
My tu na kresach, odcięci od świata,  
Biedni, samotni, opuszczeni prawie —

Czem wynagrodzim zasługi, na jawie  
Dla nas zdziałane? jakaż ich zapłata?  
My, co z dnia na dzień o piędz' ziemi z wrogiem  
Staczać musimy jeszcze krwawe boje?  
Czem wynagrodzim ofiary i znoje,  
Coś z poświęceniem dla nas poniósł błogiem?  
Oto pamięcią i sercem jedynie!  
Niech Cię więc w dali swem ciepłem otoczy  
Ta pamięć nasza; k'Tobie nasze oczy  
Ciągłe zwrócone; ta pamięć nie zginie!  
„Czytelnia polska“ szle Ci, zacny Panie!  
Na dalszą drogę pozdrowienia swoje  
I woła przez nas: „Na to dzieło Twoje  
Pamiętaj w dali, niech się cobądź stanie!  
Tyś z nami związany echem wspólnej mowy,  
Tyś wszystkim drogi, drogi najuboższemu —  
My Cię żegnamy tytułem najdroższemu:  
Pierwszy jej, wielki członku honorowy!“

Nowy Targ, 13. Października 1895.

*G. Kohn.*



## ROŚLINY

w przysłowiach, przypowieściach, porównaniach  
i przenośniach języka polskiego\*).

---

Zbierając od lat kilku materiały do opracowania tematu: „Płody natury w przysłowiach, przypowieściach i t. d.“ i zebrawszy ich nie mało, skorzystałem ze sposobności, ażeby część ich niewielką podać na tem miejscu pod sąd opinii publicznej, a tem samem dowiedzieć się, ażali dalsza praca w tym kierunku przydać się na co może.

Rzecz sama nie przedstawia nic nowego, jest to bowiem tylko zestawienie rozstrzelonego niepomiernie materiału; ale pomysł jest rzeczą bez kwestji nową, bo nie mamy tego materiału do tej pory nigdzie opracowanego. Wprawdzie znajdują się tu i ówdzie nieliczne poszczególne zwierzęta w tym kierunku (i to niezupełnie) opracowane, ale całości nie mamy, nie mamy nawet takiej cząstki, jaką jest niniejsza rozprawka, a która sama dla siebie całość przedstawiać może. Zdaje mi się, że opracowanie tego materiału nie byłoby bez korzyści, gdyby się dokładnie i krytycznie przeprowadzić dało, co na prowincji nietylko bardzo trudną, ale prawie niepodobną rzeczą. To, co w tych szczupłych ramach zestawilem, nie przedstawia materiału zupełnie wyczerpanego; wyda się może nawet pobieżnem; ale inaczej być nie mogło,

---

\*) Niniejszy artykuł, streszczony przez znanego przyrodnika Zygmunta Morawskiego z Tarnowa, stanowi zapowiedź dalszej serji artykułów ze świata zwierzęcego i mineralnego.  
(Przyp. red.)

bo droga do wielu źródeł była przedemną zamknięta. Nie mam też pretensji, aby rzecz uważano za wy-czerpaną, opracowaną należycie, bo pominąłem na razie stronę krytyczną, bo nie mogłem korzystać z setek kalendarzy dawniejszych, w których niezawodnie znalazłoby się było materiału niemało; roz-chodzi mi się tu o zasadę jedynie, czy może rzecz taka przynieść korzyść.

Według mego rozumienia, powinna ona zainte-resować przynajmniej przyrodników, ponieważ może się nadać bardzo do ożywienia i urozmaicenia nauki; mogłaby nawet obudzić zajęcie w szerszych kołach czytających, otwierając przed nimi część skarbcza bogactw języka ojczystego.

Otóż czem chata bogata, tem rada.

Dla łatwiejszego przeglądu uporządkowałem rzecz alfabetycznie, a dla zaoszczędzenia miejsca znajdując się w tekście liczby obok zdań przytoczo-nych, odnoszące się do autorów, od których to lub owo pochodzi, przy czem przy autorach mniej zna-nych odwoływano się do Lindego. Spis dzieł tych autorów umieszczono na końcu rozprawki.

**Aloes** (*Agave americana* L.) Właściwie nazywa się roślina ta, spokrewniona z amarylkowatemi, „teżą“; pochodzi z Ameryki, gdzie kwitnie już po kilku la-tach, w Europie zaś dopiero pomiędzy 50 a 100 rokiem życia, zkad porównanie: — Miłość między bracią podobna jest do *aloesu*, który raz tylko w 100 lat kwitnie (1) t. j. rzadka.

**Anyż** (*Pimpinella anisum* L.), roślina okółkowa, z której nasion otrzymuje się olejek anyżowy, uży-wany do zaprawiania wódek i likierów. — Jeżeli się mówi o kimś, że *anyżkiem trąci*, rozumie się przez to pijaka gorzałczanego.

**Bawełna** (*Gossypium*), rodzaj roślin ślazowatych, których owoce okryte są długim, miękkim włosem wełnistym, zwanym także *bawełną*. — *W kaftan ba-wełnę a w chomąto słomę* (3) = każda rzecz ma wła-sciwe sobie miejsce. — *Obwijać prawdę w bawełnę* — nie mówić jej wręcz: Rzetelny obwijać prawdy w ba-wełnę nie lubi (4).

**Bodłak, bodziak, bodiak** (*Carduus*), bardzo pospolity chwast z rodziny złożonych. — Złego nie drażnij, *bodłaka nie ciśnij*, bo ukole (2) = nie budź licha = nie maluj djabła na ścianie.

**Bób** (*Vicia faba* L.), roślina motylkowata, której korona dość duża i biała, odznacza się na każdym skrzydełku plamą czarno-aksamitną, ztąd też *plama na zębach końskich bobem* nazywaną bywa: Końskie zęby są brudne, niegładkie, mają dołki bobem końskim zwane (5). — Często używa się wyrazu *bób* (nasienie), mówiąc o drobiazgu jakimkolwiek, szczególnie o małych dzieciach. — Bobem nazywają także kilka innych roślin jak np. *bób kartagieński* (*Amerimum*), *b. drzewny* (*Connarus*), *b. słodki* (*Glycine*), *b. turecki* (*Phaseolus*), *b. wodny* (*Nelumbium*). (29).

**Brzoza** (*Betulus alba* L.) — *Dobra kozie brzoza* (3) = dobra psu mucha. — *Brzozowa wić, brzozowa kasza* = chłosta. Dawniej zapraszali nauczyciele często niesfornych uczniów na brzozową kaszę.

**Cebula** (*Allium Cepa* L.), roślina liliowata, której łodyga podziemna w ostre, aromatyczne soki bogata, od czasów bardzo dawnych jako przyprawa do potraw używaną bywa. — *Oczy cebulą natrzeć; z cebuli płakać* = przymuszać się do płaczu (6). — *Cebula* (żartobliwie) = staroświecki, duży zegarek. — *Cebula, cebulka* kwiatowa, jaką mają tulipany, hiacenty, lilie i t. p. — *Oczy jak cebule* = duże, występujące mocno z oczodołów. — *Cebulą morską* zwą dawniejsi pisarze cebulicę (*Scilla maritima* L.). (29).

**Chmiel** (*Humulus lupulus* L.), z rodziny konopiowatych, ma łodygę wijącą się; szyszki słupkowe chmielu stały się niezbędnym artykułem w fabrykacji piwa; zawierają bowiem w sobie pierwiastek gorzki, aromatyczny, zwany „lupuliną“, który nadaje piwu własność lekko narkotyczną, jakoteż przyjemną gorycz. — *Chmielu narobić* = pogmatwać, poplątać, pomieszać. — *Chmielu w głowie* = wróble w głowie = sieczka we łbie (25). — *Pnie się jak chmiel* = pyszni się, a niema z czego (ib). — *Chmiel*, zamiast piwa, którego jest częścią, ztąd: *podchmielić sobie* = podpić sobie: Nazajutrz, gdy im *chmiel* wyszumiał,

przepraszali (7). — *Chmielowa robota* = pijana sprawa — po pijanemu.

**Chrzan** (*Cochlearia armoracia* L.), roślina do krzyżowych należąca, której korzeń gruby, twarde i gałęzisty, bardzo ostrego smaku i przenikającej woni, jako przyprawa kuchenna powszechnie używany bywa. *Nie kontent z sztuki mięsa, chce do niej jeszcze chrzanu* (6) = niezadowolony czemkolwiek = daj kurowi grzędę, mówi: wyżej będę. — *Dobry chrzan z miodem, a miód sam* (3) = co dobre, dobre i bez przyprawy = dobre samo się zaleca. — Często używa się tego wyrazu także w zastosowaniu do człowieka, np. *ten człowiek chrzan* (6) = przykry, uszczypliwy, albo też żartobliwie a złośliwie: *Słodka ona jak chrzan* = dobra jak jaszczurka (2).

**Ciernń**, jestto zdrzewiała oś boczna, zakończona kłującym kolcem, jak np. u tarniny. — Gdzież jest róża bez *ciernia*? (Pot. Arg.) = nic bez ale. — *Ciernń* oznacza w przenośni w ogóle: dolegliwość, ucisk, przykrość, dokuczanie... — Złote korony *ciernie* w sobie mają (25). — *Nic* nie jest na tym świecie bez *ciernia* = i jasne słońce ma chmury (4). — *Ciernń, ciernie* = krzew rozmaitego gatunku, nisko rosnący, kolców ostrych pełny, na nic się nie przydający, tylko do przykrywania parkanów i płotów (25). — *Nie zbierają z ciernia fig* (ib.) = głóg. — *I ciernie miłe*, z kąd się upatruje róża (ib.) = i trudów nie żal, gdy jest o co. —

Czyś ludzi nie znał, czyś tak rozumiał nieboże,  
Iż *ciernie* inszy owoc niż tarnki dać może (J. Koch.)

*W ciernie bracia!* (10) = a nasi w chróst, w nogi. — Być komu *cierniem w oku*. — *Ciernie białe* = berberys czyli kwaśnica pospolita (*Berberis vulgaris* L.), pochodząca z okolic południowych, a hodowana w ogrodach; miejscami rozpowszechniona u nas zdziaczała. Podłużne, czerwone, kwaskowate owoce jej bywają używane na konfitury i galarety.

**Cynamon**, kora z cynamonowca (*Laurus Cinnamomum* L.), drzewa rosnącego na wyspie Cejlon, używana jako przyprawa korzenna. — *Drzewka jak cynamonki* (25) = bardzo szczupłe. — Poszło w przy-

słowie potoczne o izbie nieogrzejanej: *palono cynamonem* (6) = palono za mało.

**Cytryna** (*Citrus limonum* Risso), drzewko, którego owoc tej samej nazwy powszechnie znany. — Jedno tylko porównanie znane i często używane: *wycisnąć kogoś lub coś jak cytrynę* = do ostatka.

**Czosnek** (*Allium sativum* L.), krewniak cebuli o sokach ostrych; także powszechna przyprawa kuchenna. — *Czosnek trzykroć przesadzany obraca się w truciznę* (8) = zbytne powtarzanie szkodzi.

Nie dbaj, chociaż zła wieść o tobie gruchnie,  
*Kto nie je czosłka, pewnie nim nie cuchnie* (2) = niewinność puklerzem. — *Czosnek, czosnki* = zaciósane pale, zasięki, palisady: *Miasto wałem, czosnkiem z palów zaostrzonych i przekopem warowne* (9).

**Ćwikła** (burak, *Beta vulgaris* L.), roślina z użytku znana. — Tylko jedno porównanie od niej pochodzi: *czerwony jak ćwikła* (6).

**Dąb** (*Quercus*). — *Łatwo zbierać gałęzie, kiedy dąb upadnie* (10) = nad bezsilnym znęcać się łatwo. — Według Lindego jest przysłowiem: *Własny, nieboszczyk, dąbek, co w stojaczki zdechł* (8).

**Drzewo**, jestto ogólna nazwa roślin tworzących pień, który dochodzi do znacznej nieraz wysokości i grubości np. dąb, sosna i t. p. (28). *Na twarde drzewo twardej potrzeba siekiery* (Fred. Ad.) = środki należy zastosować do celu. — *Nie z każdego drzewa Merkurjusz* (11) = nie ze wszystkiego da się wszystko zrobić. — *Jakie drzewo, taki owoc* (3) = jaki ojciec, taki syn. — *Jakie drzewo, taka kora; jaka matka, taka córka* (28). — *Skrzypiące drzewo dłużej stoi* (ib). — *Każde drzewo ma swego robaka* (13) = każdy ma swego mola. — *Na pochyłe drzewo i kozy skaczą* (21) = na ubogiego wszędzie kapie. — *Przygoda po ludziach chodzi a nie po drzewiech* (14) = ludzka rzecz nieszczęściom podlegać. — *Im dalej w las, tem więcej drzew; im dalej w algebrę, tem więcej operacji* — tak mawiał niegdyś mój profesor matematyki. — *Z jednego drzewa bywa krzyż i łopata* = z jednego rodu różni ludzie (12). — *Książd tam klepie, djabeł wie co, z pamięci, na święconem drzewie* (12) = na ambonie. — *Drzewo* = pika,

kopia: Króla na szable i na drzewa pozywa rycerz błędny (25). — *Drzewo życia* (arbor vitae), część mózgowia. — *Drzewo genealogiczne* = rodowe. — Przymiotnik i czasownik od wyrazu tego także często przenośnie używane bywają, jak np. *drewniana apatja*, *drewniany dowcip* (12), *drewnieją* członki; zdało się, jakoby *zdrewniał* w swojej boleści (12).

**Dynia** (Cucurbita Pepo L.), z rodziny dyniowatych wydaje często olbrzymie owoce do 100 Kg. wagi.

Bóg wie, co czyni;

Ja głupi, żem *chciał na dębie dyni* (1).

**Figa** (Ficus carica L.) roślina do chlebowcowatych należąca, daje owoce słodkie, powszechnie znane. — *Nie zbierają owocu z głogu, ni fig z ostu* (Kullig. Herb.) = każda rzecz ma swoje miejsce. — *Figi figami, motykę motyką zwać* (16) = prostakiem być. — *Za figę mieć* = za hetkę pentelkę, za nic. — Wszystkie te rady miał on za figi (17). — *Pokazać komu figę* = wyśmiać go:

Złączywszy Lidów i Syryą w ligę,

Śmieie pokaże na Pergamy figę (18).

*Figę wziąć* = pójść z kwitkiem, z niczem:

Patrzaj jeno starca wygę,

A to rzecz nie do pojęcia,

Chcieó mu młodego dziewczęcia;

Weźmiesz za to dziadu figę (19).

*Fig się objadła* — o kobiecie brzemiennej (25). —

*Figi migi* = sadzele bolesne w siedzeniu (20) — *Figa*

*rajska* = banany (Musa). — *F. sprężysta* = pospolita

roślina wazonowa (F. elastica). *F. Sykomorowa* (F.

Sycomorus L.), słynna z drewna bardzo trwałego —

*Figa świątnicowa* (F. religiosa L.) dostarcza szellaku.

**Gałąź.** W przenośni oznaczają szubienicę, gdyż w wypadkach doraźnych wieszano zbrodniarzy na pierwszej lepszej gałęzi: *Godzien być dawno na gałęzi* (Pot. Arg.).

**Gałgan, gałganek** (Alpinia galanga Sw.) z rodziny ździeblcowatych (Scitamineae), którego korzeń używany był dawniej do zaprawy wódek — ztąd:

*idzie na gałganki* = na chrzciny, ponieważ na chrzcinach pito zwyczajnie wódkę gałgankową (Rydel). —

Że nazwa ta oznacza także zużytą szmatę albo też



człowieka nicponia, rzecz powszechnie wiadoma: Był panem... przez nierząd został gałganem (30).

**Glon** (wodorost). — *Glon* = kawał chleba:

Dadzać czeresni i słodkich wisionek

I słuszny chleba ku tej uczcie glonek (1.) —

*Glon* = glina: wodę chlipa z glonem (22) = limosa flumina potat.

**Gładysz** (*Leucojum vernum* L.), roślina amarylkowata, kwitnąca biało zaraz po zejściu śniegów. — Jak przy niektórych innych, tak i tu trudno powiedzieć, czy roślina ta pożyczyła nazwy od wyrazu w mowie naszej dawno używanego, czy też odwrotnie; *gładysz* bowiem znaczy tyle, co *gładki*, *wysmukły*, *galant*, *lalka* (25): Do posługi stołowej zniewieściali Rzymianie używali wysmukłych i wymuskanych *gładyszów* z długimi włosami, ubranych na kształt niewiast. — *Gładysz* = motyl, do zmierzchnikowców należący. *Gładysz* u Józefa Jundzilla = *Cerithe*.

**Głóg** (*Crataegus oxyacantha* L.), drzewko do różokwietnych należące, używane często na żywe płoty. (J. Jund. — nazywa tak nieszpulkę — *Mespilus germanica* L.). — *Głogiem* nazywają także dziką różę (*Rosa canina*). Obie rośliny są cierniste, dlatego jest *głóg* synonimem ciernia: *Nie zbierają owocu z głogu, ni fig z ostu* (15). — *Musisz się głogiem zakłuć, abys różę urwał* (25). — Owoc róży polnej również *głogiem* nazywany bywa (we wschodn. części kraju „hecze-pecze“). —

**Goździk** (*Dianthus Caryophyllus* L.), znany kwiat ogrodowy, pochodzący z Afryki, tylko rzadko w czułych przemówieniach używany bywa: *Dzień dobry, me kochanie, szafirku, tulipanku, najwonniejszy goździczku!* (26). — *Goździk*, *gwoździk* = mały gwóźdź do wbijania. — *Goździki* u lutni, u skrzypców = kołki. — *Goździki* korzenne są zasuszonymi pączkami kwiatowymi *goździkowca* (*Caryophyllus aromaticus* L.), drzewa wielkości jabłoni, pochodzącego z wysp moluckich.

**Groch** (*Pisum sativum* L.), znana roślina łupinowa. *Lepszy groch doma, niżli w gościnie zwierzyna* (2) = wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. —

*To tyle pomoże, co na piecu groch siać* (25) = próżny trud. *Pochlebne głosy są jako groch w pecherzu*, które tylko brząkają, a pożytku żadnego nie czynią (Rej Zw.). — *Mam się jak groch przy drodze* (8) = każdy mię szarpnie, trąci. — *Groch na ścianę rzucać* = daremnie usiłować. — *Grochu się objadła* (żartobl.) = zastąpiła, brzemioną została (23). — *Wieniec grochowy* = znak głupstwa (wedł. Lindego):

Szukamy tu zdatnej głowy,  
Przybrać ten wieniec grochowy,  
Czy tu jest dom Orgonowy? (19). —

Wieniec grochowy oznacza także dla kawalera re-  
kuzę arbuza. —

*Kto sieje groch w marcu,*  
*Będzie gotował w garcu,*  
*A kto w maju — w jaju.*

*Benedykt w pole z grochem,*  
*Wojciech z grochem jedzie,*  
*Stanisław z lnem;*  
*Filip tatarkę wywiedzie.*

Groch z kapustą — nieład, gmatwanina. —  
Fasolę nazywają *grochem tureckim* (Syren.) i *gr. wło-*  
*skim* (M. z Urzęd.) *Groch zajęczy* u Kluka oznacza  
wołowika (Orobus).

**Grono** (racemus) jestto kwiatostan, mający szypułę długą a szypułki kwiatowe wyraźne, wszystkie jednakowo długie, jak np. u czeremchy, akacji, hyacyncu i t. p. Właściwie oznacza ta nazwa owoc winnej latorośli, ztąd przenośnie gronem zowiemy pewną liczbę osób dobranych, które czy wiekiem, czy stanem będąc do siebie zbliżone, na kształt jagód grona, piękne kółko stanowią, np. *grono młodzieży*, *grono nauczycieli*, *grono duchowieństwa* i t. p.

(28.) — Rzuciwszy rówienników grono,  
Do starca bieży, co mu dumy pieje. (Mick.)

**Gruszka**, owoc powszechnie znany. — *Nie wszystkim gruszki, drugim jabłka* (8) = dobra Matyaszowi plotka. — *Nie zobaczy gruszki w popiele* (3) = nie zaspł sprawy: Nie zjesz mnie w kaszy, gdzie potrzeba = nie zaśpię gruszek w popiele (4) — *Ukazywać gruszki na wierzbie* (8) = dutka na kościele; za błazna go mieć; zakpić z kogo.

— *Gruszkę dać*; jest to żart bolesny, między po-  
spółstwem dość powszechny. W tym celu opiera się  
pięść dużym palcem na głowie drugiego i uderza  
w nią przez odpowiednie skręcenie resztą palcami  
złożonymi.

**Grzyb, grzybek.** — *Jeśliś grzyb, leżże w kozub*  
(Fred. Ad.) = tam właściwe dla ciebie miejsce. —  
Podobnie brzmi przysłowie: *Skoroś się rodził grzybem,  
do kobiałki grzybie* (24) = jeśliś szewc, patrz swego  
kopyta. — *Grzyby, ryby, łąka, mąka* (25) = dobre  
mienie. — *Grzyby, ryby, wieprzowina, potrzebują sporo  
wina.* — *Dwa grzyby w barszcz* = rzecz zbyteczna;  
za wiele dobrego.

*Poszedł do lasu na grzyby* (8) = umknął, lub  
też: poszedł z torbą na dziady. — *Idź pan na grzyby  
z takim szluchcicem* (26) = kryj się do kąta, pod  
ławę. — *Grzyb* = zgrzybiały starzec (z urąganiem,  
bez szacunku): *Siedźże tu grzybie, aż cię djabeł  
zdybie* (8). — Jeśli ktoś bardzo stary, mówi się o nim:  
*Stary jak grzyb o świętym Marcinie* (30.). — *Grzyb*  
lub *grzybek* oznacza także żużel na knocie u lamp i  
świec. — W hutach czasem w wyższym lejku pieca  
zbierają się wielkie kawałki materji w szkło odmie-  
nione, zwane *grzybami* (25). — *Grzybek* = kapelusz  
płaski, do grzyba podobny. — *Grzybkiem* nazywają  
również dzikie mięso na ranach wyrastające. Tak  
samo nazywa się legumina na jajach. — *Zgrzybiały*  
oznacza te ostatnie lata starości, w których człowiek  
traci powoli ostatnie siły życia i staje się całkiem  
nieodolnym (28). — *Wynijdź a podnieś zgrzybiałe  
członki twoje* (Skar.).

**Heban** (*Diospyros Ebenum Retz*), drzewo krajów  
zwrotnikowych, odznaczające się drewnem barwy  
czarnej, dlatego często w porównaniach wspominane:  
*Włosy czarne jak heban* (12).

**Hiacynt** (*Hyacinthus orientalis L.*), liliowata roślin-  
na, pochodząca ze Wschodu, dla pięknych i wonnych  
kwiatów, tudzież wczesnego kwitnienia hodowana  
wszędzie. — *Hiacynt* = klejnot barwy żółtawo-różo-  
wej; jest to odmiana cyrkonu z rzędu twardców. —  
*Hiacynt, Jacynt, imię mężkie,*

**Imbier** (*Amomum Zingiber* L.), z rodziny kwiatotrzczińców (*Scitamineae* R. Br.), odznacza się smakiem ostrym, szczypiącym i mocno aromatyczną wonią. — *I imbier robak toczy* (3) — i kwaśne jabłko robak gryzie. — *Kto prawdę komu powie, jakby mu w oczy z solą nasypał imbiru* (11) = prawda w oczy kole. — *Dmuchały sobie w oczy imbirerem* (Rej).

**Jabłko.** *Jaki szczep, takie i jabłko* (25) = jaki ojciec, taki syn. — Takie samo znaczenie ma przysłowie: *Niedaleko jabłko od jabłoni pada.* — *Ikwaśne jabłko robak gryzie* (3) = każdy ma swego mola. — *Czerwiwe jabłka z drzewa lecq* (25) = złe nietrwałe.

Nie zbija gołęb kaczek, orzeł much nie goni,

*Nie daleko spadają jabłka od jabłoni* (1).

*Stłucze mię na jabłko leśne* (26) = na miazgę; pochodzi ztąd, że jabłka takie bywają dla twardości swej przed użyciem do jedzenia mocno stłuczone, aby je zrobić miększymi. U nas więcej utarte są zwroty: *zbiję go jak kwaśne jabłko* albo: *na winne jabłko.* — Wiem ja, gdzie waści za to uszyję buty i zaproszę na kwaśne jabłka (4) = poczęstuję cię czemś niesmacznym. — *Jabłko robaczywe, z wierzchu ładniuchne, wewnątrz djabła warte* (26) = nie wszystko złoto, co się świeci. — Na rynku *jabłko po ludziach potoczy* (Pot. Syl.) = tak pełno ich tam. *Jabłko* = kula złota z krzyżem, oznaka najwyższej zwierzchności: Na ostatek przy koronacji daje arcybiskup królowi jabłko złote w lewą a berło w prawą rękę. *Jabłko Adamowe* = grdyka, t. j. wyniosłość, jaką tworzy krtań od przodu u góry szyi. — W złączeniu uda z kolanem przytwierdzona jest kość okrągława, *jabłkiem* zwana. — *Jabłkiem oka* (może z niem. „Augapfel“) nazywają czasem gałkę oczną.

**Jagoda**, zbiorowa nazwa dla owoców soczystych o licznych drobnych nasionach, jak np. porzeczka, agrest, ogórek i t. d. W życiu potocznym rozumieją pod tą nazwą często czereśnie. — *Nie każda jagoda malina, bywa także i smrodynia* (25) = nie wszystko złoto, co się świeci. — *I jagodą by się z nim rozdzielił* (3) = i jaja bez niego nie zje. Pieszczotliwie przemawia się do kobiety: *No, moja jagodo, moja droga perełko* (26). — *Jagody* = policzki, (które

okrągłością i rumieńcem jagody przypominają). Gdzie ów alabastr czola, *jagód róże* (4) — *Jagoda panieństwa* = wieniec. — Skąpiec jest jako na skale *jagody* (Rej).

**Kalina** (*Viburnum opulus* L.), krzew pospolity w lasach naszych a sławny w pieśniach ludowych, z pokrewieństwa przewiertniowatych (*Caprifoliaceae* A. Rich.). — *Kalina włoska* = berberis. — Len moczy się, póki włókno od *kaliny* albo kistry zupełnie się nie oddziela (25).

**Kamfora** albo kamforowiec (*Laurus camphora* L.), drzewo japońskie, hodowane w wielu okolicach zwrotnikowych, z którego pochodzi zsiadły olejek lotny, pod nazwą *kamfory* znany. *Zniknie* zebrane pospółstwo, kiedy ma przyjść do bitwy, nie inaczej *jak kamfora*, (Pot. Arg.), — od własności kamfory, że się łatwo ulatnia i znika.

**Kasztan** (*Castanea vulgaris* Lam.), drzewo z rodziny miseczkowatych (*Cupuliferae*), rosnące w krajach Europy południowej, wydające owoce, znane pod nazwą *kasztanów słodkich* lub maronów, dla odróżnienia od *kasztanów gorzkich* czyli końskich, jakie pochodzą od kasztanowca (*Aesculus hippocastanum* L.), drzewa pięknego, z Azji pochodzącego, a które u nas i indziej jako drzewo ozdobne do wysadzania dróg używane bywa. Pospolicie zowią je także kasztanem. *Kasztan* — koń, pies kasztanowaty; tak samo nazywają trzcinę hiszpańską kasztanowego koloru n. p. Znajdę co, to ten kasztan na tobie się potrzaska (26). — *Kasztan* (poet.) = kasztanowy kolor:

Lekka mgła rozlała się na jej czarne oczy,

A błądźć ćmiła czoło z *kasztanem warkoczy*. (25).

*Kasztanem* nazywają w niektórych okolicach pogardliwie żyda, co we wschodniej części kraju bardzo często usłyszeć można.

**Kąkol** (*Agrostemma Githago* L.), z rodziny goździkowatych (*Caryophylleae*), chwast pospolity między zbożem, o kwiatach fioletowo-czerwonych lub purpurowo-różowych. — *Na jednejże ziemi pszenica i kąkol rośnie* (3) = dobre rzadko bez złągo. — *Między pszenicą znajdziesz kąkol* (Opal. Sat.). — *Odmieniła*

się pszenica w kąkol; do czasu kąkol rośnie z pszenicą; gdy pszenicy nie sieją, nie będzie kąkolu; — te i tym podobne przypowieści, mające zawsze to samo znaczenie złego i dobrego, są bardzo pospolite. — *Próżna rzecz mleć mąkę z kąkolu* (25) = szukać gruszek po wierzbie albo fig na głogu. — *Kąkol* = rzecz czcza, nieużyteczna, szkodliwa: Wiele kąkolu heretycy nasiali, podpierając swoje błędy i wymysły.

**Konopie, konop** (*Cannabis sativa* L.), znana roślina użyteczna, dająca włókna na tkaniny płócienne i sznury. — *Wyrwał się jak Filip z konopi* (26) = ni ztąd ni zowąd; z czemś niepotrzebnem. — *Sporo jak konop rośnie* (3). — *Oganiać konopie* (Rej. Zw.) = niepotrzebna robota. — *Konopie* zamiast sznurek z konopi, postronek do wieszania, zkąd rozliczne zwroty, jak np. takie przestępstwo *konopiami pachnie*; zasłużył na *konopianą krawatę*; już nic nie pomoże różga, ino *konopie* i t. p. — *Konopiaty*, konopiasty = do przędzy konopnej podobny: Koń był pod nim cisawy, z konopiatym ogonem (12). — Koń stada Sobieskich z *konopiatą* grzywą (Pol.).

**Korek**, gąbczasta, nieprzemakalna kora z dębu korkowego (*Quercus suber* L.), który rośnie w krajach nad morzem śródziemnym położonych. *Korek* = zrobiona z kory tego drzewa zatyczka do flaszek. — *Korek u trzewika* = obcas; zkąd: *nadstawiać się korkami* (14) czyli podwyższać się. — *Korek górny* jest minerałem, złożonym z giętkich włókien, tak lekko skupionych, że ma podobieństwo niejakiemu korkiem drzewnym.

**Korzeń**, korzonek, dolna część rośliny, tkwiąca w ziemi i umocowująca ją do stanowiska, lub rosnąca w ogóle w kierunku przeciwnym od łodygi, a służąca do pobierania pokarmów. — *Korzeniem stoi roślina*, można powiedzieć o każdej rzeczy ważnej, na której się coś opiera. — *Gdzie zdrowy korzeń, drzewo kwitnie i rodzi* (Skarga) = podstawa to rzecz główna. — *Szczere to wino jak się z drzewa dostaje* (24) = z macicy winnej, niefałszowane. — *Jaki był korzeń, takie różeczki* (ib.) = jaka matka, takie córki. — *Czarny korzeń* = rzysko, ściernisko:

Wilk bieżąc koło błonia,

Ujrzał na czarny korzeń puszczonego konia (1).  
*Z surowego konia* = z karczunku, z gruntu wykarczowanego. — *Korzeń* oznacza w ogóle część dolną np. korzeń zęba, włosa, języka... W przenośni znaczy *korzeń* tyle co: początek, fundament, grunt: U nauk korzenie gorzkie, ale owoce słodkie; dlatego też z *korzenia*, z *korzeniem* = z gruntu, np. Póki drzewa z korzeniem nie wykopamy, póty będzie rosło; póki wodza nie dostaniemy, póty pokoju nie będzie (B.el.); albo też oznacza to początek, jak np.:

To szczęście wszystkie miasta, wszystkie zamki mają,  
Że piękniejsze z ruiny, niż z korzenia wstają (Pot.).

*Korzeń* = Foeniculum porcinum, wieprzyniec, gorysz, gorycznik czyli świniukopr (Saufenchel). — *Korzeń* = obozowisko, kosz kozacki. — *Korzeń* = członek naturalny męzki, ztąd: *po korzeniu* albo po mieczu, po linii męzkiej. — *Korzenie* = przyprawa do potraw (pieprz, imbir...), ztąd *korzenieć* w znaczeniu: korzeniami przyprawiać, różne od *korzenieć się* = rozrastać, wzmacniać się. — *Korzenny*, przymiotnik od korzenieć bywa często używany: wino korzenne, miód korzenny, potrawa korzenna i t. p. — *Korzonek* (dimitut.) ma znaczenie takie samo jak korzeń.

Dawniejsi pisarze nasi wiele roślin korzeniem nazywali i t. *Korzeń jeleni* = wieprzyniec cz. gorysz (Peucedanum cervaria L.), — *k. kwaśny* = Kislina (Oxybaphus), — *k. lotowy* = rumianica, poczerwa (Onosma). — Rhodiola = *Korzeń różowy*, — Peucedanum cervaria = *k. serdeczny K.*, — Dracontium = *k. smoczy*, Ophiorrhiza = *k. węzowy P.*, — Lonicera ipecacuanha = *k. womitowy K.*, — Zantorrhiza = *k. żółty W.*, — Eugenia pimenta = *k. angielski K.*, — Rheum raponticum = *k. litewskie U.*, *k. moskiewskie U.* — *R. cukrowy* = kuczmera (Sium sisarum).

**Kwiat, kwiatek, kwiateczek.** Zbiorowa nazwa ta, oznacza ściśle biorąc samą koronę i kielich rośliny, ze słupkami i pręcikami. W pospolitem jednak użyciu kwiatami zowiemy te rośliny, które kwitnąc mają piękne barwy i zapach. W porównaniach i przenośniach często używany bywa. Do kobiet prze-

mawia się nieraz pieszczotliwie: *Mój ty kwiateczku* cacany, różany... albo porównywa się je z kwiatami. — Siwe włosy na głowie, *kwiatki* to są *cmentarzowe* (4). — Był ten młodym, a gdzież teraz *kwiat młodości* jego? (Skar.). — *Kwiatki*, dawniej tyle, co zausznicę, kolczyki: *Lubią kobiety barwiczki, kwiatki koło ucha* (25). — *Kwiatek paniński* = paniństwa wieniec.

Ciesz się Hanieczko z takiej ofiary;  
Masz mi i ty dać wzajemny datek —

Za kwiatki kwiatek (1).

*Wdowi kwiatek* jest zaś nazwą botaniczną dla gat. *Scabiosa atropurpurea*, tak jak *Amaranthus* nazywa się *kwiatem miłości*, *Helichrysum kw. słomianym*, *Galanthus kwiatem mlecznym* i t. p. (29). W ogóle oznacza kwiat w przenośnym znaczeniu rzecz przyjemną, uciechę, radość, n. p. pomiędzy ciernie wplótł się *kwiat* woniejący = po smutkach zawitała uciecha (12). Mimo to nagromadziło się w życiu jego więcej cierni niż *kwiatów* (ib.). *Kwiaty* poezji = piękne, bujne wyrażenia lub zwroty.

*Lilia* (*Lilium candidum* L.), znany kwiat ogrodowy, pochodzący ze Wschodu; godło niewinności. *Czasem między pokrzywami lilia rośnie* (25) = między pszenicą kąkol. — *Dziewczęta jak róże i lilie* (26) = krew a mleko. — *Pnie, jak udo mięszsze, a okrągłe u wierzchu zaciosane, liliami* u Rzymian zwano (25) = palisady. — *Wzięła na się lilię*, nausznicę, pierścionki (ib.) = manele, branzolety. *Biała jak lilia; białość liliowa*. — *Lilia* = herb: tarcza w szerz podzielona, nad linią 3 lilie, pod nią także, nad koroną kolos strzałą przeszyty (27). — Tą nazwą oprócz rodz. *Lilium* także liczne inne gatunki roślin nazywane bywają: *lilia afrykańska* (*Agapanthus*), *lilia wodna* (*Nymphaea*), *l. peruwiańska* (*Altstroemeria*), *lilia narcyzowa* (*Amaryllis*) i. w. i. (20)

*Liść, liście*, są to osi boczne rośliny, zwykle rozplaszczone i barwy zielonej.

Da ci Pan wszystko, co niebem władnie,

Gdy niewinności liść z ciebie nie spadnie (1).

Gościu, *siądź pod mym liściem* = pod mojem drzewem. — Mały liść nazywa się *listkiem*; tak samo



nazywa się mały list, listek, liścik (bilet). *Na liścia spadnienie* bojaźliwy (25) = cienia swego się boi. — *Drzeć jak liść* (listek). — *Tylko chłystek nie wie, co listek* (30) = nie umie najprostszych rozróżnić rzeczy.

**Łopian, łopuch** (*Lappa major*. Gaertn.), chwast o czerwonych kwiatach koszyczkowych i dużych liściach, pospolity pod płotami, przy drogach, na śmieciakach i t. p. — *Baczny człowiek uważa, co łopian, a co pokrzywa* (Rej Zw.). —

Kto mi zgani wołową sztukę do chrzanu,  
I z prostego sałatę kopru i łopianu? =  
na co kogo stać. — Tryw.: Siedzi wygodnie (bezpiecznie) jak g... *pod łopuchem*.

**Mak** (*Papaver somniferum* L.), znana roślina ogrodowa. *Nie trzeba maku siekać* (8) = actum ne agas. — Przyjaciela szukaj tak *jak w korcu maku*; soli beczkę z nim zjesz, nim go poznasz (30). — Narodów dzikich świat *pełen był jak maku* — bardzo wiele. — Rzekłbyś, że ktoś między nimi *posiał maku*, takie milczenie panowało. Takie i temu podobne zwroty, oznaczające ciszę senną, pochodzą prawdopodobnie z usypiających własności maku, wiadomo bowiem, że zagęszczony sok mleczny tej rośliny, wypływający po nacięciu niedojrzałych torebek, daje opium. W znaczeniu przenośnem:

Nie radzę Mościa Panno siła jadać *maku*,  
Bo zbyt nim makiem tego człek przepłaca smaku (11).  
*Gdy kwitnie głóg, to największy głód, a kiedy mak, to już nie tak* (30). — Jeżeli ktoś zaspany, to nie bardzo poczytalny, co żartobliwie także przez „głupi“ przetłumaczyć można, ztąd pewno często żartobliwie używane: *Jedz N...*, bo to z makiem itp. — *Mak pienisty* K. = *Silene inflata* L.

**Malina** (*Rubus Idaeus* L.), podkrzew z rodziny różowatych (*Rosaceae*), dający wyborne owoce tej samej nazwy, barwy pięknej czerwonej. — *Nie każda jagoda malina, bywa czasem i smrodynia* — nie wszystko złoto, co się świeci. — W porównaniach spotykamy się z nią bardzo często: *dziewczyną jak malina*, *chłopiec świeży jak malina* i t. p.

**Marchew** (*Daucus Carota* L.), znana roślina jarzynna. Od niej pochodzi często używany zwrot:

*poskrobać marchewkę*, zwykle mimicznie wyrażany: ...i dopiero poskrobie marchewkę = będą się cieszyć, że na mojem stanęło (12).

**Mech**, nazwa całej klasy roślin zarodnikowych. *Kamień często poruszany, mchem nie obrośnie* (3) = nie zapleśnieje, co się często używa. *I kamienie mocne, mchem porastają* = nic się przed czasem nie ostoi. — *Mech z trupiej główki* (e craneo humano) znajduje się na czaszkach człowieczych, zwłaszcza, które przez długi czas w miejscu wilgotnem leżą = pleśń. To samo znaczenie ma *mech na butelkach*. — *Mech* (przenośnie) = perz, pierze, wełna na ziołach. — *Mech na jagodach* (pubes, lanugo), młodociana bródka, pierwsze włoski na twarzy: Lato mu dwudzieste wyciska *mech na twarzy*. — Podatek rybny za Piastów nazywał się *mech*.

**Mięta, miętka** (*Mentha piperita* L.) z rodziny wargowych (Labiatae); roślina lekarska.

Język uszczypliwy

Zwykł obracać i *miętkę pachnącą* w pokrzywy. (18)

*Jakoby mięszął pokrzywy kto z miętki,*

Kiedy w pociechach przypomina smętki.

*Mięta ptasia* = *Alsine*, *m. kocia* = *Nepeta*. (29).

**Migdał** (*Amygdalus communis* L.), drzewko z rodziny różowatych (Rosaceae); pochodzi pierwotnie z Afryki, dziś hodowane niemal w całej Europie południowej, dla owoców, również *migdałami* zwanymi. --- *Niebieskie migdały* = rozkosze przyszłego życia: Czyście się zamysłili o niebieskich migdałach? (4). — Personif.: *Migdał, migdałek* — gach, fircyk: Otóż to mieć takiego migdałka panicza (25). — *Migdały* są dość duże gruczoły na każdej stronie podłuku, między obłakiem zasłony podniebieniowej. — *Migdałki ziemne* = *Cyperus esculentus*.

**Ogórek** (*Cucumis sativa* L.), roślina z rodziny dyniowatych (Cucurbitaceae), wydająca owoce takiej samej nazwy, a powszechnie znane. *Ogórk* w znaczeniu przenośnem oznaczają węzły u pasa mniszego: Mnich podpiły wziął nas ogórkiem walić czy sandałem (29). — W porównaniach często *nos z ogórkiem* w parze staje. — *Ogórek cierniowy* = kolczoch (*Sechium*).

**Oliwa, drzewo oliwne** (*Olea europaea* L.), pochodzi pierwotnie ze Wschodu, lecz od niepamiętnych czasów uprawia się w Europie południowej i Afryce północnej dla owoców, dających znaną powszechnie z użytku domowego oliwę, ciecz tłustą, od wody znacznie lększą. — *Wszystko, gdyby oliwa, na wierzch wychodzi* (26). — *Oliwa* — herb: lilia z korzeniem, na niej dwie róże; na hełmie pół lwa z językiem wywieszonym (27). — *Oliwa*, miasto w województwie Pomorskiem, sławne dawnym opactwem Cystersów: *Bodajbys nie miał chleba inszego, jak w Oliwie* = bodajbys z głodu umarł; przymowa do skamieniałego chleba, który w klasztorze Oliwskim pokazują.

**Olsza, olcha** (*Alnus glutinosa* L.), drzewo nad wodami i w miejscach wilgotnych bardzo pospolite. Od niego pochodzi wyraz olszowy, w przenośni używany, np. *olszowy Marcin*, tyle co drewniany, ineptus, stupidus.

**Orzech**, owoc krzewu 3—4 m. wysokiego, znanego pospolicie pod nazwą leszczyny (*Corylus avellana* L.). — *Kto chce orzech zjeść, zgryzie łupinę* = kto szczerze czegoś chce, nie zrazi się trudnością. — *Nie gryź z djabłem orzechów* (8) = nie igraj z ogniem. *Jak orzech zgryźć* = bardzo łatwo: Umie on z czarnego białe zrobić, jak orzech zgryźć (26). — *Orzech zgryźć* znaczy trudność uprzętać: Niech już raz orzech ten będzie zgryziony. — *Na orzech przyjść* = natrafić na trudność, walczyć z nią, np. *Jak przyjdzie na orzech, to on ani dudę* (4) — *Nastąpić z kim na orzech* = zęby mu pokazać, srogim się stawić; On psuje się tylko naszą folgą: nastąpić z nim na orzech (Pot. Arg.). — *Dać temu orzechy, kto ich gryźć nie może*, znaczy tyle co: po śmierci lekarstwo (dać koniowi owsa, kiedy idzie do psa). — *Nie dać złego orzecha* = szeląga: Za wszystkie książki na świecie, onby złego orzecha nie dał (16). — Świetność tę ze czcym orzechem porównywa.

W św. Jan, gdy deszcze pluszczą,

Orzechy się nie wyluszczą.

Ze te wszystkie przysłowia, przypowieści i t. d. odnoszą się do orzecha naszego laskowego, nie ulega

wątpliwości; dodać jednak należy, że pod nazwą tą także rozmaite rośliny rozumiane bywają, i tak: *orzech włoski* = Juglans, *o. czarnoksięski* = Hamamelis, *o. kolący* = Trapa natans, *o. obrzydły* = Jatropha, *o. wodny* = Tribulus, *o. ziemny* = Bunium, także Carum bulbocastanum (29).

**Osika, osina** (Populus tremula L.), drzewo wielkie z pokrewieństwa wierzbowatych, ma liście o długich ogonkach spłaszczonych, które najłżejszy wietrzyk porusza, dlatego weszło to ustawiczne drzewo osiki, a raczej jej liści w często spotykane porównania, jak n. p. *drżał jak osika*, ręce mu drżały jak osika i t. p.

**Owies** (Avena sativa L.), znana powszechnie uprawna trawa wiechowa, której nasiona takiej samej nazwy, głównie jako pokarm dla koni używane bywają. — *Dopiero mu owsa, kiedy idzie do psa* (3) = Nie wczas dajesz chleba husto (często gęsto), kiedy w gębie zębów pusto (25). *Owies koniowi nie ciężki* (3) = chleb w drodze nie ciężki. — *Odjąć komu owsa* = ukarać go uszczupleniem pokarmu.

Benedykt w pole z grochem, *Wojciech z owsem jedzie* — Po św. Franciszku, pasą na *owsisku*. —

*Urbanów owies*, Gawłowe żytko,

Kata warto wszystko. —

Inaczej opiewa to samo:

Urbanów *owies* (25 maja), Łukaszowe żytko (18 paźdz.)  
Wlezie do stodoły wszystko.

(Będzie go mało dla opóźnionego siewu).

Na świętego Marka

Późny siew *owsi*, a wczesna tataraka.

**Owoc.** *Nie jest ci to drzewo dobre, które rodzi złe owoce; ani drzewo złe, które daje owoc dobry* = jakie drzewo, taki klin; jaki ojciec, taki syn. — To samo oznacza: *jakie drzewo, taki owoc* (5). — Owoc w przenośnym znaczeniu wiele oznacza rzeczy i tak n. p. *Nabywaj kóz, któreby mogły rodzić i owoc wydawać* = płód. — U nauk korzenie gorzkie, ale *owoce słodkie* = koniec następstwa. — *Czekamy świeżo urodzonych owoców dowcipu twego* = nowych płodów, świeżych dzieł. — *Oto są owoce upornego jej zdania* = skutki. — *Miłość jest częstokroć*

*owocem małżeństwa* = wynikiem, następstwem. — *Owocu swych prac* nie kosztować = nie cieszyć się ich powodzeniem, nie doczekać się tegoż. — Co za honor wracać do domu, niosąc *owoce zwycięstwa* = laury.

**Palma**, ogólne określenie pokrewieństwa roślin okolic zwrotnikowych. *Palma* nazywa się wiązka wikliny lub roślin różnych w kwietną niedzielę święconych. — *Palma* = znak zwycięstwa. — *Palma* = dłoń, miara wysokości: Trójnóg trzy palmy wysokości mający (25).

**Pieprz** (*Piper nigrum* L.), rośnie w stanie dzikim i pielęgnowany w Indjach W., na Jawie, Sumatrze i w Malabarze. Owoce jego, zebrane przed dojrzaniem i ususzone, dają *pieprz* zwyczajny *czarny*, znany w Europie od czasów Aleksandra W.; dojrzałe owoce, pozbawione po ususzeniu wierzchniej błony, dają łagodniejszy *pieprz biały* (angielski). *Ważywszy na ryby, na pieprz nie ważyć* (8) — wziąłś konia, węź i bicz. *Łacniej niż funt pieprzu, pogryźć korzec maku* (Pot. Arg.) = łatwiej się podjąć wielkiej rzeczy przyjemnej, niż małej a nieprzyjemnej. — *Ej, nie pieprz Pietrze wiewrza pieprzem, bo przepieprzysz...* (12) = nie wymagaj za wiele. — *Zna się na rzeczach, by świnia na pieprzu* (ib), albo też: *Zna się na rzeczy, jak koza na pieprzu* (3) — jak kuśnierz na medycynie, jak chrząszcz na historii naturalnej. — *U djabła ryby, a pieprz u dwu* (8). — *Kto pieprzu wiele ma, w jarzynę sypie* (3) = Nie oszczędza, kto wiele ma. *Czasem mysze łajno za pieprz sprzedają* (25) = Kota za lisa. — *Naturł mu pieprzu w nos* (8) = sprawił mu nieprzyjemność. — *Wysłać go tam, gdzie pieprz rośnie* = bardzo daleko. — *Oto staroscina, której rodzice pieprz sprzedawali* (26) = korzenny sklep trzymali. — *Książka zła, na pieprz* (3) = do kąta z nią, na masło sprzedać.

**Piołun** (*Artemisia Absinthium* L.), roślina z pokr. złożonych, pełna soków gorzkich. *Ztąd napoić kogoś piołunem*, znaczy sprawić mu wielką przykrość.

**Pleśń** (*Mucor*), nazwa rodzajowa grzybka, porastającego rzeczy dłużej stojące, z kąd wyrazy: spleśnieć i spleśniały, używane w przenośnym znaczeniu:

Dziadu *spleśniały!* — Nasz przyjaciel po rozłączeniu się z nami *spleśniał* = zasiedział się. — Duch Sieniawskich *spleśniał* = przeżył się (12). — Zmiotłem ze siebie *pleśń* cmentarną = dobrowolną, bezczynną niewolę (ib.).

**Pokrzywa** (*Urtica dioica* L.), znany chwast parzący z pokrewieństwa od niej nazwanego. — *By pokrzywę najbardziej kropił, żegnał, to jednak każda parzy* (Rej) = nie pomoże murzynowi mydło. — W przenośni oznacza *pokrzywa* rzecz złą, szkodliwą, np. Z winnicy pańskiej wymieczę *pokrzywy* (25) — niedowiarstwo.

Pewna ich pomsta goni, choć leniwa,  
*Wkrótce się sierpa doczeka pokrzywa.*

Baczny człowiek w każdym przypadku swoich ma uważać, *co łopian a co pokrzywa* (Rej. Zw.) = co złe a co dobre.

Może pochlebca *parzącą pokrzywkę*

Szałwią nazwał włożywszy pokrywkę (ib.).

Potwarca miętkę *w pokrzywy*, złoto czyste w miedź obraca (Pot. Arg.), *Pokrzywa im najzieleńsza, tem najgorętsza* (o wieku młodym).

*Jakoby mieszał pokrzywy kto z miętki,*

Kiedy w pociechach przypomina smętki (18).

Słowa jedwabnymi kwiatkami potrząsają; ale *uczynki ich trącą pokrzywami* (25). — *Znam cię ziółko, żeś pokrzywka* (3) = nic dobrego. — By nie mróz na złe *pokrzywy*, Byłby ten chwast zawsze żywy (8). — Muszę być *kontent, jak nagi w pokrzywie* (24). — *Pokrzywkę* nazywa się w potocznej mowie żagawka (*Urtica urens* L.), gatunek mniejszy, mocniej parzący; również chwast pospolity w ogrodach i przy płotach. — *Pokrzywkę* nazywa się również wysypka czerwona na skórze. — *Pokrzywa głucha* albo *martwa* = Jasnota (*Lamium*).

**Proso** (*Panicum milliaceum* L.), gatunek trawy wiechowej dla nasion (jagły) uprawianej. — *Oganiamy cudze proso, a nasze ptacy skubią* (25) = pracujemy za kogo innego. — Obaczywszy, że mu *od prosa zabieżono*, cofnął wojsko (7) = że się przed nim ustrzeżono. — Szpetny jak straszydło: mógłby go *nad prosem postawić* (3). — *Proso wiercić* = wahać się

Jak w wielki piątek mróz,  
Na piecu kamieniem *proso* przyłóż,  
A jak śnieg, deszcz albo rosa,  
Wtenczas nasiej chłopie dużo *prosa*.

Proso wróble = *Lithospermum*, pr. wodne = *Catabrosa aquatica* (29).

**Pszenica** (*Triticum vulgare* L.), gatunek zboża powszechnie znanego.

Dostanie sobie łaski, już się wszystko sporzy,  
*Już się rodzi pszenica, chociaż źle zaorze.* (*Rej Wiz.*) = jednemu szydła gola... *Odmieniła się pszenica w kłkol* = omyliła go nadzieja (25).

Arwan katu jej piękność, *posiałbym pszenicę*

*Wróblom*, gdybym tak młodą wziął oblubienicę (1).  
*Cudzą pszenicę ogania, a jego wróble piją* (8) = cudzego ostrzeża, swoje zaniedbał. Żołnierze, są to *wróbelki na cudzą pszeniczkę* (26). — *Pszenica turecka* = kukurydza (*Zea*).

**Purchawka**, gatunek grzyba, kształtu mniej lub więcej kulistego (*Lycoperdon*). — W medycynie nazywają nabrzmiałość białą a zimną, najwięcej po wstawach się przydająca, także *purchawką* (25). — Niektórzy zowią wole pod gardłem *purchawką* (ib.).

**Rdest** (*Polygonum*) nazwa rodzajowa dla licznych gatunków pokrewieństwa, tak samo nazywanego. Nazwa ta odpowiada w ogóle wyrazowi „chwasz”: Jak nieorana rola w próżnowaniu porośłem *rdestem* mnogim (15). — *Rdesty niecnót* i różnych występków pokrywy (ib.).

**Rdza** (*Uredo*), nazwa rodzajowa grzybków, pojawiających się na liściach i łodygach traw w postaci rdzawego proszku. — *Rdza* jestto brunatna, szorstka powłoka, która pod wpływem wilgoci i kwasu węglanego żelazo lub stal pokrywa, i z czasem przejada (28). — *Rdza miodowa*, w plastrach; gatunek miodu, podobny do chleba startego z miodem (25). — *Rdzewiec* (od rdzy żelaznej): stara miłość nie rdzewieje (26). — A niektóre z tych (podań) *rdza* wiekowa poprzeżerała na wylot = ząb czasu (12). — *Zardzewiałe prawdy* = bardzo dawne (ib.).

**Rogóż** (*Typha latifolia* L.), roślina rosnąca na bagnach, stawach, jeziorach i t. p., należąca do po-

krwienstwa, któremu użyczyła nazwy. Liście jej i innego gatunku mogą posłużyć do robienia mat, dlatego: *rogóż, rogoża, rogóżka* = plecionka z rogoży. *Na rogóż z kobierca* = z pieca na łeb: Z nieba na ten padół wygnani, ażaliż nie zstąpili na rogóż z kobierca? (1).

**Róża**, zanadto dobrze znana, by ją bliżej określać. — W przypowieściach nie często się z nią spotykamy, ale za to w porównaniach do syta. — *Musisz się głogiem zakłuć, abyś różę urwał* (25). — *Sięgam róży, a chwytam za ciernie* (26). — *Różę rade ruiecie, a tarnia tykać [się] nie chcecie* (25). — Alluzja do koloru, do czerwoności, do piękności: *Dziewczęta jak róże i lilie* (26). — Taka ładna, mleko róża! (ib.). — *Przyjemna róża zakrwawiła natychmiast jej czoło* (1) = spłonęła rumieńcem. — *Gdzież ów alabaster czoła? gdzie jagód róże?* (4). — W porównaniach do wieku: *róża w pełni, róża przekwitła* i t. p. np. Taka mi się ładna zdaje-sz, gdyby róża *rozkwitająca* (26). — *Różą, różyczką* nazywamy rzeczy na podobieństwo róży zrobione, np. *różyczki* u trzewików, *różyczki* z cukru, z papieru, *różyczki* czyli rozety w architekturze itp. *Róża*, choroba — jest to rodzaj zapalenia skóry, zwany także ogniem piekielnym. — *Różą* uazywamy dolną, rozszerzoną część rogów jelenich, sarnich i innych pełnorożców. — *Róża*, imię = Różia, Ruzia, Rozalia. — *Róża* = herb: róża biała o 5 listkach w polu czerwonym (27). — *Róża japońska* = kamelia, *r. jerychońska* = *Euclidium syriacum*, *r. zielna* — śláz, malwa, *r. czarna*, to samo również *r. rajska* (29).

**Ruta**, **rutka** (*Ruta graveolens* L.), ziele z pokrwienstwa od niej nazwanego, w każdym niemal ogródku wiejskim hodowane. — Przysłowiowo jeden mi tylko zwrot znany; *Podsiała sobie rutki* (3) = postarzała się; została starą panną. — *Rutą* nazywa St. Wodzicki także rodzaj *Peganum* (29).

**Rydz** (*Agaricus deliciosus* L.), znana z użycia bedłka jadalna. — *Lepszy rydz, niż nic* (26) = dobra psu mucha. — Ponieważ jest on barwy pomarańczowej z czerwonymi współśrodkowymi kółkami na powierzchni kapelusza, poszły ztąd porównania: *czerwony jak rydz* (3), *wygląda gdyby rydz* (26), *zdrow*,



*gdyby rydz* (24); ztąd także: *rydzobrody* (rudobrody), *rydzy koń* (Rothfuchs), *rydza maść* (rydza barwa), a nawet *rydzowaty* = czerwony, a w dalszym skutku według Lindego „rubaszny“ np. Bach<sup>1)</sup> rydzowaty przy niepróżnej kadzi.

**Rzepa** (*Brassica rapa* L.), z rodziny krzyżowych, w wielu odmianach hodowana, jadalna. — *Wlazł na gruszę, kopał rzepę* (25) = wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę; nie klei się. — *Zajął go na rzepie* = postąpił niewłaściwie, nie mądrze, co pochodzi ztąd: Im więcej się liści na rzepie obrywa, tem więcej roście, dlatego przypowieść polska: zajął, jako na rzepie, iż nie trzeba z rzepy zajmować bydła, jeżeli chcesz, by rosła wielka (25). — *Próżnąś uczynił drogę, lepiejbys był w domu rzepę kopał* (26). — *Jak rzepę gryźć* = jak orzech gryźć: W edukacji przez ten czas wiele profitował: po niemiecku, po francuzku, jak rzepę gryźć (25). — *Budę komu na rzepie spalić* = nie nie zrobić (bo rzepy nikt nie pilnuje).

Święty Łukasz! czego po polu szukasz?

*Rzepy!* — Alboś to jej w dole ślepy?

**Rzodkiew** (*Raphanus sativa* L.), z tego samego pokrewieństwa, co powyższa, w dwóch odmianach jadalna (rz. czarna i rzodkiewka.) — Jeden tylko zwrot przysłowiowy znalazłem: *Nie jedz rzodkwi, aż się przepoci; nie pij po niej, aż się przywróci* (8).

**Salata** (*Lactuca sativa* L.), roślina krzyżowa jako jarzyna powszechnie znana. Włoch się *salatą* karmi, Polak na niej schudnie = nie każdemu jedno służy (Fred. Ad.).

**Śliwa** (*Prunus domestica* L.). Tak się nazywa znane drzewo owocowe, tak jego owoc. — *Nizac ci śliwa, gdy otrzęsą śliwy* (25) — póki z ciebie korzyść mają, póty cię znają. — *Wždy to u nas jakby śliwkę połknąć* (Rej) = łatwo. — *W głowie jak po śliwkach;* znać ci wino sprawiło we łbie te zawroty (24).

**Sosna** (*Pinus sylvestris* L.), znane drzewo, czasami w porównaniach spotykane bywa, jak np. *Wzrostem jakby młoda sosenka* (12).

<sup>1)</sup> Bachus.

**Stokłos, stokłosa** (*Bromus secalinus* L.), chwast z pokrewieństwa traw.

I przy liliach rodzi się pokrzywa,

*Wraz z żytem kąkol i stokłosa bywa* (2).

*Źle kędy stokłosa żyto przysiędzie* (11) = gdy złe nad dobrem górę weźmie.

**Szafirek** (*Muscari*) należący do pokrew. liliowatych, podobny do hiacyntu, lecz o kwiatach drobniejszych kulistawych, znany jako kwiat wazonowy i ogrodowy w kilku odmianach, rzadko tylko w porównaniach używany bywa p. goździk. *Szafirkami* nazywają także gatunek kurzyśladu (*Anagallis Monelli* Clus.), pielęgnowanego w ogrodach i wazonach; należy on do pokr. pierwiosnkowatych. — *Szafir, szafirek* = klejnot barwy niebieskiej, od którego *szafirkować* = baki świecić. Okrutnie pannie Karolinie szafirkował (26).

**Szafran** (*Crocus sativus* L.), z pokrewieństwa kosaćcowatych (*Irideae*), ma znamiona duże, zawierające olejek lotny, nader mocnej, właściwej woni, znane w handlu pod tą samą nazwą. — *Lepszy funt szafranu niż wóz siana* (3). — *Nie każdy szlachcic, co szafran wzuje* (żółte buty, gdyż szafran barwi na żółto).

**Szaktak, szektak** (*Rhamnus cathartica* L.), krzew ciernisty, rosnący w lasach. — *Nie zbiera nikt jagód z szektaku, ani z ostu fig, ani owocu z bodlaku* (15) = wszystko ma swoje miejsce.

**Szałwija** (*Salvia officinalis* L.), roślina wargowa pochodząca z Europy południowej, dla własności lekarskich wszędzie hodowana i powszechnie znajoma. — *W szalwije pokrzywy odmieniają się* (Rej Zw.) = czarne w białe. — *Może parzącą pokrzywkę szalwiją nazwać, włożywszy pokrywkę* (ib.) — *Szałwija rzymska* = *Pyrethrum tanacetum*.

**Szparag** (*Asparagus officinalis* L.), z pokrewieństwa kolcowojowych (*Smilacaceae*) wydaje z korzeniaka kilka pędów, które bywają jadane jako smaczna i lekka jarzyna, póki są młode i soczyste. — *Komisarz ten posesorów jak szparagi przesadza* (1). — *Jeść szparagi z grubego końca* = być przebiegłym filutem.

**Tarń, tarnina** (*Prunus spinosa* L.) jest krzewem niskim, w ciernie uzbrojonym, wydającym owoce kwaśno-cierpkie, czarne i sino oszronione, znane pod nazwą terek. — *Tarń, tarnek* oznacza także sam cień: *Tarnek ostry z młodu zaraz kole* = człowiek pokazuje w młodości, czem chce być w starości. — Obrazowo: *Oj, ostrzysz tarnek na mnie* = gotujesz mi zmartwienie (25). — *Siedzi jak na tarkach* = na szpilkach. — *Potrzebny jak tarń w pięcie* (ib) = jak djabeł w Częstochowie. — *Oczy jak tarki* (czarne).

**Topola** (*Populus*) — nazwa rodzajowa dla drzew smukłych, wystrzelających prosto w górę, używana często w porównaniach ze względu na wzrost piękny i postać wysmukłą: *dziewczyna jak topola*.

**Trawa** (*gramen*) — miano ogólne dla roślin o źdźbłach dętych, kolankowatych. — *Na jednej łące, stara to przypowieść, wół trawy patrzy, a bocian żaby* (4) = każdy po swojemu. — *Nie wszystko trawa, chociaż się zieleni* (Rej Wiz.) = nie wszystko złote, co się świeci. — *O pierwszej trawie do wojska powrócił* (25) = z wczesną wiosną. — Tatarowie w polu włączają się *od trawy do trawy* (ib) = od pastwiska do pastwiska. — *Chleb trawa, ryba woda, a mięso potrawa* (2) = najpożywniejsze mięso. — *Jeszcze w trawie ci nieprzyjaciele...* = maluczcy jeszcze. — Dwa zęby górne i dwa dolne, które konie najpierwej tracą, zowią *pierwszą trawą* albo *pierwszej trawy*; następujące dwa *wtórej trawy...* ze względu na wiek konia.

**Trzcina** (*Phragmites communis* Trin.), najwyższa trawa krajowa (przeszło 2 m. wys.); rośnie wszędzie na brzegach wód stojących lub wolno płynących. — *Bać się trzeba trzcinie, gdy wiatr dąb wywinie* (3). — *Jeżeliśmy trzcina słabą, przywiązujemy się do mocnego dębu* = szukamy opieki (25). — *Tak się było bezpiecznie na nim wesprzeć, jak na trzcinie* (25). — *Odmienni ludzie za lada wiatrem jak trzcina* się tam i sam poruchają (ib.). — *Figurka, gdyby trzcina i kształtna i prosta* (26). — *W ręce niósł trzcinę, pięknie w mosiądz okutą* (12) = laskę.

**Tulipan** (*Tulipa Gesneriana* L.) z pokrewieństwa liliowatych, pochodzi ze Wschodu, zkad około r. 1559

po raz pierwszy do Europy się dostał. Dlatego też w apostrofach tylko czułych spotkać się z nim można, jak np. *Dobry dzień, me kochanie, szafirku, tulipanku, najwonnejszy goździczku!* (26).

**Wierzba** (*Salix*), nazwa rodzajowa dla kilku drzew krajowych i krzewów — *Rozumie, że u mnie pieniądze na wierzbie rosną* (ib.). — *On cię uwodzi i obiecuje gruszki na wierzbie* (25) = rzeczy niepodobne. — *Na wierzbie upatrywał gruszki* (11) = zawiódł się w nadziei. — *Smutna jak wierzba płacząca* (12). — *Zakochał się jak djabeł w suchej wierzbie* (30).

**Wiśnia** (*Prunus Cerasus L.*), drzewo owocowe, które miał rzymianin Lukullus około 60 r. przed Chr. sprowadzić z Azji, wydaje owoce znane, tej samej nazwy. — Jedną tylko przypowieść odnośnie do owoców znalazłem:

*Nie dobra rzecz jest słudze z panem jadać wiśnie,*

Pan dojrzałe wybierze, słudze kwaśne ciśnie (25).

*Wiśnia żydowska* (29) = *Miechunka pęcherzyca* (*Phytalis Alkekengi L.*) i *Atropa physaloides* (wzdętka). — *Usta tak świeże jak wiśnie na drzewie* (12).

*Gdzie wiśnie jak dziewice w białych wiosny szatach*

*Między zarumienione kryły się jabłonie* (Słowacki).

**Ziarno.** — *I ślepej kurze trafi się ziarno* (26) = i głupi czasem mądrze się odezwie. — *Ziarnko do ziarnka, aż zrobi się miarka* (24). — *Wszystko do ziarnka, do pieniążka oddał* (3). — Wielcy ludzie mają choć *ziarnko głupstwa* przy rozumie (25) — przecież coś. — *Ziarnko krupne.* — *Ziarno* = waga (*granum*): każdy łut ma 18 ziarenek (25). — *Ziarno miesięczne* = *Menispermum*, z. *garbarskie* = *Rhus coriaria*.

**Ziele, zioło, ziółko** — w wieku XVI. ogólna nazwa roślin zielonych, dzisiaj używa się jej szczególnie na oznaczenie roślin lekarskich, np. *Zbierać zioła, pić ziółka* (28). — W języku botanicznym niektóre poszczególne rośliny zieleń nazywane bywają (nazwy przeważnie ludowe) np. *czarne ziele* (*Pulsatilla vulgaris*), z. *gęsie* (*Potentilla anserina*), z. *kocie* (*Teucrium marum*), z. *kurze* (*Tormentilla*), z. *świętojańskie* (*Hypericum*), z. *zębne* (*Anacyclus pyrethrum*) i w. i. (29). — *Znam cię ziółko, żeś pokrzywka*

(J. Kochan.) = obludnik, nic dobrego. — Nie świadomyś, *co to za ziółko* (25) — nie znasz się na paniczu. — W znaczeniu dobrem: By takiego *ziela* więcej było po ojczyźnie mojej, jeszczeby polska korona w dawne owe kwiaty zakwitnęła (ib.) = plemię zacne: — Zle to chcieli *wytępić w ziele* (ib.) = jeszcze zielone, niedojrzałe w zawiązku, w początkach. — Niech w każdym ogrodzie to się *ziółko* rodzi (8) = coś dobrego.

**Żołędź, żolędź** — owoc dębowy.

Niedźwiedź srogo na *żołędź* ryka,

Gdy gałęź spadnie, milczkiem umyka (3) = na słabego się miotamy, przed silnym nogi za pas. *Żołędź, żolędzie* = nazwa koloru w kartach, np. żolędź się święci. — *Żołędź* = rzecz każda do żolędzi podobna. — Wyrażając się o kimś wzgardliwie, lub chcąc wyrazić, że głupi, używają w wielu okolicach określenia „chłopak (d...) *żolędny*“.

Gdy deszcz w święty Jakub będzie,

Lub przed nim, giną *żolędzie*.

inaczej: Gdy deszcz w Jakobówkę,

Nie zobaczysz dębówkę.

**Żyto** (Secale cereale L.), znane zboże; i roślinę tak nazywamy i jej owoce. — *Póki żyta, póty byta*, (Rej Zw.). — Kokosz wleciawszy na *żyto* rozgrzeba, a w śmieciach jednego ziarnka szuka (8) = w szczęściu przebieramy, jesteśmy wybredni.

Suchy marzec, mokry kwiecień, mokry maj,

Będzie *żyto* jako gaj. —

Święty Marek, poszedł na folwarek

Oglądać *żytko*, czy zeszło wszystko.

## Dzieła, do których się odnoszą liczby w tekście.

1. Zabawy przyjemne i pożyteczne. Warszawa 1769—77. 16 vol. 8.
2. Żeglickiego adagia. Warszawa 1751. 8.
3. Cnapiusza (Knapskiego) adagia. Kraków 1632.
4. Monitor warszawski od r. 1764—84. 8.
5. Zwierząt domowych i dzikich hist. natur. Warszawa 1779--80. 4 vol. 8.

6. Józefa Ossolińskiego — wyrazy niektóre objaśnione (w manuskryp.).
7. Bieniasza Budnego Apoftegmata (krótkie a węzłowate powieści).
8. Sal. Rysińskiego przypowieści polskie. 1629.
9. Falisowskiego tłumacz. Florusa dziejów Rzymskich, przedruk w Wilnie 1790.
10. Samuela Twardowskiego wojna domowa, fol. w Kaliszu 1681.
11. Wacława Potockiego jowialitates 1747.
12. Zygmunta Kaczkowskiego, dzieła. Warszawa 1874—5.
13. Ignacego Krasickiego, listy i pisma różne 1786.
14. Erazma Glicznera, książki o wychowaniu dzieci. Gotsk druk. 8.
15. Mat. Ign. Kuligowskiego, Heraklit chrześcijański Warszawa 1694.
16. Koszutkiego Lorychiusza księgi o wychowaniu przełożonego.
17. Wojc. Chrościńskiego Pharsalia Lucana. W Oliwie 1690. fol.
18. Wacława Potockiego Syloret 4.
19. Franc. Zabłockiego balik gospodarski. Warszawa 1780.
20. Marcina z Urzędowa herbarz cz. zielnik 1575. fol.
21. Gemmae Latinae, przysłowia Ignatii a S. Stanisłao (Zawadzki) Varsovie 1720.
22. Jakuba Żebrowskiego, przeobrażenia Owidju-szowe.
23. Troca dykejonarz.
24. Franc. Zabłockiego Amfitryo. Warszawa 1783.
25. Lindego M. S. Bog. Słownik języka polskiego, vol. 6.
26. Teatr polski. Warszawa 1783.
27. Kuropatnickiego wiadomość o klejnocie szlacheckim. Warszawa 1789.
28. Biskupa Ad. Stan. Krasieńskiego słownik synonimów polskich. Kraków, 1885.
29. Wagi Jakuba „Flora polska“ — tom 3ci.
30. Józ. Głuzińskiego. Drobnostki gospodarskie. Warszawa 1860.

*Zygmunt Morawski.*

# Polski djabeł\*).

(Pieśń Twardowskiego.)

Jam polski djabeł! jam Twardo-ski!  
Jam wszystkich djabłów — nie pan brat!  
Jam to on duch — przez dekret Boski,  
Co tylko czartom szkodzić rad!  
Jam nie ciemiezca! nie wróg ludzi!  
Jam tylko czartów — zgrzyt i wstręt!  
Złupić ich łup wciąż chęćka budzi...  
Spętane duszki rozkuć z pęt!!  
Skoro mnie zwęszy na wichurze,  
Ćma złych dosiada skrzących szkap...  
Oddycha duszka na torturze...  
Sztynnieje pazur czarcich łap...  
A gdym ćmę czarem zmógł i schłostał,  
Od łupu — z wyciem klątw i skarg  
Czcha piekli rogacz, jakby dostał,  
Piętą, gdzie trzeba, pięścią w kark!  
Jam mistrz na wichrach! jam Twardo-ski!  
Jam z polską bracią za pan brat!  
Ja z nimi piję, próżen troski!  
Ja im kumoter! ja im swat!  
Ja w rogatywki — czub mój — cieniach,  
W żupan — odtlyny kryję ruch,  
Aby poznano — na przestrzeniach —  
Żem polski warcho! wietrznik — duch!

---

\*) Rzec pod powyższym tytułem podaną, otrzymałem w rękopisie jeszcze w lecie z. r. przez autora, wówczas w Rabce bawiącego, dla mego wydawnictwa. Nie mogłem jednak z braku miejsca wydrukować jej już w 18-m roczniku i zostawiłem dla następnego. Zmuszony jestem do uczynienia tej uwagi dla od-pierania zarzutu, jakoby tę rzecz z najnowszego „Kalendarza Djabelskiego“ przedrukował. (Przyp. red.)

Ja na wylotach — w słońca blasku,  
Nie jako nocny fruwać ptak,  
I nie różaniec mam na pasku,  
Bo tylko wierzę — w szabli znak!  
    Nie schylam ja przed nikim czoła,  
    Mam twarde kark, choć pędzi wiatr!  
    I jeno... gdy mnie jejmość woła,  
    Czmycham — za bory, na szczyt Tatr!

Ja znieść nie mogę podłej swady!  
Zagłuszam świstem fałszu śpiew,  
Zgubne ciemiężców mięszam rady,  
Gdy im w twarz plunę z serca krew...  
    Męczy mnie bolem polska bieda...  
    Spędza mi często z twarzy śmiech,  
    A stara miłość spać mi nie da...  
    Miłość ojczyzny — ten nasz grzech!  
Ha! grzesznym bardzo! wyznać muszę,  
Czego się wstydzi djabli mąż...  
Kocham tę Polskę nad mą duszę!  
Pomimo, że mnie gniewa wciąż...  
    Kocham jej drzączkę do szabelki!  
    Co zdobycz blizny ma za zysk...  
    Kocham jej głupi zapał wielki!  
    Mam w sercu dla niej ptasi pisk...!

Nad Maryjacką wiszę wieżą,  
Na skrzydłach mnie tam trzyma pieśń...  
W okół się krzyże świątyni jeża,  
Z dachów zieleni miedzi pleśń...  
    Patrzę się z góry... ja Twardoski!  
    Ja siewca wiatrów! burzy król!  
    Nagrody w murach, w sadach wioski...  
    Na ten mój w lipach polski ul...  
Wzrok się napawa... dusza pieści...  
Bo śmiercią mi — bez Polski żyć!  
A kiedym spragnion od niej wieści,  
Pająk mi z serca snuje nić...  
    I spuszcza się łapkami swemi,  
    Choć go dymów dławi swąd,  
    Po onej przedy aż do ziemi...  
    Aż w najciemniejszy lochów kąt...  
Gdzie nie dowidzę jako stary,  
I światam się napatrzył dość —



Przez rysy murów, przez chat szpary,  
Tam wchodzi ten mój z serca gość...  
    Jak pszczołka pyłek, tak on chwyci  
    Na łapki złą, czy dobrą, wieść...  
    I wciąga się po serca nici,  
    By mi ją wprost do serca nieść...  
Czasem... pył mirtu, róży wonie,  
Lub w łapkach ma pot pracy rąk...  
Wtedy oklaski walę w dłonie,  
Aż się wszechświatów trzęsie krąg!  
    Czasem... na łapki gdy namota  
    Ciemnicy pleśń, lub bitwy kurz...  
    W piersi mi serce się szamota...  
    Za sercem skoczyć — rwę się już!  
Czasem znów... łapki gdy obetrze  
O podłych czół nikiemny brud...  
Pali mnie wstyd na wolnym wietrze,  
I żółcią plwam w wyrodków ród...  
    Lecz gdy łapięta mu oszarga,  
    Przelana polskiej braci krew...  
    Zaciskam pięści, krwią drży wargą.  
    Budzi się we mnie zemsty lew...  
Wnet zrywam się, jak bestja wściekła,  
Zakrwawiam chmurą słońca blask...  
Wypędzam wszystkich djabłów z piekła...  
Przestrzeń piorunów głuszy trzask...  
    Tron na niebiesiech drży, jak listek...  
    Burzy się morze, trzęsie ład...  
    Niech zna — i Pan Bóg, i świat wszystek  
    Polskiego djabła — płacz i sąd!

Kraków, 20. Lipca 1894.

*Stefan z Opatówka.*

## NA WSI.

---

Na wsi są lasy, piękne dąbrowy,  
Świeże powietrze, mleko od krowy,  
Bywają czasem piękne dziewczuchy,  
Ale — są także i muchy.

Na wsi masz piękne w koło lazury,  
Gęsi, kaczęta, kurczęta, kury,  
Śród kwietnej błoni człowiek wciąż płuży,  
Jeśli nie wpadnie gdzie do kałuży.

Słońce inaczej tutaj już świeci  
Na zamurdzane baby i dzieci,  
Cudny krajobraz do natchnień budzi  
Czasem cieleta, a czasem ludzi.

Księżyc rozpustnik wciąż figle stroi  
Do tłustej Magdy, co krowę doi,  
Najczęściej tęskny, ciche lzy leje,  
Gdy Stach się z Magdy z za płotu śmieje.

W lesie cudowny widok wieczorem:  
Hryć złodziej ścina drzewo toporem,  
Fujarki tony z mgłą nocną płyną,  
Gdy Kłym z kradzioną zmyka zwierzyną.  
Na wsi są lasy, piękne dąbrowy,  
Świeże powietrze — mleko od krowy,  
Bywają czasem piękne dziewczuchy —  
Ale są także i muchy.

*Kostka.*

---

## ŚWIAT KAŻE ŚMIAĆ SIĘ\*).

Świat chce się bawić i śmiechu pragnie,  
Pieśń ma żałobna nadto go nudzi,  
Lecz mnie do swoich zachceń nie nagnie,  
Ani szyderstwem zapał ostudzi! —  
    Jam nie wiedziała, że śmiech jedynie,  
    Wesołe płasy, zabawą świata,  
    Bo tu wkoło mnie tyle łez płynie,  
    Bo widzę w smutku, człowieka — brata!  
Jam nie wiedziała, że dzisiaj w modzie  
Tylko dowcipne sztuki kuglarzy,  
Że ludzkość w błędnych szaleństwach pochodzi  
Śmieje się nawet u stóp ołtarzy!  
    Jam nie wiedziała, że drugich bawić,  
    Oto największa wieszczów zaleta,  
    Że choćby płaczem w gardle się dławić,  
    Dla ludzi błaznem ma być poeta!  
Ja wam nie wierzę! śmiech wasz ponury,  
Wy czarne szaty waszej żałoby  
Kryjecie w zmięty łachman purpury,  
I sztucznym kwiatem stroicie groby!  
    Radość obłudą, kłamstwem wesele,  
    Wy śmiechem łkania zagłuszyć chcecie,  
    Albo dowcipem rzuconym śmieie,  
    Próźnię serc waszych okryć pragniecie.

---

\*) Wiersz niniejszy jest przedrukiem z „Stanisławowskiej Jednodniówki Pedagogicznej“. Przedrukowany został następnie we lwowskich i warszawskich pismach, jednając autorce wszędzie zasłużone pochwały. Był to talent niepośledni, olbrzymi: ani równać się z nim nie mogą talenta podrzędne, które tłum obecnie tak ubóstwia, a o których istnieniu — temu kilka lat wstecz — nawet nie wiadano. Szczęsna wydaje się nieraz tylko jako naśladowniczka Janiny Antonowiczówny, tak samo i młodszą Antonowiczówna. Talent ten zmarnował się niestety!  
(Przyp. red.)

Ja inną jestem i za nic w świecie  
Nie chcę wypełnić życia rachubą,  
Ani po sławy nie sięgnę kwiecie,  
Gdy je mam płacić myśli mych zgubą!  
Sława, to promień jasny, słoneczny,  
Lecz dla tych, którzy stoją na szczycie,  
Którzy ubiegli pochod społeczny,  
Którzy idei oddali życie!

Sławę pojmuję, wielką, olbrzymią,  
Jaka prorokom przyświeca Bożym,  
Dziś, choć ich prochy w mogile drzemia,  
My się przed nimi modlitwą korzým!  
Ale pochwała, lub poklask szumny,  
Jakim mię darzyć mogą współcześni, —  
Toż on zagaśnie u mojej trumny,  
I mnież dla niego wyrzec się pieśni?

Takich wybrańców dosyć na ziemi,  
Jeden dzień sławy płacą nicością,  
Moralna wartość w nich się nie plemi,  
A jeden oklask całą radością. —  
I jeszcze jedno — prawda, wszak złoto  
Rzuca świat swoim pochlebcom w dani,  
Ci, choćby z ziemi, biorą z ochotą.  
Ani ich krzywdzi nazwa: sprzedani!

Ja więcej pragnę, albo mniej może,  
Choć mię świat chłodny szydem obarczy,  
Mnie w dumie mojej czy też pokorze  
Jedna łza cicha za wszystko starczy!

*Janina Antonowiczówna.*

---

**CAŁOPALENIA,**  
poemat dramatyczny  
**W CZTERECH OBRAZACH**  
z czasów powstania r. 1863.

przez  
**FRANCISZKA ŁASOCKIEGO.**

---

**DRUGA CZĘŚĆ TRYLOGJI,**  
zaopatrzoną wstępem  
przez  
redaktora „Roczników Samborskich.“

---



Wielmożnemu Panu

Zygmuntowi Dziohojowskiemu

w dowód

najgłębszej czci

poświęca tę pracę

autor.

## WSTĘP.

---

Autor poematu dramatycznego „Całopalenia“ usiłuje nam w kilku obrazach scenicznych odzwierciedlić krwawą tragedję, rozgrywającą się w Polsce, pod zaborem rosyjskim zostającej, w r. 1863.

Powstanie, które rozstrzygnąć miało o dalszych losach kraju uciemżonego, ogarnęło wszystkie umysły. Ofiarą powstania pada rodzina Darskich, padają maluczcy i wielcy, ale idea sama stłumioną być nie może choćby i w krwi strumieniach — bo jest nieśmiertelna. Autor, pochodzący sam z kongresówki, zużytkował swoją świadomość stosunków, aby nam nakreślić jeden z tych obrazów ponurych i strasznych, ale porywających siłą uczucia i wyrazu, dla której mu przebaczymy drastyczne, nieraz nawet zanadto drastyczne wyrażenia, szarpiące nie-miłe ucho niejednego zbyt delikatnego sprawozdawcy dziennikarskiego.

Upadło powstanie: najdzielniejsi jego obrońcy polegli, ginąc na szubienicy albo w kopalniach; ale umierając nie wyrzekli się swoich ideałów. Dla tych ideałów miła im śmierć męczeńska, nie straszy ich groza powolnego konania. Wszyscy są jednej myśli, czy to urodzeni w pałacach, czy w prostej chałupie chłopskiej.

Takie to typy nakreśla nam autor w osobach nie tylko Darskich ojca i syna, Heleny Darskiej i Jana Rolskiego, urodzonych w wyższych sferach, ale także w szewcu Topniaku i jego synie, w żydówce Hanie, w wójcie Chmarze, w stajennym Staszku i wielu innych. Sympatyczne wrażenie

wywołuje rola, jaką autor w swoim poemacie żydom nadaje: nie idąc utartym szlakiem antisemitów, którychbyśmy raczej antychrześcianami nazwali, podnosi on zalety żydowskie, wdzięczność dla ziemi, która żydów chowała, wspólne ofiary na rzecz kraju zdziałane.

Naprzeciw garstki szlachetnych stoją złe duchy, walczące gwałtem i obłudą: taki pop Jermył Wołkow, taki naczelnik powiatu Nikita Nikiticz Hitrow i inni. Ich to dziełem liczne mordy i pożogi, ich to dziełem sądy wojenne, które autor z taką siłą żywotną nam przedstawia w trzecim obrazie czyli akcie swego poematu dramatycznego. Ale idea wyższa nie może zaginać, sprawiedliwość musi zwyciężyć, jak mówi poeta:

„Niech nas zdepcce, zrówna z prochem  
Dziki zastęp carskich sług,  
Z poza trumny, popod lochem  
Życie z nowych tryśnie strug!  
Gdy się skruszy miecz ostatni,  
W śmierci puścić nam się tan,  
Z kości naszych i krwi bratniej  
Wstanie mściciel naszych ran!“

Takim to mścicielem bywa nieraz sama przewrotność złoczyńców. Oślawiony Hitrow dostaje się do tych samych kopalń, na które skazał tylu niewinnych, a idea sprawiedliwości zwycięża. Ostatnim jej wyrazem jest porażka moralna smotritiela kopalń i korzenie się obłąkanego Hitrowa przed potęgą duszy Heleny Darskiej, konającej w kopalniach sybirskich.

Sambor, 3. Lutego 1896.

*G. Kohn.*



## O S O B Y :

---

Darski, dziedzic Brzezin, wdowiec.

Hela, jego córka.

Adam, syn Darskiego.

Jan Rolski, narzeczony Heli — sąsiad.

Staszek, stajenny Rolskiego.

Nikita Nikiticz Hitrow, naczelnik wojenny powiatu.

Jermył Wołkow, pop z Brzezin.

Chmara, wójt z Brzezin.

Proboszcz z Woli, kapelan powstańców.

Ojciec Hany, żyd młynarz z Brzezin.

Hana.

Topniak, szewc z miasta powiatowego.

Grzela, syn jego.

Kasia, służąca Rolskiego, narzeczona Staszka.

Grupa włościan. Grupa mieszczan. Grupa żydów.

Grupa katorżników.

Smotritiel kopalni.

Major

Porucznik

Podporucznik

} rosyjscy.

Powstańcy, wojsko, służba, dozorecy więzień i kopalni. Komisja żandarmska z Petersburga.

---

## P R O L O G.

---

Gdzie to mnie wiesz — dziewico promienna!

Wszak to mogiły?!

Zgasłe ogniska? czy martwa Gehenna?

Kości się stliły . . . . .

Wiesz — niegodne twej woli narzędzie —

Maluczką lutnię,

Z której się rapsod tych grobów wyprzędzie,

Jak cień wierutnie.

Więc w pieśni pójdą — prawomocni zbóje

I ofiar rzesza . . .

Historja maski pośmiertne zdejmuje —

Poezja wskrzesza.

---

„Exoriare aliquis ex  
ossibus ultor“.

## Obraz I.

U Darskiego w Brzezinach. Salon bogato umeblowany i oświetlony.

### SCENA I.

*Darski, Adam, Hela, Jan Rolski (w dalszym ciągu rozmowy.)*

ADAM.

. . . Pod Puławami powstańców gromadka

Ku Lublinowi posuwa się żwawo —

Byłem pośród nich i jestem za świadka,

Że z tą młodzieżą ognistą i prawą

Jak orzeł wzleci to nasze powstanie.

DARSKI.

A koniec jaki? Och! w trzydziestym roku! . . .  
Niejedną bliznę mam ztamtąd, mosanie!  
I całą kulkę pieścę w moim boku —  
Łzy z krwią wyciekły — dziś, płakać nie mogę. . .  
Lecz błogosławię ci synu na drogę.

ADAM (*ściskając ojca za kolana.*)

Czcigodny ojcze! nadzieja tak pewna!  
Przecież spiskowych i wśród Moskwy mamy . . . .  
Nasz Modlin, nasza Warszawa królewna,  
Ich to rękami — otworzą swe bramy.

HELA.

Ojczulku drogi — dziś inaczej, lepiej —  
Wszyscy do boju tak jak wicher rwą się!

DARSKI.

Wszyscy Heluniu? a ci, co są ślepi  
Ciemnotą swoją — czy w tym krwawym płasie  
Lud, mówię — poda swe poczciwe dłonie?

ADAM.

Właśnie, że branka\*), którą zgasić chciano  
Ten święty ogień, co nam w piersiach płonie . . .

JAN (*kończąc słowa Adama.*)

Da nam dziś z ludu rozpaczliwe wiano . . . .  
Wszyscy rekruci pod nasz sztandar zbiegą.

---

\*) Wielopolski zamierzył branką, uspokoić manifestacje,  
a przeciwnie pośpieszył tym środkiem powstanie.

DARSKI.

Mrzonka — sąsiedzie! jaby m wolał więcej  
By od cesarza przyszło francuzkiego,  
Jak do Italji, choć z kilka tysięcy . . . .  
Przecież obiecał! a znów polityka  
Piekielne bramy czasami odmyka.

HELA (*gwaltownie*).

O! stokroć lepiej dla Polski byłoby,  
Własną jej siłą lwia i niespożyta  
Rozwalić straszne te nad nami groby  
I wypełnić je łupieżcym Moskwitą!

DARSKI.

Tak, moje dziecię — na to czasu trzeba:  
Wpierw cały naród niech na duchu wskrześnie!  
Niech duchowego będzie syty chleba —,  
A dzisiaj głodny . . . . dzisiaj jest zawcześnie!

JAN.

Zawcześnie? któż to proroczno odgadnie?!  
Wulkan, powstanie — to, jakby bliźnięta . . . .  
Wre ogień wewnątrz . . . naraz gromem padnie!  
By skruszył nagle cisnące go pęta.  
I gdzież ten mędrzec, który rzekłby śmiało,  
Że się pośpieszył wybuch chwilkę małą?  
Ni ten, co ziemi myślą zgłębia trzewa,  
Ni ów, co dzieje na swą nutę śpiewa . . . .

HELA.

Nikt nie powstrzyma i nikt nie podpędzi  
Praw przyrodzonych w ogromie wszechświata —,  
Nikt dna nie dostał, nie widzi krawędzi . . . .  
Z dojrzałych kłosów tylko wieniec splata.

ADAM.

Po długich wiekach za ledwie . . . . dopiero . . . .  
Nió rdzenna w dziejach — prześwita złocista,

Do cyfer małych wciąż przybywa zero . . .  
I widać, kto był genialnym artystą!

DARSKI.

Tak, rozum ludzki grzbietem fali pływa —  
Niechże się dobrze więc rozpatrzy na niej,  
Aby ta podróż była mu szczęśliwa,  
Najprostszą drogą wiodącą do przystani.  
(*Słychac tentent koni.*)

HELA (*patrząc w okno.*)

Co to? Moskali na dziedzińcu mrowie!

ADAM.

Jakaś nowina . . . .

DARSKI.

Zimną krew, rozwaga!

JAN.

Pewnie niewinny za winnych odpowie.

HELA (*z rezygnacją ironiczną.*)

Cóż w tem dziwnego, że knut ślepy smaga?

## SCENA II.

Ciż i Nikita Nikiticz Hitrow, wpada  
z kozakami.

HITROW (*szyderczo.*)

Majo pocztenje!

DARSKI (*i wszyscy klaniają się z godnością, oziębłe*).

Pana naczelnika

Witamy,

HITROW (*j. w.*)

Ja na rewizju zjechał tu —  
Więc pan niech wszystkie skrytki podmyka,  
Pani, nie bojsia — nie zrobi się gwałtu!

HELA (*z ironją.*)

Któż, płonąc w ogniu — bałby się sparzenia?

HITROW.

Wot mądre słowo, choć kole jak żmija . . .

HELA (*j. w.*)

Jakże pan trafnie i grzecznie ocenia . . .

HITROW.

Widzę, że pani iskrenno mi sprzyja.  
(*do Jana*) Pan co tu robi?

JAN.

Jestem u sąsiada.

HITROW (*do żołnierzy.*)

K'diełu! (*Ci rewidują, wyrzucając na salon z zają-  
[dłością rzeczy z zamknięcia.]*)  
(*do Jana*) To sam wiem — ale po co jestem?

JAN.

W zwykłej gościnie.

HITROW.

To coś źle wypada . . . .

JAN (*machnąwszy ręką.*)

By tyle złego . . .

HITROW (*ze złością.*)

Z buntowniczym gestem,  
Naczalstwu, znaj pan, nie odpowiada się —  
Pocztenie i cześć carskim się należy!  
A siedzieć w domu — mus w wojennym czasie —  
Albo tam szczęścia próbować w miatęży.

JAN (*z ukrytą ironją.*)

Cóż, gdym nie wiedział nic o tem niestety!

HITROW (*do Darskiego.*)

Gostieprijemstwa i polskie bankiety  
Już się skończyły. Rozkazuję srogo,  
Nigdzie nie bywać, przyjmować nikogo!

DARSKI (*z godnością.*)

Skoro jest rozkaz — będziemy posłuszni.

ADAM.

A do doktora można i po księdza?

HITROW.

Bez mojej wiedzy — i loszę z koniuszni  
Nie wytknie nosa. Ten bunt was zapędza  
Wszystkich do tury! (*odwracając się do Heli niby  
z galanterją:*)

Pani mi przebaczy —

Ja bez wyjątków tę hramotę głoszę.

HELA.

Przeciwnie — wdzięczność winnam panu raczej —  
Że mi pozwolisz, cierpieć choć po trosze.

HITROW.

To Laszkom widać areszt bagatelka?  
U nas w Rossji rozkoszniejsze damy!

HELA.

Gdy wszyscy cierpią, to już rzecz tak wielka,  
Że osobiste bole za nic mamy.

HITROW.

Wot filozofka! (*do kozaka, wskazując mu puhar złoty:*)  
Podaj eto!  
(*do Darskiego, przypatrując się puharowi:*)  
Co to?

DARSKI.

To starożytny nasz kielich rodzinny.

HITROW.

Da! a co na nim snycerskiej robotą?  
Czy takie dzieła być tutaj powinny?

DARSKI (*ze zdziwieniem*).

Napoleon pierwszy?!

HITROW.

Ten buntowszczyk wściekły,  
Co śmiał pięść podniat' na białego cara?  
Obmany jego cały świat urzekły . . .  
W bunt zamotały, że aż Moskwa stara,



Matuszka nasza — srom swój w płomień skryła...  
Cztob swej monarszej nie kinać mu krasy!  
Bo łuczsza dla niej ognista mogiła,  
Niż z czarownikiem takim — złobne wczasy...  
On tutaj u was? ten mason proklaty!  
Snow bezpakajstwa napędzać do głowy,  
I po raz trzeci, jak było przed laty,  
Urągać przez was potędze carowej?

ADAM.

Świat cały wielbi genjusz przecież jego.

HITROW.

Jej Bohu! sławne te sobie Polaki!  
On był maszennik! moc miał ducha złęgo . . .  
Za świętych czasów szedł na stosy taki!  
(do kozaka, dając puhar) Nu dierżi eto! Biorę go  
[do domu,  
Cztob tam rozumu nie maćił nikomu.

JAN.

A czemuż portret jego się znajduje  
W carskich pokojach?

HITROW (*gwałtownie.*)

Užas!! trwoga bierze!  
W carskim pałacu — tacy jak on zbóje?!  
Za takie plotki zamykam w karczerze!  
(*Kozak wydobywa z serwantki kolję brylantową  
i podaje ją Hitrowowi.*)  
Znów zakazany obrazek tu widno . . . .

DARSKI.

To kolja córki, jeszcze po jej babce.

HITROW.

Że te ikony już wam raz nie zbrzydną!  
Nie jeden za nie wysiedział w pułapce . . . .

HELA.

Wszakże to portret króla Stanisława,  
Który się łaską zaszczycał carowej.

HITROW (*szyderczo.*)

Każetsa, łaska ta — była kulawa . . .  
Bo aż korona upadła mu z głowy —,  
Cztob on był wierny dla imperatrycy,  
Jak mnodzy inni przesławni królowie —  
To byłby sobie panował w stolicy . . . .  
Do swojej śmierci szczęśliw, co się zowie!  
Że buntowałaś durną polityką  
I na dwóch stołkach przysiadawał czasem . . . .  
W konfederatów zajrzał bandę dziką —  
A w sejmach szumić pozwalał z hałasem!  
Za te głuposti i abordaż taki,  
Wzięli w Petersburg — i paszoł w duraki!  
Wot i w tem sztuka: za jego obmanę  
Jego portrety są wam zakazane!  
(*oddając kozakowi kolję*) Słysz! weźmi eto! (*do wszystkich*)  
[łańcuszek ten biorę.]

JAN (*d. s.*)

A tak, bo kilka kosztuje tysięcy.

HELA (*z rezygnacją.*)

Dziś czas zdobyczy — bierzesz go pan w porę —  
A jeśli czynów takich zdziałasz więcej,  
To pewną jestem, że i order będzie  
Za tę gorliwość w szlchetnym urzędzie . . . .

HITROW.

Za mnogo pani, rozprawiasz tu ze mną,  
A niechoesz wiedzieć, że ci łaskę czynię —

Bo rzecz tak skwierną przygaszę tajemno,  
Po przyjacielsku, kryjąc w ciemną skrzynię . . . .  
Donosu całkiem z tego już nie zrobię,  
I w spokojności was państwo zostawię —  
Będziecie mogli żyć bezpiecznie sobie . . . .  
Nie w cytadeli — za portret — w Warszawie.

DARSKI.

Cóż znowu? za to — siedzieć w cytadeli?

JAN.

Za dozwolone od pół wieku rzeczy —

ADAM.

A tożby wszystkich Polaków zamknęli!

HITROW (*z pasją.*)

Proszu zamilczeć! niechaj nikt nie skrzeczy!  
Bo was tu wszystkich jako rabów zwięzę!  
Ja tu panuję jak wszechwładny książę!  
(*podnosząc pięść*) Śmierć, życie tutaj! to nie durne  
[szutki —  
Pokorno słuchać, milczeć — rozkaz krótki!

JAN (*d. s.*)

Obym ci szablą odpowiedział kiedy . . .

ADAM (*d. s.*)

Bezczelny!

HELA (*d. s.*)

Czarny!

HITROW (*do wszystkich.*)

Prowadźcie mnie dalej!

DARSKI.

Bez broni, pośród tygrysiej czeready!

HITROW (*tryumfując szyderczo.*)

Będziemy w kufrach relikwii szukali . . . .

(*Wszyscy wychodzą, kozacy na ostatku, chwytając do kieszeni, co im wpadnie pod rękę.*)

SCENA III.

HANA (*wbiega z książkami, przerażona.*)

Aj! co się dzieje? drzę z przestachów cała!

Biedna żydówka, córka ich młynarza —

A jednak życie za nich bym oddała!

Gwałt taki ognie w mem sercu rozżarza!

Kozacy wpadli rabunkować pewnie . . . .

(*p. ch.*)

Panna mnie uczy, jak bachórka, żaka . . . .

Żeby choć krzywda tej mojej królownie

Od tych zbójników nie stała się jaka!

Tum się schowała, jak pod skrzydło matki —

Bo ona anioł! ona mnie dorosłą

Uczy mądrości, tak sposobnej, gładkiej . . . .

Co mną kieruje a wiedzie jak wiosło.

(*p. chw.*) Mówią, wciąż — polskie buntacje wybucha —

Cudze się grabi z mocy złego ducha —

Zły zawsze przegra — zapłaci we troje!

Przyjdzie dzień sądny — czy to dziś, czy jutro . . .

Że go na prochy jako w żarnach utrą!

I nasi kiedyś — szabliści żydkowie —

Na wojnach z Berkiem za Polskę się bili,

Bo żaden prorok już teraz nie powie,

Że to kraj gojów, gdzieśmy się rodzili!

Teraz w Warszawie, kiedy z krzyżem księdza

W czasie processyi żołdat o ziem wali,

Żydek krzyż chwytą, hańby mu oszczędza . . . .

I pod tym znakiem ginie od Moskali! . . . .

Ach! tu tak piękno! żyć, tak biednym łatwo,

Nikt skibki chleba drugim nie wydzierą,

Wszyscy się widzą jednej matki dziatwą —

A już w nieszczęściu . . . hojny nawet sknera . . . .

I po swojemu — każdy swoją wiarę

Piastować pyszno i bezpiecznie może —  
Mowę, zwyczaj — szanują tu, stare —  
Toż dobrym ludziom\*) dopomagaj Boże! —  
Biegnę do panny — bo się z żalu spalę! (*Szybko  
[wychodzi.]*)

## SCENA IV.

Darski (*zbliżając się, patrzy na nieład po rewizji,*  
potem Jermył Wołkow.

### DARSKI.

Naraz wchłonęli krwiożercze szakale,  
I cień nie został z pod ich stopy wrątkiej,  
Pustka jak zawsze z pod kiru szarańczy.  
Zawsze jednacy — rabunki — ich wodze!  
Od wieków prze ich ten sam duch pohańczy . . .  
Połknąwszy tyle, czemuż głodni srodze?!  
Gdzie lud, któryby rozpoczynał boje  
Pod cichą strzechą i bezbronną rzeszą?  
Któryby gardła w pierw nasyczał swoje,  
Zanim go rany do pragnień rozgrzeszą?! . . .  
I któryż takie ma pancerne czoła,  
I z tym bezwstydem wypłęga swe zbrodnie?  
Choć raz sumienia na świadka nie zwoła,  
Gdy szpon w pierś ludzką pogrąża wyrodnie?!  
Kto w hordzie mnogiej dzikość ich prześcignie —  
Tam, gdzie są pewni zwycięstwa od razu?  
Kto im wyrówna w tchórzostwa malignie —  
Gdy wyrok grzmi im z grobowego głazu?!

### LOKAJ (*wchodzi.*)

Książd prawosławny\*\*).

---

\*) Izraelici w Królestwie Polskiem sprzyjali powstaniu od początku do ostatka.

\*\*\*) Za czasów Mikołaja I. niektórych Rusinów rząd za pomocą obietnic, rozpajania i przekupstwa przeprowadzał na schizmę, jak np. pod Tarnogrodem małą część wsi Potoka i całą wieś Luchów.

DARSKI.

Prosić. (*sam*) A on po co?  
Nigdy nie bywa --, dziś, jak puszczyk nocą . . . .

JERMYŁ WOŁKOW (*wchodzi, z fałszywą uprzejmością.*)

Przepraszam, że w noc . . . sąsiada mojego . . .

DARSKI (*podając mu rękę, oziębłe*).

Dla gościa — zawsze — nasz dom jest otworem.  
Proszę siadać.

JERMYŁ.

Das (*odspapawszy*) U was jest coś złego . . .  
Hitrow z kozaków był oddziałem sporym —  
(d. s.) Może się szpaczek z czemś skwiernem wygada . . . .

DARSKI.

Był na rewizyi.

JERMYŁ.

No, proszu sąsiada —  
Czegoż on szukał u tak czestnych ludzi?

DARSKI.

Tego ja nie wiem.

JERMYŁ.

Cóż wskrobał przecie?

DARSKI.

I tego nie wiem . . . .

JERMYŁ.

Już on się nie trudzi,  
Nikita nigdy po drzazgi i śmiecie . . .  
Sobaczka z wiatrem . . . chytrenka to sztuka!  
Na żyrnyj donos, do drzwi tylko puka.  
Proszę otwarcie pomówić dziś ze mną —  
Żyjemy w czasach serjoznych, jej bohu!  
A znając dzieło — mogę nieprzyjemną  
Rzecz jaką wcześniej odkinąć potrochu . . . .

DARSKI.

Wierzę — dziękuję za tak dobre chęci . . .  
Jednak nie badam nigdy czynów władzy —  
Kto kłębek mota, niech go sam rozkręci . . .  
O los szat swoich spokojni są nadzy . . .

JERMYŁ.

Otóż to polska skryta polityka!  
Chciej im serdeczno dopomóż w potrzebie,  
To wsiakij jak żółw, w sobie się zamyka,  
Choć wilczy dół mu wróg przed nosem grzebie.

DARSKI.

Gdyby tak było — to nie nasza wina:  
Okoliczności — to ludzi snycerze,  
Pod których dłutem duch się nasz ugina,  
I od swych mistrzów kształty swoje bierze.

JERMYŁ (*zniecierpliwiony.*)

Nu, co tu prawić! ot powiem wam szczerze,  
Że u naczałstwa w powiecie źle z wami!  
Ciągłe donosy, że z powstańców zgają  
Macie konszachty, że zdrada was plami . . .  
By wziąć na Sybir, oddawna czyhają.

DARSKI.

A gdzież dowody? to są tylko plotki,

JERMYŁ.

Dowody? Sławno! Nu — w wojennym czasie  
Każdy jak może swą kobyłkę pasie . . . ,  
Wy nie dzisiaj, lubieżnyj sąsiedzie,  
Toż wiecie — wojna procesów nie wiecie,  
Ale druhowie pomódz wiele mogą,  
Jeden drugiemu, od serca — wzajemno —  
Ręką, kieszenią i umną przestrogą,  
Jakby pochodnią — w złą drogę i ciemną . . .  
Wy macie kłopot — o! i bardzo wielki!  
Ja was zasłaniać w tych opałach będę —  
Nie odmawiajcie tylko bagatelki,  
Niech wam się zdaje, żem wszedł po kołędę.

DARSKI.

Z mej strony panu pomogę, i owszem!  
O cóż to chodzi?

JERMYŁ (z fantazją).

Nasz brat wsiegda zdrowszym . . . .  
(pokazując na gardło) Jak tam podkuci . . . czasami  
[niemnożko ;

W kartoczki pogra — sielodkę obliże,  
Potańczy sobie z ucieszną kumoszką,  
Potłucze szyby, przepłoszy alkiérze . . . .  
Do tiumy pójdzie jak durak niektóry . . .  
By tem dokazał szerokiej natury!

DARSKI (z ironją).

A więc, coż panu w udziale przypadło?

JERMYŁ.

Ja wracał z balu, pełny doskonale!  
Ledwo się we mnie nie zajęło sadło . . . .  
Czterej na wóz mnie dźwigali dragale!  
Dwóch z nich na kolki w szpitalu już leży —  
A trzeci, co się zsunął w wóz podemie,



Nie mogąc wybrnąć, choć pragnął najszczerzej,  
Gdy zwoszczyk pijak wywrócił nikiemnie,  
Polazł na czterech . . . bo dwie miał za mało . . . .  
Lecz mu z tej prasy — coś w rozum się stało!  
Tfu! skandal bolszyj! ale od tej pory  
Nasz brat w powiecie odbiera honory . . . .

### DARSKI.

Zapewne — bo to w Europie całej  
Podobne sceny światła nie widziały . . . .  
Ale z tem wszystkiem — gdzież tu pomoc moja  
Potrzebna panu? (d. s.) Na stryczek opoja!

### JERMYŁ.

Ot, przy kartach draka:  
Przegrać musiałem! . . . no, panu wiadomo . . .  
Dwieście rubelków! była cena taka . . .  
Synodna ptica wsięga jest łakomą!  
Dwieście też miałem — i wziął je w try miga . . . .  
Ja się wykręcił od stołu jak fryga,  
Bom był i lżejszy i bardzo radosny:  
Że archirejem zrobi mnie tej wiosny.  
A on mi snowa — serjoczno powiada.  
„Jeszcze grać będziem — czasu jest do syta.“  
Cóż było robić? choć to jawna zdrada!  
Siadłem . . . przegrałem! On o dieńgi pyta . . .  
Mówię mu: ojczcie najprzewielebniejszy!  
Odeślę pocztą, bo nie mam przy sobie,  
A przez tę zwłokę kwota się nie zmniejszy,  
I kredyt u nas słownością wyrobie.  
— W duch on, jak skoczy! za warkocz nie chwyci!  
„A ty swołocz! tobie nosić wodę!  
(Mówi) tak czynią łotry i bandyci!“  
I won mnie za drzwi wyrzucił jak kłodę! . . .  
Więc pojechałem, jak panu mówiłem . . .  
O archirejstwie marząc ciągle miłem,  
A teraz pana proszę o tych dwieście . . . .  
Trzeba odesłać — bo probostwo stracę —,  
Gdy archirejem zostanę nareszcie,  
Oddam —, wszak pewnym jest, za taką płacę? . . . .

DARSKI (*dając mu pieniądze.*)

Służę — niechaj się droga po nich mości . . .

JERMYŁ.

Doznasz pan nieraz za to mej wdzięczności!

DARSKI.

Tego nie żądam — i na to nie liczę.

JERMYŁ (*żegnając się.*)

No, potem o tem — teraz późna pora,  
Uciekać trzeba, — bandy miatieżnicze,  
Zwykle jak wilki snują się z wieczora.  
(*Wychodzą obydwaj.*)

## SCENA V.

Wchodzą Hela i Jan Rolski.

JAN (*w dalszym ciągu rozmowy.*)

....Tak w naszym życiu — antrakt, jak w teatrze —  
Do innych czynów zasłona się wzniesie . . .  
Z uśmiechem przez łzy na tę zmianę patrzę —,  
Jutro pod bronią — na mrozie i w lesie.

HELA.

Mój duch przy tobie, jak jest, tak i będzie . . .  
W oku cię barwną przyhołubi tęczę.  
Szept jego — zawsze usłyszysz — i wszędzie,  
Którego echa w twem sercu zadźwięczą.  
Ni wrzawa boju, ni piorun armatni,  
Ni jęk konania i zgrzyty boleści —  
Nie pozbawią cię mojej duszy bratniej,  
Bo w niej się miłość, jak Bóg w niebie, mieści.

JAN.

Tylem szczęśliwy, że choć mam anioła,  
Co mnie czarownie powiedzie przez piekło,  
W ślad bohaterów — w tan śmierci powoła,  
Bym się z nią zmierzył, duszą nieulekłą!  
Wskazując swoją promieniącą dłonią —  
Że tej Ojczyzny tylko mężni chronią.

HELA.

O tylko mężni! i przez krew zbawienie!  
Ona jak czarę, krwią nas napełniła,  
Niewyczerpana, hojnie nieskończenie,  
W której kolebka nasza i mogiła  
Ma nieodstępną — miłośnię i czule,  
Najpierwszą z wszystkich wieczyście matulę!

JAN.

Ach tak, a blask jej cudownie olśniewa!  
Bo gdy jej spojrzysz w przenajświętsze lico,  
To wszystko w bezdni zapada się trzewa . . .  
Brylanty gasną i słońca nie świecą . . .  
Namiętność stygnie — zbrodnia w skrusze ginie,  
Pycha z jagnięcą pokorą ukłęką.  
Chciwość otwiera żarłoczne swe skrzynie,  
A wroga bratnio uściska nas ręką.  
Na jej ratunek i w jej gromkie imię  
Walą się w gruzy świątynie olbrzymie!

HELA (*w ekstazie.*)

Jestem sierotą, matka moja w grobie,  
Święte jej szczątki mam Ojczyzno w tobie!  
I oto jeszcze na twój ołtarz kładę  
Krew najdroższego na wdowią biesiadę . . . .  
(*Opiera głowę na Janu ramieniu.*)

JAN (*wzruszony.*)

Ach, gdyby tyle szczęścia, tyle błysło  
I po doszczętnej zagładzie Moskali —

I nasze dłonie taką spójnią ścisłą,  
Jak są już dusze — kiedyś nam związali!

HELA.

Och! gdyby, gdyby . . . serce mi zadrżało . . . .

JAN (*biorąc ją za ręce.*)

Bądź mi spokojne, me ptaszę najśłodsze!  
Jak orzeł w słońce, patrz w tę przyszłość śmiało!  
Nie każdy ginie, choć się o grom otrze . . . .

HELA (*tuląc się do niego.*)

Żeby choć razem! . . . jak mi w oczach ciemno!  
O Jasiu! chciałbyś tam . . . być razem ze mną? . . . .

JAN.

Najmilsza! tylko — z twoim duchem społem,  
A nie z cielesnym wśród boju aniołem!  
Twoje rączęta nie do ciężkiej zbroi,  
Dłoń ta niech rany ćwiertowanych goi.

HELA.

Któż jasno odgadł tajnie przeznaczenia?  
Nie według woli rola się nam zmienia . . .  
I my przed rokiem nie wiedzieli o tem,  
Że się rozłączym . . . wojennym namiotem.

JAN.

Marzenia nasze w inną stronę biegly,  
Gmach my stawiali — z lodu . . . a nie z cegły.

HELA.

Wtenczas weseli i szczęścia tak pewni . . .

JAN.

Heluniu, czemu coraz mówisz rzewniej?

HELA.

Serce mam pełne dziecinnej żalości —  
Jakieś mi w oczach mgłą się katakumby . . .

JAN.

Niech razem z darem żal się nie zagości —  
Bo zginąć wtedy, trzeba wspólnie dwómbry . . .  
(*po chwili, biorąc ją w objęcia.*)

Byłem szczęśliwy nad wyraz, za wiele,  
Skorom w twych oczach, upojon do szału,  
Mógł tonąć duszą, przezczysty aniele!  
Za twoją myślą wznosić się pomału . . .  
Z tej cielesności, w swej martwocie tęgiej,  
Jak za orlicą cień jej nakształt wstęgi.  
Że mogłem lilje twej rączki do skroni  
Tulić jak wieńce, królewskie diadema —  
Zbliżyć się usty płonącemi do niej,  
Na której brudnych pocałunków nie ma —  
I tylko dla mnie — tak, dla mnie jedynie  
Rozkosz z pieśczoży jej do serca płynie.  
Tę kibić objąć jak raję kolumnę,  
I na mej piersi — swą czystością dumne,  
Czuć czoło twoje, gdyś niem promieniująca  
Błysła, jak w chmurach, srebrna twarz miesiąca,  
I słyszeć serca twego dla mnie tętna,  
I mieć go blisko, tak blisko . . . w swem łonie . . .  
Że z mojem — jedno! o chwilo pamiętna!  
Duch twój... wraz z ciałem, w grobie nie utonie...

HELA (*nagle drgnęła.*)

Co mówisz? w grobie! jak straszne to słowo?  
Ze snuś mnie zbudził . . . jam była w Edenie,  
O Jasiu miły! w krainęś tęczową,  
Na skrzydłach wznosił mię... ja słyszę ich drzenie...  
Ach tak, osłabłam, duch się mój coś mroczy . . .  
Jasiu! Jasienku! nie patrzaj mi w oczy . . .

JAN (*klęka.*)

O tak, nie pora! dzisiaj inne hasło!  
Błogosławże mi w drogę, cherubinie!  
Oby twe światło nademną nie zgasło,  
Jak w pierwszej, tak i w ostatniej godzinie! . . .

HELA (*robi krzyż nad nim.*)

Wstań i chodź ojca pożegnać mego — (*zastania*  
[*oczy.*])  
Niech łzy cię moje od zguby ustrzegą! (*Wychodzą*  
[*oboje.*])

## SCENA VI.

U Jana Rolskiego.

Kasia (sprząta w pokoju). Staszek (stoi we  
drzwiach.)

STASZEK.

Chocia do Darskich o miedzę jest przedział,  
Pan jak za morzem u nich się zasiedział . . .

KASIA.

U niej — nie u nich: bo panna sąsiadka,  
Wcalec nie podła, czerwona i gładka.

STASZEK (*p. ch. przypatrując się robocie Kasi.*)

Sto razy lepiej, czesać mi konika,  
Niż tobie dreptać w pokojach dziewczyno!

KASIA.

Ktoby zaś wpuścił takiego tu dzika,  
Co z czworonogiem obraca się ino —  
Tobie, samopraw, nie wyłazić z stajni,  
Každy wedle sił — i swego sposobu . . . .

STASZEK.

A jak się pojmiem? . . . to trza żyć otajniej —  
Przeć nie uwiążą i ciebie do żłobu?  
I to furmańskie, gospodarstwo nasze,  
Takżeć wyroję pod ludzkie poddasze.

KASIA.

Ktoby ci wierzył? cyganisz jak z płatka . . .  
Cięgiem odwłóczysz nasze zapowiedzi —  
Pogrzezsznik wielgi! bo Boga za świadka  
Bierze co nie-móz . . . a djabeł w nim siedzi!

STASZEK.

Oj! nie-móz! nie-móz! wierzaj mi Kasienko!  
Ludzie się bija, hulać nie wypada,  
Wojenka kipi! kiwa krwawą ręką  
Na wszystkich k'sobie — od dziecka do dziada . . .

KASIA.

Ot, masz już, nowy wykręt, paliwodo!  
Przodyś mi gadał, co jak ta bułana  
Wywiedzie na świat swą bułankę młodą,  
I weźmiesz piątkę, za pępek, od pana —  
To na zapowiedź dasz to ręką hojną!  
Gdyś pępek sprzedał — tumanisz mię wojną . . .  
(groząc pięścią) E! idź! bo jak cię . . . bez obrazy  
[boskiej! . . .

STASZEK (*poważnie*).

Sroga to żałość i siarczyste troski,  
Gdy człek nie może tak, jako zapragnie . . .  
Nim czystej wody dopytasz się w puszczy,  
Trzeba w przygodzie napić się i w bagnie —  
Zaczkaj, o! zaczkaj — bo teraz krew pluszczy . . . .

KASIA.

I cóż cię pańska buntacja obchodzi!

STASZEK.

Przeciek my wszyscy winni prać Moskala!

KASIA.

A za co?

STASZEK.

Durna!! bo pogan i złodziej!  
Drze nas ze skóry, kościoły podpala!

KASIA.

A widziałeś to?

STASZEK.

Czegom sam nie zoczył,  
Tom w książkach czytał.

KASIA.

Toś ty, bez to — głupi!  
Lepiej byś łeb swój w zimnej wodzie zmoczył!  
Na kim się zmięle, na chłopie się skrupi . . .  
Ja w książkach nie znam — a mam rozum lepszy —  
Kiedy cię kuszą — krzyżem się odeprzyj!

STASZEK.

Nie mów tak Kasiu — bo aż ciarki biorą,  
I niby mnie coś od ciebie odpycha . . .

KASIA.

Powiem ci jeszcze, tyle dziesięciuro,  
Boś owarjował, do ciężkiego licha!  
— A wiesz ty Stachu, tę prawdę wierutną,  
Żeć to na wojnie z śmiercią weselisko,  
Abo-li rękę czyli nogę utną —  
A potem dziaduj i kłaniaj się nisko . . .



STASZEK.

Dyć, jak jest za co, nie żal i żywota,  
W boskiem to ręką ta nitka się mota . . .

KASIA.

Myślisz, żebym cię chciała kulawego,  
Abo bez ręki ?

STASZEK.

Niech cię święci strzegą —  
Ale jabym cię pojął i kaleką.

KASIA.

Boś ty chłop na to, byś na mnie pracował —  
Za dziadem baby nigdy się nie wleką.

STASZEK.

Juźcić to każdy rad leżeć na pował,  
I z cudzej pracy nadymać swe mieszki . . .  
Ale grosz taki na wiatr . . . bo nie ciężki . . .

KASIA.

O! widzisz, jak cię ta wojna urzekła!  
Nigdyś herezyi nie bajdał mi takiej.

STASZEK.

I tyś, dziś na mnie — straszecznie zaciekła !

KASIA (*coraz bardziej rozdrażniona*).

O! są tu we wsi galanto chłopaki,  
I wiedzą, że mam kapeńkę grosiwa —  
Jak ino pójdziesz, nie poczkam na ciebie —  
Nie poczkam, mówię, o! jakim jest żywa!  
Wydam się wrychle — na twoim pogrzebie . . . .

STASZEK (z boleścią.)

Ha! nikt tam nie wie, na kim stoi kreska . . .  
I nie przezpieczno, śmiercią grozić komu —  
Bo w podufałych takóŜ piorun błyska!  
Mrą teŜ ludziska i w królewskim domu —  
I gorzkie leki pomocne nam zawdy ;  
Przez twoją gadkę zażyłem dziś prawdy :  
Żeś ty nie dla mnie a dla ciebie ni ja —  
I bez to nasze weselisko mija . . .  
Ja pójdę bić się — a los mój sierocy,  
Boć już na boskiej ostawiam go mocy!

KASIA (gwałtownie.)

A zbereźniku! szkaradna psia-welno!  
Czemużeś zwodził mnie aż przez dwa roki?!  
Miałam ci przecie zalotników pełno —  
Tyś ich rozpędził, poobijał boki!

STASZEK (zuchowato.)

Bo tak trza było — bom se chłopak tęgi!  
A przez podwikę nie złamię przysięgi!

SCENA VIII.

Ciż. Wehodzi Topniak.

TOPNIAK.

A co to, pana nie ma, Staszku, w domu?  
Dzisiaj mi kazał tu być bez ochyby —,  
A jam się z miasta wyrwał pokryjomu . . .  
Boć to nas szewców Moskał wziął jak w dyby.

STASZEK.

Pan jest u Darskich — wróci on tu migiem,  
Kiedy was prosił —, w słowie, jak dąb krzepki!

TOPNIAK.

Za naszym pewnie pojechał kuligiem . . .  
Powstańcy z Moskwą biorą się w załębki!

STASZEK.

A czas już pono — bo wszystkich wychwyca,  
I na sałdatów przekują nicponie!  
(*wskazując na Kasię*) Później by chłopca nie znalazł  
[ze świecą! . . .]  
I któżby karki kręcił sobie o nie?

KASIA.

O! ty i palca byś nie stracił na to . . .  
Tobie tam w głowie jak we młynie miele —  
Jednakiś całkiem z tą naszą srokatą . . . .  
Bo tak światami gnałbyś, jak to ciele!

TOPNIAK.

E! słuchaj panno, tobie dusić placki,  
A nie nad Staszkiem wywijać językiem!  
Będzie to z niego drugi nasz Głowacki!  
Tak świeźnie szablą, jak śmigał biczykiem.

KASIA.

Jaki Głowacki?

STASZEK (*wskazując na Kasię*.)

To, jak w barszczu rura!

KASIA.

Zjadłbyś tę rurę . . . ale nie dla ciebie!

TOPNIAK.

O! jak się trafi taka gdzie niektóra . . .  
To całe życie tylko siedzi w chlebie!

Za nim ugania, myśli, sny bajdurzy . . .  
I nawet nie wie, na czem świat ten stoi,  
I gdzie on idzie, i kto na nim duży?!

KASIA.

A majster to wie? . . . i w mądrości swojej  
Pantofle żydom, jak kto głupi, lata.

TOPNIAK.

Ot, co to znaczy, ten rozum babiński!  
Łatał też buty — znany na kraj świata —  
Świętej pamięci także Jan Kiliński!

KASIA.

A juści! to mi? jegom nie widziała . . .  
Wielgie mi państwo! każdy swego chwali.

TOPNIAK.

Nie, przed nim czoło schyla Polska cała!

KASIA.

Za coś by ino?

STASZEK.

Bo wygnał Moskali!

KASIA.

Że też ty różne znasz tam przypowiadki . . .  
Wziąłbyś se torbę, poszedł na chałupy —  
Bajał i bajał . . . i za to miał mastki,  
Kąsielek chleba i grosz do skorupy . . .  
Koni byś nie pasł, panu się nie kłaniał,  
I żył przezpiecznie, a syto jak janiał!

TOPNIAK.

A to ciemnota! wszystko w błocie kała!

STASZEK.

Taką naukę — miała u kaprała . . .

KASIA (*grożąc.*)

Pewnie że lepszy był od ciebie, gacku!  
Bo mnie nie zwodził, nie biesił nikczemno,  
Jak ty to czynisz, strach! po hajdamacku!  
Gdyby nie pomarł, żeniłby się ze mną.

(*Wybiega rozgniewana.*)

### SCENA VIII.

Ciż. Jan Rolski (*wchodzi, ubrany do konia, prawie po żołniersku.*)

JAN. (*Staszek prędko wychodzi.*)

Zaczekaj Staszku, konia wziął stajenny.  
(*do Topniaka*) Cóż panie Topniak — wiele masz ich  
[w mieście?

TOPNIAK.

Będzie ze dwa sta — towar to wojenny!  
Wszystko rzemieślnik —, tylko że ich weźcie!  
Strasznie to robi . . . musuje jak piwo . . .  
Trza odkorkować . . . bo strzeli co żywo!  
Takie to same, jak w trzydziestym roku,  
Tej wiekopomnej rewolucji naszej —  
Ognista dusza iskrzy się im w oku,  
Pójdzie do boju i bez patrontaszy . . .

JAN.

A wy już ojczyznę zostaniecie doma?

TOPNIAK.

Żeby nie rana moja z pod Grochowa,  
Z której mi noga coraz bardziej chroma,  
Zdała by mi się też moskiewska głowa!  
Ale mam ja tam piętnastoletniego . . .  
Jedynak, chłopię śliczniutkie i jare!  
Z złocistych włosów aż promyki biegną . . .  
Taki samopraw będzie na ofiarę!  
Bo to niegrzeszne i jak anioł czyste —  
Niech na krzyż idzie, jakeś ty szedł Chryste!  
Ja muszę w domu z mą żoną kaleką,  
Bośmy u brzegu . . . już za siódmą rzeką . . .

JAN (*podając rękę Topniakowi.*)

Ręka ta z nami tak szczerze się spaja —  
Czcigodny bracie od Trzeciego Maja!

TOPNIAK.

A boście nam ją od serca podali,  
I na śmierć poszli — za to — od Moskali.

JAN.

Śmierć ta nas z grzechów oczyściła obu . . . .  
Dla tego żywi — wciąż powstajem z grobu.  
(*do Staszka*) A tyś mi dużo zwerbował tam zuchów?

STASZEK.

Nie więcej będzie — wszystkiego, jak z pięci —  
Bo co tam gadać do głupich piecuchów . . . .  
Obiecał Walek, co postronki kręci —  
Bo mówi: „stryczki się także tam zdadzą.“  
Pietrek kominiarz rad ich mazać sadzą . . .  
Kubuś owczarczyk, co się brał do wilka  
I gołą pięścią wyгнаł go z owczarni —  
Peda: „za wilka zduszę Moskwy kilka —  
Niech w naszym stadzie nie łupią bezkarni!“  
Franek, co koń mu wybił cztery zęby,  
I gryźć nie może, chce iść na otręby . . . .

Zacharko, poczciarz do nas się zahacza,  
By na nich jeździł — a był za trębacza.  
Zresztą tam owak może jaki wpadnie . . .  
Alem nie zmawiał . . . bo przed czasem zdradnie.

JAN (*z uśmiechem.*)

Ha! na początek niech i tyle będzie —  
To na zarybek masz w swojej komendzie.

STASZEK (*prostując się po żołniersku.*)

W mojej komendzie?!

TOPNIAK.

Spojrzeniem ognistszem  
Niż piorun, błysnął . . . .

JAN.

Bo jesteś wachmistrzem  
W naszej konnicy.

STASZEK (*chwytając go za kolana.*)

Bóg łaskaw — o! rety!

TOPNIAK.

Tnijże pałaszem, jak kłosa — bagnety!

## SCENA IX.

Ciż. Proboszcz (*wchodzi.*)

PROBOSZCZ.

Laudetur . . .

JAN i TOPNIAK.

In saecula . . .

STASZEK (*jękając się.*)

A — Amen,

PROBOSZCZ.

No, bracia! będziemy składali examen . . .

Nadeszła pora — powstańcy czekają.

Przynoszę rozkaz — od naszego rządu,

By bój rozpoczął z najeźdźcą zgrają,

I z naszej ziemi zbyć się tego trądu!

*(wręczając Rolskiemu papier.)*

Wam, panie Janie — oddają komendę —

Ja, kapelanem — służbę swą odbędę.

. . . Są tu w ogrodzie — na rozkaz gotowi.

JAN *(do Staszka, wskazując na drzwi do ogrodu.)*

Otwieraj Staszku!

TOPNIAK *(drży ze wzruszenia.)*

W sercu coś się mrowi . . .

Za gardło ściska . . .

JAN *(do kapelana.)*

Dobrze uzbrojeni?

KAPELAN.

Duchem wybornie!

JAN.

Tem się żołnierz ceni.

SCENA X.

Ciż — wchodzą powstańcy, rozdzielając się na trzy grupy uzbrojone: piechota, w karabiny belgijskie z długimi bagnetami; kosynierzy, z kosami; kawalerja, z pałaszami węgierskimi i rewolwery za pasem. Wiek ich różny: są starcy, dojrzały i 15-letnie podrostki. U wszystkich włosy krótko ostrzyżone. Kosynierzy oprócz zwierchniego ubrania, w czerwonych koszulkach najwyżsi.



KAPELAN (*do powstańców, wskazując na Jana.*)

To wódz nasz, dzieci! przez Rząd Narodowy  
Zamianowany. Posłuszeństwo jemu!  
On, ponad wasze serca jest i głowy —  
On, jako sternik, statkowi całemu . . . .  
I przeciw niemu, z was kroki niczyje!  
Za nim do śmierci! Niechaj wódz nasz żyje!

POWSTAŃCY.

Niech żyje!

JAN.

Zagrzmiały hasła! zkąd? nikt ich nie zbada!  
Jak dzwony na gwałt, wśród nocnej pożogi,  
I łuną bije przemocy szkarada!  
I jęk a lament! . . od katowni srogiej!  
Więc ku zbawieniu śpieszmy rodnej braci!  
Naszej krwi pianą gaśmy te płomienie,  
Niech dłoń ta głównie w jej fali zatraci,  
I wszystkich w jedność, jak w serce przyżenie!  
Bo Polsce nigdy ofiar nie zbywało,  
Gdy ją kirami wróg zakrywał całą.  
Miała Czarneckich, Puławskich, Kościuszkę,  
Swe orły srebrne na światów krawędzi,  
I króla królów jako swego służkę,  
Kiedy go demon do otchłani pędzi . . .  
I my, jako ich niewyrodne syny,  
Oddajmy życie — dla świętej, jedynej!  
Za te piskłęta, za dziateczki nasze,  
Za ubóstwiane, promienne dziewice,  
Za to omszone, słomiane poddasze,  
Gdzie ojce nasi, matki-gołębice!  
Za piramidy z dzieł naszego ducha,  
Co dziś są rdzenia polskiego żywota,  
Z których Znicz chwały pod niebiosa bucha,  
I strzały wrogów jak wir z liści mota!  
Za świętą ziemię, której bujne łono  
Tyle pokoleń przesławnych matczyło —  
Tylu wygnańcom chleba udzielono,  
Gdy przed katowską tu zbiegli mogiłą . . .

Zewrzyjmy siły w piorun naszej woli,  
I hej! na Moskwy samojedcze hordy!  
Niech sęp nie trzebi drużyny sokolej,  
Między zwierz srogi niech niesie swe mordy!  
Bo nie ma ziemi żadnego narodu . . . .  
Za płytka ona, w kolisku za krótka,  
By mieć jaskinię dla takiego wrzodu . . . .  
Więc gdzież zatracić ludzkości podrzutka?!  
Ni Skandynawji z lodów mateczniki,  
Nie zadżumione Mongołów postacie,  
Ani Czachońców pogański plód dziki,  
Polski tyranie! nie spojrzysz dziś na cię!  
Gdy ci nasz naród odda, co jest dłużny,  
Gdzie się podziejesz? wyżebrzesz jałmużny?  
Bracia! na niego! bo straszna potęga  
Swą trąbą sądną w nasze duchy sięga!  
Czy przysięgacie, w te piekielne bramy,  
W ten niewygasły biedz od wieków krater?

POWSTANCY.

Przysięgamy!!

KAPELAN (*krzyżem błogosławiąc.*)

Benedicite vos aeternus pater.

---

## Obraz II.

U Darskich.

### SCENA I.

Darski, Adam, Hela porządkują po bytności powstańców, (*potem*) Hitrow z kozakami.

ADAM (*z uśmiechem.*)

Ład po powstańcach zrobić wam pomogę —,  
Jutro trzydziestka żandarmeryi mojej  
Przybędzie po mnie — i dalejże w drogę . . .

Ja ich komendant, i już w pełnej zbroi —  
Najpierw Hitrowa powitać tam muszę,  
I jeśli ma ją, w pięty wpędzić duszę . . . .

HELA.

Miła mu będzie niespodzianka taka . . . .

DARSKI.

Więc żandarmerji konnej jest zadanie ?

ADAM.

Krom mordów — takie, jak u nich kozaka :  
Alarmy, bójki, próżny hałas na nie,  
Rabunek dostaw, fajerwerk przygodni . . .  
Ciągła pobudka — wszystko . . . . oprócz zbrodni !

HELA.

My tu z ojcuzkiem będziemy rozkazy  
Naszego rządu wozić do oddziałów,  
I ruchów wroga dostarczyć obrazy.

ADAM.

O ! jak najwięcej tych nowinek nałów —  
Bo to my w lesie, odcięci od ludzi ;  
Niech głos wasz echa w sercach naszych budzi.

DARSKI.

Straszna to wojna ! bez dachu i w zimie —  
Człowiek naturę musi wchłonać zwierza . . . .  
Rozkrzesać ducha siły tak olbrzymie,  
Że ich skrzydłami o nieba uderza . . . .  
O synu ! pomnij ! ta ofiara godna,  
Co zdoła wypić truciznę aż do dna !

ADAM.

Ach ! czuję na wskrós poświęcenia zapal.

HELA.

Miej nas też w sercu — przed oczyma duszy.

DARSKI (*odpowiadając Adamowi.*)

To hartem stali, gdy bój szpon swój wdrapał,  
I jak huragan niesie nas i kruszy . . . .

HELA (*p. ch. jak pod wpływem magnetyzmu.*)

Ach! dreszcz mną wstrząsnął . . .

ADAM (*nagle zmieniony*)

Dziś, tu zimno . . . trocha . . .

DARSKI (*d. s.*)

Siadźcie koło mnie — niech was mam przy sobie—  
Bo moje serce dziwnie dzisiaj kocha . . .  
Sny mnie dręczyły, że byłem już w grobie.  
(*Siadają z dwóch stron i całują jego ręce.*)

HELA.

Nie mów tateczku, nie mów takiej rzeczy.

DARSKI.

Zapewne słowo gwałtem się wyrwało,  
I mojej woli tak jak nigdy przeczy —  
Bo właśnie miałem zmilczeć mrzonkę całą . . .

ADAM (*chcąc przerwać tok mowy, wskazuje na kwiaty.*)

A, jak ten cyprys wygląda dziś czarno —  
Czy światła mało?

HELA.

Owszem . . . tylko mgławce,  
Zda się promienie, nito wstecz się garną . . .

DARSKI (*biorąc różę z włosów Heli.*)

Woń róż wspomina mi skoszoną trawę . . .

HELA.

W dniu śmierci wonią na katów się żali,  
Coraz przestrzenniej . . . ku niebiosom dalej . . .

ADAM.

Ach, mówmy przecież cokolwiek weselej,  
Bo jutro już nas kto wie? jak rozdzieli . . .

DARSKI.

Z jednymi dzieli, a z drugimi łączy —  
Dla tych i tamtych — zawsze krok za rączy . . .

HELA (*poglądając na portret matki.*)

Mateczki portret tak patrzy żałośnie  
Dzisiaj, jak nigdy — ze łzą w oczach prawie —  
Cała jej postać, niby żywa, rośnie . . .  
A włosy błyszczą jako pióra pawie . . .  
(*z trwogą*) Co to za tentent?

(*Nagle słysząc tentent koni. Wpada Hitrow z kozakami, z szabłami dobytymi.*)

HITROW (*z wściekłością.*)

Zdieś powstańcy byli!  
(*do kozaków, wskazując Darskich*) Hej! kali! rubi!

DARSKI (*zrywając się, zastania sobą Helę.*)

Morderco! daj broni!

ADAM,

Ha! carski zbójca!

HELA.

Ach! i ty masz ojca!

(*Przebici Darski i Adam, padają trupem. Hela mdleje.*)

HITROW.

Postronków w tej chwili!

Skrepować Laszkę, przywiązać do koni!

(*potrzęsając, cucą i wiążą Helę.*)

A cały folwark podpalić dokoła!

Okrużyć twiordo szablą i nahajem!

Nic nie wypuścić, a z bliskiego siola

Pomoszcz rozegnać, w pień wysiec . . .

KOZACY.

Słuszajem!

HITROW.

Nu, marsz rebiata! a patom zapłata . . . .

(*Wszyscy wychodzą, zabierając nieprzytomną Helę.*)

## SCENA II.

Przed młynem, widać łunę gorejącego folwarku.

HANA (*wbiega z rozpuszczonemi włosami.*)

Aj waj! mordercze i klęte zbójniki!

Ledwom uciekła z nieszczęsnego dwora!

Zabili! we krwi . . . czerwone ich piki,

Ona przy koniu . . . zemdląła i chora!

Trąby ich wyją — dzień sądny . . . świat kona!

Rozwalcie kamień — wy Machabeusze!

W ratunek wstańcie, bieżajcie, gdzie ona!

(*chwytając się za głowę*) Aj! włos mój wydrę! skronie  
[pięścią skruszę!

W tę ziemię żywcem, jak Natan się wkopię!

Takie straszności!! ogień w krwi ukropie

Rwie się aż w niebo w rozczochnym snopie,  
Jak gady świszczą — oszalały trzaska!  
Wre aż z pod ziemi . . . z tej kirkutnej ciszy . . .  
A znikąd litość, ni cudowna łaska!  
Co też Bóg robi . . . gdy taki gwałt słyszy?!

*(patrzy chwilę w niebo)*

Nu! niechaj zginę — a jej nie opuszczę,  
Pójdę ich błagać, skomlić, na kraj świata . . .  
Ręce u nóg ich owinę jak bluszcze,  
Niech je ten zbójnik swą szablą rozplata!  
Niechaj mnie kopią swoją w szporniach nogą!  
Lecz moich jęków — Goliaty nie zmożą! . . .  
*(Wybiega.)*

### SCENA III.

Grupa włościan zbliża się trwożliwie i przypatruje  
pożarowi.

#### 1. MEŹCZYZNA.

Het otoczyli ogień dookoła —  
Nikiej ratunku, pomocy ni ździebka . . .  
Nie wymknęłyby nawet się jaskółka,  
Bo Moskal zła krew, sposobna i krzepka!

#### 1. KOBIETA.

Chudoba ryczy — i żywcem się pali,  
Psi w budach wyją, na gwałt rzą łoszęta —  
A tu śmiech ino, zgrzyta od Moskali,  
Strach! syzmatycka dusza jest zawzięta!  
Na niebie łuna, by jasnością bożą,  
W ziemię spoziera . . . w srogie dziwowiska!  
Że się pioruny na nich nie otworzą . . .  
Kto je tam zaparł? czy ten, co je ciska? !\*)  
— Obaj paniska — śmiercią legli pono . . . .  
Panienkę naszą stoczyli do koni,  
Jakby trupeczka z pokojów wleczono —  
Niech ją Najświętsza Panna teraz broni!

---

\*) Lud mówi, że piorunami strzelają duchy planetniki.

## 2. MEŹCZYZNA.

Ba! juści ony chyba zwarzowały!  
Te bunty czynić w pakość cesarzowi!  
Przed nim na klęczkach dziś stoi świat cały . . .  
Každy król musi, co car postanowi,  
Gdzie zaś kto sływał, by ta garstka panów  
Zdużyć mu mogła, jawszy się za bary?!  
Jeno się jeden tu z drugim zastanów . . .  
Tożto chudziątka, a tamto poczwary!

## 3. MEŹCZYZNA.

I o pańszczyznę ponoś ci się biją . . .  
Bo, mi pop z djakiem na wyrozum gada:  
Co by wygrali — to z krzywdą niczyją,  
Tylko ci z chłopską — bo to pańska zdrada! . . .

## 4. MEŹCZYZNA.

Kumie! plecieta! oni chcą inaczej . . .  
Śpiewają: „Wróć nam wolność i Ojczyznę!“

## 5. MEŹCZYZNA.

A to też wolność — do pańszczyzny — znaczy!  
Jak wydrą miskę, to ci z niej nie liznę . . .  
Co z łaski dadzą . . . niełakom i złodziej . . .  
A znów Ojczyzna — ojcowizna: jedno!  
To grunt, to rola, w której się człek rodzi,  
I z niej bogatszy ma część odpowiedną,  
A bez niej tylko żyją jak dziad, tacy . . . .  
A że panowie, to znowak bogacze,  
I ojcowizny mają doś bez pracy —  
To po cóż buntem każdy z nich kołacze  
O to, co dierży, czego ma do syta? . . .  
To o pańszczyznę te bunty — widzita!

## 6. MEŹCZYZNA.

Co się wam ino tylko we łbach troi?  
Ja znam na księżce — tam jest wedle prawdy,



Że o pańszczyznę dziś szlachta nie stoi,  
Bo już jednako nie może być zawdy.  
Dawniej tak było — potem, same pany  
Chciały darować nam pańszczyznę swoją —  
Ale się Moskał tem czuł zestrachany,  
Takci im wydarł, co z wolą dajali —  
I ze swej ręki na obmanę naszą,  
Dał, rzekąc: „Macie to z łaski Moskali!“  
I odtąd głupich tą pańszczyzną straszą!

## 7. MEŹCZYZNA.

My, po staremu, jak ojcowie nasi,  
W książki nie patrzym — bo my na to ślepi . . .  
I nikt nas bajką żadną nie przyłasi —  
A z ludzkich gadek mądrzyśmy najlepiej!  
A wdy te książki — to piszą panowie —  
To tam jest wszystko, co dla nich się przyda . . .  
Na to mówięcy — wyraźnie wam mówię:  
Lepiej niż książki, poradzić się żyda!  
I tak mi kapral szeptał w wojsku ciszkciem,  
Że szlachta za nas się im sprzeniewierza,  
Że każdy szlachcic naszym jest opryszkciem,  
A w wojsku prawdę mówią jak z pacierza!

## 8. MEŹCZYZNA.

E! paskudniku! (uczciwszy dzień święty)  
Aż słuchy puchną z syzmatyckich bajek!  
Z tego sółdactwa gonisz niby w pięty . . .  
Tam rozum skrył się z moskiewskich nahajek!  
Przecież i księża w tej sprawie z panami,  
A oni wiary katolickiej strzegą. —  
I car swe ręce w krwi kapłanów plami!  
Toż przyjdzie wojsko od Ojca świętego . . .

## 2. KOBIEȦA.

Jeśli chcą dobrze . . . niech Bóg błogosławi,  
A w krzywdzicieli niechaj pomsta padnie!  
Ze swoim w swarze . . . będzie nawet prawiej,  
Niż z cudzym w zmwowie przemyśliwać zdradnie . . .

Najprzód się panów Moskale najedzą —  
Później za chłopską zechcą popaść miedzą . . .  
Wilk najmocniejsze pierwej owce chwyta,  
Potem i słabszych, jak głodny — nie puści —.  
Mówię wam prawdę — chociaż jest kobieta!  
Chodźta już do dom!

WSZYSCY (*zadumani.*)

A juści! a juści! (*Oddalają się.*)

## SCENA IV.

Wpadają na koniach powstańcy, na ich czele  
Jan Rolski, przy nim kapelan, Staszek i pieszo oj-  
ciec Hany.

JAN (*do ojca Hany.*)

. . . . Więc wiesz z pewnością, że porwali pannę?

OJCIEC HANY (*chwytając się za głowę.*)

Aj waj! Sodome! cała wieś patrzyła!  
Gdzie moje Hane?

JAN.

Czy widzieli ranę?

Bo krew na drodze.

OJCIEC HANY.

Ona, trup bez mała . . .  
Przy koniach wlekli . . . morderzniki wściekli!  
W jednej sukience, w postronkach, w mróz taki!  
Śnieg, niby chmury, wzbijał się z pod koni . . .  
A te zabiwce, jak smoczyste ptaki,  
Z dziobami pik swych, krakały koło niej!

KAPELAN.

Strach cię stumanił! może ci się zdaje?

OJCIEC HANY.

Weh! mnie się zdaje? a któż za mnie patrzy?

STASZEK (*d. s.*)

Ha! bez-sumienia paskudne hultaje!

JAN (*z rozpaczq.*)

Okropna zbrodnia! Jeden pójdzie na trzy! . . .  
Za nimi w pogoń! Nawet koniec świata  
Straszniejszych, czarnych obrazów nie stworzy . . .  
Serce mi w piersiach, jak młot, w grób kołata!  
Zemsta, jak tygrys urwany z obroży,  
Kły ostre wpija w drgające me ciało . . .  
Czuję te żądla . . . szum kaskady w głowie!  
Tak wszystko we mnie kipiátkiem zawrzało,  
Żem spłonął w sobie, a skier tryska mrowie . . .  
Jedynka w trójkę! bo ich trzykroć tyle.  
Marsz! za mną bracia!

KAPELAN.

Tak, zbyt drogie chwile . . .  
(*Oddalają się w galopie.*)

OJCIEC HANY (*sam.*)

Gdzie ona poszła? bachorzátko moje!  
Co się z nią stało? nieszczęsny ja stary!  
Żona pomarła —, dla Hany się znoję,  
Dźwigam kamienie i zbieram talary —,  
Ona tak tamtę lubowała Hełę,  
Że z tych żalościów gdzie się już zabije,  
I drogie perły, srebrzyste manele  
Po niej, ja na śmierć . . . na swą włożę szyję!

(*chwytając się za głowę*) A! wah! w przereźniętą nasko-  
[czyła może . . .  
Ratuj i ty ja, chrześcijański Boże! (*Wybiega.*)

## SCENA V.

U popa. Wódka we fiaskach na stole. Worki pełne, ustawione przy ścianie.

JERMYŁ WOŁKOW pop, CHMARA wójt.

JERMYŁ (*pijąc do Chmary.*)

Nu, wasze zdrowie!

CHMARA.

Ha, do nóg się kłaniam.

JERMYŁ.

Cztoby my lepszych czasów doczekali —  
Sprawili pogrzeb — dziedzicam i paniom.  
I bez tej szlachty żyli sobie dalej . . . .

CHMARA (*skrobiąc się w głowę.*)

A! co tam życzyć — zlej śmierci bliźniemu . . .

JERMYŁ (*nalewając kieliszek.*)

No, pić Chmaro. Wy durne muzyki!  
Nie wiecie nigdy, czyj towar? po czemu? . . .  
I chociaż kupiec możny i wielki . . .  
Na pewnym czasie . . . dałby za pół darmo —  
To wy się małej ceny zestrachacie  
Za towar, który byłby wieczną karmą  
Dla was i wnuków, z głodu mrących w chacie.

CHMARA (*po wypiciu.*)

Et, gdzie dziś darmo! . . . takich głupich nie ma.

JERMYŁ.

Głupich, nie głupich — no łaskawców mało!  
(*pijąc do wójt*) Nu — do was wójt.

CHMARA (*żartobliwie, biorąc kieliszek*).

Rękami obiema!

JERMYŁ.

Tak ciężkich czasów się tu dosiedziało . . . .  
Dziś — tylko nasze — kto wie, czyje jutro? . . .  
Pany się przeciw carowi podnieśli!  
Trzeba wdziąć na się mądrze lisie futro . . .  
A do szubienic pozapraszać cieśli.

CHMARA.

A kogoż wieszać?

JERMYŁ.

Buntowników bracie!  
No a wy chłopci — jeśli tu spokojno  
Będziecie żyli, zmanić się nie dacie,  
To dla was szczęście napłynie z tą wojną.  
Car, samodzierżca Rosyi, pan Jewropy,  
Brać was w żołdacy siedm lat nie będzie,  
W той czas — podatków nie zapłacą chłopcy,  
I muzyk tylko stanie na urzędzie.  
Dadzą sól darmo, tytoń i tabakę,  
Horyłku warzyć — każda musi gmina.  
I wsiakij darmo, wypije tam takę,  
Co mu najśłodsza, dla zdrowia jedyna!  
(*nalewając w szklankę*) Ot, poprobujem tą szklane-  
[czką oba.  
Może się taka najlepiej spodoba? (*Pije.*)

CHMARA (*frasobliwie*)

Gdzie zaś szklenicą? to wielga ryzyka!

JERMYŁ (*podając mu pełną szklankę.*)

Pies tylko muchy maleńkie połyka —  
Nasz brat, jak lewar, gdy pociągnie z dołu,  
To zakasuje najtęższego wołu!

CHMARA (*biorąc szklankę.*)

A juści prawda — trunek tehu dodawa —  
Po trunku chybniej każda leci sprawa.

JERMYŁ (*znacząco.*)

Czy wiecie Chmaro, co w tych workach siedzi?

CHMARA (*przypatrując się.*)

Zboże, nie zboże . . . ba! i nie ziemniaki . . . .  
Srebrać by tyle! . . . za dużo i miedzi . . . .  
Musi nie zgadnę — ki by djabeł taki? . . .

JERMYŁ.

Tam chłopskie szczęście dycha jak kot w worku . . .  
Przyjmcie go tylko — a jużście pany.

CHMARA (*żartobliwie.*)

Żeby od wojny, ognia i pomorku,  
Jakiemi zioły każdy był wypchany . . . .

JERMYŁ (*otwierając worki.*)

Od wsiego złego! chodźcie, zobaczycie.

CHMARA (*przerażony.*)

O! Jezu! wszystko . . . ino tylko noże!

JERMYŁ.

Niemi wypłoszyć z waszych panów życie,  
Każdy jak zechce, to już siejczas może!

Wszystkie, święcone w Petersburgu mieście —  
Są z carskiej dłoni — to sobie je weźcie!

CHMARA.

A mam co potem?

JERMYŁ.

Byście lasy, niwy  
Waszych dziedziców — na swą rzecz chwycili —  
Gdy szlachcic żaden nie będzie już żywy,  
A krew wypiją sobaki tej chwili.

CHMARA (z *oburzeniem.*)

Co? krew rozlewać swojego bliźniego?  
Niech nas od zbrodni święci Pańscy strzegą!

JERMYŁ.

Co, ty oszalał? czy ty głupi Chmara?  
Taże ci mówię, że to jest od cara!

CHMARA (z *godnością*)

Ale sumienie znowak jest od Boga!  
I za zabójstwo — w wieczność — kara sroga!

JERMYŁ.

Nu, gdy car każe — grzech bierze na siebie —  
Już on tam sobie poradzi z tem w niebie . . .  
Wszak posłuszeństwo przysiągłeś monarsze,  
Toż od sumienia przecież ono starsze?!  
Dziecko ma służyć swojej matki, pani!  
Za grzechy dziecka — rodzice karani.  
Car naszym panem i ojcem jest zawsze,  
Jego rozkazy są święte, najprawsze!  
A nasze dzieła on kiedyś rozpowie  
Carowi niebios, panu Jezusowi.  
Jak tamten w niebie, tak jest ten na ziemi —

Tamten ma świętych — ten, pod sobą ludzi!  
Swojemu ojcu bądźcie posłusznymi —  
A nikt sumienia swego, tem nie zbrudzi!

CHMARA.

A, z przeproszeniem — ale w takiej rzeczy,  
Nic nie poradzi nasz rozum człowieczy,  
Ni jaka gadka, ni różne wykrety . . . .  
Bo za krew bratnią, każdy jest przeklęty!  
Tak było pierwej, takóž jest i tera,  
Zawdy się zbójnik marnie sponiewiera,  
A z cudzej części nikt sadłem nie błyska.  
Przez to też głodne wieczyscie — wilczyska! . . .

JERMYŁ.

Jaki ty śmieszny! aż mi ciebie żałko —  
Ja mądrze gadam — a ty głupost' pleciesz . . . .  
Czy tak, czy owak — „nie kijem, to pałką“,  
Jak durak, pastuch, a wójt jesteś przecież?!

CHMARA.

Do tych mądrościów — to już nie muzyki . . . .  
To rozmiarkują — wielkie urzędniki!  
Uczone w piśmie i z naczalstwa głowy . . .  
Do czego każdy zdatny i gotowy!

JERMYŁ.

Złeż by wam było — w tych pałacach pańskich,  
Siadłszy na sofie, wzięwszy się pod boki,  
Być niby królem na tronach pogańskich . . . .  
I mieć pod sobą cały świat szeroki?!Fajeczkę kurzyć, na złotym salonie  
Winko pić dzbanem — jadać mięso codziem,  
Brać z pełnych obór, nie pytać się o nie,  
Niesć zwierza z lasu, nie bać się jak zbrodzień,  
Na cztery konie jeździć tudy siudy,  
Hulać w bucikach, nie w chodaku starym,  
I nie czapkować zdala pańskiej budy . . . .



Tylko przed samym najjaśniejszym carem!  
Wszystko ja to wam cudownie otworzę . . . .  
No, wójcie Chmaro! zabierajcie noże!

CHMARA (*po chwili wewnętrznej walki, klęka.*)

Ustrzeż nas Panie! od pokusy srogiej!  
Spójrz miłosiernie na mą nędzną chatę,  
Na me chudziątka, których bosa nogi  
Luty mróz kąsa i ściernia kołczate;  
Na mą chudobę, co nas z łaski Twojej  
Odziewa, żywi i pokornie służy,  
A z tych, co i my, pije wodę zdroi,  
Wie nasz dostatek i przednowek duży! . . .  
Spójrz na zagony, co siermiężne w żyta,  
Matczynną piersią karmią nas ubogo,  
Na których makiem łza nasza zakwita,  
Że się z niej głodni pożywić nie mogą.  
Niechaj zawiści nie trapią nas moce,  
Jak jadowite wedle serca węże!  
Niech z własną dolą każdy się szamoce,  
A cudzej krzywdy nigdy nie dosięże!  
Od bratobójczej chroń nas Panie, zbrodni!  
Zostaw nam ręce czyste, chocia twarde,  
Abyśmy byli zmartwychstania godni,  
Zewlókłszy z siebie bezecność i wzgardę!  
(*Wstaje i nie patrząc na popa, wychodzi ze złożonemi  
na piersiach rękami.*)

JERMYŁ (*sam.*)

Tfu! skandal bolszyj! co tu człek dokaże  
Na katolickie zczarowane sztuki?  
A prawosławni moi parafiarze  
Nic mi zawierzyć w tem nie chcą, dopóki  
Choć jednej łaski car nie da im wprzód,  
Nim by się wzięli do polskiej paskudy! . . .  
(*wykrzywia się wstrętnie.*)

Ja was nauczę, wy proklate chamy!  
Jak nauczyłem Darskich w tej miatieży,  
Naczalstwu pisząc, że bunt u nich mamy,  
To im się spleta wieczysta należy . . .

No tut, bez chłopskich opałów z panami —  
Nie wiem, czy przyjdzie archirejstwo ku mnie?  
Bo tylko za to, gdy się nóż ich splami,  
Dadzą tę godność czestno i rozumnie!  
Wsiotaki, z djakiem pogadać ja muszę,  
Może w cyrograf... on złowi te dusze... (*Wychodzi.*)

## SCENA VI.

Las. Oddział wojska moskiewskiego — na czele:  
major, porucznik, podporucznik. Major wskazuje żoł-  
nierzom pałaszem las, w który oni wchodzą, a ci  
trzej zostają na drodze.

### MAJOR.

Wot tu, zaczekać kazał nam Nikita;  
W razie powstańców za nami pogoni,  
Byłaby pomoszcz jemu znamienita!  
I nie on, tylko zginęliby oni.  
(*p. chw.*) Czort znajet bratcy! co to z tego bude?  
Bo jakby wszyscy podnialiś Polaki,  
Oj, to byłoby nasze życie hude . . . .  
W matuszku Moskwu drapałby wszelakij,  
I toczas Francuz wdałby się w to dieło,  
Oddać by trzeba — więcej . . . niż się wzięło!

### PORUCZNIK.

Niet! oni wszysecy teraz nie powstaną —  
Bo ja się uczył tak w kadeckiej szkole,  
Że u nich zgoda tylko jest obmana!  
Jak jeden głaszcze, drugi siejczas kole,  
Bo to niesforne i buńczuczne ludy:  
Jak jeden tudy, drugi woła: siudy! . . .

### PODPORUCZNIK.

No, to i prawda — ale tylko w mowie  
Oni niezgodni, zadioreczywi w kłótni!  
Jak przyjdzie bić się, bracia co się zowie,

Wszyscy by jeden! szaleni! okrutni!  
— Ja raz w Warszawie wszedłem do piwiarni —  
Ot tak niemnożko podkutit' coś sobie . . .  
A tam Polaki jako biesy czarni,  
Kłóca się, pięści każdy wznosząc obie . . . .  
Czut', czut', przykłada serjozno do nosa,  
Zębami zgrzyta, nogami wywija,  
Jako wół ryczy, łbem mierzając z ukosa,  
Kurczy się, skacze, wykręca jak żmija!  
A w tom — ujrzeli mnie te miatieżniki,  
I jak nie krzykną: „ten lotr nas podgląda!  
Na bilardowe weźmy jego piki!“  
I wszyscy na kark, jakby na wielbłąda,  
Wpadli mierzawcy, i nuż mnie okładać!  
„Ty (wrzeszcze) szpiegu! masz od nas przestrożę,  
Byś nie śmiał więcej, razem z nami śniadać!“  
Wołam: pomiluj! oddychać nie mogę!  
„To idź na wolne wietrzyki“ . . . powie,da,  
I za drzwi ciska — proklata czereda! (*Słychać  
tentent.*)

MAJOR.

Baczność! już idą — skryjmy się do lasu. (*Ustępują.*)

## SCENA VII.

Nikita Hitrow z oddziałem żołnierzy. Helę widać, związaną na kibitce — potem major.

HITROW (*daje na świstawce sygnał — wybiega z lasu  
major.*)

Zdrastwujcie bratcy! tut . . . (*kiwając ręką.*)

MAJOR (*salutując.*)

Zdrawia żelajem!

HITROW.

Dawno jesteście?

MAJOR.

Przyszli my zawczasu.  
Pędząc żołdatów i konie nahajem.

HITROW.

Ot, w samą porę — dobrze się to nada . . .  
Bo mi już doniósł nasz Jermyl batiuszka,  
Że nas ma ścigać powstańców gromada,  
(*wskazując na Helę.*) A kiedy w sieci taka wpadła

[muszka,

To nie jednego ściągnie nam pająka . . .  
Przy koniu mdlała — w kibitkę ją wziąłem,  
Niech zamiast dzwonka, zębami pobrząka,  
Albo wyfrunie, jeśli jest aniołem . . . . .

(*daje znak pałaszem, uwożą ją w las*)

— A my zdiełajmy zasadzkę pogoni:

Po obu stronach, w lesie, stanieniem drogi —

Mój oddział legnie, gdy nadbiegną oni,

A ty ich w ogień weźmiesz gęsty, srogi,

I gdy w zamieszczę wpadną miatieźniki,

Z dwóch stron obydwaj pchniemy ich na sztyki!

(*słychać tentent koni*) Nu major śmiało, czto by się  
[udało . . . (*Rozchoǳą się w przeciwnne strony.*)

SCENA VIII.

Staszek i Grzela (*pędząc na koniach zatrzymują się tutaj.*)

STASZEK.

Hola! tu stanąć ma nasza pikietta.

GRZELA.

Czemu nie dalej?

STASZEK.

Bo za lasem miasto —  
Dalej ich ścigać przeciek nie możeta.  
Wodzowim pedał, że ich trzykroć na sto  
Naszych biedaków — i harmaty mają —  
To jakżeż począć z tak niezmierną zgrają?

GRZELA.

Samżeś rachował, i o wszystkim wiesz ty?

STASZEK.

To ojca twego rachunek — Topniaka,  
A i ja takż nie głupim do reszty . . .  
Bo kiedym wlaźł tam, przebrany za djaka,  
I krętu . . . mętu . . . po koszarach szłapię . . . .  
To sobie liczę kozackie wywłoki,  
Roztwieram gębę, jak to czynią gapie,  
Niby to na dach patrzę, że wysoki . . .  
A pod okapem przezieram harmatki,  
I jaka gardziel jest w tej bestyi gładkiej!

GRZELA.

Ale nam prędko z przed nosa uciekli.

STASZEK.

Och! za tych Darskich i za pannę Hełę  
Bodaj się jak psy z tej nagłości wściekli!

GRZELA.

My im sprawimy — obaczysz — wesele! . . .

## SCENA IX.

Ciż; powstańcy nadchodzą, na ich czele Jan Rol-  
ski i kapelan.

JAN.

A co tam Grzelo? czy nic nie widzicie?

GRZELA.

Nic a nic zgoła — tylko dreszcz przebiega . . .  
Duch w głąb się chowa, jako mnich w habicie . .

KAPELAN.

Boś zmarzył siarczyście! (*do Staszka*) A cóż twój  
[kolega?

STASZEK.

Mnie ino jakoś chybciej serce puka,  
Żeśwa nie mogli dojąć się Kałmuka,  
I wielga żalność po jelicie burczy,  
Jakbym miał pasik na sobie jaszczurczy . . .  
A każda sosna, jak śmierć na mnie kiwa,  
I pyta: czy tam wasza panna żywa?

JAN (*drgnąwszy.*)

Ach! to przez ciebie słyszę głos komendy,  
Wyższej nade mnie i nad wszystkich ludzi!  
Ona jest zawsze i znajdzie ją wszędy . . .  
Z rozpaczcy, zwątpień — do czynu nas budzi.

KAPELAN.

A więc uradźmy, jak działać wypada —  
Rozum — namiętność niech w wędzidle trzyma!  
Bo krok szalony — to w nas samych zdrada,  
Co najtęższego powali olbrzyma!

JAN.

Ha! rada krótka! korzystajmy z chwili,  
Nim się nasycą swym tryumfem z zbrodni,  
I tym aniołem, którego chwycili —

Zacznijmy walkę za Niewinną — od niej!  
Bo czyż godniejsza jest apoteoza  
Tej świętej Polski jako w tej dziewicy?  
Krwiań ociekniętej z siepaczków powroza,  
Srebrnej, promiennej — by światłem gromnicy  
Na grobie naszej zaśniętej macierzy,  
Z której grom życia w jej katów uderzy! . . .  
Niech ona wiedzie nas w te arcydzieła,  
Gdzie się już ludzka rachuba minęła;  
Gdzie wieki w chwili i cały świat w piędzi . . .  
Dla tych, co przyjdą, dzisiejszych nie szczędzi!

STASZEK (*n. s. do Grzeli.*)

Strach mądrze gada — ni kęs nie rozumię . . .

KAPELAN.

Więc jakie wodzu, masz na myśli plany?

JAN.

By naszą pierśią w tym piekielnym tłumie  
Najpierwszy wyłom dziś był rozplątany!  
Dziś — całą siłą poświęceń i ducha  
Wpadniemy na nich jak smoki skrzydlate!  
Niech krew im nasza w potopy wybucha  
I w wir ten wchłonie na wieczną zatrąbę!  
Marsz bracia zamną! formuj się trójkami!  
A mężnie, śmiało! śmierć zawsze przed nami . . .

(*W tej chwili rotowy ogień Moskali z lasu — zgiełk i zamieszanie — spadają z koni zabici.*)

## SCENA X.

Ciż, Nikita Hitrow. Ustają strzały — walka na bagnety i pałasze. Powstańcy w koło otoczeni, zdala widać na kubitce Helę, błogosławiącą bój.

HITROW (*kryjąc się za żołnierzy, wskazuje na walczących koło niego Jana, Kapelana, Staszka i Grzelę.*)

Etich wzięt' żywcem!

JAN.

Nie chowaj się tchórz! —  
Chodź tutaj do mnie!

KAPELAN.

Za kogo się bijesz?

HITROW.

Za swego boha — toż ja caru służy!

JAN.

Więc twoje zbrodnie, powiedzże mi, czyjeż?! . . .

HITROW.

Dowiesz się o tem, i to niezadługo . . .

KAPELAN.

Komu krew chowasz, kiedyś carskim sługą?

JAN (*raniony bagnetem, spadając z konia.*)

Rąbacie ich bracia!

KAPELAN (*ranny, pada na wznak z konia.*)

Niech Bóg błogosławi!

HITROW (*wskazując na Staszka i Grzelę.*)

Etich dwóch jeszczu! jak węże szeleszczą!

GRZELA (*siekąc pałaszem rąbiących go i Staszka.*)

Ha! gińmy Staszku, jak Polacy prawi!



## Obraz III.

Audytorjum sądu wojennego. Stół pokryty zielonem suknem. Prisutstwie.

### SCENA I.

Hitrow, major, porucznik przez wszystkie sceny indagacji pisze protokoły zeznań. Jan wprowadzony przez dwóch z karabinami żołnierzy. Posługacze więzień.

HITROW (*do Jana*).

Nu, wodzu polski — teraz bij się ze mną . . . .  
Gdzie twoja chrabost' i szlachecka pycha?  
Jakoś ci z nami, widzę, nieprzyjemno,  
Cichońko, kornie, pierś twoja oddycha.  
Nu! komenderuj — rzeknij chociaż słówko!  
Czyś się tak zmartwił tamtą samolówką?  
Nie wstydz się, nie bój! tu nie świszczą kule,  
My jak z kochanką, pogadamy czule . . .  
(*śmiejąc się*) Ha! ha! wciąż milczysz . . . powiedzże  
[mi bratku,  
Kto do spiskowych z powiatu należy!  
Z kim miałaś czynność swoją na ostatku?

JAN.

Ja nic nie powiem.

HITROW (*groźnie*).

Bo zwlekę z odzieży,  
I pod pałkami wyśpiewasz do joty! . . . .

JAN.

Jużeście siekli mnie w więziennej celi,  
I przechodziłem przez różgowe roty —  
Prócz krwi — cóżeście ze mnie wycisnęli?!

HITROW (do majora.)

Ha, major! słyszysz, jak beczelnie kłamie?

MAJOR.

A któż to widział, jak tam ciebie siekli?

JAN.

Wyście obydwaj stali wtenczas w bramie,  
I nie jak ludzie, jak szatany wściekli! . . .

HITROW (do posługaczy.)

Wziat' go w łańcuszki! to skwierna sobaka!  
Ale ze śrubką wdziac' mu bransoletki,  
Śrubka do pulsów, to znaczorka taka,  
Że przy niej niedźwiedz w pazurach za wietkij . . .  
(*Posługacze skuwają Jana ręce na krzyż w obrączki  
ze śrubą. Twarz Jana drga w kurczach z bólu, w skutek  
zagłębiającego się w ręce żelaza.*)

HITROW.

Nu, połno . . . będzie spokojniejszy trocha,  
(do Jana) A teraz pytam się ciebie raz jeszcze,  
Kogo tam z twoich ta Polska, macocha,  
W tych buntów wraże uchwyciła kleszcze?

JAN.

O nikim nie wiem — i nic nie wypowiem!  
Nie dla macochy, lecz dla świętej matki  
Poszedłem w służbę — krwią, duchem i zdrowiem!  
Pod stopą z nożów będzie mi grunt gładki,  
Kły knutów w ciele, dotknięciem kochanki  
A harpja głodu jako balsam w trzewa —  
(*podnosząc ręce*) Z habrów girlandy, te żelazne  
[wianki . . .

A ryk was dzikich . . . to mi słowik śpiewa --  
Bo myślą, sercem, padłszy pod jej nogi,  
Tem mniej cios czuję, im bardziej jest srogi!

HITROW.

Ha! popróbijem . . . (*do postługaczy*) ściśnijcie ser-  
[deczniej!  
(*Ci wypełniają rozkaz, cierpienia Jana szarpia mięśnie  
twarzy.*)

MAJOR.

Nie lepiejże to i mądrzej byłoby,  
Zawołać: pardon, jak czynią waleczni . . . .  
A nie uporem kopać sobie groby?

HITROW.

Mnie Jermył Wołkow, wasz sąsiad tak bliski,  
Mówił, że u was knuły się te spiski —  
I wszystko znam już — tylko mi potrzeba  
Do tego masła, choć troszynę chleba . . . .  
To jest: wymienić niechby osób parę . . . .  
A za to zmniejszą o połowę karę —  
W przeciwnym razie — dziś jeszcze powieszę  
Na jednym słupie z tobą twoją rzeszę!

JAN.

Czyn pułkowniku twe szlachetne dzieło!  
Nie groź i nie kuś! to daremna praca —  
Wszak nie od ciebie piekło się zaczęło,  
I nie na takich ono się zatracą . . . .  
Nikt od tygrysa nie żąda litości,  
Od lodu, żeby wybuchnął w pożary,  
Od węża, by gad pełzał kiedy prościej,  
A nie plamiły dziewczątek Tatarzy!  
Kto już jest w szponach — ten wiedzieć powinien,  
Że swem jelitem drapieźnych nasyci;  
Że, gdyby nie z żył, lecz krew biegła z rynien,  
To zawsze głodni jej będą handyci!  
A dzięki bestje o tyle są lepsze,  
Że od swych łupów pokory nie pragną;  
Bo ona śmierci nigdy nie odeprze,  
Lecz ducha graży w czarnej hańby bagno!

HITROW (*szydlerczo.*)

Żeś nie jest księdzem — bardzo mi to żałko!  
Bo byś kazania bajał niepoślednie . . . ,  
Lecz gdy nie wyznasz, jeszcze raz pod pałką,  
Na szubienicy dziś tve liczko zblednie . . .  
Wziat' go w ciemnicę! położyć na lody . . . .  
Jak się ochłodzi ten Polaczek młody,  
To będzie mówił nam więcej do rzeczy,  
I z tych się kazań — z pewnością uleczy!  
(*Wyprowadzają Jana.*)

JAN (*odchodząc.*)

W mękach jam twardy — jak ty wśród wzgardy!

## SCENA II.

Ciż — żołnierze przyprowadzają Grzelę.

HITROW (*do Grzeli.*)

Wiele ty lat masz, szalony hultaju?

GRZELA (*hardo.*)

Co panu po tem.

HITROW (*zapalczywie.*)

Opowiadaj łotrze! (*Grzela milczy.*)  
(*do posługaczy*) Sozczutkiem pod brodę, a dobrze!

POSŁUGACZE (*wypełniając rozkaz.*)

Słuszaju! (*Grzeli krew z nosa*  
[*wybuch.*])

HITROW (*szydlerczo.*)

Daj mu chusteczkę — niech smarkacz nos otrze . . .  
(*katowany przyjmuje chustkę*)  
(*łagodniej, pokazując stos imperjałów*)

Widzisz to złoto? będziesz miał odrazu  
Wszystko dla ciebie, jeśli prawdę samą  
Chętnie powiesz — nie tak, po przykazu . . . .  
Lecz jak przed tatkiem, albo twoją mamą.

GRZELA (*odwracając się ze wzgardą od złota.*)

O sobie prawdę powiem dobrowolnie  
I o tych, którym prawda nie zaszkodzi . . . .  
Więcej nie wyznam, choć mię bagniet kolnie,  
Knut zszarpie ciało — zcierpię to najśłodziej!  
Zresztą już różgi próbowałem wasze,  
Toć żadną męką ja się nie przestraszę!

HITROW.

Ile ty masz siostr i rodzonych braci?

GRZELA.

Jestem jedynak i mam lat piętnaście.

HITROW.

Kto u was bywa?

GRZELA.

Ten, co za but płaci . . .

HITROW.

Dom macie?

GRZELA.

Szydło, dratew — nasze włascie,  
W komornem siedzim.

HITROW.

Byłeś w jakiej szkole?

GRZELA.

Skończyłem cztery gimnazjalne klasy.

HITROW.

Czemu nie więcej?

GRZELA.

Bo buty szyć wolę  
W te wiekopomne, dla uczonych . . . czasy!  
Matka wciąż w łóżku — sparaliżowana —  
Słabość drze równo nędzarza i pana.

HITROW.

Czy cię rodzice pchnęli do miatieży?

GRZELA.

Ojczyzny bronić swą wolą się bieży —  
Przymusu na to, pozwoleństw nie trzeba,  
Jak do modlitwy, pracy na kęs chleba.

HITROW.

Czy nie bronili, jakeś się zabierał?

GRZELA (*z ironją*).

Mam ja swój rozum — niech się pan nie sili . . .

HITROW (*do majora*.)

To na szatana przestroiny futerał . . .

MAJOR (*do Grzeli*.)

Wszak błogosławią zawsze, w takiej chwili?

GRZELA.

Niech pan rodziców swoich też przypomni . . .  
To będzie pytał o to — nieco skromniej . . . .

HITROW.

Mówże mi jasno, zwarzowany malcze!  
Bo ja tu chłostą, tve grymasy zwalczę!

GRZELA (z entuzjazmem.)

Bić nie ma gdzie już, boście skórę zdarli!  
Rwijcie mi ciało od kości cęgami!  
Zginę w torturze! lecz tacy umarli —  
Niezwyciężeni! żywi są przed nami . . . .  
Gdybym się drugi raz rodził na świecie  
I nie zapomniał tej waszej katowni,  
Inaczej niż dziś, nie mógłbym żyć przecie,  
Ni krzywdy Polski przeklinać wymowniej!  
Wiem co mnie czeka — śmierci się nie trwożę —  
I oto patrzcie — jak gryzę obrozę!  
A choć me lata zdają się dziecięce,  
To rozum dojrzał w tej mongolskiej męce.  
Gdy innym dusza w niewoli przebrzydła,  
To nam przeciwnie rosą wtomiast skrzydła —  
Duch wielki wieszczów\*) w naszych piersiach skrzy się,  
Którego szpony nie zgaszą tygrysie!

HITROW (szyderczo.)

Nu, sławno! tyleś skazał zdraudnych rzeczy —  
Że już ci na to — nie znajdzie doktora . . . .  
Niech szubienica z tego cię wyleczy,  
Bo twa duszeńka śmiertelnie jest chora!  
Tymczasem wziat' go do ciemnicy jeszcze

---

\*) Manifestacje przedpowstańcze rozpoczęły się w Warszawie nabożeństwem żałobnym za Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego.

I chłosta, wygnać te zapaly wieszczę . . .  
Bo by tam świętych pobuntować gotów,  
I gromy ciskał z niebieskich namiotów!  
(*Wyprowadzają Grzełę.*)

### SCENA III.

Ciż, żołnierze wprowadzają Topniaka.

HITROW (*do Topniaka.*)

Nu, widzisz Topniak, jak wpadłeś w zatrzaski . . . .  
Twój syn, jedynak — zeznał tu wyraźnie,  
Żeś ty mu kazał, przeciw władzy carskiej  
Do buntu przystać. Ja ci sprawię łaźnię!

TOPNIAK (*po chwili namysłu.*)

Przepraszam bardzo, panie pułkowniku,  
Mój syn powiedzieć nie mógł tego zgoła!

HITROW (*gwałtownie.*)

Mnie kłam zadajesz, stary buntowszczyku?!

TOPNIAK.

W mym synu dusza jeszcze jest aniola.

HITROW (*do majora.*)

Wot twiordyj Polak — chitryj jezuita!

MAJOR (*do Topniaka.*)

Nie lepiejże wam, wyrzec prawdę szczerze,  
Zwłaszcza, gdy cała wina jest odkryta —  
Niż fałszem walczyć — aż złość i śmiech bierze . . . .

HITROW.

Wszak żal, przyznanie się do winy swojej,  
Zmniejsza zazwyczaj karę do połowy . . .  
Kazałeś mu iść?



TOPNIAK.

Kto w swych prawach stoi —  
Ma rozkaz w sobie, słuchać serca, głowy!

HITROW.

Lecz pozwoliłeś, mogąc wzbronić łatwo,  
Zamknąć do dziury? . . .

TOPNIAK.

Człowiek nie jest dratwą,  
Żeby za szydłem laził ślepo do dziury . . .  
Kiedy swobodę woli gdzie niektóry,  
A jeśli zważy, jak płynąć wypadnie,  
Nim go zahaczą, nurkuje już na dnie . . . .

HITROW.

Co ty mnie prawisz tutaj jakieś sztuczki?  
Tyś jego ojciec — a wola rodzica,  
Czy syn jak niedźwiedź, czy jak kret maluczki —  
Kieruje, zmusza i pałką oświeca.

TOPNIAK.

Jest jednak większa od nas rodzicielka,  
Nad wszystkich ojców i nad wszystkie matki —  
A tak dostojna i w sobie tak wielka,  
Iż dla niej skarby, krwi żywej ostatki,  
Každy dać winien, gdy zawoła ona,  
Że bez ratunku swoich dzieci — skona!

HITROW.

O takiej matce nigdy nie słyszałem.

TOPNIAK.

Wszystkich nas duszą ona jest i ciałem,  
Do niej się każdy uczciwy człek przyzna.

MAJOR.

Lecz jak się zowie ?

TOPNIAK.

Imię jej : Ojczyzna !

HITROW.

Car, pan ojczyzny — ona po nim drugą.

TOPNIAK.

U nas król każdy — był jej tylko sługą!  
Może inaczej jest za polską miedzą —  
Aleć to u nas nawet szewcy wiedzą !

HITROW (*gwaltownie.*)

Aha ! mierzawcze ! Kiliński pachnie ci ?  
Na rekolekcję marsz ! do cytadeli !  
(*szyderczo*) Spokojny żywot zapewniam waszeci —  
Nikt cię do butów wziąć się nie ośmieli;  
Będiesz tam miał czas, bez przeszkody, można  
Budować Polskę — kądzielą pajęczą,  
A biczowaniem na jej cześć pobożną  
Nie strudzisz ręki — bo cię w tem wyręczą . . .  
Mamy tam klatki — na różnego zwierza . . .  
Ta menażerja ciągle się rozszerza !

TOPNIAK.

Wola tam panów — martwym pod przemocą !  
Lecz ja mam żonę, paraliżem zdjętą,  
Mieście w sumieniu jej dolę sierocą,  
Straszną, męczeńską, gdyby mnie zamknięto ! . . .  
Toż inną karę wymyślcie łaskawie —  
Utnijcie nogę, wylupcie mi oko,  
Po żywym ogniu jako po murawie  
Biegać mi kaźcie — graźcie w toń głęboką !  
Niechaj konając wciąż wracam w to życie —

A tu zostawcie! bo oto widzicie,  
Że ona biedna, umrze marnie z głodu!

HITROW (*naigrawając się.*)

Nim w drogę pójdziesz — przyspieszę umyślnie,  
Byś widział, jak syn na stryczku zawisnie! . . .

TOPNIAK (*zadrżawszy nagle.*)

O tego nigdy! panie się zastanów!  
Nie uczyniłbyś takiej strasznej zbrodni,  
Choćby się sąd ten składał z stu szatanów,  
Toby w aniołów zmienili się od niej —  
Bo by litości łza im z ocz pociekła . . . .  
I potępieńców wybawiła z piekła!  
Może i wy tam dziatki także macie?  
A waszych ojców pamięć w piersi święta!  
W anielstwie jednych, w drugich majestacie —  
Niech wasze serce i o mnie pamięta. (*Opuszcza głowę.*)  
(*Hitrow daje znak ręką, żeby Topniaka wyprowadzili.*)

#### SCENA IV.

Ciż — żołnierze wprowadzają Helę — jednocześnie innemi drzwiami wchodzi Jermył Wołkow,  
Hitrow wskazuje mu krzesło.

HITROW (*do Heli z naigrawaniem.*)

Nu, proszu pani, do naszej spowiedzi . . . .  
Ale pamiętać koniecznie wypada,  
Że tu przed panią nie ksiądz proboszcz siedzi . . . .  
Więc za nieprawdę na tym świecie biada!  
Żaden tu wykręt i fałsz nie pomoże,  
Gdyś zawiniła — odcierpisz nieboże!  
Toż me pytanie — i zbrodnia jej cała:  
Czegoś do buntu chłopów namawiała?

HELA.

Gdzież są ci chłopci, którzy o to skarżą?

HITROW (*wskazując na Jermyła.*)

Wot pełnomocny — za nich tutaj świadczy.

HELA (*z wyniosłością pogardliwą.*)

Cóż to za drwiny ?!

HITROW.

Tylko nie z tą szarżą!

Bo na krwi przyływ mam środek zaradczy . . .

(*Pokazuje kozaka, stojącego z nahajką.*)

HELA (*j. w.*)

Nie bądź pan śmieszny tą pogrózką swoją —

Takich się środków tylko konie boją!

Człowiek jest wyższy od tortur narzędzi —

Bo trwogę przed nim zawsze śmierć odpędzi . . . .

Kat w jego ciele zdruzgotanem widzi

To, co na krzyżu . . . kiedyś mieli żydzi . . .

HITROW.

Nie szkoła tu jest polskiej retoryki —

Wprost na pytania odpowiadać trzeba.

HELA.

Dobrze — lecz usuń pan z pytań żarciki —

Do powszedniego to okrasa chleba.

Odkąd świat stoi, nikt nie słyszał tego,

Aby w zastępstwie mogli być świadkowie!

Ze słów, co z sumień jak ze źródła biegają,

Każdy za siebie, przez siebie — odpowie.

HITROW.

No, ale w wojnach — wyjątkowe prawa —

Wsiakij tą bronią, co najsroźsza, walczy.

HELA.

Lecz kto bezbronnych krzywdą się napawa,  
Ten bój prowadzi — nie ludzki, padalczy  
Bo żądło w łono niewinnego dziecka  
Może utopić tylko paszcz zbójceka!

HITROW (z uniesieniem.)

No! milczeć korno! (do Jermyle) Batuszka zeznaje,  
Że namawiała chłopów do miatieży?

JERMYŁ.

A tak, już mnogie zbuntowała zgraje!  
Wszystko jak ogień, dziś w popiele leży . . .  
Ot, przycupnęli, odkąd Jan rozbity  
Od pałkawodca, chrobrego Nikity!

HITROW (kłaniając się Jermyle.)

Wdzięcznym iskrenno! Błahorodne słowa!  
(do Heli) Ciekawym, co mi panna teraz rzecze?

HELA (z patosem.)

Jako w łupinie — w mowie myśl się chowa —  
Gdy jest plugawa — ciśnij ją człowiecze!  
I nie patrz w stronę, gdzie upadła ona,  
Bo zwierz nią gardzi . . . przeto, że splamiona!  
(p. chw.) Po tych torturach, po takiej męczarni,  
Co chcecie więcej? Małoż ze mnie żeru  
Mielście dotąd? Dręczycie bezkarni?  
Płynąc korabiem, gdzie kat jest u steru . . . .  
Czyliż w tem morzu, z naszej krwi spienionem,  
Już miejsca nie ma dla przelewu mojej?  
Czy chcecie, bym szła w mękach za skorpjonem,  
Co własne żądło przeciw sobie zbroi?  
O nie! jam Polka — na grobach kolumna!  
By upaść nędznie — za silna i dumna!

HITROW (*cynicznie.*)

A! i kolumny upadają czasem  
Przed ladajakim nawet Lowelasem! . . .

HELA.

Szyderstwo — jad, który niemoc zdradza,  
To w próżnej piersi, zgorzałej już — sadza! . . .  
Wzgardą i wstrętem od niej uciekamy —  
Ktoby z nią walczył — musi zdobyć plamy . . .

JERMYŁ (*do Hitrowa.*)

Język jak brzytew . . .

HITROW.

Niech się do ostatka  
Wyhula, potem skruszeje warjatka!  
To tak jak zając — im go ścigasz dłużej,  
Tym lepszym smakiem kiedyś nam usłuży . . .

MAJOR (*do Heli.*)

Pani tym gniewem tylko siebie rani,  
Otwarcie mówię — to jest zgubne dla niej!

HELA (*jakby nie do nich.*)

Ach! widzieć było . . . jak mordercy wpadli,  
I w ich bezbronne, kryształowe łona  
Żelazne węże utkwili zajadli!  
Patrząc, jak ojciec z bratem moim kona  
Córce i siostrze, a przeżyć tę chwilę?! . . .  
To serce, w granit tą zbrodnią przekute,  
Poczuć?! to serce, dawniej tak motyle!  
Z jagnięcia, lwicą — stać się w tę minutę —  
I doznać, jaka cudu jest potęga,  
I jak w nieszczęściu człowiek olbrzymieje,  
I w jaki rydwan swoją duszę wprzęga . . . .  
Ha! można wybiedz w nadludzkie koleje,

I ujrzeć, twarzą w twarz, tego mocarza,  
Co te wszechświaty miażdży i znów stwarza . . . .

HITROW.

Nu — teraz będziem mówić sobie s-nowa —

HELA (*podnosząc palce w górę.*)

Przysięgam — że już nie powiem i słowa.

HITROW.

To, do katiorgów — zda się taka lwica!

Ona tam wszystkich zbójów pozachwyca . . .

Wziat' ją i zamknąć w lodowym karcerze —

Tam się z gorączki tej, pewno rozbierze . . . .

(*Wyprowadzają Helę, Jermyl zadumany, wychodzi drugimi drzwiami.*)

## SCENA V.

Ciż, żołnierze wprowadzają Staszka.

HITROW (*do Staszka.*)

Jak się nazywasz?

STASZEK.

Staszek . . .

HITROW.

No, a więcej?

STASZEK (*udając głupiego.*)

Ja nie wiem.

HITROW.

Jak cię wpisali w metryki?

STASZEK.

Com się urodził — gdzieś . . . w stajni bydłowej —  
Gadają ludzie.

HITROW.

Ty zbiegł w miatieżniki?  
Bić naszych, prawdę po swojej ochocie?

STASZEK.

O! nie — zajęli mnie z końmi pańskimi —  
Takem ci laźl tam, jakby kołek w płocie,  
Co go w łeb tłuka, żeby szedł do ziemi . . . (*Potrząsa*  
[*głową.*])

HITROW.

Ty, z twoim panem — ochotniki oba.  
Nikt was nie zmuszał i konie daliście.

STASZEK.

Tak, ochotniki! to mi się spodoba!  
Ponoś i niedźwiedź tańczy siarczyście  
Na wielgie dziwy dla gapiów i dzieci,  
Gdy go tam pałką po kudłach obleci . . .  
Takiutko i pan — jak jagnię spokojny,  
Radby z wilkami . . . rozpoczynać wojny?

HITROW (*do majora.*)

Wot pierwszy padlec?! to sztuka chitraja?!

MAJOR (*półgłosem do Hitrowa.*)

Niech się rozgada — złapiemy hultaja!

STASZEK (*d. s.*)

Zatkaj se uszy lepiej pakułami . . . .



HITROW.

A konie same poszły tam za wami?

STASZEK.

Ajuści, same . . . wszystkie wziemy razem,  
Postronkiem za kark, po ogonie płazem!  
Pan się sfrasował — rzekł im żałośliwie:  
„Co teraz będzie na mej pustej niwie,  
Kogoż zaprzęgnę do pługu i brony,  
Kiedyście konie zabrali?”  
„Zaprzęgaj sobie Moskali!”  
Zgrzytnęli ony —  
I jak wściekli,  
Pocięli . . .

HITROW (*do majora.*)

Wot to sobaka!

MAJOR (*do Staszka.*)

A ruskich ty — za co

Tak wrogiem jesteś?

STASZEK.

Ja ruskich nawidzę —  
Żyłem wraz z nimi — dzieliłem się pracą . . . .  
Niechaj się mnożą, jak po deszczu rydze.

HITROW.

A w jakim byłeś ty znakomstwie z nami?

STASZEK.

Setniem się lubił wciąż z objezdczykami:  
(Boć, kiedyś pasał na granicy konie)  
Tom do Galicyi chodził im za wódką —,  
A pitne chłopcy! dałyby się o nią

I w piekło zawieźć — spokojnie, gładziutko . . . .  
— A jakem kpił z nich — i pytałem, czemu,  
Niby szwarcunkiem . . . bluźnią panu swemu?  
Rzekli: „Car bogacz! nie mu nie zaszkodzi,  
Że biedny żołdat kradnie go jak złodziej“ . . . .

### HITROW (*fałszywie.*)

Wot sławno, sławno!

### MAJOR.

Z kimżeś znał się więcej?

### STASZEK.

Z Jermylem popem, tak prawdę mówięcy —  
Kiedym ci pasał żróbki w polnym sadzie,  
I gruszek w onym dożrałych pilnował —,  
Dobrzeć tam było . . . człek se gruszki kładzie  
(*biorąc się za brzuch*) W żywot jak w mieszek — i  
[leży na pował . . .

A tu pop idzie i gładko pozdrowia —  
I mówi: „gruszek daj bratku niemnego“ . . . .  
Nie tak jak w cerkwi udany do pawia,  
Ze swym ogonem i wrzeszczący srogo!  
A ja mu na to: to pańskie, nie można!  
A on mi znowak: „oj, ty durny chłopie!  
Nie tylko z drzewa, ale nawet z rożna  
Wziąć czasem można“ . . . i nogą grunt kopie!  
„Wszystko jest carskie — no, a boskie potem . . .  
Car tam nikomu nie żałuje chleba,  
Karmi nas, poi i ozdabia złotem —  
Bóg stworzył na to, by brać, co potrzeba!“  
I gada sobie i gruszki mi trzęsie . . .  
Sam zbiera z ziemi, pcha do dwóch kieszeni —  
Aż się zazieje — bo to w żernem mięsie!  
Aż mu się gęba niby krwią płomienni!  
I jak z półćwiartek pod chałat niebierze —  
Daje mi dziesięć: „naż ci kawalerze!“  
Bez to nie więcej: abym miał w pamięci,  
Że mnie rozgrzeszył z przekazania dziesięci! . . .

HITROW (j. w.)

Nu, sławno, sławno!

MAJOR.

I długoż tak było?

STASZEK.

Dopóki gruszek na drzewie starczyło —,  
A potem my się trocha pogniwiali.

MAJOR.

O cóż wam poszło?

STASZEK.

To słuchajcie dalej:

Szedłem ja sobie raz pod jego sadem —  
A tu mi jabłko bęc z drzewa, przed nosem . . .  
Ta, co tu robić? podjonem i zjadem!  
A pop stał w oknie — i łaskawym głosem  
Zawołał na mnie: „no Stasiu, chodźże tu!“  
Idę i myślę . . . już on bez bankietu  
Mnie tam nie puści za gruszyny one,  
Z całego drzewa, przez niego zjedzone!  
Toć chybko wlażłem na popa pokoje —  
Śmieję się grzecznie i kłaniam się nisko,  
A on mi gada: „ha! poczternje moje!“  
Na klucz zamyka — obmierżłe popisko!  
I jak rznąć pocznie palicą po grzbiecie —  
„A ty złodzieju! (powiada) ty worze!  
Cudzego nie bierz, bo to grzech jest przecie —  
Oddaj mi jabłko, bo trupem położę!“  
Jakżeż go oddam — krzyczę co sił starczy —  
Kiedym go łyknał?! „A mnie co do tego?!  
Oddaj go trutniu!“ A tu pałka warczy,  
I aż pioruny w pokrzepczyny biega!  
Jak rymnę pod stół! . . . gdzie-ta — dźga pod  
[stołem!

Dalej ja na stół! . . . garbuje już piętę!  
Nuż . . . wedle stołu! . . . po uszach coś wzięłam . . .  
Jak hysnę w okno, choć było zamknięte!  
Łbem w szybę prosto, a barkami w ramę!  
Tak wyskoczyłem — tem oknem ubrany  
Niby koń w chomont . . . i dymaj za bramę!  
Drę w mig do stawu — nie już wedle rany,  
Ale w przepieczność, przed wściekłym . . . w obronie  
I „kto ma wisieć, pono nie utonie?“  
(*Uśmiecha się znacząco.*)

### HITROW.

Nu, połno bajek — teraz pójdziem prościej —,  
Powiedz mi jeszcze, kiedyś mądry taki,  
Jakich najczęściej twój pan miewał gości?

### STASZEK.

Gości? a nikiem — tego ni poznaki . . .  
Pan zawdy w domu — ciągiem był na roli,  
Abo po stajniach, abo też na gumnie —  
Wieczorem w księgach gmerał tam do woli . . . .  
Toż rządził nami — czysto i rozumnie!

### HITROW (*gwałtownie.*)

Słuchaj ty swołocz! nie drwij ze mnie sobie!  
Bo ja ci taką siekaninę zrobię,  
Że tyle drzazeg w świat z ciebie polecą,  
Ile ma słońce swych gwiazdzistych dzieci!  
Pod knutem tylko coś dają zbrodniarze!

### STASZEK (*kłaniając się z udaną pokorą.*)

Tego wielmożny pan już nie dokaże . . .  
To nie przystoi żadnemu . . . (*potrząsa głową*)

### HITROW (*z ciekawością.*)

A czemu?

Krótko mi gadaj!

STASZEK.

Powiem jak najkrócej —  
Że głupi chłop ten, co pusty snop młóci! . . .  
Tylem już pałek wziął na się w areszcie,  
Że tam nie znajdzie we mnie i ziarenka . . . .  
Ostało jedno . . . życie — to mi weźcie!  
Dla was rzecz wielka, dla mnie znów — małeńka!

HITROW (*z zaciekłością.*)

A, chciałbyś umrzeć? nie boisz się śmierci!  
Inny cię robak na wylot przewierci . . .  
Zabawisz dłużej . . . pójdiesz do kopalni!  
Tam za twe zbrodnie dojmujemy cię walniej! . . .

STASZEK (*z uśmiechem.*)

Twarda kość moja i żelazne ścięgno!  
Wytrzymam pracę —, przystanę do koni.

HITROW.

Ciebie jak konia do taczek zaprzęgną,  
A nad twym losem pies łyż nie uroni!

STASZEK.

O! gdyby wiedział — zapłakałby pono . . . .  
Choćby go za to — pewnie powieszono! . . . .  
(*Hitrow wskazuje ręką, wyprowadzając Staszka.*)

## SENA VI.

Ciż, żołnierze wprowadzają kapelana.

HITROW (*z naigraniem się.*)

Miłości prosim księdza dobrodzieja  
Na rozmówkę z nami tu wojenną . . .

KAPELAN.

Do tych debatów ani pan i nie ja . . .  
Ani to miejsce, które jest Gehenną!

MAJOR (*sztyderczo.*)

My tych wyrazów nie rozumiem wcale,  
Bo cóż zrozumieć mogliby Moskale?

KAPELAN.

Nie o to chodzi — wszak żołnierską rzeczą:  
Nie drwić i szydzić, lecz zdobywać rany,  
Które nieszczęścia ich ojczyzny leczą,  
Gdy na nią wpadły dziejów huragany!

HITROW (*j. w.*)

Ale po bitwie, dla rozrywki nieco . . .  
Dobrze się sądem zabawić niekiedy —  
(*wskazując na kapelana*) Zwłaszcza, gdy takie gwiaz-  
[dy nam zaświecą!...  
W naczalstwie czarnej, bezbożnej czeredy  
Miło nam bardzo, wypowiadać księdza,  
Który nam tylu grzeszników przypędza . . . .  
On, co waśń koi, niezgody uśmierza,  
Jak na duszyczek przystało pasterza . . .

KAPELAN.

Z woli papieża Piusa dziewiątego,  
Polscy kapłani, z ludem swym w bój biega —  
I gdy z kościołem ktoś tam . . . rozwód bierze . . .  
W Polsce, z nim wieczne wznawiamy przymierze,  
Wspólną krwią gody oblewamy hojnie  
Tak, jako było — na krzyżowej wojnie . . .  
Bo przez cudowność dziejów niepowszedną —  
Wiara, Ojczyzna — w Polsce zawsze: jedno! . . .  
Nie tu na ziemi sąd nademną będzie  
Nie ludzki wyrok na mą duszę padnie,  
Lecz tam, gdzie światów kończą się krawędzie,

Gdzie źródło bytu . . . wykwita tam na dnie . . .  
I jak wieczności wciąż płynie kaskada —  
Tam tylko wyrok moc boska układa!

HITROW.

Ha! spróbujemy, wyręczyć w tem Boga . . . .

KAPELAN.

Nie bluźń człowiecze! bo gdzie Jego noga,  
Tam się napróżno twój rozum wyteża . . .  
Wszak już od wieków zgnieciona moc węża!

HITROW.

A przecież wąż ten krępuje cię tego!  
Wyrwij się cudem z tej jego opleci —  
Takim jak wszyscy jesteś niedołęga,  
Gdy ci łańcuchów obrączka zaświeci . . .

KAPELAN.

Jak byłem wolny, tak i jestem duchem!  
Skowano ciało tem żelazem kruchem,  
Co tak, jak ono, w pyły się rozsypie,  
I wicher je porwie na mogilnej stypie . . .

MAJOR.

Lecz dla sług' swoich — raz panu wartoby,  
Te wasze ziemskie pozamykać groby . . .

KAPELAN.

Gdyby Pan kiedyś nie nakazał sobie,  
Przez bożą miłość w ludzkim usnąć grobie . . .

HITROW.

Szczęśliwa bardzo tych księżulków rzesza,  
Jeśli naprawdę tem się wciąż pociesza . . . .

Nu, my tymczasem tylko carskie sługi,  
Nie możemy traktat rozbierać tak długi,  
I zostawiając to, w pośmiertne chwile  
Pytamy: ludzi zbuntowałeś ile?  
A żeś jest kapłan — kłamać ci nie można —  
Prawdę nam wyznasz — bo fałsz — rzecz bezbożna!

KAPELAN.

Nic wam nie powiem.

HITROW.

Wygadasz z pod pletni!

KAPELAN.

Wszak tyle smagań w tej ścierpiałem celi,  
Że choć na wylot knutem ciało przetnij,  
Nic nie pomoże! Coście wycisnęli?  
Łzy ani słowa! krwi tylko strumienie,  
I czarne piętna na wasze sumienie!

MAJOR.

My tego piętna nie czujemy zgoła,  
A tobie śmierć już prześwituje z czoła . . . .

KAPELAN

Jakżem szczęśliwy, gdy się ona zbliża —  
Chrystus ją poniósł za ludzkość tu całą,  
Sercem ogarnął ten świat wielki z krzyża,  
Choć na nim tyle zaprzańców zostało . . . .  
Jakżem szczęśliwy, że za część ludzkości,  
Za okruszynę, za mą Polskę świętą,  
Męczeńska rana w mej piersi zagości,  
W której prąd życia mojego rozcięto!  
(składa ręce na piersiach) I oto Panie! niegodnem  
[nacznynie,  
W które źródło łaski Twej najświętszej płynie —  
Jam proch znikomy, który serce Twoje  
Pozywa na te z szatanami boje —



Jam listek marny, który Ci poniesie  
Wieczne świadectwo o zrabanym lesie . . .  
I kroplą jestem, a w niej — krwawe morze  
Niewinnych ofiar — zabłyśnie Ci Boże!  
I jako jagnię z pokorą tu padnę,  
Żem nie chciał wielbić bałwany szkaradne!  
Iżes jest jeden — a nikt jest nad Ciebie,  
Władco wszechświatów i królu na niebie!

### HITROW.

Tak śmierć ci pachnie? to nie umrzesz klecho!  
Będziesz się męczył pod grobową strzechą . . . .  
Pójdiesz do kopalń na czasy wieczyste!

### KAPELAN.

Tylko do śmierci . . . . O! dzięki Ci Chryste!  
*(Hitrow skinieniem ręki każe go wyprowadzić.)*

## SCENA VII.

Słychać zgiełk na korytarzach. Ciż, — żołnierze  
woiągają H a n ę.

### HITROW.

K'czortu matieri! co za widma biała?!

ŻOŁNIERZ *(pokazując pieniądze.)*

Etu jewirejku w maszennictwie wzięli . . .  
Temi dieńgami przekupić nas chciała,  
Aby ją wpuścić do buntownej Heli!

HITROW *(do Hany.)*

Co ci potrzeba od tej miatieżnicy?

HANA *(przerażona.)*

Aj waj! niczego! byleb' spojrzeć na nią . . .

HITROW.

To nie u ciebie?

HANA.

Porwali jak dzicy!  
I wleką mnie tu, a kolbami ranią!

HITROW.

Ciebie w kawałki posiekać by za to —  
Zkąd ty się znasz z nią? coś ty jest za jedna?

HANA.

U państwa Darskich młynarzem był tato,  
A mnie uczyła ta panienska biedna!

HITROW.

Ha! toś z jej szkoły! nie dziw, żeś warjotka!  
Znajdzie się może i dla ciebie klatka . . . .  
Tymczasem powiedz krótko i prawdziwie,  
Coś od niej chciała! kto cię przysłał do niej?

HANA (*pokazując na serce.*)

Kto przysłał do niej? to, co w piersiach żywię,  
Co od zaparcia się anioła chroni —  
Co uczy kochać matkę, ojca, siostrę,  
Pójść za nich chętnie, choćby w same piekło,  
Do piersi wetknąć dla nich noże ostre,  
Wypić truciznę palącą i wściekłą!

HITROW (*szyderczo.*)

Czy ona cię tak gadać nauczyła!  
I precz żydowstwo wyгнаła na lasy?

HANA.

Mówiś, czuć, myśleć — jedna każe siła,  
Czy kto niedzielę, czy święci szabasy —  
A już nauka dla wszystkich otwarta,  
By tylko chciał kto i wynalazł mistrze.

HITROW (*j. w.*)

To i ty Polka możeś jest do czarta!  
Gdyś jej nauki tak chwyciła bystrze . . . .

HANA.

Jakżem nie Polka, gdym tu urodzona?

HITROW (*do majora półgłosem.*)

Niech się rozpapla ta jewrejska wrona.  
(*do Hany*) A to i Polskę kochasz także pewnie?

HANA.

Któżby swej matki nie kochał na świecie,  
Czy ją w żebracze, czy też ma w królewnie?  
To równo wszystkim wrodzone jest przeciw.

HITROW.

Wasza ojczyzna jest w Jerozolimie.

HANA.

Dla nas tutejszych tylko ztamtąd — wiara —,  
I każdy ten kraj za Ojczyznę przyjmie,  
Gdzie się urodził i o chleb się stara.  
— Lecz co tu o tem — do czego gadanie?  
Ja dobrodziejkę przysłałam widzieć moją —  
I błagam o to cię, wielmożny panie!  
Niechaj twe serce me prosby rozbroją!

HITROW (*śmiejąc się.*)

Ha, ha, ha, sławno! rozbroję ja ciebie  
Z polskiej mądrości i z tego języka . . .

HANA.

Rób co chcesz panie! a Bóg tam jest w niebie,  
I nigdy ócz swych przecież nie zamyka! . . .  
Lecz pozwólże mi, pozwól z łaski swojej,  
Choćby tam słówko, choć słóweczko tylko  
Do niej przemówić! Niechaj warta stoi —  
O panie! błagam! obdarz mnie tą chwilką!  
A potera siecz mnie, każ rąbać na strzępy!  
Do rozszalałych przywiązuj mnie koni!  
Niech szyję moją topór gryzie tępy,  
Ogień pochłania! a teraz puść do niej!  
(*klęka*) O panie! modli i przed tobą klęka  
Pierwszy raz w życiu zrozpaczona, biedna!  
W twych oczach nędzna i jak proch maleńka,  
Niech jak grosz wdowi twą łaskę wyjedna . . . .

HITROW (*do żołnierzy*)

Wziąć do kozaków tę córkę borsuczą!  
Niech ją wilczego pacierza nauczą! . . .

HANA (*w rozpaczy, porwana przez żołnierzy.*)

Panie, litości! matka twa kobietą! . . .

HITROW (*śmiejąc się.*)

Czto ona? ha! ha! nie skandal że eto?

## SCENA VIII.

Ciż, wbiega podporucznik.

PODPORUCZNIK.

Jakaś komisja wpadła z Pietierburha . . . .

HITROW (*jakby piorunem rażony.*)

Czto? co? komisja? a ja nie wiem o tem?  
(*uderza w bok majora*) Słyszysz? osłupiał!

MAJOR (*d. s.*)

Co on mnie w bok szturcha?  
(*do podporucznika*) A jacy to są?

PODPORUCZNIK.

Żandarmi.

HITROW (*j. w. d. s.*)

Jak młotem  
We łbie mi puka . . . (*do majora, szarpiąc go*) Cóż  
[*milczysz jak drewno?*]

MAJOR.

Milczę — bo na gwałt wołać tu nie będę . . .

HITROW.

Wot, kruhom durak!

MAJOR (*półgłosem.*)

Nie ja sam — to pewno . . .

HITROW.

Czto tam bormoczesz? odbiorę komendę!

MAJOR.

Niech pan pułkownik myśli dziś o sobie . . .

HITROW (*do podporucznika.*)

Do mnie zjechali?

PODPORUCZNIK.

Nie, do krawca Jodki.

HITROW (*jak zwarjowany*).

Bo coś dziwnego z tobą głupcze! zrobię . . . .  
Kto ci to gadał — do krawca?! to plotki!

PODPORUCZNIK (*znacząco*).

Ja sam widziałem — tam mieszkanie piękne . . .  
W całym tu mieście nie znajdzie lepszego.

HITROW (biegnie do sztalug, na których wiszą ich szynele, chwytą w zamięszaniu nie swoją, lecz szczupłego porucznika szynel, a będąc bardzo otyłym, z największym wysiłkiem usiłuje włożyć ją na siebie. Porucznik zaś ubiera się w jego wielce szeroką i za długą, po ziemi się wlokącą. Toż samo dzieje się z czapkami. Tak ubrani podobni są do pajaców.)

Jej bohu! skandal! nim włożę, to pęknie!  
Mnie ominęli — jak zdrajcy się strzegą! . . .

MAJOR.

To pewnie forma u nich jest już taka!

PORUCZNIK (*dwuznacznie*).

Takoj poriadok . . .

HITROW.

Bresze jak sobaka!

MAJOR (*d. s.*)

Co on szaleje?

HITROW. (do porucznika, wtłaczając jego małą czapkę na swoją ogromną głowę.)

Jak kulą w płot właśnie . . . .  
Takoj poriadok niechaj piorun trzaśnie!  
(*Odziani jak na maskaradę — wybiegają.*)

## SCENA IX.

Na rynku w mieście stawiają dwie szubienice.  
Dwie grupy : mieszczan i żydów.

### 1. MIESZCZANIN.

Och ! nieszczęśliwi ! zawisną dziś jeszcze.

### 2. MIESZCZANIN.

A dwóch odrazu — że nie rozstrzelają . . . .

### 3. MIESZCZANIN.

Mnie aż śmiertelne wskrós przechodzą dreszcze !

### 4. MIESZCZANIN.

Stryczkiem, jako z psów, obchodzą się zgrają.

### 5. MIESZCZANIN.

I sroższy postrach ! i męczarnia większa !  
Coś zły początek naszego powstania . . .

### 6. MIESZCZANIN.

Szubienicami Moskwa kraj upiększa,  
Na co stać kogo, temci się ogania . . .

### 7. MIESZCZANIN.

Pewnie tu Topniak skończy ze swym Grzelą —

## 8. MIESZCZANIN.

Ha! zbóje ojca z synem nie rozdziela . . . .  
Topniaczka stara, paraliżem tknięta,  
(O! niechaj katom Bóg to zapamięta!)  
Gdy do niej o nich doszła prawda cała —  
Jak świecę zgasił . . . . jęknąwszy skoła!

## 9. MIESZCZANIN.

O! kiedyż, kiedy nad tą Polską biedną  
Te czarne chmury choć cokolwiek zbledną . . . .  
*(Usuwają się w głąb nieco. Zbliża się grupa żydów.)*

### 1. ŻYD.

Zbójniki wielkie! u nich szubienica,  
To jest, jakby szyld przed sklepem kramarza . . . .  
Bo każdy się tem przed ludźmi poszczyca,  
Co jemu sławność i kieszeń rozmnaża . . . .

### 2. ŻYD.

Gdzie, w jakich wojnach stryczkami się biją?

### 3. ŻYD.

I w naszych księgach się to nie znachodzi.

### 4. ŻYD.

By zabrać gwałtem pieniądz, własność czyją —  
Ny, to już dosyć . . . bo wołają: złodziej!  
Po co go dusić? kiedy sama nędza,  
Z kijem i torbą pod kirkut wypęda?

### 5. ŻYD.

Gdy grosz wydarli — to pejsy i brody  
W te rozdziawiaсте pchają swoje gardła!  
Wszystko w nich leci, jak kamień do wody,  
Jak ona — gęba ich wszystko pożarła!



Ny, ale woda, oddać musi potem . . .  
I tak jak oni, wcale nie wie o tem . . . .

### 6. ŻYD.

A Goljat srogie czynił bezecności,  
I nasze żydki gniótł ze swojej ręki,  
Jak oni gniotą — i nie chodził prościej . . .  
A śmierć mu natknął pastuszek maleńki! . . .

### 7. ŻYD.

W Sodomie także uciesznie tam żyli . . .  
Robili zbójstwa i zwierzące stadła —  
Znali moc swoją . . . ny, aż do tej chwili —  
Aż się ze wstydu ziemia im zapadła!

## SCENA X.

Ciż, — kozacy niosą ciało Hany na pikach.  
Żydzi obstępują noszących, wołając z osłupieniem  
rozpaczliwie:)

A! wah! co to jest?!

KOZAK (*prowadzący konwój, z dobytym pałaszem.*)

Jakaś wasza Hana . . . (*Zatrzy-  
[mują się kozacy.]*)

### ŻYDZI.

Aj! Hane, Hane! cała we krwi leży!  
Czy ona bić się poszła do żołnierzy?

### KOZAK.

Bić się nie biła, taka sumaszedsza!  
No kozackiego nio zniosła powietrza . . .

### ŻYDZI.

Co? od powietrza ażby trupem legła,  
Ze krwi czerwona, jak grobowa cegła?!

## KOZAK.

Ot, powiem prawdu: przykaz już był taki —  
Cztob ją rozumu uczyli kozaki . . .  
Cztob jej się buntów nie chciało tam znowu,  
Na względ polskiego, skwiernego narowu!  
I przykazano — by my pohulali . . . .  
Nu, a kozaki — do jowejki dalej! . . .  
Achoćno, żwawo i siudy i tudy . . .  
Naszego byczka my ku niej w prysiudy . . . .  
Wsiakij mołodiec, jak lizska się składa,  
Śmieje się, szuti . . . ona jak trup blada!  
Tak my tam do niej — iskrennego chwata  
W pierod puścili . . . brata assawuła —  
A on jak sokół, gdy już k'niej przylata,  
Wyrwała szaszkę i w pierś swą wetknuła!  
I patom rychło . . . wszystko ucichło . . . .

ŻYDZI WSZYSCY (*lamentując.*)

Aj! waj! lubuniu! Gomore! Sodome!

KOZACY (*rzucając im Hanę.*)

Skuszajcie sobie! Jewreje łakome!

(*Słychać bębny. Inni Dońcy wpadają na koniach  
i przez środek tłumów otwierają ulicę do szubienic.*)

## SCENA XII.

Ciż — idzie piechota pod bronią, na jej czele:  
Hitrow, major, porucznik i t. d. otaczają szubienice do-  
koła, gdzie na jednej z nich stoi kat z dwoma opraw-  
cami. Biją w bębny. Żołnierze prowadzą Jana i Grzełę,  
ubranych w śmiertelne koszule — przy nich zakonnik,  
za nimi komisja żandarmska z Petersburga. W chwili  
wstępowania skazańców na rusztowanie milkną bębny.

HITROW (*rozwija papier — do wojska, wznosząc rękę.*)

Stój! (czyta wyrok) W imię jowo imperatorskawo  
Wielicestwa . . . Zdieś — eti miatieźniki,

Zdeptawszy carskie, tożę boskie prawo —  
Mierzawcy złoźne, jak car jest wielikij —  
Śmieli na niego podnieść swoje ręce,  
I urągać się swej władzy monarszej,  
I swoje dusze podkutiw zwierzęce,  
Na cały kraj ten bunty rozpostarłszy —  
Złowieni przez nas, z swą bronią zbójecką,  
Którą protiwnam godzili zdradziecko —  
Na powieszenie skazani są oba,  
Jak to się caru i prawu spodoba! (*Grzela klęka i*  
*[modli się.]*)

JAN (*zwracając się do tłumów płaczących.*)

Nie płaczcie bracia! pokrżępcie się raczej,  
Żę w ojców ziemię padamy jak ziarna . . . .  
Nami się droga do zbawienia znaczy —  
Straszliwa! groźna! grobami ciężarua!  
Wzjędą z nas kiedyś dziejowładne plony,  
Im bardziej krwią swą użyźniamy rolę,  
W męczeństwie żywot żaden nie stracony,  
Ani cierń nawet, co nam skronie kole . . . .  
Błogosławionaś Ojczyzno ty moja  
Za każdą krzywdę i cios z ręki kata!  
Błogosławiona ta od ciebie zbroja,  
Której śmierć na nas nigdy nie rozplęta!  
A im w nią razy wymierzy swe wścieklej,  
Im skrawiej zębem po jej łasce zgrzytnie —  
Tem zapalczywiej — jakby nas orzekli . . .  
Walczyć i ginać będziemy zaszczytnie.  
My, nasze wnuki i prawnuków dzieci —  
To jako jeden mąż w tej samej zbroi . . .  
A tylko młodą gwiazdą życia świeci,  
I na placówce zabitego stoi.  
Zmartywychwstający, wszędobytņi, krwawi!  
U czterech węglów światła już hetmani! . . . .  
Na śmierć biegnący, niż wy w płasy, żwawiej,  
I światłodawcy przeciwnam — szatani!

O Polsko! przyjmźę to serce strzaskane,

Jak kropkę rosy w twoją świętą ranę!

(*Hitrow daje znak ręką, uderzając w bębny, trójka oprawców zbliża się do Jana.*)

---

## Obraz IV.

W kopalniach oświetlonych latarniami perspektywicznie — u wejścia żołnierze pod bronią.)

### SCENA I.

HITROW (*przykuty do tacek, sam.*)

Naż ci rubelków dwadzieścia tysięcy!  
Ot taka głupost' . . . żeby to choć więcej  
Złović u rządu i wpaść do kopalni —  
Byłoby sławniej — komandiru walniej!  
Na „mundirowku“ dla pułku mojego  
(A wyjątkowo — bo w czasie miatieży)  
Dano te dieńgi. Niech dżumy oblegą,  
Jeślim nie zrobił tak, jak się należy?  
Srebrniki w karty przegrałem spokojnie . . . .  
Munduru żołdat niech szuka na wojnie —  
Żwawiej kozuszek pociągnie on z wroga,  
Kiedy mu zima wlezie na grzbiet sroga!

Byłoby cicho . . . no, ten krawiec Jodko  
Wciąż o robotę krzyczał wielkim głosem,  
I zbyć się nie dał rumem i sielodką . . .  
A w sam Petersburg poleciał z donosem,  
Ot i komisja — zjechali żandarmi —  
Nuż mnie tam wzięli trząść i perewerty! . . .  
A takich drabów plewą nie nakarmi,  
Dać co nie miałem do pustej koperty . . . .  
Toż pustą prośba — i twarde ich serce  
Tu mnie zagnało, pomiędzy morderce!  
— A Jermył Wołkow paszoł w archireje,  
I ze mnie się tam, jak z duraka śmieje . . .  
Bo on wie, po co tak głęboko sięga,

I co godności przynosi potęga! . . . .  
(Wsiotaki — onże duchowna osoba,  
To dowodzi, co mu się podoba)  
Dla ozleka godność — to kamień dla foki,  
Która go łyka, gdy za łupem płynie —  
By cięższą będąc, łatwiej w nurt głęboki  
Wgrzążyć się mogła —, a w morskiej zwierzynie,  
Wśród dna samego, gdy łupów nachwyta —  
Wróciwszy — z glazów czyści swe jelita . . .  
I ja to wiedział —, no proporcji mało  
Wagi do łupu . . . . to się nie udało!  
A dziś — aż serce z bólu mi się kraje,  
Że mnie wpędzili w tak powszednie zgraje . . . .  
— Nu masz zapłatę! służ wiernie carowi,  
Gdy lada swołocz o losie stanowi . . . .

(*p. chw.*) Cóż chciałem mówić? harmider w pamięci...  
W uszach mi szumi a w głowie się kręci —  
Czasem, sam nie wiem, co się dzieje ze mną?  
To zorza w oczach . . . to grobowe ciemno . . . .  
Raz na wielbłądzie . . . to siedzę na bębnie . . . .  
Choć ja i nie ja — razem i odrębnie . . . .  
Skaczę jak małpa — a tu wszyscy płaczą!  
A gdy ja płaczę — śmieją się junaczo!  
To sobie gadam czystą polską mową,  
To znów jęwejską to naszą rodową!  
Tfu! skandal bolszj! cud, hitra obmana!  
Hej! Brüder! gdzie wy? podajcie szampana! . . .  
(*Pochyla głowę na piersi.*)

## SCENA II.

Hitrow, patrzy osłupiałym wzrokiem —, zbliżają się, wioząc na taczkach rude metalową: Hela, Staszek, kapelan — za nimi dozorczy z nahajkami.

STASZEK (*drwiąc.*)

A! pan naczelnik! kłaniamy się nisko!  
Przyszedł obejrzeć swe pobojo wisło . . .

(wskazując na jego kajdany) Ba! straszny wojak! aż  
[brzęczy w żelazie . . . .  
A na tych taczkach — ordery swe wiezie. —  
Udało mu się . . . i wskórał nielada . . . .  
Aż z tej herności wzdął się i nie gada!

HITROW.

A ty co wiesz — lekko i swobodnie? . . .

STASZEK.

Juścić nie pierze . . . tylko twoje zbrodnie! . . .

HITROW.

Co ty mnie tykasz? ja nosem nie twoim! . . .

STASZEK.

Niech pan nie zgrzyta . . . bo się srodze boim! . . .  
Wielki przemyślnik i handlarza kawał!  
Jeszczeby z nas tu skóry posprzedawał,  
(Choć mało warte, bo przezeń podarte . . .)  
By na wędrowkę wyruszyć miał za co,  
Nim się z mundurów pieniążki wytracą . . .  
Słuchaj Nikita! tyś stchórzył do ździebka!  
Było się bronić, gdy moc była krzepka —  
Przed żandarmami do powstania uciec,  
Nie dać się chwycić, jakby jaki głupiec!  
A przecież na to — miałeś ciągiem porę . . .  
„Boć na złodzieju zawsze czapka gore.“

HITROW.

Czym mógł, czym nie mógł? ty nie wiesz hawryło!  
Że na to wszystko . . . czasu już nie było.

HELA.

My czyniąc swoje, dobrześmy wiedzieli,  
Jaki nasz koniec — czy później, czy prędzej . . .

Nas do tortury nieśli wciąż anieli,  
I z nami są w tej wiekopomnej ńędzy!

KAPELAN (*do Hitrowa.*)

Lecz tobie szatan obiecał rozkosze,  
Wiódł jak swojego w haniebne manowce,  
I gdyś truczny tej skubnął po trosze,  
Wydał cię wilkom, jak skazaną owcę,  
Boć to, czems skrzywdził swojego tam pana,  
Tem twej chciwości nasycić nie w mocy . . . .  
W wieczór spożyłeś . . . a głodnyś do rana,  
Jak wszystkiey ludzie, w naturze szerocy! . . .

HITROW.

Co ty mnie klecho! bajasz takie rzeczy?  
U was Polaków przewrócone w głowie . . . .  
Nasz brat swą kieszeń tym poriadkom leczy,  
Który najlepiej słabości odpowie —  
Nu, jeśli ona chora, bo jest pusta:  
Może być lekarz — z wora i oszusta!

STASZEK.

Musić twa kieszeń, jak sumienie twoje —  
Bez dna, drapieżne i nigdy nie syte,  
Gdyż krwi niewinnej łyknął takie zdroje,  
Jak smok pochłaniał dziecko i kobietę —  
To nawet w piekle oźralca takowy,  
(Że cię, choćbym chciał dalej nie zagłębię)  
Będzie miał kłodę u rogatej głowy . . .  
A psi kaganiec na pogańskiej gębie!

HITROW.

Wot, jaka szkoda! i durak jest ze mnie,  
Żem żywo puścił taką duszę djabłą!

STASZEK.

A mnie jest gorzko i strach nieprzyjemnie,  
Żem cię w tej bitwie nie rozjechał szablą!  
Oj! chciałem ja ci — chciałem do stu katów!  
Aleś się schował, tchórzu! za żołdatów . . . .

SCENA III.

Ciż, smotritiel katorg.

SMOTRITIEL (*wskazując na Helę.*)

Do protokołu niech się ta zostanie,  
A wy do swojej roboty z taczkami.  
*(oddalają się wszyscy oprócz Heli)*  
(*do Heli*) Dziś — ostateczne mych uczuć wyznanie!  
Niechaj mnie skrytość przed tobą nie plami —  
Choć tyle razy duszę otwierałem,  
Lecz wzajemności nie widząc promyka,  
Dziś się wynurzam z zamiarem mym całym,  
Niech on, jako swat, serce twe odmyka!  
— Oto, gdy skłonisz czucia twoje ku mnie —  
Skruszę ten łańcuch i taczki zdruzgocę;  
I ztąd się dźwigniesz, podobna kolumnie,  
Wydartej z grobów przez demonów moce! . . .  
Ucieknę z tobą aż za siódme morze . . .  
Bym ci tam służył, wiecznie poślubiony —  
Przed tobą rajy przybytki otworzę;  
Bo — pachółkami memi — są miljony!

HELA (*wzgardliwie.*)

Panie! lituję się nad tobą wstrętnie!  
Szatan pomieślał ci potwornie zmysły;  
Bo w twem katowskiem każe widzieć piętnie,  
Z rozkoszą w rajy jakiś związek ścisły . . . .  
Polka — tem nigdy nie będzie zhań-  
[bioną,  
By wróg Ojczyzny nazwał ją swą  
[żoną!  
Woli się poddać najstraszniejszej męce,  
Niżli wejść w stadła, gorzej niż zwierzęce!



SMOTRITIEL (z lekkomyślną ufnością.)

Może ja znajdę przecież słuszną cenę,  
Bym jako Parys zdobył mą Helenę . . . .  
Ot krótko powiem: wiem, jak kochasz szczerze  
Swoich współwięźniów — Staszka, kapelana —  
Niech więc się z nami każdy z nich wybierze,  
A twoja wolność będzie i im dana!

HELA.

Nigdy cel środków . . . nigdy nie uświęca!  
Za podłość, hańbę i zaprzaństwa plamy  
Nie da się kupić — wolność niemowlęca . . . .  
Bezmowne nawet — za to nie sprzedamy!  
Bo gdyby się to raz między nas wkradło,  
To jak przez otwór roztrzaskanej nawy,  
Ze śmiercią Polski: byłoby w tem stadło,  
I skończyłby się wiekowy bój krwawy!  
Toż w czasie burzy — gdy okręt się pęka,  
A sternik zginął w rozszalałej fali —  
Całej załogi pracuje w takt ręka,  
Aby on statek otchłaniom wyrwali —  
Każdy tam trudów najcięższych się ima,  
I tą jednością zwalcza się olbrzyma!

SMOTRITIEL.

No, a gdybym tak — przypuśómy cud jaki . . . .  
Wybawił Polskę — od naszego cara,  
I do gniazd swoich puścił srebrne ptaki . . .  
Gdzie ich w letargu czeka matka stara!  
I ot z tych grobów, wywiódł jak najprościej . . . .  
Czy byłbym twojej wart wtenczas miłości?

HELA (gwałtownie wzruszona.)

Miłości?! mało — ubóstwienia! panie —  
Proch bym z nóg twoich zmiatała warkoczem,  
I niech się słowo tylko ciałem stanie,  
I w czynach zagrzmie — zjawieniem proroczem!  
A jużbym ciebie miała za narzędzie,

Które wypełnia Boskie: niech tak będzie!  
I oto, korna i poddana służka,  
Wciążbym klęczała — u twego podnóżka!  
Taki to grunt jest tej wdzięczności — żyzny . . .  
I taka miłość — tej świętej Ojczyzny!  
(*Chwyta za taczki i odchodzi w głąb.*)

## SCENA IV.

SMOTRITIEL (*sam.*)

A to szalona! Te Polki, jak widzę,  
Inne, niż wszystkie kobiety na świecie!  
Z jakimś demonem są w siostrzanej lidze,  
Ich serce dziwne zagadki nam plecie . . .  
Choćby w katiorgach — zawsze jak królowa,  
Już nie w koronie — w gwiazdach czoło chowa . . .  
I czego ja ją kocham tak gorąco?  
Ze prawdę rzekła, zmysły się mi mącą?!  
(*p. chw.*) No, kapelana spróbować ja muszę —  
Jeśli ma taką, jak i popi duszę:  
Łakomą, trwożną, na rozkosze chciwą —  
To już za cenę zwróconej wolności  
Sam mi ją odda do ręki co żywo,  
W krainę szczęścia drogę mi umości! . . .

## SCENA V.

Smotritiel — nadchodzą z taczkami kapelan i Staszek.

SMOTRITIEL (*do kapelana.*)

Ty się zatrzymaj — tamten odejść może. (*Staszek*  
[*oddala się.*])  
(*p. chw.*) Czy też pamiętasz ty zawsze tu o tem,  
Żeś praw pozbawion — że nosisz obrożę,  
Której ni siłą, ni cudem, ni złotem,  
Ni żadnym jakimś nadludzkim wypadkiem

Skruszyć nie zdołasz?! Żadnej wnosić skargi,  
Niewiarogodny — nie możesz być świadkiem —  
Do ludzi, prawa — zamknięte twe wargi!  
Toż się ty nie dziw — co ci śmiało powiem,  
Za co — gdzieindziej... wziąłbym w łeb ołowiem!...  
Oto ja Helę waszą kocham szczerze!  
Lecz ją tam skrupuł jakiś śmieszny bierze —  
Gdy ją jej wolność za rękę oddaję,  
I chcę z nią uciec gdzieś w nieznane kraje . . .  
To ona w głowie coś ubrdala sobie . . .  
Gardząc mym darem... chce zginąć w tym grobie!  
Jeśli więc ty ją nakłonisz do tego, —  
To ją i ciebie ze Staszkiem kolegą,  
Jak żuraw, w wyraj — bezpiecznie wywiodę —  
Gdzie wam odkwitną wasze lata młode! . . .

KAPELAN (z godnością.)

A jakież ja mam tutaj prawa do niej,  
Bym ją jak na rzeź owieczkę wydawał?  
(kładąc rękę na sercu) Ona wraz z nami tej polskiej  
[czci chroni!

Ją tutaj wpędził szatański karnawał! . . .  
Ona za całą Polskę jest ofiara!  
Ona tu sobą władać nie jest w mocy —  
Ma spłonąć czysta, choć się piekło stara,  
Zedrzyć jej wianek anielski, sierocy!

SMOTRITIEL (gwałtownie.)

Co syczysz klecho?! zbatożyć cię każę!

KAPELAN.

To wonne dary na nasze ołtarze!  
Wszystkiego z nami dokazać możecie —  
Lecz naszej duszy nie cisniesz na śmiecie!!  
A to, coś mówił, mój wszechwładny panie . . .  
To tajemnica! nikt jej nie wyśledzi,  
I nie usłyszysz — to przy mnie zostanie —,  
Wierzaj mi — jako na świętej spowiedzi!  
I gdybyś sam mnie siekał i na ćwierci,

Bym to wygłosił wobec innych ludzi —  
To już wolałbym, paść w objęcia śmierci . . .  
Niż się z pokusą chwalić — co tak brudzi!  
(*Odchodzi*).

### SMOTRITIEL (*sam zdumiony*.)

Co to jest?! włosy na głowie mi stają!  
To czarowniki, nie ludzie prawdziwi!  
Czem i jak walczyć z tą upiórów zgrają?  
Co ich moc straszną zagrobowo żywi? . . .  
(*p. chw.*) . . . Ha! jeszcze, jeszcze — nacisnę sprę-  
[żynę! . . .  
Za lekką może była moja ręka?  
Zwyciężyć muszę, albo niechaj zginę!  
Bo za tą Polką aż mi serce pęka! (*Wychodzi szybko*.)

## SCENA VI.

Grupa katorżników — kobiety i mężczyźni.

### 1. KOBIECZA.

Mówiłam wam już, że to czarodzieje!  
Ci między nami z Polski buntowszczyki —  
Wśród nich, najcięższa praca aż się śmieje,  
Gdy oni patrzą, w ich oczach — promyki . . .

### 2. KOBIECZA.

Bo dobrzy ludzie — a z takimi zawsze,  
Wszystko smaczniejsze — jakoby z omastą . . .

### 1. MEŻCZYCZNA.

Skoro są z nami — to od nas nieprawsze . . .  
Niewinny, tutaj — może jeden na sto . . . .

### 3. KOBIECZA (*z cynizmem idiotycznym*.)

A jażem winna? gdym z wstydu i nędzy  
Sprzątnęła dziecko ze świata czem prędzej?

## 2. MEŹCZYZNA (t. s.)

Albo ja znowu — gdym zacieklą żonę . . .  
Gdy mi kieliszka żalowała wódki,  
Z chałupą spalił, by za me spragnione  
Gardło — też żaru znała smak słodziutki . . . .

## 3. MEŹCZYZNA.

A za cóż mnie tu? . . . żem tam chciwca brata,  
Co lazył mi z pługiem, gdzie moja dzielnica —  
Lemieszem rozpruł, tak jak każdy płata  
Szkodnego zwierza, gdy mu chleb wychwyca.

## 4. MEŹCZYZNA.

No, a ja golarz — żem poderznął pana;  
Bo bogacz skąpiec bez pracy miał skarby,  
I robić kazał, jak wołom, od rana . . . .  
To któż z biedaków takiego nie żarłby?

## 4. KOBIETA.

Mnie też szatany za co tutaj wleką?  
Za zazdrośnika męża, rodem z piekła.  
Który mi gacha uczynił kaleką —  
Żem z nim na żniwa samopas uciekła —  
A gdy mnie wrócił i dobrze omłócił . . .  
Tom zgotowała mu sutą wieczerzę,  
Że od niej nie wstał . . . tak się najadł szczerze!

## 5. MEŹCZYZNA.

Mówią — powstańcy gorsi od nas bardziej,  
Bo oni przeciw białemu carowi  
Zawsze na opak, i chytrzy i hardzi  
Wszystko zepsują, co on postanowi . . .  
A na ostatku — w bunty się zebrali —  
I chcieli wyrznąć nas wszystkich Moskali!

## 5. KOBIETA.

Już nie wiem, czemu? to obmana chyba . . .  
Toż oni tacy spokojni i oisi!

Za zgodą giną, jak za wodą ryba —  
Że każdą klótnię, co nad nami wisi,  
Jak czarna chmura — rozpędzają prędko,  
A nawet przy nich wstydzimy się klótni . . .  
Bo swoją mową, łagodną i giętką  
Spokój nam niosą, choć sami tak smutni ;  
I niby jakoś weselej i słodziej,  
Gdy który z nich tam koło nas przechodzi,  
I zdaje mi się, żebym tu nie wpadła,  
Gdybym ich dawniej znała tam na świecie . . .  
Bo oni umią złej myśli widziadła  
Od nas odganiać — jak to wszyscy wiecie !

### WSZYSCY KATIORŻNICY.

Tak, prawda, prawda!

### 6. MEŻCZYZNA.

Et! jak świat ten stary,  
Wszystko potrafią z nami ludźmi — czary . . . .  
(*Oddalają się.*)

### SCENA VII.

Wchodzą smotritiel i dozorca kopalni.

### SMOTRITIEL.

No, słysz ty Iwan! i mój rozkaz pomnij!  
Tym miatieźnikom z Polski odmień taczki  
Na te najcięższe! Niechaj wiarołomni  
Swojemu caru — odcierpią Polaczki!  
A krepko ich tam przypilnuj w robocie . . .  
I bierz się do nich z tą nahajką żywo!  
Bo jak mi strusisz . . . to się otrę o cię  
Mej miękkiej ręki palącą pokrzywą! . . . (*Odchodzi.*)

### DOZORCA (*do niego.*)

Zapiekę ja im! (*sam*) Coś ja teraz kruchy  
Dla moich Lachów, szczególnie dla Heli? . . .

Ona już miewa krwi ciągle wybuchy,  
Omdlewa często — śmiercią się weseli . . . .  
Mówi, że na nią nadchodzi już pora —  
O! biedna bardzo! i śmiertelnie chora!  
Jak cięższe taczki weźmie do swej dłoni —  
To wiem, przysięgłbym — będzie zaraz po niej . . .  
Czud, cud, uroki! w mojem życiu całym  
Nad skazańcami się nie litowałem! . . .  
No, bo też żaden nie przemawiał słodziej  
Do mnie — a przecież ja nie ich dobrodziej? . . .  
Nawet z początku, gdym kąsał ich knutem,  
To nie przekleństwem, boleścią zatrutem,  
Lecz mądrym słowem tak mi powiadali:  
„Są dobrzy ludzie i pośród Moskali“ . . .  
Nie tak, jak Hitrow, ten wściekły bandyta,  
Co w czas warjactwa aż zębami chwyta! (*Odchodzi.*)

### SCENA VIII.

Wyprowadzają z głębi zwarzowanego Hitrowa,  
który się szamoce z dozorcami.)

HITROW (*opiera się o ścianę szybu.*)

A! cóż to chcecie, wy raby! odemnie?  
Toż swego pana, wszechwładnego cara  
Uwzięliście się — mordować niekzemnie,  
Że wasze grzbiety knutami rozpara!

Jam bratobójca?! zkądże o tem wiecie?  
Wyście dzisiajsi — ja idę przez wieki . . .  
Mnie żertwę ciska — każde w hołd stulecie,  
Opalów waszych jeszczem jest daleki!

Wchłonałem mnogie w siebie bratnie ludy!  
Bom jest jako grób, i z grobów się rodzę . . .  
Trupami żyję i nie zginę wprzód —  
Aż zmartwychwstaną z tych umarłych . . . wodze! . . .  
Strawić połkniętych — od wieków nie mogę . . .  
Żrą mi wnętrzości . . . pędząc w boleść srogę!

Jam dziki! dumał . . . że, co jest w mogile —  
To już bezpłodne — dla żywota na nic!  
Że gdy się na śmierć mych łupów wysię,  
To je śmierć wydrze z mego carstwa granic . . .  
A oni żyją! ja szalenciec z nimi!  
Tu, w bezgwiazdzystych norach się szamoczę . . .  
I chcę koroną ten kurhan olbrzymi  
Roztłuc i wpuścić słoneczne warkocze!  
O! jak tu ciemno! bez oddechu parno!  
Gady mnie korą obwiły błyszczącą —  
Do mego serca kłębam się garną,  
Przez mózg czołgają i rozum mi mącą!  
Przedemną węzem wszystko w strop ucieka —  
Wszystko, co postać tylko ma człowieka,  
A to zostało — co uplągłem z siebie,  
I co w tych lochach, wraz z robactwem, grzebie . . .  
— Żywota mego mnogie karjatydy,  
Na barkach swoich ten grobowiec niosą —  
Gdzie tyle ofiar i morderstw ohydy!  
Zimnych kamieni, oplakanych rosą . . . .  
— Tam . . . Iwan groźny! a tam . . . Katarzyna!  
To mego ducha tylko różne trumny,  
Po których on się coraz wyżej wspina . . . .  
By z samych szczytów runął w proch, bezumny!  
A na świadectwo i gwałtu orędzie,  
Czasem on w takim, jak ja marnym — będzie . . .  
— Język mój, jako w babilońskiej wieży,  
To się Waregów, to Rusinów chwyta.  
To niby z laszym w czułe dźwięki bieży . . .  
A zawsze cudzym, syci swe jelita.

Skarżę się myślą i mową nie swoją,  
Obce jej tony zalały mi duszę,  
I w jakieś jęki zwarzowane stroją,  
Które choć nie chcę, rozegrzmieć je muszę!  
. . . Coś pali trzewa i drze mnie na strzępy,  
I piersi moje, jeszcze żywe, porze . . . . .  
Nóż to nie ludzki . . . powolny i tępy! . . .  
. . . Litości! cóż to? . . . widzę jakąś zorzę . . . .

(*Wpatruje się w niesioną Helę.*)



## SCENA IX.

Ciż — Staszek i kapelan niosą Helę —  
zwolna zbliża się smotritiel i staje zadumany z za-  
łamanymi rękami. Hela wspiera się, na wpół leżąc na  
łomach kamieni, druidycznie ułożonych. Staszek i kapelan  
klękają. Hitrow patrzy na Helę z trwogą.

### HELA.

I oto przystań przedemną już bliska . . .  
Widzę ją, we mgłach osrebrzoną całą,  
Przez które promień wieczności mi ciska,  
Bym biegła za nim — w otusze i śmiało!  
Choć wracam smętna, jak z pobojuwiska,  
Gdzie się zwyciężyć wroga nie udało,  
To jednak w duchu . . . sprzątnąwszy mu wiele,  
Starczyło siejby . . . tych iskier w popiele . . . .  
W strasznej warowni, niezdobytej niczem,  
I my w katakumb jaskiniach kończymy —  
Twardzi w torturze i pod kata biczem,  
Maluczcy dzisiaj . . . . a w dziejach olbrzymy!  
I pod przemocy igrzyskiem zbrodniczem,  
Do nowej krwawim ślad, Jerozolimy . . . .  
Gdzie narodowość z wianą się tak sprzęgły,  
Jako w budynku nierozwodne węgły!  
Schorzałych ludów oko żarem skrzy się,  
Bo im na ducha organie wciąż zbywa . . . .  
Więc w tej niemocy — jako szpony rysie,  
Na cudze godzi żądza ciemna, chciwa!  
Pokarmu sobie, w bliźniej patrzą misie,  
Braterska na łup przeznaczona niwa —  
I bez nas będą w tej z głodu malignie . . . .  
Aż zmartwychwstanie nasze ich wydzwignie . . .  
Zbrodzim złud tęcze i pokus haremy . . . .  
Zapłaczem nieraz, rozszarpawszy szaty,  
Gdy wierząc w wroga, że głuchy i niemy,  
W nas ufnych runie jako smok skrzydlaty!  
I drapieżnego znowu pożywiemy . . .  
I balwochwalcze nasycim objaty —

A to znak będzie i hasło złowieszcze,  
Że nam godzina . . . nie wybiła jeszcze!  
Więc schylim czoła w bezmownej rozpaczyl  
Zacisniem pięści i zgrzytnie nam szczęka!  
I duch w nas wstąpi . . . i każe inaczej  
Piąć się w tę górę . . . co przed nami pęka . . . .  
I będziem nakształt uznojonych traczy —  
Że z dołu, wierzchniej — wszystko czyni ręka.  
Dźwiga i ciężar cały ima na się . . . .  
W górnej . . . wskazówka, jako na kompasie.  
Wiarą — gmach ony, weźmiem na cementy . . .  
Lecz wiarą w czynach jako duszą w ciele —  
Tak, że jej sługa nawskróś będzie święty!  
Jakich dziś mało — ongi było wiele —  
A każdy inny . . . przez lud już wyklęty  
Za świętokupstwo . . . pokutnik w popiele . . .  
Bo mówię, wiara — tylko w czynach może  
Tu z nieba zesłać nam Królestwo Boże!  
Miłością — wnętrza zślubujemy zgodnie,  
I za kolumny — niewiasty nam będą!  
Od blasku których pierzchną widmem — zbrodnie,  
I naszym wrogów rozsieją się grzędą . . .  
Bo miłość niewiast — żyjące wyrodnie  
Tak olśni, skruszy . . . że obok nie siędą,  
Gdzie nam przyswieca ta matka — królowa,  
Pod której stopą waż w norę się chowa! . . .  
Nadzieją w pracy — jak ul i mrowiska . . .  
Pod strzechy ściągniem słodycz i dostatki —  
Lud światłem, prawdą — słonecznie zabłyska,  
Krzepki i dobry syn skrzywdzonej matki!  
Wonczas do kata jej przystąpi z bliska . . .  
I najdzie druhów . . . na tej drodze gładkiej . . .  
To mówię, gdy już między duchy wkraczam . . .


HITROW (*klęka przed Helą.*)

Przebacz mi święta!

HELA.

A wrogom przebaczam!

Leżajsk, 1895.





## Edmund Leon Ostoja Solecki.

### Wspomnienie pośmiertne.

**N**ieraz czytelnik w rocznikach mego wydawnictwa spotykał się z artykułami, podpisanymi to przez Els., to znowu pełnem imieniem i nazwiskiem autora.

Autor tych artykułów, inżynier i budowniczy a następnie przez szereg lat redaktor i wydawca „Gazety Nadniestrzańskiej“, nie należał do geniuszów, ani też pierwszorzędnym nie mógł poszczycić się talentem; ale był dobrym publicystą, cięte miał pióro, wielką dozę ducha obserwacyjnego a — co my przede wszystkim w każdym człowieku cenimy — odwagę cywilną i pisał dla swego przekonania i dla niego, a nie dla marnego zarobku narażał się niejednemu.

Sp. Edmund Leon Ostoja Solecki, urodzony w r. 1842, umarł 27. Lutego 1896 w Drohobyczu, a więc doczekał się wieku zaledwie 54-letniego. Skończywszy szkoły zawodowe, techniczne, już za młodu zaopatrzone duchem byстрыm, postrzegawczym a przenikliwym, posiadając przytem wykształcenie nie powierzchowne i płytkie i władając doskonale kilkoma językami — łatwo znalazł posadę urzędnika kolejowego, a w Stanisławowie, gdzie dłuższy czas bawił, zdobył taki szacunek dla osoby swojej u współziomków, że zaszczycono go mianem honorowego obywatela miasta Stanisławowa.

Stosunki zniewoliły go do opuszczenia służby kolejowej. Śp. Solecki przeniósł się do Drohobycza, gdzie jako umiejętny, rządowo egzaminowany inżynier i budowniczy, znalazł zajęcie należyte i o ile można — rugował fuszerkę zawodową, wkradającą się w tę gałąź sztuki.

Znalazłszy siedzibę, pomyślał teraz o założeniu gniazdka domowego i ożenił się z Marją Strawińską, córką śp. Marcelego Strawińskiego ze Sambora. Małżeństwo to pod każdym względem było dobrze dobrane. Żona młoda nie liczyła się do takzwanych emancypantek, które wszystkim głowę zawracają bezmyślnymi swemi urojeniami i chęcią panowania nad ogółem; ale była dobrą Polką, dobrą, rozumną i pracowitą żoną i gospodynią a przede wszystkim wzorową towarzyszką i pocieszycielką w najrozmaitszych życia kłopotach.

A takich śp. Soleckiemu nie brakowało nigdy: prawy jego charakter nie mógł się zgodzić z korupcją w łonie gminy, której był członkiem; głęboka wiedza jego nie mogła się zgodzić z partactwem współzawodników, na pierwszym miejscu protegowanych. Ztąd rosło źródło rozterek i niesnasków; ztąd rosło niezadowolone ze świata i z ludzi, łagodzone cokolwiek, ale nie usunięte całkowicie ciepłem ogniska domowego, towarzystwem żony i dzieci, wreszcie czytaniem książek pouczających i samoistnem zajmowaniem się literaturą, której znawcą wcale nieposłednim był Solecki. Nie odbiegniemy od prawdy, jeśli twierdzimy, że mało u nas było, ani jest Polaków, obok ojczystego języka tak władających pobratymczym ruskim. Solecki z przekonania był demokratą; prosty lud głębokie miał do niego zaufanie, nie tak wyższe sfery, szczególnie plutokracja.

Nie dbał jednak o jej sympatje Solecki; on kroczył naprzód wytkniętą przez siebie drogą, której ciemnie zmysł krytyczny mu rozwidniał, podobny do Samsona, pogrzebującego pod kolumną świątyni i siebie i Filistynów. Wzrostem barczystym i tęgim nieraz przypominał nam bohaterów zamierzchłych; myślą nie daleko odbiegał od nich, — że czynem dorównać im nie mógł, temu po części winna ułomność

natury ludzkiej, po części stosunki, nie pozwalające na swobodny rozwój bohaterów i czynów bohaterских a przekształcające potężny dramat życia nieraz w farsę, pożałowania godną.

Gospodarka gminna w Drohobyczu, która mu kością w gardle stała, wyzysk biednych przez bogatych, wypadki w kopalniach borysławskich, zakończone prawie zawsze kalectwem lub śmiercią — to wszystko spowodowało go do założenia osobnego organu w formie dwutygodnika, zatytułowanego przezeń „Gazeta Naddniestrzańska.“

Żywot tego pisma był krótki: założone w r. 1884, po kilkoletnim zaledwie istnieniu, zapełnionem licznymi konfiskatami, zawieszono zostało całkowicie z powodu obrazy majestatu, której się niebaczny redaktor w poufnem kółku dopuścił. Nie dopiął on ze wszystkiem swego celu i nie mógł go dopiąć. Zbyt wiele przyczyn stało temu na przeszkodzie a przede wszystkim zanadto namiętna i subiektywna jego natura. On chciał być mężem w całym tego słowa znaczeniu, walczyć nie jak Donkiszot z wiatrakami, kochać lub nienawidzić całą duszą, całym sercem gorącym. Z każdego łamu pisma — czasem nawet zupełnie niepotrzebnie — wyglądała nie już jego osoba, ale cała osobistość jego. A w szale walki niepotrafił niestety należycie rozróżnić między potrzebą lub niepotrzebą wmięszania się. Nie dopiął on ze wszystkiem swego celu — ale dopiął bodaj częściowo. Ponurem światłem, z katakumb zapożyczonem, oświetlał on stosunki oplakane robotników, w kopalniach borysławskich żywcem pogrzebanych; on pierwszy zwracał uwagę świata pozadrohobyckiego na stosunki oplakane w tem mieście; główna jego w tem zasługa, że przy ponownych wyborach do rady gminnej drohobyckiej upadła tak zwana partja „saska“, na której czele stał Wiktor Sas Błażowski, ówczesny burmistrz drohobycki.

Runęła „Gazeta Naddniestrzańska“, a upadek jej naraża znowu na nieobliczone straty śmiałego szermierza prawdy. Nie tracił jednak śp. Solecki ducha. Choć rozgoryczony do świata i do ludzi — wraca do pracy zawodowej, która mu zapewnić ma

utrzymanie samodzielne, a żona zajmuje się krawieczyzną. Promyk cieplejszy nie oświeca tego życia, pełnego troski, niewygód i niewyspanych nocy. Ale wolał śp. Solecki pracować a pracować twardo z narażeniem zdrowia i życia, aniżeli wygodne życie okupywać pozbywaniem się opinii własnej i czapkowaniem przed możnymi i wielmożnymi. To też bez namysłu odrzuca ofertę bardzo bogatego i wpływowego krewniaka, który mu posadę pewną w większym mieście galicyjskim ofiarował pod warunkiem, aby się pozbył własnej woli i stał się echem tego, co mu wpływowy krewny myślić lub czynić poleci. Jest to jeden z najpiękniejszych rysów w charakterze redaktora „Gazety Naddniestrzańskiej“.

I życie w domowym kółku toczyło się dalej po drodze, iście nie różami zaścielonej. Mąż bezustannie zajęty był pracą zawodową budowniczego i inżyniera, to w obrębie Drohobycza, to poza miastem. Nieraz przejechawszy się wózkami po drogach autonomicznych, autonomicznie zaniebanych, wśród powietrza, w którym nikt psa z izby by nie wygnał, nabawiał się rozmaitych chorób, reumatyzmu, przewlekłego kataru kiszek i kładł podwalinę pod ostatnią, śmiertelną chorobę, która ten silny organizm podkopała i zniszczyła; żona znów w nieobecność męża zajmowała się krawiectwem, gospodarką domową, kuchnią, wychowaniem dzieci.

W wolnych od zajęć chwilach zawodowych pracował śp. Solecki zawzięcie na polu literatury; przesiadywał nocami całymi przy biurku nad książkami; czytał i pisał bez ustanku; przetłumaczył całego Szewczenkę na język polski, marząc ustawicznie o wydawnictwie tego dzieła jako o koronie wszystkich swoich literackich usiłowań.

Marzenia te nie ziściły się: nie było za co wydać olbrzymiego dzieła, a wydawcy także nie zbyt chętnie kwapili się z podobną propozycją. Pracował jednak Solecki, niezrażony wszelkimi niepowodzeniami, dalej.

Wtem uderzył znowu grom w serce tego szermierza idei ludowej: śmierć nieubłagana porwała mu ulubieńca, synka najstarszego, i odtąd nie podniósł

się już Solecki, choć głębokiej boleści swojej nie okazał światu. Pchał, jak to mówią, taczki życia dalej, walczył z biedą — nie dla zarobku, za ledwie wystarczającego na przyzwoite utrzymanie rodziny, nie dla świetnych widoków, otwierać się mających — wszakże pogardził był daleko świetniejszymi, aby się nie sprzeniewierzyć idei — ale pracował, aby nie być trutniem w społeczeństwie, które za jedyny warunek nietylko bytu, ale i szacunku, kładzie pracę.

W towarzystwie śp. Solecki celował cnotami przodków: serdecznością, gościnnością, nauką, którą nietylko teoretycznie, ale i praktycznie rozwijać usiłował. Dla stojących niżej wiadomością i nauką był on życzliwym, pozbawionym wszelkiej pychy, doradcą; dla równających się mu sposobem myślenia, serdecznym przyjacielem. Charakter jego nie dopuścił ani płaszczenia się, ani poufaleń zbytniego z nikim. Był poniekąd w sobie zamknięty dla wielkiego tłumu; dla wybranych otwarty na wylot.


Wiadomość o jego śmierci była dla mnie niespodziewana, prawie przerażająca; a licząc na silną jego konstytucję, sądziłem, że śmierć tego bojownika pracy daleko później nastąpi. Niech bodaj ta krótka wiązanka wspomnień przyczyni się do tego, aby odświeżyć pamięć po śp. Soleckim, a przede wszystkim, aby zwrócić uwagę zamożnych wydawców-księgarzy na bogatą literacką spuściznę po mężu, który przez całe życie pracował, walczył i cierpiał dla idei.

Sambor, 1. Marca 1896.

*G. Kohn.*



## SEN PATRJOTKI.

zwajcarjo boska! ty cudna kraino!  
Ty ziemio wolna od przemocy carów!  
W tobie narodu myśli wolne płyną,  
Jako strumienie pośród gór i jarów.

Cudna kraino, coś była schroniskiem  
Biednych wygnańców, gdy kraj swój stracili  
I największego wodza przytuliskiem,  
Gdy go już wszyscy prawie opuścili!  
Ojczyzno droga! jakżeś ty wspaniała!  
Tam żyć, to wolność, tam żyć — to wesele!  
Niestety! jedna tylko chwilka mała  
Życiu mojemu przypadła w udziale!

Była noc! — Jam na strasznej stała skale!  
Przedemną przepaść, w głębi strumień huczał, —  
Nademną księżyc przyświecał wspaniale  
I gwiazdom śpiącym coś szeptał i mrucał.

Wtém na tle nieba śliczny anioł biały  
Usiadł i spłynął po błękitnej chmurze  
I stanął przy mnie tuż na zrąbku skały  
I rzekł: „Czy widzisz ten zamek na górze?  
„Czy widzisz baszty i szare murzyska,  
Co w bladym świetle ciemno się rysują?  
Rapperswylskiego to skrzydło zamczyska!  
Tam się dziś wszyscy anieli radują!

„Patrz, jak tam jasno! ile świec tam płonie!  
Anielskich hymnów głosy aż tu biją,  
W dźwiękach muzyki cała dusza tonie!“ . . . .  
„Cóż za tajemnic czary się tam kryją?“ —



Pytam nieśmiało bożego anioła, —  
A w jego piersi ciche drgnęło tchnienie  
I zanim jeszcze odpowiedzieć zdola,  
Chwyta mnie szybko i niesie w przestrzenie.

Niesie i skrzydła nademną rozwiera,  
Leci nad szczyty lodowych granitów,  
Aż wreszcie stanął; zamek się otwiera,  
Pełen czarodziejstw z krainy Lechitów.

Patrzę: dokoła złocą się korony  
Na głowach królów. W górze orzeł biały  
Z skrwawionem sercem, gotów do obrony,  
A taki piękny, a taki wspaniały!

I lśniące złotem i srebrem kontusze,  
Zdobne purpurą miękkie aksamity  
I brylantami czaple pióropusze  
I karabele jedwabnemi kity.

Lecz nad to wszystko ostre lśnią się kosy,  
Z których tryskają iskry tak gorące  
I odgłos taki bije pod niebiosy,  
Że księżyc blednie i gwiazdy mkną drżące.

Więc tu w Szwajcarji widzę Polskę moją!  
Widzę Ojczyznę i moich rodaków!  
W tych, co tak smutno tu patrzą i stoją,  
Poznałam braci wygnańców, Polaków!

A to ich dusze w anielskiej postaci!  
Przyszli, by uczcić swego bohatera. —  
W królewskim siedzą męże majestacie,  
Bo król ich królów serce im otwiera!

„Lecz gdzież to serce?“ — „Tam w tej urnie  
[lśniacej

Kędy pochodni krwawy blask jaśnieje!“ —  
Odrzekł mi anioł dumny, bolejący,

I z oczu strumień łez mu się poleje. —

„Chodź, wskaż mi dzisiaj urny tej głębinę!  
Niechaj to serce do ust swych przycisnę,  
Niech je choć ujrzę! — a potem niech zgine,  
Lub niech się w nicość rozpadnę, rozprysnę!“ . . .

I anioł z drżeniem podniósł w górę wieko,  
I jam ujrzała bojownika serce! . . .

Wzięłam je do rąk, przycisnęłam lekko  
Do łona swego, w myśli mych rozterce,

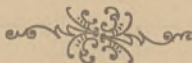
To szczęściem żyłam, to boleścią łzawą . . . .  
Wspomniałam świetne racławickie boje,  
Maciejowicką klęskę smutną, krwawą  
I Tadeusza na wygnaniu znoje . . . .  
    I stałam długo milcząca i blada  
    I skamieniała prawie . . . żal mnie dławił,  
    Wtem krzykłam: „Biada narodowi, biada!  
    I anioł drżący krzyżem błogosławił,  
I rzekł spokojnie: „O, nie mów tak droga!  
To serce, które przyciskasz do łona,  
Żyje — i kiedyś przyjdzie chwila błoga,  
Że wraz z tem sercem zmartwychwstanie Ona!  
    „Patrz, jam Kościuszko! mam siłę i męstwo!  
    Serce me oddaj braciom twoim — proszę;  
    Już teraz życie biednej Polsce wnoszę,  
    Już teraz ona odnosi zwycięztwo!“ . . .  
I wtem zadrżały zamczyska sklepienia,  
Powstali męże z powagą i chwałą,  
Spłynęły z niebios archanielskie pienia,  
Witając Polskę nową, zmartwychwstałą! . . .

---

Jam się zbudziła. — Cała szczęściem płonę!  
Sen mnie głęboko wzrusza i przenika,  
I nie wiem, kiedy z tych marzeń ochłonę,  
Bo dotąd czuję serce Naczelnika! . . .

W Październiku 1895.

*Olga Lissówna.*



## Złamany pierścionek

(z niemieckiego Józefa br. Eichendorffa.)

---

U cienistego stoku  
Młyn szumi, a mnie żal.  
Zniknęłaś, mój uroku,  
Młynarskie dziewczę, w dal.  
    Że wierna mi i stała,  
    Pierścionek dała wraz;  
    Lecz wiarę mi złamała,  
    Pierścionek w dwoje trzasł.  
Toż chyba, jako grajek  
Wędrować chciałbym w świat,  
Słuchaliby mych bajek  
I piosnek ludzie z chat.  
    Lub z koniem chcę biedz z mocą,  
    Gdzie krwawej bitwy wrzask,  
    A potem słuchać nocą  
    Cichego ognia trzask.  
A młyn tak huczy szumnie,  
Ja nie wiem, czego chce.  
Najlepiej ległbym w trumnie,  
Zmilkłyby tony te.

*Zygmunt Ludomir.*



## Tak cicho ponad lasy

(z niemieckiego Emanuela Geibla.)

Tak cicho po nad lasy,  
Nie słychać rzeki fal,  
I kroków mych hałasy  
Stłumione lecą w dal.

Łagodne blaski sieje  
Wiosenna, jasna noc,  
A rzeźwy wietrzyk wieje  
Młodzieńczą w serce moc.

Dnia żądze wrzące skrycie,  
Ochłodził nocny wiew,  
I lekko, jasne życie  
Obiega moją krew.

Bo ciężkość ma zniknęła,  
Jak gdyby moją skroń  
Swym dziwnym chłodem tknęła  
Jakiegoś ducha dłoń.

Dreszcz miły mię opłynął,  
Jak gdyby ze swych szat  
Mój duch się wraz rozwinął  
I leciał ponad świat.

*Zygmunt Ludomir.*



## SPOTKANIE

(z niemieckiego Henryka Heinego.)

Hej tam pod lipą dźwięczy muzyka,  
Z dziewczęty tańczą chłopacy,  
I pyszna, smukła para pomyka,  
Nikt nie wie, co to za jacy.

Tędy, owędy zgrabnie płasają,  
Tak dziwnie obcym zwyczajem  
Wdzięczą się sobie, głową kiwają,  
Szeptać pytają się wzajem:

„Mój kawalerze! rzecze dziewczęta,  
Otóż poznałam cię sama,  
Z dna morza lilją łśni krasa twoja,  
Tyś nie potomek Adama.

Tyś jest topielec! Przyszedłeś zdradnie,  
Wiejskie uwodzić piękności:  
Ja cię po zębach poznałam snadnie,  
Bo ostre jak rybie oście.“

Tędy, owędy zgrabnie płasają  
Tak dziwnie obcym zwyczajem,  
Wdzięczą się sobie, głową kiwają,  
Młodzian znów rzecze jej wzajem:

„Panienko piękna, pozwól pytanie:  
Dlaczego jak lód twe ręce?  
Czemu wilgotne, białe ubranie  
I mokry szlak przy sukience?

Żeś nie ziemianką, tyś wyzradziła  
Nader złośliwą twą minką,  
Tyś jest — o moja panienko miła —  
Rusalką — moją kuzynką!“

Zamilkli skrzypki, oni oboje  
Grzeczne ślą sobie ukłony ;  
Znając niestety stosunki swoje,  
W różne umyślnie mkną strony.

*Zygmunt Ludomir.*

---

# Nicość

(sonet.)

---

Nicość przedemną rozwarła ramiona  
I w swym uścisku wnet wszystko pochłonie,  
Nicość śmiertelnem na nas tchnieniem wionie  
I do zimnego nas przyciska łona.  
Próżnia przedemną, nicość niezgłębiona,  
W której się wszystko gubi, wszystko tonie,  
Nicość na złotym rozparła się tronie,  
Nicość wszechświatem zawładła szalona.  
Nicość i blichtr i co z niemi równe :  
Oto zasady wieku nasze główne !  
Niczem bohater, mąż idei, wiary,  
A czołem bijąc przed cielcem nicości,  
Nucąc na sprośną nutę hymn wolności,  
Krają w takt skoczny obrzydliwe mary !

Kołomyja, 11. Lipca 1881.

*G. Kohn.*

# Sen na jawie

(z niemieckiego Józefa br. Zedlitza).

W salonie nienazbyt wielkim  
Panie się bawią ochocze,  
Więc korzystając z zaproszeń  
I ja próg domu przekroczę.  
    Wszystkim uprzejmie się kłonię  
    I wszystkie mi się nawzajem,  
    A jedna kiwa mi palcem  
    Przyjaciół starych zwyczajem.  
Wpośrodku zaś siedział panicz  
I obrał sobie za temat,  
Usypiać piękne słuchaczki ;  
Bo czytał lichy poemat.  
    A jedna z panien nadobnych,  
    Co siadły koło stolika,  
    Włos miała gdyby len złoty  
    I wzrok, co duszę przenika.  
Usiadłem obok poety,  
Ciekawy, co ten obwieści :  
On czytał, czytał bez końca  
A jam nie pojął nic z treści.  
    O gwiazdkach śniłem tymczasem  
    I jak się pączek rozwinie,  
    Jak woda szumi, ptak śpiewa,  
    Jak słowik kwili w gęstwinie :  
I jak królowa ma siedzi  
Na złotym, wyniosłym tronie  
I śpiewakowi lubemu  
Pierścionek dają jej dłonie !

Sambor, 18. Lutego 188!.

*G. Kohn.*

## CICHA MODLITWA.

Lekka, jak motyl i jak on niewinna,  
Miła i dźwięczna, jak mowa dziecinna —  
Jak duch skrzydlaty po przestworze świata:  
Cicha modlitwa do niebios ulata.

Cicha modlitwa — to ziemi posłanka, —  
To duch świątyni — to ludzi kapłanka,  
To powiernica cierpień i niedoli  
Naszycy udręczeń i naszej niewoli.

Cicha modlitwa, aniołów siostrzyca,  
To Boska córka, to niebios skarbnica, —  
Skarby niebieskie na ziemię przynosi,  
Jeśli kto w ciszy, o nie Pana prosi.

Cicha modlitwa ciche skargi dzwoni,  
Choć pełną uczuć, żalu i boleści,  
Jako ten listek jesienny szeleści,  
Gdy go wiatr z drzewa na ziemię uroni.

Czy do pałacu, czy do nędznej chatki,  
Tam, gdzie sieroty bez ojca i matki,  
Albo gdzie nędzary na pościeli biedny  
Leży — stroskany o swój chleb powszedni  
Myśli zatapia . . . — ona tam pośpiesza, —  
Do jego chatki, do serca się wcisnie,  
Jakaś radosną nadzieją zabłyśnie  
I strąca smutek z czoła i pociesza.

Albo na puszcze odległe odleci,  
Lub tam na Sybir do śnieżnych zamieci,  
Do tych tułaczy, synów polskiej ziemi —  
Do tych wygnańców, gdzie płacze wraz z niemi.

Płacze i zbiera łez krople gorące,  
Ociera z czoła krople potu drżące,  
I z temi łzami i z temi kroplami  
Płynie do niebios, jakby z brylantami.

Tu przed Wszechmocny tronem się uniża,  
Do Wszechmocnego z pokorą się zbliża,



Rozkłada przed nim uczuć wonne kwiaty,  
Które przyniosła z zaświatów i z chaty.

Modlitwa cicha zawsze Panu miła,  
Więc Pan skarbnicę łaskawie otwiera,  
Smutnym pociechę w niedoli zasyla  
I nieszczęśliwym łzę żalu ociera.

Nawet grzesznikom rany duszy goi,

Jeśli o litość błagają w cichości,

Rany ich serca i leczy i koi

Balsamem wiary, nadziei, miłości.

Cicha modlitwa ciche skargi dzwoni,

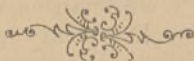
Bóg ciche jęki najprędzej usłyszy,

I nad niedolą ludzką łzę uroni,


Módlmy się wszyscy, lecz sercem i w ciszy.

Rymanów, 1892.

*Olga Lissówna.*



## Dzień polski w Cieszynie<sup>\*)</sup>.

iała zeszłego roku na św. Michał Biała swój dzień polski: przysłała tego roku kolej i na Cieszyn. Krecia robota nieprzyjaciół Polski dokazała tyle, że odroczone uroczystość z dnia na dzień, a gdyby szło według myśli naszych „najserdeczniejszych“, odkładanoby ją pewnie ad calendas graecas, i przepadłaby z kretesem najsprawiedliwsza sprawa. Nie dała jej jednak upaść energia i wytrzymałość trzech nieustraszonych mężów a godnych synów Polski kresowej: ks. Świeżego, adwokata Michejdy i włościanina Jerzego Cieńciały, zwanego w narzeczu ludowem: „królem polskim.“ Ci trzej postanowili brać na siebie nie bardzo przyjemną, ani też wygodną rolę natrętów dla sprawy narodowej; trzymali w ustawicznem obleżeniu hiura władz, nie ruszali się z miejsca, a gdy i to wobec znanego powszechnie biurokratyzmu nie wiele pomogło, wtedy odgrażali się dalszemi krokami wojennemi, apelacją do Ministerjum oświaty we Wiedniu, a nawet w ostatecznym razie i do samego cesarza.

---

\*) Artykuł pod powyższym tytułem napisałem jako naoczny świadek zaraz po uroczystości cieszynskiej tamże. Umieściłem go wraz z wierszem, przezemnie wypowiedzianym, w „Gazecie Samborskiej“ z dnia 1. Listopada 1895. Wiersz mój został przedrukowany w „Djable“, w „Gazecie Polskiej Czerniowieckiej“ i w „Gwiazdce Cieszynskiej“, choć niestety prawie wszędzie z wyjątkiem chyba jednej „Gwiazdki Cieszynskiej“ — z błędami drukarskiemi. Na tem miejscu widzę się też zniewolonym, sprostować uroczyście doniesienie, w „Nowej Reformie“ zawarte a widocznie na błędnych informacjach polegające, jakoby oprócz mnie jeszcze ktoś inny na tej uroczystości wiersz o treści patriotycznej wygłosił, za który wrzekomo rzesistemi oklaskami

Groźba ta poskutkowała: nieprzyjaciele ulegli na końcu presji moralnej i zezwolono na otwarcie gimnazjum, które się w dzień 10. Października 1895 z możliwą wśród obecnych stosunków uroczystością odbyło. „Z możliwą“ — mówię ja; bo co u nas w Galicji wolno, to nie tu na Szlązku. Jeszcze w przeddzień uroczystości organ polakożerczej partji niemieckiej, — „Silesia“ starała się udowodnić, że „otwarcie polskiego gimnazjum jest rzeczą zupełnie zbędną, nieupragnioną i niepożądaną nietylko przez niemiecką, ale nawet i przez polską ludność Szlązka; że jest dziełem nie potrzeby rzeczywistej, ale fanatyzmu narodowego Polaków w Galicji, tychże samych Polaków, którzy nie mając pieniędzy na najpilniejsze swoje potrzeby, sąsiadów przeciw woli tychże uszczęśliwić pragną, a nawet i Lwów, przed kilkudziesięciu laty jeszcze na wskrós niemiecki, teraz ze wszystkiem spolszczyli“ — ale ktoby tam takim szczekaniom dowierzył!

Lud nie taki głupi; a najlepszy dowód, jak „niepożądane i niepotrzebne szkoły polskie dla chłopca polskiego na Szlązku“ — to to, że dotychczas przeważająca większość uczniów polskiego gimnazjum w Cieszynie składa się z włóścian okolicznych, którzy przeddzień uroczystości w swój sposób obchodzili, oświetlając rzeźnię wierzchołki gór, czyli, jak je lud w narzeczu swoim nazywa: „gronie“ — sztucznymi ogniami.

---

został wynagrodzony, gdyż oprócz mnie nie było nikogo, coby wiązaną mową jakiś toast wygłosił. Ja zaś wygłosiłem rzeczywście toast pod tytułem: „W dniu otwarcia gimnazjum polskiego w Cieszynie“, za który mi oklasków nie skąpiono. Jako na świadków prawdziwości mego twierdzenia powołuję się na panów: Dra Gumpłowicza z Wiednia, Dra Bogdanika z Białej, Dra Danielaka z Krakowa, profesora Frąckiewicza z Wadowic, rzeźbiarza Majerskiego z Przemysła, księgarza Poturalskiego z Podgórze, rolnika Głajcara z Sibicy a powołałbym się jeszcze na więcej świadków, gdybym wszystkich gości, zgromadzonych wówczas w piwiarni Karwińskiej, osobiście i imiennie znał. Jeśli zresztą mniemany ów toast z „Nowej Reformy“ rzeczywście był tak piękny i porywający, że zjadł sobie oklaski zgromadzonych gości —, to czemu ani jedno pismo polskie nie przytoczyło bodaj zwrotki z tego wiersza? (Przyp. aut.)

10. Października w dzień czwartkowy rozpoczęła się właściwa uroczystość nabożeństwami, naprzód w kościele farnym, w którym ks. prałat Świeży kazanie na temat otwarcia polskiego gimnazjum wygłosił, następnie zaś w kościele ewangelickim, gdzie Dr. Pindor Szlązak, do zgromadzonej gęsto publiczności przemówił. Obaj kaznodzieje starali się zwrócić uwagę publiczności polskiej na kierunek nowego zakładu naukowego, który jest i powinien być równocześnie i religijnym i narodowym. Szczególnie silnym i dźwięcznym organem wypowiedziana była mowa dra filozofii Pindora, pastora ewangelickiego, który widocznie nie podlegał wpływowi szkodliwym a znanym tu dostatecznie, kiedy się zdecydował, brać udział w tej części uroczystości.

Piękną mowę ks. Świeżego ogłaszamy dzięki uprzejmości autora według tekstu oryginału, umieszczonego w 43-m nrze „Gwiazdki Cieszyńskiej“ z 26. Października 1895.)\*

**Mowa ks. Monsignore Świeżego, wypowiedziana w kościele parafialnym w uroczystym dniu otwarcia gimnazjum polskiego w Cieszynie dnia 10. Października 1895.**

„Chwalcie Pana, albowiem jest  
dobry i dobroć Jego trwa na wieki.“

Te słowa śpiewano w Jeruzalem, kiedy nowa świątynia została zbudowana. Od tych słów rozpoczynam dzisiejsze przemówienie:

Kochani chrześciance, zebrani w Chrystusie! Kiedy patrzę na to zgromadzenie i kiedy sobie przypominę ważną przyczynę, dla której się tutaj zebrały tak wielkie zastępy ludności, wtedy zdaje mi się, jakoby wieki i pokolenia występowały z grobów i z łona dawno zapadłej przeszłości przed duchem moim. I tak jestem przejęty ważnością tej chwili, że się obawiam, iż nie znajdę słów do wygłoszenia wielkości tej chwili ważnej, w której się stykają dwie epoki. Schodzi nam jutrzienka lepszej przyszłości

---

\*) Przepisek późniejszy autora.

i mogę wołać do ludu naszego: „Zwiastuję wam radosną nowinę!“ Powstaje nam nowy zakład, jakiego jeszcze dotąd nie było na ziemi szląskiej: „polskie gimnazjum.“ Utworzenie nowego gimnazjum, to rzecz w innych stosunkach dosyć powszednia. U nas jednak tak niezwykła i nigdy niebyła, iż sama wieść o tem w najwyższym stopniu poruszyła umysły i że jedni z radością powitali tę myśl, u drugich zaś na tę wieść niechęć i nieprzyjaźń opanowały serca. Dlatego zdaje mi się, że zadaniem mojem na dniu dzisiejszym najpierw będzie wyjaśnić przyczyny, dla których zakładamy polskie gimnazjum na Szlązku.

Pierwszym naszym celem jest, wychować pokolenie religijne, moralne i bojące się Boga. Bo największa nauka nic nie pomoże, jeżeli człowiekowi brak uczuć religijnych, na których, jak na skrzydłach, wznosi się do Boga. Człowiek bez wiary jest człowiekiem błędzącym w ciemnościach, który jak mówi Zbawiciel, nie wie, dokąd idzie i zatapia się tylko w rzeczach tego świata, nie znając innego celu, niż rzeczy doczesne i rozkosze tego świata. Wielkie słowo mówi Pismo święte: „Nie samym chlebem żyw jest człowiek, ale każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych.“ Biada każdemu człowiekowi i każdemu narodowi, który szuka chleba doczesnego i odrzuca pokarm niebieski, którym żyje dusza, wiarę świętą. I ztąd pochodzi w obecnym wieku owe rozprężenie u wielu narodów, że ich wszystkie usiłowania zwrócone i skoncentrowane są tylko do szukania chleba i do strony materialnej tego życia, jako owa Marta w ewangelii starała się tylko o rzeczy doczesne, a nie starała się o słowo, które wychodzi z ust Bożych, jako czyniła Marja, siedząca u nóg Jezusa. Dlatego pragniemy wychowywać młodzież w tem gimnazjum religijnie i w świętych zasadach naszej wiary, pomni słowa Pisma świętego: „Bojaźń pańska jest początkiem mądrości.“ Druga przyczyna, dla której zakładamy to gimnazjum, jest szerzenie oświaty, wiedzy i nauki między ludźmi. Nauka i oświata same dla siebie nie mogą być celem, lecz mają wartość jako środki do

osiągnięcia ostatecznego. Pismo święte mówi: „Stworzył Bóg dwa światła: jedno wielkie, aby oświecało dzień, czyli słońce, drugie, aby oświecało noc; otóż w znaczeniu duchownem owe wielkie światło jest objawienie Pańskie, które nam oświeca drogę do wieczności i ostrzega nas o przepaściach zguby i grzechu, w którebyśmy inaczej runęli. Owo mniejsze światło, to rozum ludzki, wiedza i nauka. I te prowadzą człowieka w drodze życia i zachowują go w wielu wypadkach od złego. Wiedza i nauka czynią człowieka zdolnym, aby drugich nauczał i prowadził. Pismo święte wielbi oświatę i naukę. Duch Boży tak bowiem mówi: „O ludzie, do was wołam. Przyjmijcie ćwiczenie moje, a nie pieniądze, umiejętność, niż złoto obierajcie! Lepsza jest bowiem mądrość nad wszelkie najdroższe rzeczy. Ja, mądrość, mieszkam w radzie, a przy myślach ćwiczonych bywam. Moja jest rada i prawość, moje jest mężstwo.“ (Przyp. VIII. 4, 11, 14.) Wartość umiejętności i wiedzy jest większa, niż wszystkich innych rzeczy ziemskich, bo wiedza i umiejętność uczy człowieka chodzić w świecie, rozpoznawać rzeczy stworzone i badać i podziwiać dzieła rąk Bożych, wielbić Boga i jednać sobie zasługi dla zbawienia. One sprawiają dobrobyt i przysparzają majątku i rozkoszy prawdziwych, niewinnych i dozwolonych. Dlatego zakładamy to gimnazjum, aby go wprowadzić do świątyni nauki i umiejętności, aby i on mógł udział mieć w dobrach, które wypływają z umiejętności, oświaty i nauki.

Któżby śmiał zaprzeczyć, że to są cele wzniosłe i zbawienne? Ale mógłby ktoś zarzucić, że w dzisiejszych stosunkach już także można te cele osiągnąć; można i teraz religijnie wychować i naukom się oddawać. Nie chcę temu zaprzeczyć, ale my chcemy, aby się to działo w ojczywym i rodzinnym języku. To jest trzecia i właściwa przyczyna, że zakładamy gimnazjum z polskim językiem. — Bo w obcym języku nigdy nie może być podawana nauka z takim powodzeniem i z takim skutkiem, jak w języku swojskim. A każdy przyzna, że dziecko pojmuje wszystko lepiej w swojskim języku i że taka nauka jest dla niego daleko przystępniejsza, niż w mowie cudzej.

A wieleż to naszych młodzieńców ugrzęzło w drodze nauki i nie mogło dalej postępować tylko dla tego, że językowe trudności były dla nich niezwyciężone. I dla tego ma być otwarty naturalny przystęp do oświaty i nauki dla naszego ludu, aby na równi z innymi mógł się przyczyniać do chwały Pańskiej i dobra ziemskiego, czyli do cywilizacji ludzkości.

To są powody, dla których zakładamy nasze gimnazjum, a chyba zupełna nieznanomość rzeczy albo szczególna niesprawiedliwość mogłaby nam przypisywać zamiary innej natury, zamiary dla kogokolwiek szkodliwe i ukryte. Hasłem naszym jest zgoda z innemi narodowościami, aby wspólnemi siłami pracować koło szczęścia Austrii, aby to państwo błyszczało i jaśniało między mocarstwami, jako słońce na niebie. Szeroka jest ziemia i wielki jest świat Boży, tak iż dla wszystkich narodów dosyć jest na nim miejsca i mogą one żyć obok siebie w spokoju; jako mówi Pismo święte: „Gdy dzielił Najwyższy narody, założył granice narodów.“ (Deuteronomium XXXII, 8.) „Wtedy tylko naród ginie, kiedy go dla jego grzechów Bóg odrzuci od oblicza swego.“

Pomimo tego, że cele nasze prowadzą tylko do dobrego, droga do założenia tego zakładu była drogą ciernistą i trudnościami wyslaną. I niejednokroć wszczęła się burza przeciwko temu dziełu i spadł na nas grad napaści, zaczepek, podejrzywań i obelg. Ale cóż powiemy na te nieprzyjaźni? Odpowiemy to, co rzekł Saul do ludu w dzień zwycięstwa, który żądał ukarania nieprzyjaciół Saulowych: „Nie będzie nikt zaczepian dnia tego, bo dziś Pan uczynił zbawienie w Izraelu.“ (I. Król. XI, 13.) Tak więc i na dzisiejszym dniu o tem postępowaniu przeciwnej strony, niech nie będzie ani wzmianki.

Pamiętajmy o tem, że działa się rzecz niezwykła i dla tego różne zdania o niej panować musiały i różne sądy o niej wydawano. Nie będziemy więc mówili według zasad Starego zakonu: „Pomnij Panie na syny Edom w dzień Jeruzalem, którzy mówili: Spustoszcicie, spustoszcicie go aż do gruntu!“ Ani nie

powiemy według tych samych zasad: „Córko Babilońska nędzniczo! Błogosławiony, który za nas odda twoje winy.“ My z naszej strony nie posługujemy się nigdy taką bronią nienawiści, lecz brzydzimy się taką bronią zdradziecką i skrytą bronią ciemności.

Chodźmy jako synowie światłości w jasnym świetle słońca, drogą prostą i otwartą. Prawda cicha i skromna sprawiedliwość są niezwycięzone, a chociażby burz i namietności jak najwięcej w około się mnożyło — one przecie w końcu wyjdą zwycięzko z każdego boju i w nowym blasku zajaśnieją. A jeżeli przeciwnicy będą widzieli nasze nienaganne postępowanie, niejednen z tych, co dzisiaj to dzieło potępia, inne będzie miało niem zdanie według słów Zbawiciela: „Tak niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widzieli uczynki wasze dobre i chwalili Ojca waszego, który jest w niebiesiech.“ (Mat. w. 16.) Nie świetna uroczystość, ale tylko cicha i wytrwała, mozolna i ciągła praca wyda nam kiedyś stokrotne owoce, jako napisano jest: „Którzy siali ze łzami, żąć będą z radością. Idąc szli i płakali, rozsiewając nasienia swoje, ale wracając się, przyjdą z weselem, niosąc snopy swoje.“ (Psalm 125, 5 - 6.)

Raduj się, ludu szlązki, na dniu dzisiejszym, bo nadeszła dla nas chwila pożądana i dawno upragniona! Opowiadajcie późniejszemu pokoleniu o tej chwili, wy, coście dziś byli jej świadkami i którym Bóg tej chwili dożyć i dzień dzisiejszy oglądać pozwolił! Dzień ten będzie zapisany złotemi głoskami w księdze historii naszego ludu. Nakoniec oddajmy dzięki Bogu najwyższemu, bo nigdy nie bylibyśmy pokonali nieopowiedzianych trudności, gdyby Bóg nie był z nami i gdyby nie był z wysokości łaskawie spojrział na lud swój, który wołał do niego o pomoc. Ręka pańska widoczną stała się w nas!

Dzięki czynmy Najjaśniejszemu Panu cesarzowi, pod którego sprawiedliwym panowaniem mogliśmy wznieść to dzieło! Niech rządy Jego będą błogosławione na zawsze! Szlązak zawsze odznaczał się największem przywiązaniem do swego monarchy i do Wysokiego rodu panującego i złożył tego tysiączne



dowody tak w pokoju, jak w czasach krwawych bojów, na polu sławy. A gdyby było można, żeby to przywiązanie mogło się zwiększyć, to dzień dzisiejszy musiałby się do tego przyczynić. Postępujemy nadal tą drogą lojalności i niczem zwichnąć się z niej nie dajmy, a wtedy zabezpieczymy dla naszego narodu świetną przyszłość pod potężnymi skrzydłami orła naszego cesarza.

Dalej dzięki winniśmy narodowi polskiemu, bo tylko za pomocą jego ofiarności, na którą świat patrzył z zadziwieniem, mogliśmy wznieść tak wspaniałe dzieło. I wszędzie, gdzie Polacy mieszkają, czy to w dawnych swych siedzibach, czy rozprószeni po całej kuli ziemskiej, składano ofiary według słów Pisma z szczerem i doskonałym sercem. Składali najubożsi, jako owa wdowa w Jeruzalem do skrzyni ofiarnej swoje ostatnie pieniądze, a robotnik oszczędzał sobie z ust grosz składany na ten cel. W tym dziele postawił sobie naród polski pomnik, a który pomnik aere perennius tj. trwalszy pomnik niż ze spiżu ulany. A jeżeli naród polski w czasach dawnej sławy odnosił świetne zwycięstwa, to dzieło to na równi stoi z niemi i przewyższa je, bo bez krwi przelew, bez cudzej krzywdy błogosławione będzie wydawać owoce.

A teraz podnoszę serce moje do Boga i wołam: Zbaw Panie lud swój i błogosław dziedzictwu twemu! Bądź mu mocną obroną i nie wydawaj go w ręce nieprzyjaciół jego. My zaś pamiętamy o tem, abyśmy w tem dziele, które dziś rozpoczynamy, nie szukali innych celów, jako spełnienia słowa, które śpiewali niebiescy aniołowie na polach Betleemskich: „Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.“ —

Po ukończeniu uroczystości kościelnej odbyła się o jedenastej godzinie przed południem uroczystość otwarcia polskiego gimnazjum odpowiednią przemową nowego dyrektora Piotra Parylaka. Podczas tej mowy sala tak była nabita publicznością, że literalnie nie było się gdzie pomieścić.

O drugiej godzinie popołudniu wspólny obiad, urozmaicony najróżnorodniejszymi toastami, odbył się

w piwiarni Karwińskiej. Podczas obiadu, jakoteż później na wieczornicy w „Hotelu Austrija“ telegramów, wierszem i prozą z wszystkich części dawniejszej Polski nadeszło 212 i co kto mógł, to nadesłał, jak to mówią według starego przysłowia: „czem chata bogata, tem rada.“ Odczytano telegramy, nadesłane wierszem i prozą w językach: polskim, czeskim, niemieckim (jeden) i ruskim (także jeden Dra Iwana Franki.) Wypowiedziano myśli poważne i żartobliwe, koncepta udałe i nieudałe. Jeden z mowców zwrócił uwagę na nasze stosunki narodowe i na szczegól, że jeśli Warszawa uchodzi za głowę Polski a Kraków za serce, to Cieszyn jest sumieniem narodu, dotąd niestety za mało uwzględnionem; delegat z Warszawy przywiózł dla gimnazjum polskiego 221 rubli i wręczył je skarbnikowi „Macierzy,“ ks. Józefowi Londzinowi, nadmieniając przytem, że to drobna składka biednych robotników polskich, którzy sobie od ust odejmowali, aby bodaj po 5 kopiejek złożyć na cele narodowe; przemawiali włościanie szlazaccy Tepper i Głajcar; imieniem akademickiej młodzieży zabrał głos akademik ze Lwowa; Dr. Józef Bogdanik z Białej w żartobliwym, ale pełnym patriotycznych i zdrowych myśli przemówieniu, wskazał na trzy nieszczęśliwe miasta polskie, pozostawione samopas na los szczęścia, na pierwsze lepsze chybił-trafił, a mianowicie na Cieszyn, Białę i Czerniowce. Pamiętaliśmy dotąd tylko o pierwszych dwóch; ale i o trzeciem nie godzi się zapominać. Przemowa ta zasłużonemi oklaskami została nadgrodzoną. Natomiast za zupełnie nieudały uważamy koncept p. Bł. z W., starającego się udowodnić potrzebę założenia nowego pisma patriotycznego, w języku polskim w Cieszynie wychodząc mającego, potrzebę, której tu na miejscu, gdzie już kilka pism polskich istnieje a każde stronnictwo ma swój odrębny organ, widocznie nikt nie czuje; zapomniał atoli szanowny mowca wykazać potrzebę donoślejszą założenia chociażby skromnego miesięcznika lub kwartalnika w Białej, germanizowanej usilnie przez dwa niemieckie pisma, wychodzące w sąsiednim Bilsku, a z których

jedno w samej Białej się drukuje. Wiersz, poniżej przez nas przytoczony a naumyślnie z powodu tej uroczystości napisany, wygłosił na pamięć redaktor „Roczników Samborskich,” który do Cieszyzna przybył jako delegat „Czytelni ludowej samborskiej.”

---

## W dniu otwarcia gimnazjum polskiego w Cieszynie.

---

Jakież to ludów olbrzymie mrowisko  
Ciągnie światami drożyną nie bliską  
Do prastarego, Piastowskiego grodu?  
To, Polsko! syny twe i córki twoje,  
Dla których pieśni świętych szumią zdroje  
W rocznicę świętą wielkiego obchodu!

Nasienie padło a nie padło marnie!  
Zapał, co dzisiaj nas wszystkich ogarnie,  
Przyszłości lepszej zwiastuje zaranie!  
Bo z pokolenia kołodzieja Piasta  
Zastęp szermierzy nauki wyrasta,  
Zuikną pomroki i błysnie świtanie!

Jako trzej bracia po rozłące krwawej  
Zdroj odnaleźli i przy zdroju sprawy  
Swe omówili i „Cieszymy się!” rzekli —  
Tak trzy dzielnice łączą się przy szumie  
Echa tradycji i w tym wielkim tłumie,  
W tej fali nikną wrogowie zaciekli!

Nauka polska dziś święci zdobycze!  
Na ziemi szląskiej narodowe znicze  
Zapala ręka, ubrana w siermięgę,  
I kapłan boży nawołuje ludy  
Do wspólnej pracy i zwycięża trudy  
I wskresza myśli odwiecznej potęgę!

Nie zginął naród, który wieszczów słowa  
Jako pamiętkę drogocenną chowa,  
Bo w nich przyszłości lepszej jest zadatek—  
Nie zginął naród, co ich śladem kroczy,  
Ojczystych dziejów pojał głos proroczy,  
A w sercu pieśni swem poezji kwiatek!

Za zdrowie wasze, zdrowie zaonych męży,  
Których dłoń — da Bóg! — i później zwycięży,

Pozwólcie kielich podnieść mi do góry!  
Niech głosiciele nam żyją nauki,  
I niech ich przykład oddziała na wnuki  
I niech rozprószy uprzedzenia chmury!  
Za zdrowie żywych, za cześć garstki owej,  
Co padła w świętej walce narodowej,  
A dzisiaj z nieba na nas tutaj patrzy;  
Za naszych wieszczów, za naszych kapłanów;  
Imieniem wszystkich bez różnicy stanów,  
Imieniem mojem i wszystkich słuchaczy!  
Pozwólcie kielich podnieść mi z zapalem  
Za cześć tych, które polskim ideałem  
Wyłącznie żyją, za cześć niewiast na-  
[szych;  
Za cześć krainy szlązkiej, za cześć ludu,  
Co tak wielkiego dziś dokonał cudu,  
Za cześć i zdrowie naszych kmiotków laszych;  
I za to słowo nam drogie i święte,  
Którego echo gdyby z nieba wzięte,  
Drga w sercach nutą jubileuszową;  
Pozwólcie zdrowie wygłosić ostatnie  
Imieniem zgody narodowej, bratniej  
Za pieśń ojczystą i ojcyste słowo! —  
Publiczność polska, rozentuzjasmowana chwilą  
wielką zwycięstwa, piła na zdrowie inicjatorów my-  
śli narodowej, na zdrowie księży i włościan, którzy  
ją do skutku doprowadzili. Porwano ks. Londzina na  
ręce i obnoszono w tryumfie po sali sypano, składkami  
większemi na Cieszyn, drobnemi na Białą a całe to-  
warzystwo rozeszło się w nastroju niezwykle pod-  
niosłym.

Wieczorem o 7-mej godzinie odbyło się zebranie  
w „Hotelu Austrja.“ Tam już nie było przemówień  
i toastów; ale zabawa mimoto miała cechę niepospo-  
licie ożywioną. Urozmaicały ją śpiewy narodowe pol-  
skie, ruskie, szlązackie. Późno w noc rozeszli się uczest-  
nicy tej pięknej uroczystości narodowej, która na dłu-  
gie czasy pozostanie w pamięci każdego uczestnika.

Cieszyn, 11. Października 1895.

*G. Kohn.*

## Dziatwie polskiej w Cieszynie.

„Szczęść Boże“ ci dziatwo, co polską jest z rodu,  
Że zabłysło światło dla twojego grodu,  
Że słońce nauki promieńmi polskimi  
Przyświecać ci będzie na tej polskiej ziemi.

„Szczęść Boże“ ci dziatwo! woła dziś świat cały,  
Polska szkoła w Szlązku, to pomnik wspaniały  
To kamień węgielny nadziei i wiary,  
Że nie zginie Piastów mowa w Polsce starej.  
To łańcuch miłości, co z braćmi z zachodu  
Łączy wspólnym węzłem nas braci ze wschodu,  
To znicz święty, żywy, co nam w sercach płonie,  
Póki całej ziemi ciepłem nie owionie!

Ciesz się droga młodzi, że w rodzinnej mowie  
Będiesz się uczyła, jak polscy królowie  
Dzielnie granic kraju od wroga bronili  
I w ojczystej sprawie życie swe łożyli.

„Szczęść Boże“ ci dziatwo! Bądź chlubą Ojczyzny!  
Pij ze zdroja wiedzy, zatrzyj dawne blizny  
I wdzięczność dozgonną zachowaj w swej duszy  
Dla tych, co wydarli cię z obcych katuszy!

„Szczęść Boże, szczęść Boże!“ Pracuj żywo z wiarą,  
A odnowisz sercem, duchem Polskę starą  
I wzniesiesz jej życie, wolność i swobodę  
I te cnoty polskie: braterstwo i zgodę!

Rymanów, 10. Października 1895.

*Olga Lissówna.*

# Wróżka pożarna.

**W**iecie, dwory gorzeją, miasta gorzeją jedno za drugim, a tu miescina stara o uliczkach wązkich, o chałupkach drewnianych pod gontem, często bez kominów a dach z dachem połączon rynną, jak gdyby chciano ogniowi utorować drogę, ułatwić trud. Za każdą wieścią o pogorzeli wzdychają pobożni starce i staruszki, wzdychają po cichu i mężowie w sile wieku i przy kieliszku gorzałki, szklance piwa lub na trzeźwo kopąc fajkę, rozprawiają o strażach ogniowych i przyborach pożarnych; bo do ubezpieczenia od ognia nie wzniosły się jeszcze duchy, niezbyt lotne. Więc uradzono, uchwalono i kupiono sikawkę nową do starej i jeszcze nie złej sikawki, odziedziczonej po ojcach; zakupiono też sikawek ręcznych parę i konwi parcianych, sprawiono osęk kilka i drabin kilka.

W końcu uchwalono i straż pożarną.

Sprawiono przyłbice lśniące, mundurki ładne granatowe, siekierki stalowe i powrozy długie, pożarne. Bo znalazł się dowódca doświadczony, co we Lwowie niegdyś ucząc dzieci Wielmożnego naczelnika kraju, należał do straży ochotniczej stołecznej. Wedle wzoru stołecznego kazał wznieść ślemień wysoki z drabiną dla ćwiczeń we wspinaniu się, kazał skakać, koziołkować po sokolemu a w końcu kazał się spuszczać na sznurze z wieży wysokiej, przyczem jeden z sokołów pożarnych omal karku nie skręcił, gdy dziejąc się powroza gołą ręką, obdarł sobie skórę i mięso aż do kości a w końcu spadł — na szczęście, że już nie z wysoka.

Straż ogniowa popisowała się na wysokościach, paradowała w mundurkach, w które ubierała się też, chodząc do kościoła i śpiewając na chórze pospołu z dziewczętami.

Że zaś ochota młodzieńcza nie zna granic, więc dopuszczano się jakichś nieprzyzwoitości, o których dowiedział się ksiądz kanonik i całą potęgą słowa skarcił i zgromił straż ogniową.

Zgroza przejęła słuchaczy, umysły wszystkie zwróciły się przeciw strażakom grzesznym a za winę jednego hultaja potępiono wszystkich. Straż pożarna przestała istnieć.

A tu pożary jak na złość nie ustają a w miasteczku samem po staremu od czasu do czasu zapala się śmietnik, na który żydóweczka wysypała popiół z żarem a ogień buchał już na ścianę; to znów gospodyni pracowita, okadzając krowę zaczarowaną, zapaliła słomę w stajni; uczeń bożka wojny puszczając fajerwerki, źle wycelował szwermerem, puścił go po za mur klasztorny, zapalił słomę, wyrzuconą z sienników; sławetny obywatel miejski z fajeczką w gębie, kuczną nad gnojem, zapalił gnój i budkę; z wyrka i legowiska w stajni po odejściu gospodarza nagle wybuchł płomień i spalił dwa domy; a od czasu do czasu paliły się stodoły po kilkadziesiąt, po kilkanaście, po kilka i t. p. . .

Przy ogniu było zbiegowisko, były sikawki, konewki . . . ale porządku nie było, ładu nie było, rozumu nie było: a bywały kradzieże, łupieże jawne.

Nadaremno rozsądniejsi nawoływali do wskrzeszenia straży pożarnej: a nawet pewne pismo prowincjonalne wołało w niebogłose, wzywało, żeby burmistrzowi na plecach wybębnić potrzebę rządów pożarnych: wszystko nadaremno!

Przy każdym pożarze zepsowano sikawkę doskonałą a to przez obsługę nieumiejącą, ginęły konewki pożarne i ruchomości pogorzalców szły w niewiecz, gdy n. p. garnki i porcelanę wyrzucano oknem, chcąc takowe ocalić. O straży zaś ani mowy.

Jeden burmistrz gdyby ogłuchł na wołanie, drugi zastępca tak samo . . . W końcu staruszka majątna oświadczyła, że da dwieście guldenów na naprawę kaplicy św. Florjana.

Trafiła w samo sedno, ocuciła z obojętności całe liczne stronnictwo nabożnych czcicieli świętego patrona ognia.

Stary burmistrz, jary jeszcze i krzepki mimo lat 70, wziął sprawę w rękę, jał zbierać składki, przodując ofiarą 50 guldenów; więc kumotr jego podpisał, dał wapno, inni dawali pieniądze, co kto mógł a panowie ojcowie miasta uchwalili wzniesć cegielnię, ażeby z własnej miejskiej cegły stawiać nową obszerną kaplicę św. Florjanowi, żeby miasta bronił od ognia.

Aż tu pali się Nowy Sącz a sikawka staro-sądecka z beczkami i obsługą dobrą przyczyniła się do powstrzymania pożaru; pali się Łącko pobliskie . . .

O źle! uczonego inteligenta któryś mówi słowy wieszczą rzymskiego: Eheu! jam prosimus ukalegon ardet, t. j. „Oho! już najbliższy sąsiad Ukalegon gore.“ Panowie obojętni w wierze z niedowierzaniem spoglądają na kaplicę a natomiast żądają straży ogniowej. Lecz ojcowie miasta milczą, burmistrz milczy, tak, iż ściąga na siebie obmowę złośliwych.

Zdawało się, że żadna siła nie przełamie ufności w opiekę św. patrona od ognia: że straży nie będzie.

---

Kamienica dobra ongi śp. Marszałkowiczów, potem Jaffego z pod Berlina, dziś nabyta przez hrabiego księdza Potulickiego, leży na zachód od Łącka i Dunajca. Miedzą dóbr tych są szczyty gór, Gorcza i Mogilicy, z których widać Kraków. Sliczne to góry i urocze, do niedawna pełne podań o zbójcach i czarownikach a zioła cudowne, mianowicie miłosny nasiezrał i dziesięciornik podniecający rosną po polanach. Nie dziwo też, że ludność góral-ska, skłonna do marzeń i zachwyty, który topi



w gorzałce na Pukańcu albo go objawia gromadnem państwie do miejsc cudownych, wybierała się na Kalwarję, Kobylankę lub przynajmniej do grobu św. Kingi, ongi swej dziedziczki.

Owoż tam we wsi Zbludzy mieszka taka marzycielka, trzydziestokilkoletnia żona knapa, t. j. tkacza, kobieta uczciwa i spokojna, pilnująca gospodarstwa, miłująca męża i góry swoje, od nieba pięknego poczawszy aż do krzewów jałowcu, którym się opala i którego dymek wonny zwie świętym i lubi nad wszystko. Miewa sny jawne i uroczne a nie może wiele jadać, będąc z przyrody skartną, więc na obliczu bladawą.

Pogorzał Nowy Sącz, nasłuchiwała się o tem nie mało. Wkrótce przysniło się jej, że pogorzeje sąsiednie Łącko. Z gór widzieli ludzie ogień, wspominali, że jej się przysnił.

Ba! ale wkrótce, we śnie poobiednym objawia jej się jakaś postać w czarnym płaszczu a bez głowy, przeźroczysta jak szkło — chwyta ją za rękę, ściskając silnie i wpajając paznogie i mówi:

— We czwartek będzie gorzał Stary Sącz, ogień wybuchnie od Mośkowej pod nrem 4-m.

Wypadał jarmark w Starym Sączu a po jarmarku nazajutrz odpust: z obowiązku sumienia trzeba było państwić. Państwiła też wraz z innymi na jarmark, aby zostać na odpuscie.

Mośkowa baczy, że górale gromadkami stają przed jej domem i sklepem, spoglądając na numer domu i mówiąc:

— To tutaj! . . . ba hej! tu . . .

Dziwi ona się tylko, że nie wchodzą ani do sklepu, ani do winiarni, lecz z obawą jakąś mijają z dala i gapią się.

Aż tu dostojnik jeden miejski przyseła po jej syna reprezentanta firmy, żeby szedł na urząd. Tam zastaje Aron kobietę, która mu opowiada swój sen, okazuje ślad paznogi widma... Opowiedziała ona sen swój siostrze, służącej w mieście, potem publiczności w jatkach i na rynku; więc dano znać do urzędu, przywołano ją, wybadano i dano znać Mośkowej

synowi, który opowiedział matce, dodając przestrożę urzędową: żeby się strzegła na wszelki przypadek.

Górale gapili się, ale bali się wejść tam, zkaąd ma wybuchnąć ogień. Przepadł zysk jarmarczny i zysk odpustowy!

Moškowa przestraszona najęła stróża nocnego, aby czuwał w nocy a dla bezpieczeństwa nie dała palić na kuchni, ani w domu gotować przez całe dwa dni.


W mieście zaś powstał popłoch ogromny gdyby w przedednie pożaru. Czego nie dokonało rozumowanie, dzienniki, zgroza pożarów okolicznych i miejscowych, dokazała wróżka pożarna. Dwadzieścia kilka domów ubezpieczono od pożaru — jednego dnia; później, gdy zgorzało niemieckich kolonij kilkanaście za Dunajcem, ubezpieczono dalszych domów kilkanaście.

Rada miejska ocknęła się też: sprowadzono z Tarnowa sierżanta straży pożarnej, umundurowano i uzbrojono 20 strażaków ochotnych, uroczyście z nabożeństwem i przemową burmistrza na ratuszu wskrzeszono straż ogniową, do której garnie się ochotnie i szczerze młodzież miejska; trzecia dziesiątka będzie wnet w barwie i zbroi. Wszyscy ćwiczą się w służbie powołania swego poważnego — a cześć św. Florjana zupełnie nie traci na tem.

Wszystko to dzięki onej wróżbie pożarnej, na szczęście płonnej.

Zważywszy niechybną korzyść wróżb pożarnych ludowych, wznoszę konieczność systemizowania posad wróżek pożarnych powiatowych, któreby podlegały wróżce krajowej przy wydziale krajowym. Wniosek mój polecam plenis titulis panom posłom sejmowym.

*Dr. Jugo.*





*Princesa Kousgultrina*

# Szkic węglem\*),

(z portretem autorki.)

---

Cieniom nieodżałowanej pamięci  
Dra Jonatana Warszawera poświęcam  
tę pracę.

**B** było to w wieczór letni; we wsi panowała uroczysta cisza; ogień wygasł na kominiku; wieczerzę już spożyto. Bardziej spracowani legli na świeżem sianie w stodole, lub na łóżku w izbie. Parobcy tylko, zawsze do figłów skorzy, milczkiem wysunęli się z chat i pobiegli do płotków, lub nad mostek, zkąd słyszeć się dawał ich śmiech, zmieszany z piskliwymi wykrzykami dziewczuch.

Nagle od strony rzeczki przyplłynęły tędy urywki dziwnie melancholijnej pieśni, wygrywanej na skrzypcach.

Grajek stał oparty o brzezinę, i grając patrzył na błyskotliwe nurty strumyka, osrebrzonego promieniami księżyca, szemrzącego nieustannie, jakby w akompaniamencie do jego pieśni. Cień jego wydłużony na brzegu się rozesał i majaczył wśród ciemności. Twarz grajka, wsłuchanego w melodję na-

---

\*) Autorka niniejszego „Szkicu węglem“ — panna Aniela Korngutówna, znana już chlubnie w świecie literackim z rozlicznych prac, umieszczonych w pismach warszawskich, lwowskich, krakowskich, gdańskich, czerniowieckich. Jedną z jej nowel przetłumaczono na język niemiecki. Redakcja „Roczników Samborskich,“ dumna też jest w najwyższym stopniu z tej wychowanki wydawnictwa swego. (Przyp. red.)

tury i własnej pieśni, mieniła się pod napływem wrażeń, przebiegających po jego nerwach. Szczupły to był chłopiec a choć wzrostem wybujały, nie mógł przecież więcej liczyć aniżeli piętnaście lat. Długa, dosyć obcisła „bekiesza“, w jaką był odziany, sięgała mu niemal aż do pięt; na głowie zaś miał miękkie, pilśniowy kapelusz o szerokich krysach.

— Josel gra — mówiły dziewczęta na mostku stojące, i na chwilę zaprzestały figlów; wszyscy — parobcy i dziewczęta — słuchać zaczęli pieśni żydziaka.

— Dawać go tu! — zawołał jeden z parobków, wzrostem innych przerastający, i jak z miny widać, fanfaron wioskowy.

Okrzyk jego, niby rozkaz wodza, spełniło dwóch wyrostków, którzy pobiegli nad rzeczkę i przyprowadzili grajka na mostek.

Mina Josła była bardziej gniewna, aniżeli wystraszona. Wyrwał się obu chłopcom, którzy go trzymali, i oburącz skrzypce cisnąc do wąskiej piersi, wołał:

— Ja dla siebie gram! Ja nie muzykant. Ja na chwałę Bogu gram. Puśćcie mnie!

Przywitał go śmiech ogólny.

— Josel myśli, że jest drugim Dawidem! — zawołał jeden z parobków.

— Nowy żydowski król! — odezwał się drugi.

— Cóż to? Bogu psalmy grasz? — wyrwał się z konceptem trzeci.

Śmiech i wrzawa zagłuszyły wołania Josła, który dopominać się nie przestawał, aby go puszczono.

— Musisz nam zagrać krakowiaka! — zawołał ów fanfaron, który pierwsze hasło zaczepki rzucił — przecież grasz krakowiaki? Ojciec twój musi, że cię nauczył, byś grał w jego karczmie i ściągał parobków na wódkę.

— Mnie dziadek grać nauczył! — hardo odparł Josel.

— Nie ojciec? — spytał ktoś z boku.

— A nie! — równie hardo, jak przedtem zawołał żydziak.

— Jego ojciec tylko wódkę szynkować umie! — zawołał któryś z parobków — chłopom podwójną kredą liczy i pewnie go djabeł rychło na rogi weźmie. — On tam z muzyki syna nie bardzo rad. Josel, prawda, że cię ojciec biją, bo za szynkwasem stać nie chcesz?

— Nie bije, bo dziadek nie pozwoli! — odparł Josel, błysnąwszy oczyma.

— A co ty grasz? — spytała go jedna z dziewcząt.

— Nie wiem.

— Co pytasz Basiu? On „majufes“ gra! — zawołał wśród śmiechu ogólnego dworski parobek.

— Zagraj Josel „majufes!“ — wołały dziewczęta.

— Nie chcę! — hardo odparł Josel.

— Będiesz grał? — spytał ów fanfaron, zbliżając się do Josla i pięścią pod nos mu pogroził.

Żydziak błysnął oczyma, szarpnął się i odparł:

— Nie będę wam grał!

—No, to masz na zadatek! — zawołał parobek i uderzył Josla w twarz.

Żydziak uchwycił się za bolące miejsce, chciał krzyknąć, ale wstrzymał się; oczy mu tylko dziką błysnęły nienawiścią; silniej jeszcze się szarpnął i uciekł, cisnąc do piersi ukochane swe skrzypce.

Pobiegł na stronę karczmy, która stała przy drodze o kilkadziesiąt kroków od mostku, w sąsiedztwie rzeczki i dużego ogrodu, wśród którego stała stodoła i szopa.

Budynek karczmy wyglądał jak czworobok, z przodu od gościńca oddzielony szeroką drogą zajazdową i fosą, przez którą rzucony był mostek. Wewnątrz budynek dzielił się na dwie części: na izby karczemne i prywatne mieszkanie arendarza. W tyle mieściły się wozownia i stajnia.

W karczemnej izbie pod ten wieczór nie wielu było zebranych chłopców. Za szynkwasem arendarz Lewek ómił długą fajkę i opierając się plecyma o framugę szafki, gdzie stały flachy z wódkami, patrzył złośliwie z pod przymrużonych powiek na trzech

gospodarzy, siedzących nad kwaterką „piołunówki“ nie pierwszej i nie ostatniej zapewne, wnosząc to z ich rozrzewnionych fizjognomij i tkliwych okrzyków: „pijcie kumotrze! wódki nie zabraknie; żyd ją sprzeda!“ . . .

Byli to znani we wsi opoje, którzy przetrwonili ojcowiznę i teraz pili za ukradzione żonom centy, które one ze sprzedaży nabiału uzbierały.

Z sąsiedniej izby dochodził tu gwar kilku przejezdnych żydków, którzy jadąc na pobliską granicę, mieli w karczmie przenocować.

W kuchni Lewkowa z córką robiły jakieś pierniki, służące na przekąski po wódkach.

Po drugiej stronie sieni, gdzie znajdowały się mieszkalne izby rodziny arendarza, tylko w jednym z trzech frontowych okien paliła się lampa, a światło jej było aż na gościńcic, bo okno zostawiono odsłonięte i otwarte. Siedział przy niem stary, siwy żyd, z fizjognomią rabina; piękny pięknocią starości pogodnej, zdrowia, szlachetnych rysów i czystego sumienia. Rozmawiał właśnie z niemłodym już gospodarzem wiejskim, który idąc gościńcem i widząc starca przy otwartem oknie, zawrócił, podszedł pod karczmę i przy oknie stanął, wszczynając rozmowę.

Po kilku chwilach rozgadali się tak, że o wszystkim dookoła zapomnieli.

Światelko w oknie starego żyda widział także z daleka Josel; biegnąc do domu, kierował się tem światłem i zamiast do sieni wpaść, pod oświetlone okno pędził.

— Zejde! (dziadku!) — wołał już z daleka płacziwym głosem.

Nagle umilkł. Zobaczył znajomego podwójciego przy oknie i zziąjany przykucnął pod ścianą, nieśmiały wobec świadka. Chciał zaczekać, aż podwójci odejdzie. Tymczasem niewidziany przez nich, przysłuchiwał się rozmowie przy oknie prowadzonej.

— Nie bądźcie mi krzyw Abramie — mówił chłop — żem u jegomości wskórał, aby z ambony zakazał wsiowym do karczmy chodzić. Toć każdy z nas chciałby z synów pociechę mieć, a te bestje jak do karczmy zajdą, to ich jak te świny z prze-

proszaniem z gnoju nie wydobędzie, chyba kijem po skórze poskrobie. Ja was panie Abram bardzo szanuję i długiego jeszcze wieku życzę, ale z przeproszeniem zięcia waszego uważać muszę za wroga.

Stary żyd nic na to nie odpowiedział, tylko powiekami kilka razy poruszył i usta w milczeniu zaciął.

Chłop mówił dalej:

— On sobie, my sobie! . . .

— Założycie sklepik Kółka rolniczego? — przerwał żyd.

— Założymy i to w tym nowym domu, co go stawiać zaczęli łośńskiego roku. Pod jesień ksiądz dom poświęci i mieć będziemy swoją chrześcijańską gospodę.

Chłop umilkł i bacznie wpatrzył się w twarz żyda. Widocznie chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie pierwej, póki się nie upewni, że to uczynić może bezpiecznie.

Żyd miał powieki lekko przymrużone i twarz uśmiechniętą.

— Słuchajcie panie Abram — zaczął znowu chłop — wiem, żeście rzetelny i mądry jak mało kto i dla tego powiem wam prawdę panie Abram, że ja dawno już chciałem z wami rzetelne słowo pomówić i uprosić, żeby się tu we wsi obraza boska nie działa.

— Co ja mogę? — spytał Abram.

— Wy możecie bardzo wiele panie Abram. Wy możecie naprzykład powiedzieć zięciowi, aby w niedzielę do karczmy muzyki nie sprowadzał, dziewczek nie poił, parobczaków nie ściągał i ludziom we wsi na kredyt nie dawał, bo już wielu z naszych „bez to“ na dziady zeszło i skrót tego, że obrachowania nijakiego nie mają. A jak na kredyt biorą, to zapomną, że dług z wielką lichwą oddać kiej będzie trzeba. A jak oddają, to potem bieda i złość takie sprośne myśli im podszeptają, że broń Boże nie-szczęścia jakiego. Wy mnie rozumiecie panie Abram. Wy te słowa, co ja tu powiedział, na rozwagę i pomyślenie weźmiecie. Wy, panie Abram, dobre



macie serce. Ja tam o tem wiem. Marjanna, co ją to „krzywą nogą“ nazywają, opowiedziała mi, żeście jej piątkę na ciele pożyczyci i nawet odebrać nie chcieli. Wyście niejednego we wsi parobka poratowali w potrzebie dobrą radą i pieniędzmi. Wam nic złego się nie stanie, bo was we wsi szanują. Ale wy wiecie panie Abram, że dla jednego bogobojnego Sodoma nie mogła być uratowana.

— To jest niby groźba dla... mojego zięcia? — spytał Abram.

Chłop nie odpowiedział natychmiast. Rozglądając się dookoła a nie zauważywszy Josła, nachylił się ku Abramowi i szeptał mu do ucha:

— We wsi dużo jest takich, co pomstują karczmę, a jak nieszczęście się stanie, to ich nikt nie wyda. Miejcie się na ostrożności panie Abram, mnie was żal.

— Wy coś więcej wiecie Olechu — przemówił żyd — wy mnie mówicie takie rzeczy, że jakby ja je chciał przed sądem powtórzyć, to co?

Chłop stał w cieniu, to też Abram zauważyć nie mógł, jak na te słowa Olech pobladł i wystraszone spojrzenie wlepił w żyda.

— Wy tego nie zrobicie panie Abram — rzekł głucho.

— A dla czego ja nie miałbym to zrobić? — spytał żyd.

— Bo złemu byście nie zaradzili, a mnie o nieszczęście przypytać, to się znowu nie godzi. Jak przyjacieli przed nieszczęściem ostrzedz was przyszedłem. Znają mnie ludzie, że z byle kim się nie wdaję i do burd we wsi się nie mieszam. Oskarżycie przed sądem, no to będzie mnie bieda, ale wam jeszcze większa.

Rozżalony, czy rozgniewany chłop machnął ręką, poprawił czapki i szepnąwszy Abramowi: „ostańcie zdrowi“ — prędko od okna odszedł i kierując swe kroki ku wsi, wnet zniknął żydowi z oczu.

W niedużą chwilę do pokoju Abrama wpadł Josel.

— Zejde — rzekł do okna się zbliżając i dotknął się ramienia zamysłonego starca — zejde, ja zamknę okno, bo wam chłodno; wyście zejde już za długo

z tym chłopem mówili przy otwartem oknie, a tu rosa z nieba leci.

Abram żywo się poruszył.

— Gdzie ty był Josel? — spytał wnuka.

Chłopiec pod okno wskazał.

— Ja tam był — rzekł.

— I słyszałeś, co ten chłop mówił? — spytał Abram, patrząc bystro w twarz wnuka.

— Ja słuchał, ale ja nie wszystko zrozumiał — odparł Josel.

Starzec zamyślił się na chwilę.

— Słuchaj Josel — rzekł, kładąc dłoń na głowie wnuka — coś słyszał, nikomu nie powtórz, słyszysz, nikomu. Ten chłop jest naszym przyjacielem, on dobry i poczciwy jest....

— On goj! — przerwał Josel namiętnie — oni wszyscy nas nie lubią! Oni jak mogą, to nam dokuczają!

Tu opowiedział dziadkowi wśród płaczu, co go spotkało przed półgodziną przy moście nad rzeczką.

— Tyś im pewnie w oczy lazał! — odparł Abram, wysłuchawszy jego opowiadania. — Tyś im pod rękę nawinał się, to oni psotniki dokuczali tobie. Nie stawaj ty tam, z kąd cię słyszeć mogą.

— Czy to ich cała ziemia?! — zawołał chłopiec z zuchwałym błyskiem w czarnych, pięknych źrenicach. — To Boża ziemia i mnie tak na niej stać wolno, jak im!

— Boża ziemia, to prawda! — odparł Abram — ale ty Josel nie powinieneś zapomnieć nigdy, żeśmy tu przybyłszy na łasce.

— To tak dawniej było, ale nie teraz! — zawołał chłopiec hardo.

— Nic się nie zmieniło, moje dziecko — znowu mówić zaczął Abram — to nie nasza ziemia, my tu goście tylko, a gość musi być grzeczny, inaczej go wyrzucają.

— Oni nie śmiają nas wyrzucić! — zawołał Josel namiętnie — ja czytał w książkach, że przed wielu set laty żył tu król bardzo dobry, który dał nam

ziemie i domy i nie pozwolił krzywdzić. My tu jesteście oddawna i jeszcze długo będziemy... zawsze będziemy! . . .

— To ty Josel nie wierzysz, że przyjdzie Mesjasz i sprowadzi nas znowu do obiecanej ziemi?

— A czemu Mesjasz dotąd nie przychodzi? — zawołał Josel. — Jak on nie przyszedł, to nie przyjdzie. My musimy tu zostać!

Po tych słowach zapanowało w izbie milczenie. Abram wpatrzony w twarz wnuka, nic nie odpowiedział, choć nań patrzył. Myśli jego cofnęły się w głąb duszy własnej i sam się dziwił, że nie znajduje słów oburzenia, by odpowiedzieć wnukowi.

Kazał mu tylko zamknąć okno i zawołać matki.

Po chwili weszła do izby Lewkowa. Fizjognomią przypominała ojca i Josła. Miała twarz ładną, pogodną i uśmiechniętą, jak ojciec i takie namiętne błyski w oczach jak Josel. Wchodząc, przywitała ojca nader serdecznie i z wielkim szacunkiem, troskliwie wypytyując o jego potrzeby.

Abram od okna odszedł, a posuwał się z trudnością, gdyż chodził o kuli. Do stołu się zbliżywszy, usiadł ciężko na kanapie i kulę obok siebie złożył.

— Wołałem cię Rechciu — przemówił do córki — bom sobie właśnie przypominał, a bałem się, że jak nie zapytam, to znowu zapomnę. Czy zapłaciłaś Rechciu asekurację?

— Jutro do miasta pojedę i zapłacę — odparła.

— Ale termin jeszcze nie minął?

— Właśnie dziś się kończy.

W tej chwili Lewkowa poprawiła knot u lampy, więc nie zauważyła, jak na te słowa starzec żywo się poruszył.

— Pamiętaj zapłacić jutro — rzekł, a usta mu przytem lekko zadrżały — to bardzo źle, że czekasz aż do ostatniej chwili. Trzeba było wczoraj do miasta jechać.

Widząc, że zdziwiona słucha jego mowy, zmiarował się i dodał prędko:

— Coś mi się o ogniu przyśniło zeszłej nocy, to może i dlatego takem niespokojny. Nie bój się Rechciu. Bez Bożej woli nic złego się nie stanie.

Każesz parobkowi czuwać w nocy, dobrze? . . . .  
A jutro nie zapomnij do miasta pojechać i zapłacić  
asekurację.

Gwarzyli jeszcze chwilę; on ją wypytywał, co  
robiła dzień cały, czy dużo targuje; ona opowiadała  
na wszystko szczegółowo, wreszcie poszła do kuchni,  
zgotować ojcu herbatę, którą pił z mlekiem przed  
udaniem się na spoczynek.

— Josła przyslij — wołał za nią Abram — bo  
wnet spać pójdziemy.

Jakoż w godzinę później pogasły wszystkie  
światła w oknach karczmy i prywatnego mieszkania  
arendarzy. Zamknięto bramę i okiennice, spuszczone  
psa z łańcucha...

Stróż nocny otrąbywał godzinę jedenastą.

\* \* \*

Północ.

Gdzieś z daleka, na końcu wsi zadał stróż nocny  
w swój róg.

Ciemno było, bo księżyc skrył się za chmurę,  
która ze wschodu przyplęnęła, gnana lekkim po-  
dmuchem wiatru. Zdawało się, że dzień wstanie  
ponury, smutny i dżdżysty.

Wieś spała.

Od strony rzeczki dwa cienie ludzkie skradały  
się ostrożnie pod karczmę; widocznie obawiali się,  
spotkać kogo na drodze i nie chcieli, by ich dostrzegło  
oko ludzkie.

Ale jak daleko wzrokiem sięgnąć mogli, nikt  
nie ukazał się na drodze. Z gościńca wprawdzie bił  
mdły blask latarni przy rogatec ustawionej, zresztą  
nigdzie żadnego promyka na ziemi widać nie było;  
gwiazdy nawet świeciły przygasłym blaskiem i mało  
rozpraszały ciemności nocy.

Dwa cienie zbliżyły się do siebie.

— Jasiek, stróż na drugim końcu wsi — prze-  
mówił pierwszy z nich szeptem.

— Nie dojrzy — odparł drugi.

— Gdyby nawet z naszych kto zobaczył, nie  
wyda — szepnął pierwszy. — Ale wiesz, że mi się  
jakoś ekliwo zrobiło? Wódkę masz?

W milczeniu podał mu drugi flaszkę do połowy napełnioną kolorowym płynem. Tamten przytknął ją do ust i lyknął kilka razy.

— Pij ty — szepnął, flaszkę oddając towarzyszowi.

— Nie będę pił. Mnie ta dość na wewnątrz pali. Sumienie zaprzepaszczę, ale dogodzę temu żydowi, że jucha nie powstanie więcej. Choć za moją krzywdę odpokutuje ta psiakrew. To on mnie z ojcowizny wyzuwać będzie? To psiakrew do dziś dnia czekał i nie skarżył, aż tyle długu urosło? Dotąd sam pieniądze i wódkę, omastę i chleb w ręce mi „dźgał“ i choć na „borg“ brać nie chciałem, dawał. Oj bratku, mądryś ty był, aleś i tak się przerachował. Spiskowali we wsi wszyscy, ale co uradzili? Psu na buty! Dogodzę ja żydowi, dogodzę!...

— A jak wydadzą?...

— Jeszcze żaden z naszych nie wydał tego, co swoje pomstuje.

Coś zaszeleściało w pobliżu; umilkli.

To wiatr poruszył gałązkami wierzby, nad wodą rosnącej. Ale odtąd już milczkiem posuwali się naprzód ku ciemnej czworobocznej masie, co stała oddalona od gościńca fosą i szeroką drogą zajezdną.

Wśród ciemnej masy czworoboku, błysnął nagle wązki języczek czerwonego światła, które z każdą minutą poczynalo się zwiększać, pryskając złowroźbnemi iskrami.

A tu, zdaje się, nikt nie czuwał, cisza uśpienia panowała nad wsią.

Ogień przerzucił się nagle na stajnię i pierwsze obudziło się bydło, rycząc przeraźliwie.

Parobek podniósł głowę z posłania; zaspany nie mógł się zorjentować i przetarłszy oczy kułakiem, legł znowu na tapczanie w sąsiedztwie ryczącego bydła. Ale usnąć nie mógł, bo zdawało mu się, jakoby słyszał róg stróża, biegnącego przez wieś, a zaraz potem dzwonek odezwał się z wieży kościółka. Podniósł się zaniepokojony i wyszedł przed próg stajni. Zdziwiła go najpierw ogromna jasność, która

olśniła jego oczy. Potem usłyszał jakieś szmery i głosy, z odgłosem dzwonu i rykiem bydła pomieszane. Zdało mu się, że wieś budzi się nagle wystraszona.

Odzyskał jednak przytomność niebawem; rzucił się naprzód, dopadł do okien arendarzy i z całych sił krzyknął:

— Gore! Wstawajcie!

Potem pobiegł do stajni, by wyprowadzić bydło do ogrodu.

W minutę później ktoś z trzaskiem otworzył okiennice i na gościńcu wybiegł oknem Lewek w bieliznie nocnej, na którą w pośpiechu zarzucił „bekieszę.“

— Gewalt, es brennt! Rechciu, Josel, Maryncie! — krzyczał, biegnąc jak opętany.

Do sylwetki żyda, rzucającego się na gościńcu epileptycznemi ruchy, przyłączyły się w tej chwili trzy inne: żony, córki i Josła.

O dziadku zapomniano, a ten nie mógł tak prędko wydostać się z izby. Przed kilku laty otrzymał był postrzał w nogę przypadkowo, znajdując się na polu, gdzie polował dziedzic. Wyleczywszy się, odtąd chodził o kuli.

W strachu, który i jego ogarnął, nie mógł tak prędko znaleźć swoją drewnianą nogę, jak nazywał kulę. — Drżącemi dłońmi począł się ubierać, wyczekując zkadś pomocy.

A wrzawa w około rosła i potężniała. Dzwon z wieży kościółka wciąż na alarm dzwonił. Przebudzone zewsząd bydło ryczało przeraźliwie, jakby już cała wieś stała w ogniu. Na gościńcu pędziły gromady parobczaków, dążąc do palącej się karczmy, przed którą nagromadziła się już moc ludu. Byli tam gospodarze, szczerze i ochoczo ratujący dobytek żyda. Wielkie kufy spirytusu wytoczyli na gościńiec i zwrócili się w głąb, aby ratować pościel. Byli i parobcy, rzucający się w ogień, by go zdusić; były niewiasty i dzieci, lamentujące nad tymi, co szli w ogień; byli i tacy, co wypuściwszy korek z beczki ze spirytusem, nadstawili konewki, z którymi po wodę biegli, i napełniwszy je, zamiast do

rzeczki się zwrócić, uciekali do domu ze zdobyczą swoją.

Karczma stała w ogniu. Wieś nie miała straży, ani sikawek, pomoc ratunkowa była niedostateczna, choć wielu rzucało się w ogień z odwagą godną podziwu. Szczęściem, że karczma stała odosobnioną i ogień nie ogarnął wsi.

Po straż ogniową wysłano konnego posłańca do miasta.

Lewek biegał, prosił, obiecywał nagrody, aby ratowali go włościanie. Ale chłopci nie potrzebowali tej zachęty. Ratowali dobytek żyda z chmurną jakąś odwagą. Z oczu patrzyła im troska. Śnać przykre myśli napływały im do mózgu. Czuli, że stało się tu coś, za co wszyscy odpowiadają honorem i dobrą sławą. Groza pożaru, lamenty karczmarza i jego dzieci uderzały w ich zgrubiałe nerwy jak przytłumione a ostre cięcie topora.

Dobytek karczmarza wyniesiono już do ogrodu; na gościniec zaś walały się najrozmaitsze sprzęty, stłuczone szkło i naczynie.

— Zejde, gdzie jest zejde? — przebił się wśród rozhukanej wrzawy rozpaczliwy okrzyk Josła.

— Tate, zejde, gwałt! — zawtórowały Josłowi głosy matki i siostry.

Rzucili się wszyscy naprzód, ale wstrzymał ich jakiś parobek.

— Uducie się tam! — zawołał. — Starego musiał już ztamtąd ktoś wynieść. Może jest na ogrodzie.

Josel pobiegł do ogrodu.

Tam pod rozłożystą gruszą, na miękkiej murawie, spoczywał na wpół przytomny Abram, leżąc prawie w ramionach Olecha. Przed nim klęczał parobek i przytykał mu do ust garnuszek z wodą. Z drugiej strony uwijała się kulejąca kobieta i otulała Abrama jakąś płachtą, nacierając mu przytem nogi i ręce spirytusem.

Abram otworzył oczy i przytomnie już spojrział w około siebie.

— Gdzie oni wszyscy są . . . moja Rechcia i wnuki? — spytał.

— Uwijają się na gościńcu. Bez frasunku bądźcie.

W tejże chwili zatrąbiła trąbka straży miejskiej; kopyta końskie zatętniały na gościńcu. Wrzawa wzrosła. Akcja ratunkowa zolbrzymiała i wnet przyduszono ogień.

— Straż — szepnął Abram — chwała Bogu!

— O, i nasi dzielnie ratowali! — zawołał z dumą parobek.

— Ratowali — powtórzył Abram szeptem — kto by o tem pomyślał? Kto mnie tu przyniósł? — spytał głośno.

— A my z Olechem wyratowaliśmy was, kiedyście prawie uduszeni przy drzwiach leżeli — odparł parobek.

Abram powiekami poruszył; drżącą rękę podał im do uścisku i szepnął:

— Dobry naród, dobry.

W pobliżu rozległo się wołanie Josła:

— Zejde! zejde!

Rzucił się przed dziadkiem na kolana i zaczął spazmatycznie płakać.

— Josele, co to jest? — spytał Abram zatrwożony.

— Wszystko się spaliło — wołał chłopak — spirytus się wylał, pies zdechł, ktoś go otruł, rzeczy pokradli; gdzież mieszkać będziemy, kiedy dom się spalił? Oj, zejde, zejde, co zrobimy?

— Bóg pomoże, cicho bądź Josele, nie płacz — uspakajał go dziadek. — Idź, zobacz, co robi tate i mame. Powiedz im, że mnie wyratowali z ognia. Idź Josele.

Chłopiec pobiegł ku zgliszczom, za nim podążyli także parobek i kulawa Marjanna.

Gdy ich już widać nie było, wtedy podniósł się Abram połową ciała, twarz zwrócił na Olecha i patrząc mu bystro w oczy, jedną ręką, na słup dymu wskazał, co nad zgliszczami się unosił.

— Kto to zrobił Olechu? — spytał.

— Chłop wytrzymał wzrok żyda, nie mrugając powiekami; twarz mu jednak posmutniała i rzekł, palce na krzyż składając:



— Na krzyż się wam sumituję, że nie wiem. Kilkunastu we wsi się odgrażało. Słyszałem o tem, jako i drudzy słyszeli, ale myślałem, że to nie tak prędko będzie. Niech we mnie piorun trzaśnie, czy wiem, kto ogień podłożył.

— Musicie wiedzieć — szepnął Abram.

— To nie wierzycie ?

— Może na pewno nie wiecie, ale . . . .

— Ano, niby podejrywać można wielu — przerwał Olech — ale widzicie panie Abram, ja nikogo krzywdzić nie chcę i na wiatr nie powiem, kto ogień podłożył. Przyjedzie komisja i panowie urzędnicy każą przesłuchać stróża i parobków, przesłucham . . . .

Abram nic na to nie odpowiedział. Może nie dowierzał Olechowi bezwzględnie, a może uznał, że wszystko, co się stało w ostatnich kilku godzinach, jest zbyt zagadkowym, aby je można objąć jednym rzutem oka.

Milczał, czekając, aż nadejdzie kto z rodziny i powie mu, gdzie się udadzą. Spojrzał w stronę dymiących się zgliszczy, westchnął i dwie grube łyzy potoczyły się po jego zmarszczonem obliczu.

Został się bez dachu jako kaleka, oddany na pastwę chłodnego, chmurnego ranka, który wylaniać się już począł z ciemnych osłon nocy.

Gwiazdy bladły, szara mgła otoczyła ziemię, a tam na gościńcu stała jeszcze gromada ludzi przy pogorzeliisku i dowodziła głośno, z której strony ogień objął stajnię.

Straż wracała do miasta.

\*

\*

\*

Lewek szynkował wódkę w szałasie, na prędcie przy pogorzeliisku ustawionym. Rodzinę jego przyjęła na komorne kuława Marjanna, która przeniosła się do sąsiady. Ze zaś było im za ciasno w jednej izdebce, więc ofiarował Olech Abramowi alkierz w swojej chałupie, dokąd stary żyd się też przeniósł z wnukiem, rad, że znajduje taką życzliwość u chłopca.

Dość ciekawie przedstawił się teraz stosunek włościan do karczmarza i jego rodziny. Choć Lewek obiecał płacić wysokie komorne, to nikt go na mieszkanie przyjąć nie chciał, i dopiero Marjanna ustąpiła im swej izby, przed świadkami dowodząc, że to robi tylko ze względów dla starego Abrama. Kiedy jednakże Lewek począł się dopraszać o budulec u księdza, dziedzica i bogatych kmieci, wtedy prawie nikt nie odmówił mu pomocy.

— Tak się robić patrzy — mawiali — zbójami nie jesteśmy i serce mamy nawet dla żyda. Ale co do Lewka, to trza go było zostawić na gościńcu. Krwawicę niejednego z naszych zeżarł i na naszym chlebie utył, a twardy był dla chłopca, jak najgorszy lichwiarz.

Śledztwo, które miało wykryć sprawców pożaru, prowadzono bardzo energicznie, tem bardziej, że otrucie psa świadczyło o tem, że zachodziła tu zbrodnia podpalenia. Około południa przyjechali z miasta komisarz i sędzia śledczy i udali się do kancelarji wójta, dokąd wzywani byli stróż nocny i wielu podejrzanych we wsi parobków. Uwięziono nawet znachorkę, dość podejrzaną we wsi figurę, która już dwa razy była za podpalenie karaną.

Po tygodniu znachorkę wypuszczono na wolność i aresztowano Hrycia, parobka Lewkowego.

Hryć przesiedział w więzieniu śledczem trzy tygodnie i został wypuszczony.

Na ślad istotnych sprawców zbrodni nie można było natrafić.

— Gdybym tak na własne oczy nie widział, z jaką dobrą wolą Grochalczyk odstąpił Lewkowi swoje półtora morga ziemi — mówił raz w poufnej gawędce wójt do Olecha — tobym se pomyślał, że to chyba tylko on podpalił żyda ze zemsty.

— Cicho kumotrze — upomniał go Olech — nie gubcie chłopaka, kiej na pewno nic nie wiecie. Jak by nas tu kto podsłuchał, zarazyby żydowi o tem doniósł, a na co wam kłopot taki? Siedźcie cicho, bo i tak dopiero przed rokiem świeżą strzechą podszyliście chałupę. Mierzi was, że pod dachem siedzicie? Każą nam panowie z „komisyi“ posyłać

po wsiowych na przesłuchanie, to i posyłamy, ale pokazać palcem na którego, nie mus. Cicho siedźcie kumotrze, a popamiętacie, żem wam dobrze radził.

Wójt zastosował się do rady podwójciego i urzędnicy wysłani z ramienia sprawiedliwości miejskiej przyznali im wielką gorliwość w poszukiwaniu winnych.

Pozostawiono czasowi, by rozświetlił tajemnicę owej nocy.

Tymczasem szynkował Lewek w namiocie a na noc szedł spać do chaty kulawej Marjanny. Było im tam ciasno i niewygodnie, ale znosili wszystko ze stoicką powagą. Lewek patrzył tylko coraz chmurniej z pod zsuniętych brwi i kiedy zaklinano go na wszystko, by na kredyt sprzedał wódki, odpowiadał stereotypowo:

— Żodne borgi! żodne borgi!

Odtąd otrzymał od wsiowych przydomek „żodne borgi.“

Najwięcej roznamiętniony był Josel. Straciwszy w ogniu swe ulubione skrzypce, taki czuł żal do mniemanych sprawców zbrodni podpalenia karczmy, że z nienawiścią spoglądał teraz na włościan, upatrując w każdym tajemnego wroga i sprawcę ich domowego nieszczęścia.

Budowę nowej karczmy miano rozpocząć późną jesienią, bo Lewek pierwiej robotników dostać we wsi nie mógł a z miasta sprowadzić ich nie chciał. Kazał tylko w mieście sporządzić ruchomą budę i pewnego południa stanęła buda przy drodze, zamiast szalasu.

Budowa domu Kółka rolniczego szybko postępowała naprzód. Poświęcenia domu miał dokonać proboszcz 8. Września w dzień Narodzenia N. P. M.

Przygotowania do tej uroczystości rozpoczęły się już w Sierpniu. Dziewczęta szyły wzorzyste gorsety i spodnice, parobcy kupowali nowe buty z podkówkami, starsi długie miewali narady z proboszczem, i dom stanął gotowy na Św. Wawrzyńca.

— Niech uni sobie urządzają swoje kółke — mówił Lewek w gronie swojej rodziny — należeć będą do tego kółke ksiądz proboszcz i dziedzic i wójt

i podwójci i stary Pietruszka, i czy ja wiem, kto jeszcze? I co wy myślicie, że to może być dobry geszeft, gdzie jest tylu współników? Uni będą sze klócić, uni wnet ten dom zamkną i już nie będzie żadne kółke.

Lewkowa zapatrywała się na tę kwestję mniej optymistycznie, ale nie zaprzeczała mężowi. Od owej nocy fatalnej straciła humor i pewność siebie; jej wyraz twarzy był mniej dobroduszny. Znać po niej było, że ją nurtuje wielkie cierpienie, a bodaj czy nie gryzła się tem, że nie dość wczesnie odnowiła ratę przy asekuracji.

I stary Abram zmienił się bardzo. Nie patrzył wprawdzie chmurnie na włościan, jak córka i wnuczka, ani też rzucał przekleństwa na chłopów, jak to zwykł był czynić Josel. Twarz jego była tak samo pogodna, jak przedtem, przybyło tylko na niej kilka zmarszczeków, które wyźłobiły bezsenne nocy. Oczy jego patrzyły teraz za to na ludzi przenikliwym wyrazem; już się do ludzi nie uśmiechał; ale ich badał wzrokiem, jakby porobić chciał jakieś studja psychologiczne. Mniej też mówił i widocznie z wielką niechęcią, bo rad odsunął się od ludzi, szukając dróg samotnych. Dawniej z upodobaniem wczytywał się całemi godzinami w starożytne księgi hebrajskie; — teraz zaniedbał je, leżały pyłem okryte na półce, powyżej okna w alkowie. Cały prawie dzień spędzał w ogrodzie i być może, iż wczytać się pragnął w wielką księgę natury, bo nieraz oczy jego błędziły po niebie i ziemi z dziwnym jakimś, a nowym u niego wyrazem: jakby po raz pierwszy widział to, co go otaczało. Opuścił martwy, zapleśniały świat przestarzałych uprzedzeń, zabobonów i złości. Pozostał sam ze swojemi myślami, wśród natury strojnej w rozkwitłą szatę letnią i w ścisłym sąsiedztwie ze światem chrześcijańskim, zmuszony patrzeć na niejedno, co znał fałszywie, lub o czem dotychczas nie miał pojęcia.

Było to właśnie w dzień Narodzenia N. P. M. Wieś cała miała uroczysty wygląd. Tłum ludzi opuścił kościół i ruszył w pochodzie za księdzem

w stronę nowego budynku Kółka rolniczego, który poświęcić właśnie miano.

Z nakazu dziedzica Lewek musiał w tej uroczystej chwili zamknąć budę. Zły udał się do chaty kulawej Marjanny i nie pozwolił żonie i córce, wyrzeć na gościniec. Byłby i Josłowi zakaz ten powtórzył, ale Josła dojrzeć nie mógł. Posłał po niego do dziadka, ale i tam go nie było.

Dopiero po skończonej uroczystości Josel przybiegł do dziadka i w bezładnych zdaniach zaczął mu opowiadać, co widział i słyszał.

— I wiesz zejde — mówił w końcu — co ja słyszał? Jak oni wszyscy poszli do stołów jeść i pić, to ja słyszał, jak jeden drugiemu opowiadał, że Grochalczyki do miasta poszli i przyznali się sędziom, że to oni karczmę podpalili. A jak się ktoś zaczął temu dziwić, to ksiądz położył mu rękę na ramieniu i powiedział: „nie dziwcie się, moje dzieci. Jeden grzech drugi za sobą pociąga. Hulał Grochalczyk i część ojcowizny przepił; a straciwszy grunt pod nogami, zbrodniarzem został. Obaj bracia teraz pokutują. A lepiej że na tym, aniżeli na tamym świecie.“

Josel umilkł i zdawał się oczyma pytać starca: „czy ty co rozumiesz z tego, zejde? Ja coś rozumiem, ale nie chcę mówić. Czy mi ty nie powiesz zejde?“

I starzec zaczął mu opowiadać powoli, głosem cichym, a uroczystym:

— Jak ty rozumiesz, za co Grochalczyki sami przed sądem się oskarżyli, to ty musisz także wiedzieć, co ten ksiądz tutejszy jest godny kapłan, bo on chyba przy spowiedzi nakazał Grochalczykom, aby się przyznali.

— Zejde, to ja się już nie będę mógł zemścić na Grochalczykach?

— Nie Josel. Czyś ty nie słyszał, że ksiądz mówił, że oni pokutują? Oni mają ciężkie dusze i bardzo ciężkie głowy i wielki robak gryzie ich sumienie. Co im ty chcesz zrobić? Nie byliby oni podpalili, to byłby to kto inny zrobił. „Grzech rodzi

grzech“, to wielkie słowo! Czy wiesz, za co karczma się spaliła? Ona miała na sobie bardzo wiele grzechów i te grzechy strasznie urosły i tylko wielki grzech mógł te grzechy zniszczyć. Ty Josel pojedziesz do miasta i będziesz pracował. A jak ty jeść będziesz chleb ciężkiej pracy, to ty będziesz miał duszę lekką i głowę lekką. I ja ci jeszcze coś powiem Josel. Ty musisz ludzi kochać, wszystkich ludzi. Ty nie musisz patrzeć, co by oni nosili takie ubranie, albo taki strój, żeby mówili taką lub taką mowę. Ty musisz patrzeć im tylko w oczy, co w nich się odbija: dobroć czy złość. Ty musisz wiedzieć Josel, że ludzie, jak się ze sobą jak psy żreją, to oni nie są więcej jak psy. Ty od nich zdaleka się trzymaj! Ty Josel czyn tylko dobrze, bo jak co dobrego zrobisz, to będziesz jak ten dobry rolnik, co rzuca w ziemię dobre ziarno, aby mu z niego cała garść urosła. Josel nie bądź zły dla chłopów, bo choć dużo jest takich, co szkoda im dać dobre słowo, to widzisz Josel są między nimi i tacy, co im można dać kawałek serca, nawet całe serce. Ty Josel nie zapomnij, żebyś zawsze tak robił, coby ci nie mogli powiedzieć, żeś tu jest obcy i niegrzeczny gość. Ty Josel daj za jedno złe słowo, dwa dobre czyny. Pan Bóg będzie wtedy ciebie miłował i ty będziesz miał wtedy bardzo lekką głowę i bardzo lekką duszę . . . .

Starzec umilkł; Josel zdawał się go jeszcze słuchać. To echo słów dziadka drżało mu jeszcze w duszy.

Słuchał go z początku ze ściągniętą brwią i niedowierzającym wyrazem w mądrych a bystrych źrenicach. Im dłużej słuchał, tem więcej wygładzała się jego ściana, śniada twarz o wybitnych rysach, w której pochodzenie wryło wszystkie wady i dobre przymioty jego plemienia. Nie był jeszcze zupełnie przekonany, ale poddawał się czarowi słów dziadka chętnie.

— Zejde — przemówił wreszcie — prawda, że to jest bardzo trudno, na jedno złe słowo spełnić dwa dobre uczynki? Zejde, a kto ukarze tego, co mówi złe słowo?

— Bóg sędzić będzie, a ty . . . nie pytaj — odparł starzec — jaki koniec Bóg przeznacza tym, co złości ufają. Ty Josel musisz wierzyć, że największą po Bogu potęgą jest dobroć. Pamiętaj Josel: za jedno złe słowo odpląć dwoma dobrymi uczynkami . . .

Starzec położył dłoń na głowie wnuka, spojrział ku niebu i szeptał cicho prastare błogosławieństwo, wspólne tym wszystkim, co w Jedynego wierzą Boga . . . . .

*Aniela Korngutówna.*



# Skon dziecięcia

(z niemieckiego Franciszka Grillparcera.)

Ponad łóżka wezgłowie z cichym szelestem raz leciał

Anioł, wtem jego wzrok na dziecięcia twarz padł.  
Jakby własny swój kształt w zwierciadle srebrnych  
[fal widział,

Tak uśmiecha się doń pełna słodyczy ta twarz.

Cicho na dół zlatuje, ucieszon słodkiem złudzeniem,  
I powiewny swój krok ku dziecięciu już szle.

Ach! jak słodko spi dziecię — niewinność i spokój  
[niebiański

Brzmia w oddechu tych ust — jasną wieńczę mu  
[skroń, —

Aureolą świętości zaś okalają włos złoty —

Jakby lilii kwiat w dłoni niewinnych tych rąk.

Mile uśmiecha się Anioł, lecz wkrótce zachmurza  
[swe czoło,  
Westchnął głęboko i wzrok od dziecięcia szle w dal —  
W duchu widzi już burze, grożące w dalekiej przy-  
[szłości,  
Którym opiera się dąb, którym nie oprze się kwiat,  
Słyszy, jak gromią nieszczęścia zabijające pociski,  
W obec bezprawia on sam czuje bezwładność swych sił.  
We łzach widzi to oko, miękką rzesą pokryte  
I zbroczoną krwią pierś, która tak lekko dziś technie.  
Miłosierdzie przenika duszę boskiego posłańca,  
Trwożnie patrzy w grę chmur — wtem Wszech-  
[mocny dał znak:  
Tedy objąwszy niemowlę — drżące mu wargi całuje —  
Rzecz: „Boże cię chroń“ — dziecko przestało już  
[żyć. —

Sambor, dnia 8. Stycznia 1884.

*Naftael Kohn\*).*



---

\*) Naftael Kohn, syn Salamona Kohna z Sambora i w tem mieście urodzony, poświęcił się studjom prawniczym a zostawszy adwokatem naprzód w Turce, następnie w Dobromilu, umarł w młodym wieku w Samborze na wycieńczenie sił 1891, dnia 24. Października.



## Artysta prowincjonalny

(z 2-ma rycinami.)

Nieraz spotykał się może czytelnik mego wydawnictwa z udatnemi obrazami, reprodukowanemi



Żyd z owocami (według fotografii E. Jurkiewicza z Kołomyi.)

według fotografii niemniej udatnych p. Jurkiewicza z Kołomyi, i ten i ów pytał się może: co to za jeden?

My odpowiemy na to: p. Eugeniusz Nieczuja Jurkiewicz — to młody a wielce obiecujący artysta. Do niedawna była to firma mało znana. Teraz zdobył sobie szeroki rozgłos i uznanie zasłużone — na wystawie lwowskiej zaś za niezrównaną grupę swoich żydków, owocarzy kołomyjskich, otrzymał list pochwalny. Ci żydkowie kołomyjscy okażą się także na wystawie budapeszteńskiej i nie wątpimy o tem, że i tam autorowi zasłużone zdobędą uznanie.



Żyd, sprzedający dziecku owoc (według fotografii E. Jurkiewicza z Kołomyi.)

Umieszczamy ich w obecnym roczniku i przepraszamy czytelnika jak najmocniej za to, że się ta reprodukcja tak opóźniła — ale lepiej późno, niż nigdy!

Specjalnością p. Jurkiewicza są żydkowie i chłopię kołomyjscy, na którem to polu z powodzeniem o palmę pierwszeństwa walczy z starszym współzawodnikiem: Juliuszem Dutkiewiczem. Oprócz tego ma p. Jurkiewicz jako były uczeń Matejki samoistne artystyczne pomysły, układa często grupy z żywych osób, a jedną taką grupę, przedstawiającą Polskę w kajdanach z aniołem nad nią stojącym, umieściłem w „Rocznikach Samborskich“ i w „Polsce w świetle niemieckiej poezji,“ z kąd następnie drogą przedruku dostała się do lwowskich i gdańskich czasopism.

Pan Eugeniusz Jurkiewicz, żonaty i rodziną otoczony, żyje w szczęśliwych stosunkach, pozwalających mu, talent swój w kierunku fotografii i malarstwa swobodnie rozwijać. W ostatnich czasach wynalazł sposób powiększenia portretów do rozmiarów naturalnej wielkości według fotografii. Za wykonania w podobnym rodzaju, z ludzaniem podobieństwem uskutecznione, otrzymał też pochwały rzeczoznawców.

Pracowitemu artyście życzymy powodzenia!

Sambor, 13. Marca 1896.

*G. Kohn.*



## Ostatnie Echa z Wystawy.

Minęła Wystawa Lwowska; ale myśl o racjonalnej pracy nie minęła i nie przebrzmiała razem z nią. Ostatnim wyrazem uczuć, budzonych do życia przez Wystawę Lwowską — jest uczczenie zasług dyrektora tejże Wystawy, p. Dra Marchwickiego, stosownym upominkiem: biustem, artystycznie wykonanym przez rzeźbiarza Lewandowskiego.

Wystawcy, urzędnicy Wystawy, dziennikarze, którzy poprzednio udział mieli w składce na ten cel urządzonej, z prezydentem Mochnackim na czele udali się w niedzielę 19-go Stycznia br. do mieszkania solenizanta, aby mu życzenia swoje składać.

Z świata dziennikarsko-literackiego byli tam Fryling, Zieliński i redaktor „Roczników Samborskich”; sztukę (względnie architekturę) reprezentowali Zacharjewicz i Lewiński; przemysł Zielniewski Getritz, Piepes. Było i więcej gości — ale nie wszyscy znani mi osobiście i imiennie.

Toasty sypały się jak z rogu obfitości; jeden wierszem: „Na cześć ludu!” wygłosił ex abrupto redaktor „Roczników samborskich.” Rzeczony wiersz, który także w „Djable” figurował — umieszczamy poniżej:

„Gwarno, wesoło, a wszak to szczątki  
Ostatniej, wielkiej w kraju pamiątki,  
Szczątki wystawy, i te by cieszyć  
Nas miały, cośmy się tu pośpieszyć  
Nie omijali? O nie! w nas inne  
Dziś się odzywa echo rodzinne!  
To tryumf pracy! to tryumf dzieła,  
Które dłoń ludu wspólnie podjęła!  
Ja toast wznoszę na zdrowie ludu:  
On to zwyciężył, on -- cudem cudu!”

Sambor, 13. Marca 1896.

*G. Kohn,*  
redaktor „Roczników Samborskich.”


# Tatuś ma natchnienie!

HUMORESKA

przez

Antoniego Garczyńskiego.

---

pożywszy skromną kolację, p. Wincenty wstał od stołu, krząknął, siadł przy biurku, położył przed siebie wielki stos papierów, przysunął o 3 centymetry bliżej kałamarz, pokręcił lampę, wziął pióro do ręki i uchwycił koniec brody...

— Tatuś ma natchnienie! — rzekła p. Wincentowa do dzieci i wzięła jedno dziecko na rękę, drugie za rękę, trzecie kazała wziąć niańce, czwarte uczepiło się fałdów jej sukni, piąte stanęło na dwie nóżki, a szóste i na razie ostatnie, stanęło na czworakach — poczem ta niezwykle malownicza grupa wśród pisku, wrzasku i lamentu opuściła pokój, w którym muza natchnienia roztoczyła swoje promienne skrzydła nad dobrze już podłysiałą głową p. Wincentego.

W pokoju zapanowała cisza nader uroczysta. Wśród takiej to ciszy (szczególniej po takich piskach) myśl literata przeistacza się w coś nieuchwytnego i uskrzydłona wznosi się ponad najwyższe szczyty Karpat, Alp i Pyrenejów, jedzie do nieba, przepływa niebo i grzęźnie w Nirwanie...

Pan Wincenty przez okrągłą godzinę i dwadzieścia kilka minut, grzązał myślą w „nicości,” potem wyciągnął rękę i zanurzył pióro w kałamarzu...

Rozmachnął się nad przygotowanym papierem, przycisnął pióro i... nie napisał ani jednej litery. W kałamarzu nie było atramentu!

— Adelo! — krzyknął p. Wincenty. — Adelo! — powtórzył złamanym i płaczącym głosem...

— Patrz żono, patrz — rzekł do wchodzącej spiesznie małżonki — ani kropli inkaustu! — i tragicznym ruchem ręki wskazał na czarne, wypróżnione naczynie inkaustowe.

— Zaraz będziesz miał inkaust — uspokoiła go żona i spiesznie poszła wyprawić Kasię do pobliskiego sklepiku, z kądem też sługa niebawem przyniosła za 2 centy rzetelnego inkaustu.

Kałamarz został napełniony.

Nie tracąc czasu, z wielce przykładowym zapędem zanurzył p. Wincenty pióro po sam palec środkowy. Skutkiem czego pierwsza rzecz, która się na papier dostała, była okazałym żydem (notabene przez małe ż.) Lecz co znaczy dla człowieka natchnionego jeden nędzny żyd na papierze w obec nieskończenie większej liczby Żydów (co się piszą przez wielkie Ż), gnieżdżących się w Galicji? Z tym jednym okazem uporał się p. Wincenty szybko, albowiem z nienawiścią prawdziwie antysemityczną zgniół papier wraz z Żydem, poczem wrzucił to wszystko do czegoś, co wprawdzie nie było morzem czerwonym, ale bodaj polakierowanym na czerwono — koszykiem.

Zamaczał pióro po raz drugi.

Dopiero teraz zamaczane pióro miał puścić w ruch jednostajno - przyspieszony i nawet już je puścił, i na białym papierze zaczerniała się pierwsza wielka litera „K,“ kiedy doleciał go z przyległego pokoju okrzyk przerażenia. Rzucił więc pióro i wpadł do pokoju.

— Co się tu stało?

— Julcia o mało nie przewróciła lampy! —

— Słuchaj Julciu! — z gniewem zawołał natchniony papa — jeżeli się ważysz, jeszcze raz dotknąć lampy, to ci sprawię taką łaźnię, że ją popamiętasz! — i pogroziwszy palcem małej fidze, powrócił do Parnasu!

Teraz byłby niezawodnie zaczął pisać, gdyby nie ożywiona rozmowa, którą posłyszał tuż za drzwiami w kuchni:

— Nie wolno mi przeszkadzać panu — mówiła kucharka.

— Kiedy ja mam interes — nalegał głos mężki.

— Kiedy nie można.

— Czemu to, panno Kasiu?

— Bo nie można, bo pan „natkniony.“

— Co natkniony? Niechno panna powie panu, że przyszedł szewc z rachunkiem, to mu ta słabość z natknięciem całkiem przeminie. Idźno, panna...

Ta szewska natarczywość oburzyła p. Wincentego. Jakto? nie dość, że cała armia, złożona z szewców, krawców, piekarzy, handlarzy i kramarzy trzyma go w oblężeniu wśród dnia jasnego, jeszcze i teraz, po nocy nadchodzi go ta zgraja i to w stanowczej chwili, w której „przy braku gotówki“ czuje się natchnionym? Tego już za wiele! — Z furją wpadł pan Wincenty do kuchni:

— Rachunki płacę za dnia a nie wśród nocy! — zagrzemiał, lecz grzmotem tym nie ustraszył pana majstra.

— Panie dzieju, — powiedział tenże skromnie — ja i w nocy potrzebuję pieniędzy, abym miał za co kupić z rana śniadanie.

Przekonywający ten argument jeszcze bardziej rozgniewał p. Wincentego:

— Pan śmiesz mi to mówić, pan! — krzyczał. A kto ma w dzisiejszych ciężkich czasach pieniądze na śniadanie, jeżeli nie wy — wy rzemieślnicy, kupcy i przemysłowcy! Przecież my ich nie mamy, my urzędnicy i literaci! („Literaci“ wymówił z naciskiem.) Pokaż mi pan jedyną jedną marną kamieniczkę, kupioną za honorarja literackie lub za urzędniczą gażę? . . . No, wskaż mi pan jedną! . . .

Pan majster był w kłopotcie.

— Zresztą — ciągnął dalej p. Wincenty — co do tych koron, należących się panu słusznie, to ja z zasady płacę moje długi, kiedy mam pieniądze. Dziś nie mam drobnych — przyjdź pan jutro.

Ale pan majster nie dał za wygraną:

— Ja panu dziejowi rozmieniam — rzekł z całą uprzejmą do wymiany gotowością. Ta gotowość szewca obraziła p. Wincentego jeszcze bardziej:

— Panie majstrze! — rzekł z dumą iście wielkiego pisarza — ja, jeżeli potrzebuję wymieniać pieniądze, to idę do banku, rozumiesz pan?

Co powiedziawszy, odwrócił się plecami do zmiążdżonego bankiem majstra, poczem wychodząc z kuchni, trzasnął z taką siłą drzwiami, jakby to były drzwi co najmniej kasy wertheimowskiej.

Długo jeszcze po wyjściu z kuchni i odejściu pana majstra, naciągał p. Wincenty brodę, zanim ostatecznie, opanowawszy nad słusznem oburzeniem, pochylił się napowrót nad przygotowanym przezeń papierem i wlepił oczy w napisane już poprzednio wielkie K. Zaledwie jednak miał czas zrobić spostrzeżenie, że wielkie K. jest wcale przyzwoitą literą i jeszcze nie miał czasu, zastanowić się nad tem, jaką należy do tej jednej litery przyczepić drugą, kiedy drzwi skrzypnęły i ukazała się w progu wielce sympatyczna postać p. Adeli:

— Czy pozwolisz aniołkom, powiedzieć ci dobranoc? — zapytała z koncentrowaną słodyczą lodowatego cukru. Lecz lodowaty cukier podziałal na niego tylko lodowato, albowiem rzekł zimno:

— Ucałuj je odemnie i — chciał powiedzieć — przeżegnaj je, ale powiedział w roztargnieniu: „i pożegnaj je odemnie.“ —

Tem pożegnaniem byłby niezawodnie zmroził serca niewiniątek, gdyby nie ich temperament, który bez względu na zimną powłokę tatusia, wypchnął je naprzód i pchnął je w objęcia papy. I cóż miał czynić ten natchniony ojciec tak licznej rodziny?

Całował dzieci kolejno, przyczem czynił zadość wymaganiom starszych, które się upominały o większą porcję czułości ojcowskiej. Te, które już rozporządzały samodzielnie językiem i jako tako mówiły, nie omieszkały użyć narzędzia mowy w celu zapytania się ojca, czy cały dzień były grzeczne.

— Tak, tak — zapewniał je rozrzewniony tatko — przez cały dzień byłyście grzeczne, jak



aniołki grzeczne, a jakże! — Tylko teraz, moje aniołki, wynoście się — i zwracając się do żony, dodał łaskawie: zabieraj te nasze anioły!

A anioły zrozumiały ten łaskawy dodatek, bo wołając z przerażeniem: tatko jest natchniony! — wyniosły się z mamusią co tchu.

I znów nastąpiła w pokoju owa błogosławiona cisza, co natchnieniu sprzyja; za ledwie jednak nastąpiła, a już ją spłoszyło przeraźliwe miauczenie kotów. Napróżno perswadował sobie p. Wincenty, że to pora marcowa, która przecież nie przeszkadzała, tworzyć genjuszom — napróżno. Czuł, jak pod wrażeniem tego kociego duetu topnieje jego natchnienie; jako śnieg marcowy pod wpływem słonecznych promieni!

I naraz poczuł niezmierną pogardę dla całego kociego rodu! Czujże tu teraz potrzebę napisania czegoś przekonywającego! czegoś, co porusza serca! czegoś, co zniewala serce! — miejże tu natchnienie!

I spojrzawszy p. Wincenty na okno i spojrzawszy przez okno a potem ze wstętem zwrócił się profilem do okna i smutnem okiem spoczął na lśniącej, czarnej literce K. — To wielkie K napisał przed trzema godzinami! . . . Czemże jednak było to K, chociaż wielkie, w obec tej ogromnej ilości liter, mieszczących się we wszystkich tomach takiej np. biblioteki Ossolińskich?! Więc p. Wincenty zamyślił się był głęboko nad tym stosunkiem, jaki zachodził między tą już napisaną przezeń literą, a biblioteką imienia Ossolińskich. . . A po tych głębokich myślach przyszły mu do głowy mniej głębokie wspomnienia, jak to on kiedyś był obywatelem i siedział na własnym majątku. — Wspomniał i te czasy, kiedy raz z wiośnią sprzedali pan rządca nawspół z panem ekonomem wszystkie zapasy śpichlerza i po pokryciu wszelkich kosztów oddali mu do kasy zero. W tej tak krytycznej chwili, w chwili, w której konwenans światowy wymagał od niego, aby podtrzymywał tradycje rodzinne i żył nie gorzej i niemniej wystawnie, aniżeli jego praojcowie i ojcowie — on, p. Wincenty, po raz pierwszy uczuł, że wstąpiło w niego natchnienie i że go oświeciło. . . (Koty w tej chwili przestały miauczeć.) Wówczas popełnił pierwszy utwór, który

zadedykował bardzo porządnemu Izraelicie. Żonie o tym pierwszym płodzie swego ducha nic nie wspomniał. Nie mówił i o dalszych swoich utworach, któremi pomagał sobie — w gospodarstwie. Ostatecznie za te wszystkie utwory, poczciwi prenumeratorowie, przeważnie Żydowie, zabrali mu majątek. W żonę wmówił, że majątek stracił w skutek nie-szczęśliwych konfiguracyj gospodarskich.

Przenieśli się do miasta. Tu trzeba było znaleźć sobie odpowiednie zajęcie, gdyż pozostały kapitał nie starczył na utrzymanie tak rozrodzonego i szlachetnego rodu. Podał się więc na posadę dyrektora do Towarzystwa ziemskiego — odmówili; wniósł podanie z prośbą o posadę skarbnika w asekuracji — odmówili; wniósł jeszcze potem kilka podań do różnych instytucyj a zawsze z prośbą o posadę odpowiadającą jego kwalifikacji urodzenia. Nie mógł przecież, on, dobry szlachcic, przyjąć pierwszej lepszej posady. W końcu przyjął w administracji „Kurjera“ ważną posadę ekspedytora gazety i w ten sposób został urzędnikiem i rzeczywistym literatem! . . . .

Koty znowu zamiauczały przeraźliwie i przerywały wątek myśli p. Wincentego. Już wzbierała w nim ochota zakląć po szlachecku — gdy wtem drzwi skrzypnęły i do pokoju weszła pani Adela.

— Słyszysz moja duszo — rzekł do wchodzącej, podniósłszy rękę w górę, jakby wzywał na świadectwo niebo i ziemię i zawołał: — I jakże tu pisać!

Pani Adela zrozumiała zwątpienie męża i milcząca wyszła do kuchni. Po chwili miauczenie kotów ustało zupełnie a pani Adela, w poczuciu spełnionego obowiązku, powróciła do pokoju rozpromieniona:

— Już koty wypłoszone — powiedziała i pogłaskawszy męża po łysinie, tak od niechcienia spytała, czy dużo już dzisiaj napisał.

— Zartujesz ze mnie — bronił się p. Wincenty — mam zamiar zaczynać a nie kończyć.

Pani Adela westchnęła:

— Czy tylko ci zapłaca?

— Za poprzednie rozdziały przecież zapłacili.

— Lecz nie drukowali.

— Ale jeszcze wydrukują, zapewniam ci — uspokajał p. Wincenty zafrasowaną i niedowierzającą żonę.

— Nie trać więc czasu, mój drogi — prosiła pani Adela — i pisz dalej, kiedy masz natchnienie. Ale w tej chwili on nie potrafił pisać „dalej“. Owładnęło nim takie tradycyjno-szlacheckie rozrzewnienie, że był jedynie w możności całować rączki swej ukochanej Adeli, z którą niebo obdarowało go tak licznem potomstwem, a skoro Bóg dał dzieci, da i na nie . . . I pod wrażeniem budzącego się w nim ciepła i przy silnej wierze, że jakoś to będzie, wyciągnął ramiona po drugą swoją połowę i przyciskając żonę do kochającego serca, szeptał jej do uszka:

— Czy pamiętasz — czy pamiętasz? . . .

— Czy pamiętam — odrzekła, zmieniając się cała. — Pamiętam wszystko, nawet twoje pierwsze wiersze, za które oddałam ci całe serce i zostałam twoją żoną.

Szczęśliwe to były czasy — westchnął p. Wincenty.

— O tak, szczęśliwsze od terażniejszych. Tylko, kiedy ludzie są szczęśliwi — mówiła — nie cenią tego szczęścia i pragną czegoś więcej, czegoś, co niedoścignione; aż kiedy grom uderzy, poznają co stracili! — Tak i z nami było — dodała smutnie.

Ale on rzekł wesoło:

— Byliśmy się kochali — i zamknął jej usta długim sznurkiem okrągłych pocałunków.

Po chwili pani Adela przerwała milczenie:

— Na jutro nie mam pieniędzy na potrzeby domowe.

— Nie masz pieniędzy! — z żalem zawołał p. Wincenty. Duszo mej duszy — ciągnął dalej — teraz trzeźwo widzę, że trzeba mi energicznie zabrać się do roboty i pisać. Jutro będziesz miała pieniądze.

— A za który rozdział? —

— Za który? — powtórzył p. Wincenty i po krótkiej pauzie dokończył: — oczywiście, że za trzeci!

— Byle tylko wydrukowali — powiedziała jeszcze ambitna pani Adela i wyszła z pokoju na palcach, aby nie płoszyć muzy natchnienia.

Po jej odejściu p. Wincenty, otulony skrzydłami nieprzerwanej ciszy, z myślą o potrzebie pieniędzy na jutro, popuścił cugle fantazji, tak długo krępowanej i wnet zahaczył piórem o wielkie K i zaczął pisać trzeci rozdział swego romansu, którego ani treści, ani pierwszych rozdziałów nie знаła i nie oglądała pani Adela. Pisał więc:

„Kochany Przyjacielu! Wiesz, że nie jestem tęgi w kreśleniu mych uczuć. Nie umiem, jak to mówią, wypisać się do woli, dlatego krótko i węzłowato proszę cię usilnie o pożyczanie mi dalszych 200 koron, które wraz z poprzednim rozdziałem, t. j. z poprzednimi 200 koronami, uczynią kwotę 400 koron a które razem zwrócę ci na pierwszego Kwietnia, skoro odetnę kupony. Przyjmij serdeczne uściśnienie ręki, a z góry ci dziękuję za twoją poczciwość dla mnie. Twój Wincenty.“

To napisawszy, p. Wincenty odetchnął głęboko, jak literat, któremu się udało, wybrnąć z trzeciego rozdziału zaczętego romansu i odłożył pióro z nietajnym wstrętem.



## Na powitanie Sokołom kresowym.

Od zachodu i od wschodu,  
Sił próbując jak za młodu,  
W pobratymstwa znak  
Złata dziś na Bukowinę,  
Do swych braci na gościnę  
Sokół — wolny ptak!

W górę serca, w górę myśli!  
To, co pióro nie określi,  
Niech wypowie głos!  
Głos z tysiąca dusz płynący,  
Głos w harmonji dźwięku lśniący,  
Gdyby perły ros.

My się do was garniem siłą  
W uroczystość, sercu miłą —  
Piewców bratnich chór!  
Padły więzy, padły szranki!  
Na braterstwo wznosmy szklanki,  
Zaśpiewajmy wtór:

Zaśpiewajmy: „Nie zginęła!“  
Zachęcajmy się do dzieła,  
Co da złoty plon,  
I to, co drzemało skrycie,  
Wskrześmy język, budźmy życie,  
Narodowy ton.

Budźmy, budźmy to, co spało  
A choć dziś drużyną małą  
Zda się zastęp nasz —,  
Wytrwałością on urośnie  
Jak ten sokół, co radośnie  
Do was zwraca twarz!

Witaj, witaj, ptaszę młode!  
Na braterstwo, na swobodę,  
W odrodzenia znak  
Sokół łączy się z sokołem  
Staropolskiem: „Czołem! czołem!“ —  
Sokół — wolny ptak.

Kołomyja, 8. Maja 1894.

*G. Kohn.*



# Nowomodna szkoła.

Brandes, Ibsen, Tołstoj, Zola —

Oto falanks obcych czynna,

Oto nowomodna szkoła,

Co nas myśli uczyć winna.

W ką natchnienia wieszczów naszych!

Już poezja w nas ochłódła:

Promień dziś dla mózgów laszych

Świecić ma z obcego źródła.

Pozytywnie i realnie

Mistrzów nowych brzmi nauka;

Myśli tłoczą się nawalnie,

Próżno każda wyjścia szuka.

Chaos tylko pozostało,

Strzępów myśli w niem nie widno,

A pospółstwo ogłupiało

Nad nauką tą bezwstydną.

Hej Polacy! precz z mistrzami,

Co obyczaj trują stary!

Nam polskiemu żyć wzorami,

Z mistrzów czerpać przykład wiary!

Naszych przodków nie uczyli

Obcy walczyć i zwyciężyć;

Głupi, kto się próżno sili,

Nad obcymi mózg wyteżyc!

Podły, kto ojczystą mowę

Chee obcemi wskrzesić dźwięki!

Z niej nam natchnień brać osnowę,

Myśli, czucia, radość, jęki.

Nie tam Ibsen, Tołstoj, Zola —

Mickiewicza zastęp boży,

Oto myśli naszych szkoła,

Co nam lśni jak światło zorzy!

# Bibliografia.

## a) *Książki pamiątkowe i roczniki*\*).

[Dla Szlązka. Książka zbiorowa na rzecz gimnazjum polskiego w Cieszynie. Nakładem Koła literacko-artystycznego. Lwów, 1895. Z drukarni zakładu narodowego imienia Ossolińskich. Mała ósemka. Stronic 192. Cena 1 złr.]

Piękna to była myśl „Koła Literacko-artystycznego lwowskiego“, dostrajając się do kamertonu uczuć, które w wszystkich sercach polskich dla Szlązka, po większej części zgermanizowanego od dawien dawna, się odzywają. Owocem wspólnych tych usiłowań jest właśnie książka przezemnie omówiona, a na jej nader bogatą treść złożyły się pióra 56ciu mniej lub więcej głośnych autorów polskich. To też treść dzieła nader obfita.

Ze redakcja nie ze wszystkich rzeczy jej nadesłanych, korzystać mogła albo chciała — to rzecz naturalna! Ile przy takim konkursie literackim kompletnych zer się nieraz zjawi — to nawet rozstrzygnąć trudno! Redakcja zasługuje jednak na pochwały za to, że tak prozą, jak i wierszem wszelkie mierzoty wykluczyła a stworzyła dzieło, które jeszcze nasi wnukowie z uszanowaniem czytać będą.

Z wierszów, umieszczonych w książce zasługują na najwyższe pochwały Seweryny Duchinińskiej „Trzy

---

\*) Aby się bez potrzeby nie powtarzać, zwinęliśmy niniejszem raz na zawsze dział ocen perjodycznych pism; wymaga tej oszczędności zresztą, nietylko brak miejsca, ale także potrzeba poświęcenia książkom miejsca, zajętego bezpotrzebnie oceną gazet, (*Przyp. red.*)

okruchy“, Karola Brzozowskiego „Mściciel“, Kle-  
mensa Kołakowskiego „Napad na dwór“, oraz Adolfa  
Stronera „Usque ad finem“, Aurelego Urbańskiego  
„Do broni!“ i Władysława Bełzy „Ostatnia kartka“,  
która równocześnie także ostatnią kartę dzieła sta-  
nowi.

Niemniej urozmaiconą jest proza dzieła. Że tu  
dziejom Szlązka, jego przeszłości i przyszłości nie  
jedno gorące słowo poświęcono — nie dziwota. Mię-  
dzy temi artykułami zajmuje niejako honorowe miej-  
sce artykuł Marjana Dubieckiego, zatytułowany : „Że  
wspomnień o Pawle Stalmachu.“ Komużbo nieznana  
byłaby postać krzewiciela piśmiennictwa polskiego  
na Szlązku, syna rolnika z Bażanowic a założyciela  
„Gwiazdki Cieszyńskiej?“ Postać Pawła Stalmacha  
stała się poniekąd legendarną jak postać Sabały z tą  
jeno różnicą, że co tamten dosyć niezręcznie, dzie-  
cięciami tony zaledwie wykwił — to Sabała Szlązka  
wypowiedział na śmiało w swoim piśmie, a wal-  
cząc dla sprawy polskiej, podzielił los wszystkich mę-  
czenników, cierpiąc niedostatek za życia a ponie-  
wierkę niezasłużoną po śmierci. Życzenia jego, aby  
doczekał otwarcia polskiego gimnazjum w Cieszynie,  
nie ziściły się wprawdzie; ale doczekał się bodaj  
odrodzenia ducha narodowego na kresach, a stanął,  
jak Mojżesz z okiem zwróconem w przyszłość lepszą.

Szczęśna w swojej „Godzinie nieobowiązkowej“  
przedstawia nam obraz idealny nauczyciela Polaka,  
który w dzieciach nawpół zniemczonych cieszyńskich,  
poczucia rodzinne budzić usiłuje; Franciszek Zych  
w pouczającym artykule przedstawia ruch narodowy  
i walki stronnictw „na pruskim Szlązku“, które mimo  
nieżyczliwości tamtejszego rządu dla polskiej sprawy,  
prędzej czy później skończyć się muszą zwycięstwem  
i zanuceniem końcowej zwrotki pieśni, „że nie zniem-  
czą nas;“ Dr. Feliks Konieczny mimochodem rzuca  
„Kilka myśli o Szlązku“, z której ostatnią jako naj-  
ważniejszą tu podnosimy: „Niech każdy z nas posta-  
nowi opracować, naukowo czy artystycznie coś szląz-  
kiego; niech powstanie szlązki dział w naszej lite-  
raturze. Dopiero, gdy to nastąpi, wtenczas dopiero  
odzyskanie Szlązka będzie już wieczystem;“ Oswald



Balzer podaje krótką statystykę dziennikarstwa polskiego w Cieszynie, udowadniając na podstawie uczonych badań, że dziennikarstwo polskie w Cieszynie i starszej jest daty, aniżeli niemieckie i więcej od niego rozszerzone; podobny co do treści statystycznej jest także artykuł Henryka Kopii, zatytułowany: „Co mówią cyfry?“, Józef Zaleski rolnik z Puńcowa pod Cieszynem a więc polski Szlązak, wyjątkowo zamieszczony w chorze autorów, piszących po polsku o Szlązku. Jego „Łza Szlązaczki“ przedstawia nam bolesne uczucia matki Polki, starej wieśniaczki Chmielowej, której synowie pod obcym wpływem niemczyć się zaczynają. Karola Rawera „Laska Opolna“ zamyka szereg artykułów specjalnie szlązackich.

Inni autorowie nie ograniczyli się na samym Szlązku, a ponieważ dzieło podobne, na cele patriotyczne przeznaczone, powinno być nietylko patriotycznym, ale i wszechstronnem, więc znajdujemy tu obok historycznych wspomnień, jak Tadeusza Korzonna „Tabakierka Napoleona“, obok prac nowelistycznych, jak Rawity „Na służbie“, Jana Amborskiego „Z wygnania“, Jana Kazimierza Zielińskiego „Fragment“ albo Zofii Rudnickiej „Powrót żołnierza“ — także artykuły specjalnie sztukmistrzom i sztuce poświęcone, jak Jareckiego „Ze wspomnień o Moniuszce“ lub Styki „Cel sztuki w życiu społecznem“, artykuł estetyczny Tretiaka: „O najnowszych ideałach naszych“, artykuł dzielnego Sokoła Dra Dziędzielewicza pt. „Fizyczna dzielność narodu“, kilkanaście aforyzmów i cały szereg mniejszych lub większych prac, o których szczegółowo się rozpisywać brak nam miejsca.

Jednem słowem: całość książki przedstawia się nader poważnie i dodatnio. Mamy więc tylko jedno słowo zachęty dla publiczności; „Kupujcie to dzieło, kupujcie i rozkupujcie je w jak najkrótszym czasie! Wszak niejednen z was na rzeczy podrzędnej wartości nie żałuje nieraz grubych nawet pieniędzy. Nie żałujcie ich tu, gdzie się rozchodzi o odbyt dzieła, z którego dochód wyłącznie i niepodzielnie przezna-

czony na gimnazjum polskie w Cieszynie, a więc na cel polski, na cel narodowy!“

[Kalendarz „Djabła“ na rok 1896, zredagowany przez Emila Borkowskiego. Kraków. Nakładem księgarni Władysława Poturalskiego w Podgórzu. Czcionkami St. Słomskiego i spółki w Krakowie. Format mały in quarto. Cena 60 ct.]

Po długiej przerwie wznowiła dawniejsze tradycje djabelskie a szczególnie tradycje „Kalendarza djabelskiego“ nowozałożona księgarnia Wł. Poturalskiego w Podgórzu, a musimy przyznać, że próba dosyć pomyślnie wypadła. Nowe wydawnictwo nęci tak powierzchowną stroną, jak i treścią bogatą. Z humorystycznych ilustracyj na szczególną wzmiankę zasługują „Wybory galicyjskie,“ „Wędrowka do Friedrichsruhe“, Jana Matejki „Tadeusz Rejtan“ i Walerego Eljasza „Kazimierz Wielki wśród włościan,“ podczas gdy cały szereg niemniej udatnych portretów nas obznajamia z najgłośniejszymi w ostatnich latach ludźmi w Polsce.

Bardzo dowcipne jest „Słówko“ czyli raczej wstępne słowo, wypowiedziane przez redakcję; tak piękną formą, jak i głęboką myślą odznacza się Paqueta sonet „Skarga Sieroty.“ Natomiast nie podnosi się wiersz, zatytułowany: „Usque ad finem“ ponad zwykły poziom. Wyborną satyrę stanowi Nie-Reja „Z żywota poczcziwego człowieka XIX. wieku“, mniej już udatną parafrazę Alpuhary „Jeremiady Bismarka“, skaleczoną zaś mową pseudointeligeników małomiejskich usiłuje A. Kles. oddać w swoim „Jurku Żorszu, towarzyszu fachu butarskiego“.

Ale przejdźmy do prozy, zawartej w „Kalendarzu djabelskim.“ Tu zajmuje niepoślednie miejsce nie bogactwem obrazów i scen efektownych, ale głęboką myślą i uczuciem prawdziwie polskiem, szkic Anieli Korngutówniej, zatytułowany: „Dobrani.“ Rzewne uczucie budzi „Psia dola“ czy raczej „nie-dola,“ przedstawiając w małym, niepokąznym na oko obrazku ze świata zwierzęcego, jak się koło fortuny dziwnie toczy, jak bliskim upadku ten, który dawniej stał na świeczniku, jednym słowem, że wieniec tryumfatora od tarpejskiej skały ledwie krok nieznacznym

oddziela. Ciekawe światło na moskiewskie stosunki rzuca „Krugom durak“ a Józefa Rychtera „Nieśmiertelna!“, nastrojem z Słowackiego zapożyczonym, opowiada o dziejach i nadziejach tej nieśmiertelnej, tej Polski, która takich na świat wydała synów, jak Rejtan i Kościuszko!

Jeśli jeszcze z naukowych artykułów, w „Kalendarzu djabelskim“ umieszczonych, wymienimy „Sokolstwo polskie“ i „Przez uświadomiony lud do wolności!“ — to streściliśmy już w przybliżeniu najważniejsze artykuły, które „Kalendarzowi djabelskiemu“ jak najwięcej zwolenników zjednać powinny.

[Die Dioskuren. Roczник literacki Towarzystwa urzędników monarchii austro-węgierskiej. Wielka ósemka. XXV. Roczник. Stronic 499. Wiedeń, 1896. Nakładem Towarzystwa. Czcionkami cesarskiej drukarni we Wiedniu. Cena 2½ zlr., w oprawie 3 zlr.]

Jest to ostatni rocznik tego wielce pożytecznego wydawnictwa. Już od kilku lat nie dopisywały fundusze; ale cieszą się w kołach inteligentnych nadzieją, że wydawnictwo, ustaliwszy byt, przetrwa najgorsze czasy i wytrzyma konkurencję gorszych o wiele, ale pod względem pieniężnym korzystniej położonych pism. Stało się inaczej, a gdy zeszłego roku z wiosną zasłużony założyciel i redaktor pisma, baron Falke-Lilienstein, nagle zmarł, paraliżem tknięty, wtedy postanowiono nieodwołalnie, razem z nim i pismo pogrzebać. Tom jubileuszowy tego wydawnictwa jest oraz i ostatnim.

Na samym czele wydawnictwa umieszczono krótki zarys dziejów pisma, jakoteż biografię założyciela, który nie tylko że do ostatniej chwili czynnym był w redakcji, ale także garnął w koło siebie całe grono wybitnych współpracowników a sam w osobie syna i córki miał dzielnych pomocników przy tem dziele literackiem. (Syn bowiem redaktora, znany pod pseudonimem Hans Falke, do ostatniej chwili zasilał pismo wierszami, pełnemi poetycznego polotu, podczas gdy córka Amalia, pisząca pod pseudonimem A. Falstein, pole nowelistyki z wielką umiejętnością uprawia.)

Odpowiednio do początku zamyka długoletnia współpracowniczka wydawnictwa, pisząca pod męzkim pseudonimem Bruno Walden, szereg artykułów literackich retrospektywnym poglądem na treść, wartość i zawartość, oraz cele tego pisma.

A treść niemniej urozmaicona, aniżeli w tomach poprzednich. Jest to niejako stypa literacka nad grobem nieboszczyka-założyciela.

Z powieściowych artykułów wymieniam tu na pierwszym miejscu „Edinę“, szkic napisany przez utalentowaną autorkę, kryjącą się pod pseudonimem E. Wahlheima. Na podstawie nibyto artystycznych studjów, służących za podkład obrazowi, przez nią naszkicowanemu, usiłuje autorka odzwierciedlić nam stan duszy Ediny, sieroty po ojcu, spensjonowanym oficerze i matce, pochodzącej z warstw mieszczańskich. Edina wychowała się z dala od świata i ludzi jak dziczek, żyjący tylko dla siebie i dla urojonych dążeń artystycznych, którym dopiero zjawienie się niespodziewane profesora z akademji malarskiej, żonatego Willnaua pewny a stanowczy kierunek nadaje. Edina czuje nieprzeparty pociąg ku niemu, pokazuje mu swoje próbki malarskie a gdy wyrok doświadczonego człowieka i wytrawnego znawcy nieco surowo wypada —, wtedy usiłuje egzaltowane dziewczę się otruć. Zamachowi samobójczemu przeszkadza jednak interwencja przypadkowa Willnaua, który pierwotny wyrok modyfikuje, dodając młodej artystce otuchę i okazując jej w perspektywie wyżynę, na której Edina niewątpliwie stanie, skoro do stolicy sztuki niemieckiej, do Monachium pojedzie, aby się tam dalej wykształcić.

Mijają lata. Edina usłuchała rady Willnaua i stała się tą wielką artystką, którą być od najmłodszych lat pragnęła; ale w jej sercu próżnia, próżnia niczem nie wypełniona. Wtem sprowadza przypadek w to ciche ustronie, zamieszkane obecnie przez nią, Willnaua. Ona jest starą panną; on . . . posiwił należycie i zdradzony przez żonę, żyje rozwiedziony z nią tylko z dziećmi i dla dzieci, porzuconych przez matkę. W Edynie budzi się stare uczucie, napróżno przez nią zwalczone; Willnau również czuje, że je-

dna tylko Edina powołana, aby mu zastąpić towarzyszkę życia, dzieciom matkę. Czy ulegnie jego błaganiom, głosowi serca? Autorka zostawia to pytanie na razie nierozwiązane, ale kładzie rozwiązanie zagadki w usta dzieci, które w tym krótkim czasie do niej się przywiązały niemniej silnie od kochanka. Efektów jaskrawych nie ma w tym obrazku, nazwałbym go raczej według technicznego wyrazu życiem zacisznym, czyli „Stilleben,“ ale jako życie zaciszne ma niezaprzeczoną wartość.

W nowellistycznej formie daje także Hans Grasberger głęboki pogląd na życie, artystyczną działalność i sposób myślenia znanego w szerokich kołach rzeźbiarza Hansa Gassera, który żył i umarł jako prawdziwy artysta. Rzecz zatytułowana „Adam i Ewa“ i miejscami niepozabawiona domorodnego humoru, choć główny ton obrazu więcej poważny, aniżeli lekki.

Wielce pouczający pod względem etnograficznym jest artykuł Vincenti'ego pt. „Pieśń puszczy“, zaopatrzoney ponadto jeszcze w nuty, ale najcenniejszą może część rocznika stanowią artykuły o treści krytycznej, biograficznej, literackiej, wspomnienia z życia głośnych autorów, spuścizna literacka, dotąd drukiem nieogłoszona po autorach, jakimi byli Szyller, Bodenstedt, Geibel, Arndt, Lenau, Hamerling, Leitner, Stifter i Turgenjew. Bardzo zajmujące są listy Bodenstedta do małżonki, pokazujące go nie tylko w świetle poety, ale także przyjemnego gawędziarza i feletonisty, a szczególnie kochającego męża. Łaknącym pikanteryj polecamy opis zejścia się ze spanoszonym bankierem, z takim humorem przez Bodenstedta na str. 177. podany. Dra Adolfa Kohuta studjum o Zedlitzu przyczyni się pewnie w szerszych kołach do dokładniejszego zaznajomienia się publiczności z niepoślednim tym autorem a przyjacielem Polski. Dr. Kohut przebrał jednak cokolwiek miarę w swoim panegiryku, jeśli o autorze „Wieńców pośmiertnych“ pisze: „Bierzcie się do rzeczy, z jakiegokolwiek bądź stanowiska na nią spoglądając, to nie znajdziecie równego mu.“

Tradycje Ezopowskie odnawia Frydryk Lemermayer w niewinnej gawędce, zatytułowanej: „O ludzkim języku,” podczas gdy Antoni Ganser zawile kwestje filozoficzne rozwiązuje.

Poetycznych tłumaczeń z włoskiego, portugalskiego, nowogreckiego, arabskiego dostarczyli Kajan Cerri, Alfred Friedmann, Karol Erdmann, Karol hr. Załuski; oryginalnym wierszem zaś wykazują swoje zdolności i to nie po raz pierwszy autorowie i autorki, jak: Hermann Lingg, Szczepan Miłow, August Silberstein, Marja Najmajer, Helena Migerka, Józefa baronowa Knorr i inni, a pole poezji dramatycznej znalazło także oprawiacza w osobie Wilhelma Wartenegga.

To tylko drobna część artykułów, mieszczących się w najnowszym a niestety ostatnim tomie pożytecznego wydawnictwa. Omawiać każdą rzecz treściwie i z osobna — na to nie starczy nam ani miejsca, ani czasu; ale sądzę, że już to, co dotąd aczkolwiek pobieżnie wymieniłem, jak najzupełniej wystarczy, aby publiczności dać wyobrażenie o pożytecznej i bogatej w owoce działalności wydawnictwa, które sobie zawsze i wszędzie za hasło obrało słowa wieszczów:

„Gdy się siły wspólnem złączą celem,  
Wtedy życie będzie nam weselem\*“

i

„Wiadomości podawane przyjmować w niezmiennionej formie — na tem polega prawdziwa oświata\*\*.“

*b) Wydawnictwa dla ludu i młodzieży, oraz  
książki naukowe.*

[Leopold Faust. Hajdamak czyli noc św. Jędrzeja, powieść ukraińska. Drukiem i nakładem B. Milskiego w Gdańsku, 1895. Dwunastka. Str. numerowanych 190.]

---

\*) Słowa Szyllera.

\*\*\*) Słowa Getego.

Hajdamak stanowi odbitkę z „Gazety Gdańskiej.” Pomysłowy wydawca prawie z każdej dłuższej noweli urządzał i urządza dotąd książkowe odbitki — nie dziw więc, że ten sam los spotkał także powieść Leopolda Fausta. Imię tego autora znane w literaturze szczególnie niemieckiej, gdyż pochodzi z niemieckiej rodziny. W ostatnich czasach zaczął także po polsku pracować — to z mniejszem, to z większem powodzeniem.

Do najnowszych jego prac w tym kierunku należy właśnie „Hajdamak.” Jest to żywo a barwnie napisana powieść ludowa, osnuta na tle życia hajdamaków, ich napadów na dwory szlachty, ich życia koczowniczego. Piękna Zosia Jakubowska, córka Piotra Jakubowskiego, uległszy starym przesądom spróbowała w nocy św. Jędrzeja odgadnąć przyszłe swoje losy i wyczytała za pomocą guseł zabobonnych, że wyjdzie za mąż — za obraźnika Kiryłę. Odtąd zagościł Kiryło stale w jej wyobraźni, zajmując serce dziewczęcia, które o tem nie wie, że Kiryło osławionym jest hajdamakiem i wychowankiem opryszka starego, Wołka. Przypadek zdradza jego pochodzenie, niestety za późno! Zosia bowiem zaprzątnięta Kiryłą, bez niego już żyć nie może. A on marnieje tam — w służbie dworskiej. Ale jak wilka ciągnie do lasu, tak i jego do towarzyszków. Wrócił do hajdamaków, w bitwie razem z nimi pojmany został.

Kozak dworski Iwan sprowadza swoim wystąpieniem energicznem ostateczną decyzję, poznawszy w uwięzionym starym hajdamaku Wołku napędzonego sługę i złodzieja, który przed laty bratu Piotra Jakubowskiego, Pawłowi, bawiącemu obecnie u tegoż w gościnie, ukochane dziecko Cyryła wykradł i ze sobą uprowadził. Okładany kijami i męczony Wołek nie chce mu wyznać, co z synkiem Pawła rozpoczął, póki jego wychowanka Kiryłą, za którego ojca stary Wołek u wszystkich uchodzi, nie rozstrzela. Zniecierpliwiony tą zwłoką nakazuje niemiecki rotmistrz, baron Schnitlauch, bawiący z swymi dragonami także w gościnie u Jakubowskich, rozstrzelanie hajdamaka. Daremne wszelkie prośby i błagania Zosi.

Rotmistrz dał znak szablą i wykrzyknął głośno!  
— Feuer!

Cztery kule przeszły pierś młodego hajdamaka.

A teraz wyjawia Wołk tajemnicę. Rozstrzelony Kiryło — to ów wykradzony z domu Cyryl Jakubowski, syn bogatego dziedzica. Zemsta udała się przewybornie. Zosia umiera w kilka dni po śmierci kochanka, Dosia, córka Pawła a siostra Cyryla, idzie do klasztoru.

Odtąd ustaly napady hajdamaków na Ukrainie.

Tak brzmi w krótkich zarysach opowiadanie o hajdamaku Cyryle, którego miłość ku nadobnej kuzynce Zosi ubezwładniła. Styl prosty i pojedynczy a mimoto barwny i piękny wyszczególnia to opowiadanie. Ani nie poznać, że to tłumaczenie z niemieckiego oryginału własnego, dokonane przez autora. W niektórych tylko miejscach rażą nieprawidłowości językowe, germanizmy i zdania błędnie zestawione, jak np. na str. 112, w. 4. i 5. „Głowa kiwnęła jakoś kontentnie i zadowolniająco,“ na str. 112, w. 9. „Spokojniej jak przedtem“ (powinno być: „niż przedtem“), na str. 114, w. 17. „Kiryło kiwnął zaprzeczająco“ — ponieważ na znak zaprzeczenia wstrząsa się głową a nie kiwa, na str. 140, w. 27-29 — „Bóg świadkiem, żem rzetelny, ale włócząc się, błądząc z wsi do wsi, z miasta do miasta, to ludzie palcami na człowieka wskazują i mruczą“ — ale spodziewamy się, że autor tak uzdolniony wkrótce wadliwości przez nas wytkniętych się pozbędzie, czego mu z całego serca życzymy.

Szerszej publiczności zaś, pragnącej szczegółów bliższych z życia autora — wystarczy może wzmianka, że Leopold Faust pochodzi z rodziny niemieckiej, ale z przekonania jest Polakiem i dobrym potrjotą, którego starszy brat zginął w powstaniu styczniowym, autor zaś sam, nie szukając wielkiej protekcji u możnych tej ziemi, pracuje ciężko i uczciwie na utrzymanie swoje i rodziny a posiada sklep z wyrobami kosmetycznymi przy ulicy Sykstuskiej Nr. 2.

[Mały a zasłużony. Powieść dla młodzieży z czasów konfederacji Barskiej, napisała Janina Sedlaczkówna. Lwów, 1894. Nakładem redakcji „Przedświtu,“



a czcionkami E. Ostruszki we Lwowie. Mała ósemka. Stronic 41.]

Lekkim stylem napisana ta powieść, przeznaczona głównie dla młodzieży, obznajmia ją z losami młodego bohatera Józefa Sikory, który już w najmłodszym wieku — bo licząc zaledwie 11 lat — wprawiał się do służby wojennej imieniem Ojczyzny, przekradłszy się przez liczne zastępy wrogów, naboje przywiózł dla wojska konfederackiego a na końcu w obronie Kościuszki u tegoż boku poległ pod Maciejowicami. Rzecz sama niezłe wywołuje wrażenie: wolimy bądź cobądź widzieć pannę Janinę Sedlaczkównę jako autorkę powiastek choćby historycznych, dla młodzieży przeznaczonych, aniżeli jako pisarkę zagłębiającą się w kwestje społeczne i filozoficzne, odłogiem dla niej zostające, jako emancypantkę, która nam emancypację kobiet zbrzydzić by mogła, wreszcie jako redaktorę, powołaną może dopiero uczyć się u starszych i doświadczeńszych redaktorek sztuki, jak się redagować powinno pismo, co ma być przedświtem wyższej idei. O korekcie już nie napiszemy, ta — krytyki najmniejszej nie wytrzyma.

[Światło (Hamaor), miesięcznik poświęcony sprawie szkół fundacji br. Hirscha. Kołomyja, 1895. Wydawca i redaktor Wilhelm Grünes. Czcionkami M. Biłousa w Kołomyi. Rocznik I. Numery od 1—9.]

Skromne to na oko wydawnictwo, skromne mające cele a przecież pełne doniosłości. Żyjemy w czasie, w którym wszystko, co żyje i życie zamianifestować pragnie, łączyć i wiązać się musi w stowarzyszenia. Tak ma się też rzecz z fundacją hirschowską, względnie jej nauczycielami. Organ tychże „Hamaor“, w skromnym formacie książkowym wychodzący, porusza wprawdzie tylko kwestje pedagogiczne i to takie, które mniej więcej w zakres działania fundacji wchodzi, ale czyni to w sposób taki, aby sprawa stała się popularną i nie tylko ograniczoną była na samych nauczycieli hirschowskich. Owszem niech i szersza publiczność chrześcijańska, o ile kołowacizną antisemicką zarażona nie jest, mie-

sięcznik p. Grünesa bierze do rąk a znajdzie tam wiele pożytecznych rzeczy, językiem czysto-polskim wypowiedzianych.

Wszędzie podniesiona kwestja nauki i pracy, a to przecież coś znaczy. My żydzi, nie wstydzimy się naszego pochodzenia, ale owszem dumni jesteśmy z niego; jesteśmy dumni na nasze prześladowania, na ucisk wiekowy, na poniewierkę, dotąd doznaną. Chcemy pracować w kraju i dla kraju na równi z naszymi współbraćmi wyznania Jezusowego i nie być uważani za coś gorszego od nich. Taka to idea moja i taka też idea wydawcy i współpracowników pisma. To też widzimy prawie w każdym numerze „Światła“ zachętę do pracy i nauk, w rozmaitej formie podawaną, to jako sprawozdanie ze stowarzyszeń, to znowu jako korespondencja lub fejleton.

Szczególnie polecamy uwadze czytelnika artykuły, jak: „Po świętach Pesach“ przez W. E.; „Sprawa kierowania młodzieży naszej ku rzemiosłu i rolnictwu“ (kwestja także przez śp. ojca mego częstokroć poruszana), „Początkowa nauka języka polskiego“ i t. d. i życzymy redakcji, aby i nadal na drodze, dotąd przez nią obranej wytrwała, z stanowczością odpierając wszelkie napaści puszczyków, czy to z obozu antisemitów, czy też z obozu wielbicieli cudotwórczych rabinów pochodzące. Prawda prędzej czy później musi zwyciężyć a chmury zacofaństwa rozprószą i rozbiją się na atomy.

[Juliusz Turczyński. Nasza Odysseja, obraz z wychodźstwa brazylijskiego. Lwów, 1895. Nakładem księgarni polskiej a drukiem Zygmunta Golloba we Lwowie. Dwunastka. Stronic 143.]

Jest to odbitka z „Kurjera Lwowskiego“ i nie pierwsza z prac znakomitego turysty, etnografa, powieściopisarza i krytyka, którego wielce pouczające i zajmujące prace po wydrukowaniu ich w łamach rozmaitych pism politycznych, następnie w osobnej odbitce książkowej, czasem naraz w kilku takich odbitkach się okazują.

W obrazie, który nam ocenić wypadło, odzwierciedla autor bardzo szczęśliwie gwarę ludową mało-

ruską, język ludowy, ton, którym się podobnym powieściom nadaje, a który zupełnie odmiennym jest od dotychczasowych odcieni w powieściach Turczyńskiego. Sam temat nader popularny udziela obrazowi piętno prawdziwej powieści ludowej; autor opisuje bowiem w „Naszej Odysei“ kwestję emigracji za morze.

Bohaterami powieści są chłop Hrehory i rodzina tegoż, składająca się z żony, córki Maruńki, młodszego syna i niemowlęcia, przy piersiach matki zostającego. To wszystko za namową niesumiennych agentów wybiera się nad ocean, do Brazylii, posprzedawszy w kraju ostatni sprzęt, aby coś zdobyć na daleką drogę. Autor barwnem piórem opisuje rozczarowanie wychodźców, morską chorobę, która wszystkim wychodźcom srodze daje się w znaki, śmierć najmłodszego dziecięcia, pochowanego na dnie fali; miłość czeladnika kowalskiego Stacha Grzeli ku nadobnej Maruni; zasadzki, stawione cnocie tejże i ucieczkę z domu rozpusty; srogą niewolę, którą starzy rodzice na plantacji fazendera przebyli, gdzie w dodatku trzeba było im syna pochować; na końcu odnalezienie rodziców przez Stacha i Marunię i ucieczkę z fazendy, przepłaconą śmiercią starej Hrehorychy. Ale Bóg łaskaw!

Kierując się na chybił-trafił, podczas mozolnej i długiej drogi, którą im odbyć wypadało, wzdłuż rozlicznych a nieznanych im poprzednio rozmaitych puszczy, gór i rzek, dostali się wreszcie nasi wędrowcy na południowe krańczone, gdzie w Montevideo dla pokrzepienia sił odpocząć trzeba było. Tu natrafia Stach Grzela na uwodziciela Maruni, starego handlarza dziewcząt, który ją w domu rozpusty był umieścił, a tu pod nędznym pretekstem, jakoby go dziewczyna w Rio - Janeiro okradała, sądom brazylijskim wydać ją pragnie i z rewolwerem w ręku zasadzkę na młodą parę czyni. Stach w obronie własnej i kochanki obala starego łotra na ziemię i „skoczywszy nań, chwycił go za gardziel, ażeby nie mógł wołać. Duszony wyrwał się, lecz Stach ścisnąwszy za gardziel, dusił go rozwścieklony . . . Ten

charczał łypiąc oczyma, które mu krwią nabiegły... Po niejakej chwili, szamocąc się padł bez życia.“

Uszli groźnego niebezpieczeństwa; ale sami czują, że pozostać im dłużej tu nie wolno. Dopiero w Buenos-Ayres, do którego portu tyle okrętów europejskich, zwłaszcza włoskich, bez ustanku przybija, mogą się stanowczej zmiany losu ku lepszemu spodziewać. Dostali się wreszcie do upragnionego celu pielgrzymki i widzą w porcie okręt, który „miał właśnie odchodzić do ziemi italskiej, do Genuy.“ Ale jakże się im, pozbawionym wszelkich zapasów pieniężnych, dostać na pokład okrętu? Fala ludzi pociąga w swój wir starego Hrehora i jego córkę. Hrehory, aby uisć rewizji okrętowej, chowa się wraz z córką pod kupę piętrzących się worów, zkąd wydobyć, obowiązać się muszą do przymusowej roboty około pieców okrętowych, gdzie ich szczęśliwy traf znowu z Stachem łączy, który się jeszcze na czas na ten sam okręt dostał, aby zastąpić jednego z robotników, ubezwładnionego żółtą febrą.

— Trzeba było na prędcę kogo innego. Ja się nawinał. Widzieli, że ja znam się na kowalskiej robocie i potrafię chodzić koło maszyny a koło pieców, wzięto też mnie na miejsce tamtego, na całą drogę aż do Genuy — tak opowiada Stach.

Nie długo jednak pocieszyli się uzyskaną wolnością. Ów żyd, handlarz dziewcząt, przez Stacha chwilowo ubezwładniony, ale nie zabity, wysłał gończe listy za zbiegłymi. Śledztwo ścisłe wykazuje pod tym względem niewinność obwinionych, ale pod innym znowu względem winę Stacha, który do Ameryki zbiegł, aby się z pod służby wojskowej w Austrii uchylić, a teraz w kajdanach władzom austrjackim oddany zostaje, podczas gdy stary Hrehory i jego córka o proszonym chlebie z Genuy do Wiednia się dowloką a ztamtąd dzięki wspaniałomyślności dobrodzieja z Galicji koleją do Krakowa się dostają. Tu kończy się „Nasza Odysseja“, kończy się niemiłym dyszkantem — ale bo też inaczej być nie mogło. Młoda para nie pobiera się, stary Hrehory ginie z<sup>an</sup>ędzy, przeklinając tych, co

go złudnemi obietnicami do Brazylii zwabili a córka została sierotą, której tylko służba i niedola sieroca pozostała.

„Nasza Odysseja“ jest prawdziwą książką ludową, ludowym językiem dla ludu napisaną; ma podwójną wartość, iż równocześnie poucza i zajmuje. Jak Verne w swoich powieściach, tak Turczyński w tej „Odyssei“ pod zasłoną powieści roztacza przed okiem zdumionego czytelnika cały czar i cud przyrody podzwrotnikowej, bogacąc jego wiadomości z historii naturalnej, z etnografii, z stosunków społecznych; działa w kierunku dodatnim, odprowadzając zbałamucone umysły od emigracji; przypomina usilnie złotą sentencję, co ponad obce urojone skarby każe nam cenić swojski dobrobyt znanemi słowami, że „wszędzie dobrze, ale w kraju najlepiej;“ a przytem celuje takimi zaletami stylistycznymi, że nietylko prosty lud, ale także najwyższa inteligencja „Naszą Odysseję“ z prawdziwym pożytkiem przeczyta.

[Kazimierz Skaza. Powiastka na tle historycznym, skreślona przez Aleksandra Boruckiego. Cieszyn, nakładem Edwarda Feitzingera a drukiem Karola Miarki w Mikołowie (Nicolai O. S.) Dwunastka. 71 stronic. Cena 20 centów.]

Jest to jedno z nielicznych lepszych wydań Feitzingerowskich. Jako autor figuruje znany już zaszczytnie jako biograf Kraszewskiego autor ludowy, Galicjanin Aleksander Borucki.

Kazimierz Skaza — jest to jedna z tych nielicznych chłopskich postaci, które poświęceniem się dla Ojczyzny, walecznością i bitnością na polu walki zdobyły sobie laury, zdobyły szlachecki indygenat, a czas jego działania przypada na ostatnie lata rządów Jana Kazimierza, szamocącego się w bezsilnej walce z Moskałem i Szwedem.

Książeczka Boruckiego opisuje nam niezwykłą bitność i śmiałość młodego wodza, który w 14-m roku życia już wstąpił w zawód żołnierski a rozpoczął go duszeniem i uśmierceniem rosnącego męża a zdrajcy Polski; następnie pojmany przez Szwedów 50 plag wytrzymał, nie uroniwszy ani jednej łzy,

nie drgnąwszy ani jednym muszkułem; wrogów w zasadzkę zawiódł, gdzie ich tępiono że aż miło; w obronie Częstochowskiej czynnym był i wyszczególnił się przy boku przeora Augustyna Kordeckiego, rażąc i gromiąc Szwedów — na końcu za tyle bohaterskich czynów wynadgrodzony został rodowem szlachectwem i odnalezieniem sędziwego ojca Bartłomieja, który wydostawszy się z niewoli szwedzkiej, pod koniec dni swoich został jeszcze świadkiem tryumfu syna.

Rzecz ta dla ludu napisana niewykwintnie lekiem piórem; sto razy ją przekładamy po nad owe powiastki o strachach i duchach lub słynnych zbrojach, któremi tak nierozmyślnie młode pokolenie karmią.

[Kroże. Opowiadanie na czasie, przez Stanisława Miłkowskiego. Poczciwy staruszek, nowela tegoż samego autora. Poznań, 1895. Nakładem księgarni A. Cybulskiego a czcionkami drukarni „Dziennika Poznańskiego.“ Mała ósemka. Stronic numerowanych 93.]

Autor nazywa swoje opowiadanie „opowiadaniem na czasie.“ Już o sam tytuł moglibyśmy się z nim posprzeczać, gdyż „opowiadanie na czasie“ — to okropny germanizm. Co najwięcej wolno nam pisać: „Opowiadanie z bieżącej chwili“ — ale mniejsza o to! Nie o tytuł nam się głównie rozchodzi, ale o samą rzecz. A ta o wiele lepiej opracowana!

Rozchodziło się autorowi widocznie o to, ludowi w formie powieści ludowej dać wyobrażenie o wypadkach krożańskich i to mu się też nieźle udało. Nie jest to studjum historyczne, wyczerpujące i na źródłach autentycznych oparte, ale jest powiastka ludowa, żywym stylem dla ludu napisana, w dodatku zaopatrzona objaśnieniami, zbędnymi dla wyższej inteligencji. A ponieważ mordy w Krożach dla Polski stały się historycznym zdarzeniem, bodaj czy nie najważniejszym w bieżącej chwili, więc i to skromne opowiadanie ludowe p. Miłkowskiego uważane być może choć nie jako „na czasie,“ ale ze

względu „na bieżącą chwilę“ azatem nie bezcelowo napisane.

„Pocziwy staruszek,“ rzecz także popularnie napisana, pozwala nam wglądnać w policyjne stosunki Warszawy i obznajmia nas z czynnością zgubną radcy Dąbrowskiego, który pod maską to spokojnego lokatora, to przyjaciela młodzieży i robotników, szpiegowskie usługi wypełnia i tuziny niewinnych w ręce Moskali wydaje, aż nareszcie napadnięty przez mściwych robotników fabrycznych, w bezładnej ucieczce do rowu się stacza i nogę łamie. „Nie było to uszkodzenie śmiertelne, ale za cenemu sędziemu z komisji w cytadeli trzeba było odleżeć co najmniej pół roku. Przez tak długi przeciąg czasu pocziwy staruszek miał sposobność rozmówienia się ze swoim sumieniem.“

c) *Książki mieszanej treści.*

[Kazimierz Rojan. Dla iskry Bożej, powieść. Warszawa, 1895. Nakładem księgarni Teodora Paprockiego i Spółki, a drukiem Emila Skińskiego. Mała osemka. Stronic 416, Cena 2 złr. 10 ct.]

Autor o potężnym talencie napisał tę powieść, choć koła ekskluzywne może niekoniecznie zgodzą się na jego wywody. Tendencja, ożywiająca każdą pracę Kazimierza Rojana, na równo z innymi ogrzewa i tę ciepłem swoim. Można o nim mówić, że jest nie naśladowcą, ale założycielem osobnej szkoły autorskiej, i tak jak inni to w opisywaniu mglistych uczuć, to znowu w przesadnych efektach sensacyjnych upatrują szczyt doskonałości, tak Rojan idzie drogą, dotąd przez powieściopisarzy nietkniętą, oczami wlepionymi w swój ideał, a tym ideałem: praca. On sam jeden stworzył nam nową szkołę literacką, nowy kierunek powieści, powieści pracy poświęconej.

Taką też jest powieść, zatytułowana; „Dla iskry Bożej“. Uważamy za rzecz całkiem naturalną, że autor tak obeznany ze światem, tak wielostronny jak Rojan, niejeden kierunek społeczny, niejeden

charakter, niejeden typ nam skreślił, na który tylko warunkowo zgodzić się można. Prądy, nurtujące obecnie nasze społeczeństwo, wcale nie są mu obce, a zdanie o nich wypowiedziane, zawsze trafne. Nie jest on też przyjacielem emancypacji kobiet w tym kierunku, jaki sobie niektóre szermierki równouprawnienia wytknęły. Warto pod tym względem przytoczyć jego słowa i zastanowić się nad nimi: „Nie powiem, żebym emancypację potępiał, już choćby z tego względu, że opiera się ona na wzniosłej zasadzie sprawiedliwości — skądinąd jednak nie uważam jej za zagadkę socjalną, możliwą do rozwiązania w sposób ogólnie i zupełnie zadowalniający. Kobieta, stająca do konkursu z mężczyzną, wypowiada własnej naturze walkę — a walka to trudna i beznadziejna, bo w końcowym wyniku nie przynosi zupełnego szczęścia ani zwycięzcy, ani pokonanemu . . . Coś w tem jest połowicznego, przygnębiającego.“

„Dla iskry Bożej“ — to krwawa i bolesna satyra, wymierzona przeciwko ekskluzywności kół arystokratycznych a szczególnie plutokratycznych, uważających pracę uczciwą a ciężką i bratanie się z szarym tłumem za coś poniżającego.

Z tych przesądów wyzwolił się młody Eugeniusz Sulima: „iskra Boża,“ która go ożywia, która go na poetę stworzyła, nie pozwala mu gardzić niższymi, ani zbyt nadymać się urodzeniem i stanowiskiem, ale nakazuje mu uczciwie pracować na kawałek chleba, jako przystało każdemu przeciętnemu śmiertelnikowi. Jego bratanie się z kolegą szkolnym, młodym chemikiem — a jak go babka Niedziedzka tytułuje „obszarpańcem“ Stachem Kniaziewiczem, ściąga na Genia głowę gromy całego wysoko urodzonego pokrewieństwa.

Sulima nie zważa na to: wszedłszy w coraz ściślejsze związki z rodziną Kuźniewiczów, zakochany na zabój w siostrze Stacha Boguni, poświęca on Kuźniewiczom każdą chwilę wolną, rozróżnia się z krewnymi, odrzuca bez namysłu bogatą partję, pomaga Stachowi kuchnię chemiczną założyć, a gdy Stach przy eksperymencie zbyt śmiałym, niebezpiecznie zraniony, na łożu śmiertelnem opiekę nad sio-



strą i matką młodemu Sulimie powierza, wtedy okazuje się tenże w świetle męża, działającego „dla iskry Bożej.“ Nie waha się ani chwili przed żeniaczką z biedną dziewczyną, pracując i biedując razem z nią.

Tam kapnie coś, ówdzie znowu coś: wszystko mało. Pisarka u adwokata Surmińskiego przynosi w istocie jaki taki dochód, ale w samej rzeczy obmierzłą jest młodemu Sulimie, marzącemu o innych ideałach.

Umieścił nowelkę w piśmie belletrystycznym: otrzymał za nią 10 złr.; w piśmie politycznym, dla chleba prowadzi dział, wstrętny mu w najwyższym stopniu. Tomik poezyj, wydany przez niego, zalega dotąd bezskutecznie pułki księgarskie.

Sam czuje on już ubytek sił, niemożebność pracowania w dotychczasowych warunkach; żona ukochana wyręcza go pod tym względem, przyjmując posadę nauczycielki w pensjonacie i udzielając lekcyj muzyki — dla chleba — nibyto pod pozorem, aby mąż tymczasem spoczął, a wystąpiwszy z służby adwokackiej i redakcyjnej, znalazł swobodną chwilę do napisania dramatu, który o jego przyszłości rozstrzygnąć powinien.

Eugeniusz Sulima po długim namyśle znalazł wreszcie temat odpowiedni. „Wielkie serce“ zdobyło pochwały rzeczoznawcy, starego Wojciecha Wronowskiego; „Wielkie serce“ na konkursie dramatycznym zdobyło pierwszą nagrodę, pojednało autora z rodziną i przyczyniło się do ustalenia jego losu.

To w głównych zarysach treść doskonałej i pod każdym względem wielce pouczającej powieści *Rojana*; niemniej trafnie od głównych postaci odzwierciedlone także uboczne figury, jak: *Judka Meiseles*, lichwiarz żydowski, *Szaławilko*, bednarz i wzór kołtuna małomiejskiego, *Wronowski*, pocieszny i zabawny, ale w samej rzeczy poczciwy nibyto literat. W drobiazgową rozbiórkę każdego charakteru, każdego odcienia, wszystkich osób, wchodzących tu w grę, nie możemy się wdawać. Na to jest tylko jeden sposób: uważne przeczytanie dzieła, które też każdemu doradzamy.

[Wygnańcy. Z martyrologji naszej. Przez Juliusza Turczyńskiego. Lwów, 1894. Czcionkami drukarni „Dziennika Polskiego.“ Mała ósemka. Stronic 101.]

Wielostronność talentu, iście niepośledniego okazał autor, znany nam już korzystnie z tyłu innych powieści, także i w tej nowej. Główną jego siłą jest powieść sielska, wzięta z życia huculów; nie przeszkadza mu to jednak, także na rozmaite inne pola się przerzucić. Ludowy ton naśladował on nader szczęśliwie w „Naszej Odyssei,“ wybornej książce ludowej, podczas gdy w „Wygnańcach“ znów odmienny traktuje temat, opisując barwnem piórem niedolę skazańców, którzy w odwet za przywiązanie do ojczystego kraju, za miłość Polski na Sybir zostali wygnani.

Żywy kontrast z zachowaniem się przestępców politycznych Polaków tworzy tu zachowanie się katorżników-złoczyńców, wraz z nimi na roboty przymusowe w kopalniach skazanych. Autor odzwierciedla nam wiernie charakter i jednych i drugich, na pierwszy plan wysuwając osoby polskich męczenników: lekarza Ksawerego i młodszego odeń Wacława. Prawdziwie zajmującym staje się opowiadanie, gdy dochodzi do chwili, kiedy żona kapitana kozaków, żyjącego w tajnej nieprzyjaźni z swoim przełożonym majorem, zajmować się zaczyna losem polskich skazańców i nie ztąd nie zowąd zakochuje się w Wacławie.

Pod zasłoną nocy więźniowie, z Ksawerym i Wacławem na czele usiłują ucieczką się ratować; ucieczka nie udała się, zdradzona przez bradającą czyli pospolitego złoczyńcę, zbiegłego z katorgi. Uciekinierzy napowrót dostają się w ręce przesładowców, krwawo nad nimi się znęcających. Zatargi, już dawniej powstałe między kapitanem a jego żoną, kończą się krwawo, bo otruciem kapitana, a piękna pani kapitanowa za mężobójstwo dostaje się do katorgi.

To jednak w niczem nie zmieniło niedoli polskich skazańców.

„Wszystkiego bowiem musiał tutaj doświadczyć Waclaw, doświadczali i inni. Zmieniali się komszani i policjanci, lecz los więźniów nie zmieniał się wcale. Po drapieżnym, jak ryś, płużącym we krwi katowanych, następował łagodny, jak kot, ale i cierpliwy, a chytry, jak kot, albo znów nastawał złodziej i zdzierca, który więźniów jeszcze okradał, morząc ich głodem, a zapychając groszem, niewydanym na ich utrzymanie, własne swoje kieszenie.

Waclaw wytrzymywał wszystko: przykładem zaś swoim i wpływem zarówno działał na niejednego, tak, że i ten ostatni uczył się cierpliwości, nie chcąc dawać zbirom swoim sposobności karania ich i pomnażania przez to lat tylko katorgi. On wiedział, że na nim dziś wszystko polega, gdyż towarzysz jego starszy coraz bardziej już niedomagał. A było tu co czynić, albowiem czasami z więźniów który dostał ochotę postawić się ostrzej wobec zwierzchników, usiłujących wywołać scenę, która by tylko pogorszyła los skazanych; lecz słowo jednego Waclawa, a czasem tylko jedno spojrzenie, wywierało wpływ magiczny na innych.“

Umiera wreszcie, znękany długoletnią męką katorżną, starszy towarzysz Waclawa, lekarz Ksawery. Waclaw przeżył go i dalej działa w duchu pojedynczym wśród nieszczęśliwych synów Polski tu zaginanych, bo „Sybir przecież, to część także Polski, chociaż w katordze, a wygnańcy nasi na Sybirze, to nie tylko męczennicy, to również bojownicy świętej sprawy na ziemi dalekiej.“

I Waclaw także ginie na wygnaniu po długich cierpieniach „i usypano mu mogiłę na świadectwo, że pod nią spoczywa człowiek i męczennik, który się na innej rodził ziemi, a na innej dziś spoczywa.“

[Regina Pniowerówna. Z nad Wisły. Szkice i obrazki z przedśłowiem Michała Bałuckiego. Poznań, 1894. Drukiem i nakładem Jarosława Leitgebra. Mała ósemka. Stronic 208.]

Ruch literacki wśród dorastającego plemienia żydowskiego wzmagą się w ostatnich czasach. Z zadowoleniem uważamy, że i nasze żydówki nie uchy-

lają się od obowiązku pisarskiego, a pracują w duchu narodowym, niezatrutym mrzonkami syonistycznymi. A wiemy dobrze z własnego doświadczenia, że 30 lat temu wstecz na tem polu pusto było u nas, szczególnie w Galicji. Żyd czy żydówka, piszący po polsku, uważani prawie byli za rarogów. Dziękujemy Bogu, że te czasy już nie wrócą i że literatura narodowa polska wkrótce także i u nas w Galicji poważnym zastępem autorów i autorek starozakonnych się poszczyci.

Do bardziej uzdolnionych w tym tłumie „nowych ludzi“ należy także panna Regina Pniowówna, nauczycielka krakowska, współpracowniczka „Ojczyzny“, „Gazety Polskiej Czerniowieckiej“ i wielu innych pism polskich. Tomik jej nowel, wydany zbiorowo nakładem Jarosława Leitgebra — to pewnie pierwsze zbiorowe wydanie jej prac i poznać pod pewnym względem niedoświadczenie, które młodej autorce pozwoliło na samym czelu wydawnictwa jako flagę ochronną wywieszać poufny list Bałuckiego, który nietylko nie jest przedmową, ale nawet przedśłowiem nie jest i poufną swoją treścią na ogłoszenie na czelu wydawnictwa wcale się nie kwalifikuje.

Zbiór prac literackich, w książce przez nas omówionej zawartych, składa się z dwunastu powiekszej części bardzo drobnych nowelek. Lekka to strawa, czyta się lekko jak szczebiotanie dziecka, ale nie pozbawiona miejscami i głębszej myśli.

„Szkłanka herbaty“ wprowadza nas w życie naszych lowelasów nowomodnych, dla których to niczem nie jest, uwieźć dziewczynę i przyprowadzić do upadku, ale ożenić się z nią, to ciężkie głupstwo, bo u nich serca nie ma, ale są... nerwy; w nowelce, zatytułowanej: „Czwartym fis“ autorka występuje przeciwko zbyt niemu przeciążaniu młodych pańienek naukami zbędnymi, a tu już jako nauczycielka pewno czuć się musi w żywiole właściwym, chwalimy ją nawet za to, że się nie pisze pod sztandary zwarzjowanych emancypantek nowożytnych, pragnących stanowisko mężczyzn obniżyć do roli podnóżków lada jakiej kapryśnicy; jedną z najlepszych zaś rzeczy w zbioru szkiców jest „Macocho“, którą byśmy

raczej przechrzcili na „Dzieci wieku“, a o której nie zawadzi cokolwiek szerzej się rozpisywać.

Panienki, wychowane w pensjonacie starej panny Praksedy marzą o rozmaitych ideałach, ta o tem, ta o owem. Pstro im bardzo w głowie, a szczyt ich marzeń polega na tem, aby żyły, fałszywym blaskiem i blichtrzem otoczone, o prawdziwym szczęściu w kółku domowem u boku ukochanego męża żadna prawie nie myśli z wyjątkiem chyba jednej marzycielskiej Wilhelminy, którą straszna ironja losu kojarzy z nie-lubionym wcale a w dodatku trzy razy starszym, lecz bogatym wdowcem, mającym jeszcze z pierwszego małżeństwa dziesięcioletnią córeczkę Janinkę. „Rozczarowanie było straszne. Ale despotyczna babunia kazała, więc musiała słuchać. Sprzedano ją jak ty-siące innych za brylanty i powozy, oddano ośmna-stoletnią dziewczynę staremu mężowi. I dziś oto jest panią tak pięknego majątku, którego jej zazdroszczą na całą okolicę. I byłoby jej życie wieczną pustką, gdyby nie sześćcioletnia córeczka, którą jej Bóg zesłał dla uprzyjemnienia długich dni smutku. Więc wszelkie niewyśnione marzenia zwraca na swoją dziewczynkę, której nie sprzeda jak ją niegdyś sprzedała babka.“

Inne zasady od macochy ma pasierbica Janina. Wychowana w słynnym pensjonacie panny Praksedy, hołdującej jak większość próżnych kobiet materjali-zmowi — nie szuka ona zbawienia i szczęścia w do-branem małżeństwie, ale rada zaślubić pierwszego lepszego, choćby starszego od niej o dziesiątki lat, karciarza, pijaka, rozpustnika, byleby był bogaty i pozwolił jej błyszczeć. A taki konkurent nawija jej się właśnie w osobie p. Alfonsa. Przestrogi prze-zornej macochy idą na wiatr. Janina uwzięła się, przeprzeć swą wolę i wyjść za bogatego utracjusza, któremu niestety i ojciec Janiny sprzyja. Spełniła się jej wola; Janina została małżonką Alfonsa, który ją niebawem zaniedbuje i wszystkim złym skłon-nościom swoim cugle pospuszcza. Wkrótce pożycie małżeńskie z takim mężem dla samej Janiny stało się nieznośnem. Świat zimny patrzy na to; ale nie potępia ją, jeno macochę. Opuszczona i zrujnowana do szczętu przez męża, który do Ameryki uciekł,

nie widzi Janina innego wyjścia z tego labiryntu, aniżeli powrót do domu rodziców, do macochy, która ją otwartemi przyjmuje ramionami.

— Boże, mój Boże — lamentowała nieszczęśliwa kobieta, czemuż jestem teraz! mężatką czy wdową?! Zmarnieć mi przyjdzie... Życie całe zmarniało...

— Zostaniesz u mnie Janiu, niczego ci nie zabraknie, — pocieszał ojciec...

Opinja publiczna potępiła Wilhelminę. Mówiono o niej w teatrze, na balach, rautach, festynach, loteryjach fantowych, wszędzie żałowano Jani, nieszczęśliwej ofiary przemocy macochy.

Janina pocieszyła się powoli; od czasu do czasu tylko powtarzała matce ze smutkiem:

— I czemuż ja jestem teraz?

— Dziękuj Bogu — odpowiadała jej z gorzkim uśmiechem — że nie jesteś macochą!

Czwarta nowela „Serenada“, drobna rozmiarami, drobna także znaczeniem. Więcej tu zapewne zalet stylu, aniżeli samej treści, ilustrującej tylko starą jak świat prawdę, że podczas gdy się jedni żalą, drudzy się weselą.

Noweletka pt. „Stara piosnka“ — to znowu parafraza Heinowskiego orzeczenia o starej jak świat historii, która tego uśmierca, komu się wydarzyła — tylko z tą różnicą, że w noweletce panny Pniowej równy koniec się wcale nie tak tragicznie przedstawia.

Wyborną satyrę na głośną czynność niektórych pseudodobrodziejów ludzkości stanowi „Filantrop“, chcący być głośno chwalonym w gazetach za swoją miłość bliźniego i uczynność a żalujący pośrednictwa i wpływów u dyrektora gimnazjum dla biednego, ale utalentowanego Pinkasa.

Stosunkowo najmniej znaczenia i wartości przypisałibyśmy „Cherubinkowi“. Każdy przyzna, że to skończona gąska, przez grzeczność tylko w poczet „cherubinków“ wliczona; ale cóż — kiedy skrzydła anielskie a gęsie nie ten sam posiadają polot.

Szkic pt. „Z opowiadań panny Tekli“ maluje dosadnemi barwami arogancję parwenjuszów zdaje

się z opowiadania, że żydowskich, podczas gdy „Lajbus“ już samą swą nazwą na to wskazuje, że rzecz dzieje się wśród żydów. Uczciwej tendencji tej noweli przyklasnąć tylko możemy. Z życia ona wzięta, zawiera prawd, aczkolwiek gorzkich, wiele, przede wszystkim zaś wykazuje jasno i dobitnie, jakie zgubne skutki fanatyzm czy to żydowski czy katolicki zawsze i wszędzie wywiera.

W „Ciężkiej doli“ opisuje autorka męczeńskie życie nauczycielki, mimo wszelkich zdolności ciągle przez los upośledzonej, biednej niewolnicy, której ani się radować z innymi, ani nawet kochać nie wolno.

„Jakich wielu“ przedstawia w drastyczny sposób postępowanie demokracji czystej krwi a wielkiego apostoła pracy, który zupełnie bezinteresownie u swatki o stanie majątkowym swojej wybranej się dowiadyuje, a otrzymawszy w odpowiedzi rezultat nie ze wszystkim go zadowolniający, stosunki wszelkie z ukochaną zrywa i cichaczem wyjeżdża.

„Nie wrócił. Napisał jej natomiast list pełen salonowych frazesów, w którym dziękuje z całego serca za chwile mile spędzone i za słowa, które mu będą drogokazem do dalszej pracy. Ojcu zasyła najgłębsze uszanowanie.

— Więc i on, jakich wielu! — szepnęła, mnąc biały arkusik welinowego papieru.“

„Z choinką“ — to ostatnia nowela w zbiorze obrazków i szkiców Pniowerówny, z których poznać talent do rodzajowych, drobnych obrazków — do większych nie. Styl lekki, język jednak czasami grubo zaniedbany.

Uważamy za pierwszorzędne błędy następne wyrażenia: na str. 12, w. 3: „a jutro ma proszoną herbatkę“ zamiast: „jutro proszony jest na herbatkę“, na str. 15, w. 17, 18: „aby sobie z tego nic nie robiła“ zamiast: „aby nie zważała na to;“ na str. 26, w. 1: „do Salonstücku“ zamiast: „do utworu salonowego“; na str. 28, w. 21, 22: „czyż to nie litość bierze, patrząc na to biedne dziecko“ zamiast: „czyż to nie litość bierze, jeśli się ktoś patrzy na to biedne dziecko“; na str. 82. w. 14, 15: „fo-

remną główkę“ (formy używa się bowiem mniej więcej tylko do ciast i do przyrządzeń drukarskich) zamiast: „kształtną główkę;“ na str. 89, w. 7—9: „On, ten czarnooki, wcale do rzeczy był chłopcem, chociaż Fanny innego była zdania“ zamiast: „On, ten czarnooki, wcale do rzeczy był chłopcem, chociaż Fanny inne sobie o nim wyrobiła zdanie;“ na str. 128, w. 16. 17: „nauka przewróciła jej w głowie“ zamiast: „nauka zawróciła jej głowę;“ na str. 132, w. 5—7: „aż oczy się radowały widząc te dwie piękne, młode główki, pochylone ku sobie“ zamiast: „aż oczy się radowały widokiem tych dwóch pięknych, młodych główek, pochylonych ku sobie.“

Doprawdy! szczerze nad tem ubolewać wypada, że nasze piękne panie nie zasięgają wpierw zdania pierwszego lepszego nauczyciela ze szkół średnich, zakim dzieło jakiegokolwiek przysposabiają do druku. Niechno by im pan profesor każdy wadliwy ustęp czerwonym atramentem podkreślił i złe noty w stosunku do ilości takich szkaradzeństw językowych, stylistycznych i gramatycznych udzielił — a zniknęłyby bez wątpienia w najkrótszym czasie z najpiękniejszych prac kobiecych wszystkie te mniemane piękności i ozdoby stylu, które niczem innem nie są, jeno zeszkaradzeniem i oszpeceniem języka oczystego.

Wydanie nowelek Pniowerówny odznacza się pod względem technicznym wytwornością, czyniącą zaszczyt wydawcy.

[Męty. Zbiór nowel, napisanych przez Aniełę Korngutównę. Poznań, 1895. Drukiem i nakładem W. Simona. Mała ósemka. Stronic numerowanych 121.]

Jest to zbiór, składający się z dziesięciu nowel, po większej części już poprzednio w rozmaitych pismach wydrukowanych. Bardzo trafnie postąpiła sobie autorka, nadając swemu dziełku tytuł: „Męty.“ Cokolwiek w życiu ludzkim nie doszło do doskonałości pożądanej, nie wyrobiło się należycie, wre i kipi jeszcze poniekąd — to są męty a takież to męty właśnie starała się nam autorka odzwierciedlić i uwydatnić w swoich nowelach, którebyśmy raczej szkicami psychologicznemi nazwali.



Wyborną satyrę przeciwko dążnościom tzw. emancypantek stanowi nowela pierwsza, zakończona z łaski autorki może zbyt pobłażliwie dla głównej bohaterki opowiadania, którą by każdy inny autor bez litości i to całkiem słusznie na staropanieństwo skazał.

W „Artystycznych duszach“ dostało się znowu coś pseudotalentowi. Ale jeśli ostatnie wyjście „od nieszczęścia“ dla kobiety zarozumiałej i próżnej, która daremnie literatką być usiłowała, zameźcie stanowić ma —, to cóż na tak lekkomyślne rozwiązanie zawilej kwestji powiedzieć? Autorka dała niezasłużone cięgi mężczyźnie, skazując go na pantofelka i podnóżka, na powolnego służkę czyli męża pierwszej lepszej zwarzjowanej kobiety; ale mimowiednie walczy mieczem obosiecznym, którego ostrze się także obraca przeciwko kobiecie, nie mającej już żadnego wyjścia z szalonych urojeń oprócz małżeństwa, a to jeszcze dobrze, jeśli małżeństwo bodaj dobrane.

W wszystkich w ogóle nowelach i nowelkach autorki w tym zbiorze zgromadzonych, uwydatnia się bardzo wybitny talent realistyczny. Nie wszystkie jednak mają jednakową wartość, co do niektórych powiedzielibyśmy prawie, że rażą tendencją i treścią. Szczególnie nowela pt. „Szczęście sercu — duszy spokój“, która się żadnemu żydowi spodobać nie może. Dobrą natomiast, doskonałą nawet rzecz mimo drobniotkich rozmiarów stanowi nowelka pt. „Niepoprawny“, a choć nie na czele książki umieszczona, to polecamy ją wszystkim czytelnikom i czytelniczkom „Mętów“ na pierwszym miejscu do czytania. O „Chybionym interesie“ nie będziemy się tu rozwodzili, albowiem już na innem miejscu o nim mówiono.

Grozą przejmując czytelnika nowela pt. „W noc styczniową“, kończąca dramat miłosny obłąkanej Teklusi, córki zegarmistrza Robaka śmiercią samobójczą dziewczęcia w nurtach Wisły i śmiercią ojca, który córki przeżyć nie pragnął.

Jako satyrę przeciwko prądom materjalistycznym postępowego naszego wieku uważać trzeba nowelkę

pt. „W rezerwie“, w której skąpa radczyni dla córki jedynaczki w rezerwie trzyma młodego, ale ubogiego urzędnika sądowego Szydłowskiego, ponieważ bogaty inżynier woli zostać starym kawalerem, aniżeli oświadczyć się pannie, podczas gdy znowu Szydłowski Kazię sobie w rezerwie trzyma, jeśli nie ze względu na jej posąg, to bodaj... ze względu na protekcję wpływowego ojca a radcy sądowego.

„Nerwy“ figurowały już przed laty w „Kalendarzu Djabelskim“ i zostały przez nas omówione. Pozostaje mi więc do omówienia tylko ostatnia nowela, która też tak pod względem treści, jak i rozmiarów na treściwsze omówienie zasługuje. Nowela ta zatytułowana: „Nad Wisłą“, figurowała już poprzednio w „Przedświcie“.

Jest to rzecz, na pozór pozbawiona sensacyjnych efektów, ale silna i porywająca także i bez nich. Maluje bowiem stan duszy młodego rybaka Antka Wdzichockiego, zakochanego na zabój w Zośce, a który po utracie niepowetowanej kochanki stał się biernym i apatycznym, pozbawionym woli własnej tak dalece, że uległszy życzeniom ojca, poślubił nawet osobę nietylko mu obojętną, ale i wstrętną; Magdę, i żył z nią dłuższy czas przykładowie i wzorowo. Fatum sprowadza w ciche jego ustronie kochankę, której pamięć dotąd przegłuszyć się starał, ale wytepić zupełnie z serca nie mógł; odżyła stara miłość, która z Antka, niegdyś wzorowego gospodarza i męża, robi szaleńca i nałogowego pijaka, opuszczającego ojca, żonę i dzieci i wracającego do dawnych obowiązków zaledwie po śmierci kochanki w nurtach Wisły, ale wracającego jakby z musu i nie z tą miną wesołą i zuchwałą, jaka go odznaczała dawniej, ale prawie przedczesnym starcem. Bez przesady powiemy, że ta nowela należy do najlepszych w całym zbiorze i że żaden myślący człowiek nie przeczyta jej bez głębokiego wzruszenia.

Zbiór nowel utalentowanej autorki, którą nasze wydawnictwo wprowadziło w świat i na której postępy ono z dumą spogląda — zbiór ten, zatytułowany: „Męty“ zdobył sobie zasłużone pochwały w całej naszej prasie polskiej. Czasem jednak — a nie

możemy i nie chcemy tego żadną miarą przed autorką zataić mimo wszelkiej sympatji, jaką dla niej żywimy — czasem pochwały te były przesadne.

„Męty“ są dowodem talentu silnie się budzącego i rozwijającego, ale nie są jeszcze doskonałością, w sobie skończoną. Uważamy je raczej za piękną i świetną zapowiedź tego, co przy usilnej pracy w niedalekiej przyszłości autorka jeszcze stworzy. Teraz mniej więcej musimy się pisać na zdanie Krakowskiego „Świata“, że „Męty“, aczkolwiek bardzo udatne wrażenie wywołują u czytelnika, jednak pod względem pisowni i języka często są niedbałe i niepoprawne. Większą część tych usterek wprawdzie kłaść musimy na karb zecera nieumiejętnego, wiemy bowiem z własnego doświadczenia, do czego taki zecer zdolny; ale i jego nie można pod każdym względem winować. Jeśli autorka często naszą piękną polszczyznę bez potrzeby i rozmysłu zastępuje skleconemi niezręcznie frazesami francuzkimi lub niemieckimi — toż to nie zecer temu winien; jeśli kilkanaście razy pisze: „sumnienie“ zamiast „sumiennie“ — to nie zaczerpała z pewnością tego wyrazu z gramatyki Małeckiego, a wyrazy: „a co ja za to mogę? („was kann ich dafür?“) lub „ma dwanaście set guldenów pensji“ („er hat zwölfhundert Gulden Gehalt“) mogą się bardzo dobrze wydać w frazeologii niemieckiej, ale w języku polskim niekoniecznie zachwycają nas słodkim swoim brzmieniem.

[Niedoszłe śluby. Przez Anielę Korngutównę. Gdańsk, drukiem i nakładem B. Mińskiego. 12-stka. Stronic 41.]

O tej powiastce, wydrukowanej już przed laty w fejtynie „Gazety Polskiej Czerniowieckiej“ wypowiedziałem wtedy swoje zdanie, nie szczędząc przytem talentowi autorki zasłużonych pochwał. Jeszcze raz to samo powtarzać, byłoby zatem zbyt bezcelnem, i zwrócę chyba uwagę publiczności na szczegól, że książeczka w obecnym swoim formacie dosyć przyzwoicie się przedstawia i że warto z nią się zapoznać.

[Hans vom Friedhof (Janko Cmentarnik.) Eine Dorfgeschichte von Ladislaus Syrokomla. Aus dem Polnischen metrisch übertragen von Dr. M. Morgenroth. Leipzig, Verlag von Wilhelm Friedrich. Dwunastka. Stronic 63.]

Z tem dziełkiem wzrasta liczba tłumaczeń z polskiego jeszcze o jedno nieznanego nam dotąd tłumacza; również, jak i „Janko Cmentarnik“ tu pewno po raz pierwszy tłumacza na język niemiecki znalazł. A musimy przyznać, iż znalazł translatora nielada. Nigdzie w całym przekładzie nie znać tych trudności, jakie każdy przekład tłumaczowi nastęrcza. Forma niepretensjonalna a gładka że aż miło, ton przypomina nam gawędę polską. Jednem słowem: jest to małe arcydziełko i ubolewamy szczerze nad tem, że pan Morgenroth nie więcej takich próbek swego talentu poetycznego nam udzielił.

[Biblioteka powieściowa „Przedświtu.“ Wbrev zamiarom, obraz sceniczny w trzech aktach, przez Franciszka Lasockiego. Nakładem redakcji „Przedświtu“, dwutygodnika dla kobiet. Drukiem L. Arbaszewskiego we Lwowie. Lwów, 1896. Mała ósemka. Stronic numerowanych 44.]

Jest to odbitka z „Przedświtu.“ Logiczny błąd popełniła redakcja, że taki obraz sceniczny, który przecież z powieścią, nic nie ma wspólnego, w rzędzie wydawnictw „biblioteki powieściowej“ umieściła. Ale mniejsza o to! Wiemy bowiem, że nie każda kobieta, a zwłaszcza nie każda kobieta-redaktorka przyzwyczajona, myśli także logicznie wyrażać; gorzej jeszcze ma się rzecz z korektą, przeprowadzoną przez redakcję. Ile tu błędów przeoczonych przez nią, musiało spadać na karb zupełnie niewinnego pod tym względem autora.

Co się tyczy samego obrazu scenicznego, — to tytuł tegoż: „Wbrev zamiarom“ chyba tylko co do głównego bohatera Jerzego usprawiedliwiony, który — aczkolwiek zakochany w Marcie — Martę z powodu obrażonej dumy opuszcza, aby się z Florą ożenić; zmiana zaś sposobu myślenia Marty i „wbrev zamiarom“ pierwotnym powzięty zamiar poświęcenia się dla Ojczyzny — nie zgadza się nawet z chara-

kterem tej próżnej i zimnej zalotnicy i niczem zgoła nie jest uzasadniony. Nie możemy tej rzeczy za dramat w ścisłym tego słowa znaczeniu uważać, nawet nie za obraz sceniczny, tylko za bluetkę co najwyżej i na pochwałę autora przytoczymy chyba to, że stworzył niejedną rzecz, o wiele lepszą od tego obrazu scenicznego.

[Walenty Ćwik (Józef Białynia Chołodecki.) Karolowe Wary i tychże okolice. Nakładem autora a drukiem W. Manieckiego. Lwów, 1895. Mała ósemka. Stronic numerowanych 36.]

Znany z tylu prac i badań historycznych autor stara się w niniejszem dziełku obznajamiać publiczność polską z zaletami europejskiej sławy używających wód Karlsbadu czyli Karolowych Warów. Ponieważ dotąd w polskiej naszej literaturze kąpielowej zupełnie brakowało podobnego podręcznika, więc przyklasnąć jak najgoręcej musimy myśli autora, który w niewielu słowach stworzył wyczerpujący a mimoto nie grzeszący rozwlekłością obraz stosunków karlsbadzkich.

[J. Stern. Złote myśli z talmudu, tłumaczył Wiktor Chajes. Lwów, 1896. Nakładem tłumacza, a drukiem Edmunda Ostruszki. Mała ósemka. Stronic 51.]

Wiadomą jest rzeczą, jak głębokie korzenie antisemityzm wpuścił w społeczeństwo; szczególnie jeździ on jako na ulubionym koniku na talmudzie i usiłuje tę księgę wraz z całym żydowstwem zdyskredytować na podstawie fałszywych cytatów à la Rohling, Deckert, Eisenmenger i im podobnych. Autor jako żyd obrał sobie chlubne zadanie, zaznajomić w wypisach publiczność niekoniecznie tylko żydowską, z dziełem, mało znanem jej, aby rozprószyć wszelkie uprzedzenia, a wykonał — nie możemy mu tego zaprzeczyć — zadanie swoje dosyć zręcznie. Rzecz rozpada się na 41 rozdziałów, poświęconych przeróżnym przedmiotom i odznaczonych odrębnymi tytułami. Od siebie zaś dodamy, że w obcych językach istnieją już przeróżne tłumaczenia talmudu bodaj w wyjątkach, a praca p. Chajesa zdaje nam się być pierwszą tego rodzaju, w języku

polskim streszczoną; powinna więc cieszyć się jakim takim odbytem.

[W sprawie żydowskiej, napisał Ferdynand Gerżabek. Tarnów, 1895. Nakładem autora a drukiem Józefa Pizsa. Mała ósemka. Stronic 19.]

Ucisk wywołuje odporność, akcja reakcję, i temu też szczegółowi trzeba przypisać, że antisemici chrześcijańscy nie tylko ze strony żydów, ale także ze strony umiarkowanych katolików na opozycję natrafiają. W podobnym też duchu pragnął p. Gerżabek działać, kiedy swoją broszurkę w świat puścił. Intencja była szlachetna, może nawet najszlachetniejsza. Nie zasłużył sobie autor z pewnością na nielitościwe kpiny „Gazety Narodowej.“ Ale nie możemy również zataić, że nie znał zupełnie stosunków, a skutkiem tego walczy niewłaściwą bronią. Szczególnie zaś nie rozumiemy jego kokietowania z „Syonistami,“ których przez tę uległość ani nie poprawi, ani też ku sobie nie pociągnie i nie uczyni ich zwolennikami asymilacji.

[I. S. Sztuka a socjalizm. Kraków, 1894. Nakładem L. Zwolińskiego i spółki. 12-stka. Stronic 32.]

Kiedyśmy to dziełko brali do rąk, to na razie sami nie widzieliśmy, do jakiej kategorii je zaliczyć? Dziełem dla ludu i młodzieży przeznaczonem ono nie jest. Dziełem naukowem może? i to nie! brak mu spokojnego tonu naukowego, a natomiast pełno w niem paradoksów, które przecież dla żadnej nauki podstawy tworzyć nie mogą. A więc zaliczyć tę broszurkę chyba wypada do książek mieszanej treści. Gdybym wszystkie fałszywe wywody autora zbijać usiłował, dużo bym czasu na to zmarnować musiał bezpotrzebnie. Zwrócę tu tylko uwagę anonimowego autora na niektóre najbardziej rażące szczegóły. Sam tytuł broszury „Sztuka a socjalizm“ mylnie jest dobrany. Nie znamy bowiem osobnej sztuki magnackiej, burżoazyjnej lub socjalistycznej, gdyż sam wyraz: sztuka obejmuje wszystkie jej kierunki i prądy.

Jeśli wstęp do muzeów, galerij obrazów i teatrów nie może być tłumom ułatwiony za tę cenę, za którą się główkę kapusty kupi, to musimy sobie to wytłumaczyć szczegółem, że utrzymanie takich

instytutów bodaj u nas w Galicji, o którą się głównie rozchodzi autorowi — to rzecz z kosztami połączona. Gdyby tam każdy wstęp miał za półdarmo, to wkrótce zabrakłoby dyrekcjom instytutów pieniędzy na najgwałtowniejsze potrzeby. Szczegół, że tylu poetów, szczególnie niemieckich, przemawiało wierszem za socjalizmem — niekoniecznie dowodzi, że byli tajnymi lub jawnymi socjalistami, a dowodzi tylko, że byli wszechstronni. Sam Wurzbach, arystokrata i figura rządowa czyni w swoich „Daktylach i fiołkach“ reklamę socjalizmowi. Polska znając demokrację, nie znała socjalizmu, a było jej dobrze z tem: wszakże Kościuszką socjalnym demokratą nie był, choć największym był demokratą w kraju. A Głowacki? a Swistacki? a Kiliński? Możemy zatem z zupełną równowagą umysłu przyjmować rękawicę, rzuconą nam słowami, że „proletariat z góry zrzeka się wątpliwych korzyści burżuazyjnego świata uniesień i podnieć duchowych.“ My mężowie nauki i pracy zrzekamy się także podnieć, nie mających nic wspólnego ani z nauką, ani z sztuką, a pracą żmudną po nocach odzwyczajeni od ośmiogodzinnego dnia robotniczego, pragniemy, aby fałszywi prorocy i przewodnicy ruchu, zgubnego dla szerokich mas, takowe naprzód pouczyli o swoich obowiązkach a potem dopiero pomogli im odzyskać prawa swoje.

[Marja baronowa Hagenowa (Alces.) Nowelle. Pani Choryńska, Stracona miłość, Piękna Halka, Siostra Teresa, Od sympatji do miłości, Proboszcz z Szetyny, Ślepy Kazik, Głupia Jaga. Lwów, 1895. Nakładem Jakubowskiego i Zadurówicza a drukiem W. A. Szykowskiego. Mała ósemka. Stronic 436. Cena 2 złr. 10 ct.]

Nie po raz pierwszy spotykamy się z nowellami i w ogóle pracami literackimi pani baronowej Hagenowej. Mniej szczęśliwa na polu poezji, zdobyła sobie na polu prozy należyte uznanie, a według przysłowia trzyma się zasady całego swego rodu: „Noblesse oblige!“, okazując to szlachectwo na równi z bratem i ojcem w pracach ducha.

Pani baronowa Hagenowa obrała sobie jednak odrębne pole, przedstawiając nam w powieściach

i nowelach swoich przeważnie świat arystokratyczny, rzadziej figury z szarego tłumu. I na podobne też postacie napotykamy w tym najnowszym tomiku jej nowel.

Na samym czele treścią, tendencją i rozmiarami stoi „Pani Choryńska.” I tu powiemy otwarcie, że nie trzeba szalonych demagogów, aby nam zbrzydzić ten świat blichtru i ułudy, w którym się tak lubuje wysoka arystokracja, jeśli przypadkowo nie jest arystokracją ducha — nie trzeba na to szerokich wywodów — trzeba tylko tę „Panią Choryńską” uważnie przeczytać od deski do deski. Jak tu wszystko z małemi chyba wyjątkami nędzne i wstrętne! te małe namiętnostki, te plotki kumoszek po salonach arystokracji; ten hr. Liciński, podły uwodziciel, który się z nudów kocha i z próżności była swoją kochankę, Dorę Choryńską, obecnie zamężną księżną Murgano w przepaść pogrąża; ta hrabina Licińska, niegdyś Ewa Rithorstenowa, godna połowica obecnego swego małżonka, z którym jeszcze za życia pierwszego męża głośny romans utrzymywała. Albo ta szlachetna, nibyto jak anioł biała Choryńska?

Były kochanek a uwodziciel hr. Liciński, który ją haniebnie opuścił, aby się sprzedać za pieniądze lubieżnej Ewie, spotyka Choryńską, obecnie zamężną Murgano, matkę dziecięcia, w miejscu kąpielowem i proponuje jej odrazu rendez-vous poza plecyma męża. A ona co na to? Przytaczamy własne słowa autorki.

„Nieubłagana konsekwencja życia, z jaką ono czyni nasze ściga, stanęła jej jasno w oczach. Więc musiała jej się poddać, musiała dopuszczać się czynów, do których przyznać się nie mogła, musiała nadal poniekąd obwarowywać tę jedyną tajemnicę, milczeniem, mniejszemi czy większemi kłamstwami? W pierwszej chwili oburzyła się gwałtownie... Czyżby to spotkanie w nieobecności męża, na któreby w ten sposób zezwoliła, nie było rodzajem tajemnych odwiedzin? Od razu chciała odpowiedzieć, że nie przyjmuje nikogo. Ochłonawszy, przyszła do smutnego przekonania, że dobrowolnie postawiła się w położeniu, które jej różne ostrożności nakazuje, między innymi



oszczędzanie hrabiego. Lepiej, rozsądniej, bezpieczniej było przekonać się o jego obecnem usposobieniu; naznaczyła mu więc godzinę czwartą i bardzo rozdrażniona i nerwowa czekała na jego przybycie.“ Są to same sofizmata, mające uspić nieczyste sumienie.

Wszystko tu połowiczne i niejasne, jasne tylko tam, gdzie się rozchodzi o to, aby wynajdywać pretekst do upiększenia występków, a najjaśniejszą postacią w całej powieści — chyba jeden książe Murgano, który dla ocalenia honoru swojej żony w pojedynku ginie.

„Stracona miłość“, skreślona w formie listu do przyjaciółki, także sympatyczniejszego w nas nie budzi uczucia: jest to niejako apoteoza obopólnego wiarołomstwa, praktykowanego z wszelką świadomością celu. Mąż trwoni majątek żony, podążył do Londynu za jakąś śpiewaczką, wreszcie nie widząc żadnego wyjścia z kłopotliwego położenia, w łeb sobie palnie; żona poza plecyma męża utrzymuje jakiś stosunek miłośny z hr. Arturem, szaleje za nim, sprzeniewierza się mężowi na każdym kroku, a gdy śmierć męża swobodę działania wdowie znowu wraca, wtedy dopiero pan kochanek ją w trąbę puczcza, odwracając się od niej, bo „kochaliśmy się prawdziwie, dopóki to słońce świeciło w naszych sercach, kiedy zgasło, mówimy sobie to otwarcie i uczciwie. Komedja miłości nie byłaby godna ani pani, ani mnie, spotkaliśmy się, aby się pokochać . . . dzisiaj rozstajemy się bez żalu do siebie . . . nieprawdaż?“

Rzeczywiście, nie pojmujemy, co to za kochanie i „stracona miłość?“

Ten sam temat wiarołomstwa, lecz na odmianę w warstwach ludowych, służy za podstawę noweli, zatytułowanej: „Piękna Halka.“ W Halce, uroczej córce gajowego, kocha się na zabój Jan Maluga, strażnik skarbowy w Litynie, mający najrzetelniejsze dla niej zamiary i pragnący ją zaślubić. Rodzice radzi temu związkowi, który przyszłość dziecięcia ubezpieczy, Halka także nie przeciwna, już od kilku miesięcy zaręczoną, czy raczej przyrzeczoną

była Janowi Maludze. Autorka kreśli nam wzajemny ten stosunek dosadnie słowami :

„Z powodu różnych służbowych formalności, ślub miał się odbyć dopiero w jesieni. Maluga dnia tego wyglądał z upragnieniem, a tymczasem żył szczęśliwy nad wyraz, spędzając każdą wolną od służby chwilę przy ukochanej dziewczynie, każdą, z daleka go od niej trzymającą, wypełniając jej wspomnieniami. Wszystkie pieniądze strażnika zamieniały się w rozliczne podarunki dla Halki, byłby chciał świat zakupić cały, by go złożyć u stóp tej dziewczyny, która go oczarowała, całą duszą jego zawładnęła, wypełniła całe serce swym wdzięcznym obrazem.

Czemże mu ona odplacała za tyle miłości?... Tem, czem serce czy to wielkich, czy małych tego świata odplacać się chce i może, bo ono jedno nie zna praw i różnicy na tym świecie, który z praw i różnic się składa; ono jedno, jak prawdziwie cygańskie dziecko nie ulega żadnej sile, żadnej woli, ulega tylko swemu przeznaczeniu, ucieknie z drogi prawdziwego szczęścia, a w przepaść się dobrowolnie pograży. Więc i Halka za tyle miłości odplacała tem, czem jej serduszek odplacać było w stanie: przywiązaniem, wywołanem pewną wdzięcznością: pewną dziecięcokobietą dumą, którą zazdrość całej wsi w niej obudziła. Lubiła serdecznie tego łagodnego, dobrego, przystojnego człowieka; w dnie, w które miał przyjść do chaty, wyglądała go uśmiechnięta, bez niepokoju i niecierpliwości, zęgała bez żalu; o przyszłym wspólnem życiu myślała i mówiła wesoło, bo czuła się bardzo kochaną, a jej własne przywiązanie było tylko odbiciem gorącej miłości narzeczonego.“

Wzorowy ten stosunek burzy zjawieniem się swoim młody i uzdolniony, ale moralnie zgangrenowany i zepsuty adjunkt sądowy Stefan B., syn bogatego włościanina z Lityny Małej, rodzaj donżuana małomiejskiego, który pod nieobecność Jana Malugi do domostwa gajowych się zakrada, aby nieodświadczonemu dziewczęciu głowę zawracać. Z przerażającą szybkością odbywa się ten proceder rozkładu sił moralnych. I tu jak poprzednio wyreżymy się

w opisie tych niezdrowych stosunków słowami własnymi autorki:

„Szła powoli, ze spuszczoną głową, z której grube warkocze spływały jakby złotemi strugami po białej koszuli, rzucając dokoła trwożliwe spojrzienia i rozchylając gałęzie przed sobą. Naraz pomiędzy drzewami ujrziała postać Stefana, przechadzającego się zwolna i na widok jego gwałtownym ruchem rzuciła się wstecz. Serce jej, jak strwożone ptaszę poczęło tłuc się w piersi, tchu jej brakło, myśl jedna tylko kołatała się po głowie: Uciekać! — uciekać!

Na szelest kroków odwrócił się młody człowiek, spostrzegł Halkę i w mgnieniu oka był przy niej.

Przestrach jej, postanowienie ucieczki utonęły w jego objęciach. Pocałunki i pieszczoty odurzyły dziewczynę; główkę wsparła na ramieniu młodzieńca, przymknęła oczy i upojona miłością, przebudziła się.. jego kochanką!“

Ale Stefan nie myśli o żeniaczce; zbałamuciwszy dziewczynę i doprowadziwszy ją do upadku, ofiaruje jej 50-kę „na wyprawę.“ Halka zrozpaczona nie tknie się nawet banknotu, strażnik Maluga, za drobne przewinienie skarbowe zasądzony na karę dyscyplinarną i w drodze wielkiej łaski i protekcji wypuszczony, otrzymawszy 3-dniowy urlop, zdążył do wsi i jest świadkiem sceny między Stefanem i Halką. Autorka odmalowuje nam żywymi barwami wściekły gniew strażnika i rozpacz dziewczyny, która do domu wraca, aby się otruć. Na drugi dzień był pogrzeb, a na noc od chaty ojca Stefana, podpalonej mściwą ręką Malugi i gajowego, zajęła się nieomal cała wieś.

„Gajowy z żoną poszli gdzieś w świat za służbą. Chata w lesie stoi dotychczas pustką, z poczerniałą, z każdym rokiem więcej strzechą, coraz bardziej swem sieroctwem pochylając się ku ziemi.

Czwarta z rzędu nowela „Siostra Teresa“ wprowadza nas znowu w koła arystokratyczne; znowu widzimy miłość wiarolomną, zbrodniczą, tryumfującą nad czystymi uczuciami hrabianki Izy Szczucin i zniewalającą ją do zerwania wszelkich stosunków

z narzeczonym, hr. Edwardem i do wstąpienia do klasztoru, gdzie wkrótce pod imieniem siostry Teresy zasłynęła jako wzór pobożności, cierpliwości i poświęcenia się dla innych.

Cztery drobne szkice zaokrągłają zbiór, a nie brak tym szkicom pewnego wdzięku. W ogóle styl Hagenowej łatwy i łatwo zrozumiały; wywołałby jeszcze lepsze wrażenie, gdyby nie fatalna nawyczka częstego używania zwrotów, nie lubionych w języku polskim a z których najgłówniejsze tu przytaczam.

I tak napotykamy w książce na następne dziwolągi pisarskie:

na str. 4. w. 14. „Więc pan Rithorsten jest tak źle“ zamiast: „ma się tak źle;“ na str. 133, w. 21 i dalsze: „Znalazłszy się w obecności Dory, serce jego zadrżało“ zamiast: „Skoro się znalazł w obecności Dory, serce jego zadrżało;“ na str. 157, w. 2, 3: „Nie ma nic logiczniejszego na świecie, jak egzystencja człowieka“ zamiast: „Nie ma nic logiczniejszego, aniżeli egzystencja człowieka;“ na str. 279, w. 16: „płomienia“ zamiast: „płomienie;“ na str. 289, w. 24, 25: „słuchając tych pociech, brwi jej marszczyły się silnie“ zamiast: „słuchając tych pociech, brwi swe marszczyła silnie;“ na str. 291, w. 6 — 9: „wszedł na pagórek, z którego zszedłszy ścieżką koło stawu, kilka staj zaledwo dzieliło go od chaty gajowego“ zamiast: „wszedł na pagórek, z którego gdy zeszedł ścieżką koło stawu, kilka staj zaledwo miał aż do chaty gajowego;“ na str. 310, w. 4, 5: „czuli się jeszcze nieszczęśliwsi jak przedtem“ zamiast; „czuli się jeszcze nieszczęśliwsi niż przedtem;“ na str. 377, w 11, 12: „a odzyskawszy dawne przyzwyczajenia, wracały mu do serca dawne uczucia“ zamiast: „a odzyskawszy dawne przyzwyczajenia, czuł, jak mu do serca wracają dawne uczucia.“

Sambor, 21. Marca 1896.

*G. Kohn.*



## Sprawozdanie z czynności moich.

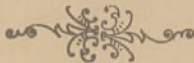
---

Oddaję niniejszem jako dochód z 19-go „Rocznika Samborskiego“ 30 złr. na Towarzystwo Wincentego à Paulo i tyleż na Towarzystwo Bursy w Samborze. Szerzej się rozpisywać nie mam ochoty, ponieważ upadam z unużenia po bezsennych nocach.

Sambor, 21. Marca 1896.

*G. Kohn,*

*redaktor i wydawca „Roczników Samborskich.“*



## T r e ś ć.

	str.
<i>Antonowiczówna Janina</i> , Świat każe śmiać się, wiersz . . . . .	209
<i>Chołodecki Józef</i> , W stuletnią rocznicę urodzin St. Jachowicza i J. J. Szczepańskiego, listy Jachowicza do Szczepańskiego . . . . .	129
<i>Duchińska Seweryna</i> , Wspomnienia z życia jenera- łowej Małachowskiej (z portretem Seweryny Duchińskiej . . . . .	12
„ Pieśń matki Polki nad kołyską dzie- cka (przekład z francuzkiego Gra- nięra) . . . . .	123
„ Resurrecturis (przekład z francuzkie- go sonetu panny Blanchet . . . . .	124
„ Moje pióro, wiersz oryginalny . . . . .	125
<i>Faust Leopold</i> , Dzień zaduszny, wiersz . . . . .	174
<i>Garczyński Antoni</i> , Tatus ma natchnienie! hu- moreska . . . . .	379
<i>Jarema</i> , Nasza spuścizna, wiersz . . . . .	126
<i>Dr. Jugo</i> , Wróżka pożarna, szkic z warstw autonomicznych . . . . .	343
<i>Kohn G.</i> , Słowo wstępne . . . . .	5
„ Salon polskiej damy (według fotografii Jakuba Weizmana z Sanoka) . . . . .	127
„ Geniuszom cześć!, wiersz . . . . .	153
„ Żona czy konfitury?, humoreska . . . . .	163
„ II. Miasto w rozkwicie (z 2ma rycinami według fotografii Michała Friedmana z Nowego Sącza) . . . . .	167
„ Czytelnia Polska w Białej na poże- gnanie swemu prezesowi, wiersz . . . . .	175
„ Wstępne słowo do poematu drama- tycznego Lasockiego . . . . .	213

	str.
<i>Kohn G.</i> , Edmund Leon Solecki, wspomnienie pośmiertne . . . . .	321
„ Nicoś, sonet . . . . .	332
„ Sen na jawie (z niemieckiego Józefa br. Zedlitza), wiersz . . . . .	333
„ Dzień polski w Cieszynie, sprawozda- nie reporterskie . . . . .	336
„ Artysta prowincjonalny (z 2ma ryci- nami według fotografii Eugeniusza Jurkiewicza z Kołomyi) . . . . .	375
„ Ostatnie echa z Wystawy, sprawozda- nie reporterskie . . . . .	378
„ Na powitanie Sokołom kresowym, wiersz . . . . .	386
„ Nowomodna szkoła, wiersz . . . . .	388
„ Bibliografia . . . . .	389
„ Sprawozdanie z czynności moich . . . . .	427
<i>Kohn Naftael</i> , Skon dziecięcia (z niemieckiego Franciszka Grillparcera) . . . . .	378
<i>Korngutówna Aniela</i> , Z tajemnic pacanowskich, humoreska . . . . .	144
„ Szkic węglem (z portretem autorki według fotografii Olmy z Krakowa) . . . . .	354
<i>Kossowska Stefania</i> , Najlepsze, powiastka (z nie- mieckiego Marji Ebner-E- schenbach) . . . . .	170
„ Jużes mi zniknął, promyku złoty!, wiersz . . . . .	172
<i>Kostka</i> , Na wsi, wiersz . . . . .	208
<i>Lasocki Franciszek</i> , Całopalenia, poemat drama- tyczny . . . . .	211
<i>Lissówna Olga</i> , W stuletnią rocznicę trzeciego rozbioru Polski, wiersz . . . . .	173
„ Sen patriotki, wiersz . . . . .	326
„ Cicha modlitwa, wiersz . . . . .	334
„ Działwie polskiej w Cieszynie, wiersz . . . . .	347
<i>Ludomir Zygmunt</i> , Złamany pierścionek (z nie- mieckiego Józefa br. Eichendorffa), wiersz . . . . .	329

	str.
<i>Ludomir Zygmunt</i> , Tak cicho po nad lasy (z niemieckiego Emanuela Geibla), wiersz	330
„ Spotkanie (z niemieckiego Henryka Heinego), wiersz . . . . .	331
<i>Młot Zenon</i> , Boleść (z niemieckiego Lenaua), wiersz . . . . .	143
<i>Morawski Zygmunt</i> , Rośliny w przysłowiacz, artykuł z dziedziny ludoznawstwa .	177
<i>Sedlaczkówna Janina</i> , Seweryna Duchyńska, uwagi biograficzne . . . . .	7
<i>Stefan z Opatówka</i> , Polski djabeł, pieśń Twardowskiego . . . . .	205
<i>Stroka Aleksander</i> , Tęsknota, wiersz . . . . .	162
<i>Zipper Albert</i> , Nasi bohaterowie, I. Ludwik Kurtzmann (z portretem zasłużonego autora) . . . . .	154





## Spis pomyłek.

Strona	wiersz	zamiast :	czytaj :
20,	32	uie	nie
37,	24	uradzilii	uradzili
45,	33	Rządowl	Rządowi
60,	30	Miałażbym	Miałażbym
95,	10	temn	temu
112,	6	wieczność	wieczność
112,	13	Malachowskiej	Małachowskiej
131,	17	językach	językach
137,	29	poiąć	podjąć
143,	23	sie	się
146,	17	zeszłoroczej	zeszłorocznej
170,	24	Pani	Panie
209,	29	zasłużone	zasłużone
218,	ostatni	złocista	złocisto
265,	5	w części nakładu przez pomyłkę wydru- kowano w nosząc zamiast:	wznosząc
265,	19	w części nakładu przez pomyłkę wydru- kowano prokl ta zamiast:	proklata
274,	21	Szczutkiem	Szczutkiem
291,	23	Sena VI.	Scena VI.
303,	26	nio	nie
314,	1	ludai	ludzi
346,	28	po sali sypano,	po sali, sypano
356,	32	gościńca	gościńca
368,	25	wypnszczono	wypuszczono
392,	29	mową	mowę
398,	34	potrjotą	patrjotą
401,	1	którym się	który się
405,	7	młodzieży	młodzieży
410,	25	wydany	wydanych
411,	39	mężem	mężem
412,	31	chcący	chcący.

